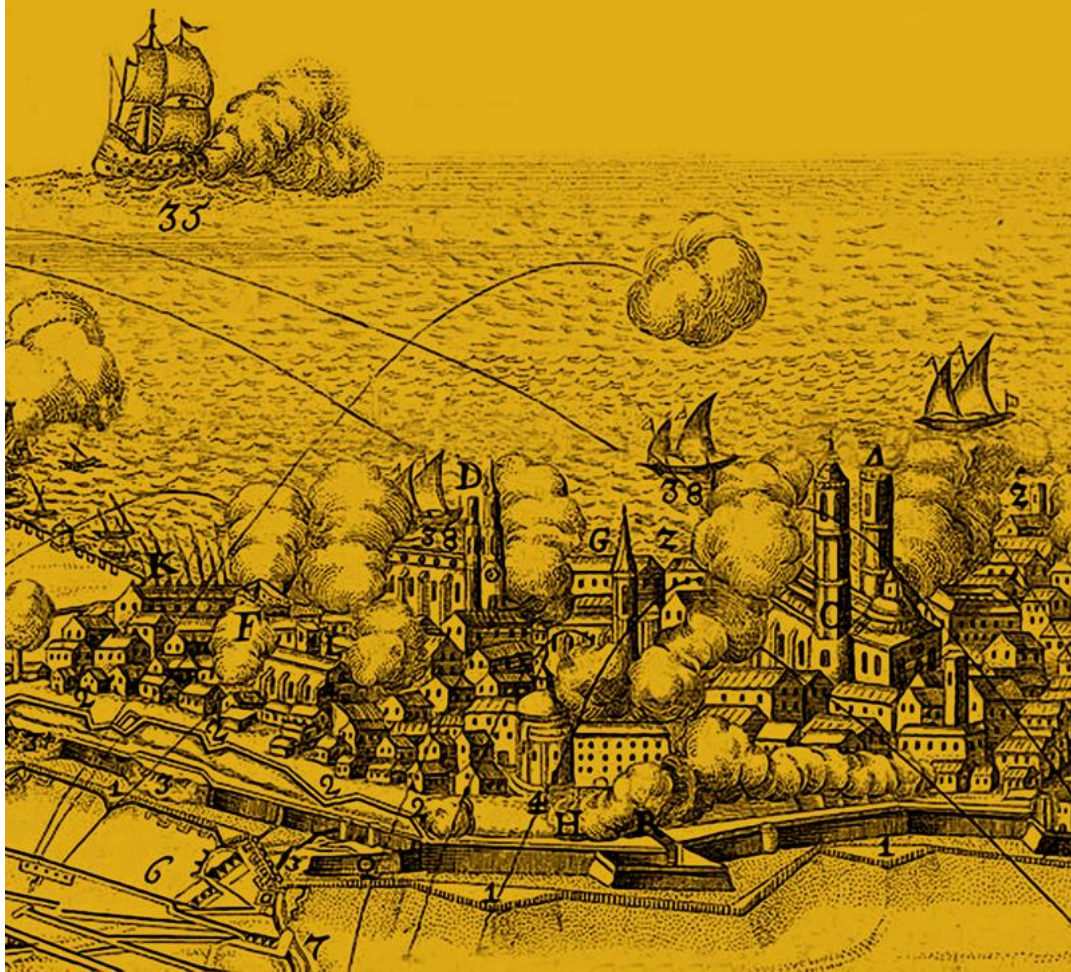


ALBERT SÁNCHEZ PIÑOL

VICTUS

UPADEK BARCELONY 1714



NOIR SUR BLANC

ALBERT SÁNCHEZ PIÑOL
VICTUS

Upadek Barcelony 1714

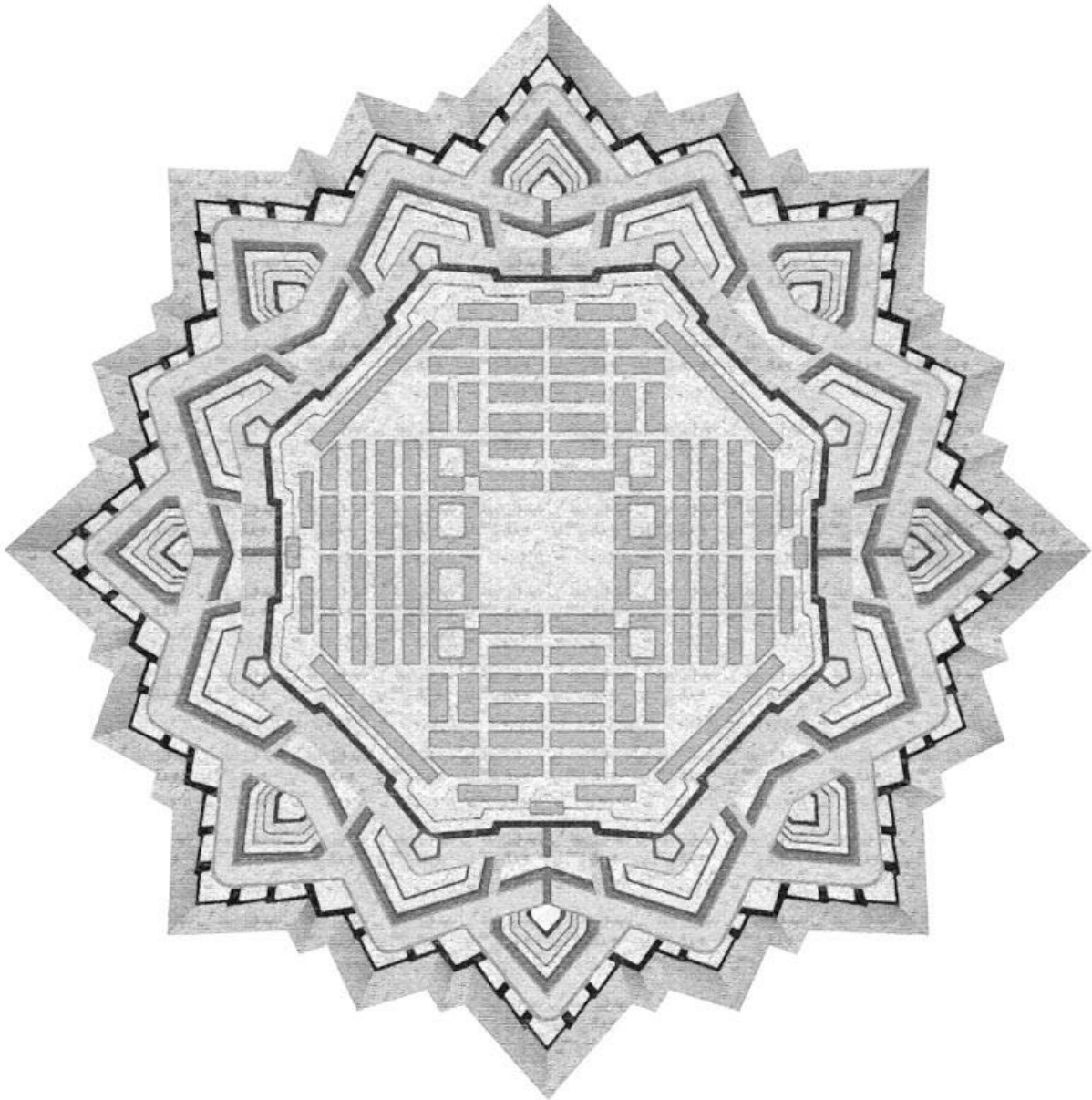
Przełożyła

Dorota Walasek-Elbanowska

NOIR SUR BLANC

PUGNA MAGNA VICTI SUMUS

Titus Livius
(Przeegraliśmy wielką bitwę)



NOTA WSTĘPNA

Niektórzy z czytelników pierwszego szkicu tej książki pytali mnie o historyczność opisanych w niej wydarzeń. Mogę im jedynie odpowiedzieć, że oparłem się na przyjętej konwencji powieści historycznych, wedle której należy trzymać się faktów, a fikcja dopuszczalna jest w sferze osobistych przeżyć bohaterów. Wszystkie daty i epizody odnoszące się do postaci historycznych lub działań politycznych i wojskowych są autentyczne. Szczęśliwie, kroniki dotyczące wojny o sukcesję hiszpańską i oblężenia Barcelony w latach 1713–1714 są tak obszerne, że pozwalają zagłębić się w szczegóły. Debaty parlamentarne, jakie toczono w 1713 roku w Barcelonie, zostały zaczerpnięte dosłownie z dokumentów spisanych w tamtej epoce. Nawet w przypadku postaci drugoplanowych postanowiłem dochować wierności źródłom historycznym. Szaleństwo na tle kamienia filozoficznego, jakie opętało męża Jeanne Vauban, potyczka w Beceite, podczas której Zuviría poznaje Ballestera, śmierć profesora Bassonsa i szarża studentów prawa w sierpniowej bitwie z 1714 roku, a także wydarzenia związane z ekspedycją wojskowego posła, by wymienić zaledwie kilka przykładów, znajdują potwierdzenie w faktach. Rozmowy, jakie Berwick, rozdrażniony oporem barcelończyków, prowadzi ze swoim sztabem, można prześledzić w kronikach i jego własnych pamiętnikach. Również znaczna część obelg, kierowanych przez generała Villarroela do bohatera powieści, Martiego Zuviríi, wzięta została z rozmaitych dokumentów, choć w tym wypadku wiadomo tylko, że ich adresatem był „jakiś oficer”. Osobie samego Zuviríi źródła poświęcają jedynie nieliczne i niejasne wzmianki, przypisując mu stanowiska tak różnorodne, jak „adiutant generalny” Villarroela, tłumacz, członek rozlicznych komisji, a nawet koordynator działań poza murami miasta w czasie oblężenia. Tak czy inaczej, był on jednym z niewielu wyższych oficerów proaustriackich, którym po klęsce Barcelony udało się zbiec do Wiednia i uniknąć represji burbońskiego reżymu.

. SYTUACJA POLITYCZNA W EUROPIE W 1705 ROKU



Veni

Skoro człowiek jest jedyną istotą obdarzoną umysłem geometrycznym i racjonalnym, to dlaczego bezbronni walczą z potężnymi i dobrze uzbrojonymi? Dlaczego garstka przeciwstawia się rzeszy, a mali stawiają opór wielkim? Ja wiem. Przez jedno słowo.

My, inżynierowie z mojego stulecia, nie mieliśmy jednego zajęcia, jeno dwa. Pierwszym, świętym, była budowa fortec; drugim, bluźnierczym, burzenie fortec. A teraz, gdy już macie mnie za jakiegoś nowego Tyberiusza, pozwólcie, że objawię wam tu słowo, tamto Słowo. Albowiem ja, przyjaciele moi, wrogowie moi, owady krążące po ciasnym obwodzie naszego wszechświata, ja – byłem zdrajcą. Za moją to sprawą wzięto szturmem Dom Ojca. To ja poddałem miasto, którego obronę mi powierzono, miasto, które rzuciło wyzwanie potędze dwóch sprzymierzonych imperiów. Moje miasto. A zdrajcą, który je wydał, jestem ja.

To, co właśnie przeczytaliście, jest pierwszą wersją tej stronicy. Pisząc ją, musiałem być przygnębiony albo pijany. Potem chciałem wykreślić cały powyższy ustęp jako nazbyt pompatyczny i babski. Bardziej pasowałby do takiego lachociąga jak Wolter.

Ale, rzecz jasna, austriacka słońca, której dyktuję moje memuary, sprzeciwiła się temu stanowczo. Najwyraźniej jej się spodobało, to takie epickie słowa, takie wzniosłe, ple, ple, ple. *Merda*^[1]. Albo, jak tam u nich mówią: *Scheisse*. Czyż można dyskutować z teutońską kobietą, która w dodatku krzepko dzierży w ręku pióro? Policzki ma czerwieńsze i bardziej wydatne niż jabłko Adama, dupsko krągłe jak pułkowy werbel i nie rozumie po katalońsku.

Matolica, która spisuje moje słowa, jest Austriaczką i nazywa się Waltraud Coś-tam-coś-tam; albowiem w Wiedniu imiona kobiet brzmią, jakby kto kamienie gryzł. Dobrze chociaż, że zna francuski i hiszpański. No cóż, obiecałem, że będę szczery, więc będę. Nieszczęsna Waltraud, poza redagowaniem tej książki, regularnie ceruje dziewiętnaście ran żłobiących moje sterane ciało, wśród których znajdziecie ślady po kulach, śrucie i bagnietach piętnastu różnych nacji; tureckich kindżałach, maoryskich pałkach, strzałach i dzidach Indian Nowej Hiszpanii, Nowego Gdzieśtam oraz Nowego Tam i Siam. Moja kochana, szpetna Waltraud osusza mi tysiąc blizn na twarzy, ropiejących od siedemdziesięciu lat i otwierających się na wiosnę jak kwiaty. A na dobitkę łąta trzy dziury na moim tyłku. Ojoj!, co za ból! Są dni, kiedy nie wiem, przez którą z nich sram. A wszystko to robi za nędzne osiem krajcarów miesięcznie. Cesarska emerytura nie starcza na więcej. Jeszcze tylko na komorne za zimną izbę na strychu. Ale co mi tam. Zawsze wesół, zawsze rad. Oto moja dewiza.

Najtrudniej jest zacząć. Zatem od czego się wszystko zaczęło? A bo ja

wiem? Minął prawie wiek. Zdajecie sobie sprawę, jak przerażające jest to, co właśnie powiedziałem? Tylekroć okrążyłem Słońce, że nieraz nie pamiętam nawet imienia mojej matki. To też jest przerażające. Powiecie, że stary ramol. I tettryk.

Nie będę tu ronić łez nad własnym dzieciństwem. A skoro mam wskazać chwilę, od której wszystko się zaczęło, podam wam dokładną datę: 5 marca 1705 roku.

Na początku była banicja. Wyobraźcie sobie chłopca lat czternastu. W zimny, wczesny poranek podąża drogą wiodącą do zamku Bazoches we francuskiej Burgundii. Za cały bagaż ma przewieszony przez ramię tobołek. Nogi długie, tors wysmukły. Nos ostry. A włosy gładkie, czarniejsze i bardziej lśniące niż skrzydła burgundzkich kruków.

No więc, tym chłopcem byłem ja. Martí Zuviría. Albo „pocziwy Zuvi”. Albo Zuvi Długonogi. W oddali majaczyły już trzy czarne, spiczaste wieże zamku, kryte łupkową dachówką. Wokół pola jęczmienia i powietrze tak wilgotne, że niemal widać było fruujące żaby. Nie minęły nawet cztery dni, odkąd ojcowie karmelici z Lyonu wyrzucili mnie ze swojej szkoły. Za złe sprawowanie, oczywiście. Miałem nadzieję, ostatnią, że przyjmą mnie w Bazoches na ucznia niejakiego markiza de Vauban.

Przed rokiem ojciec wysłał mnie na nauki do Francji, nie ufał bowiem politycznej stabilności Hiszpanii. (Jeśli będziecie śledzić tę opowieść, przekonacie się, że nie błądził). Nie była to elitarna uczelnia, no gdzieżby, raczej szkoła zakonna dla latorośli rodów ani biednych, ani bogatych, dla plebejuszy z aspiracjami, którzy jednak nie mogli nawet marzyć o brataniu się z arystokracją. Ojciec mój należał do tych, których w Barcelonie nazywano oficjalnie *Ciutadans Honrats* – „czcigodnymi obywatelami”. Aby zostać zaliczonym w poczet czcigodnych obywateli, należało posiadać określoną sumę pieniędzy. Ojciec zgromadził jedynie wymagane minimum. Ciągłe nad tym lamentował. Po pijaku rwał sobie włosy z głowy, wykrzykując: „Ze wszystkich *honrats* ja najmniej zasługuję na to miano!”. (Szkopuł w tym, iż *honrat* znaczy również, a nawet przede wszystkim – ucziwy. Niestety, z nadmiaru wrodzonej powagi rodzic mój nigdy nie chwycił własnego żartu).

Szkoła karmelitów cieszyła się przynajmniej pewną renomą. Nie będę was zanudzał listą moich wybryków. Opowiem o ostatnim. Tylko dlatego, że był zarazem ostatecznym.

W wieku lat czternastu był już ze mnie kawał chłopca. Pewnej nocy, w towarzystwie innych starszych żaków, wymknąłem się na włóczęgę po lyońskich karczmach. O powrocie do bursy zapomnieliśmy na śmierć. Po raz pierwszy w życiu spróbowałem wina i zachowywałem się jak pijany dzikus. Świtało już, kiedy ktoś rzucił, że trzeba wracać do *logis*^[2], bo wrócić późno to jedno, a co innego wcale. Zoczyłem jakiś powóz i jednym susem skoczyłem na kozioł.

– Fiakier! Do karmelitów.

Nie wiem, co mi odpowiedział, nie rozumiałem; w głowie szumiało mi wino i młodość, więc zepchnąłem go na ziemię.

– Nie chcesz nas zawieźć? Dobra, pojedziemy sami! – wrzasnąłem, chwytając za lejce. – Wsiadajcie, chłopcy!

Dziesięciu, może dwunastu pijaczków wdrapało się do powozu jak zgraja piratów podczas abordażu, a ja trzasnąłem z bata. Konie stanęły dęba, po czym ruszyły galopem. Bawiłem się świetnie i nie zwracałem uwagi na przerażone okrzyki za plecami:

– Martí! Stój!

Obejrzałem się na kompanów. Nie zdążyli nawet usiąść. Zaprzęg mknął z prędkością aerolitu, a oni spadali, tocząc się na boki niczym kręgle. „Tak się spili, że nie mogą utrzymać się na tyłkach?”, mruknąłem do siebie. Co gorsza, ścigał nas jakiś rozjuszony tłum. „A ci znowu czego ode mnie chcą?”, zdziwiłem się w duchu.

Oba te pytania wkrótce doczekały się jednej i tej samej odpowiedzi. Moi przyjaciele nie mogli wsiąść do powozu, bo był zamknięty. Jak każdy karawan. Przez pomyłkę wziąłem go za fiakier. A gonił nas orszak krewnych nieboszczyka. Sądząc z dobiegających mnie wrzasków, byli nieźle rozwścieczeni. Postanowiłem czmychnąć, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Tak czy inaczej, nie miałem innego wyjścia, bo konie poniosły, a ja nie umiałem nad nimi zapanować. Z całej siły szarpałem lejcami, czym doprowadziłem bestie do jeszcze większego szaleństwa. Wino galopem wywietrzało mi z głowy na widok iskier sypiących się spod kół na zakrętach. Ze straszliwym pędem wpadliśmy na jakiś plac. Przy placu stała słynna nie tylko w Lyonie, ale i w całej Francji manufaktura kryształu. W świetle poranka konie zapewne nie dostrzegły wielkiej oszklonej witryny i uznały, że droga jest wolna.

Była to iście wspaniała szarża. Konie, powóz, trumna, nieboszczyk i ja wbiliśmy się do wnętrza budynku i rozsypaliśmy wszędzie. Szkło, kiedy się tłucze, wydaje szczególnie przenikliwy dźwięk. Dwadzieścia tysięcy pękających naraz szklanic, lamp, butelek, luster, pucharów i dzbanów tym bardziej. Dotąd nie rozumiem, jak udało mi się ująć z życiem i mniej więcej w jednym kawałku.

Stałem na czworakach, kontemplując kryształową hekatombę. U wylotu ulicy kłębił się podniecony tłum. Tylne drzwi furgonu były otwarte. Trumna, również otwarta, leżała na podłodze. Pusta. Gdzież nieboszczyk?, zapytywałem siebie w myślach. Cóż, nie był to najlepszy moment na rozwikłanie owej zagadki. Wciąż czułem się oszołomiony zderzeniem i jedyne, co mi przyszło do głowy, to schować się w trumnie i zatrzasać wieko.

Czerep bolał mnie okropnie. Piliśmy całą noc, łażąc od karczmy do karczmy. W jednej wdaliśmy się w bójkę i nauczyliśmy moresu kilku świętoszków od

dominikanów. Potem szalona jazda i upadek z kozła. Do diaska z tym, rzekłem sobie. Tylko spokojnie, a jakoś to będzie. Wtuliłem policzek w aksamitną wyściółkę i straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo tkwiłem w owej trumnie, ale o mało co nie zostałem w niej na zawsze. Ocucił mnie jakiś wstrząs. Moje łóżce przechyliło się z boku na bok. Upłynęło kilka chwil, nim przypomniałem sobie, gdzie jestem.

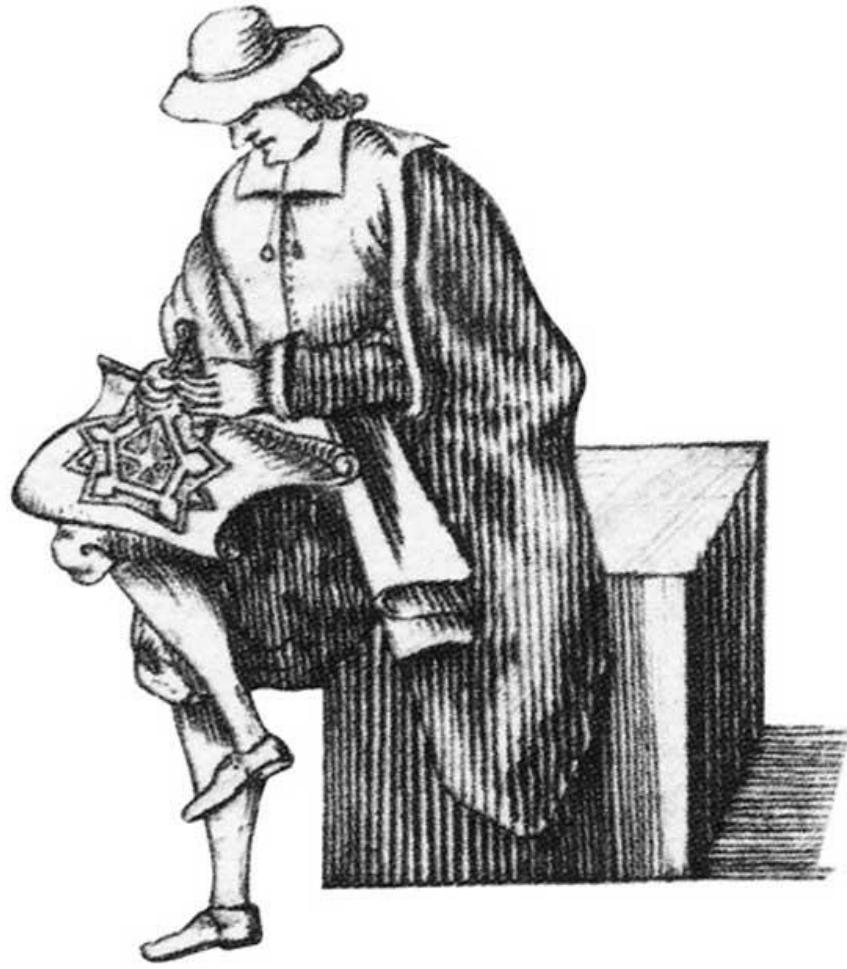
– Ej, ej, otwórzcie! – wrzasnąłem, waląc w wieko. – Otwierać, takie syny, ale już!

Trumna chybotąca się, bo opuszczali ją do grobu. Słyszac mnie, jeśli ją wyciągać (zdawało mi się, że nazbyt leniwie). Kilka par rąk odemknęło wieko, a ja wyskoczyłem jak kot z ukropu. Nieźle ich nastraszyłem!

– Chcieliście mnie pogrześć żywcem! – zawołałem w słusznym gniewie.

Z łatwością domyśliłem się, co zaszło. Kiedy żałobnicy odnaleźli trumnę, wtaszczyli ją z powrotem do karawanu i ruszyli dalej na cmentarz, nie zadawszy sobie trudu, by sprawdzić, kto w niej spoczywa: ich krewniak czy poczciwy Zuvi. O mały włos nie postradałem życia.

Ale nazajutrz musiałem stawić czoło konsekwencjom. Ośmiu z moich szkolnych kolegów leżało w szpitalu z połamanymi kośćmi, wiele dam uczestniczących w pogrzebie jeszcze nie w pełni odzyskało zmysły. Właściciel manufaktury groził, że pozwie zakon do sądu. W dodatku, w trakcie spisywania szkód, natrafił na świętej pamięci nieboszczyka, który zwisał pod samym sufitem z kryształowego żyrandola, gdzie wylądował po zderzeniu. Tym razem miarka się przebrała. Przeor dał mi do wyboru: wracać do domu w niesławie lub udać się do zamku Bazoches. Do domu?! Gdybym pokazał się w Barcelonie, relegowany ze szkoły, ojciec by mnie chyba zabił. Wołałem Bazoches. Z tego, co zrozumiałem, niejaki markiz de Vauban zobowiązał się do sprawowania kurateli nad niesfornymi żakami.



Ale dość już tej dziecinady. Mówiłem, że owego 5 marca 1705 roku, piechotą i z tobołkiem na ramieniu, zbliżałem się do zamku Bazoches.

Była to budowla bardziej pańska niż warowna, bardziej nadobna niż pompatyczna. Z murów sterczały w niebo trzy okrągłe, kryte czarną dachówką wieże, zwieńczone ostrymi iglicami. Tak, zamek w Bazoches był piękny w swojej staroświeckiej prostocie. Stojący na równinie, przyciągał oczy niczym magnes. Tak się zagapiłem, że nawet nie usłyszałem turkotu karocy, która omal mnie nie przejechała.

Droga była wąska, więc ledwo zdążyłem uskoczyć w bok, a błoto, które trysnęło spod rozpędzonych kół, zbrzysgało mnie od stóp do głów, co najwyraźniej wpawiło w dobry humor dwóch urwisów w moim wieku, wyglądających z okien powozu. Ich szyderyczy śmiech cichł stopniowo, w miarę jak oddalali się w kierunku zamku.

To ci pech, istny dopust boży. Chcąc się godnie zaprezentować, przywdziałem najlepsze szatki. Nie miałem więcej trójgraniastych kapeluszy ani drugiego porządnego kubraka, jeno ten, co na sobie. Jak mam się stawić przed prawdziwym markizem upačkany błockiem?

Możecie sobie wyobrazić, w jakim nastroju dotarłem do Bazoches. Wrota były otwarte, bo nieledwie przed dwiema minutami wjechała w nie karoca wioząca tamtych dwóch hultajów. Pojawił się jakiś lokaj i od razu mnie zbeształ:

– Żebraków przyjmujemy w poniedziałki. Wynocha!

Doprawdy, trudno go było winić za te słowa. Nic dziwnego, że wziął mnie za natrętnego proszalnika, który przyszedł nie w porę.

– Będę się tu uczyć na inżyniera. Mam list polecający. Z pieczęcią! – usprawiedliwiałem się, sięgając do tobołka.

Służący nawet nie chciał mnie wysłuchać. Przywykł już chyba do takich wymówek, bo nagle skądeś wyciągnął pałkę.

– Fora ze dwora, łotrzyku!

Wierzysz w anioły, niemiecka bawolico? Ja nie, ale w Bazoches były trzy. Pierwszy ukazał się dokładnie w chwili, gdy pałka miała połamać mi kości. Z wyglądu przypominał służebną, ale w jego władczej postawie było coś, co sprawiło, iż uroiłem sobie, że piastuje jakieś znaczne stanowisko. I niech gadają, że anioły nie mają płci, ale ja zapewniam was, że ten był kobietą. I to jaką!

Niełatwo mi opisać urok owej istoty. Nie jestem poetą, więc powiem krótko, że stanowiła twoje całkowite przeciwieństwo, moja kochana, szpetna Waltraud. Nie wściekaj się. Chodzi mi o to, że ty jesteś bardziej dupiasta niż pszczoła, a ona miała w kibici półtorej piędzi. Ty człapiasz przygarbiona jak mulica; ona stąpała pewnie, jak te wyjątkowe kobiety, które bez względu na szlachetność rodu czują,

że władne są trzymać pod butem imperia. Twoje włosy zawsze wyglądają tak, jakbyś upaprała je w beczce tłuszczu, podczas gdy jej były długie do ramion i puszyste, czerwone jak dojrzały arbuz. Nie widziałem twoich cycków i nie mam ochoty ich oglądać, ale jestem pewien, że zwisają niby dwa bakłażany. Jej piersi mieściły się w czaszy kielicha. Nie twierdzę, że była doskonała. Energiczny, spiczasty podbródek świadczył o samowoli, jaka nie przystoi kobiecie. A skoro już grzeszę, to nie będę sobie żałował: tobie chyba ukradli podbródek, co czyni twe oblicze najdoskonalszym wzorcem kretynizmu.

Co jeszcze? Ach, tak! Maleńkie uszy, brwi w kolorze terakoty, niby muśnięcie najcieńszego pędzla. Jak większość rudzielców, była piegowata. Miała dokładnie sześćset czterdzieści trzy piegi. (Później, kiedy opowiem o akademickiej dyscyplinie w Bazoches, zrozumiecie, dlaczego je policzyłem). Ty obsypana setkami piegów wyglądałabyś jak trędowata wiedźma. Ona przypominała nieziemską istotę. Kiedy się dobrze nad tym zastanowić, dochodzę do wniosku, że pośród tych niewielu herosów naszego stulecia, których nie znam osobiście, jest też twój mąż pantoflarz, który co noc znosić musi taką pokrakę. Czemu beczysz? Powiedziałem coś nie tak? Przecież mówię samą prawdę. Dobrze już, łap za pióro.

Dziewczyna wysłuchiwała mnie z uwagą. Chyba mi uwierzyła, bo poprosiła o list. Umiała czytać, co tylko potwierdziło moje przekonanie, że wśród służby zajmowała wysoką pozycję. Opisałem jej moją niefortunną przygodę. Mogła mi pomóc albo mnie wyrzucić. Pomogła. Poszła gdzieś. Czekałem na nią dłuższą chwilę, która zdawała się wiecznością. Wróciła z naręczem ubiorów.

– Bierz ten kaftan – powiedziała – i leć. Wszyscy już są.

Pobiegłem co tchu w kierunku, który mi wskazała. Zatrzymałem się dopiero w nisko sklepionej, idealnie kwadratowej komnacie. Całe jej umeblowanie stanowiło parę krzesel. Na przeciwległej ścianie spostrzegłem kolejne drzwi, a przed nimi dwóch małych łotrzyków, którzy ochlapali mnie błotem. Stali, najwyraźniej na kogoś czekając.

Jeden był krępy, ze spłaszczonym nosem o widocznych z przodu wielkich dziurkach, jak u świniaka. Drugi – wysoki, chuderlawy, o bocianich nogach. Drogie szaty nie zdołały ukryć jego niezgrabnej sylwetki. Zdawało się, że zamiast pozwolić mu rosnąć stopniowo, rozciągnięto go jednym szarpnięciem kleszczy. W myślach ochrzciłem ich Prosiakiem i Drągalem.

W tym, że powitali mnie zdawkowo i obojętnie, jakby widzieli mnie po raz pierwszy, nie ma nic szczególnie dziwnego. Jeśli chcesz dobrej rady, moja ty orangutanico, posłuchaj uważnie: ludzie patrzą źle, a widzą jeszcze gorzej. Prosiak i Drągal w ogóle mnie nie poznali. Mignąłem im przelotnie za oknami karety, a teraz, w tym wspaniałym kaftanie, wyglądałem zupełnie inaczej. Drągal odezwał się do mnie wyzywająco:

– Kolejny kandydat? Życzę acanowi jak najlepiej, ale wiedz, że już od lat

studiuję podstawy inżynierii. Przyjmują tylko jednego ucznia i to miejsce będzie moje.

Z naciskiem wymówił słowo „moje”.

– Drogi przyjacielu – wtrącił Prosiak – zapominasz, że ja nie mniej strawiłem czasu na owych naukach.

Drągał westchnął.

– Nie mogę uwierzyć, że przez te drzwi wejdzie tu za chwilę Vauban we własnej osobie – powiedział. – Człowiek, który wznosił lub przebudował trzysta fortec. Trzysta!

– Istotnie – przytaknął Prosiak. – Nie zapominaj o ponad stu pięćdziesięciu operacjach wojskowych, mniej lub bardziej znacznych.

– Ba! – dodał Drągał. – Któż dorówna zdobywcy pięćdziesięciu trzech miast? A wszystkie zacieklej były bronione niż Troja.

Na to Prosiak wymamrotał z uznaniem:

– *Suprême, suprême, suprême...*^[3]

„No to nieźle”, rzekłem sobie. Przeor nie mówił, że będę miał konkurencję. A było tylko jedno miejsce. Mieli wybrać mnie zamiast któregoś z tych kujonów?

Po tym, co usłyszałem od nich o markizie de Vauban, spodziewałem się męża zahartowanego w ogniu tysiąca bitew, herkulesowej postawy, pokrytego bliznami. Tymczasem ujrzałem wytwornego arystokratę, niziutkiego i kostycznego. Na głowie miał fryzowaną w loczki perukę z przedziałką pośrodku. Mimo podeszłego wieku, który zdradzały obwisłe policzki, emanował jakąś niecierpliwą energią. Na jego lewym licu widniała fioletowa plama, będąca, jak się potem dowiedziałem, śladem po kuli, która musnęła go podczas oblężenia Ath^[4].



Wszyscy trzej stanęliśmy na baczność, ramię przy ramieniu. Markiz przyglądał nam się bez słowa. Przystanął przed każdym z nas i patrzył przez

zaledwie kilka sekund. A te oczy! Ach, to spojrzenie z Bazoches rozpoznałbym wszędzie. Kiedy Vauban lustrował cię wzrokiem, to jakby mówił: „Nic przede mną nie ukryjesz, znam twoje wady lepiej niż ty sam”. I w pewnym sensie tak było. Ale przedstawiłem tu tylko twardszy rys jego charakteru.



Sébastien le Prestre Marquis de Vauban

Vauban miał też w sobie coś ojcowskiego. Chociaż surowość stanowiła najbardziej widoczną jego cechę, każdy łatwo dostrzegł, że służyła zbożnym i mądrym celom. Należał do tych ludzi, w których prawość nikt nie mógłby wątpić.

Wreszcie raczył przemówić. Zaczął od spraw przyjemnych: królewscy inżynierowie są elitą elit, grupką wybrańców, tak nieliczną, że wszyscy władcy Europy i Azji chętnie płacą krocie, byle tylko któregoś zatrudnić. To już spodobało mi się trochę bardziej. Francuskie dublony, angielskie funty, portugalskie cruzado. Zarabiałbym pieniądze i zobaczyłbym świat!

Potem Vauban nagle zmienił ton. Spoważniał jeszcze i oznajmił:

– Musicie wiedzieć, panowie, że podczas jednego tylko oblężenia inżynier ryzykuje swoje życie częściej niż oficer piechoty przez całą wojenną kampanię. Nadal jesteście zainteresowani?

Tamta para głupków przytaknęła skwapliwie z patetycznym „*Oui, monseigneur!*”. A ja nie wiedziałem, gdzie oczy podziać. Wojsko? Strzelanina? Armatnie kule?

Ale o czym on, u diabła, mówi? Myślałem, że inżynier to ktoś, kto buduje mosty i kanały. Chociaż Prosiak i Drągal wspomnieli coś o oblężeniach i bitwach, to przecież ci na górze chyba potrafią się ustawić, zwłaszcza tacy, którzy zadekowani na tyłach kreślą plany, z dziewczką na każdym kolanie.

Przecież ja tylko chciałem wrócić z jakimś tytułem, a niechby i projektanta rowów melioracyjnych, czegokolwiek, bylebym miał się czym pochwalić przed ojcem. A ten zbzikowany dziad gada jak najęty i co powie, to głupsze.

Bo potem było tylko gorzej. Znacznie gorzej. Zanim ochłonąłem, już prawili o jakimś „*Mystère*”^[5].

Od blisko stu lat usiłuję zgłębić rozumem nieuchwytną istotę „*le Mystère*” (tak właśnie to zapisz), i wciąż czuję się tylko uczniem. Sami zatem powiedzcie, co mógł sobie pomyśleć czternastoletni dzieciak, kiedy usłyszał to po raz pierwszy w komnacie na zamku Bazoches.

O owym *Mystère* wspominał Vauban co drugie słowo, a czynił to z takim namaszczeniem, że w końcu uznałem, iż chodzi o jakiś tajemny kryptogram oznaczający imię Boga. Ale co ja mówię? Boga? Sądząc z tonu przemowy, Bóg był jedynie przygłupim pasierbem onego *Mystère*'a.

I wówczas straciłem wszelką nadzieję na naukę w Bazoches. Jako rzekłem, nie miałem najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim szło, za to Prosiak i Drągal wyglądali na zachwyconych. Wiedzieli, w jakim celu się tam znaleźli, uprzednie studia i wysoka pozycja społeczna zapewniły im solidne przygotowanie, a całe swoje życie poświęcić chcieli osobliwej sprawie przywołanej przez markiza.

Vauban zamilkł nagle i wyszedł. Było to zejście ze sceny tak niespodziewane, że aż nas zamurowało. Prosiak i Drągal patrzyli na siebie zdezorientowani. Minutę później na miejscu Vaubana pojawiła się inna osoba. Ona.

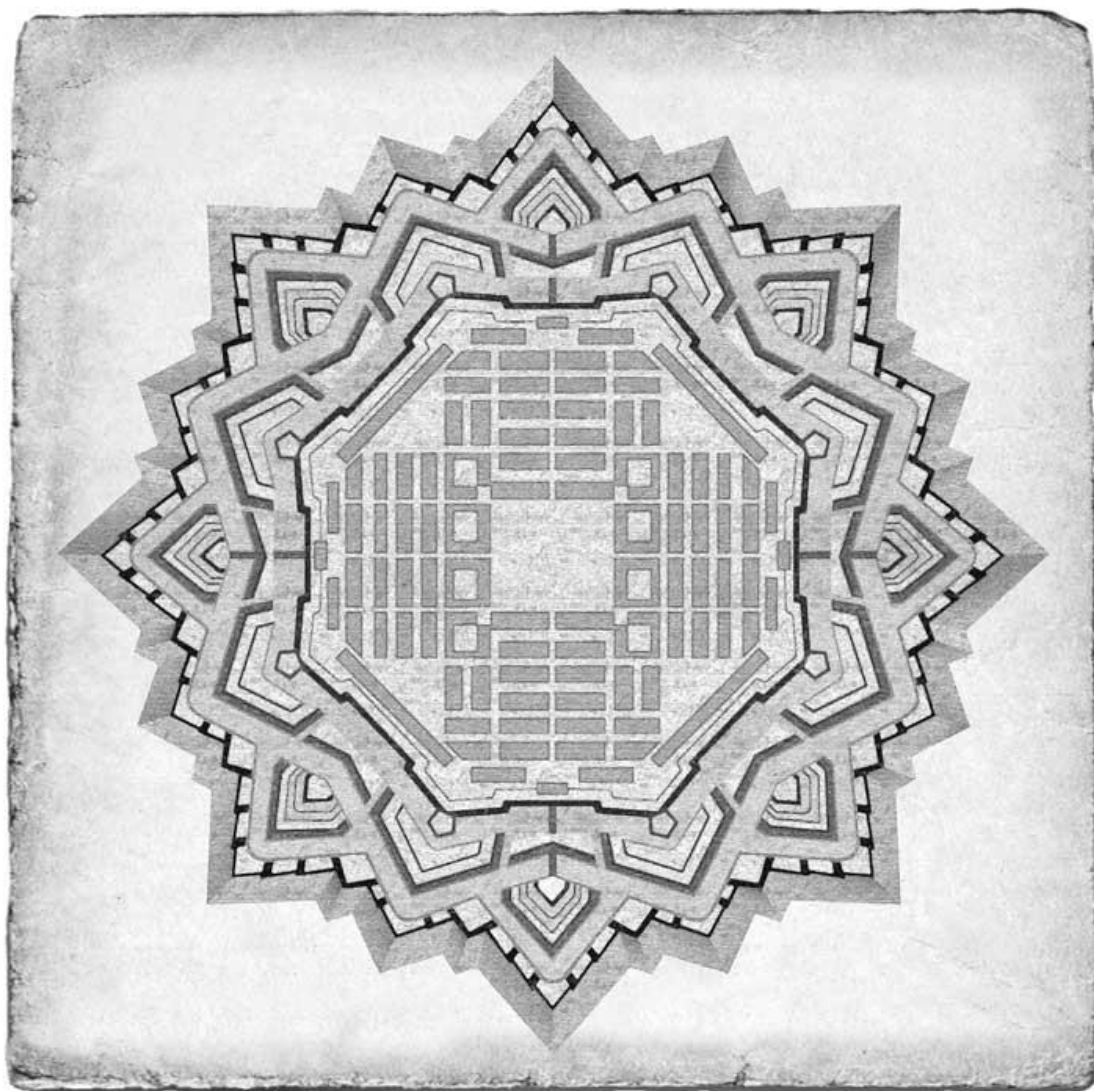
Rudowłosa piękność z zamkowego dziedzińca. Przedstawiła się jako córka markiza.

Przedtem nawet mi to nie zaświtało w głowie. Co za głupiec ze mnie, przecież żadna służka nie poruszałaby się z taką godnością. Teraz ubrana była o wiele wytworniej, w długą suknię skrywającą stopy. Nawet najmniejszym gestem nie okazała, że mnie poznaje. Była bardziej poważna niż nieboszczyk i niemal budziła lęk. Stała przed nami i powiedziała:

– Ojciec mój życzy sobie, bym poddała was pewnej próbie, która pozwoli ocenić wasze zdolności. Prosił o to mnie, ponieważ uważa, że jego obecność może onieśmielać młodych adeptów. – Z trzymanyh w ręku okładek wyjęła kartę papieru. – Zadam tylko jedno pytanie. Każdemu z was pokażę rysunek, a wy macie opisać, co widzicie. Oczekuję zwięzłych odpowiedzi.

Zaczęła ode mnie. Podsunęła mi przed oczy jakąś rycinę.

Kopię przechowuję do dziś. (Wklej ją tutaj. Na tej stronie, nie na tamtej. Rozumiesz, tłumoku, co do ciebie mówię? Tu!).



Gdyby mi pokazała poemat po aramejsku, zrozumiałbym więcej.
Wzruszyłem ramionami i powiedziałem pierwsze, co mi przyszło na myśl:

– Gwiazda. Gwiazda podobna do kwiatu, z kolcami zamiast płatków.

Prosiak i Drągal, którzy zdążyli już zerknąć przelotnie na rysunek, krztusili się ze śmiechu. Ona nie. Niewzruszona, zrobiła dwa kroki i podała kartę Prosiakowi, który odparł:

– Forteca z ośmioma beluardami i ośmioma rawelinami.

Kiedy przyszła jego kolej, Drągal powiedział tylko:

– Neuf-Brisach.

– Rzeczywiście! – wykrzyknął Prosiak. – Jak mogłem nie poznać? Koronne dzieło Vaubana.

Drągał, pewien zwycięstwa, nie potrafił ukryć, że czuje się wybrańcem bogów. Zaczął nawet pocieszać Prosiaka z ową tanią serdecznością tryumfatorów. A więc rycina przedstawiała twierdzę Neuf-Brisach... Konia z rzędem temu, kto wie, gdzie to, u diabła, jest.

Córka Vaubana poprosiła, żebyśmy zaczekali, aż przekaże nasze odpowiedzi ojcu. Gdy zostaliśmy sami, powiedziałem:

– Gdy spotkamy się następnym razem, radzę wam, bądźcie grzeczniejsi.

Spojrzeni na mnie, zdziwieni, że czuję się urażony.

– Ejże, to ty jesteś tym żebrakiem – przypomniał sobie w końcu Drągał, bystrzejszy z nich dwóch. – Można wiedzieć, co tu robisz?

Chciałem im tylko trochę dopiec na odchodnym, za to błoto i dlatego, że nie znoszę takich nadętych paniczyków. Ale moje obelgi były tak wyszukane, że twarze obu chłopców pociemniały z gniewu. A potem ku mnie skoczyli!

Ich było dwóch, ale co mi tam, kopnąłem jednego z drugim w goleń i przywaliłem pięczę w ślepią. Prosiak chwycił mnie od tyłu za szyję i potoczyliśmy się po posadzce. Ugryzłem go w rękę, a jednocześnie broniłem się wierzganiem przed Drągalem, który zamachnął się krzesłem, chcąc rozbić mi głowę. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie nadszedł Vauban z córką.

– Panowie! – krzyknęła zgorziona. – To nie karczma, to zamek Bazoches!

Zerwaliśmy się z podłogi i stanęliśmy szeregiem, w pomiętym odzieniu, Drągał z podbitym okiem, Prosiak podtrzymujący pokąsaną przeze mnie rękę. Surowość malująca się w oczach markiza była wprost nieopisana. Zapadła taka cisza, że dało się słyszeć korniki podgryzające krzesła, i nie jest to figura retoryczna.

– Przynieśliście do mego domu gwałt. Wynocha – zawyrokował markiz.

Nic więcej nie było do powiedzenia. Córka zwróciła się do tamtych dwóch:

– Acan i acan, proszę za mną. – Odprowadzając ich do wyjścia, obejrzała się nieznacznie na mnie: – A waszeć zaczekaj tutaj.

Zostałem sam z markizem, który wciąż mierzył mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem. Słyszeliśmy dobiegające zza drzwi protesty Prosiaka i Drągala. Potem wszystko ucichło i ona wróciła, by dołączyć do nas.

Myślałem, że córka Vaubana wyrzuci także mnie, ubezpieczając nasz odwrót, bo skorośmy się pobili, pogryźli i podrapali, należało nas wypuszczać osobno, żeby uniknąć powtórki owego widowiska. Wszelako to, co powiedział markiz, chociaż tonem nadal nieustępliwym, nie zabrzmiało jak pożegnanie:

– Nasza pierwsza rozmowa ma miejsce po akcie gwałtu, którego dopuściłeś się acan w moim domu. Uważasz, że to dobrze wróży?

Rozsądniej było milczeć. Przeszedł się kilka kroków, odwrócił do mnie, przystanął i puknął mnie w pierś dwoma palcami.

– Zadam jedno pytanie i oczekuję szczerzej odpowiedzi. Jeżeli skłamiesz,

będę wiedział. O co właściwie poszło u karmelitów?

– No więc, to trudno wytłumaczyć – zacząłem. – U karmelitów jest bardzo surowa dyscyplina.

Zdałem sobie sprawę, że Vauban należał do ludzi, którzy nie gustują w zawilościach i prolegomenach. Nie miałem pojęcia, co zawierał list przeora, więc ograniczyłem się do lekkiego ucukrowania faktów, nie naginając ich zbyt.

– Któregoś dnia wsiadłem do fiakra, żeby wrócić do bursy. W pośpiechu nie zauważyłem, że to karawan. Karmelici byli z tego bardzo niezadowoleni.

– Karawan?

– Krewnym nie spodobało się, że pojechaliśmy inną drogą – bąknąłem, starannie omijając najmniej przyjemne aspekty owej jazdy.

Zza pleców dobiegło mnie ciche parsknięcie, przechodzące stopniowo w głośny śmiech siedzącej za mną panny. Jednak zupełnie się nie spodziewałem, że markiz przyłączy się do owej erupcji wesołości. Jego kamienna twarz wykrzywiła się nagle i Vauban zachichotał. Ojciec i córka patrzyli na siebie roześmiani.

– Teraz rozumiem, dlaczego przeor przysłał acana do mnie – powiedział i wyjaśnił: – Uczyłem się tam i za młodu popełniłem identyczny błąd. Że też jeszcze pamiętają! – rozbawiony, odwrócił się do córki. – Nie opowiadałem ci o tym, moja droga Jeanne? Usiadłem obok woźnicy i zawołałem: „Do karmelitów!”.

Śmiała się coraz głośniej i głośniej, a markiz mówił dalej:

– A woźnica odparł: „Młodzieńcze, niech ci nie będzie tak spieszno tam, dokąd podąża ten wehikuł”. Wtedy spostrzegłem, że jedzie na cmentarz. Ależ musiałem mieć minę!

Oboje pękali ze śmiechu. Vauban ocierał sobie łzy chustką wielką jak pół prześcieradła. Kiedy przemówił znowu, w jego słowach wciąż jeszcze czaił się śmiech.

– Przebóg... I przez taki mały grzeszek pogniwiali się na ciebie? – chichot, cha, cha, cha. – Kiedy ktoś wpadnie w takie tarapaty, wysiada z karawanu ze wstydem i już – chichot, che, che, che. – Doprawdy... prawdy... – buchachacha markiza i hi, hi, hi Jeanne – doprawdy poczucie humoru... – hi, hi, hi! – ...nigdy nie należało do karmelitańskich cnót – buchachacha!

Prywatnie zdawał się całkiem innym człowiekiem. Nie wiedziałem jednak wtedy, że pojęcie „prywatnie” oznaczało dla Vaubana towarzystwo Jeanne, młodszej z jego dwóch córek, w której pokładał bezgraniczne zaufanie. Spojrzał na mnie; jego twarz ponownie przybrała kamienny wyraz.

– Masz jeszcze acan czas, żeby zawrócić – powiedział. – Bo jeśli zdecydujesz się pozostać w Bazoches, w twoim życiu nastąpi radykalna zmiana.

No, no, no! Kiedy Jeanne przekazała ojczulkowi nasze odpowiedzi, okazało się, że najlepiej odgadł poczciwy Zuvi, a nie Drągal. Coś musiała dostrzec

w Martím Zuvirri.

– W swoim liście karmelitanie wymieniają też kilka drobnych skaz na twoim charakterze. Pycha, bezczelność, bluźnierstwo. Wiesz, acan, co o tym myślę? Sądzę, że przeor pozbył się kłopotliwego żaka.

Upłynął już niemal wiek, a ja wciąż widzę Jeanne Vauban siedzącą przede mną, z przechyloną główką. Palcami zgarniała do ust kosmyki rudych włosów i patrzyła na mnie oczyma, które mogły obiecywać wszystko i nic. Gdybyśmy wtedy byli sami, chyba bym się na nią rzucił.

Vauban ponownie puknął mnie w pierś.

– Uważasz, że jesteś tutaj, żeby stać się zwyczajnym „inżynierem”? Mylisz się. W Bazoches bije źródło sekretów przeznaczonych dla nielicznych. Wiedz, acan, jedno: kiedy skończymy, nie będziesz już zwykłym człowiekiem. To pewne: zastukasz do drzwi chwały żelaznymi palcami. Ale nie oczekuj nagród. Żeby zrobić z ciebie inżyniera, w Bazoches wyciśniemy z ciebie duszę i wepchniemy ci ją z powrotem do środka. Będziesz się czuł, jakbyś tysiąc razy łykał własne wymiociny. Dopiero wówczas będziesz godzien Mystère. – Przerwał, by napęlić swoje stare płuca powietrzem, i zapytał: – Gotów jesteś na podobne przedsięwzięcie?

Jakaś część mnie wołałaby umknąć stamtąd czym prędzej. Wyjść, gwizdząc na wszystko, i zatrzymać się dopiero za Pirenejami. Wystawić do wiatru Zbikowanego Markiza i jego Mystère'a, niech się duszą we własnym sosie i nie mieszają mnie do tych swoich bredni.

Z drugiej strony, myślałem także: czemu nie? Chociaż nie tak to sobie wyobrażałem, nie miałem wielkiego wyboru. Podczas owych rozterek powiodłem wzrokiem nieco w bok, zerkając na córkę znakomitego Vaubana. Nie ma co, kawał rudzielca.

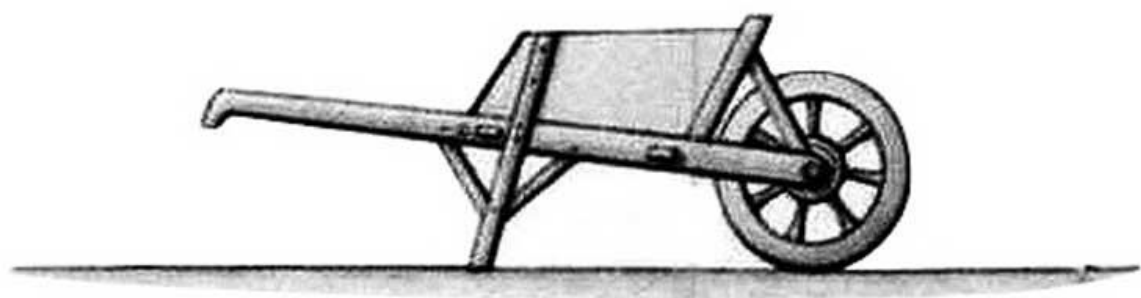
Wyprężyłem się na baczność i odrzekłem:

– Jestem gotów i chętny, *monseigneur!*

Kiwnął nieznacznie głową. Lecz placet ów zawierał coś niepokojącego, albowiem markiz odwrócił się do córki i powiedział:

– Nie rozumie, co go czeka.

W gruncie rzeczy najważniejszych decyzji w życiu nie podejmujemy sami, ale są nam podsuwane. Przez niewidzialną aurę Mystère? Możliwe. Przez dziewczynę? To też możliwe.



Dlaczego wielki Vauban adoptował mnie akademicko? Nawet dziś nie znajduję trafnej odpowiedzi.

Jego jedyny syn zmarł dwa miesiące po urodzeniu, tak więc markiz musiał zadowolić się dwiema córkami. Chciał w jakiś sposób zaznać nigdy nie sprawowanego ojcostwa? Nie sądźcie, że byłem aż tak ważny. A, jak odkryłem później, człowiekowi jego przekonań pleć potomstwa była najzupełniej obojętna. Miał sporą gromadkę bękartów z dwiema czy trzema chłopkami z okolicy. Była to rzecz powszechnie wiadoma, wcale się z tym nie krył i każdemu zapisał w testamencie sporą sumkę, chociaż za życia w ogóle się nimi nie interesował.

W marcu 1705 roku brakowało dokładnie dwóch lat do jego śmierci. Wiedział, że koniec już bliski. Przedemną wykształcił zaledwie kilku uprzywilejowanych, ja miałem być jego ostatnim uczniem. Mogę jedynie powiedzieć, że czasami – z rzadka – sprawiał, że czułem się niczym papier, na którym rozbitek spisuje swój ostatni list, by włożyć go do butelki.

Naturalnie, nie widywałem go codziennie, a gdzieżby. Wiecznie bywał to tu, to tam, w Paryżu czy w jakimś innym odległym miejscu. Powiedzmy, że śledził moje postępy tak samo jak budowę zaprojektowanych przez siebie fortyfikacji: jako generalny nadzorca.

Przydzielono mi izdebkę na szczycie wieży, dokąd wchodziło się po kręconych schodach. Była maleńka, ale jasna, czysta i pachniała lawendą. Nazajutrz zjadłem śniadanie w kącie kuchni, większej niż cały mój dom w Barcelonie. Siedziałem przy stole sam, bo służba miała inne zajęcia. Potem czekałem, aż spotkam się z Jeanne, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Zamiast niej zjawił się czcigodny staruszek o uśmiechniętej twarzy i szklanych kościach.

– A więc to acan jesteś tym nowym uczniem?

Przedstawił się jako Armand Ducroix.

– Już się oswoiłeś z Bazoches? – zapytał i sam sobie odpowiedział: – Nie, oczywiście, że nie, ależ ze mnie głupiec, przecież jesteś tu dopiero od wczoraj. Wszystko przed tobą.

Jeszcze nie wiedziałem, że ów sposób mówienia był dla Armanda typowy. Myślał głośno, jakby uważał za najnormalniejsze na świecie, iż jego myśli płyną swobodnie, niezastłonięte tarczą milczenia lub konwenansów.

– Świetny chłopak – ciągnął – temperament i postura charta. Tak, możliwe, że zajdzie daleko, kto wie? Ale nie róbmy sobie złudzeń. Wszystko w rękach Mystère'a. Chociaż ten spiczasty nos zdradza bystrość umysłu, a ramiona udźwigną spory ciężar. Od dzisiaj popracujemy i nad mięśniami, i nad umysłem.

Poszliśmy do biblioteki. Na widok pnących się w górę półek ciasno upchanych oprawnymi grzbietami stanąłem jak wryty.

– Och! – wykrzyknąłem. – Ale tu jest co najmniej pięćdziesiąt ksiąg! Czy istnieje ktoś, kto przeczytał aż tyle?

Armand wybuchnął śmiechem, sadowiając się na krześle.

– Drogi aspirancie – powiedział – przeczytasz ich o wiele więcej na długo przedtem, zanim zostaniesz maganonem.

– Maganonem?

– Tak starożytni Grecy nazywali inżynierów wojskowych: maganon.

Kiedy Armand pochylił głowę, zabierając się do pisania, jego czaszka, naga i wspaniała, ukazała mi się w całej okazałości.

Głowę miał dziwnie kulistą. U większości łysych czaszkę plamiał znamiona, znaczą niebieskie lub czerwone żyły, bruzdzą zmarszczki jak na jądrze orzecha. Ale nie u Armanda. Jego skóra, o zdrowej różowej barwie, napięta była jak na bębnie. Resztki ocalałych włosów tworzyły białą aureolę, która okalała głowę niczym laurowy wieniec i łączyła się ze spiczastą kozią bródką. Wszystko w nim było drobne, stężone i zwarte. Pod pozorną kruchością kości tała się wiewiórcza żwawość. Chudość ciała nie świadczyła o starczym wycieńczeniu, lecz o niesłychanej żywotności. Nigdy nie widziałem, by miał zły humor, i zawsze znajdował powód do śmiechu, przy czym owa jowialność nie zdołała przyćmić wilczego spojrzenia szarych oczu, które nieustannie cię obserwowały. Nawet jeśli był odwrócony tyłem.

Siedział, pisząc jakąś notatkę. Kiedy skończył, poprosił, żebym podszedł.

– To będzie program twoich studiów – oznajmił. – Przeczytaj na głos.

Nie przechowuję tej notatki, bo i po co. Znam ją na pamięć.

Godz. 6.30–7: Mycie. Modlitwa w kaplicy. Śniadanie.

Godz. 7–8: Rysunek.

Godz. 8–9: Matematyka. Geometria. Sok z cytryny.

Godz. 9–10: Sala sferyczna.

Godz. 10–12: Castrometria^[6]. Topografia.

Godz. 12–12.30: Obiad. Sok z cytryny.

Godz. 12.30–14: Pole.

Godz. 14–15: Słuchać i rozkazywać. Taktyka i strategia.

Godz. 15–16: Historia. Fizyka.

Godz. 16–17: Miernictwo. Balistyka. Sok z cytryny.

Godz. 17–19: Mineralogia. Pole.

Godz. 19: Kolacja.

Godz. 19.30–21: Architektura.

Godz. 21–23: Pole. Modlitwa w kaplicy.

Tak wyglądał plan studiów, choć w rzeczywistości modlitwy w kaplicy nigdy ode mnie nie wymagano i moja noga tam nie powstała.

– Niedziele będziesz miał acan wolne. I jak, zgadzasz się na to? – zapytał

z tym swoim wiecznym uśmiechem.

Co niby miałem powiedzieć? Że nie?

– No to świetnie – ucieszył się. – Zaczniemy. Idź, proszę, do sąsiedniej sali i przynieś mi *La nouvelle fortification* Nicolausa Goldmanna. I *De Secretis Secretorum* Waltera de Milmete.

Biblioteka rozciągała się na przyległą komnatę. Nie mogłem uwierzyć, że istnieje ktoś na tyle ekscentryczny, by zgromadzić podobne ilości drukowanego papieru. Wszedłem przez pozbawiony drzwi otwór w ścianie. I kogo ujrzałem? Armanda! Stojąc na szczycie drabiny, porządkował książki, z tą swoją wspaniałą łysiną i kocią bródką. W tych samych czarnych spodniach, tej samej białej koszuli. Popatrzył na mnie. Te same szare wilcze oczy, ten sam uśmiezek, uprzejmy i chytry zarazem.

– Mogę ci w czymś pomóc, młodzieńcze?

– Przecież pan wie – powiedziałem, osłupiały. – Szukam *De Secretis Secretorum* Waltera de Milmete i *La nouvelle fortification* Nicolausa Goldmanna.

Zszedł z drabiny i położył mi na rękach dwa tomy.

– Jak pan to zrobił? – zapytałem.

– Zajrzałem do spisu. W tej bibliotece panuje zasada zwana „porządkiem”.

Nic z tego nie rozumiałem. Dźwigając książki, cofnąłem się cztery kroki i wszedłem do większej sali. A tam za biurkiem siedział Armand!

Tajemnica wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy bibliotekarz przyszedł do nas. Byli to bracia bliźniacy, podobni do siebie jak dwa kraby. Nawet zmarszczki mieli w tym samym miejscu. Wybuchnęli śmiechem. Później odkryłem, że ich ulubioną rozrywką było nabieranie zamkowej służby. Wszystkich doprowadzali do szału różnymi dowcipami, na jakie pozwalała ich osobliwa fuzja korporalna.

– Przecież wy jesteście jednakowi! – wykrzyknąłem wzburzony.

– Zapewniam, że już niebawem nauczysz się nas odróżniać.

W owej chwili wydawało mi się, że różnili się jedynie imionami: jeden nazywał się Armand, a drugi Zenon. Albo odwrotnie, bo rozpoznanie któregośkolwiek z nich przerastało moje możliwości. Pierwszy usadził mnie za stołem. Podsunął mi przed oczy Goldmanna i Milmete’a i polecił, tym razem bardzo poważnie:

– Czytaj. Zawołaj mnie, jeśli coś zrozumiesz.

Dziwaczna komenda. Zostawili mnie nad tymi książkami na dłuższy czas, nie przerywając mi lektury. Poświęciłem się jej z najlepszą wolą. Zacząłem od tego jakiegoś Milmete’a, bo tytuł brzmiał obiecująco. Po takiej ilości sekretów spodziewałem się smoków, wody żywej, drapieźnych roślin połykających woły, takich rzeczy. A gdzie tam, nudy na pudy. Moją uwagę przykuły tylko ryciny przedstawiające coś w rodzaju rzymskiej amfory na czterech nóżkach, która rzygała ogniem. Co do Goldmanna, również najciekawsze były obrazki. Wyglądały

jak bazgroły namazane przez kogoś, kto, nie mając nic lepszego do roboty, zapełniał stronicę za stronicą geometrycznymi majakami wariata. Wreszcie zapytali mnie:

– *Et alors*^[7]?

Podniosłem wzrok. Lepiej było być szczerym.

– Nie rozumiem nic a nic.

– Świetnie. To była lekcja na dziś – powiedział Armand. – Teraz już acan wiesz, że nic nie wiesz.

Nazajutrz bracia Ducroix byli dla mnie równie bezlitośni. Ograniczyli się do oceny mojej wiedzy, aby się przekonać, gdzie powinni zacząć. Ja zaś myślałem o Jeanne i spojrzenie miałem trochę nieprzytomne.

– Coś cię martwi? – zapytał Zenon.

– Nie, nic – odparłem, ocknąwszy się z rozmarzenia. – Tylko że dopiero co tu przybyłem i zastanawiam się, jaką właściwie pozycję zajmuję w Bazoches.

– Jak to? – zdziwił się Armand. – Jeszcze nie przedstawiono acana mieszkańcom zamku?

Osobiście zaprezentowali mnie całej służbie. Przyznać trzeba, że zarówno Zenon, jak i Armand byli uosobieniem kurtuazji. W niczym nie dawali odczuć dystansu, jaki dzieli szlachtę od pospólstwa. Plebejusze, rzecz oczywista, dobrze znali swoje miejsce, lecz bliźniacy zachowywali się z serdecznością, która zacierała wszelkie różnice.

Miałem przy sobie prawą i lewą rękę Vaubana. Byli z nim od dziesiątków lat, znali wszystkie tajniki jego inżynierii i wyznawali tę samą filozofię. Współpracowali z nim przy wstępnych projektach fortyfikacji, byli niczym zawiasy łączące marszałka de Vauban i sprawy przyziemne. Doprawdy, miałem wielkie szczęście, przychodząc do Bazoches w jesieni życia wielkiego Vaubana. W innych czasach bracia Ducroix byłiby zbyt zajęci, by tak hojnie obdarzyć mnie swoją uwagą.

– A teraz, do córki markiza.

Gdy usłyszałem te słowa, musiałem poprawić spodnie, żeby nie dostrzegli mojej stojącej kuśki. Jednak, ku memu wielkiemu rozczarowaniu, zawiedli mnie przed osóbkę zgoła inną: ujrzałem Charlotte, starszą siostrę Jeanne. Twarzyczka jak brzoskwinka, pucołowate rumiane policzki, usteczka mniejsze niż dupcia żółwia i nos nie w tym miejscu, co trzeba, jak stercząca pod brwiami ekierka. Śmiała się papuzim klo, klo, klo, trzęsąc podbródkiem, który przypominał miech kobzy. A na śmiechu spędzała pół życia.

Jeżeli jednak myślicie, że opisuję ją w ten sposób, bo pocciwy Zuvi jest największym dupkiem, jakiego wydało to stulecie, mylicie się bardzo. W rzeczywistości jej widok wielce mnie zasmucił. Czemu natura musi być aż tak

niesprawiedliwa? Przecież to siostry, a wszystkie zalety przypadły Jeanne. Jeanne była piękna, bystra, uszczypliwa, podczas gdy prostoduszna, naiwna Charlotte nie miała w sobie cienia złośliwości. I ten śmiech, ten głupkowaty śmiech...

– Jeanne chyba już znasz – powiedział Armand. – W tej chwili jest w miasteczku, zajęta pracą dobroczynną.

No cóż.

– Jej mąż rzadko pojawia się w Bazoches – dodał Zenon. – Kiedy go acan poznasz, bądź łaskaw zachowywać się jak najuprzejmiej i najdelikatniej. Ma szczególną osobowość.

– Zenon chce przez to powiedzieć – wyjaśnił Armand – że ma nierówno pod sufitem.

Dzień dobiegł końca, więc udałem się do mojej pachnącej lawendą izdebki. Myślicie, że poszedłem spać? Jasne, że nie.

Kiedy bracia Ducroix oprowadzali mnie po zamku, dowiedziałem się, gdzie jest komnata Jeanne. Postanowiłem do niej pójść, musiałem tylko poczekać, aż wszyscy się położą. Zresztą i tak nie mógłbym zasnąć. Odsiedziałem jakiś czas, po czym wysliznąłem się z izby, bosy, z lichtarzem w ręku. Cichutko zastukałem w drzwi.

Nic się nie działo. Wahałem się, czy odejść, czy zapukać znowu, kiedy Jeanne wreszcie otworzyła.

Być może stało się tak dlatego, że byłem jeszcze prawie dzieckiem, ale faktem jest, iż nigdy dotąd nie doświadczyłem tak bolesnego wrażenia. Piszę „bolesnego”, ponieważ miłość sprawia czasem fizyczny ból. Płuca mi skłęły; umysł, zwykle bystry, zmącił się nagle. Płomyki świec drżały mniej niż ja.

Za pierwszym razem widziałem ją w stroju wieśniaczki, za drugim w królewskich szatach, a teraz – w nocnym giele i z rozpuszczonymi rudymi włosami. Byliśmy sami w ciemności. Słaby blask dwóch świec, jej i mojej, sprawił, że cienkie płótno koszuli z lekka prześwitywało. Przygotowałem sobie kilka zdań, ale stałem z otwartymi ustami.

– I cóż? – powiedziała.

– Chciałem ci podziękować – zareagowałem w końcu. – Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

– Uważasz, że przystoi dobijać się po nocy do alkowy damy?

– Dlaczego mnie wybrałaś? Z nas trzech byłem najgorzej przygotowany. Każdy by to zauważył.

– Lubię wygodne szaty, kiedy nie mamy gości. Tamci dwaj przeszli obok mnie i wzięli mnie za służkę. Nawet mnie nie dostrzegli; niczego nie dostrzegli. – W jej twarzy coś się zmieniło. – Ty poprosiłeś o pomoc. – Zamilkła, jakby pożałowała własnej szczerości. Rozejrzała się po korytarzu, czy ktoś nie idzie. – Ile masz lat?

Brakowało mi paru miesięcy do ukończenia piętnastu.

– Osiemnaście.

– Taki młody? – zdziwiła się.

Od dziecka zawsze wyglądałem na starszego o dziesięć lat, a kiedy stałem się dojrzałym mężczyzną, na młodszego o dwadzieścia. Sądzę, że Mystère przyspieszył moje dorastanie, bo planował, że umrę młodo, w 1714. Potem nastąpiły nieprzewidziane zmiany w gwiazdach i na kilka dziesięcioleci zapomniał liczyć mi lata, dlatego jeszcze żyję.

– Inżynieria mało mnie obchodzi. Odkąd cię zobaczyłem, myślę tylko o tobie – powiedziałem.

Zaśmiała się, udając zdziwienie.

– Gdybyś wiedział, co cię czeka, zmieniłbyś hierarchię swoich zmartwień.

Nie rozumiałem, o czym mówi.

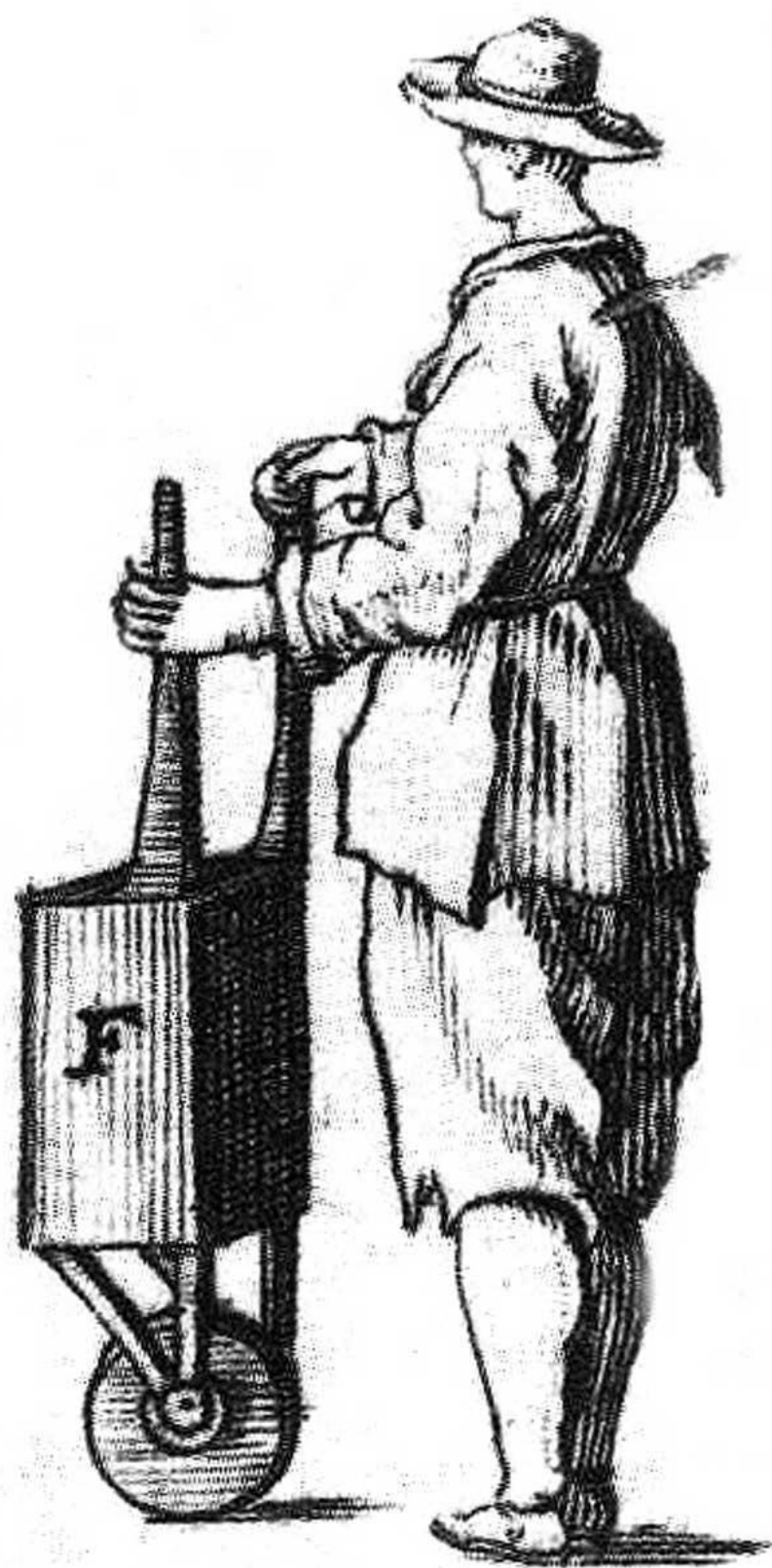
– Ostatni aspirant wytrzymał trzy tygodnie – wyjaśniła. – Niezły był; poprzedni wrócił do domu po pięciu dniach.

– Kiedy wszedłem przez zamkową bramę, nie byłem pewien, czego tu szukam. Teraz już wiem.

Nie chwyciła przynęty. Moje uczucia były szczere, ale odegrałem przed nią przedstawienie rodem z ulicznej komedii.

– Idź spać – powiedziała. – Uwierz mi, powinieneś porządnie wypocząć przed jutrzejszym dniem.

I zamknęła mi drzwi przed nosem.



Bardzo szybko zrozumiałem, że Jeanne miała świętą rację.

Zaczęliśmy od rysunku, bo według braci Ducroix tusz i linia rozbudzały zmysły. Następnie fizyka i geometria. W Bazoches odkryłem przywilej posiadania tutora poświęconego bez reszty swemu uczniowi. A ja miałem dwóch! Nie jestem pedagogiem, nie umiałbym ocenić ich metod, mogę tylko powiedzieć, że stworzyli jedyną w swoim rodzaju kombinację pobłażliwości, dyscypliny i gimnastyki umysłu.

Potem nastąpiła przerwa na sok z cytryny.

– Pij.

To był rozkaz. Dopóki nie przywykłem, musieli mnie pilnować, żebym nie opróżnił szklanki do jakiejś donicy. Albowiem ów „sok z cytryny” był nim jedynie z nazwy. Vauban, wszechstronny erudyta, wynalazł miksturę złożoną z korzennych ekstraktów, wosku pszczelego, rozmaitych syropów i sam nie wiem czego jeszcze, obleśnie śliską i mdłą. W jego mniemaniu pobudzała mózg i wzmacniała mięśnie. Cóż, umrzeć od tego nie umarłem.

Być może najdziwniejszą z dyscyplin w Bazoches było coś, co określano mianem „sali sferycznej”. Nazwa ta przystawała do rzeczywistości bardziej niż ów „sok z cytryny”, ponieważ istotnie chodziło o komnatę bez kątów, jajowatą w kształcie, gigantyczną kulę o ścianach pociągniętych wapnem w odcieniu najczystszej matowej bieli. Nawet podłoga była wklęsła, tak że gdy zamykały się drzwi, człowiek zostawał uwięziony wewnątrz nieskalanej sfery. Pomieszczenie to znajdowało się na najwyższej kondygnacji zamku. Pośrodku sufitu był świetlik, dzięki któremu salę zalewał słoneczny blask.

– Masz acan dokładnie pięć minut – powiedzieli bracia Ducroix, kiedy pierwszy raz mnie tam wepchnęli.

Ów pierwszy raz był wstrząsający. I nie dlatego, że oczekiwałem czegoś złowrogiego, ale dlatego, że nie wiedziałem, co mnie czeka. Odkąd przekroczyłem podwoje Bazoches, miałem uczucie, że znalazłem się w krainie czarów: dziwnych ksiąg, mędrców bliźniaków, pięknych kobiet. A teraz – ta okrągła komnata, świetlista, i ja wewnątrz niej, sam, ogłuszony majestatyczną ciszą.

Ujrzałem przed sobą opadające z sufitu dziesiątki białych nici, niewidocznych, wtapiających się w tło. I zwisające z nich na różnej wysokości rozmaite przedmioty. Podkowę, teatralną maskę, zwyczajny gwóźdź. Perukę! Gęsie pióro kamuflujące się w bieli ścian. Złoty zegarek obracający się na łańcuszku, z którego zwisał.

Po pięciu minutach wypuścili mnie.

– Mów – powiedział Armand. – Co widziałeś?

– Wiszące rzeczy – bąknąłem nieśmiało.

Zenon stał za mną. Zdzielił mnie kulakiem w kark. W odruchu buntu odwróciłem się i krzyknąłem:

– Uderzył mnie pan!

– Tylko po to, żebyś się ocknął – odparł.

– Aspirancie Zuviría! – wrzasnął Armand. – Jesteś acan ślepy. Inżynier, który nie umie patrzeć, nie jest inżynierem. Gdybyś był uważny, dałbyś lepszą odpowiedź niż to politowania godne mamrotanie o „wiszących rzeczach”. Jakie rzeczy? Ile? W jakim porządku, na jakiej wysokości, jak głęboko?

Kazali mi wejść jeszcze raz, choć należałoby powiedzieć, że mnie tam wepchnęli. Wyteżyłem wzrok i pamięć. Kiedy wyszedłem, musiałem szczegółowo opisać przedmioty i ich położenie. Zacząłem od tego, który znajdował się najbliżej moich oczu, i wyliczyłem kolejne, traktując ten pierwszy jako punkt odniesienia. Wysłuchali mnie z uwagą, nie przerywając.

– Żałosne – brzmiał werdykt Armanda. – Obiektów było dwadzieścia dwa. Acan opisałeś piętnaście, a do tego źle. Owszem, jest tam podkowa. Ile miała otworów? Którą stroną była obrócona? Jak wysoko wisiała?

Otwarłem usta i nic nie odrzekłem.

– Nie rozumiesz? – wtrącił się Zenon. – Kiedy atakujesz beluardę albo sam odpierasz szturm, masz zaledwie kilka sekund, żeby zbudować obraz sytuacji. Sam sobie odpowiedz, czy mógłbyś wziąć odpowiedzialność za życie podkomendnych?

– Musisz być spostrzegawczy – powiedział Armand. – Zawsze, wszędzie i o każdej porze. W przeciwnym razie nic nie będziesz widział; a jeśli nie widzisz, to się nie nadajesz do tego fachu. Odtąd będziesz zawsze baczny i uważny, we śnie i na jawie. Zrozumiałeś?

– Sądzę, że tak.

– Na pewno?

– Tak.

– Na pewno zrozumiałeś?

– Tak! – wrzasnąłem, bardziej z bezradności niż z przekonania.

Nim jeszcze owo „tak” wyszło z moich ust, Zenon powiedział z nagłą:

– Opisz klamry moich butów.

Odruchowo pochyliłem głowę, żeby na nie spojrzeć. Zenon palcem podniósł mi brodę.

– Odpowiedz.

Nie potrafiłem.

– Odkąd się poznaliśmy, noszę te same buty. I przez cały ten czas nie zauważyłeś, że nie mają klamer.

W Bazoches zdałem sobie sprawę z tego, jak niewiarygodnie ślepi są ludzie. Spojrzenie przeciętnego człowieka jest tylko szybkim, pobieżnym rzutem oka, które daje się zwieść pierwotnym instynktom: to mi się podoba, a to nie, jak

u dziecka. Bracia Ducroix dzielili rodzaj ludzki na dwie kategorie: kretów i maganonów. Na stu ludzi dziewięćdziesięciu dziewięciu było kretami. Dobry maganon w ciągu jednego dnia widział więcej niż stado kretów przez cały rok. (Ej, ty, tłusta krecico, ile mam palców? A widzisz? Tyle czasu razem i nawet nie zauważyłaś, że w małym palcu brak mi paliczka. Urwał mi go kartacz, na Gibraltarze. I wcale tego nie żałuję, bo oblężenie szlag trafił, a ja byłem szczęśliwy, że się odgryzłem Burbonom).

Owego dnia umieścili w sali dwadzieścia dwa przedmioty. W następnych – trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt. Czasami tylko jeden: czysta kpina, bo żądali ode mnie wszystkich szczegółów. Moim najlepszym wynikiem było opisanie stu osiemdziesięciu ośmiu obiektów, każdego wiszącego osobno na białym sznureczku. I musiałem zapamiętać wszystko: ile dziurek miał flet, ile pereł naszyjnik, ile zębów piła. Próbowaliście kiedyś? Zróbcie to, zróbcie, a w najpospolitszej rzeczy odkryjecie niezmierną złożoność świata, który nas otacza.

Wszystko to nie byłoby niczym więcej niż zbiorem ćwiczeń mniej lub bardziej malowniczych i stymulujących w swej ekscentryczności, gdyby nie dyscyplina zwana „Polem”. Myślałem, że będzie to coś na kształt wzmacniającej gimnastyki na świeżym powietrzu. A było, było!

Wyprowadzili mnie na jakieś pięćset metrów od zamku. Kiedy znaleźliśmy się pośrodku prostokątnego pola, którego nie uprawiano od lat, bracia Ducroix rozpoczęli dyskurs o roztaczających się wokół pięknych widokach. Bardzo charakterystyczne. Zajęcia akademickie stanowiły wpisana w ich żywot przyjemność, która nie przesłaniała głównego celu: rozkoszowania się lotem ptaka albo pięknym zachodem słońca.

– Dobrze, aspirancie Zuviria – powiedział Armand, przypomniawszy sobie wreszcie o mojej obecności. – Przypuśćmy... Cóż, przypuśćmy... to za dużo powiedziane... że jesteś acan oficerem, dowódcą inżynierów. I przypuśćmy, że musisz wykopać transeję. Co byś zrobił?

– No więc, przypuszczam, że kazałbym saperom zacząć kopać – odparłem, nieco zbity z tropu.

– Bardzo dobrze! – pochwalił mnie Zenon ironicznie.

W tym momencie nadeszło czterech służących z zamku. Dźwigali kołki, sznury i woreczki z wapnem, które położyli u naszych stóp. A także wielkie, cylindryczne wiklinowe kosze, które, jak dowiedziałem się później, nazywano „faszynami”. Ponadto żelazny hełm, z wyglądu dwustuletni, coś w rodzaju skórzanego napierśnika, a nawet strzelbę. Obok zostawili stos łopat, drewnianych młotów, czyli „bab”, i tysiąc innych narzędzi do kopania. Tamtego dnia odkryłem, że rodzajów kilofów jest więcej niż odmian motyli.

– Na co czekasz? – powiedział Armand.

– A ta strzelba? – zapytałem, trochę spłoszony.

– Ach, nie przejmuj się strzelbą – odparł Zenon, podniósł flintę, załadował i odszedł.

Tematem moich pierwszych lekcji była castrometria. Podniosłem kołek i wbiłem go głęboko w ziemię. Następnie wziąłem sznurek i okręciwszy jeden jego koniec wokół podstawy kołka, rozwinąłem jakieś dwadzieścia metrów, a potem przywiązałem do drugiego kołka. Następnie rozsypałem nad nim wapno. To, co spadło na ziemię, miało posłużyć do wytyczenia prostej linii wykopu. I wtedy usłyszałem huk: tuż obok, niczym rój przelatujących pszczoł, bzyknęła kula, ocierając się o mój hełm.

Wyrwał mi się piskliwy wrzask:

– Aj!

Outils



Pioche



Pioch a roc



Pioch a hoyau



Pioch a teste



Feuille de sauge



*Pelle de bois
ferrie*



Beche



*Louchet
de flandre*



Escoupe



Masse



Croce



Fourche



Hache commune



Serpe

Nie mogłem uwierzyć. Zenon do mnie strzelił! Stał trzydzieści metrów ode mnie i ponownie ładował broń.

– Odwrotnie – powiedział Armand. – Najpierw nacierasz sznurek wapnem. Potem rozwijasz. Jeśli sznurek jest dobrze umazany, zostawi na ziemi widoczny ślad. W ten sposób zaoszczędzisz sobie biegania tam i z powrotem po polu bitwy i będziesz mniej narażony na atak wroga. Zenon – ciągnął – strzela co dwie minuty. Masz acan szczęście, bo młody, zręczny strzelec może skrócić ten czas co najmniej o połowę. Na twoim miejscu pospieszyłbym się z kopaniem.

Złapałem za stylisko kilofa, który ważył więcej niż nieboszczyk, i zaatakowałem białą linię, kopiąc jak szalony.

– Proszę cię! – powiedział Armand. – Ściągnij mocniej podpinkę hełmu i załóż napierśnik sapers. Chron się!

– Ale dlaczego pański brat do mnie strzela? – krzyknąłem.

– Bo to jego kolej. Teraz ja. – I odszedł, żeby wziąć karabin, który już podawał mu Zenon.

Hełm, który mi dali, straszliwie ciężki, z wizurą i żelaznymi policzkami, bardziej pasowałby rycerzowi z piętnastego wieku. Wciąż mocowałem się z napierśnikiem, kiedy usłyszałem następną detonację. Podskoczyłem.

– Powiedzcie, że strzelacie kapiszonami!

Wybuchnęli śmiechem.

– Zawrzyjmy układ! – zaproponowałem z rękami w górze. – Ja przestanę kopać, wy strzelać i opowiecie mi o tym jakimś Mystère.

– A jak acan myślisz, czym jest Mystère? – zapytał Armand.

Znowu do mnie strzelili. Kopałem jeszcze śpieszniej. Gdyby udało mi się zrobić głębszy dół, byłbym przynajmniej trochę osłonięty od kul. Kiedy grunt został wystarczająco zryty, chwyciłem za łopatę.

– Odwrotnie, aspirancie! – zawołał Armand. – Ziemię wyrzuca się na stronę wroga. Utworzony z niej wał pozwala szybciej się schować.

Przez chwilę stałem bez ruchu, przetrawiając instrukcje. Kolejny strzał. Zacząłem kopać jak szalony.

Nie wiecie nawet, jak trudno jest wygrzebać dół, w którym człowiek zmieści się cały, dopóki sami tego nie spróbujecie. Natrafiłem na korzenie grube jak ludzkie ramię.

– Korzenie! – krzyknąłem zrozpaczony. – Jak je wytnę?

Moje komentarze najwyraźniej ich bawiły.

– Jasne, że są korzenie! Taka jest ta dziwna francuska ziemia: korzenie rosną pod spodem, nie na wierzchu – chichotał Armand, ubijając proch stemplem.

– Nie masz tam nożyczek? – zawołał Zenon, dołączając do zabawy. – Nie? Co za szkoda! No to już acan wiesz, co masz zrobić przed snem: naostrzyć łopatę. Ot i cały sekret.

Kopałem dalej, na kolanach, żeby nie wystawiać się na łatwy cel. Więcej strzałów. Jeden trafił tak blisko, że na mój hełm posypała się ziemia. W końcu udało mi się wykonać lej, w którym mieściłem się mniej niż więcej. Z trudem łapałem powietrze, już dłużej nie mogłem. Armand podszedł do mnie i powiedział:

– Aspirancie, zmień ubranie, otrzyj twarz, wymyj się pod pachami i proszę do sali.

Byłem skonany. A tego pierwszego dnia po zajęciach na „Polu” miałem jeszcze kilka lekcji.

Wykład „Słuchać i rozkazywać” krążył wokół klasycznej sentencji Enniusza, Appiana czy innego Rzymianina albo Greka, w rodzaju: „Zanim zaczniesz rozkazywać, naucz się słuchać”^[8]. Przedmiot ów stanowił rozszerzenie zajęć praktycznych na „Polu”. Myśl była taka, że kiedy będę miał ręce całe w pęcherzach i odciskach, przekonam się, czego można wymagać od innych, a czego nie.

Lekcja historii. Dla braci Ducroix historia „powszechna” była historią Francji; Francji i czego jeszcze? Ach tak, Francji. Potem był maleńki zakątek poza granicami królestwa, nieistotna peryferia, znana jako „świat”. Ubocze to stanowiło zaledwie dziesiątą część całego przedmiotu i zasługiwało na jakiegokolwiek zainteresowanie jedynie wówczas, gdy Partowie oblegali Palmyrę albo gdy Katon przekonywał rzymski senat, iż po to, by zwiększyć zbiory fig, trzeba obsiać Kartaginę solą. Z początku jawnie okazywałem sceptycyzm, lecz pewnego dnia, kiedy Zenon dowodził, iż Archimedex (wymawiali to i pisali tak właśnie, z „x” na końcu) miał galijskie korzenie, odpuściłem. Francuzi na ogół mają umysł bardziej otwarty, niż się powszechnie sądzi. Ale nie próbuj nawet przekonywać ich, że być może, tylko być może, i to w opinii nielicznych biegłych w tej materii kartografów, Paryż nie jest geograficznym środkiem ziemskiego globu. Nie będą z tobą dyskutować; pomyślą po prostu, żeś godzien politowania.

Jako prawi Francuzi, rozpoczęli od oblężenia Alezji. Cezar otoczył miasto trzydziestokilometrową palisadą i drugą, zewnętrzną, dwakroć dłuższą, żeby udaremnić odsiecz. A co mnie obchodziła ta cała Alezja, razem z Cezarem i Wercyngetoryksem na dodatek? Starąłem się, jak mogłem, ale po tym wyczerpującym dniu oczy same mi się zamykały, a ręce ciążyły niczym dwa kloce. Szczęsna to była chwila, gdy nadeszła pora kolacji! Przed pójściem do jadalni zapytałem:

– Celowaliście we mnie na serio?

– Cóż – powiedział Zenon – spróbowaliśmy sobie wyobrazić dym i zamęt jak w prawdziwym teatrze wojny. Niekoniecznie mierzyliśmy w korpus.

– Ale mogliście mnie zabić! Z trzydziestu metrów trudno o dokładność.

Wzruszyli ramionami i powrócili do przerwanej rozmowy. Bracia Ducroix! Dobrana para.

Zwykle jadałem kolację samotnie, w kuchni. Kiedy zasiadałem do stołu,

służba dawno już spała. W kąciaku miałem przygotowane owoce i garnek. Obsługiwałem się sam. Ręce trzęsły mi się jeszcze od machania łopata i ciężkim kilofem. Krawędzie hełmu poharatały mi głowę niczym korona cierniowa. Około północy, w chwili gdy zatapiałem zęby w jabłku, pojawił się Armand.

– Aspirancie, marsz na pole.

– To jakieś żarty – wybuchnąłem. – Przecież jestem ledwie żywy!

– Pragnę przypomnieć, że zaaprobowaleś acan plan studiów – powiedział Armand. – Sądysz, że wroga obchodzi twoje samopoczucie? – Obejrzał moją głowę. – Sugeruję, żebyś przed włożeniem hełmu obwiązał sobie czerep płócienną chustką. Po to wymyślono płótno. *Allez*^[9].

I wróciliśmy na pole.

Wlazłszy do dołu, zacząłem ryć wzdłuż wapiennej linii. Nie wydaje mi się, żebym posuwał się choćby metr na godzinę. Kilof, łopata, hełm. Cylindryczne wiklinowe kosze, które kazano mi nazywać „faszyną”. Albo straszyli, że nie dostanę jeść. Faszyna, faszyna, więcej faszyny. I flinta braci Ducroix. Ilekroć kosz napełniony ziemią wychylał się ponad krawędź wykopu, by utworzyć parapet przed transzeją, Armand strzelał. I w takich warunkach musiałem pracować! Prędko nauczyłem się chować ręce, podtrzymując faszynę od spodu i z tyłu, żeby nie wystawiać się na cel.

Następnego dnia to samo. Rysunek, wykłady, pole, wykłady, pole, capstrzyk. I od nowa. Zauważcie, że naprawdę dali mi w kość, skoro przez pierwsze tygodnie poczciwy Zuvi nie miał nawet chęci naprzykrzać się Jeanne. Padałem jak worek na łóżko, a budziły mnie zamkowe dzwony, niezwykle głośnie, jako że moja izba znajdowała się tuż pod nimi. Zresztą dlatego mnie tam ulokowano. A to był dopiero początek.

Bracia Ducroix nadawali się na tutorów jak mało kto, a ich metody były drakońskie. Czuj duch! Sala sferyczna. Bądź czujny zawsze, czy jesteś w środku, czy na zewnątrz niej! Geometria. Balistyka. Mineralogia. Pole. *Allez!*

Po dwóch tygodniach otarłem się o bunt. Padało przez cały dzień, co, oczywiście, nie stanowiło żadnego powodu do odwołania ćwiczeń na polu. Kilof zagłębiał się w ścianie transzei, nie naruszając gleby, stwardniałej od deszczu. Cały byłem umazany gęstym błotem. Za każdym zamachem wywlekałem kilogramy kleistej ziemi. Ulewa przybrała na sile, z hełmu spływały kaskady wody. Na dnie wykopu utworzyło się bajoro, na piędź głębokie, woda wlewała mi się do butów. Na dobitkę ćwiczenia trwały o pół godziny dłużej niż zazwyczaj. Pamiętam, że spojrzałem w górę, w te chmury obmierzłe zapłakane. Francuskie niebo, ach, owa szarość, tak słodka i tak okrutna. Kula, która wbiła się w faszynę, przywróciła mnie do rzeczywistości.

Pod koniec byłem taki rozbity, że nawet nie mogłem wygramolić się z mojej dziury, coraz głębszej, szerszej, a przede wszystkim dłuższej. Armand nie zniżył

się do tego, by pomóc mi wyjść. Wyciągałem do góry ręce i głowę przyodziałą w ciężki hełm, o który bębniły grube krople deszczu:

– I ja mam ciągle wyęczać uwagę? – zaprotestowałem. – Na miły Bóg, nie widzi pan, że jak umrę, to nie będę mógł być czujny?

Armand przykucnął nad krawędzią transzei, niemal wtykając nos w wizurę przyłbicy. W niczym nie przypominał kruchego człowieczka, którego poznałem pierwszego dnia w Bazoches. Nawet deszcz czuł przed nim respekt. Krople ześlizgiwały się ze sferycznej łysiny, staczały na policzki, a następnie spływały w dół po koziej bródce.

Powiedział:

– Dopóki jesteś żywy, musisz być czujny. A dopóki jesteś czujny, będziesz żywy. Wyłaż z okopu.

– Nie mogę – wyciągnąłem do niego rozczapierzoną dłoń. – Proszę mi pomóc, nie mogę.

– Błąd. Możesz. Wyłaż.

– Nie mogę! – nadąsałem się jak dziecko.

Wzruszył ramionami i wstał, zarzucając strzelbę na plecy.

– Ponieważ upierasz się acan przy swoim lenistwie, zawieszam moje funkcje akademickie. Mogę wydawać polecenia myślącemu mózgowi, ale nie mam zamiaru perswadować niczego żołądkowi ani plecom. A skoro brzuch acana woli post od kolacji, a plecy błoto od wygodnego łóżka, przeto życzę dobrej nocy, drogi aspirancie.

Huczały grzmoty, niebo przecinały błyskawice. Odszedł, a ja zostałem w deszczu, drżąc w błocie na dnie dziury. Byłem tak wyczerpany, że nawet nie miałem siły zdjąć hełmu.

Nazajutrz obudzono mnie kopniakiem i rozpoczęliśmy kolejny dzień, tak jakbym przespał smacznie całą noc.

Rysunek. A co to za kleks?! Kułakiem w łeb. Skup się, znowu nie uważałeś, *ma petite taupe!*^[10] Fizyka, matematyka, to, tamto. Języki, przedmiot znienawidzony przez braci Ducroix, lecz niezbędny, gdyż – dziwne to, ale prawdziwe – niektórzy upośledzeni przez los Anglicy, Hiszpanie i Austriacy, wraz z całą rzeszą zamieszkujących pół świata prostaków, jeszcze nie znali francuskiego. Jak wszystko w Bazoches, nazwy owych dyscyplin naukowych były często pozorem ukrytych znaczeń, ponieważ prócz angielskiego i niemieckiego uczyłem się też języka maganonów.

Istniał pewien kodeks znaków, którymi wojskowi inżynierowie mogli porozumiewać się sekretnie w obecności niewtajemniczonych. Posługiwali się mową gestów, tak bogatą, że nie było sprawy technicznej ani światowej, której nie potrafiłaby wyrazić. Zacząłem ją poznawać bez zapału, żeby nie powiedzieć ze wstrętem, później jednak doceniłem jej przydatność.

Pośród bitewnego zgiełku, ogłuszającego, bardzo pożyteczna jest umiejętność porozumiewania się rękoma. „Nazad”, „Ładuj!”, „Kryj się, strzelec po lewej”. Bracia Ducroix opowiadali, że to, co zaczęło się od kilku podstawowych znaków, przyjmowało z czasem formę coraz bardziej wyszukaną, aż przekształciło się w hermetyczną mowę maganonów.

A teraz pomyślcie o inżynierze wcielonym do wojska. Jego zwierzchnik, również inżynier, prezentuje mu dowódcę forticy: „General taki a taki, którego czynów nie zaćmiłby sam Korbulon oblegający warownie Armenii!”. Lecz jednocześnie, dyskretnie poruszając dłońmi i palcami, to w górę, to w dół, mówi bez słów: „Ten po prawej to nadęty bałwan, nie myśl nawet, by traktować go poważnie. Kiedy wyda jakiś głupi rozkaz, przytaknij, ale rób swoje; potem ci powiem dlaczego”.

Musiałem uczyć się znaków owego niemego języka po dwadzieścia dziennie. To na początek. Potem trzydziestu, czterdziestu, a nawet pięćdziesięciu. Jakże? Jeszcze nie umiesz przekazać pre-cy-zyj-nych wiadomości do prochowni? To jak zaopatrzysz artylerię, kiedy skończy ci się amunicja? I w pysk. Obudź się! Na pole! Sala sferyczna.

Myślę, że chyba nie ma nic bardziej wyniszczającego niż owa systematyczna – i nieustanna – kombinacja wysiłku umysłowego i fizycznego. Chociażby oczy same mi się zamykały, musiałem zachować najwyższą czujność o każdej porze. I kułakiem w łeb! „Wracaj do sali sferycznej, gamoniu!”, „Aspirancie Zuviría, kiedy wreszcie nauczysz się patrzeć!”, „Na pole! *Allez! Allez!*”. I tak dzień za dniem, za dniem, za dniem.



Pierwsze miesiące w Bazoches były niczym koszmar, w którym pogrążałem się za każdym przebudzeniem, nie znajduję innych słów, by to określić. Zapytacie być może: jak wytrzymałeś? Odpowiem tak. Idealnym lekarstwem na coś, czego nie da się znieść, jest mikstura złożona w równych częściach z miłości i strachu.

Strach – chyba nie muszę tego mówić – wiązał się z osobą ojca. Rodzic mój był, jaki był, ale nigdy nie miałem poczucia, że traktuje mnie jak syna. W dzieciństwie czułem do niego jedynie niechęć. Kiedy wypływał na Morze Śródziemne, ogarniała mnie wielka radość. Lecz prawdą jest również, iż po latach zrozumiałem, dlaczego stał się tak szorstki, i to złagodziło moje o nim wspomnienie.

Peret (później o nim napiszę) opowiadał mi, że nigdy nie widział mężczyzny tak zakochanego w kobiecie jak mój ojciec w mojej matce. Trudno mi było w to uwierzyć, ponieważ znałem tylko dwa stany jego ducha: złość i jeszcze większą złość; wiecznie ponurą, milczącą, brodatą twarz człowieka pogrążonego w myślach o jakichś obcych mi sprawach, zwłaszcza gdy siedzieliśmy obaj nad samotną kolacją w smętnym blasku jedynej świecy. Był tak skąpy, że oszczędzał nawet na wosku.

Jego życie runęło z chwilą mego przyjścia na świat. Nie przeze mnie, ale dlatego, że przy porodzie zmarła moja matka. Nigdy jej nie zapomniał. Nieodstępna gorycz stanowiła jego wewnętrzny balast, widoczną chorobliwą narośl. Żeby przetrwać, poświęcił się bez reszty interesom.

Barcelona była ruchliwym portem, handlującym z całym zachodnim wybrzeżem Morza Śródziemnego. Ojciec mój, drobny akcjonariusz kompanii morskiej, w której udziały miało dwudziestu lub trzydziestu kupców, wdowiec mniej obciążony rodziną niż pozostali wspólnicy, wypływał często, by finalizować umowy i zacieśniać więzi z kontrahentami z Balearów, wysp włoskich i samej Italii. W tego rodzaju przedsięwzięciach, gdy klienci i dostawcy rzadko widują się nawzajem, sprawą wielkiej wagi jest nieustanne odnawianie i podtrzymywanie znajomości i wzajemnych relacji. (Wiadomo jacy są Włosi, gadka szmatka, buziaczki, uśmiechy, uściski i wåtpliwe obietnice dozgonnej przyjaźni).

Powiedzmy, że zajął się mną wedle prawa, pozostając wszakże obojętnym wobec istoty ludzkiej, którą sam powołał do życia. Przynajmniej tak to odczuwałem. Bił mnie często, chociaż o to akurat nigdy nie miałem do niego żalu: zasługiwałem na lanie, nawet jeszcze większe. Ciekawe, że dzieci bardziej cierpią z niedostatku pieszczot niż z nadmiaru batów. Przytulał mnie tylko z okazji urodzin. Wiedziałem jednak aż nazbyt dobrze, że tuli wtedy nie mnie, lecz moją matkę. W ów dzień upijał się jak bydlę, płakał i miażdżył mnie w niedźwiedzim uścisku, mamrocząc jej imię, nigdy moje.

Na jego usprawiedliwienie dodam, że w owym świecie analfabetów nie szczenił dla mnie grosza na naukę. A szkoły w Barcelonie, nawet te najlepsze, stanowiły obraz nędzy i rozpoczy, głównie za przyczyną nauczycieli, zatęchłych księży, którzy traktowali nas, wedle ich własnych słów, jak „worki z grzesznego ciała, które zgnije niechybnie”.

Ojciec pół życia spędzał w porcie lub w podróży, więc zatrudnił dla mnie opiekuna, niejakiemu Pereta. Logiczniej byłoby znaleźć jakąś piersiastą dziewczkę, z której usług, będąc panem domu, sam mógłby czasami korzystać. Zadowolili się Peretem, bo nie znalazł nikogo tańszego. Chytróść Katalończyków była przysłowiowa nawet wśród Włochów. Jednakże gdyby za wzorzec ojczystego skąpstwa przyjąć mego ojca, oniemieliby z wrazenia. Któregoś dnia dostałem baty za to, że wyrzuciłem do śmieci ogarek świecy krótszy niż pół palca. A kiedy raz dowiedział się, że z powodu kłopotów przy sztauowaniu statek podniósł kotwicę, mając ładownię w jednej szóstej pustą, twarz zzieleniała mu bardziej niż kaczy zbuk.

Peret był przymierającym głodem biedaczną. Przed moimi narodzinami pracował jako tragarz w porcie, u mego ojca i jego wspólników. Wszystko wydawał na trunki. Kiedy się zestarzał i nie mógł już dźwigać ciężarów, wyrzucili go z kompanii na bruk za niedołość i pijaństwo. Miał długą, pomarszczoną szyję i łysą, sępią głowę. Po utracie stałego zajęcia krążył po barcelońskich Ramblach, sprzedając łakocie, wiecznie pochylony, jakby szukał grzybów na bruku. W zamian za mieszkanie w pustej izbie i mizerną zapłatę ojciec zatrudnił go do opieki nade mną i nad naszym domem.

Biedny Peret. Na całym bożym świecie nie było chyba człowieka bardziej udręczonego przez dziecko. Kiedy szedł spać, wrzucałem mu do butów łajno, co odkrywał rano, nie mogąc ich wzuć. A o tym, że pomalowałem czubek jego haczykowatego nosa, dowiadywał się dopiero na ulicy. Gdy groził mi pasem, straszylem, że oskarzę go przed ojcem o kradzież pieniędzy na domowe sprawunki.

Mimo wszystko Peret był dla mnie namiastką matki, której nie znałem. Nie mogłem nie kochać kogoś, kto mnie cesał, zapinał mi guziki i przytulał częściej niż ojciec. Peret często płakał. Płacz był jego jedyną obroną przed moimi psotami i szykanami.

Kiedy minęło mi dwanaście wiosen, ojciec jął się zastanawiać, co ze mną począć. Naturalną rzeczą kolejną powinienem trafić do barcelońskiego kolegium karmelitów, ale sami zakonnicy namówili go, by wysłał mnie do ich szkoły we Francji, stojącej na znacznie wyższym poziomie. Przystał na to chętnie, ponieważ było to miejsce stosowniejsze dla kupieckiego syna, a poza tym mógł wreszcie pozbyć się mnie z domu. Nie miałem do niego żalu. Rozstanie sprawiło ulgę nam obu. Dodam, że wyglądałem na pięć lat starszego i lada dzień doszłoby między nami do bójki.

O tym, jak potoczyły się moje losy u karmelitów, już wiecie. Kiedy więc zawitałem do Bazoches, napisałem do ojca – z którym od dwóch lat utrzymywałem kontakt wyłącznie listowny – by przekazać mu nowinę i podać nowy adres (fakt, iż wyrzucono mnie ze szkoły, pominąłem starannie, jeszcze by tego brakowało, napisałem natomiast, że była to moja własna decyzja, spowodowana myślą o lepszej przyszłości i ple, ple, ple).

Odpowiedź nadeszła szybko:

Co Ty mi tu za pierdoły wypisujesz o jakimś pieprzonym markizie i jego zamku? Inżynierem chcesz zostać? A po co? Na morzu mosty niepotrzebne, od tego są statki, flotyllę już mamy. Miałeś się nauczyć liczyć. Jak mnie nabierasz, pasy z Ciebie zedrę.

Następnie dodawał z isticie ojcowską czułością:

Zawsze byłeś nad wiek wyrośnięty i pewnie Cię już przypiliło. Uważaj, bo jak zmajstrujesz bękartą, ani myślę na niegołożyć. Zrozumiano, cap de lluç?

Cap de lluç to dosłownie „łeb dorsza”, ale w Katalonii znaczy tyle, co „kapuściany głąb”.

Pocieszające było to, że w tonie listu wyczuwało się zadziwiającą łaskawość. Znając ojca, wiedziałem, że gdyby naprawdę się wściekł, kazałby mi natychmiast wracać do Barcelony, gdzie oczekiwałby mnie z batem w ręku, żeby sprawić mi tęgie lanie. Zamiast tego przysłał mi pieniądze na chesne za kilka miesięcy. Napisałem mu, że w Bazoches biorą dwakroć tyle, co u karmelitów, przy czym chciałem go tylko wybadać, lecz on zgodził się, nie mrugnawszy nawet okiem.

Cóż, podejrzewał, że go oszukuję, i prawdę mówiąc, miał rację. Pierwszego dnia zapytałem braci Ducroix, ile wyniesie opłata za naukę. To był jedyny raz, kiedy widziałem ich obrażonych.

– Aspirancie! Sądziś acan, że markiz potrzebuje twojego majątku? To on będzie ci płacił, dopóki tu zostaniesz. Bacz zatem, iż wielce nikczemnie byś postąpił w oczach świata, gdybyś, opuściwszy te progi, wyrzekał na swego dobroczyńcę.

Zgodziłem się w zupełności z tak szlachetną postawą. Jeśli honor arystokratów może się okazać lukratywny, po co szukać dziury w całym? Podczas mego pobytu w Bazoches brałem pieniądze i od Vaubana, i od ojca; od tego ostatniego dwakroć tyle, ile płacił darmożjadam karmelitom. Mogłem nawet odłożyć trochę zaskórniaków, jak mawiają w Katalonii. (A przydały się, oj przydały!).

Użalam się tu nad sobą, lecz zapewniam was, że nie chciałbym wyjść na płakcę. Albowiem Bazoches było niczym arka Noego, jeno nie dla zwierząt, a dla ludzi. Ja zaś byłem dość sprytny, by to dostrzec.

Pod burgundzkim słońcem wyrosłem na przystojnego, muskularnego młodzieńca. Hartowałem się w rytm oskarda i łopaty (i soku z cytryny, sic!). Po

kilku miesiącach spędzonych w moim rowie wywijiałem szpadlem jak łyżką. I najważniejsze: gromadziłem w mózgu unikalną wiedzę.

Na całym świecie znalazłoby się może stu, dwustu ludzi, którzy przewyższali mnie w znajomości przedmiotów wykładanych w Bazoches. Bracia Ducroix umieli rozniecić w podopiecznych zapał do kształcenia, więc wkrótce to ja zadreczę ich, by opowiedzieli mi wszystko, wszystko. Mój przesyt przeobraził się w głód. Im bardziej byłem zmęczony, z tym większą ochotą czekałem na następną lekcję. Gdy już posiadałem solidne podstawy inżynierii, sam jąłem szukać rozwiązań jeszcze lepszych. Powiem więcej: jedną z niedocenianych zasług miłości jest to, że dostarcza podniet do nauki.

Albowiem Jeanne była drugim powodem, który trzymał mnie przy życiu i nie pozwalał zgnuśnić. A oto przykład edukacyjnych walorów pożądania.

Pewnego dnia przechadzaliśmy się z Armandem po pobliskim lasku. W Bazoches kultywowanie „czujności” nie ograniczało się do zmysłu wzroku. Nieraz, idąc przez pole, musiałem wyliczać wszystkie słyszane dźwięki. Dopóki ktoś się nie skoncentruje, nie zdaje sobie sprawy z ilości danych, których dostarczają nam uszy. Powietrze, szmer ukrytych źródełek, brzęczenie niewidocznych owadów, daleki odgłos rolniczych narzędzi...

Armand palnął mnie w kark.

– Ptak! Nie wymieniłeś go. Głuchy jesteś?

– Przecież wyliczyłem trele sześciu różnych ptaków!

– Zapomniałeś o siódmym!

– Gdzie?

– Z tyłu, po lewej, mniej więcej czterdzieści cztery metry stąd.

Czasami jego wymagania mnie irytowały.

– Jak mam z tej odległości usłyszeć jakiś szmerek, w dodatku zza pleców?

– Musisz nastawić uszu. Po to je masz.

I Armand nastawił swoje, zwracając je w kierunku owego niewidzialnego ptaka, znajdującego się „mniej więcej czterdzieści cztery metry stąd”, i... poruszył nimi z taką samą łatwością, jakby uczynił to pies!

– Naucz się używać własnych mięśni – powiedział, widząc zdumienie na mojej twarzy. – Jeśli uwiędły, zawsze możesz przywrócić im sprawność. No, spróbuj.

Zmusił mnie do tego. Przez dobrą chwilę staliśmy, milcząc, w tym lasku. Ja usiłowałem ruszać uszami, Armand mi się przyglądał. A to wcale nie było łatwe. Spróbujcie sami, jeśli nie wierzycie. Napinałem policzki, marszczyłem czoło. Nic. Tylko dziwaczne grymasy. Poddałem się.

Usiadłem pod drzewem, złapałem się rękami za głowę. O dwie piędzi ode mnie dostrzegłem grzyb. Był to jedyny raz, kiedy chciałem to wszystko rzucić. Nie zmoęła mnie najtwardsza dyscyplina, a omal nie dobiło dziecinne ćwiczenie.

Co ja tu robię na tym francuskim zadupiu, wydany na pastwę dwóch pomyślonych staruszków? Zginałem grzbiet nad łopatą w jakimś głupim rowie, we łbie kręciło mi się od wykresów i kątów geometrycznych... po co, na co? Żeby robić z siebie gamonia w lesie, usiłując machać uszami jak młody muł?

– Nigdy nie będę inżynierem, nigdy – pomyślałem głośno, jak mieli to w zwyczaju bracia Ducroix.

Armand odparł:

– Marti, chłopcze! Poczyniłeś ogromne postępy.

Przykucnął obok mnie. Zaskakujące, że odezwał się do mnie po imieniu, zamiast, jak zwykle, kostycznym „aspirancie” lub „kreciku”. Bracia wiedzieli, kiedy dochodziłem do granic wytrzymałości i potrafili wówczas, tylko wówczas, okazać mi serdeczność.

– Nieprawda – nadąsałem się jak dziecko. – Nie widzę, nie słyszę. To jak mam budować fortece, jak ich bronić?

– Mówię ci, że zrobiłeś postępy. – I nagle wrzasnął jak kapral: – Aspirancie, powstań!

Czułem przed nimi taki mores, że skoczyłem na równe nogi, zapominając o wszelkich rozterkach.

– Co masz za plecami, tuż za drzewem, pod którym siedziałeś?

Opisałem zarośla, nie pomijając żadnej gałązki, ani złamanej, ani zdrowej, wraz z liczbą i kolorem liści na każdej z nich. Nie odnosiłem wrażenia, żebym się jakoś szczególnie wykazał.

– Bardzo dobrze – powiedział Armand. – A za tobą, dwieście pięćdziesiąt metrów w linii prostej, co tam jest?

Odpowiedź moja była natychmiastowa:

– Kobieta. Spaceruje, zrywa kwiaty. Żółte i czerwone. W rękę trzyma całe naręcze. Czterdzieści trzy, o ile się nie mylę. Sądząc z tego, jak często się schyla, powinno ich być teraz czterdzieści pięć. – Westchnąłem i wyszeptalem: – Jest rudowłosa.

Do polany, na której się znajdowaliśmy, dochodziła leśna ścieżka. Dwieście pięćdziesiąt metrów dalej wychodziła na zieloną łąkę, gdzie, pół minuty wcześniej, widziałem spacerującą Jeanne.

– Rozumiesz? – powiedział Armand. – Jeżeli chcemy, widzimy wszystko. Problem w tym, że gdyby zamiast pięknej kobiety szła tamtędy garbata, kulawa, stara, bezzębna baba, nigdy byś jej nie zauważył, aczkolwiek musisz przyznać, że byłaby równie dobrze widoczna. A do przenoszenia wiadomości przez linię frontu wróg woli garbuski od ślicznotek. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

Oczywiście bracia Ducroix od pierwszego dnia odgadli moje uczucia do Jeanne. Armand westchnął i poklepał mnie dwakroć po policzku, choć nie wiedziałem, czy była to pociecha, czy przygana.

– Jeśli chcesz zostać inżynierem – powiedział – musisz być zawsze czujny, a żeby być zawsze czujnym, musisz się zakochać w otaczającej cię rzeczywistości.

Owej nocy zszedłem do pokoju Jeanne. Zapukałem cichutko dwa razy, kostkami palców. Nie otworzyła. Wróciłem następnej nocy. Zapukałem trzy razy. Nie otworzyła. Jeszcze jedna noc: trzy uderzenia, a po dłuższej chwili czwarte. Nie otworzyła. Kolejnej nocy nie zszedłem, ale następnej zapukałem pięć razy.

Cóż, teraz przyszło mi opowiedzieć o tym, jak Jeanne i ja padliśmy sobie w ramiona. Jak ją uwiodłem, albo jak ona uwiodła mnie, albo jak myślałem, że ją uwiodłem, podczas gdy to ona mnie uwodziła, albo odwrotnie, albo jednocześnie. Sami wiecie, miłość i tak dalej. Rzecz w tym, że liryka nigdy mi nie wychodziła, nie mam zatem pojęcia, jak to pięknie ująć w słowa.

A więc, pomiędzy ćwiczebnym polem i zamkiem stał stóg siana. Wyobraźcie sobie Zuviego i Jeanne na jego szczycie, w słomianym łożu, nagich, jedno na drugim i odwrotnie.

Koniec opowieści.

Członkowie rodu Vauban zjeżdżali się do Bazoches jedynie z rzadka. Co ciekawe, w te właśnie dni markiz najchętniej zaszczycał mnie swoją obecnością. Chodzi o to, że zajmując się mną, miał doskonałą wymówkę, żeby uwolnić się na chwilę od tych wszystkich męczędzy, z których znosił jedynie swego kuzyna, Dupuy-Vaubana. Czasami pozwalali, bym im towarzyszył w spacerach po okolicy.

Dupuy-Vauban był jednym z pięciu najlepszych inżynierów stulecia. Jeśli został niesprawiedliwie zapomniany, to tylko z powodu bliskich więzów krwi z markizem, którego sława musiała go przyćmić. Był człowiekiem wyjątkowym, wiernym, skromnym i uczciwym, a więc obdarzonym cnotami niezbyt użytecznymi do zyskania ziemskiej chwały. Swoją wojskową karierę zakończył z szesnastoma ranami w ciele.

Zawsze się cieszyłem ze spotkania z nim. Dla mnie Dupuy-Vauban był przykładem, natchnieniem i pośrednim ogniwem łączącym wielkiego markiza z Martím, jego uczniem. Chociaż o wiele młodszy od swego kuzyna, traktowany był przezeń jak dorównujący mu we wszystkim. Przy nich czułem się niby dziecią, dziecią, które dorasta wśród geniuszy. Tak jak noworodek nie rozumie nic z rozmów swych rodziców, tak i mnie ich inżynierski język jawił się z początku jako prawdziwy słowny galimatias. Ale kiedy poczyniłem postępy w nauce, jałem włączać się do debat. Dupuy-Vauban sprawił mi też jedną z największych satysfakcji w Bazoches, kiedy na wspólnym spacerze po okolicy przystanął nagle i powiedział do markiza:

– Dobry Boże, Sébastien! Mam nadzieję, że w umowie o naukę tego chłopca zawarłeś naszą klauzulę.

– Klauzulę? – zapytałem. – Jaką klauzulę?

– Taką, która zabrania ci uczestniczenia w oblężeniu, jeżeli po drugiej stronie walczyłby Dupuy.

Wybuchnęli śmiechem. Ja też. Jakże mógłbym kiedykolwiek strzelać do kogoś takiego jak oni?

Któregoś razu Dupuy nie mógł przybyć na rodzinny zjazd. Oblęgał jakąś twierdzę w Niemczech. Vauban uznał chyba, że zdobyłem już dostateczną wiedzę, aby móc mu towarzyszyć, bo udaliśmy się na przechadzkę tylko we dwóch.

– I cóż? – zagadnął. – Jak tam postępy w nauce, aspirancie Zuviría?

– Fantastycznie, *monseigneur* – odparłem, i było to szczere. – Bracia Ducroix to wyjątkowi nauczyciele. W kilka miesięcy nauczyłem się więcej niż przez całe życie.

– A jakieś „ale”? – podpowiedział Vauban.

– Nie, żebym się skarżył – odrzekłem i zaraz powróciłem do poprzedniej szczerości. – Chodzi o to, że nie widzę sensu we wkuwaniu łaciny, niemieckiego i angielskiego. Zresztą nawet fizyka i miernictwo wydają mi się w inżynierii niepotrzebne. *Monseigneur!*... całymi godzinami, po omacku, tylko przez dotyk, muszę odgadywać rodzaj piasku i kamieni, które wtykają mi w rękę. Już mi prawie oczy wyrosły na palcach, ale nie potrafię dostrzec, jak to się ma do całokształtu moich studiów...

– Całokształtem jesteś ty – przerwał Vauban. – Chodźmy dalej.

Według Sébastiena Le Prestre de Vauban cała historia sztuki wojennej sprowadzała się do odwiecznej dysputy pomiędzy napastnikiem i obrońcą. Odpowiedzią na wynalezienie maczugi był napierśnik. Na miecz – tarcza, a na lancę – pancerz. Im potężniejsze stawały się kule, tym twardsze projektowano zbroje.

Jeśli istnieje coś, co ludzie od zawsze starali się chronić z większym zapalem niż własne ciała, to są to ich domy. Jakby się głębiej zastanowić, wielkie bitwy nie są niczym innym niż próbą oddalenia walki od ludzkich siedzib. Kain zmiażdżył głowę Abla kamieniem, to prawda. Lecz Biblia nie wspomina, że nazajutrz napadł na dom swego brata, zrabował jego świnie, zgwałcił żonę, a z dzieci uczynił niewolników. Ogień przeciw jaskiniom. Drabina przeciw drewnianej palisadzie. Wieże oblężnicze przeciw kamiennym murom. I pewnego dnia owa chwiejna równowaga runęła.

Nadszedł moment, w którym obrona wzięła górę nad atakiem. Technika budowania murów rozwijała się szybciej niż metody ich zdobywania. Żeby nie wiem jak wielkie były kamienie ciskane z katapult, onagerów i trebuszy, miasto, którego inżynierowie mieliby środki, by wznieść mury dość potężne, stałoby się niewyciężone. I takie miasto istniało – nazywało się Konstantynopol i było ostatnią, wspaniałą, redutą Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego. Przez wieki każdy cesarz przekazywał swemu następcy w spadku rozbudowę twierdzy.

Z punktu widzenia inżyniera wojskowego, jakim był Vauban, Konstantynopol stanowił szczyt cywilizacji starożytnej. Jego mury z megalitycznych kamieni sięgały dwunastu metrów wysokości, a od ich wewnętrznej strony ciągnęły się szeregi baszt i magazynów.

Wiele inwazji wycierpiało bizantyjskie cesarstwo, lecz nikt nie potrafił skruszyć owych cyklopowych ścian. Wszystkie ludy Orientu i Zachodu daremnie tego próbowały. W ciągu stuleci Konstantynopol przetrwał dwadzieścia pięć oblężeń! Germanie, Hunowie, Awarowie, Rusowie. Nawet średniowieczni Katalończycy, żeby nikogo nie pominąć. A jednak w 1453 roku nastąpiło coś, co zmieniło bieg wojen, historii, inżynierii i, nie bójmy się tego powiedzieć, dziejów całej ludzkości.

Gdzieś hen, w Turcji i okolicach, żył pewien szach czy inny mustafa, który wbił sobie do głowy, że zdobędzie Konstantynopol. Vauban miał na ścianie w Bazoches portret tego gościa, powieszony tam po to, by – jak mawiał – nie zapomnieć, że wroga zawsze należy szanować, nawet jeśli na to nie zasługuje, i podziwiać zawsze, kiedy na to zasłuży. Na portrecie ów Sulejman^[11] prezentował się w turbanie, wachając kwiatek. I ze spojrzaniem sadysty, które zwałało z nóg.

Podobno, będąc chłopięciem jeszcze, zakochał się w greckiej brance. Przez trzy dni i trzy noce nie wychodził z namiotu. Żołnierze poczęli szemrać, że pantoflarz z niego i mięczak, coś w tym guście. Kiedy kuśkę miał już nieźle ochędożoną, dotarło do niego, co się dzieje. Wywłókł nieszczęsną Bizantyjkę przed namiot i, ciach!, uciął jej głowę bułatem. A potem krzyknął do stojących w szyku wojsk: „Kto z was pójdzie za moim mieczem, tak potężnym, że przecina nawet więzy miłości?”.

Z początku szturmy owego mustafy kończyły się jak zwykle: tysiące janczarów przebijanych strzałami, polewanych wrzącą smołą i ćwiartowanych na mniejsze lub większe kawałki u stóp murów.

Lecz wówczas garstka inżynierów z Węgier i – jakżeby inaczej! – Włoch (ach, ci Włosi, wszędzie się wcisną!) zaoferowała swoje usługi saraceńskiemu władcy. A ten cały mustafa zlecił im wykonanie największego działa, jakie można sobie wyobrazić.

W owych czasach użycie prochu w artylerii było już znane, chociaż w bitwie nie znaczyło więcej niż fajerwerki, strasząc mniej zaprawionych w boju żołnierzy wroga i dodając ducha swoim. I tyle. Jednakże Turek ów podszedł do sprawy poważnie, bardzo poważnie. Skutkiem była Wielka Bombarda, działo na dziesięć metrów długie. Gotowy odlew ciągnęło pod Konstantynopol trzysta wołów. Armata była tak ciężka, że jednego dnia pokonywano niespełna dwa kilometry. Ale dotarła na miejsce.

Wielka Bombarda wyrzucała kamienne kule wagi pięciuset kilogramów. Bizantyjczycy niestrudzenie łatali bresze^[12], cóż jednak mogli poradzić przeciw

takiej sile? Po jednym wystrzale następował drugi i następny, i następny. A chociaż nie były zbyt celne, to przecież trudno było nie trafić w tak wysoki i szeroki mur.

Reszta jest aż nadto znana. Turcy wdarli się nawałą do miasta, cesarz zginął, walcząc w pierwszym szeregu. Inżynierowie w całej Europie zadrżeli. Albowiem od owej chwili na cóż zdać się mogły mury? Ufortyfikowanie dużego grodu było przedsięwzięciem bardzo kosztownym, a królowie nie mieli ochoty wydawać fortuny na bezsensowne przedsięwzięcia. Pytanie brzmiało: co teraz będzie, jak obronimy nasze miasta? (A prywatnie: co teraz będzie z nami, kto nam zapłaci królewski żołd?)

Były pomysły, sposoby, w większości błędne, chybione, mętne. I tylko w jednej głowie powstało rozwiązanie problemu we wszystkich jego wymiarach. W głowie arystokraty, który się ze mną przechadzał – Sébastiena Le Prestre de Vauban.

Pirotechnika stała się głównym zagrożeniem dla murów, chcąc zatem chronić miasta przed jej potęgą, trzeba było wszystko wymyślić od nowa. Vauban zmierzył mnie inkwizytorским spojrzeniem.

– A więc, aspirancie Zuviría? Co byś ty, acan, zrobił?

Oto pytanie. Nie miałem zielonego pojęcia.

– A bo ja wiem, *monseigneur* – rozmyślałem głośno. – Jak można uniknąć ataku artyleryjskiego? Przychodzą mi do głowy tylko dwa sposoby: przypuścić szturm na armaty albo się przed nimi schować. Atak wydaje się samobójstwem. Skoro działa potrafią kruszyć najmocniejsze mury, to co uczynią z ludzkim ciałem na nieosłoniętej przestrzeni? Z kolei uciekając, można ocalić załogę, ale stracić miasto. A murów nie da się schować.

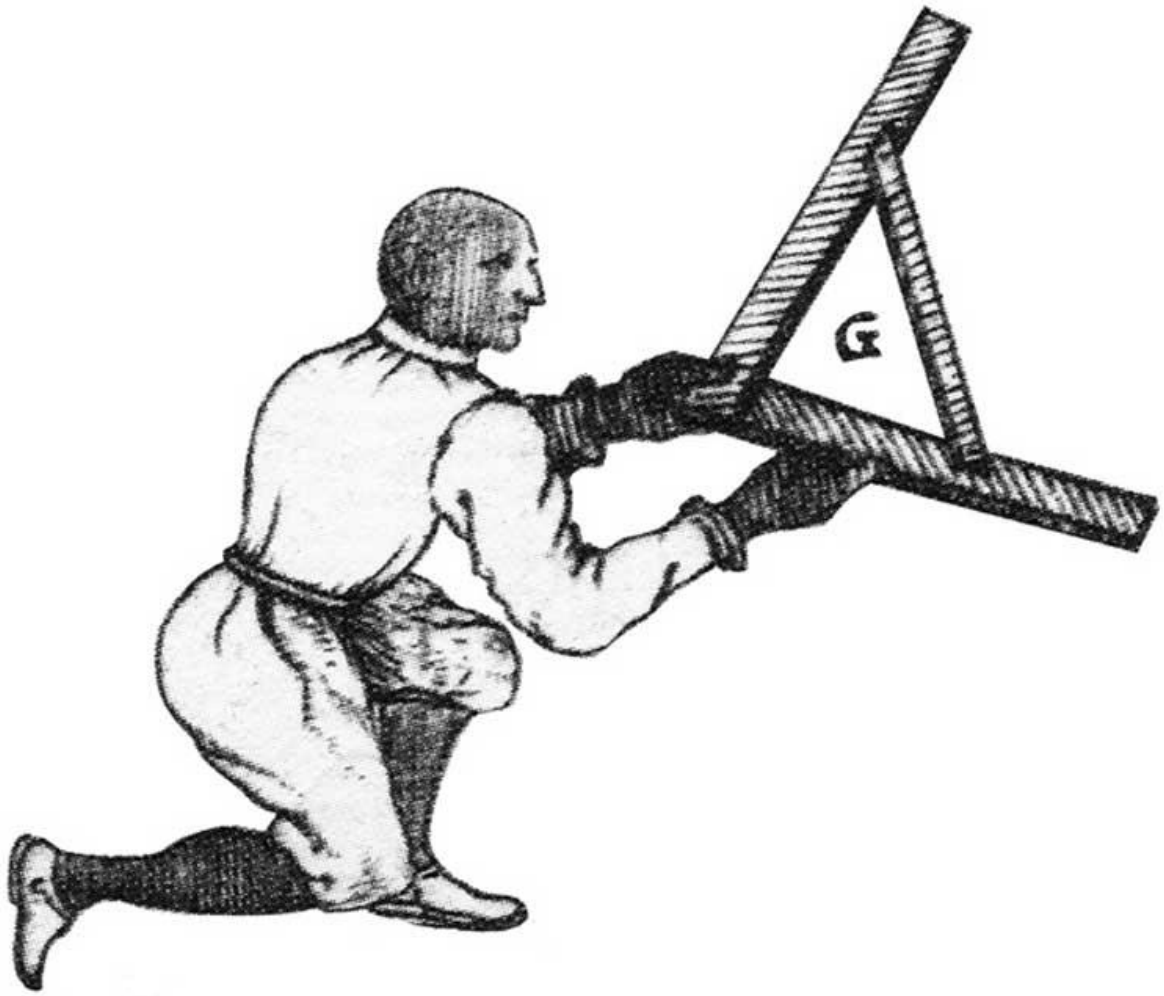
Vauban pstryknął palcami.

– Ta ostatnia myśl. Zmierzała w dobrym kierunku.

Musiałem się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem.

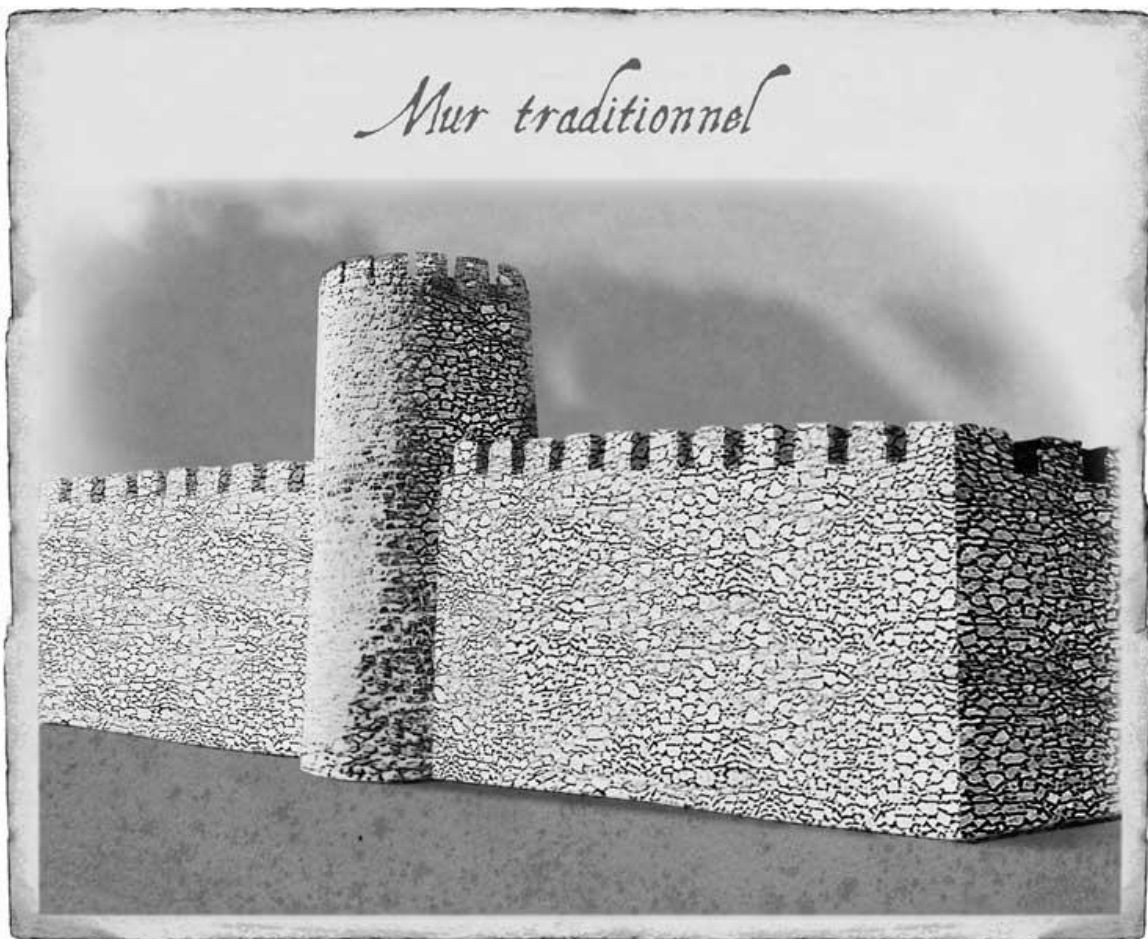
– Ależ, *monseigneur*, jak można ukryć warowne miasto na całym jego obwodzie?

– Zakopać.



Średniowieczne mury były wysokie i pionowe. Im grubsze ściany i wyższe blanki, tym skuteczniejszą miały stanowić obronę. A chcąc ją wzmocnić jeszcze bardziej, stawiano wieże w perymetrze^[13].

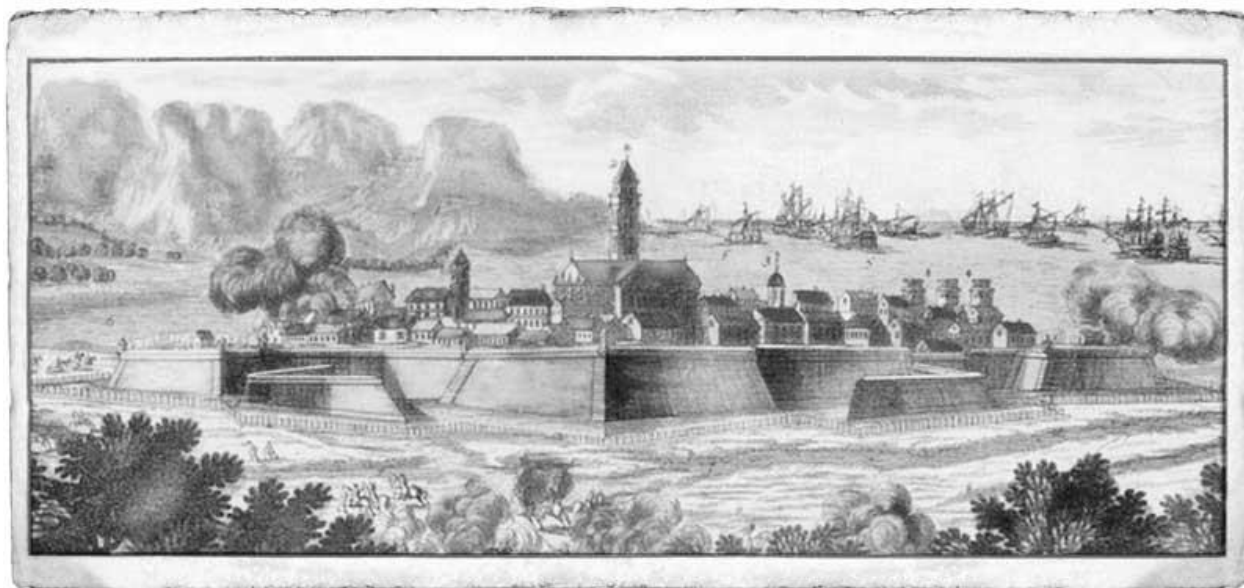
Cała potęga średniowiecznych murów widoczna była jak na dłoni i dziś jeszcze tchnie taką siłą, że jeśli każemy dziecku narysować twierdzę, to zamiast muru, pod którym codziennie się bawi, namaluje starodawny zamek, którego nigdy nie widziało.



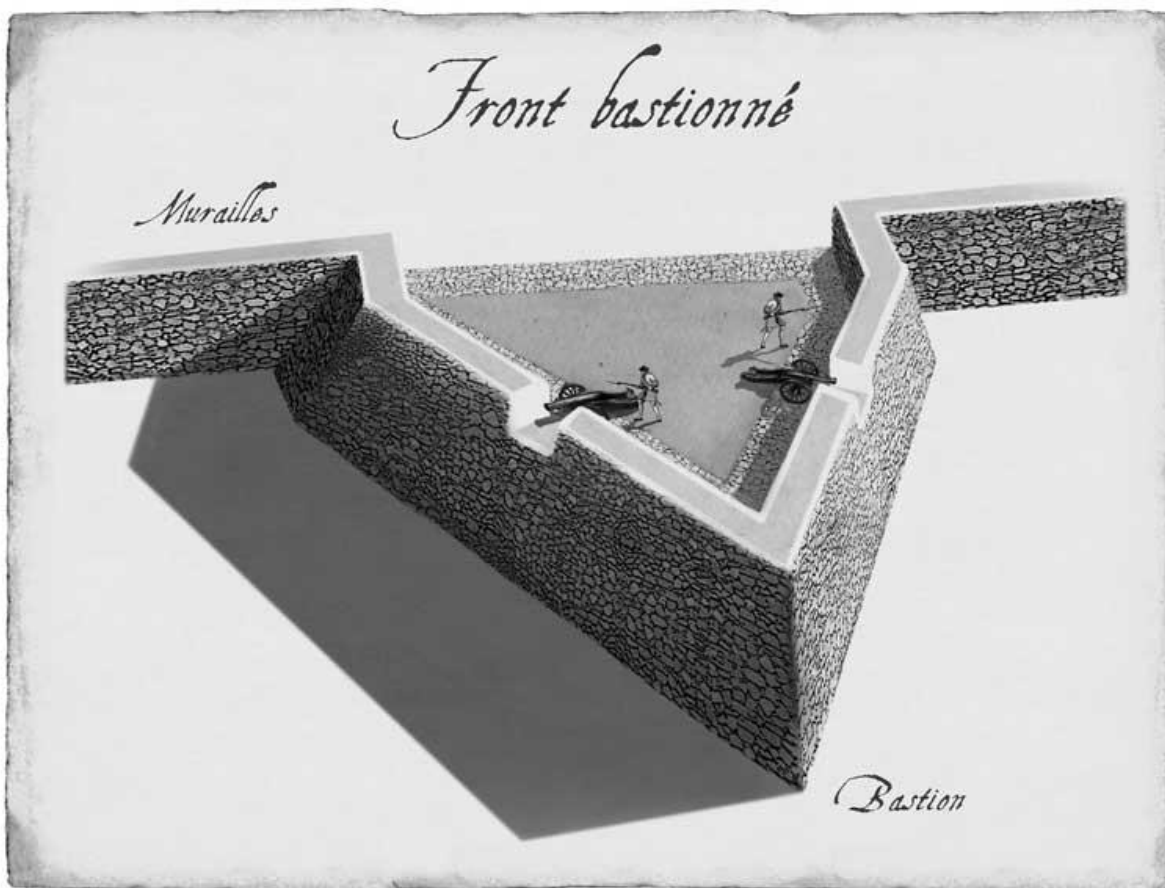
Vauban zmienił tradycyjne zasady obwarowań, projektując mury coraz bardziej pochyle, skarpy nachylone pod kątem nawet sześćdziesięciu stopni. Dzięki owemu kątowi ścian armatnie kule odbijały się, zamiast w nich utkwić. A jako że tor wystrzelonej z armaty kuli jest ukośny, niezwykle trudno było celować z taką precyzją. Więcej jeszcze: średniowieczna wysokość murów stała się ich wadą, dlatego też w systemie Vaubanowskim chowano je za głęboką fosą. W niektórych

projektach Vaubana fortyfikacje bywały niższe nawet od miejskich zabudowań. Wywoływało to ciekawy efekt: nadciągające wojsko prawie nie dostrzegało umocnień, wyraźnie natomiast widziało stojące za nimi cywilne budynki.

Dodam wam nawet rycinę, żebyście to lepiej zrozumieli. (Ta, głupia Niemro, nie tamta. I tutaj! Ani wcześniej, ani dalej. Tutaj, mówię!).



Średniowieczne baszty, wyznaczające obwarowany obszar, zastąpiono bastionami. Bastion był rodzajem wciśniętego w mury szańca, przeważnie w formie pięcioboku. Widzicie, na następnej rycinie, tę wystającą konstrukcję w kształcie grotu włóczni? To właśnie jest bastion.



To, na co patrzycie, to bastion podstawowy, mniej niż skromnych rozmiarów, co widać. Wielkie twierdze miały bastiony gigantyczne, ogromne bryły, których wewnątrz pomieścić mogło nawet tysiąc żołnierzy, dziesiątki armat i podziemne składy amunicji. Tak więc w fortyfikacjach projektowanych przez nowożytnych maganonów mury chronione są przez bastiony, a te z kolei nawzajem udzielają sobie wsparcia.

Załóżmy, że jakiś wrogi oddział postanawia przysięść szturm. Pięcioboczny kształt nie został wybrany ot, tak. Napastnicy, chcąc nie chcąc, będą musieli zaatakować jedną z wysuniętych flank. Obojętnie, którą sobie upatrzą, dwa sąsiednie bastiony będą osłaniać swoich żołnierzy nieprzerwanym ogniem. Gdy nieprzyjaciel posuwa się naprzód, zewsząd lecą nań kule i leją się tysiące litrów łatwopalnej cieczy.

Jeżeli natarcie nie jest skierowane na bastion, lecz na kurtynę^[14], bywa jeszcze gorzej. Nieszczęśni idioci, którzy schodzą do fosy, już nigdy z niej nie wyjdą. Obrońcy strzelają do nich z trzech stron: z murów i obu osłaniających je bastionów, z prawa i z lewa.

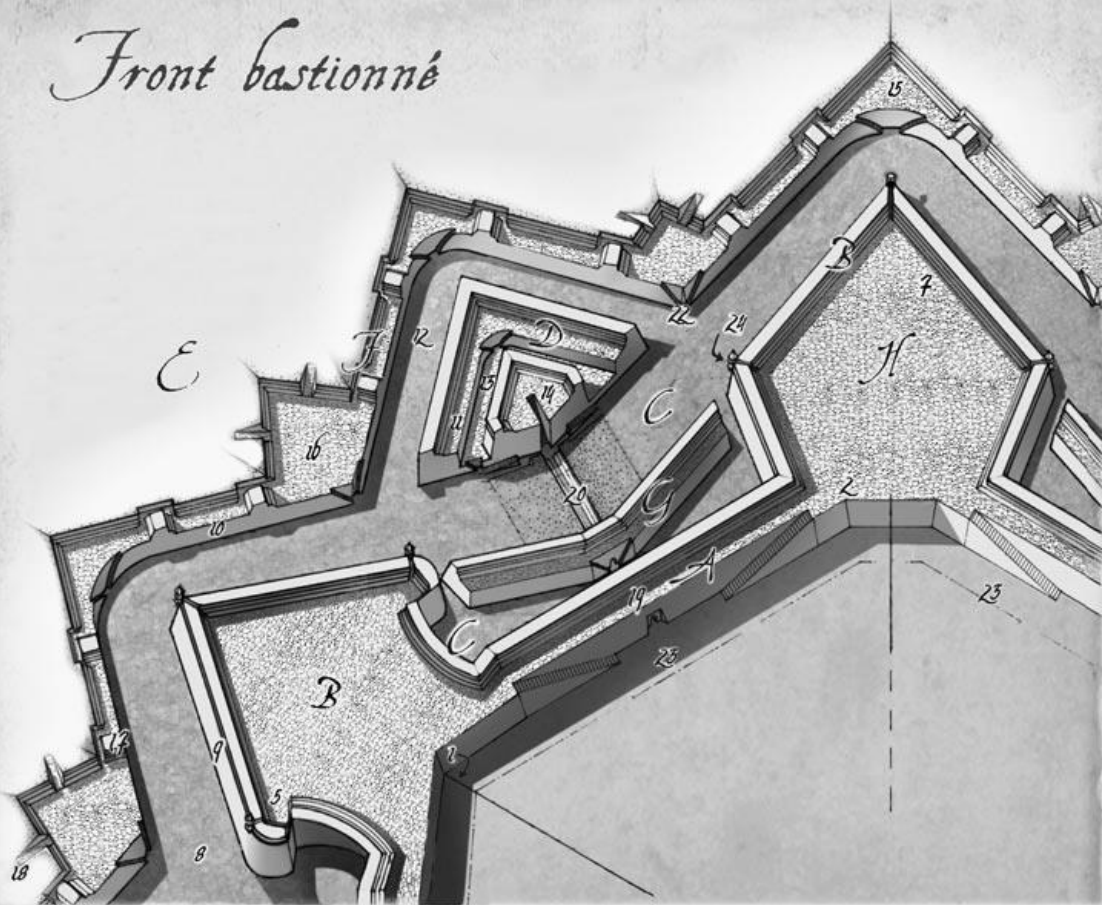
Ogień krzyżowy. Dwa zjednoczone słowa, które na papierze są tylko

kreskami wykonanymi ręką inżyniera. Ale kiedy tusz przemienia się w kamień, te dwa słowa oświetlają piekło.

Ogień krzyżowy! Setki, tysiące mężczyzn w mundurach zstępujące na dno niezglębionej fosy i wspinające się z powrotem na skarpę, w dół i w górę, ostrzeliwane, bombardowane, mordowane przez niewidzialne wojsko. Być może dno owej fosy zostało zalane albo, w najlepszym wypadku, umocnione zaostrzonymi palami, sterczącymi z ziemi na półtora metra. Ci, którzy się na nie nabili, zagrodzą drogę tym, co nadchodzą z tyłu. W końcu nie da się już iść naprzód. Jeśli atak przeprowadził mały oddział, nikt nie przeżyje. Jeśli do szturm ruszyły tysiące, fosę wypełnią skręcane konwulsjami ciała.

Ów okrutny cud, zwany narysem Vaubanowskim, można pomnażać w nieskończoność. Aby jeszcze lepiej ochronić mury, przed kurtyną można zbudować „księżyc” lub „półksiężyc”. Przed atakiem na główną linię obrony napastnicy będą musieli zużyć tysiące kul, żeby zniszczyć półksiężyc. A jeśli, co wątpliwe, zostanie zdobyty, obrońcy wycofają się za następny mur, wysadzając w powietrze wszystkie przejścia. I zabawa zaczyna się od początku. Obrona pozostaje nietknięta. Atakujący, kosztem setek strat, zdobyli jedynie samotną wysepkę. Z jakim animuszem ponowią szturm? Księżyce, półksiężyce, raweliny, kleszcze... Całe mnóstwo dzieł architektury, których nie ma sensu wyliczać niewtajemniczonym. W każdym razie, obejrzyjcie sobie techniczne szczegóły owego dzieła w całości.

Front bastionné



Le corps de place

- A La courtine
 B Le bastion
 1. capitale du bastion
 2. gorge
 3. flanc droit
 4. flanc retiré courbe
 5. ourillon
 6. épaulement
 7. face
 28. échauquetto ou guérite

Les dehors

- D la demi-lune
 u. face
 12. fasés de la demi-lune
 15. fasés du réduit
 14. réduit de la demi-lune
 G la tonaille

- H Cavalier sur le bastion
 C Fasés du corps de place
 8. cunette 9. escarpe 10. contrascarpe

Les avancées

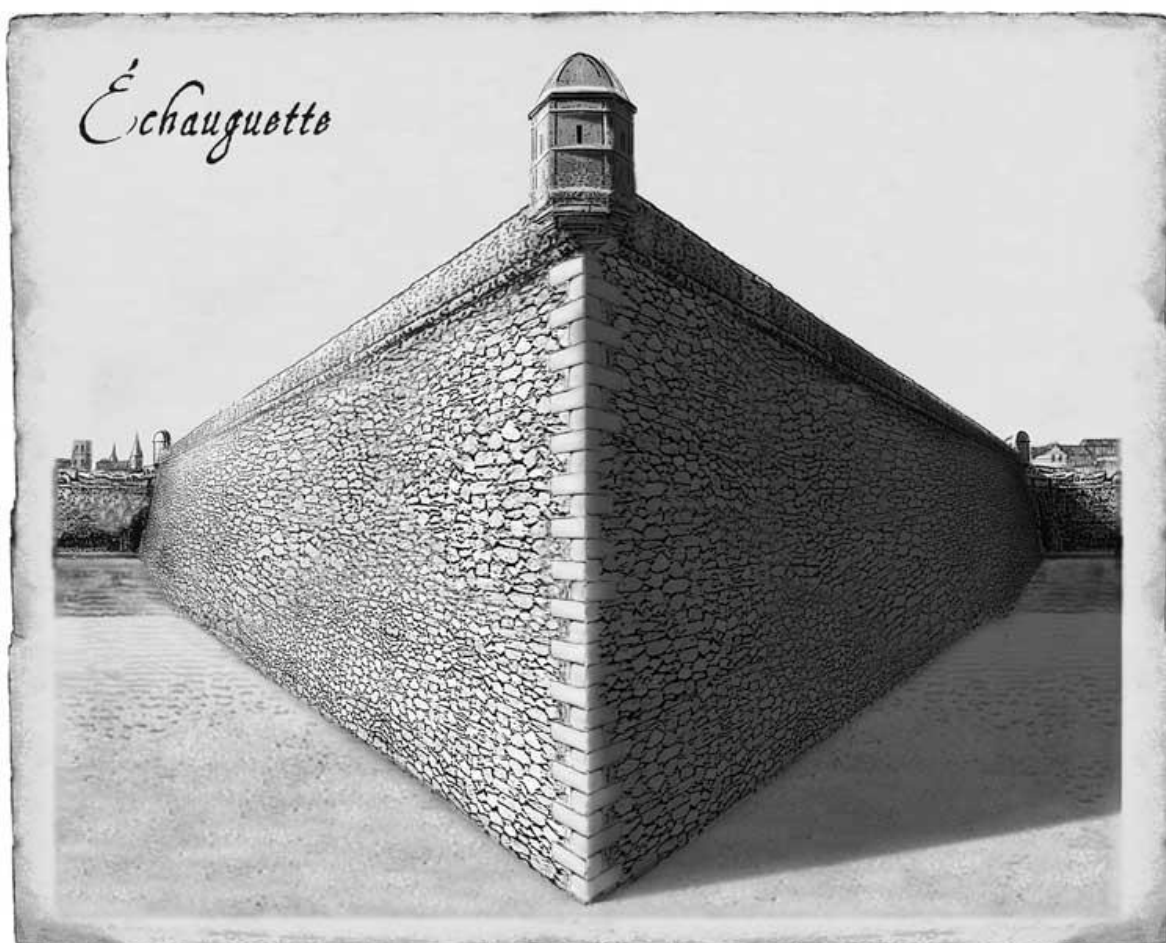
- E le glacis
 F le chemin couvert
 15. place d'armes saillant
 16. place d'armes rentrante
 17. traverses
 18. sortias

Les communications

19. poterne
 20. double-cannonière
 21. rampe
 22. escalier "pas de souris"
 23. rue de rempart

Nie zaprzeczycie, że architektura fortyfikacyjna tego stulecia ma swój urok. Nasza sztuka sprawia, że to, co użyteczne, staje się piękne. Linie geometryczne, czyste, klarowne. Formy ascetyczne, ponieważ niczego nie skrywają. Są tym, czym są: obroną. A wszyscy mieszkańcy tego naszego maleńkiego warownego uniwersum szukają schronienia przed wrogością świata. W czasie pokoju mogą przechadzać się u jego stóp, szczęśliwi i niczym nie zagrożeni, w poczuciu bezpieczeństwa, jakie dają owe pięciokątne bastiony, owe kolosy przycupnięte niby nieruchomi, niezłomni strażnicy. Rzecz nie w tym, że Vaubanowska twierdza dąży do piękna; to raczej piękno przybliża się do niej, poddaje się jej formie. Albowiem kiedy ją kontemplujemy, przed naszymi oczami pojawia się owo jakże mało prawdopodobne pryncypium, owa pozbawiona realnej podstawy wiara w to, że na świecie istnieje porządek, dobry porządek.

Prezentując wam kolejną rycinę (o ile ta rozlazła papła będzie umiała wkleić ją we właściwym miejscu), pozwolę sobie wskazać na pewien poetycki detal.



Widzicie tę maleńką wieżyczkę, sterczącą na rogu bastionu niczym

dziobowy maskaron? Po francusku nazywa się *échaugnette*. Służy do tego, by wartownik trzymał tam straż, bezpieczny od żywiołów. Inżynierowie wojskowi nie są jedynie oschłymi wyznawcami funkcjonalności, nieobce jest im też poczucie estetyki. A *échaugnette* jest czymś w rodzaju wisienki na torcie. Jedyńm szczegółem, w którym projektant może pozwolić sobie na odrobinę błahego polotu. Czasami z lekka stożkowaty dach z czarnego lub czerwonego łupku; kiedy indziej ściany ozdobione delikatnym reliefem. Ukochałem wiele z nich, o wcale niemalej wartości artystycznej. Znałem węgierskiego inżyniera, świetnego rysownika, który z zamiłowania kolekcjonował wykonane samodzielnie szkice *échaugnettes*. I dobrze czynił.

Co najpierw czynią obrońcy, gdy zbliża się nieprzyjaciel? Wysadzają prochem *échaugnette*, żeby zlikwidować punkt orientacyjny dla wrogiej artylerii.

Akt ów zawsze sprawiał mi ból, jedyny w swoim rodzaju, trudny do wyrażenia i ambiwalentny. Miasto gotuje się do obrony swoich domostw. I co czyni na wstępie? Poświęca skazane na zagładę piękno.

Miasto na chwilę przed oblężeniem przypomina rozdeptane mrowisko. *Hannibal ante portas!* Dzwony kościelne biją na trwogę. Okoliczni wieśniacy spieszą schronić się za murami wraz z rodzinami i bydłem. Żołnierze w pośpiechu zajmują pozycje. Rozdziela się amunicję, odsłania lufy armat i wystawia strażę przy prochni.

Ale nawet pośród tego zgiełku i tumultu, gdy oficer dyżurny każe rozejść się wszystkim, którzy są w pobliżu, bo *échaugnette* zaraz wyleci w powietrze, zawsze, powtarzam: zawsze, dzieje się to samo – ludzie stają w miejscu. Patrzą na wieżyczkę szklistymi oczyma. Cisza panuje taka, że słyhać, jak się spala lont. A wtedy, bum! Błyskawiczne przejście ze stanu pokoju w stan wojny. Owo „bum” jest tym dla oblężenia, czym dla Biblii Genesis. My, Punktowani (dzięki tej zrzędzie Waltraud zaraz się dowiecie, o co chodzi z owym „punktowaniem”), byliśmy inni niż wszyscy. Nienawidziłem wysadzania *échaugnettes*, a jednocześnie czułem radość, rozkosz nadchodzącego bólu.

Wielkim błędem moich nauczycieli z Bazoches była wiara w to, że mogą nadać szlachetność rzemiosłu wojskowych maganonów; a nawet wynieść je do świętości sztuki cywilnej. Vauban sądził, że wprowadzając do wojny technikę, oszczędzi ludzkie życie. Teraz, po tylu latach, po tylu masakrach, owa jakże dziecinna idea wydaje nam się plugawa. Lecz markiz naprawdę w nią wierzył. Naprawdę. Odpuszczam mu wszystko.

Pod koniec przechadzki, podczas której opowiadał o historii Bizancjum, zadał mi jedno pytanie. Szliśmy przez zielone łąki pod Bazoches, samotne i zroszone deszczem. Ponad naszymi głowami krakały kruki. Vauban przystanął.

– A waszeć – powiedział – po której stronie jesteś w tej wojnie bez końca? Armat czy bastionów?

– Nie wiem, *monseigneur* – odparłem zaskoczony. I po chwili wahania dodałem: – Wydaje mi się, że jestem z tym, kto ma za sobą sprawiedliwość.

Chwycił mnie za prawą rękę, odwrócił ją, jakby zamierzał czytać z mojej dłoni, i podciągnął mi rękaw.

– Powiedz braciom Ducroix, żeby wytatuowali ci pierwszy Punkt.

Streściłem wam sporą część nauk Vaubana, ale nie sądźcie, że kończyło się na spacerach. W rzeczywistości stanowiły sumę spotkań, wizytacji w szkolnych salach i wezwań do jego gabinetu, gdy miał wolną chwilę albo ochotę podywagować o tym, tamtym lub owantym. Tak czy inaczej, ciężar mojej edukacji nadal spadał na barki braci Ducroix. Oni układali tekst; Vauban wyglądał brudnopis.

Ale cofnijmy się odrobinę. To o punktach wymaga objaśnienia. (A przynajmniej moja niemiecka mastodoncica przy tym się upiera: skrzeczy mi nad uchem jak papuga, żądając, żebym powrócił do fragmentu, w którym wspomniałem o pierwszym Punkcie).

Bliźniacy zapowiadali przyznanie mi Punktu, ilekroć czyniłem znaczące postępy. Rozprostowywałem prawą rękę na stole, a oni tatuowali mnie jakimś żelastwem, które w części przypominało lancet, a w części narzędzie tortur. Pierwszy Punkt wygrawerowali mi na nadgarstku, dokładnie na połączeniu dłoni i przedramienia. „Punkt” jest tu określeniem nader powierzchownym. Pierwszy istotnie był zwykłym kółkiem z niezmywalnego tuszu w ciemnofioletowym kolorze, a kiedy mi je tatuowali, bolało jak diabli. Następny, bardziej wyszukany, znalazł się o parę centymetrów wyżej i przypominał symbol dodawania, +, ale końce kresek miał połączone, co czyniło z niego figurę podobną do rombu. Trzeci był pięciobokiem. Każdy z nich przedstawiał rysunek staranniejszy i bardziej skomplikowany. Począwszy od czwartego, ukazywały się kontury otoczonej bastionami fortecy. Mniemać należy, iż inżynier doskonały ma na przedramieniu dziesięć Punktów, aż do zgięcia w łokciu.

Uprzedzę ciekawość czytelników: dziesięciu wytatuowanych Punktów nie ma nikt na całym świecie. Czyli nikt nie jest Dziesiątką. A przynajmniej ja takiego nie znam. Nie mówię, że nie istnieje gdzieś ktoś, kto na to zasługuje. Po prostu grono maganonów, doborowych specjalistów, jest tak nieliczne, że ci, którzy mogli nadawać innym owe atrybuty, już dawno wachają kwiatki od spodu. No dobra, zostaję ja, Dziewiątką. I co? Jestem już za stary na uczniów. A jakby tego było mało, ci paryscy wywrotowcy, których tak podziwia moja nieznośna, szpetna Waltraud, zburzyli nawet tradycyjny ład wojenny. Tutaj kilka słów.

W początkach mego stulecia wojsko składało się z żołnierzy zaciężnych (inaczej najemników, wszystko jedno, jakiego słowa użyjemy). Jako że żaden król nie był nieskończenie bogaty, armie dysponowały stosunkowo ograniczoną liczbą

ludzi. Dlatego twierdze bastionowe były tak ważne. Blokowały inwazję. Gdyby, zamiast szturmować stojące im na drodze warownie, napastnicy je omijali, mogliby zostać odcięci i wzięci w dwa ognie przez oddziały wroga i obrońców fortecy, którzy mogli zaatakować ich tyły.

Dziś pajace Robespierre'a wymyśliły sobie w Paryżu *levée en masse*, masowy pobór. Chyba raczej masowe zabójstwo. Obecnie wojsko dziesięć, sto razy przewyższa liczebnością armie dawniejsze. Można zostawić kilka regimentów, żeby związać siły obrońców, nie troszcząc się o zdobycie twierdzy, a resztę żołnierzy pognąć dalej. Dlatego w moich czasach na jedną otwartą bitwę przypadało dwadzieścia oblężeń, a większość bitew miała na celu udaremnić lub założyć oblężenie. Teraz walka ogranicza się do pędzenia ludzi na lufy karabinów i armat, jakby dorzucało się dREW do pieca. Wygrywa ten, kto ma więcej chrustu. Do tego sprowadza się nowoczesna nauka o wojnie. Niech żyje postęp!

Wracając do mistyki Punktów, dodam, że w Bazoches były one ceremonialnym dowodem uznania.

W czasach, gdy jeszcze witano się tylko uprzejmym skinieniem głowy, inżynierowie jako pierwsi powrócili do rzymskiego uścisku dłoni. Podając sobie ręce, obracali, ledwie dostrzegalnym ruchem, nadgarstek, patrząc przy tym bacznie, jakie kto ma Punkty. W ten sposób ustalano naturalną hierarchię i oszczędzano sobie kwiecistych mów, sporów i nieporozumień. I wiercie, że wiem, co mówię, bo w trakcie oblężenia lub obrony miasta było to niezwykle istotne. Nieważne, jakie stopnie wojskowe nadawała im armia, Trójka zawsze ustępowała pierwszeństwa Czwórce. I tak kolejno. Zawodowi oficerowie wietrzyli jakiś spisek, lecz Punktowani byli tak doświadczeni i skryci, a wojskowi tak głupi, że nie wiedzieli, w czym rzecz. Albo było im to obojętne.

Sednem owej niepisanej hierarchii było powszechne braterstwo. Cóż to za piękne przeżycie, jakże ekscytujące i podnoszące na duchu, spotkać w Berlinie lub Paryżu, na szerokim stepie węgierskim lub na chłostanym wichrami andyjskim szczycie, kogoś zupełnie nieznanego i nagle, bez względu na to, z jak odległych stron pochodzimy, poczuć, że, za sprawą prostego gestu, obcość topnieje niby tknięta czarodziejską różdżką, gdyż jednoczy nas wzajemny szacunek. Nic na świecie nie może zastąpić owego jedyne go w swoim rodzaju spojrzenia sprzysiężonych.

Rozumiesz, o czym mówię, moja kochana, szpetna Waltraud? Nie, jasne, że nie. A to przecież takie łatwe. Za twoimi plecami, przy piecu, wyleguje się mój kot. Widzisz, jak na mnie patrzy? To właśnie to.

Lecz wówczas nie byłem jeszcze świadom wartości moich tatuaży. Bracia Ducroix przyznali mi drugi Punkt za liczenie ciecierzycy. Nie ma się z czego śmiać. Miałem już dość tej ich sali sferycznej. Powyżej uszu! Tak bardzo, że nawet

nie zauważyłem czynionych przez siebie postępów.

Acan będziesz się mógł nazwać człowiekiem uważnym dopiero wtedy, gdy nawet w roztargnieniu czujność swą zachowasz. Rozumiecie? Jasne, że nie. Ja, swego czasu, też nie rozumiałem. Spróbuję to jakoś wyjaśnić. Otóż nadchodzi taki moment, że kiedy myśl gdzieś błądzi, mechanizmy uwagi pozostają włączone i wciąż badają otoczenie.

Kiedyś, podczas obiadu, postawili przede mną talerz ciecierzycy. Owego dnia bracia Ducroix jedli ze mną i od razu spostrzegli, że głowę mam w chmurach. (Odgadli trafnie: dumałem właśnie, że włoski na cipce Jeanne mają dokładnie taki sam kolor jak ciecierzycyca).

Armand zdzielił mnie w czoło chochlą.

– Aspirancie Zuviría! Ile ziaren ciecierzycy masz na talerzu? Mów, ale już!

Przełknąłem pospiesznie pełną łychę i odparłem:

– Było dziewięćdziesiąt jeden. Teraz zostało osiemdziesiąt jeden.

Byli wniebowzięci. I wcale nie zmyślałem. Nawet ja sam nie wiedziałem, że znam odpowiedź, dopóki nie zadali mi pytania. Przedstawienie z przetykaniem zrobiłem, żeby się z nimi podroczyć i udowodnić, że zachowuję kontrolę, a obserwacja nie jest dla mnie chwilą skupienia, lecz procesem.

Zawsze gdy wychodziłem z sali sferycznej, padało sakramentalne pytanie:

– Aspirancie Zuviría, co widziałeś?

Żeby nie wiem jak dokładnie opisywał wiszące przedmioty, podawał ich odległość od podłogi i od siebie nawzajem, werdykt był zazwyczaj ten sam:

– Dostatecznie, choć miernie.

Pewnego dnia wreszcie, przy końcu wyliczanki, dodałem po krótkiej przerwie:

– I jeszcze ja.

Powtarzali mi tysiące razy, że obserwator jest częścią tego, co obserwuje. Ku memu wielkiemu wstydomu, upłynęło wiele miesięcy, zanim pojąłem, iż ja sam również znajdowałem się wewnątrz owej sali. Być może wyda się wam to zwykłą lekcją pokory albo pustą zabawą w słówka. A jednak nie.

Kiedy wróg sposobi się do ataku na mój bastion, powinienem widzieć wszystko i wszystko wyliczyć. Nasze karabiny, ich karabiny. Stan murów obronnych, liczbę armat, odległość i szerokość paralel^[15]. Także mój własny strach. Nie istnieje na ziemi nic, co zniekształca rzeczywistość bardziej niż lęk. Gdybym nie był świadom swego strachu, to strach by patrzył, nie ja. Albo, jak by powiedzieli bracia Ducroix: „Strach zakrada się do oczu i patrzy zamiast ciebie”. Świat się morduje, ludzie giną, szturmując mury lub ich broniąc. Ale w swej istocie wszystko to razem nie jest niczym innym niż maleńką białą sferą, zagubioną w jakimś zakątku uniwersum, obojętną na nasze udręki i cierpienia. Tym właśnie jest Mystère.

Trójkę przyznali mi za ukończenie mojej długiej transzei.

– Winszuję, aspirancie Zuviria. Zarobiłeś acan trzeci Punkt – oznajmił mi Armand. – Pozwól jednakże, iż nieco zróżnicujemy ocenę twojej pracy. Gdy dotarłeś do granicy naszego nieuprawnego pola, nie przestałeś kopać, lecz parłeś naprzód, z kilofem, łopata i faszyną. I dobrze zrobiłeś, choć zniszczyłeś żywopłot. Nie daliśmy ci żadnych wytycznych, nie nakazaliśmy, byś się zatrzymał, a od inżyniera oczekuje się posłuszeństwa i wytrwałości. Lecz mimo to... Nie zauważyłeś acan, że przyległe grunta obsiane są zbożem?

– Zauważyłem.

– Dobrze, nie przynosi ci ujmy, że przekopałeś się na cudzą ziemię, niebędącą własnością zamku. W czasie wojny bój toczy się o wszystkie grunta. Ale kiedy czoło twojego okopu zderzyło się z osłem ciągnącym pług, a poczciwiec idący za nim żywo zaprotestował przeciw owej inwazji, nie przyszło ci może do głowy, że to ćwiczenie przekracza zakres lekcyjny?

– Nie.

– Dobrze. Nie do ciebie, acan, należy ocena rozkazów. Jednakże kiedy ów szlachetny oracz naurągał ci zdrowo, to jak sądzisz? Stosownie postąpiłeś, waląc go na odlew łopata i wciągając do rowu?

– Tak. Cios tylko pozbawił go przytomności. Uznałem, że wszelkie dyskusje byłyby stratą czasu. Uczyniłem to, żeby usunąć go z linii strzału. A mniemam, iż jedynym sensem pracy inżyniera jest ochrona królewskich poddanych. – Westchnąłem. – Z osłem się nie odważyłem. Mógłbym go, oczywiście, zdzielić łopata w łeb i powalić na ziemię, ale wtedy musiałbym się wystawić na ostrzał. A poza tym nie byłem pewien, czy się zmieści. Był gruby, a transzeja ciasna. Doszedłem do wniosku, że życie inżyniera jest cenniejsze od życia osła, więc pozostawiłem go własnemu losowi.

Armand i Zenon spojrzeli na siebie jakby z powątpiewaniem. Dodałem zatem:

– Osioł wydał mi się wówczas nieważny.

Czwarty Punkt otrzymałem po seansie w kopie siana, a była to jedna z najlepszych chwil w moim długim życiu ogiera oportunisty.

Pewnej niedzieli po południu siedzieliśmy w stogu z Jeanne po miłosnych figlach, nadzy, zacisznie osłonięci przed dokuczliwym kapuśniaczkiem. Jeanne drzemała, przymknąwszy powieki. Była naprawdę piękna, leżąc na pożółkłych źdźbłach. Jej zaróżowiona skóra, jej rude włosy... a wszystko to skąpane w subtelnym, słodkim i szarym blasku Burgundii. Z kłębowiska ubrań wydobyłem papierowe okładki.

– Napisałem dla ciebie wiersze – powiedziałem i położyłem przed nią plik szkiców.

Otworzyła oczy i twarz jej się rozjaśniła. Nieważne, czy kobieta jest

szlachcianką wysokiego rodu, czy podśmierdującą wieśniaczką, jak moja kochana, szpetna Waltraud. Kiedy ktoś mówi, że napisał dla niej wiersz, wpada w zachwyty.

Wzięła kartki do ręki.

– Co to? – zapytała, jednako zdziwiona i rozbawiona.

– Zbiór poematów. Chociaż tylko jeden jest czegoś wart. Ten, który skończyłem wczoraj i za który dostałem czwarty Punkt.

– Wiersze? Przecież to rysunki.

– No to co? – zachnąłem się. – Bracia Ducroix udzielają mi lekcji rysunku, nie wersyfikacji. Ale to poematy. – Przysunąłem się do niej jeszcze bliżej. – To projekty fortec. Podobają ci się?

Nie miała odwagi przyznać się do własnej niewiedzy, widocznej jednak jak na dłoni. Rozpostarłem szkice na sianie i mówiłem dalej:

– Ostatni jest najlepszy. Zgadniesz, który to? Jak się dobrze przyjrzysz, zobaczysz, że jest inny niż wszystkie.

Jej roztańczony wzrok przesunął się z rysunku na rysunek.

– Patrz uważnie! – powiedziałem. – Jesteś córką Vaubana. Kto jak kto, ale ty powinnaś zrozumieć.

Przez kilka chwil wpatrywała się w jeden ze szkiców. Odłożyła go na bok. Potem w następny i kolejny. Wciąż padało. Podczas gdy ona dokonywała wyboru, umysł mój obserwował krople deszczu. Przeszło mi przez głowę, że w wilgotnych krajach można by użyć deszczu jako broni przeciw oblężcom.

– Ten – powiedziała w końcu. – Tak, ten jest najlepszy. – Trafiła. Jej twarz przypominała buzię dziecka, które właśnie nauczyło się czytać. – Inny niż wszystkie. Wydają się jednakowe, ale nie są. A w tym coś jest. – Spojrzała na mnie. – Skąd ta różnica?

– Bo tu – odrzekłem, dotykając papieru palcem – tworzyłem fortecę, myśląc o tym, że w mieście śpiesz ty. A ja cię broniłem.

Z całego liczego rodu Vaubanów najrzadziej gościł w zamku małżonek Jeanne. Sądzę, że ślub wzięli pro forma, i prawdę mówiąc, obecność tego człowieka wcale nie była dla mnie przykra.

To, że trzymał się z dala od Bazoches, nie wynikało z jakiejś szczególnej niechęci. Po prostu żył, nie obdarzając uwagą żony, którą ignorował, choć bez wrogości czy pomiatania. Kiedy jedli przy ogromnym stole, musieli, zgodnie z etykietą, siedzieć ramię w ramię. On bardziej interesował się solniczką niż swoją połowicą (wiecznie się bał, że nie starczy dla niego soli, była to jedna z wielu jego obsesji). Gdy przechodził obok mnie, widziałem niemal jego myśli, sypiące się jak trociny.

Nie mył się, chyba że pod nadzorem krewnych. Kiedy zbyt długo pozostawał w Paryżu poza kontrolą rodziny, zapuszczał sobie paznokcie dłuższe od wilczych

pazurów. A z szat, wielce kosztownych, robiły się łachy. Gdy tylko pojawiał się w Bazoches, ukrywano go, potem myto i odziewano, albowiem gdyby markiz ujrzał zięcia w takim stanie, gotów byłby go przepędzić. A przecież małżonek Jeanne czuł się szczęśliwy, może nigdy nie znałem człowieka odeń szczęśliwszego. Jego obsesją był kamień filozoficzny. Zawsze dzielił go ledwie krok od odkrycia ostatecznej tajemnicy. A czyż istnieje ktoś szczęśliwszy od geniusza w przededniu dokonania naukowej rewolucji? Ponościł klęski, rzecz jasna, i wówczas na dwa dni popadał w głęboką melancholię. Ale trzeciego był już radosny, rozbrykany i zadowolony, gdyż w jakiejś parszywej księdze znalazł kolejny tajemny wzór.

Jak to zwykle bywa, rogacz stał się serdecznym przyjacielem kochanka (wbrew mojej chęci, ale cóż począć). Sądzę, że nigdy się nie dowiedział o moim związku z Jeanne, a gdyby nawet, guzik by go to obchodziło. Żeby nie wiem jak go unikał, niechybnie dopadał mnie w jakimś kącie, prędzej czy później.

– Mój drogi Zuviria! – wykrzyknął któregoś dnia, ściskając mnie serdecznie.

Już od tygodnia przebywał w zamku, wyjątkowo długo, zważywszy na jego nagłe zazwyczaj przyjazdy i wyjazdy. Przyczyną była pewna mieszkanka wioski Bazoches, starucha słynąca z konszachtów z duchami, którą odwiedzał codziennie.

– Wierzę, iż nareszcie trafiłem na ślad, który zawiedzie nas wprost do kamienia filozoficznego – kontynuował. – Trop nie z tego, jeno z tamtego świata! Dzięki tej starej wiedźmie mogę rozmawiać z duchami wyższymi, które mnie poprowadzą. Wczoraj gawędziłem z Nostradamusem i samym Karolem Wielkim.

Nie jest całkiem nielogiczne, że czuł taką słabość do mojego towarzystwa. Rodzina miała się wszelakich sposobów, by co rychlej go odprawić, a służba była odeń niższa stanem. Mnie za to mógł zanudzać do woli, z racji mego wyjątkowego statusu ucznia, w pół drogi pomiędzy owymi dwiema tak skrajnymi warstwami społeczeństwa. Z mojej zaś strony byłoby wielce niestosowne odesłać do licha członka rodu Vaubanów. Musiałem przeto znosić mentalne wzloty i upadki, jakie przeżywał, szukając kamienia filozoficznego. Bądźmy zresztą pobłażliwi, nie było to bowiem brzemię zbyt ciężkie. Moje obowiązki sprowadzały się do otwierania szeroko oczu i, od czasu do czasu, wydawania okrzyków „Nie może być!”, „Fascynujące!”, a nawet „Świat zadrży ze szczęścia!”, gdy w rzeczywistości myślałem: „Skończ już, czubku, bo spieszę się na stóg, wychędożyć swoją żonę”.

Prawdziwym kamieniem filozoficznym było Bazoches. Tak, tak, rozkoszne Bazoches. Spędziłem tam moje najlepsze dni; pełne czułości i słodkich nadziei. Szczęśliwe. A miejcie na uwadze, że przemawia do was dziewięćdziesiąt osiem przeżytych lat, dziewięćdziesiąt osiem obrotów wokół Słońca. Jednakże w tych samych dniach miał też miejsce złowróżbny epizod, który obudził we mnie lekki niepokój.

Jeanne i ja nie zawsze oddawaliśmy się miłości w ukryciu. Czasami odwiedzał nas pewien kapitan piechoty, kawaler Antoine Bardonenche. Nie

pamiętam, jaki fawor winien był mu markiz, ale gość ów miał do zamku zawsze wolny wstęp. Młodzieniec rosły, o wydatnych szczękach, świetny fechtmistrz, niewiarygodnie prostoduszny. Wzorem dlań byli błędni rycerze, z tym że tamci tragizowali, a Bardonenche zaśmiewał się do rozpuku. Był jednym z wytworniejszych mężczyzn, jakich znałem, o doskonałej postawie i manierach. Charlotte, starsza siostra Jeanne, kochała go do szaleństwa. Czasami, w niedzielę, chadzaliśmy we czwórkę – Jeanne i ja, Antoine i Charlotte – na łąki otaczające zamek. Oni fechtowali się na niby kijami, wśród niewinnych igraszek i chichotów. Ja obserwowałem Bardonenche'a oczami Bazoches, chcąc wybadać, co skrywał pod skórą wojownika, podszytego chłopięcą zmysłowością. Nic, zupełnie nic. Treścią jego życia była namiętność do żołnierki i służba dla Ludwika XIV, którego lokaje nazywali „Królem Słońce”, a wrogowie „Potworem Europy” albo zwyczajnie „Potworem”.

Pewnego dnia, gdy markiza nie było i – cóż za nowina! – braci Ducroix także, urządziliśmy sobie w zamku zabawę. Byliśmy jeszcze dziećmi, chociaż ja studiowałem, chociaż Jeanne miała męża, chociaż Bardonenche nosił mundur kapitana piechoty. Grałismy w ślepą babkę. Kiedy zawiązali mi oczy, łapałem ich bez trudu. Dzięki ćwiczeniom w sali sferycznej wzrok nie był mi do tego potrzebny. Czułem ich śmiechy, słyszałem zapach. Naumyślnie wyciągałem ręce w złym kierunku, żeby mogli sobie pobiegać. Raptem moje dłonie pchnęły jakieś drzwi ukryte za kotarą. Zdumiał mnie ów kamuflaż, ale wszedłem bez zastanowienia, czego normalnie nigdy bym nie uczynił.

Za drzwiami pojawił się wąski korytarz. Wymacałem ustawione wzdłuż ścian postumenty, a na nich jakieś dziwaczne figury. Zerwałem opaskę. Były to makiety przedstawiające fortyfikacje i cytadele wszystkich europejskich miast.

Boże mój, nagle zrozumiałem, gdzie jestem. W Wersalu Potwór gromadził miniatury twierdz z całego kontynentu, *toutes en relief*. Gdyby królewscy generałowie musieli kiedyś szturmować którąś z nich, mieli do dyspozycji jej replikę, aby inżynierowie mogli jak najlepiej zaplanować atak. Vauban, bez wiedzy Potwora, stworzył podobne muzeum. Naturalnie markiz nie miał zamiaru dzielić się tego rodzaju sekretem ze zwykłym aspirantem, jakim byłem ja, lecz choć lojalność nagliła mnie do opuszczenia komnaty, coś mnie powstrzymało.

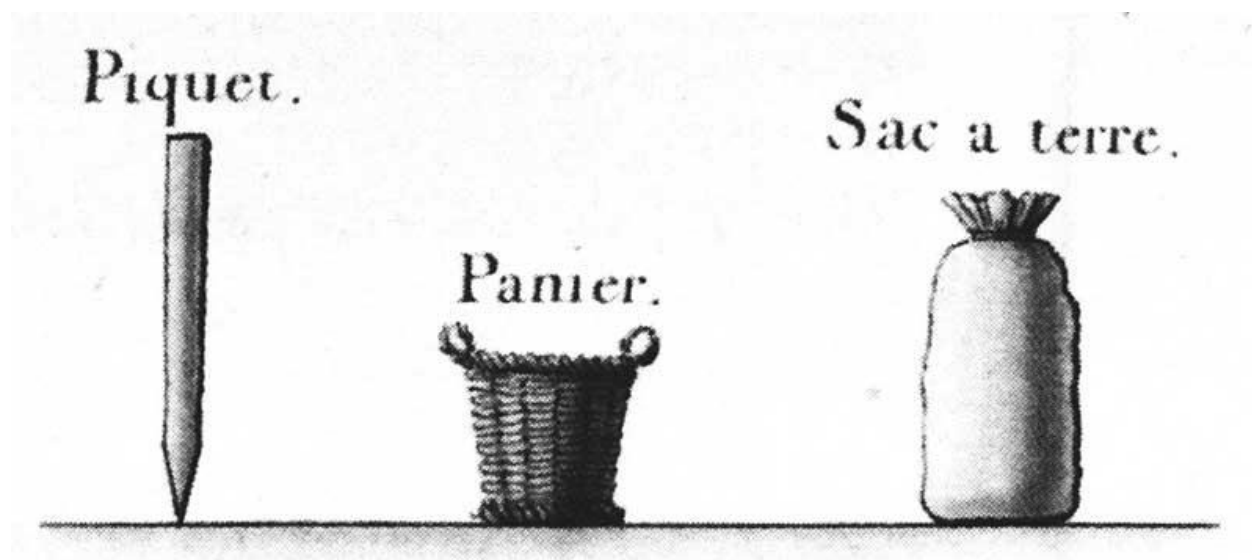
Utkwiłem wzrok w najbliższej makiecie, gwiazdzistej figurze z dwunastoma bastionami. Rzemieślnicy wykonali wspaniałą pracę. Z gipsu, patyczków i porcelany odtworzyli twierdze wznoszone w całej Europie, aż po jej najdalsze krańce. Wszystko we właściwej skali, z zachowaniem kąta nachylenia bastionów i głębokości fos... Rzeki, wybrzeża i nadmorskie mokradła zaznaczono kolorem niebieskim, jaśniejszym lub złamanym szarością, zgodnie z głębokością dna i odległością od murów. Odzwierciedlono elewacje i urwiska, barwy brązowej, mniej lub bardziej nasyconej, zależnie od wysokości. Obok tablice numeryczne

uzupełniały informacje danymi technicznymi.

Zamknąłem oczy, jakbym wciąż grał w ślepią babkę. Makiety były tak dokładne, że mogłem rozpoznać je opuszkami palców. Ath. Namur. Dunkierka. Lille. Perpignan. Większość z nich wznosił lub odbudował Vauban. Besançon. Tournay. A także Bourtange, Kupertyn, nieprzyjacielskie warownie, spenetrowane przez szpiegów Potwora. Fortece w kształcie gwiazd, których kontury badałem palcami, jedną za drugą, niby na Drodze Mlecznej, zamkniętej w owej magicznej komnacie. Usłyszałem głosy. Tam, na zewnątrz, nawoływali mnie Jeanne i Bardonenche. Jeszcze tylko jedna, ostatnia *maquette*, rzekłem sobie, tylko ta jedna, zanim stąd wyjdę.

Znów zacisnąłem powieki i jałem przesuwając palcami po średniowiecznych murach i wiekowych bastionach. Wszystko wskazywało na to, że chodzi o miasto stare, tysiącletnie. Ciekawe. Więcej szczegółów. To port, bo mury nie zasłaniają morza. Zamarłem. Przeszył mnie dreszcz. Przelknąłem ślinę... Znałem te kontury.

Po raz pierwszy, odkąd wszedłem w progi Bazoches, tknęło mnie jakieś mroczne przecucie. Albowiem w Bazoches wszystkim rządził pożytek. A skoro te repliki tu są, to może kiedyś, pewnego dnia, posłużą do sporządzenia planów ataku. Otwarłem oczy, spojrzałem na tę ostatnią makietę. To była Barcelona.



Znienawidziliście kiedyś kogoś od pierwszego wejrzenia? Poznałem w życiu tylu łotrów, łajdaków i sukinsynów, że gdyby diabeł zebrał ich do kupy na sabacie, wypełniliby Morze Śródziemne po brzegi. Lecz tylko jeden zasłużył na moją dozgonną nienawiść – Joris Prosperus van Verboom. Popatrzcie, popatrzcie na kopię jego oficjalnego portretu. Czarujący chłopiec, czyż nie?

Kiedy go poznałem, Verboom dobiegał chyba czterdziestki. Widok jego prostackiego oblicza i pucołowatych, psich policzków przywodził na myśl rzeźnika rozpruwacza. Nie przesadzam. Na twarzy miał zawzięty grymas, a rysy ściągnięte, jakby od lat nie brał na przeczyszczenie. Surowe spojrzenie markiza de Vauban wynikało z umiłowania porządku i prawa. Surowego, ale jednak prawa. Spojrzenie Verbooma – z pogardy dla ludzi niższego stanu.

Wziąwszy pod uwagę późniejsze wydarzenia, stwierdzam, że świat byłby lepszy, gdyby ów człowiek pozostał tym, kim był w istocie: kielbaśnikiem z Antwerpii, który nigdy nie powinien był opuścić progów swego domu. Ale opuścił, albowiem nade wszystko cechowała go służalcza ambicja, dopasowana do jego charakteru jak klucz do zamka. Dlatego tak kochali go władcy i nagradzali synekurami, albowiem królowie wiedzą, że sępy latają wysoko, ale zawsze niżej niż orły.



Ktoś zapomniał go nauczyć się śmiać, co w stosunkach z podwładnymi bywało bardzo przydatne, bo czuli przed nim lęk, wobec kobiet jednakże kończyło się katastrofą. Żal brał patrzeć na jego zaloty, gdyż było to widowisko żenujące, by nie rzec groteskowe. Brak zestrojenia z kobiecością, z całą ową sferą świata rządzoną przez prawa bardziej skomplikowane niż rozkaz i posłuch, rodził w nim dziką niezgrabność. Efektem tego były żalosna bufonada i wygłupy śmieszne dla

większości widzów. Sprecyzujmy. Śmieszne, o ile widz nie adorował tej samej kobiety. Ja zaś po raz pierwszy ujrzałem Verbooma pośrodku zamkowego dziedzińca, gdy umizgiwał się do mojej Jeanne tą swoją obleśną rzeźnicką mordą.

Wracałem właśnie z pola, kompletnie skonany, obładowany łopatami i kilofami, kiedy się na nich natknąłem. Techniki obserwacyjne z Bazoches znajdują zastosowanie nie tylko w inżynierii. A ja byłem już Czwórką i wystarczyło mi jedno spojrzenie, pół spojrzenia, by odgadnąć, czego chce to indywiduum. Albo lepiej – kogo.

Przed laty Verboom, kielbaśnik z Antwerpii, służył pod rozkazami Vaubana w kilku oblężeniach. To usprawiedliwiało wizytę, z pozoru jedynie kurtuazyjną. Dobra wymówka, żeby popisać się mundurem królewskiego inżyniera. Ha! W rzeczywistości przybył na polowanie. Jeanne była piękna, bogata, była córką Vaubana i żoną dziwaka, którego z dnia na dzień mogli zamknąć na strychu w przytułku dla obłąkanych. Kiedy podszedłem, masarz akurat pytał Jeanne o ojca. Gdy odrzekła, że nie ma go w Bazoches, powiedział:

– Szkoda, zboczyłem z drogi, żeby złożyć mu wyrazy szacunku.

Kłamliwa szuja! Cała Francja wiedziała, że w tej chwili Vauban znajduje się w Paryżu, gdzie naradza się z ministrami Króla Słońce. Verboom przywłókł się do Bazoches właśnie dlatego, że markiz wyjechał, a on mógł zalecać się do Jeanne bez skrępowania.

Zatrzymałem się za ledwie pół kroku przed tą parą, patrząc na Verbooma z bezczelnością właściwą szaleńcom. Ów zdumiał się, że brudny sługa jest tak impertynencki, lecz będąc gościem, a do tego w obecności damy, wołał grubianina zignorować. Jeanne od razu zdała sobie sprawę z tego, co mogło wnet nastąpić.

– Martí, idź się umyć – powiedziała i zwróciła się do Verbooma z pytaniem, czy ma ochotę na drobną przekąskę. Ja nadal gapiłem się na nich bez mrugnienia okiem. Po czym rzekłem:

– Nic mu nie dawaj. Ma ochotę na wszystko.

Na swoją obronę dodam, że powiedziałem to pod wpływem braci Ducroix. Wyjąwszy chwile spędzone z Jeanne i krótkie pogaduszki ze służbą, przez cały dzień przebywałem tylko w ich towarzystwie. W owym czasie już zarazili mnie swoją manierą głośnego myślenia. „Dzieci nie mówią, bo potrafią myśleć; potrafią myśleć, bo nie mówią”, powtarzali do znudzenia. Kiedy kogoś ćwiczy się w podboju rzeczywistości, nie boi się mówić szczerze. Zapomniałem jednak, że życie wyższych sfer rządzi się fałszem i cenzurą.

Oblicze Verbooma zapłonęło. Chodzi mi tu o pewne zjawisko fizyczne, równie oczywiste, jak godne uwagi. Niektórym ludziom z gniewu nabrzmiewają żyły, a mięśnie napinają się do granic wytrzymałości. Muskuly w mięsistej twarzy Verbooma nabrzmiały niby czerwone bąble. Powinienem był czuć strach. Tymczasem z trudem się hamowałem. Jeanne pojęła, że zanoszą się na katastrofę.

– Martí!

Kilof i łopatę niosłem na prawym ramieniu, przez co ręka była odsłonięta aż do łokcia, na który opadał brudny rękaw. Verboom wypatrzył moje cztery Punkty i niedowierzanie zdwoiło jego furię. Chwycił mnie za nadgarstek swoim wielkim łapskiem, przysunął go do oczu i powiedział:

– To musi być jakaś pomyłka.

Kilof i łopata spadły na ziemię. Brzęknęło o kamień żelazo, zagrzecgotały drzewce. Jaszczurczym ruchem lewej ręki podciągnąłem mu prawy rękaw. Verboom miał tylko trzy Punkty. Cmoknąłem drwiąco.

– W pańskim przypadku na pewno nie.

– Jak śmiesz mnie dotykać, gówniany ogrodniku! – wrzasnął. – Puszczaj!

– Z największą przyjemnością. Kiedy waszmość puścisz mnie.

Duma nie pozwalała mu ustąpić. Zamiast puścić, próbował mnie przemóc. Była w nim siła skały, właściwa ludziom, którzy z natury i urodzenia mają ciało zwaliste i tęgie. Moje mięśnie były wyćwiczone, kocie, bez odrobiny tłuszczu. Trwaliśmy w absurdalnym cielesnym zwarciu, przypominającym tureckie zapasy. A może wcale nie takim absurdalnym, albowiem w rzeczywistości mężczyźni częściej biją się o kobiety niż o pieniądze, sławę czy cokolwiek innego.

Nigdy przedtem ani potem nie znalazłem się w takiej fizycznej bliskości z masarzem z Antwerpii. Nasze nozdrza niemal się stykały. Z bliska prostackie rysy jego twarzy były kwintesencją żarłocznej pożyłki. Rozszerzone, głębokie pory, pot gęsty jak śluz ślimaka.

Walczyć z kimś takim jak Verboom to jak wspinać się na wielką górę. Myślisz, że nigdy nie dotrzesz na szczyt, że zbocze nie ma końca. Już chciałbyś się poddać, ale idziesz dalej. Aż nagle jesteś tam, stawiasz stopę na wierzchołku.

Verboom wydał z siebie głuchy pisk, a potem zwałił się na ziemię. Dźwignął się na jedno kolano i z przerażeniem zająknął mi w twarz. Już miałem kopnąć go w łeb moim saperskim buciorem, gdy gromada sług odciągnęła mnie od niego. Łapał ustami powietrze, upokorzony. Jeanne starała się załagodzić sytuację, jak mogła. Przepraszała, tłumaczyła, że jestem po prostu nadgorliwym strażnikiem. Do tego trochę stukniętym, dodała pospiesznie, bo nawet przytrzymywany przez czterech chłopów, wyrывałem się i pokrzykiwałem.

– Martí! Proś pana Jorisa o wybaczenie. I to już!

Żądanie Jeanne sprawiło, iż słudzy nieco poluzowali uścisk, co wykorzystałem, by znowu skoczyć mu do gardła. Tym razem Verboom nie strugał bohatera. Odwrócił się na pięcie tak nieszczęśliwie, że runął jak długi na brzuch. Złapałem go za kostkę, czołgając się, bo słudzy ciągnęli mnie za nogi. Zanim mnie stamtąd zabrali, zdołałem jeszcze zatopić mu zęby w lewym pośladku. Gdybyście słyszeli jego wrzask!

Młodzieńcza porywczosć ma to do siebie, iż nie potrafi przewidzieć konsekwencji swoich czynów. Lecz kiedy jesteś uczniem przyjętym z łaski przez pana na Bazoches, pod jego kuratelę i na jego żołd, i dziurawisz zębami spodnie jego gościa, wtedy, chłopcze, cóż, nie dziw się, że twój pryncypał się wkurzy.

Jakby tego było mało, wybrałem na bójkę z Verboomem moment możliwie najgorszy. Po naradzie z ministrami Ludwika XIV, Potwora Europy, Vauban ujrzał jasno, iż skazano go na ostracyzm. Został wezwany jedynie dla porządku, lecz odrzucono jego sugestie, wszystkie razem i każdą z osobna, co do sposobu prowadzenia wojny i warunków zawarcia pokoju. Wrócił do Bazoches w fatalnym humorze, a na powitanie uruczono go nowiną, że jego reputacja gościnnego gospodarza legła w gruzach.

Bracia Ducroix oznajmili mi grobowym tonem:

– Martí, pan markiz chce cię widzieć.

Najpierw jednak przysłała kolej na Jeanne. Pod nieobecność ojca to ona rządziła w zamku, więc Vauban obarczył ją odpowiedzialnością za to, co się stało. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, wciąż jeszcze się kłócili. Wpadły mi w ucho słowa córki:

– ...tysiące razy słyszałam, co sam myślisz o Verboomie.

– Nie o nim tu mowa! – krzyczał markiz. – Zawitał w moje progi, powinniśmy go przyjąć chlebem i solą! A został pokąsany! – Na mój widok zawołał: – Ach, widzę i drapieznika!

Ruszył ku mnie. Przez chwilę myślałem, że dostanę w pysk.

– Czy twoja chora wyobraźnia podsuwa ci jakąś wymówkę? – pytał rozsierdzony. – Odpowiedz! Dlaczego napadłeś na gościa w moim własnym domu?

– Bo to zły człowiek – odparłem.

Prawda jest tak potężna, że potrafi zachwiać nawet moźnymi tego świata. Markiz zniżył ton, choć tylko trochę.

– A nie nauczono cię, acan, że dobro od zła separują odbojniki zwane dobrymi manierami? Poszarpałeś spodnie królewskiego inżyniera! Zębami!

Chciałem się odezwać, ale mi nie pozwolił; znów dał się ponieść emocjom.

– Milczeć! Nie chcę cię tu nigdy więcej widzieć! *Jamais!!!*^[16] – ryknął. – Zamkniesz się, acan, w swojej izbie i nie wyjdiesz stamtąd do rana, a jutro przybędzie dylizans i odwiezie cię do domu, czy gdzie tam ci się spodoba. Byle jak najdalej od Bazoches. Precz mi z oczu!

Znalazłszy się w mojej izdebce, jąłem walić głową w ścianę. Do domu! Bez tytułu, bez dyplomu. Ojciec mnie zabije. Co gorsza, wiedziałem już, że spotkał mnie przywilej. Życie podarowało mi coś, czego nie da się kupić za żadną fortunę – byłem uczniem, jedynym uczniem, największego geniusza poliorcetyki^[17], jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. A jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że jeszcze nie zakończyłem moich studiów, prawdę mówiąc, nie opanowałem nawet

połowy tego, czego mogłem się nauczyć w Bazoches. Najbardziej zaś nieznośna była myśl, że rozdzieli mnie z Jeanne.

Zachowałem się jak idiota, skończony idiota. Patrząc na to głębiej, popełniłem błąd właściwy każdej ludzkiej istocie. Albowiem, gdybym zachował czujność, gdyby nie zaślepiła mnie namiętność, jak uczyli mnie bracia Ducroix, zrozumiałbym, że Jeanne nigdy nie pokocha Verbooma. Ale nie, musiał się w to wdać charakter Zuviriów i teraz wszystko stracone.

Rzecz w tym, że od owego dnia zniechęciłem Verbooma na resztę życia. Później z winy kielbaśnika z Antwerpii wiele mi przyszło wycierpieć: zakuto mnie w kajdany, torturowano, wygnano i jeszcze gorzej. Ale nigdy nie doznałem tak wielkiej krzywdy, jak za tym pierwszym razem! Moja nienawiść była niezmiernie czysta, bez najmniejszej skazy, czysta jak kryształ. Nienawiść, nie muszę chyba tego mówić, wzajemna, i trwała dopóty, dopóki tego ohydneho wieprza nie spotkał zasłużony koniec. Szkoda, że ów epizod nie mieści się w tej historii, bo umieram z ochoty, by opowiedzieć, jakim sposobem udało mi się sprawić, że wyzionął ducha. I to po mękach tak straszliwych, że kiedy już znalazł się w piekle, musiało mu się zdawać, iż trafił do tureckiego kąpieliska.

No dobra, jak będziesz grzeczna, moja kochana, szpetna Waltraud, to ci potem opowiem, w przerwie między jednym rozdziałem a drugim. Ale jak się porzygasz ze wstrętu, odwróć łepetynę! Wiem, że macie w Wiedniu stare porzekadło, które brzmi mniej więcej tak: „Od dobrego przyjaciela lepszy jest tylko dobry wróg”. I niech to licho! Nie ma dobrych wrogów, jeżeli są prawdziwi. Wrogowie są albo żywi, albo martwi. I póki żyją, nie przestaną cię wkurwiać.

Daj no jeszcze biskopca.

W aniołach najlepsze jest to, że nigdy nie śpią. Kiedy siedziałem pod kluczem, bliźniacy przedstawili Vaubanowi plany fortyfikacji Arras. Pokazywali mu rysunki i omawiali szczegółowo, a markiz oglądał je z uwagą, nisko pochylony nad kartkami, bo już psuł mu się wzrok. Używał czegoś w rodzaju lupy bez rączki – wielkiego, wklęsłego szkła, oprawionego w żelazną obręcz z trzema kółkami – która przesuwiała się po papierze w poszukiwaniu najmniejszego błędu. W takich chwilach przypominał prostego złotnika.

Arras było ukochanym projektem marszałka. Z tych czy innych powodów zawsze odkładał go na później, ale i tak przykazał braciom Ducroix, żeby rozrysowali fundamenty fortecy najdoskonalszej, najpotężniejszej i najlepiej zaopatrzonej, jaką tylko potrafią sobie wyobrazić. Kiedy analizował plany, nigdy się nie odzywał ani słowem. Wokół niego mogło stać dziesięciu, piętnastu, nawet dwudziestu ekspertów, komentując bez przerwy jego cudowne dzieła. Vauban jednak, jak powiedziałem, był bardzo skąpy w uwagach. Słysząc było jedynie jego oddech, ponieważ zamyślony, miał zwyczaj sapać głośno przez wiecznie zatkany

nos, zagłuszając dookolny harmider.

W każdym razie ci, którzy go znali, mogli odgadnąć jego opinię z dźwięków, jakie z siebie wydawał. Cisza była złym znakiem, bardzo złym. Za to gdy zachwycił się jakimś pomysłem, wymykało mu się gardłowe „hung!”, „hang!”, a czasem jeszcze dziwniej brzmiące „heeeengggg!”, co dla ludzi spoza jego kręgu zdawało się wskazywać na niezadowolenie, a oznaczało coś wręcz przeciwnego.

W miarę jak bracia Ducroix kładli przed nim kolejne arkusze, owo „hanghung” przybierało na sile. W pewnej chwili jego lupa znieruchomiała nad jakimś bastionem.

– *Et ça?*^[18] – zapytał, nie podnosząc głowy. – Co znaczą te trzy małe garby na każdym narożniku?

– Czasze, *monseigneur* – odparli bracia. – Czasze wież pancernych.

– Nie rozumiem.

– Ponieważ moździerz jest największym wrogiem bastionu – powiedział Zenon – nieprzyjacielską artylerię trzeba zwalczać jej własną bronią. Chodzi o zniszczenie moździerzy za murami. Przy czym moździerze bastionowe zyskają przewagę, bo będą ukryte za masywną kamienną osłoną. Wróg zostanie zmuszony do wytoczenia swoich na otwartą przestrzeń, a wtedy staną się bardziej narażone na ostrzał, podczas gdy działa forteczne nie odniosą żadnych szkód dzięki żelaznemu pancerzowi.

– Heeeennnnngg...

– Jak wasza miłość widzi, wieża ma tylko jeden niewielki górny otwór w kształcie półksiężyca. Ale u podstawy wyposażona jest w platformę z kołem zębatym, co pozwala osiągnąć kąt strzału o wartości stu osiemdziesięciu stopni, więc wszystkie trzy moździerze mogą skierować ogień na dowolny obiekt zewnętrzny.

– Heennnnnnnnnnnnng!

Nie był skłonny do pochwał, lecz tym razem, przez zaciśnięte zęby, musiał przyznać, że Ducroix wykonali świetną robotę.

Armand przysunął nos do ostatniego arkusza, zeszywniał nagle i wrzasnął na brata:

– *Mais tu es idiot!*^[19] Coś ty położył panu markizowi na stół?

Vauban zorientował się w sytuacji dopiero, kiedy Zenon zaczął go uniżenie przeproszać.

– Błagam o wybaczenie, markizie. Zaszła pomyłka. Te arkusze to wprawki naszego aspiranta na inżyniera, tego hultaja Martiego Zuvirii.

I jak gdyby nigdy nic, przeszli do kolejnego zagadnienia, pozostawiając Vaubana w konfuzji zmieszanej z gniewem, jako że był dostatecznie bystry, by zrozumieć, że uknuli ów fortel, chcąc skłonić go do zmiany zdania.

Tego samego wieczoru, przy deserze, dopadła go Jeanne. Odprawiła służbę, wyprosiła nawet za drzwi siostrę i zostali sami, każde na swoim końcu długiego stołu.

– Dobrze wiem, co zamierzasz! – krzyczał Vauban, celując w nią potężnym widelcem. – Odpowiedź brzmi „nie”! Jestem marszałkiem Francji, z bólem wypełniałem smutny obowiązek stanowienia o życiu i śmierci tysięcy ludzi. A teraz wszyscy spiskują przeciwko mnie, bo chcę odesłać krewkiego młodzika do domu. Z taką opozycją nie spotkałem się nawet wśród generałów w ogniu kampanii!

– Nigdy nie sprzeciwiłabym się decyzji ojca w tak błahej sprawie – odparła Jeanne. – Chciałam z tobą pomówić o czym innym.

– Nie wierzę ci. Chcecie mnie zażyć podstępem. Wszyscy! Przyjmij do wiadomości, że mam prawo posłać go na galery, jeśli przyjdzie mi na to ochota. Bez dyscypliny nie ma wojska, honoru ani cywilizacji. Po co mam tracić czas na indywiduum, które zabawia się gryzieniem w tyłek moich gości? – Opuścił widelec. – Żałuję, że go przyjąłem pod swój dach!

– Przecież powiedziałam – ciągnęła Jeanne z niezmaconym spokojem – że nie o tym chcę z tobą rozmawiać. – Wstała i wdzięcznym ruchem usiadła na ojcowskich kolanach. – Tatku – przymilała się, zarzucając mu ręce na szyję – to naprawdę dobry pomysł.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że chcę poślubić Verbooma.

– Ależ, co u licha...

Jeanne nie pozwoliła mu dokończyć. Położyła ojcu palec na ustach i powiedziała z najmilszym ze swoich uśmiechów:

– Zaleca się do mnie, przecież wiesz. Nie po raz pierwszy przyjechał do Bazoches. Chcesz, żebym ci pokazała jego listy? – westchnęła. – Moje obecne małżeństwo to farsa. Z początku byliśmy szczęśliwi, ale on zwariował. To prawdziwe nieszczęście, ale przynajmniej mogę prosić o unieważnienie małżeństwa. Masz wpływy w Watykanie, to nie potrwa dłużej niż rok. Och, tatku! Pomyśl, jaka to świetna okazja. Verboom to jeden z najzdolniejszych inżynierów. Jak mnie weźmie za żonę, zostanę przedstawiona na dworze. Będę najszczęśliwszą kobietą na świecie!

Vauban chwycił córkę w pól i zsadził ją z kolan. Następnie zerwał się z krzesła, jakby go diabeł dźgnął w tyłek widłami. Jął krążyć po komnacie tam i z powrotem. Jedną rękę założył za plecy, a drugą wymachiwał jak opętany.

– Verboom ma duszę czarniejszą od duszy psa. Słyszysz? Toczy go trąd władzy, pieniędzy i próżnej sławy. To oczywiste, że chce poślubić córkę Vaubana! Już dzień po mojej śmierci przywłaszcza sobie nazwisko, dom, majątek, zasługi i chwałę. I moją rodzoną córkę! On, ten zuchwalec, ten najemnik bez żadnych

zasad, który oddał swe nikczemne życie w służbę wszystkim diabłom z piekła!

Jeanne dała wyraz swemu oburzeniu: zadarła wysoko głowę, przymrużone oczy błyskały gniewem.

– Sługa diabła, powiedziałeś?

– Tak! Tak powiedziałem.

– Najemnik wyzbyty wszelkich skrupułów, zdrajca, sprzedawczyk bez honoru...

– Tak jest! Dobrze zrozumiałaś.

– Człowiek, który traktuje kobiety jak worek gówna, a wykorzystane do cna porzuca w przydrożnym rowie.

– Świetnie! – pochwalił ją cierpko Vauban. – Widzę, że zrozumiałaś.

– Osobnik o duszy czarniejszej niż dusza psa, o ile psy mają duszę.

– Bravo! – wykrzyknął, a nawet zaklaskał niechętnie, z widocznym sarkazmem.

Jeanne odetchnęła głęboko i nagle stwierdziła nieoczekiwanie obojętnym tonem:

– On cię podziwia, ma bzika na twoim punkcie.

– Nie dbam o podziw tej kreatury. Zdobyłem się wobec niego na kurtuazję przyjętą w naszej sferze, to wszystko. Nigdy mu nie ufałem ani na jotę i nigdy nie zaufam, bo na to nie zasługuje.

Jeanne przecięła jego wywody niczym kosą:

– Mówię o Martím.

Markiz, marszałek Francji, człowiek – zamilkł. Nagle spostrzegł, że wpadł w sidła, jakie sam na siebie zastawił.

– Uwielbia cię i zapewniam, że nie jest to szacunek dla twoich tytułów, lecz dla twojej pracy. – Z wysoko podniesioną głową podeszła do ojca i dodała bardzo spokojnie: – A ty zamierzasz go zniszczyć, bo ugryzł w tyłek zuchwalca o duszy czarniejszej niż dusza psa.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z komnaty.

Sceny te rozgrywały się w czasie, gdy ja szlochałem, przeklinałem i waliłem głową w ściany mojej izdebki, nie mogłem zatem wiedzieć, co się działo trzy piętra niżej. Przez całą noc nie zmrzyłem oka.

Zrozumiałe więc, że nazajutrz zszedłem po schodach zupełnie zdruzgotany. Spakowałem już tobołki, co nie zajęło mi wiele czasu, ponieważ nie miałem prawie nic. I faktycznie, na dziedzińcu czekał powóz. Nie pamiętam, czy to był Armand, czy Zenon, ale jeden z nich powiedział do mnie:

– Przed odjazdem markiz chce zamienić z tobą kilka słów.

Kiedy wszedłem do jego gabinetu, udał, że mnie nie widzi. W rękach trzymał książkę i mamrotał pod nosem, jakby nie umiał czytać po cichu. Przez

wielkie okna za jego plecami wpadało do wnętrza światło dnia. Proste, ale skuteczne: każdy, kto stanął w progu, oślepiiony blaskiem, od razu czuł własną marność w obliczu owej świetlistej, dostojnej postaci.

Markiz podniósł wzrok i mruknął niechętnie:

– Siadaj waść!

Usiadłem, potulnie wykonując polecenie.

– A więc? Co zamierzasz na przyszłość?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem, ekscelencjo – tylko to mi wówczas przyszło do głowy.

– Ach tak – powiedział z niepotrzebnym, moim zdaniem, sarkazmem. – A w ogóle kiedyś się zastanawiałeś?

Ten jego ton i moja beznadziejna sytuacja sprawiły, że wybuchnąłem:

– Ależ tak, ekscelencjo! Jeszcze niedawno miałem nadzieję zostać inżynierem. Chociaż przypuszczam, że *monseigneur* nie sądzi, żeby to był dobry pomysł.

– Zuchwalcze! – ryknął. – Bo czymże innym niż zuchwalstwem można nazwać twoje słowa? Odpowiadaj!

Rozpląkałem się. Miałem piętnaście lat, wiecie? Przede mną siedział Sébastien Le Prestre, markiz de Vauban, marszałek Francji i tak dalej, i tak dalej... Żywa legenda, zdobywca sześćdziesięciu ośmiu twierdz, wielki fortyfikator. Wszystko naraz. A ja byłem tylko dzieckiem i jeszcze długo miałem nim pozostać.

– Płaczesz waść!

Wstałem. Pochyliłem głowę.

– Ponieważ wasza ekscelencja pomimo mojej niesubordynacji jest łaskaw ze mną rozmawiać, błagam, byś raczył spełnić moje ostatnie życzenie.

Nic nie odrzekł, a ja odczytałem jego milczenie jako zgodę na to, żebym mówił dalej.

– Proszę mi pozwolić pożegnać się z Jeanne.

Trwało wieczność, zanim odpowiedział. Tkwiałem przed nim jak strach na wróble i nie wiedziałem, co robić.

– Podjąłem decyzję – przemówił w końcu. – Ponieważ wróciłeś acan do domu okryty hańbą, dam ci jeszcze jedną szansę: możesz kontynuować studia inżynierskie w Królewskiej Szkole w Dijon. Dostaniesz ode mnie rekomendację. W zamian żądam tylko, abyś nigdy więcej nie zbliżał się do Bazoches, do mojego domu, a zwłaszcza do mojej córki na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt kilometrów. Oczywiście, ja pokryję wszystkie koszty i dopóki nie zakończysz edukacji, będę łożył na twoje utrzymanie. Przyjmij tę propozycję.

– Mogę zobaczyć się z Jeanne? Tylko na kilka minut.

Podniósł się zza stołu, rozjuszony:

– I nawet nie próbowałeś udawać, że nie jesteś Katalończykiem! I to

z południa! Znam was, przez ponad dziesięć lat umacniałem nadgraniczne placówki przeciw waszym powstańczym zapędom. Pozycja moja daje mi prawo postawić właściwe pytanie pryncypialnej natury: komu w sercu służysz? Hiszpańskiemu czy francuskiemu królowi?

– *Monseigneur* – odrzekłem – jeszcze dwa dni temu służyłem królowi inżynierii.

– Jeżeli chcesz mi schlebiać, to wiedz, iż jestem odporny na pochlebstwa nie mniej niż na nadmiar wina. Nam, ludziom wstrzemięźliwym, nie grozi niestrawność.

Nie wiedziałem, co na to rzec i co markiz spodziewał się usłyszeć, ale odpowiedź była raczej zbędna. Nic nie traćłem, obstając przy swoim, i tak też uczyniłem.

– Aż tak niestosowna i niebezpieczna zdaje się waszej miłości moja prośba, bym mógł pożegnać się z Jeanne?

– Pożegnaj się waść ze mną – odparł z dziwnie chytrą miną. – A oprócz czesnego za naukę w Dijon i pełnego utrzymania wyasygnuję ci tysiąc liwrów na dowolne wydatki.

Łzy znów napłynęły mi do oczu, ale zdążyłem wyszeptać:

– *Je l'aime*.^[20]

W markizie jakby coś pękło. Dziś wiem, że wezwał mnie, żeby osądzić, czy rzeczywiście tak się różniłem od Verbooma. Kielbaśnik z Antwerpii zawsze był ambitnym płazem, który w małżeństwie widział przepustkę do najwyższych zaszczytów. A człowiek, na którego patrzył teraz Vauban, gotów był oddać wszystko za jedno „żegnaj”.

Skoro więc wszystko i tak było stracone, chciałem spojrzeć na Jeanne po raz ostatni. Nawet wbrew woli jej ojca. I wówczas markiz, spokojny już, powiedział, wzdychając z rezygnacją:

– Siadaj, gamoniu.

Przez kilka sekund bawił się figurką z brązu, przesuając ją między palcami. Była to dwudziestoczworamienna gwiazda, przedstawiająca w miniaturze narys twierdzy Neuf-Brisach, którą sam stworzył. Patrzył przez okno na dziedziniec Bazoches, na ciągnące się w dal pola. Nie odwracając głowy, zauważył:

– Niezależnie od wszystkiego faktem jest, że ugryzłeś Verbooma.

– Tak, panie.

– W tyłek.

– W lewy pośladek.

– Doszły mnie wieści o nim: twoje kły wbiły się tak głęboko, że do tej pory nie może siedzieć w siodle.

– Bardzo mi przykro.

– Nie kłam.

– Mam na myśli kłopoty, jakich narobiłem panu i wszystkim w Bazoches, *monseigneur*.

Odezwał się dopiero po dłuższej przerwie.

– Powiedz mi: uważasz mnie za szaleńca?

– Nie, panie! – wykrzyknąłem, robiąc krok do przodu. – Skądże!

– Często – kontynuował, jakby nie słyszał moich słów – widywałem cię, jak szedłeś na kolację uwalany na plecach źdźbłami słomy. Takie same źdźbła, całkiem przypadkiem, oblepiały z tyłu suknię Jeanne.

Spodziewałem się regularnego aktu oskarżenia, a tymczasem usłyszałem westchnienie.

– Małżeństwo... tak... jest jak obleżona cytadela: ci, którzy są na zewnątrz, chcą się tam dostać, a ci, którzy są w środku, chcą stamtąd wyjść... – Popatrzył mi w oczy. – Wiedz jedno, aspirancie Zuviría. Ze wszystkich wzniesionych przez człowieka twierdz małżeństwo jest najbardziej niezdobytą. Zrozumiałeś?

– Mogę ją zobaczyć?

– Możesz iść do auli i wysłuchać podwójnego wykładu ze strategii. Ostatnie wydarzenia dowodzą, że jesteś bardzo słaby w taktyce: jeżeli atakujesz od tyłu, gryź w szyję, a nie w tyłek.

O braciach Ducroix można powiedzieć, że byli wspaniałymi nauczycielami. O Vaubanie, że był wyjątkowy. Nazajutrz po moim ułaskawieniu, wczesnym rankiem, wziął mnie pod ramię i wyruszyliśmy na spacer wokół zamku.

Szedł, podpierając się laską, ale wyniosły i dumny jak zawsze. Od czasu do czasu przystawał przed jakąś jabłonią, wolną ręką zrywał owoc, odgryzał dwa lub trzy kęsy, a potem wyrzucał. (Mógł sobie na to pozwolić; w końcu to były jego drzewa). Jeszcze częściej zatrzymywał się, żeby zakaszczyć, odpluć i wytrzeć usta jedną z wielkich, białych, haftowanych złotą nicią chustek, którymi zawsze miał wypchane kieszenie surduta.

– Do tej pory uczyłeś się fortyfikowania miast – powiedział. – I podobno nieźle sobie radzisz. Od tej chwili zaczniesz się doskonalić w sztuce ich zdobywania.

– Ależ, *monseigneur* – uśmiechnąłem się – przecież nauczyłem się, że dzięki pańskiemu systemowi umocnień niemożliwe jest sforsowanie dobrze zaprojektowanej obrony.

Przystanął i parsknął pobłażliwym śmiechem.

Spotkało mnie to niezasłużone szczęście, iż poznałem wielu genialnych ludzi mojego stulecia, jak Mozart w dziedzinie muzyki (biedny chłopiec, zrujnowałem go dwukrotnie, wygrywając z nim w bilard), Waszyngton w tworzeniu praw (zasuszony jak dorsz) i – największy z nich wszystkich – Rousseau. Wolter? Tylko nie Wolter!!! To miernota, nikkzemnik i parweniusz. Nawet Franklin i Danton zasługują na miejsce w galerii wiekopomnych geniuszy. Przy czym, jeśli się dobrze zastanowić, każda z tych osobistości dała rodzajowi ludzkiemu jakąś wielką ideę, ale tylko jedną. Vauban stworzył dwie. Wpierw najdoskonalszy system fortyfikacji miast. A potem, pokonując samego siebie, niejako sobie zaprzeczając, system ich zdobywania.

Pod pachą niosłem swoją tekę i Vauban niecierpliwie poruszył w powietrzu czterema palcami.

– Jakiś projekt acana. Pokaż szybko!

Wyjąłem jeden z arkuszy i przytrzymałem mu przed oczami. Kontemplował go przez kilka chwil i powiedział:

– Heeeennnggg, tak, czternaście... piętnaście. Piętnaście najwyżej.

– Co proszę?

Spojrzał mi w twarz.

– Wytrzyma piętnaście dni oblężenia. Ani dnia więcej.

– Ależ, ekscelencjo! – zaprotestowałem roześmiany. – To niemożliwe.

Uniósł wskazujący palec i pomachał mi przed nosem.

– Nigdy nie wymawiaj tego słowa w mojej obecności – powiedział.

Potem zapytał mnie, autora szkicu, w jaki sposób zyskałbym przewagę nad ową niewiarygodną sumą nakładających się na siebie nawzajem bastionów, księżyców, półksiężyców i przypór. Pokręciłem głową.

– Nie wiem, *monseigneur* – odparłem. – Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to ustawić potężną liczbę dział, pięćset sztuk wielkiego kalibru, skierowanych na jeden punkt, i miesiącami nękać obrońców bombardowaniem. Ale które królestwo mogłoby sobie pozwolić na luksus posiadania takiego parku artyleryjskiego? A pozostaje jeszcze logistyczny koszmar transportu i utrzymania oraz astronomiczny koszt prochu, kul i całej reszty.

Byliśmy sami, więc pozwolił sobie na coś, co robił tylko w samotności lub w towarzystwie córki: zdjął perukę. Wiedziałem od Jeanne, że już we wczesnej młodości wypadły mu włosy, lecz tak przywykłem do owych sztucznych loków, że niełatwo mi przyszło ukryć zdziwienie, gdy ujrzałem przed sobą człowieka bardziej łysego od żaby.

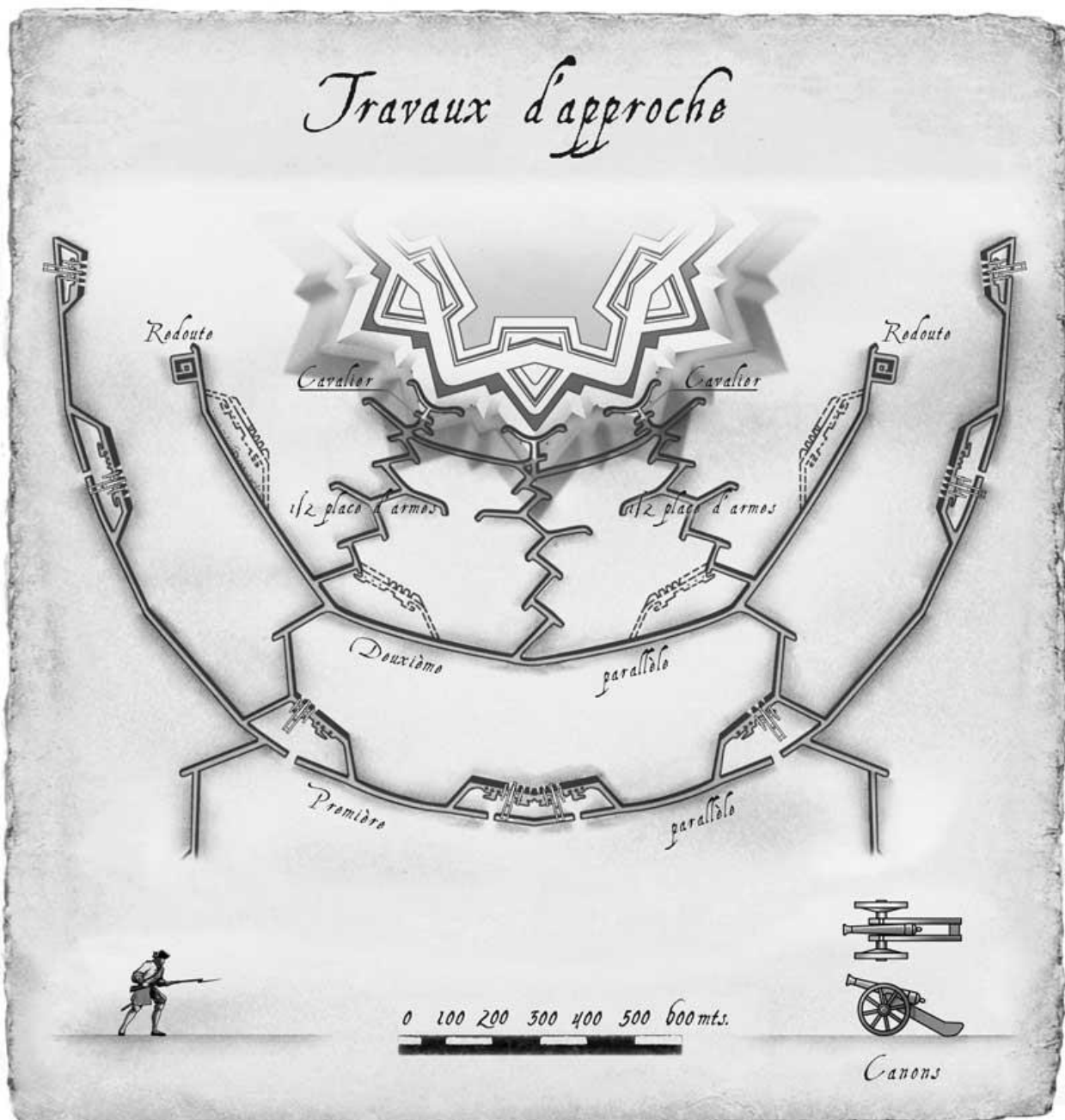
– Logistyka? Astronomiczny koszt? – westchnął i dodał: – Wszystko, czego potrzebujesz, to łopaty i kilofy. I silni ludzie.

I faktycznie, *la méthode* opracowana przez markiza de Vauban oparta została na czymś tak pospolitym jak kilof i łopata.

Po założeniu oblężenia inżynierowie wybierali punkt natarcia. Dzieło swe rozpoczynali w rozsądnej odległości, poza zasięgiem oręża obrońców. Akt ów nosił jakże stosowną nazwę „otwarcia transzei” i wyznaczał początek budowy „transzei szturmowej”.

Niczym części układanki, które zaczynają do siebie pasować, z wolna nabierały sensu udręki, jakim poddawali mnie bracia Ducroix. Albowiem doktryna Vaubanowska nie była niczym innym niż perfekcyjnie skoordynowaną saperką robotą. Zobaczcie tutaj, w całym jej splendorze, jego *méthode* zdobywania twierdz.

Celem było stworzenie imponującego ogromem dzieła ziemnego, zwanego „transzeją szturmową”, pozwalającego zbliżyć się do bastionów. Dla ochrony saperów przed ogniem nieprzyjaciela rów musiał być na tyle głęboki, żeby mogli się w nim skryć. Aby uniknąć ostrzału z flank, powinien przebiegać równoległe do murów obronnych. Dlatego wykopy owe otrzymały nazwę „paraleli”. Trzy wielkie paralele, połączone zygzakowatymi przejściami, pozwalały podejść pod twierdzę. Dzieło to przyjmowało charakterystyczny narys. Odpowiedzią na doskonały projekt fortecy stał się projekt transzei doskonałej.



Żadna z wiekopomnych budowli nie była tak efemeryczna. Wielka transzeja osiągnąć może rozmiary właściwe dziełu tytanów. A po ukończeniu po prostu znika, pochłonięta przez swoją bezużyteczność. W ciągu zaledwie kilku miesięcy deszcz, błoto i zaniedbanie grzebią ją w mule zapomnienia. Jedno z kierowanych przez Vaubana oblężeń relacjonował jako korespondent wielki Racine. „W naszej transzei szturmowej – pisał z podziwem – jest więcej zaułków niż w Paryżu”. A w tym samym momencie, w którym kapitulowało miasto, rozpoczynała się agonia transzei.

Zrozumiałą jest rzeczą, iż transzeja szturmowa wymagała perfekcyjnego

opanowania całej wiedzy, jaką przekazano mi w Bazoches, oraz umiejętności koordynowania pracy tysięcy ludzi. Musiała być wystarczająco obszerna, by mogła przemieszczać się w niej cała armia, a to oznaczało usunięcie milionów metrów sześciennych ziemi, w określonym porządku i z milimetrową dokładnością. Ściany, dno i nasypy wzmacniano drewnem, aby uniemożliwić osuwanie się gruntu lub zatopienie chodników. Każde oblężenie to jeden las wycięty w pień! W bocznych odgałęzieniach magazynowano amunicję. W licznych punktach budowano potężne reduty, w których znajdowały się schrony oraz stanowiska armat i moździerzy, wycelowanych w wysunięte placówki i działa obrońców. A gdy nadeszła chwila, trzecia paralela stawała się trampoliną do szturmu.

Teraz wyobraźcie sobie, że wykop zbacza o kilka stopni od linii równoległej do murów. Co się wtedy dzieje? Nic wielkiego, jeśli pominąć fakt, że saperzy są odsłonięci, a więc doskonale widoczni z twierdzy; łatwo się domyślić, czym to się może skończyć.

I wiecie co? Robi się bardzo nieprzyjemnie. Widywałem to dziesiątki razy, walcząc po jednej lub po drugiej stronie. Jeśli w załodze bastionu znajdzie się choć jeden kompetentny oficer, to wykorzysta każdy najmniejszy błąd w postępie robót, a mózg niefrasobliwego sapersa machającego kilofem na nieosłoniętym polu rozbryzgnie się, trafiony kulą wyborowego strzelca. Ale, jak mówię, oficer baczny i spostrzegawczy, sprawny i cwany (jak ja), odczeka całutki dzień i wstrzyma ogień, podczas gdy źle kopana transzeja przybliża się, wbrew zdrowemu rozsądkowi, do murów i coraz więcej ludzi wystawia się na ryzyko w odkrytym rowie.

Możliwe, iż saperzy w awangardzie już spostrzegli, że paralela biegnie w nieprawidłowym kierunku. Z równoległej zmienia się w prostopadłą, przez co z bastionu widać cały odcinek i wszystkie te brudne mrówki dźwigające ziemię w wiklinowych koszach. Ale dyżurny oficer, siedząc spokojnie w taborze na tyłach, nie przejmuje się nadchodzącymi meldunkami. Plany to tylko plany, a w końcu, nawet jeśli Francuzi ścięli już głowę swojemu królowi, to przecież nadal żyjemy w społeczeństwie stanowym, czyż nie?

Z wyjątkiem tych, którzy uczyli się od znawców, inżynierowie są pyszałkowatymi paniczkami z dobrych domów, niechętnie słuchającymi sugestii plebsu. Cóż, musicie zrozumieć, że mnie wychował najlepszy z najlepszych i dlatego to naturalne, że znakomitą większość moich kolegów po fachu uważam za coś, czym w istocie są: bandę nieudolnych prostaków, którzy nie namacaliby własnego tyłka nawet obiema rękami.

Kiedy z naszego bastionu możemy dostrzec przez lunetę robotników kopiących i palujących taką spaczoną transzeję, nadeszła chwila działania. Strzelanina? Ależ oczywiście, że nie. W czasie, gdy wróg popełnia błąd, który mści się jeszcze większym błędem, wy przetaczacie trzy działa dużego kalibru na

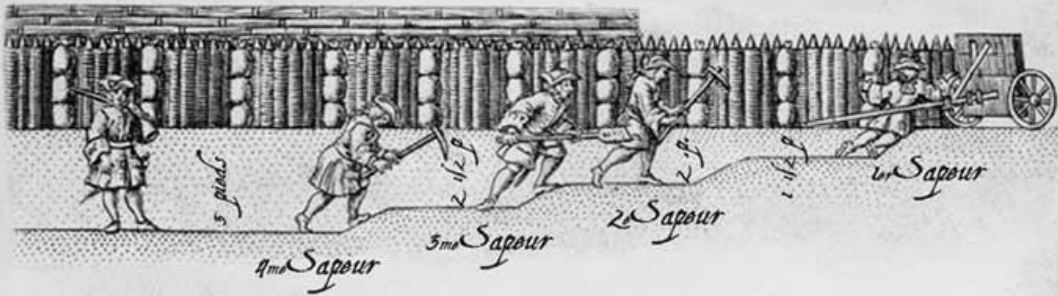
odpowiednią pozycję na murach bastionu.

Jedno z nich ładujecie pięciokilogramową kulą; pozostałe dwa – garncami śrutu. I ustawiacie kąt strzału. Najpierw posyłacie im dwie bomby: jedna wybucha pięć metrów na lewo od wykopu, druga pięć metrów na prawo. Już wszystko jest gotowe. Ale saperzy o niczym nie wiedzą. Po pierwsze dlatego, że chowają głowy za parapetem z faszyny, a po drugie – w bitewnym zgiełku, wśród obopólnej strzelaniny, obrzucania się przez obie strony racami i granatami, wśród wrzasków umierających żołnierzy i spowijającego ziemię niczyją dymu nie przychodzi tym nieszczęsnym idiotom do głowy, że owe dwie eksplozje mają z nimi cokolwiek wspólnego. Rzecz w tym, że kiedy ludzie kulą się na dnie owej prostopadłej, która powinna być równoległą, ty wydajesz rozkaz, by wszystkie trzy działa wystrzeliły jednocześnie.

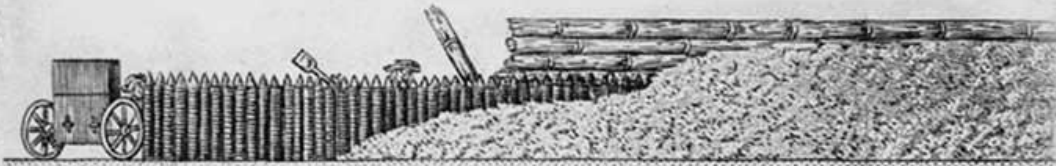
I dzieje się tak, że dziesięciu saperów zostaje rozerwanych na dziesięć tysięcy kawałków. Transzeja jest niezbyt szeroka, a wybuch tak silny, że ludzkie szczątki, zamiast wbić się w wały, wirują w powietrzu, niesione podmuchem wzdłuż ścian wykopu. Przy odrobinie szczęścia fragmenty kości, mięsa i flaków rozprysną się na odcinku o długości ponad stu metrów.

Les sapes

Vue de la Sape par derriere



Vue de la Sape par devant



Echelle de 12 Pieds

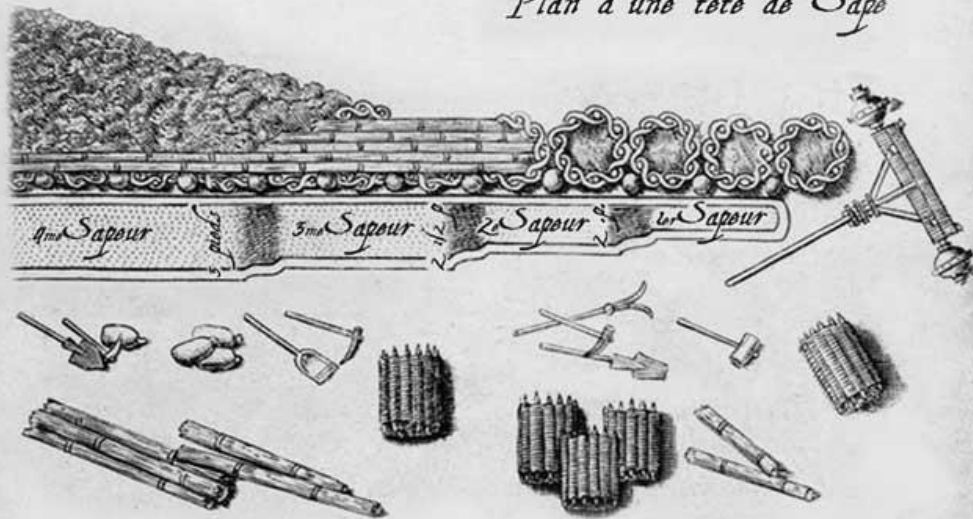


Profil d'une Sape achevée

Profil représentant l'excavation des quatre Sapeurs



Plan d'une tête de Sape



Echelle de 12 Pieds



To bardzo korzystne, bo wyobraźcie sobie teraz morale tych, którzy przeżyli,

kiedy ów zadekowany na tyłach inżynier mówi: „Na Boga, to ci pech” i każe im kopać dalej, bo mają już trzy dni opóźnienia w stosunku do harmonogramu. Być może kilku zdezerteruje, inni będą się buntować; tak czy inaczej, oblężenie potrwa dłużej. A ty, jako obrońca, masz tylko jeden cel: zyskać na czasie.

Tymczasem nieszczęśni kopacze muszą wrócić do pracy, leżąc na czworakach w przepięknej scenerii ścian przyozdobionych ochłapami ciał ich martwych kamratów, fragmentami czaszek, żeber i połamanych jak trzciny kości udowych. Ludzkie wnętrzości oblepiają drewniane oszalowanie niczym rozgotowany makaron.

A ty przestań się mazać i pisz! Mówiłaś przecież, że lubisz epicki rozmach i ple, ple, ple... No to masz tę swoją epikę.

Wszelako powyższy przykład niegodzien jest geniuszu Vaubana. Jeśli jego metody przestrzegano z całą dyscypliną, obrońcy nie mogli liczyć na podobne okazje. On nigdy nie popełniał błędów. Pod jego rozkazami paralele otwierały się nieubłagane w imponującym tempie, jakby kierował armią termitów. W tydzień, najwyżej dwa, mógł podejść na dwadzieścia metrów do każdej fortecy. A z tej odległości, z transeją szturmową tuż pod murami, przed oblężcą jawiły się liczne możliwości.

Jedną z nich był podkop pod bastionem, wypełniony przerażającą ilością prochu. Bum! Bastion zapadał się razem z obrońcami, a jego gruzy zasypywały fosę, tworząc coś na kształt piramidy, po której łatwo mogli się wdrapać szturmujący. Obrońcy, oczywiście, zawsze mogli odpowiedzieć kontrminami, lecz skoro dopuścili wroga na zaledwie dwadzieścia metrów, któż mógł zaręczyć, że nie ma jeszcze drugiego, a nawet trzeciego i czwartego tunelu? Tak więc najczęściej oblężenie kończyło się zwycięskim atakiem grenadierów.

Grenadierzy! Boże mój, już na samą myśl o tym słowie oblewam się zimnym potem. Najlepsi byli francuscy, istne automaty do zabijania.

Dla francuskich grenadierów dwadzieścia metrów to było nic. Formację tworzyli ludzie doborowi, najsilniejsi, a zwłaszcza najwyżsi w całym królestwie. W niektórych wojskach, zamiast zwykłego trójgraniastego kapelusza, nosili charakterystyczne spiczaste czapki. Mundury miały barwę śnieżnobiałą. Wojna pozycyjna przeistacza żołnierzy w armię łachmaniarzy, lecz burbońskiej bieli stroju grenadiera nigdy nie kalala najmniejsza nawet plamka.

A teraz pomyślcie, jakie robili wrażenie. Po obu stronach walczą oddziały obszarpańców, strachów na wróble, pozbawionych resztek żołnierskiej schludności, o twarzach poczerniałych od dymów i sadzy. A ty, stojący na murze bastionu, z dłońmi poranionymi od ciągłego ładowania i strzelania, gotów zeszczuć się na lufę karabinu, żeby choć trochę ją schłodzić, na wpół żywy z głodu, bo karmią cię już tylko mdłym kapuśniakiem, ty, mówię, z oczyma czerwonymi od niewyspania i prochu, ogłuchły od detonacji, widzisz nagle, jak stu olbrzymów

odzianych w olśniewającą biel wyłania się z wrogiej transzei, ramię przy ramieniu, z budzącym grozę spokojem i zimną krwią. Możliwe, że choć twój oficer będzie wydzierał się na całe gardło, ty, zamiast nacisnąć spust, otworzysz gębę. Co najmniej na to kluczowe pół minuty, pół minuty, które wystarczy grenadierom, by sformować szyk przed transzeją.

Naturalnie padają – jeden albo dwóch, pięciu albo sześciu, a nawet dwudziestu albo trzydziestu – skoszeni skoncentrowanym desperackim ogniem żołnierzy z bastionu. Ale te cwane gapy stoją nieruchomo jak posągi i reagują tylko na głos swojego *capitaine*. A ten wydaje rozkazy:

Raz: *Attention!*^[21] I sztywniej jeszcze bardziej, chociaż kule gwizdzą im koło uszu. Świst, świt, świst!

Dwa: *Grenade!*^[22] Sięgają ręką do sakw i wyciągają granaty, czyli kule z żelaza i brązu, niewiarygodnie ciężkie w stosunku do swoich rozmiarów i zaopatrzone w krótki lont.

Trzy: *Au feu!*^[23] Podpalają lont i ręką trzymającą granat biorą zamach zza głowy, gotowi do rzutu.

Widok to szczególnie przerażający, zwłaszcza gdy oglądasz go ze szczytu na wpół zrujnowanego bastionu. Te migocące iskierki, niby zawieszane w powietrzu i pozornie tak nieszkodliwe... Masz wtedy ochotę gapić na to jak królik na węża, z ciekawości, co się stanie. Jednak gdy nastąpi taka ostateczność, posłuchaj, proszę, mojej rady: zapomnij o Honorze, Ojczyźnie, Królu i innych głupotach i zmykaj gdzie pieprz rośnie!

Czwarty i ostatni rozkaz: *Lancez!*^[24] I widzisz, jak setka lub więcej czarnych kulek kreśli parabole w powietrzu i spada na głowy obrońców.

No cóż, potem odbywa się piękny festiwal krzyków i fruujących strzępów ludzkich ciał. I szarża na bagnety, zmiatająca rannych i błagających o litość. A może myślicie, że ktoś, kto służył wam za tarczę strzelniczą, zmiłuje się nad facetami, którzy jeszcze przed chwilą chcieli go zabić, a teraz wyciągają do góry rączęta? Nie. Taki ktoś wbija im bagnet w wątrobę, jednym uderzeniem kolby w twarz miażdży czaszkę i idzie dalej, byle naprzód. Ponieważ grenadierzy jako pierwsi wkraczają do bezbronного już miasta, które miało szansę się poddać, lecz uparło się walczyć, przysługuje im słuszne prawo do rabunku domów, kościołów i składów, podrzynania gardeł cywilom i zabawiania się tym, co jest pod każdą spódnicą.

Oto zatem ów wielki problem, z którym musi się zmierzyć obrońca twierdzy: łańcuch fortyfikacji zawsze jest tak mocny, jak jego najsłabsze ogniwo. Siły szturmowe nie muszą atakować na całym obwodzie murów. Wystarczy, że wedrą się na bastion, tylko jeden. A gdy zdobędą bastion, miasto legnie u ich stóp. Miasto jest zgubione. Kiedy więc oblężenie docierało do trzeciej paraleli, obrońcy zazwyczaj się poddawali. Pojawiał się trębacz, prosząc o warunki kapitulacji, po

czym przystępowano do rozmów. Mając wrogą transzeję o dwa kroki oraz zburzone mury, każda rozsądna załoga wybierała negocjacje, by móc odejść z honorem. Widywałem kapitulacje wręcz majestatyczne w swej teatralności.

Trębacz obłożonych prosi o rozejm. Milknie oręż. Wojenny tumult zmienia się w wyczekującą ciszę. Kilka minut później, dokładnie pośrodku breszy, którą armaty przemieniły w amfiteatr, pojawia się komendant garnizonu w galowym mundurze, z przypasaną szpadą. Niczym nie ryzykuje – strzelić do niego byłoby haniebną niegrzecznością. Oba wojska przypatrują się tej scenie: obłożcy z transzei, ci drudzy z gruzów fortyfikacji. Jeśli kapitan ma talent do deklamacji, wypręży się dumnie i powie, wykonując ręką gest pełen godności:

– *Monseigneur l'ennemi! Parlons.*^[25]

I uzgadnia się punkty kapitulacji.

To nie jest podręcznik wojskowości, nie zamierzam więc wyklądać tutaj wszystkich technicznych aspektów (których w Bazoches miałem aż po dziurki w nosie), manewrów, kontrmanewrów, taktyki, forteli czy imponderabiliów mających wpływ na przebieg oblężenia. Ale – w skrócie – takie właśnie były reguły gry.

Vauban nie był jedynym, który stworzył ogólny system oblężenia. W młodości jego wielkim rywalem był Menno van Coehoorn, Holender o twarzy dłuższej niż ogórek.

Vauban i Coehoorn rozstrzygnęli swój spór na wiele lat przedtem, zanim Zuvi Długonogi się urodził. W rzeczywistości, kiedy ja pojawiłem się w Bazoches, ich polemiki należały już do historii, a obaj zyskali nieśmiertelną sławę. Lecz nazwiska ich patronowały dwóm odmiennym szkołom, dwóm „manierom” całkowicie sprzecznym w pojmowaniu wojskowego oblężenia.

Można stwierdzić, iż Coehoorn widział swój system jako inwersję metody Vaubana. Dla Vaubana zdobywanie twierdz było operacją racjonalną, w której współuczestniczyły prawie wszystkie dyscypliny, jakimi rodzaj ludzki kształtuje świat. Dla Coehoorna – błyskawicznym aktem skrajnej przemocy.

Podobno Coehoorn mawiał, że oblężenie jest jak ujeżdżanie muła: bolesne, ale krótkie. Im szybciej, tym lepiej. Według Holendra oblężca winien skupić się na najsłabszym lub najbardziej odsłoniętym punkcie fortyfikacji, a namierzywszy go, rzucić do szturmowi wszystkie siły i przełamać linię obrony szaleńczą szarżą. Najlepiej w nocy lub z zaskoczenia, wykorzystując każdą sprzyjającą okoliczność. Reszta to drobnostki.

Teoretycy w całej Europie podzielili się na dwa obozy, toczące ze sobą namiętne debaty: stronnicy szturmowi „à la Vauban” i zwolennicy stylu „à la Coehoorn”. Nie trzeba dodawać, że ja należałem do tych pierwszych, co wynika z oczywistego faktu, iż wszyscy jesteśmy intelektualnymi dziećmi naszych mistrzów. W gruncie rzeczy zawsze uważałem, że szkoła Coehoorna niewiele

może nauczyć. O tym, że wroga trzeba walić pałą w łeb, wie każdy zabijaka. Na swoją obronę zagorzali wyznawcy Coehoorna argumentowali, że wojna jest zjawiskiem zasadniczo prostym. Na co ja rzeknę w charakterze riposty, iż to by oznaczało zanegowanie dwóch tysięcy lat rozwoju wiedzy wojskowej. Na barkach Vaubana wznosił się gmach humanizmu; dla Coehoorna ostrogą były nakazy chwili.

Coehoornowcy mieli też inny argument, bardziej naukowy, przez co trudniejszy do obalenia. Dowodzili, słusznie, lecz nierozsądnie, iż metoda Vaubana nadmiernie wydłuża oblężenie. „Zgoda – mawiali – w modelu Vaubanowskim miasto nieodwołalnie podda się w ciągu dziesięciu, dwudziestu lub trzydziestu dni. Ale w tym czasie wiele może się wydarzyć: może wybuchnąć epidemia w okolicy lub w samym obozie; mogą nadejść posiłki z odsieczą dla obrońców; nieprzyjaciel może przystąpić do oblężenia jednej z naszych twierdz i wszystko zakończy się wymianą królowych lub jakąś dyplomatyczną zagrywką, która zmusi nas do odstąpienia”.

Przeciwnicy Coehoorna miażdżyli owe wywody, wskazując, że przedwczesny atak ma w sobie wiele z gry w orła i reszkę. Jeżeli będzie zwycięski, oblężenie zostanie zdjęte, zanim na dobre się rozpocznie. To prawda. A co, jeśli się nie uda? Ziemia zasłana kobiercem trupów, nietknięte miasto, a morale obrońców szybuje pod niebiosa.

Jak widać, dyskusja toczyła się wokół pryncypiów nie do pogodzenia, co nakręcało spiralę niekończących się polemik. Vaubanowcy i coehoornowcy, dwie szkoły zwalczające się aż po kres czasów. Jeśli jakiś maganon był coehoornowcem, pozostawał nim na zawsze. I odwrotnie. Debata owa nigdy nie doczekała się rozstrzygnięcia. Albowiem racjonalizm ścierał się tu z prywatnymi aspiracjami.

Młodzi, ambitni generałowie opowiadali się przeważnie za Coehoornem. Cóż dla nich znaczyło poświęcić życie pięciuset, tysiąca, dwóch tysięcy żołnierzy w brawurowym szturmie? Szukali chwały, a ostatecznie to nie oni musieli czołgać się w kamiennych labiryntach, przeprawiać przez okrutne fosy i wspinać na strome mury. Za to szarzy żołnierze piechoty, choć mało uczeni w tej materii, wszyscy jak jeden mąż stali za Vaubanem. We własnym, dobrze pojętym, interesie! A przecież markiz nie był jednym z nich. Tak naprawdę nigdy nie był wojskowym. Lecz żołnierzami zawsze rządzi inżynier. W pierwszym kierowanym przez siebie oblężeniu odsunął na bok generałów i przemówił do oddziałów tymi słowy: „Dajcie mi wasz pot, a ja oszczędzę waszą krew”. Pot za krew. W tym rzecz.

Coehoorn oskarżał Vaubana o bojaźliwość. Vauban zarzucał Coehoornowi tępy brutalizm. Prywatnie, czyniąc aluzję do uwag Holendra o wrywaniu zęba, mawiał o nim „ten dentysta”. Pisząc, że byli rywalami, mam na myśli coś więcej niż zwykłą dysputę dwóch tęgich intelektów. Otóż stało się tak, że Vauban kierował oblężeniem twierdzy bronionej przez Coehoorna! Było to w roku 1692,

pod Namur.

Pojedynek ów zasłynął również z tego, że toczył się pod okiem Potwora, albowiem Ludwik XIV osobiście wziął udział w ekspedycji, jako król i wódz naczelny francuskich wojsk. Uczestniczył w owym widowisku, wygodnie umościwszy królewskie pośladki na przenośnej kanapie, pod daszkiem, popijając orzeźwiające napoje, a faktyczne dowództwo scedował na Vaubana. Tak więc gdyby coś poszło źle, wina spadłaby na markiza. (Wszyscy królowie to świnie i bezduszni egoiści. Teraz i zawsze, i na wieki wieków!).

No cóż, mimo iż Coehoorn dysponował liczną i zaprawioną w boju załogą, miasto poddało się dokładnie po dwudziestu dwóch dniach. I ani jednym więcej. Vauban przypieczętował swój tryumf dwudziestokrotnie mniejszymi stratami w ludziach niż Coehoorn. Kiedyś udało mu się nawet zdobyć miasto kosztem zaledwie dwudziestu siedmiu poległych i rannych. Wojsko go uwielbiało. A Potwór pod Namur stroszył się jak puchacz, kiedy mięso armatnie, dzięki Vaubanowi wciąż żywe, wivatowało głośniej na cześć inżyniera niż samego króla. (Żołnierze to ludzie prości, ale nie głupi).

Namurcum captum^[26]. Czy można odnieść zwycięstwo bardziej miażdżące, zadać klęskę bardziej upokarzającą? Otóż tak, można. Vauban odegrał się na swym adwersarzu w jedyny sposób znany ludziom prawym – bezwarunkową wspaniałomyślnością, która wywyższała okazującego łaskę, a umniejszała tego, komu ją okazano. Klucze do miasta wręczył mu osobiście Coehoorn, którego podobna do ogórka twarz zdawała się dłuższa i bardziej woskowa niż kiedykolwiek. Markiz powstrzymał się od niepotrzebnych upokorzeń, załoga opuściła Namur z wszelkimi honorami. W kurtuazji posunął się tak daleko, że cytadelę, z której jego nieprzyjaciel do ostatka stawiał opór, przemianował na „Fort Coehoorna”. Pomnik rycerskości. (Rzecz jasna, ktoś podejrzliwy mógłby zgodzić się z sugestią, iż tym sposobem przedzierzgnął ów monument w pamiątkę klęski, jaką zadał swemu rywalowi, jak myślicie?).

Taka drobnostka na marginesie: czy przypadkiem nie umknął wam pewien nadzwyczaj interesujący szczegół? Zauważcie zatem, iż Vauban nie nazwał owego wewnętrznego bastionu „Fortem Ludwika XIV”. Pomimo że król ze szczytu wzgórza przydykował oblężeniu.

Byli dobrymi przyjaciółmi. Mówię o Vaubanie i Coehoornie. Łączyły ich duchowe pryncypia, choć wychodzili z odmiennych założeń. Ich pojedynek był czymś w rodzaju igrzysk intelektu. Pojedynek obłąkańczy, jeśli pomyślimy o przelanej krwi. Lecz jako że obaj, hołdując rozbieżnym pomysłom technicznym, wierzyli szczerze, iż stworzone przez nich zasady przyczynią się do oszczędzenia ludzkich istnień, trudno ich poddać moralnemu osądowi.

Ponad sztandarami, królami i ojczyznami kult Mystère jednoczył ich w sekretnym braterstwie, silniejszym od wszystkich sporów i hierarchii. Jawnie się

to okazało podczas wyjścia załogi z twierdzy. Zwyczajowy protokół oddania miasta został rozdęty do granic niedorzeczności. Dwa szeregi francuskich żołnierzy prezentowały broń u bram Namur.

Pierwszy przedfilował Holender o ogórkowatym obliczu, za nim – wszyscy jego ludzie z chorągwiami łopocącymi na wietrze. Stanąwszy naprzeciw siebie, Vauban i Coehoorn zaszalutowali, z uniesionymi na wysokość nosa szablami, dzielącymi ich oblicza na symetryczne połowy. Dwa dni przedtem nawzajem rozpruliby sobie nimi brzuchy.

– *A la prochaine!* – rzekł śmiało Coehoorn. (Do następnego).

– *On verra* – odparł ze spokojem Vauban. (Być może).

Wspaniałe. Lecz nie na tym zakończył się ów turniej. Jeśli bowiem mamy zachować bezstronność, nie mogę przemilczeć, iż słowa Holendra o twarzy jak ogórek okazały się prorocze. Jak w każdym toczonym w nieskończoność boju, szala znowu się przechyliła.

Po latach Namur zostało zaatakowane ponownie, tym razem przez wojska pod wodzą Coehoorna! Ruszył do szturmów wedle swej własnej *méthode*. Czyli na „bij, zabij”. I zwyciężył. Niestety, to nie Vauban stał wówczas na czele obrońców, tak więc pojedynki tych dwóch tytanów pozostanie nierozstrzygnięty aż do końca świata.

Jest wszelako faktem niezaprzeczalnym, iż oblężeniami nie zawsze kierowali racjonalni vaubanowcy. Często byli to generałowie wielbiący Coehoorna, twardzi i pozbawieni skrupułów. Jeden z nich, młody i ambitny, miał czelność wysłać do markiza bardzo przykry list.

Jego imię brzmiało James Fitz-James Stuart, książę Berwick. (Zapamiętajcie, proszę, to nazwisko. Na nieszczęście, pojawi się jeszcze nieraz w naszej opowieści. Aż nazbyt często! Gdyby nie on, dramat Barcelony – i mój osobisty – nigdy by się nie dokonał).

Lecz w 1705 roku nie miałem pojęcia o istnieniu Berwicka, który dowodził wtedy armią francuską podczas oblężenia Nicei. Z tego, co mi wiadomo, Vauban skrytykował jego działania, uznając tę operację za stratę czasu, pieniędzy, a przede wszystkim – dzielnych ludzi. Kiedy więc Berwick, najambitniejszy spośród coehoornowców, kontynuował blokadę miasta, markiz słał pismo za pismem, nakłaniając go do odwrotu.

Berwick musiał to przyjąć bardzo źle, gdyż pewnego dnia przyszedł do Bazoches jego list z frontu, chełpliwy i perfidny.

Jak widać, Panie, Nicea została wzięta. Od strony angułu^[27], który Wasza Mość uznał za nie do zdobycia. Nie straciliśmy na to zbyt wiele czasu. Tuszę zatem, iż przyznacie, Panie, że tym, co kierują działaniami w terenie, należy ufać bardziej niż tym, którzy chętnie udzielają dobrych rad z odległości dwustu mil.

Stek zarzutów, okraszony tryumfalnym lekceważeniem. Pamiętam, że

markiz nie posiadał się z oburzenia.

– Za kogo on się uważa? Pisać do mnie w takim tonie! Do mnie! Chłystek, bękart i pyskacz, którego największą zasługą jest to, że umył ręce w strugach cudzej krwi.

Przez dwa dni był niedostępny; nastrój miał tak podły, że nawet nie schodził na posiłki.

W postaci Vaubana ujawniał się niemożliwy do rozwiązania paradoks. Albowiem jeśli przedtem ze wstrętem pisałem o tych, którzy negują sztukę wojenną, należy to rozumieć na sposób vaubanowski. Cóż to jest wojna? Flaki wyprute z brzuchów, łupiestwo i zniszczenie. Paradoks polega na tym, że w koncepcji wymyślonej w Bazoches sztuka wojenna rozwinięta aż do swego ekstremum wojnę unicestwiała. Stała się dyscypliną wiedzy, której celem było dążenie do własnej anihilacji.

W odróżnieniu od Potwora, któremu służył, Vauban nienawidził wszelkich planów ekspansji. Przez zaściankowość, przez nazbyt wzniosłą ideę ojczyzny, jeśli wolicie. Dla Vaubana Francja nie była krajem dobrym. Była krajem doskonałym. A zatem po co chcieć więcej? Wszystkie swoje siły poświęcił temu, by zachować geograficzną spuściznę przodków. Fortyfikować granice w sposób tak perfekcyjny, żeby odeprzeć każdą napaść, zanim ta zdąży się stać konkretnym planem. To on wymyślił *pré carré*, „kwartał łąki”, jak żabojady nazywają swoje pieprzone włości: Francja jako monolit, byt doskonały, wieczny, zwarty – i kwita. Ów genialny budowniczy skrywał w swej duszy mentalność mieszczaucha konformisty, nieco krótkowzrocznego, jeżeli wolno mi się tak wyrazić. Vauban ulepszył Wegecjusza: *Si vis pacem para castrum* (Jeśli chcesz pokoju, buduj fortece). Gdy odstraszanie osiąga optymalny poziom, kto i kogo będzie atakował? Koniec waśni.

Vauban skończył marnie. W wielu sprawach był skrajnym konserwatystą, w kraju owładniętym przez nowożytne delirium i sny o potędze. W innych, reformatorem aż nazbyt śmiałym. W swoich pismach bronił wolności wiary oraz myśli, i to pod rządami tyranii, która chciała zredukować jednostkę do jednego wymiaru: bezwzględnego poddania się woli autokraty. Dziedziczną arystokrację zastąpić chciał szlachectwem nowego typu, wynikającym z osobistych zasług. I to w najbardziej despotycznej monarchii, jaką znano od czasów perskiego Dariusza. Wśród ministrów Potwora miał opinię człowieka nieszkodliwego. Nie krytykował króla, tylko dwór. Nie wiodł go rewolucyjny zapał, tylko rozum: wedle jego rachunku, na dwudziestu czterech Francuzów ziemię uprawiał zaledwie jeden, a pozostałych dwudziestu trzech żerowało na jego wysiłku.

Lekceważyli go, uznali za zbzikowanego staruszka, którego nie warto prześladować, bo jest archaicznym przeżytkiem, zramolałym okazem ginącego gatunku. Jego trącające myszką wyobrażenie wierności nie pozwoliłoby mu podnieść ręki na króla. Przeciwnie. Zginąłby zań tysiąc razy, mimo że mierzyły go jego

błędy, postępki i kaprysy. Był człowiekiem z gruntu naiwnym, wierzącym, że polityka jest tym, czym jest z pozoru. Jego logika była geometryczna i właśnie przez to nazbyt uproszczona. Nigdy nie zdołał pojąć, iż na ludzką rzeczywistość działa nieskończenie wiele przeciwstawnych wektorów, nieprzewidywalnych, ukrytych i niemal zawsze złowrogich.

Koniec wojen! Czysty sarkazm. Już Platon to mówił: tylko polegli ujrzą koniec wojny.

Jeżeli nasze życie dzieli się na etapy, to w moim kończył się właśnie okres najpiękniejszy i najbardziej udany. A koniec ów był gwałtowny i desperacki. Chociaż niewłaściwe byłoby stwierdzenie, że wszystko runęło w ciągu jednej doby. Katastrofa poczęła się w tym samym dniu, w którym małżonek Jeanne w cudowny sposób ozdrowiał na umyśle.

Kiedy ktoś pogrąża się w szaleństwie, bliscy patrzą na to z mieszaniną niedowierzania i zgorszenia, jak gdyby trapiąca go choroba była dla nich osobistą obrazą. Wariat staje się w naszych oczach swego rodzaju dezerterem. Niczym zwarty oddział odpieramy okrucieństwa losu i nie tolerujemy uciekinierów w naszych szeregach. Lecz, co ciekawe, kiedy ów ktoś odzyskuje zdrowe zmysły, niedowierzenie bywa jeszcze większe. Ponieważ wyleczony pomylenie jest równie niewiarygodny jak skruszony dezerter.

Docierały do mnie wieści o owym uzdrowieniu. Ale Paryż był daleko od Bazoches, a mnie pochłaniały bez reszty moje akademickie postępy. Kiedy mąż Jeanne przyjechał w odwiedzin, nie wierzyłem własnym oczom. Był domyty, krok miał pewny, a spojrzenie, które dawniej godzinami śledziło lot niewidzialnych trzmieli, sprawiało teraz wrażenie najzupełniej trzeźwego. W stosunku do mnie okazywał tę samą serdeczność co zawsze.

– Mój przyjaciel Zuviría! – wykrzyknął ujrawszy mnie i chwycił za ramiona. – Kopę lat! Zmężniałeś, acan, przez ten czas. Urosłeś jeszcze o piędź, a wydawało się, że wyższym już być nie można. A i charakteru nabrałeś, na twarzy masz to wypisane! – dodał, po bratersku trącając mnie kułakiem w szczękę. – Wewnątrz wydorostałeś jeszcze bardziej niż po wierzchu.

– Ty też, panie, pozwól mi wyrazić moją radość – odparłem – gdyż nie tylko we mnie zaszły wielkie zmiany.

Oczy mu się zamglily, jakby w przyływie skruchy na myśl o niedawnej przeszłości.

– Święta racja, *mon ami*.

Nie mogłem powstrzymać się od pytania o kurację i lekarstwo, działające takie cuda.

– Kuracja? Jaka kuracja? Po prostu pewnego dnia siedziałem w kącie i przypalałem sobie paznokcie, bawiąc się w Paracelsusa, kiedy nagle przemknęło mi przez głowę pytanie tak elementarne, że aż dziw, iż nie pomyślałem o tym wcześniej. – Przysunął się jeszcze trochę, jakby się bał, że ktoś nas może usłyszeć, i dodał, szeroko otwierając oczy: – Skoro jestem bogaczem i mam za żonę bogaczkę, to po co, u diabła, tracę czas, próbując przemienić sól w złoto?

Zauważyłem, że Jeanne oddaliła się ode mnie. Nie przykładałem do tego większej wagi aż do następnej niedzieli, gdy spotkaliśmy się na kolejnej schadzce

przy stogu. Zwykle przekradaliśmy się tam osobno, a ona czekała na mnie już naga, leżąc na sianie. Tym razem stała, ubrana od stóp do głów.

Nawet moja Waltraud, która jest głupsza od worka ziemniaków, odgadła, co Jeanne miała mi do powiedzenia, oszczędzę więc sobie szczegółów, bo jeszcze mnie boli.

– To, że twój mąż już nie jest świrnięty, nie oznacza, iż nasze uczucia się zmieniły – rzekłem.

– Moje uczucia do ciebie, nie; moje obowiązki wobec niego, tak.

Jestem przekonany, że wielcy kochankowie, kochankowie prawdziwi, nigdy nie robią scen rodem z teatru. Wiecie dlaczego? Dlatego że dramaturdzy mogą sobie gadać, co chcą, ale ze wszystkiego, co istnieje na tym świecie, miłość jest najbardziej racjonalna.

Mogłem powiedzieć wiele rzeczy, lecz odpowiedź i tak znałem z wyprzedzeniem. Jeanne była bogata, teraz już szczęśliwie zamężna (albo też mniej nieszczęśliwie) i miała ojca markiza. Nie rzuciłaby wszystkiego dla chłopaka bez pochodzenia, prostego aspiranta z prowincji. Zmieniła temat:

– Bracia Ducroix twierdzą, że brak ci tylko jeszcze ostatniego szlif, żebyś został znakomitym inżynierem. Prawdę mówiąc, są tobą zachwyceni.

Milczałem; spojrzałem na nią. Spozstrzegła moje przygnębienie, mój niemy wyrzut, mój ból bez słów.

– Powiedz mi coś, Martí – poprosiła. – Gdybyś musiał wybierać, czy chcesz być królewskim inżynierem, czy zostać ze mną na zawsze, co byś zrobił?

Otworzyłem usta dwa lub trzy razy, ale nic nie odrzekłem. Zostałem w Bazoches dla kobiety, a zakochałem się w inżynierii.

Taki był początek końca. Katastrofa, moja wielka marcową katastrofa z 1707. „Małżeństwo jest jak obleżona cytadela: ci, którzy są na zewnątrz, chcą się tam dostać, a ci, którzy są w środku, chcą stamtąd wyjść”, powiedział Vauban. Nawet powściągliwi bracia Ducroix pokleпали mnie kilka razy po plecach. Nie musiałem im się zwierzać, rzecz jasna. Pewnego dnia zagadali do mnie:

– Na ten ból nie poradzi żadna inżynieria. Odetchnij głęboko, i tyle.

Myślę, że piąty Punkt wytatuowali mi tylko po to, żeby mnie pocieszyć. A także dlatego, że działo się wówczas coś jeszcze, o czym ja nie miałem pojęcia, a co było znacznie ważniejsze i dla mnie, i dla Bazoches, i dla połowy świata: Sébastien Le Prestre de Vauban umierał.

Jego płuca odmawiały posłuszeństwa. Ostatnie stadium choroby dopadło go w Paryżu. Bracia Ducroix ukrywali to przede mną niemal do ostatniej chwili. Dopiero wtedy Armand powiedział z tą swoją niepodrabialnie stoicką manierą:

– Aspirancie, dni markiza de Vauban są policzone.

Do Bazoches miał już nie wrócić. A to wydawało się czymś bardziej ostatecznym niż sama śmierć. Złodowaciałem. Vauban stał się dla mnie kimś

wyższym nad ludzkie przypadłości. Czulem się tak, jakby ogłoszono, że nikt już nie rozpali ognia albo że księżyc zaraz spadnie z nieba.

Zenon był już z markizem, asystując mu przy tym ostatnim akcie. Armand i ja wsiedliśmy do kolasy i wyruszyliśmy do Paryża. Była to dziwna podróż. Nigdy nie widziałem Paryża, stolicy owej religii, która czci wojnę i której na imię Francja. Staralem się baczyć na wszystko, a jednocześnie nie mogłem przegnać z głowy myśli o Jeanne. Tak, wszystko wskazywało na to, że gwiazdy sprzysięgły się przeciwko mnie i w jakiejś astralnej koniunkcji zapisano, że obie te rozłąki zbiegną się w czasie. Targała też mną niepewność, której przez delikatność nie ośmieliłem się wyrazić głośno. Armand odpowiedział, uprzedzając moje pytanie:

– Markiz nie odejdzie, dopóki nie pożegna się z każdym ze swoich bliskich.

Jedną z niedogodności bycia wysoko postawionym arystokratą jest to, że do twego łoża śmierci pielgrzymują indywidua wszelkiego sortu. Obyczaj wymaga, by w chwili agonii nachodzili cię Iksiński z Pipsztyckim, pierwszy i drugi sekretarz komandora Hellespontu albo kuzyn szwagra twojego zięcia alkoholika. To, że umierający musi znosić rozgadany tłumek, zawsze wydawało mi się zbyt dużym okrucieństwem. Ale czyż mogłem się krzywić? Sam przecież miałem stać się częścią owego oddziału natrętów. Tyle że w moim wypadku chodziło o sprawę życiowej wagi.

Albowiem Vauban miał uznać albo nie mój piąty Punkt. Według Armanda markiz okazał chęć przeegzaminowania mnie osobiście. Był to wielki zaszczyt, zwłaszcza zważywszy na niecodzienne okoliczności. Jeśli wśród maganonów doskonałość liczono w skali od jednego do dziesięciu, zrozumiałe stało się, iż owa Piątka oznaczała ogromny autorytet.

Paryskie mieszkanie Vaubana mieściło się w skromnym pałacyku. W przedpokoju komnaty markiza zgromadziło się pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt osób oczekujących na ostatnią audiencję. Protokół wymagał, by gości dopuszczano do konającego zgodnie ze ściśle przestrzeganą hierarchią, a jako że najpośledniejszym z nich był właściciel pięciu ludwisarni, czekałem na swoją kolej aż do wieczora.

– Gdybym był markizem – powiedziałem z westchnieniem smutku – pospieszyłbym się z umieraniem, bo trudno ścierpieć te przedśmiertne hołdy. *Merde!*

– Milcz, acan, i pójdź za mną – powiedział Armand.

Zaczął się przepychać w tłoku. Przed drzwiami, co było do przewidzenia, zatrzymał nas jakiś sługa w przesadnie ozdobnej liberii.

– Ej, ty, hola! Wracaj do kolejki.

– Mości panie! – zakrzyknął Armand z godnością. – Jestem osobistym sekretarzem markiza i moje miejsce jest u wezglowia jego łoża. Nie poznajesz mnie?

– Rzeczywiście, proszę mi wybaczyć – usprawiedliwił się lokaj, który najwidoczniej nie wiedział, że Zenon ma brata bliźniaka – ale chyba już tam pana widziałem? Przepraszam, nie zauważyłem, jak pan wychodził.

Weszliśmy. Armand zrzędził:

– Krety... ślepi jak krety... co za świat...

Wielki Vauban spoczywał na łożu z kolumnami sięgającymi pod sufit. Na wpół siedział, podparty puchatą poduchą. Rzeczywiście, umierał. Ale nawet w tej ostatniej godzinie zachował władcą postawę. Oddech, nierówny i chrapliwy, był pomrukiem lwa. Dostrzegłem Jeanne.

Zgodnie z protokołem musiałem stanąć u stóp łoża i pozdrowić konającego ukłonem. Nie mogłem. Zawdzięczałem temu człowiekowi dwa najbardziej owocne lata mego życia, ukształtowanie charakteru i nadzieję na lepszy los. Pochyliłem się nad jego dłoń i przytuliłem ją do policzka, rozsłochany jak dziecko. Na korzyść rodziny świadczy to, że nikt mi tego nie bronił i nikt się nie zgorszył. Co więcej, kiedy podniosłem głowę, Vauban zatrzymał na mnie gasnący wzrok i jeśli ojciec mówi spojrzeniem synowi: „Jesteś moim dziełem”, to nikt nigdy nie patrzył na mnie bardziej ojcowskim okiem.

A potem powiedział:

– Wszedłeś tu jako aspirant. Pragnę, byś wyszedł stąd jako królewski inżynier.

Poprosił córki i sekretarzy, by pozostawiono nas samych. Armandowi i Zenonowi kazał czekać za drzwiami. Chciałbym zobaczyć minę tego gościa, który zastąpił nam drogę: znowu zobaczył sekretarza, tym razem podwójnie.

– Z oczywistych powodów – wyszeptał markiz – egzamin będzie krótki. Zadam acanowi tylko jedno pytanie. – Przez kilka chwil w skupieniu wpatrywał się z otwartymi ustami w sufit, a potem, wciąż spoglądając w górę, powiedział: – Przedstaw mi następujący temat: optymalna obrona oblężonej twierdzy.

Trudno o prostsze pytanie. A więc chodziło o zwykłą formalność. Vauban przed śmiercią chciał oddać światu swego ostatniego inżyniera. Tak, z pewnością o to chodziło. Choć starannie to ukrywał, wiedziałem, że był bardzo dumny ze swego krnąbrnego i pyskatego, a zarazem tak utalentowanego ucznia. Zacząłem od nakreślenia kręgosłupa wspierającego dobrze ufortyfikowaną twierdzę. Skarpa, galeria bojowa, poprawne odległości pomiędzy bastionami, wyliczone tak, by wyeliminować martwe pola. Pozwoliłem sobie nawet na analizę szyi, czyli wejścia do bastionu, które, moim zdaniem, przeważnie bywało za wąskie. Lecz wówczas wydarzyło się coś niespodziewanego.

Vauban mi przerwał. Zdobył się na wysiłek i podniósł głos.

– Krócej proszę!

I ku memu przerażeniu, dodał:

– Źle. Nie o to pytam.

Czyżbym coś poplątał? Zacząłem się denerwować, ale brnąłem dalej. Opowiadałem o grubości murów, o stopniach nachylenia. O wykorzystaniu ukształtowania terenu w budowie dzieł obronnych. O fosie i sposobach uszczelniania bresz. Niezadowolenie widoczne w jego oczach mówiło, że nie to chciał ode mnie usłyszeć. Potarł nawet czoło dłonią, co zawsze było nieomylnym znakiem głębokiego rozczarowania. Opowiadałem o garnizonach, o liczbie ludzi stosownej do rozmiarów fortyfikacji, o uzbrojeniu, amunicji i koniecznej aprowizacji. Zacytowałem Herona z Konstantynopola^[28] i jego mądre rady dla dowódców twierdz. W tym momencie markiza przeszył ostry ból. Zmrużył oczy, zacisnął usta. Spojrzał w sufit, jakby błagał o odroczenie wyroku, i powiedział:

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Przejdź do sedna, czas nam się kończy – i westchnął. – Wystarczyłoby jedno słowo, jedno jedyne słowo, w którym streszcza się obrona doskonała.

Umierający nie mają czasu na pomyłki, a Vauban zdawał się myśleć, że traktuję sprawę lekkomyślnie. Zachwiałem się w duchu. Zwątpiłem we wszystko, co umiałem. Odpowiadałem ściśle, krótko, bez wodolejstwa. Co pominąłem? Spróbowałem raz jeszcze. Może Vauban chciał usłyszeć więcej o humanitarnym aspekcie obrony, zreferowałem zatem wszystkie po kolei środki ochrony ludności cywilnej na czas oblężenia. Nie. Też źle. Zamilkłem. Nie miałem pojęcia, jakiej odpowiedzi oczekiwał.

Unióś palec wskazujący i powiedział coś, co będę pamiętał aż po grób:

– Jedno słowo. Wystarczy, że powiesz jedno słowo.

Zrobiłem krok w stronę łóżka i pochyliłem się, wsparłszy rękę o posłanie.

– Ale, *monseigneur* – odrzekłem tonem łagodnym i pełnym szacunku, jakim nigdy przedtem do nikogo nie mówiłem – przecież właśnie powiedziałem wszystko, czego nauczyłem się w Bazoches.

Markiz sprawiał wrażenie zrezygnowanego. Podniósł dłoń do oczu.

– Nie, wcale nie. Niczego nie zrozumiałeś. Dostyc. – Oddychał ciężko, nie patrząc na mnie. – W zgodzie z własnym sumieniem nie mogę dać ci mego placet. Uwierz, że bardzo mi przykro, ale będziesz musiał poszukać innego nauczyciela, lepszego ode mnie. Bo ja zawiodłem. – I orzekł: – Nie zatwierdzam.

Poczułem, że to ja umieram, nie on. Zniechęcony poruszył ręką, która zaraz z powrotem opadła na pościel.

– Muszę teraz kogoś przyjąć. Odejdź, proszę.

Wyszedłem z komnaty bielszy niż ściana. Bracia Ducroix pojęli, co się stało, i odprowadzili mnie na stronę, z dala od owego tłumu sępów. Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. W desperacji podciągnąłem rękaw, pokazując przedramię.

– Piąty Punkt! Wykluty na mojej skórze, ale nie mój. Kto go teraz zatwierdzi? Kto?

Odciągali mnie na bok, a ja skomlałem jak szczeniak, któremu ktoś bez powodu przywalił kijem.

– Jakie to słowo? Co markiz chciał usłyszeć? – mówiłem z płaczem. – Jakie to słowo?

Jechałem do Paryża, żeby zdać egzamin, najważniejszy w moim życiu. W zamian dostałem lekcję równie gorzką, jak bezużyteczną. Skąd wiemy, że wszystko jest stracone? A stąd, że milczą nawet ci, którzy nas kochają. Albowiem bracia Ducroix wdychali strapieni, lecz jedyną pociechą, jaką mi mogli dać, było ukrycie mnie przed spojrzzeniami innych i wyprowadzenie do najdalszego kąta owego smutnego domu nawiedzonego przez śmierć.

Sébastien Le Prestre de Vauban zmarł dnia 5 marca 1707 roku. Z egzekwiów i pogrzebu zapamiętałem tylko straszliwy zamęt w mojej głowie. „Nie zatwierdzam”.

Byłem ostatnim wytworem Bazoches i, wybaczcie śmiałość, najbardziej dopracowanym. Maszyną doskonałą przez dwa lata rygorów i dyscypliny. W ostatnich dniach mego przysposobienia czułem, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Konstantynopol oblegano dwadzieścia pięć razy. Ja byłem pewien, że mógłbym go obronić przed jednoczesnym natarciem tych dwudziestu pięciu armii. Albo zdobyć, gdybym służył innemu panu. Poprosiłbym tylko o piętnaście dni na wykopanie trzech paraleli. A teraz byłem nikim. Paryska odmowa skazywała mnie na przedpiekle za życia. „Jedno słowo, tylko jedno”. Ale jakie? Wyrok ów przemieniał mnie w monstrum, niedonoszony płód jednorożca.

Jedną z niezliczonych osobistości oddających markizowi ostatnią posługę był kawaler Antoine Bardonenche, ten sam kapitan piechoty, z którym niekiedy spędzaliśmy czas razem z Jeanne i jej siostrą, bawiąc się w ślepą babkę nad brzegiem strumienia lub w zamkowych korytarzach. Siedziałem na ławce w przedpokoju, wsparłszy łokcie na kolanach, wyłamując sobie palce, przybity, z głową opustoszałą z myśli i pełną rozpacz, kiedy Bardonenche podszedł do mnie, wysmukły i zgrabny, w olśniewająco białym mundurze.

– Podobno wpadłeś w melancholię, przyjacielu – rzekł, pogodny jak zwykle, choć przebywał w domu żałoby. – Słyszałem, że szukasz korzystnego zajęcia na przyszłość.

Nawet nie miałem siły odpowiedzieć. Kapitan mówił dalej:

– Ponieważ studiujesz acan inżynierię, powinieneś swoją wiedzę przećwiczyć w praktyce. Chciałbyś wstąpić do brygady inżynierów jako adiutant? Zdobędziesz doświadczenie. Z czasem przyjmą cię do królewskiego korpusu, jestem tego pewien.

Było oczywiste, że wraz ze śmiercią markiza w Bazoches wszystko się zmieni, a władza przejdzie w ręce Jeanne. Nie mogłem tam zostać. Machinalnie kiwnąłem głową. Bardonenche, uradowany, uderzył lewą pięścią w otwartą dłoń:

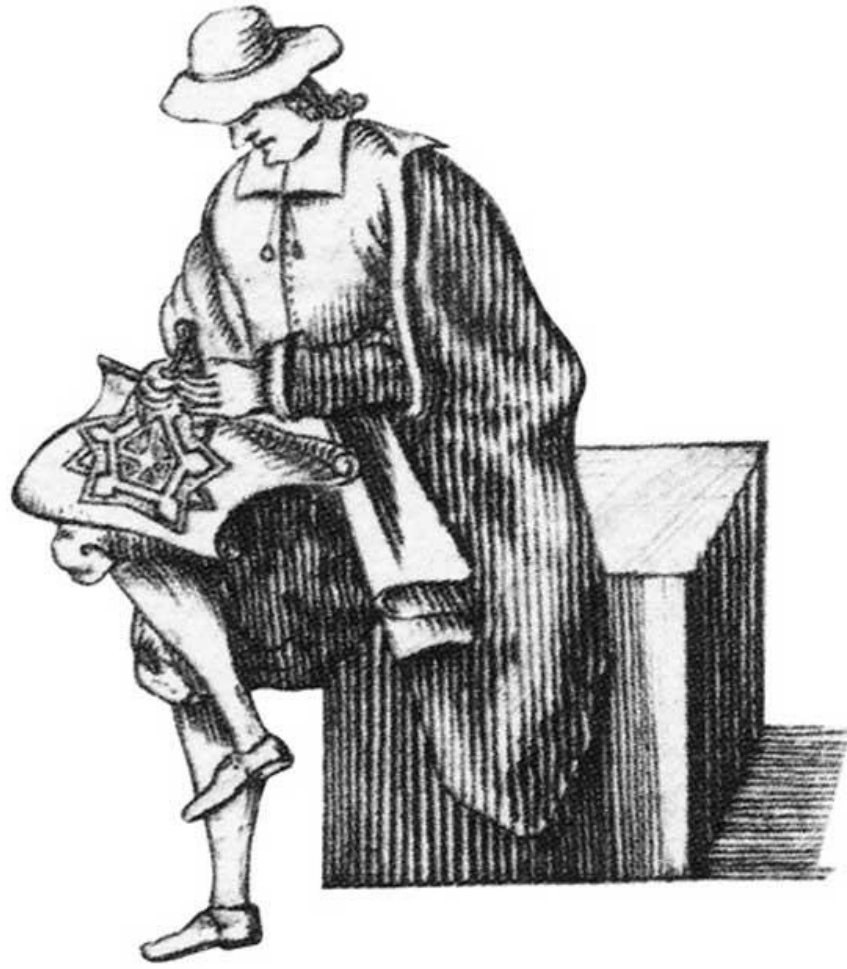
– *Rejoingnez l'armée du roi!*^[29]

Jeanne była kowadłem, a Vauban młotem. Ja zaś kawałkiem żelaza między nimi. Było mi wszystko jedno. Gdyby zaproponowano mi posadę w Anatolii przy budowie zagród dla tureckich baranów, też bym się zgodził. Co do Jeanne, nasza ostatnia rozmowa jeszcze bardziej rozdarła mi duszę.

– Tylko dzięki tobie przyjęli mnie do Bazoches – przypomniałem. – Skłamałaś ojcu. Powiedziałaś, że to ja najlepiej znam jego dzieło. Może popełniłaś błąd, może byłoby lepiej, gdybym was nigdy nie poznał. Dzisiaj bylibyśmy szczęśliwsi.

– Ależ, Martí – odparła – ja wcale nie kłamałam. Powtórzyłam dokładnie odpowiedzi trzech kandydatów. „Kamienny kwiat”. Tak opisałeś jego najlepszą fortecę. A mój ojciec odrzekł: „Ten będzie moim uczniem, w tym być może bije serce inżyniera”.

Vauban umarł w Paryżu, ale został pochowany w Bazoches. Oddzielnie ciało, oddzielnie serce, złożone w osobnej urnie. Był człowiekiem, który szanował porządek, nie chciał się sprzeciwiać obyczajom swojej epoki. Ale dla tych, którzy umieli patrzeć i widzieć, sprawa była jasna: ciało dla księży, serce dla Mystère'a. Jeśli jesteście wierzący, wiedzcie, że ze wszystkich ludzi, jacy istnieli, odkąd świat światem, Vauban jest jedynym, co do którego mógłbym przysiąc, że znajduje się tam, w górze. Założę się o co chcecie, że widząc, jak się zbliża, otwarli mu bramy nieba na oścież i bez szemrania. Bo jak nie, to święty Piotr ryzykował, że markiz powróci doń z pułkiem saperów. Sądzę, że zdobył niebo w siedem dni. No dobra, bądźmy litościwi: żeby nie ubliżyć temu, który według fantastów stworzył to całe gówno, powiedzmy, że w osiem.



Z mojej podróży z Francji w głąb Hiszpanii pamiętam tylko własne stopy, bo całą drogę przebyłem ze spuszczoną głową. Nic mnie już nie obchodziło. Sflaczałe ciało nie czuło nawet haniebnego telepania wozów. Mystère mnie opuścił. Jeszcze dzień przed śmiercią Vaubana wypełniał mnie bez reszty. Dzień po – wyparował bez śladu. Żeby nie wiem ile stron zapisał, nigdy nie zdołam wyjaśnić przerażenia i zarazem apatii, jakie kryła w sobie ta próżnia.

Jestem pustynią człowieka, wiem. Każdy dzień mego życia to ziarno piasku, który tworzy jej wydmy. Minęło tyle czasu, tak wiele, że na tamtego chłopca, który się zwał Martí Zuviría, spoglądam jak na obcego człowieka. Nie jestem dla niego pobłażliwy, możecie mi wierzyć. Ale trochę mu współczuję. Jego przyszłość, jego miłość, jego nadzieje, jego znamienici nauczyciele... wszystko przepadło, nagle i niemal w tej samej chwili. Czy jest ktoś, kto by wyszedł z tego bez szwanku? A wszystko przez jedno słowo, to Słowo.

Mam teraz dziewięćdziesiąt osiem lat, a więc w 1707 powinienem był mieć... pomóż no mi, maciorko ty moja... ano tak, szesnaście. Regiment Bardonenche'a przekroczył nawarską granicę w długiej pieszej kolumnie, a znalazłszy się w Hiszpanii, podążaliśmy dalej na południe forsownym marszem. Pozwolono mi jechać na jednym z licznych wozów zamykających konwój, nie miałem więc tak obolałych nóg, jak umęczona piechota. Po dotarciu do głównego korpusu wojsk miałem zostać przydzielony do sztabu inżynierów.

Gdybyście musieli tak maszerować dzień w dzień, zrozumielibyście, jak wielkim byłem szczęściarzem. Żołnierze posuwali się kolumną, dwójkami, od świtu do zmierzchu, za nimi jechały wozy. Wojsko francuskie utrzymuje chyba najszybsze tempo w Europie, jeden krok na sekundę: raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... *En route, mauvaise troupe!*^[30] Tydzień po przejściu granicy ludzie ślaniali się na nogach ze zmęczenia i padali na pobocze drogi. Zabierano ich na wozy drabiniaste, za co pod koniec dnia musieli wykonywać prace obozowe. A ponieważ było to zajęcie nie tylko ciężkie, ale i upokarzające, jedynie skrajnie wyczerpani pozwalali sobie na taką chwilę słabości.

Bardonenche, na wspaniałym rumaku, jeździł wzdłuż pieszej kolumny tam i z powrotem, prezentując nienaganną wojskową postawę. Mówiłem już, że był to najmilszy kompan pod słońcem. Często podjeżdżał do mojego wozu i rzucał słówko otuchy, widząc mnie na koźle obok woźnicy. Nawarra jest krainą deszczową, a w północnej Kastylii również nie brakowało zieleni. Jednak w miarę jak podążaliśmy na południe, pojawiały się coraz większe połacie suchych stepów i upalna duchota, dokuczliwa nawet wiosną.

Dotąd nie rozpisywałem się o kawalerze Bardonenche. Był zaś najświetniejszym fechtmistrem mojego stulecia. W istocie, z morza pustoty

zalewającego jego duszę trudno było wyłowić coś poza ochotą do bitki. Jego filozofia była prosta:

– A czymże, do diabła, jest pojedynek? Nabici na sztych, zanim ciebie nabiją. Uznawał tylko białą broń. Głęboko gardził kulą, prochem, kamieniem.

– Kule lecą, gdzie popadnie, a moja szpada trafia prosto w cel: w serce wroga.

Podczas lektury ksiąg, które musiałem przeczytać w Bazoches, dostrzegłem pewne podobieństwa pomiędzy szermierką a inżynierią. Niektórzy maganoni dążyli do stworzenia fortecy doskonałej. Zapytałem Bardonenche'a, czy zastanawiał się kiedyś nad idealną szpadą, idealnym sztychem lub idealnym fechtmistrem. Popatrzył na mnie jak papuga zapytana o tajemnicę Trójcy Świętej.

– Każda z moich walk była idealna – odparł, urażony. – Świadczy o tym fakt, iż brałem udział w dziewiętnastu pojedynkach, czego nie może o sobie powiedzieć żaden z moich przeciwników.

No cóż, jedyną moją pociechą było to, że stoimy po tej samej stronie i nigdy nie będę musiał stawić czoła furii jego szpady.

Po śmieciach, rozrzuconych wzdłuż drogi, poznaliśmy, że znajdujemy się już blisko francusko-hiszpańskich oddziałów. To nie do wiary, ile odpadków pozostawia za sobą wojsko. Rozbite garnki, jakieś kołki, połamane osie kół, dziurawe sakwy, zdechłe muły, strzępy mundurów, przetarte liny, zardzewiałe podkowy. Brać, wybierać.

Przemierzyliśmy Manczę, kierując się na zachód. Zatrzymaliśmy się na parę dni w Albacete – miejscu równie szpetnym, jak zimnym – i ruszyliśmy dalej. Pewnej nocy rozbiliśmy obóz w jakiejś zapomnianej wiosce, gdzie na każdą duszę przypadało sto tysięcy pcheł. Upiłem się cuchnącym winem, prosto z butelki, której dno było cementarzyskiem robaków. Robaki też łyknąłem. Nazajutrz odsypiałem kaca na wozie, kiedy obudził mnie Bardonenche.

Chciał przed wymarszem przepytać jednego z wieśniaków i poprosił, bym służył za tłumacza.

– Gdzie teraz jest wojsko Dwóch Koron? – zapytałem, ziewając.

– Za chwilę zaczną zmykać, aż miło – odparł chłopek. – Marszałek Berwick ściga Sprzymierzonych, albo też Sprzymierzeni ścigają Berwicka. Tam...

Wskazał ręką na zachód. W oddali, na wzgórzu, wznosił się stary zamek, a u podnóża leżało miasteczko.

– Co to za miejscowość? – zapytałem, przecierając zaropiałe oczy.

– Almansa.

I tak oto *pocapena*^[31] Martí Zuviría został wplątany w awanturę stulecia, zwaną wojną o sukcesję hiszpańską. Największą wojnę, jaką widział świat. Uwikłała dziesiątki narodów, które przez ćwierć wieku walczyły na różnych

kontynentach. Brak mi autorytetu historyka, by wyrokować o jej przyczynach, ale w wypadku zjawiska o tak wielkiej skali, które w dodatku zadecydowało o moich losach, nie mam innego wyjścia, jak przedstawić, choćby pobieżnie, główne fakty. Nie bójcie się, będzie krótko.

W roku 1700 umierał cesarz Karol II Hiszpański, poroniony płód natury, śliniący się tłumok, który, gdyby nie był królem, spędziłby życie zamknięty w jakimś klasztorze. Jego kastylijscy poddani nazywali go „Zaklętym”. Ja nie byłbym aż tak miłosierny, pozostanę więc przy „Głupku”. Nie miał potomków. Jakże mógłby ich spłodzić? Miał tak nie po kolei w łepetynie, że pewnie aż do śmierci nie wiedział, że ogonek, który mu zwisa między nogami, służy do czegoś więcej niż do siusiania.

Wszyscy królowie, z definicji, są głupkami, albo przynajmniej tak kończą. Pytanie tylko, czy dla poddanych lepiej jest, by rządził nimi skończony kretyn, czy zwykły skurwysyn. W młodości byłem zwolennikiem kretynów, ponieważ zadowolają się jedzeniem bażantów, a ludzi zostawiają w spokoju. Głupek na przykład był bardzo nie lubiany w Kastylii, a w Katalonii wręcz odwrotnie. Dlaczego? Ano dlatego, że nic nie robił. Jego atrofia mózgowa była lustrzanym odbiciem Kastylii i jej zakrzepłego imperium. Katalończykom to pasowało. Im dalej jest król i im mniej rządzi, tym lepiej.

Na długo przed jego śmiercią wiadomo było, że ów ludzki wrak kopnie w kalendarz bezpotomnie. Logiczne zatem, iż padlinożercy z całej Europy bacznie śledzili rozwój sytuacji. Po latach poznałem pewnego francuskiego szlachcica, który na przełomie wieków był dyplomatą w Madrycie. Mieli na dworze tylu szpiegów, że... zdobyli nawet królewskie gacie! Szczegółowe badanie nie pozostawiło wątpliwości: Karol nie ejakulował. A zgodnie z prawem natury bez nasienia nie ma dzieci.

Dla Francuzów była to niebywała gratka. Gdyby po śmierci Głupka posadzili na hiszpańskim tronie swojego pretendenta, osiągnęliby za jednym zamachem dwa historyczne cele: przymierze z ich odwiecznym wrogiem zza Pirenejów oraz główną wygraną na loterii, czyli zjednoczenie pod własnym berłem gnijącego hiszpańskiego imperium, rozsianego po całym świecie, od Włoch po Amerykę. Ludwik XIV, ów potwór w ludzkiej skórze, zacierał ręce.

Ale jak mówi przysłowie, siła złego na jednego. Głupek wywodził się z dynastii austriackiej, więc Austriacy z Austrii też krążyli przy łożu konającego, z takimi samymi intencjami jak francuskie sępy.

Kiedy Karol Głupek oddał ducha z bojaźliwym gulgotem, było już pozamiatane. Potwór wysunął jako kandydata do tronu swego wnuka Filipa d'Anjou, a cesarz Leopold – swego syna, arcyksięcia Karła, jako przyszłego Carlosa III.

Anglikom i Holendrom d'Anjou był bardzo, ale to bardzo nie w smak.

Gdyby Hiszpania i Francja się zjednoczyły (nikt wszak nie miał wątpliwości, że Filipek stałby się posłuszną marionetką Potwora), równowaga potęg zostałaby zachwiana. Hiszpańskie imperium przypominało konającego, pokrytego wrzodami starca, a Francja – fanfaron z przedmieścia. Potwór przemienił swój kraj w uzbrojoną po zęby autokratyczną tyranię, twór nieznaną w nowożytnych czasach, i nawet nie starał się ukryć, że dąży do panowania nad całym światem. Tak więc Anglia, Holandia i – jakżeby inaczej – Cesarstwo Niemieckie wypowiedziały wojnę Francji. O tym, że Potwór budził powszechny lęk, świadczy fakt, iż nawet Portugalia i Sabaudia przyłączyły się do przymierza, a Chińczycy nie wtrącili się tylko dlatego, że mieli daleko i wynajęcie statku wyszłoby im trochę za drogo.

Tak jak powiedziałem, galimatias i przekręt stulecia, a wszystko przez czyste gacie. Jak to jest, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby do komnaty królowej przemycić cichcem jakiegoś młodziana z tęgą kuśką, który zrobiłby co trzeba? A potem wszyscy mogliby przysięgać, że owoc tych zabiegów jest rodzonym synem Głupka? Niech to licho, ile byśmy sobie oszczędzili!

No więc, mówiłem, że wojska całej Europy zaczęły rozpychać się łokciami. Na granicach niemieckich, francuskich i holenderskich kurzyło się aż miło. A w Hiszpanii? Co stało się powodem do zwady?

Zanim przejdę dalej, muszę zboczyć z tematu, żebyście mogli zrozumieć cokolwiek z hiszpańskiego bałaganu, niepojętego dla cudzoziemców, takich jak na przykład ty, moja kochana maskaro, gdyż nie są świadomi pewnego istotnego niuansu, a mianowicie tego, że Hiszpania nie istnieje.

O Galii Cezar powiedział, że na trzy części podzielona jest^[32]. O Hiszpanii, powstałej po upadku Świętego Cesarstwa Rzymskiego, napisać mógłby, że dzieli się na trzy wstęgi, biegnące z północy na południe.

Jednym z owych pionowych pasów jest Portugalia. Kiedy spojrzycie na mapę, zobaczycie, że rozciąga się wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Półwyspu. Częścią środkową, najszerszą, jest Kastylia, zajmująca jego środek. Ostatnia leży nad Morzem Śródziemnym. To – zapomniana przez dzisiejszych kartografów – korona katalońska (a raczej była korona; teraz jesteśmy już niczym).

Wszystkie te królestwa były chrześcijańskie, ale każde z nich miało własną dynastię, język, kulturę i historię. Wzajemna nieufność sprawiała, że ciągle się ze sobą wadziły. Nic w tym dziwnego. Katalończyków i Kastylijczyków różniła mentalność. Poza kanonem świętych nie mieli ze sobą nic wspólnego. Kastylia była krainą spalonych słońcem pastwisk i pól, Katalonia otwierała się na morze. Kastylia to ziemia arystokratów i chłopów; Katalonia – mieszczan i żeglarzy. Kastylijskie pejzaże zrodziły samowładnych latyfundystów. Pamiętam pewną średniowieczną opowiastkę, apokryficzną być może, ale bardzo znamienne.

Jakaś kastylijska księżniczka poślubia katalońskie książętko. Wyjeżdża do

Barcelony i już na drugi dzień dostaje nauczkę od służby. Otóż dziewczeczka poprosiła o szklankę wody czy też nocne naczynie, już nie pomnę, a sługa na to, żeby sama sobie wzięła. Księżniczka biegnie do męża, żądając, by wychłostano zuchwalca. Małżonek wzrusza ramionami i mówi: „Żałuję, lecz nie mogę zadowolić waszej chęci”. Ona, na skraju ataku hysterii, pyta, jakże tak? „A tak – odpowiada strapiony mąż – że to nie Kastylija i ludzie tutaj są wolni”.

Gdzieś około roku 1450 oba królestwa się zjednoczyły przez królewskie zaślubiny. Każdy mógł przewidzieć, że jako małżeństwo skończą źle, bardzo źle. Porównuję ową unię tronów do skłóconego stadła, gdyż nieporozumienia, jakie wkrótce miały zajść, łudzaco przypominały sprzeczki małżonków, którzy pobrali się, mając rozbieżne oczekiwania. Dla Katalończyków związek ów oznaczał unię równych sobie. Kastylija, z upływem czasu, zapominała o tym założycielskim pryncypium.

Z początku wszystko układało się dobrze, ponieważ oba królestwa żyły tak jak dotychczas, jedno obok drugiego i każde po swojemu. Katalonia, pod władzą Generalitat (tak się nazywał rząd kataloński^[33]), składała wspólnej koronie trybut bardziej niż symboliczny. Potem tron hiszpański, który w wiekach średnich wędrował od miasta do miasta, znalazł wreszcie siedzibę w Madrycie. I wówczas ośrodek władzy przeniósł się na stałe do Kastylii.

Wedle jednej z naszych najstarszych konstytucji^[34] Katalończycy obowiązani byli do walki za króla jedynie „w razie napaści i w obronie Katalonii”. Innymi słowy: Madryt nie miał prawa rekrutować mięsa armatniego na wojny toczone we Flandrii, na patagońskiej pampie albo w jakimś malarycznym zakątku Florydy. A wysokość podatków musiała być zatwierdzana przez krajowe kortezy. Władający z Madrytu królowie, nawykli do kastylijskiego despotyzmu, uważali, że niedopuszczalne i przynoszące im ujmę jest, by najbogatszy region Półwyspu nie ugiął się przed nimi, kiedy wojują z połową świata.

Głupcy! W piętnastym wieku łączyły się korony, nie królestwa; jeden król nad wszystkimi, ale nie jeden rząd i nigdy pod jarzmem Kastylii. Taka była umowa. Dla Kastylii owa niezależność zawsze była solą w oku, a później i zdradą. (Pamiętacie, co mówiłem o niedobranym małżeństwie?). Jedna ze stron zapomniała o swoich obietnicach, druga czuła się z dnia na dzień coraz bardziej ciemiona.

W roku 1640 czara się przepełniła i w Katalonii wybuchł bunt. Tłumy żądne zemsty chłopstwa wtargnęły do Barcelony. Hiszpańskiego wicekróla dopadli, kiedy próbował uciec. Prawda, że nie potraktowano go zbyt dobrze. Największy kawałek, jaki pozostał z nieszczęśnika, zmieściłby się w doniczce.

Powstanie to zakończyło się wybuchem wojny pomiędzy Kastylią i Katalonią, przy walnym udziale Francji. Wojny długiej, okrutnej i bezlitosnej, a zakończonej chwiejnym traktatem, zgodnie z którym wszystko zostało mniej więcej po staremu: Katalonia zachowała swoje konstytucje i wolności, Kastylija zaś

dalej pograżała się w otchłań dekadencji.

To, co nastąpiło po wojnie 1640 roku, nie było pokojem, lecz raczej długim antraktem. Katalonia i Kastylia spoglądały na siebie coraz bardziej wrogo. Kastylijska podejrzliwość przeobraziła się w jawną urazę. Jeśli nie wierzycie, przeczytajcie sobie, co wypisywał o nas taki Quevedo:

Są Katalończycy politycznym dziwolągiem. Dla swych królów niczym ospa, sami tknięci chorobą. Naród ten składa się z win niegodnych przebaczenia.

Tutaj ograniczył się do wyrażenia opinii, na jaką według niego zasługiwaliśmy. W innym miejscu już się tak nie patyczkował, stwierdzając jasno, co myśli o owym zradzieckim plemienu:

Dopóki w Katalonii zostanie choćby jeden Katalończyk i kamienie na polach, będziemy mieli wroga i wojnę.

Jakie to urocze! „Polityczny dziwoląg... dla swych królów niczym ospa”. Lepiej by się spytał, dlaczego ich nikt nie lubi.

Kastylia miała swoją złotą chwilę w czasie podboju Ameryki. Potem zapadła w gnuśną, obozwładniającą śpiączkę. Tak było jej pisane, to wzięło się z jej korzeni. Kastylijskim bohaterem par excellence jest hidalgo, średniowieczny wymysł, który przetrwał do dziś. Dumny aż do granic szaleństwa, ślepo przywiązany do honoru, gotów bić się na śmierć za to, że ktoś mu nadepnął na nogę, lecz niezdolny do żadnego konstruktywnego wysiłku. To, co dla niego jest heroicznym wyczynem, w Katalończykach budzi pusty śmiech. Żyje chwilą, jak ważka ze skrzydełkami mieniącymi się od błędnych miraży ambicji i pragnień, która fruwa nisko, raz tu, raz tam. Jego ręce mogą tylko ścisnąć w dłoni broń; byle ich sobie nie zabrudził. Nie rozumie, a tym bardziej nie toleruje innych sposobów na życie: odstręcza go wszelka przedsiębiorczość. Jeśli chce prosperować, wygórowane pojęcie godności popycha go, paradoksalnie, do rabowania i pustoszenia bezbronnych kontynentów lub do nikczemnego oficjum dworaka.

Hiszpańskie szlacheństwo... hiszpańskie szlacheństwo... Pierdzą na ich szlacheństwo! Cóż my mieliśmy wspólnego z tą hołotą? Dla prawego Kastylijczyka praca była hańbą; dla Katalończyka hańbą było nie pracować. Wciąż słyszę ojca, który przestrzegał, pokazując mi rozczapierzone dłonie: „Nie ufaj nikomu, kto nie ma odcisków na rękach”. (Cóż, ja sam nigdy nie zhańbiłem się pracą, ale nie o tym tu mowa).

Ich stęchłe imperium grzęzło w najgłębszym i najbrudniejszym bajorze historii. Miliony indiańskich niewolników zginały pod ich batem grzbiety w amerykańskich kopalniach, lecz Kastylia nie potrafiła stworzyć wolnej lub choćby zdrowej gospodarki. Każda inicjatywa poczęta w jej brzuchu była niczym poroniony płód, uśmiercony w zarodku przez monarchię, której bizantyjski blichtr skrywał nienasycone potrzeby, biedę i abulję.

I nareszcie, w owym 1700 roku, po śmierci Głupka, niezgodą pomiędzy

Katalonię i Kastylię ujawniła się w całej okazałości. Dla Katalończyków francuski król był polityczną aberracją, oznaczał koniec swobód, koniec narodowego bytu. Despotyzm, który prędzej czy później zapanowałby w całej Hiszpanii, unicestwiłby jakąkolwiek dążność do lokalnej autonomii. Gdy Kastylia zdecydowała się na Filipka, konflikt stał się nieunikniony. W odpowiedzi Katalonia poparła arcyksięcia Karola Austriackiego, również pretendującego do tronu Hiszpanii. (Poparłaby też maharadżę Kaszmiru, gdyby taki się zgłosił; każdego, byle nie Burbona).

I tyle. Ale teraz lepiej być może zrozumiecie sytuację na Półwyspie w początkach nowego stulecia. Dla Katalończyków Hiszpania była jedynie nazwą nadaną konfederacji wolnych narodów; dla Kastylijczyków projekcją ich imperialnych ambicji. Inaczej mówiąc: dla Kastylijczyków Hiszpania była kurnikiem, a Kastylia kogutem; dla Katalończyków drewnem na kurnik. Ot i dramat. W rzeczywistości, kiedy Katalończyk i Kastylijczyk wypowiadali słowo „Hiszpania”, odwoływali się do dwóch sprzecznych ze sobą idei i dlatego cudzoziemcy nic a nic z tego nie rozumieli. A nie mówiłem? Hiszpania nie istnieje; nie jest miejscem, jest nieporozumieniem.

Zanim skończę, pozwólcie, że napiszę kilka słów o mojej ojczyźnie, o Katalonii. Albowiem na podstawie obrazu, jaki dotychczas odmalowałem, mógłbym się wam wydać drugim Vaubanem, z sercem tylko po jednej stronie Pirenejów. A tak nie jest.

Nawet jako dziecko zdawałem sobie sprawę z tego, że Katalonia jest politycznym wrakiem, wciąż jeszcze dryfującym po morzach historii, chociaż powinna była zatonać już wieki temu. Problem w tym, że nikt nie chciał uznać owej wrodzonej słabości, nikt też nie próbował jej zaradzić. Publiczne pochody naszych *concelleres*, ministrów katalońskiego rządu Generalitat, były przygnębiającym widowiskiem. Szeregi kukieł z farsy rodem, przekonanych o własnej ważności, bo noszą szkarłatne szaty z aksamitu i nie muszą czapkować królowi. Dla ludu byli „czerwonymi aksamitnikami”. Stanowczo zanadto lubiliśmy pantomimę.

Oto nasza najgorsza wada. Nie wiedzieliśmy, czego chcemy, chyba tylko bawić się sami we własnym ogródku. Ale nie, to też nie. Ni to Francuzi, ni to Hiszpanie, nie potrafiliśmy zbudować własnego politycznego gmachu. Ani pogodzeni ze swym losem, ani gotowi go zmienić. Chwyceni w potrzask zgnuśniałymi szczękami Hiszpanii i Francji, płynęliśmy z prądem wśród burzy niczym dryfujący okręt. Nasi włodarze, oni zwłaszcza, tknięci byli chronicznym niezdecydowaniem, wiecznie w pół drogi pomiędzy serwilizmem a oporem. Już Seneka powiedział: żaden wiatr nie sprzyja temu, kto nie wie, do jakiego portu zmierza. A kiedy myślę o naszej historii, to przychodzi mi do głowy najbardziej dręczące ze wszystkich pytań: co powoduje większą melancholię – czy „mogliśmy byli”, czy „nie powinniśmy byli próbować”? Nas trapi i jedno, i drugie. Problemem

Katalończyków jest to, że nigdy nie wiedzieli, czego pragną, a jednocześnie pragnęli tego nade wszystko.

W roku 1705 grupka wybitnych osobistości katalońskich zmówiła się, żeby w obliczu spodziewanej rewolty przeciw Burbonom uprosić o pomoc Sprzymierzonych. Był to tak zwany pakt genueński, zawarty przez Katalonię i Anglię. Chodziło o to, by żołnierze Sprzymierzonych desantowali się w Barcelonie. Anglia zobowiązała się do pomocy w operacjach wojennych, Katalończycy zaś mieli utworzyć oddziały ochotników jako wsparcie dla regularnych wojsk. Mieli przedrzeć się do Madrytu i umieścić na tronie tego austriackiego makaka, znanego też jako Karlangas, nadając mu tytuł Karola III Hiszpańskiego.

Jako ludzie piśmienni i uczeni, zażądali gwarancji. W umowie wyszczególniono nawet, jakiego obroku dla bydła jucznych powinni dostarczyć Sprzymierzeni. Bardzo po katalońsku. Aha, a gdyby przez kaprys losu, jak dosłownie stanowił traktat, „powstańcy popadli w ciężkie i nieprzewidziane terminy (co nie daj Bóg)”, Anglicy ręczyli, iż Księstwo Katalonii pozostanie „bezpieczne, pod gwarancjami i protekcją angielskiej korony, i nikt nie poniesie uszczerbku ni szkody na swej Osobie, Majątku i Przywilejach”.

Wybaczcie, ale chyba zaraz szlag mnie trafi.

Jakże to? Za kogo się niby uważały te paniczki, żeby przemawiać w imieniu całego kraju, nawet nie pytając o zgodę Generalitat? To prawda, że Barcelona znajdowała się wówczas w rękach burbońskich żołdaków. No i co z tego? Kto dał tym samozwańcom prawo wysyłać nas na wojnę, jakby to był spacer po polu? Nikt nie pomyślał, że sprzedajemy nie worek grochu albo kilo soli, lecz krew i przyszłość całego narodu? Za świstek papieru? Albowiem rzecz nie w tym, że coś nie wyszło, rzecz w tym, że wyszło fatalnie, najgorzej, jak można sobie wyobrazić. Przegraliśmy wojnę. W 1713 niedobitki naszych wojsk schroniły się za murami Barcelony. Wszystkie cudzoziemskie oddziały odpłynęły na swoich okrętach, zostawiając nas z ręką w nocniku. Zgadnijcie, co wtedy zrobili Anglicy. Nie zdobyli się nawet na taktowne kłamstwo. Kiedy ktoś pokazał im ów słynny papierek, lordowie walnęli prosto z mostu: *It is not for the interest of England to preserve the Catalan liberties*^[35].

Cudownie! I może trudno w to uwierzyć, ale kiedy kataloński ambasador padł na kolana przed Jej Powabną Wysokością, błagając pomocy dla tej Barcelony, która nawet ległszy w gruzach, stawiała opór burbońskiemu szaleństwu, wiecie, co mu powiedziała? Otóż – ni mniej, ni więcej – że powinniśmy być wdzięczni za ich nieustanną troskę o nas!

W Utrechcie, w 1713, dokładnie wtedy, gdy rozpoczynało się oblężenie Barcelony, wszystkie zwaśnione potęgi radziły nad pokojem powszechnym. W zamian za to, że angielscy dyplomaci nie będą obstawać za Katalonią, Hiszpanie

i Francuzi podarowali im Nową Fundlandię. Tak Anglia wyceniła wolność, którą nasz naród zachował przez tysiąc lat; oto macie wartość tego pieprzonego papierka: dwadzieścia ton dorsza rocznie.

W ostatnim roku wojny, w owym nieszczęsnym roku 1714, obrońcy Barcelony walczyli już tylko o swoje życie, o swoje domy, o swoje miasto. O katalońskie swobody, które miały swój namacalny kształt w postaci rządów całkowicie przeciwnych do horroru, jaki ich wkrótce czekał. Walczyli pod rozkazami Villarroela, don Antonia Villarroela. Poczekajcie jeszcze parę rozdziałów, a dowiecie się, jak ów człowiek wkroczył w moje życie, jak wyrwał mnie z upodlenia, w którym tkwiłem niczym grzędnący w błocie but, i jeśli zadacie mi to najokrutniejsze z pytań – któremu z moich mistrzów zawdzięczam najwięcej? – odrzeknę, że prędzej umrę, niż na nie odpowiem.

Z ponad pięciuset, którzy ruszyli do ostatniej szarży 11 września 1714 roku, przeżyło nas nie więcej niż dwudziestu lub trzydziestu. Villarroela kule obaliły wraz z koniem, który przygniótł go, wierzgając i kwicząc z bólu. Pod nieustannym ogniem z trudem udało się nam uwolnić jeźdźca. Jedną nogę miał zmiażdżoną, a z nogawki nad kolanem sterczała naga kość. Lecz on wyrwał się tym, którzy pomagali mu wstać, i zaczął krzyczeć jak opętany: „Do boju! Naprzód, naprzód! Mój żołnierz nigdy się nie cofa!”.

Kiedy parliśmy przed siebie, nadziana śrutem armatnia kula wyrwała mi pół twarzy. Upadłem na ziemię, między sterty trupów i rannych. Podniosłem pięć drżących palców do lewego policzka i nie mogłem go znaleźć. Ziała w tym miejscu dziura na przestrzał, wypełniona krwią i odłamkami kości ze strzaskanej szczęki. Straciłem pół twarzy. Krew mnie oślepiła, nie jestem więc najlepszym świadkiem ostatnich godzin katalońskiej wolności.

Od sześćdziesięciu lat noszę maskę. Wypróbowałem chyba dwadzieścia. Pierwsza była raczej prowizoryczna, przypominała hełm cielistej barwy, ze skośnymi otworami na oczy. Zakrywała całą twarz. W Ameryce jakiś rzemieślnik zrobił mi inną, o wiele lepszą. Kosztowała majątek, ale były to dobrze zainwestowane pieniądze. Zasłaniała tylko policzek, lewe oko i połowę ust. Prawą, nietkniętą stronę mogłem wystawić na słońce i ludzkie spojrzenia; przecież nie musiałem się jej wstydić. Maskę mocowało się do karku za pomocą sprytnego systemu gumek i niewidocznych otworów. Wreszcie mogłem pokazać mój kształtny nos. Na szczęście mi go nie odstrzelili. Kobiety znowu zaczęły na mnie zerkać zalotnie, a ja na powrót poczułem się człowiekiem.

Potem były inne maski, wiele, niektóre niezwykle kunsztowne. Sprzedałem je, zgubiłem w tropikach, przegrałem w karty, zarekwirowano mi je, skradziono, popękały od upadków i uderzeń kolbą. Szóstą roztrzaskało ostatnie tchnienie zabłąkanej kuli. Twarda porcelanowa skorupa ocaliła mi życie.

Po co ja tu opowiadam historię moich masek? Czy to ma jakieś znaczenie?

Przerywasz mi tylko wtedy, kiedy uważasz za słuszne. A najważniejsza jest książka.



Przedstawiłem wam pokrótce, jak Katalończycy widzieli swoją ostatnią wojnę, wojnę, która zniszczyła ich jako naród. Lecz wówczas, w kwietniu 1707, Zuvi Długonogi był jeszcze chłopcem, którego guzik obchodziła polityka i historia, a do jądra owej wojny wyprawił się w szeregach francuskich wojsk. Wszystko po to, żeby znaleźć jedno słowo.

Kiedy dołączyliśmy do głównego korpusu francusko-hiszpańskiego w miejscowości Almansa, stwierdziliśmy, że sprawy stoją bardzo źle. Przez ostatnie piętnaście dni armie Sprzymierzonych i Dwóch Koron szukały się nawzajem, a zarazem unikały w nieustannych marszach i kontrmarszach, nierozstrzygniętych potyczkach i oblężeniach pomniejszych twierdz.

Wojskami Sprzymierzonych dowodził hrabia Galway, który, choć nosił angielski tytuł szlachecki, z pochodzenia był Francuzem i nazywał się Henri Massue de Ruvigny. Przed rokiem stracił ramię w portugalskiej kampanii. Historycy z upodobaniem powtarzają, że w bitwie pod Almansą angielscy żołnierze pod wodzą Francuza starli się z żołnierzami francuskimi pod komendą angielskiego generała Berwicka. Rzeczywistość była o wiele bardziej złożona.

Nie znano chyba w Europie bastarda, który zaszedłby wyżej niż Berwick. Nieślubny syn zdetronizowanego Jakuba II, ostatniego katolickiego króla Anglii, dorastał na wygnaniu we Francji i zawsze służył Potworowi. (Pamiętacie ów bezczelny liścik o oblężeniu Nicei, który wysłał Vaubanowi w 1705?). Jak wskazuje jej pompatyczna nazwa, armia Dwóch Koron składała się z Anglików i Hiszpanów. Jednak nie tylko. Także z Irlandczyków (przyboczna gwardia Berwicka), walońskich najemników, neapolitańczyków (tych wszędzie pełno!), a nawet Szwajcarów, którzy wystawili jeden batalion. Z kolei po stronie Sprzymierzonych walczył – poza Anglikami, Portugalczykami i Holendrami – niewielki oddział fanatycznych Katalończyków oraz garstka francuskich hugenotów (do dziś nie wiem, co ich przyniosło do tego zapadłego kąta na zachód od Albacete).

Nie można powiedzieć, żeby morale w obozie Dwóch Koron było szczególnie wysokie. W ostatnich dniach pozostawali w ciągłej rejteradzie. I faktycznie, docierały do nas pogłoski, że Galway już mawiał o Berwicku per „mój oberżysta”, bo co wieczór zajmował te same kwatery, w których tamten spędził poprzednią noc. W Almansie zaś Berwick stanął tylko dlatego, że skończyły mu się prowianty.

Opóźniając starcie, zyskał czas na zebranie wszystkich oddziałów. Niektóre, jak Regiment Couronne Bardonenche’a, z którym i ja podróżowałem, składały się z pierwszorzędnych żołnierzy, lecz ogromna większość pochodziła z przymusowego poboru Hiszpanów, świeżo upieczonych rekrutów bez żadnej

wartości.

Żal było na nich patrzeć. Jeszcze w dniu naszego przybycia ćwiczyli ich na łapu-capu. A przecież regiment jest niczym dąb, potrzebuje dwudziestu lat, by okrzepnąć. Na manewrach Francuzi maszerowali w równym szyku, podczas gdy szeregi Hiszpanów wiły się jak pędy winorośli. Wolałem nie myśleć, co będzie, kiedy wróg zacznie do nich strzelać. Odziali ich w szaro-białe mundury burbońskiej Francji. Kolejny łakomy kęs dla Potwora: wojsko hiszpańskie zaopatrywali, na mocy królewskiego dekretu, francuscy kontrahenci. Czyli regalia i tron dla francuskiego księżątka, a w dodatku cały kraj ma im płacić za arendę. Niezły interes. (Katalończycy przynajmniej skłonili Anglików, by darowali im dług co do ostatniego funta). Większość rekrutów stanowili ludzie bardzo młodzi, dzieciaki prawie. Biedni chłopcy. Mieli pójść prosto na rzeź, bo sukiennicy z Lyonu musieli zarobić, choćby na przyodziewku dla trupów. Obóz wyglądał niczym bezkresne morze namiotów. Te płótna na pewno też pochodziły z Francji, a zakupiono je po cenie wyznaczonej przez Potwora.

Wszyscy przybywający na miejsce oficerowie szli zameldować się przed Berwickiem, a Bardonenche chciał, żebym mu towarzyszył. Księżę stał na kwaterze w domu alkada, dokąd udaliśmy się wraz z innymi dowódcami.

Łokciami wspierał się o zakryty ogromną mapą stół. Wokół niego z tuzin wysokich rangą wojskowych na naradzie wojennej. Zdziwiło mnie, że na takie rutynowe spotkanie przyszli w pełnej zbroi. Musiało im być bardzo niewygodnie sprzeczać się i perorować, mając na sobie ciężkie żelazne napierśniki, naramienniki i zarękawia. Może chcieli podkreślić tym swoją szarżę lub uświadomić wszystkim powagę sytuacji. Widząc nas, Berwick podniósł głowę.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jego dziecinna buźka, zgoła nieżołnierska. Pomyślałem wtedy: „O mój Boże, taki smarkacz, a chce budzić respekt w całej armii?”. Miał wówczas trzydzieści siedem lat, lecz jego skóra wciąż była gładka i delikatna jak u niemowlaka. Twarz tę, w kształcie perfekcyjnego owalu, dzielił na pół stanowczy, cienki nos; wargi, mimo iż wąskie, wyrażały nieokiełznaną zmysłowość. Efekt ów powodowały, być może, łagodnie uniesione kąciki. Wydepilowane brwi tworzyły dwa subtelne łuki. Widziałem niewiele oczu równie czarnych. Prawe było odrobinę zmrużone. Przypisywałem to wielkiemu napięciu, z jakim musiał się zmagać.



Ponieważ James Fitz-James Berwick, dla przyjaciół Jimmy, był jedną z najczęściej portretowanych postaci owego stulecia (próżność była silniejsza od niego), zamiast jednej ryciny sprezentuję wam dwie. Osądźcie sami. (Ha! I co? Podoba ci się, moja ty kochana, szpetna Waltraud? Nie miej złudzeń. Nigdy by na

ciebie nie spojrział, bo jesteś szkaradna jak beczka na dwóch nogach. Zresztą są jeszcze inne powody).

W obozie rozeszła się pogłoska, że Berwick cofa się, ponieważ jego angielskie pochodzenie popycha go do zdrady. Banialuki. Ale w Madrycie plotki te potraktowano tak poważnie, że głupi Filip V już wysłał Orleańczyka na jego miejsce! Wojskami Sprzymierzonych dowodził generał Galway, ograniczony pięćdziesięciodziewięcioletni gbur, wespół z będącym jego prawą ręką Portugalczykiem Das Minas, sześćdziesięcioletnim dziadygą. Obaj byli pewni, że „bękarcik” obejdzie się smakiem. A owo – co najmniej pochlebne – zdanie podzielali nawet służący pod rozkazami Berwicka żołnierze. O jakości nowych rekrutów już mówiłem. Niewielu generałów musiało zmierzyć się w przeddzień bitwy z tak nieprzychylnymi nastrojami.



Co zrozumiałe, na Berwicka patrzyłem przez pryzmat Bazoches. Dokonywał nadludzkich wysiłków, żeby być panem własnego losu. Dylemat miał prosty: jeżeli bitwę przyjmie, jego wojsko najprawdopodobniej zostanie rozbite; jeżeli jej uniknie, księżę Orleański, który już znajdował się w drodze, wydrze mu

dowództwo. Z punktu widzenia osobistych interesów obie te perspektywy były jednak fatalne.

Na widok wchodzących oficerów Berwick podszedł i z każdym się przywitał. Bardonenche'a poznał już kiedyś. Zatrzymał się przy nim. Gawędzili jak starzy przyjaciele i w pewnym momencie spojrzeli na mnie, stałem bowiem tuż za plecami Francuza. Wskazując palcem, spytał z zaciekawionym:

– A ten ładny, smutny chłopiec?

– A, właśnie – powiedział Bardonenche. – To Martí Zuviría, najbardziej obiecujący kandydat na inżyniera w całej Francji, ekscelencjo.

Berwick zapytał, czy studiowałem w akademii w Dijon.

– Nie, panie – odparłem. – Kształciłem się pod okiem prywatnego nauczyciela.

Chciał poznać jego nazwisko. Ja nie chciałem wspominać o Bazoches.

– To ktoś – powiedziałem z dyplomatycznym sarkazmem – komu pewnego dnia przysłał pan list, w którym powiadamiał go o zdobyciu Nicei.

Spojrział na mnie bystrzej i odrzekł:

– Żałuję, iż nie mogłem uczestniczyć w egzekwiach. Jak widać, ostatnio jestem bardzo zajęty.

Ci, którzy go otaczali, wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Powiedziałem coś zabawnego? – ryknął po angielsku.

Miewał skrajne i, jak później odkryłem, przewidywalne zmiany nastroju. Był to jego sposób na to, by pokazać podwładnym, kto rządzi w kurniku. Machnął ręką gestem urażonej godności i wszyscy odeszli.

– Acan zostań – rozkazał. – Chcę, byś mi opowiedział, jak wyglądały ostatnie chwile wielkiego Vaubana.

Ha! Rozmówka na osobności. Masz ci los! Czulem, że tak się skończy, odkąd wyraził się o mnie per „ten ładny, smutny chłopiec”. Chce pogadać o Vaubanie! Gdyby rzeczywiście o to chodziło, powinien zwrócić się do Bardonenche'a, arystokraty, starego przyjaciela i tak jak ja świadka agonii markiza. Zażądał, bym towarzyszył mu do jego prywatnych pokoi. Jak miałem odmówić? Pewne rzeczy łatwo przewidzieć, choć trudno ich uniknąć.

Ruszyłem za nim po schodach. Weszliśmy do jakiejś izby.

– Pomóż mi zdjąć zbroję – powiedział.

Słowa były miłe, ton – nieznoszący sprzeciwu. Berwick położył się na wznak, rozkrzyżowawszy ramiona, a ja odpiąłem mu ściągnięte przy szyi rzemienie kirysu. Pancierz wyslizgnął mi się z rąk i spadł na podłogę z suchym stukotem.

– Będiesz do mnie mówił Jimmy.

To nie była prośba, to był rozkaz.

Brutalność owego żądania dotknęła mnie do żywego. Łypnąłem nań wrogo.

Nie przywykł, by sprzeciwiano mu się poza polem bitwy i moja niechęć chyba go rozbroiła, bo dodał z miną zaskakująco pokorną u człowieka jego stanu:

– *D'accord?*^[36]

Myślałem, jak się wydostać z tej opresji, gdy nagle coś się stało.

Uwolniony od podtrzymującego i krępującego go żelastwa, zachwiał się i osunął na kolana. Upadając, rozorał paznokciami wapienny tynk na ścianie. Jego ciało zamieniło się w śliską galarete. Konwulsje wstrząsały nim z taką siłą, że już chciałem wołać kogoś na pomoc.

– Ekscelencjo, wszystko dobrze?

Powoli odwrócił głowę, wciąż jeszcze klęcząc. W jego oczach coś się zmieniło. Ujrzałem inne oblicze Berwicka: prywatne, wyzbyte wszelkiej pozy; istotę odczłowieczoną, pozbawioną czułości.

To, że władza ma w sobie wiele z publicznego spektaklu, nie jest żadną tajemnicą. A Jimmy z konieczności zmuszał się do potwierdzania własnej pozycji i przekraczania kolejnych granic. Przypadkowe mrugnięcie mogło zdradzić jego słabości. Jeden niezręczny gest i cały autorytet ległby w gruzach. Jedna błędna decyzja i straciłby armię. Tamtego wieczoru przed bitwą był mniej niż szmatą.

Zrobiło mi się go żal. Nie wiem, może nie powinienem, ale chwyciłem go pod pachy i podniosłem. Wyrwał się ze złością.

– Nic mi nie jest! – wrzasnął.

– Wręcz przeciwnie – powiedziałem. – Vauban mówił mi o chorobie dręczącej możnych panów i o tym, jak ją leczyć.

Spojrzał na mnie z nienawiścią.

– Napar z tymianku – dodałem. – I wyrzec się świata.

Owego dnia stwierdziłem, że twarda szkoła Bazoches nauczyła mnie współczucia. I to głębszego, niżbym chciał. Mój wzrok, mój dotyk, wszystkie moje zmysły były zbyt wyostrzone, by pod maską tryumfalizmu i blichrem munduru nie dostrzec cierpiącego człowieka. A to, że ów człowiek był tak potężny i zarazem zmuszony do skrywania swych ułomności przed światem, wzruszało mnie aż do granic czułości. Jimmy, biedny Jimmy, nigdy się nie dowiedział, że kochałem go nie za siłę, lecz, o paradoksie, za słabości, gdyż ucłowieczały nawet jego – diabła, który pewnego dnia miał nas unicestwić.

Nazajutrz nie pozwolił mi sobie towarzyszyć, tak więc bitwę pod Almansą przeżyłem, nie ruszając się na krok z miasteczka. Cóż, nie powiem, żebym tego żałował; Zuvi nie był zbyt waleczny. Poza tym kształciłem się w sztuce oblężniczej, a nie w walce na otwartym polu. Batalię oglądałem przez okno, trudno zresztą powiedzieć, że oglądałem, gdyż mgła, dym i kurz utworzyły kurtynę tak gęstą, iż dobiegał mnie jedynie huk wystrzałów.

Wbrew przewidywaniom Jimmy rozbił wojska Sprzymierzonych. Owej nocy

wrócił brudny, posiniaczony, w powgniatanej zbroi. A przecież w owym powrocie uwidoczniła się diaboliczna strona jego natury, dzięki której trzymał się przy życiu. Albowiem bitwa wyleczyła go ze wszystkich chorób – zaprawdę, zwycięstwo jest najskuteczniejszym z eliksirów. Wydawał się innym człowiekiem; był nie tyle uzdrowiony, ile upojony wigorem, napęczniały krwią i życiem.

Spojrzał na mnie i powiedział:

– Jeszcze tu jesteś. Dobrze.

I tak zaczęła się nasza skomplikowana przyjaźń, o ile tak ją można nazwać. James Fitz-James, książę de Fitz-James, książę de Berwick, de Liria i Jérica, par i marszałek Francji dzięki zwycięstwu pod Almansą, kawaler Złotego Runa, et cetera, et cetera, et cetera. Wszystko, co tylko chcecie. A i tak na zawsze pozostał bękartem, synem Jakuba II, króla Anglii, owszem, ale jednak bękartem.

Życie wystawiło go w wyścigu, którego nigdy nie mógłby wygrać. I żeby nie wiem ile wojsk zwyciężył, fortec zdobył, zaszczytów pełnił, zawsze miał być tym, kim był: źle urodzonym społecznym kastratem. Był arystokrata czystej krwi, który osiągnąłby połowę tego, czego on dokonał w swoim krótkim życiu, wyniesiony by został ponad szczyt Olimpu. On nie. Był synem przegranego króla, w dodatku nieślubnym. Dlatego nigdy nie przestał dochodzić swoich praw do godności królewskiego potomka.

Najciekawsze, że mowa tu o człowieku obdarzonym jasnym umysłem. Wiedział, że nigdy nie dostanie tego, czego pragnie najbardziej. Otrzymał zaszczyty i hołdy, dukaty, tytuły, wszystkie te bzdety, jakich królowie łaskawie udzielają w obecności księży do wtóru dziecięcych chórków. Prywatnie śmiał się z owych ceremonii. Wiem. Jeden z jego apologetów dowodzi, iż Berwick dobrze wykorzystał swój ziemski czas, bo z drugą żoną miał dziesięcioro dzieci. Cha, cha, cha! Weźcie nie rozśmieszajcie mnie. Jak niby ktoś taki jak Jimmy znalazłby czas, żeby wychędożyć swoją żonkę (nawiasem mówiąc, brzydszą od koczkodana), choćby tylko dziesięć razy? W samym roku 1708 prowadził trzy różne kampanie w służbie tego siejącego trwozę Potwora, Ludwika XIV: w Hiszpanii, Francji i Niemczech. A wy chcecie mi wmówić, że wsadzał jej raz po raz? Że gnał w domowe pielesze, „już jestem, serdeńko”, odwalał numerek i wracał do bitwy? Zapewniam was, że musiał mieć umyślnego do owej roboty. A poza tym ja z nim byłem.

No dobrze. Obiecałem, że będę szczery, to będę.

Przez całą noc pieprzyliśmy się jak króliki. Nazajutrz nie wychodziliśmy z komnatki. Po co? Gdzie by nam było lepiej? A poza tym on mógł sobie na to pozwolić. Co chwila ktoś pukał do drzwi: „Ekscelencjo, alkad Almansy czeka!”, albo „Ekscelencjo, pilne listy z Madrytu!”, albo „Pułkownik taki a taki prosi o instrukcje w sprawie kwater dla jeńców”. Z początku podskakiwałem na każde szczęknięcie kołatki. Lecz on na widok moich podrygów nad nocnikiem chichotał

tylko jak psotny chłopiec. To był Jimmy, pan świata, dlaczego niby miał się fatygować? Zdobył sobie prawo do tego, żeby żadne kołatki mu się nie naprzykrzały. Tym właśnie jest władza: świat prosi cię o audiencję, a ty z za drzwi śmiejesz mu się w nos.

A ty? Czego mi się tu krzywisz?!

Wcale nie musiałem o tym opowiadać, ale domagałaś się miłosnych scen.

Nie spodobało ci się?

Widzę, że nie.

Przez dłuższy czas niemal ocierałem się o szczęście. Byłem przekonany, że Mystère rzucił mnie w ramiona mistrza, który mi zastąpi Vaubana. Jimmy miał wszystko. Był maganonem tak sławnym, że przed dwoma laty ośmielił się, listownie, wyrazić opinię sprzeczną z poglądami markiza, i to w kwestii dotyczącej oblężenia – oblężenia Nicei. I jeszcze więcej: w krytyce swej Jimmy posunął się do stwierdzenia, iż łatwo jest głosić mądrości, siedząc w domowych pieleszach, i osądzać tych, którzy walczą w pierwszym szeregu. A ja potrzebowałem tego właśnie – doświadczenia na polu bitwy, w prawdziwej wojnie, w prawdziwym życiu, bo dzięki temu mogłem odkryć Słowo.

Z początku wszystko szło dobrze, chociaż nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Jimmy i jego żołnierze potrzebowali wytchnienia po Almansie. Rozumiałem to. Potem nadeszła zima, więc wstrzymano kampanię, albowiem od zarania dziejów zimą wojsko nie walczy.

Jimmy był jedną z najznamienitszych postaci swojej epoki. Ton, bon ton; gusta, wyszukane. Śmiały i zarazem wrażliwy. Skrajne samouwielbienie zlewało się w nim z nadmierną niekiedy pobłażliwością, tworząc niespójną mieszalinę. Był jednym z niewielu prawdziwie wielkich luminarzy naszego stulecia – owego osiemnastego wieku, umęczonego i zadającego męki, obfitującego w epopeje równie świetne, jak nadaremne. Wszelako wiosną 1708 byliśmy razem już blisko rok, a ja nawet nie powąchałem prochu. Wiedźcie, że w tej naszej wojnie wielka bitwa pod Almansą stanowiła w zasadzie wyjątek. Na każde starcie na otwartym polu przypadało dziesięć oblężeń znaczniejszych lub pośledniejszych twierdz, a rzecz w tym, że wszystkie mnie ominęły. Atakowaliśmy, broniliśmy... i co mi z tego? Gdybym wreszcie wziął udział w jakimś oblężeniu *selon les règles*^[37], nie tylko w teorii, może zdołałbym odgadnąć Słowo, to Słowo, w którym zawierało się jądro poznania. Przyznać sobie piąty Punkt. Ponowiłem nalegania.

– Och, nie przejmuj się tym – powiedział. – Pełnisz służbę o wiele bardziej zaszczytną: umilasz mi wojnę.

I na tym skończyła się nasza komitywa i zerwały wszelkie więzy, jakie mogły łączyć mnie z mężczyzną, a zwłaszcza z maganonem. Mój osąd okazał się mylny: bycie czymś mistrzem wymaga wielkoduszności, a Jimmy był najbardziej

egoistycznym marszałkiem na całym bożym świecie. Wykorzystywał żołnierzy tak samo jak inżynierów i kochanków.

Próbował mnie zatrzymać. Zwodziłem go. Wielmożom lepiej nie odmawiać wprost, bo są niczym potężne drzewa: gdy urosną, rzucają na nas cień, gdy upadną, przygniatają nas. A przed Jimmym zataiłem jeszcze i to, że odciąga mnie od niego niezbadana siła – siła Mystère. Marszałkowi Francji nie rzuca się w twarz krótkiego „nie”, uciekałem się zatem do wykrętów.

Z wiosną wojsko francusko-hiszpańskie podzieliło się na dwie części: pierwsza pozostała pod rozkazami Jimmy’ego, nad drugą dowództwo przejął książę Orleański. Poprosiłem, by przydzielono mnie do oddziałów tego ostatniego. Wśród arystokratów zawiść uważa się za cnotę, możecie więc sobie wyobrazić ogrom satysfakcji Orleańczyka, kiedy zaoferowałem mu swoją służbę. Nazwisko Vaubana czyniło cuda, więc ludzie Orleańczyka zwerbowali mnie bez wahania. Poza tym, cóż, nie zaprzeczę, że miała na to niemały wpływ rywalizacja obu panów: sprzątnąć Berwickowi sprzed nosa tak łakomy kąsek byłoby dla Orleańczyka powodem do drwin i triumfu.

Ostatniego dnia otrzymałem rozkaz stawienia się w połowym namiocie Jimmy’ego. Fakt, iż „zdezerterowałem”, by przejść do obozu jego rywala, był bez wątplenia afrontem. Wiedziałem o tym i dlatego udałem się tam niechętnie.

Czekał na mnie, zajęty pisaniem listów. Namiot był prostokątny, bardzo długi. Biurko stało w głębi, tkwiąc w kącie niczym gniazdo pająka. Na mój widok kazał swoim adiutantom wyjść. Kiedy zostaliśmy sami, wbił pióro w kałamarz, jakby wbijał sztylet, i powiedział:

– Nawet się nie pożegnałeś.

Raz wreszcie na coś przydała mi się musztra. Posłużyła mi za tarczę. Stałem na baczność, patrząc w przestrzeń.

– Pan marszałek nie wydał takiego rozkazu – odparłem obojętnym, służbowym tonem.

– Dość wygłupów! – ryknął. – Nikogo tu nie ma. I spocznij! Sterczysz jak kołek w płocie. – Podał mi jakieś papiery. – Czytaj. Będziesz mi wdzięczny do końca życia. – I dodał, jakby wyrządzał mi wielką łaskę: – Zostajesz ze mną. To już postanowione.

Była to nominacja na królewskiego inżyniera. Lub przynajmniej podpisana przezeń prośba do Potwora.

Tak postępują możni tego świata. Stawiają innych przed faktem dokonanym i po sprawie. Mniejsza o moje zdanie, moje plany, pragnienia i potrzeby. Ale wychowałem się w Bazoches, a jego murów nie mógł skruszyć nawet książę Berwick.

– Ty nie możesz mianować mnie inżynierem – odrzekłem twardo.

Rozwahał przez chwilę, jak skruszyć ów opór, czy grozić mi, czy mnie

uwodzić. Był za sprytny i na jedno, i na drugie.

– Mianuje cię król Francji – odpowiedział wymijająco.

– Nawet on nie ma takiej władzy. – Odsłoniłem przedramię i pokazałem mu moich pięć Punktów. – Król może podpisywać wszystko, co mu się spodoba, ale nie na moich tatuażach. A ty dobrze o tym wiesz.

– Widzę, że nie chcesz się ze mną dogadać. Powiedz mi dlaczego?

Milczałem. Mogłem mu wytknąć, że mistrzem i nauczycielem był dla mnie tylko w sztuce cielesnej; powiedzieć, że jego żal wynika z urażonej próżności. Jimmy już taki był: sądził, że ma prawo do miłości, chociaż sam nie musi kochać nikogo. Nie, nic nie powiedziałem. Po co? I dobrze zrobiłem – moje milczenie podziałało na niego mocniej niż oskarżenia. Pojął, że zderzył się nie ze mną, ale z jakąś inną siłą, która we mnie tylko się ucieleśniła. Dumał przez chwilę, jak ją złamać, był jednak dość inteligentny, by zrozumieć, że nie było to w jego mocy. Trzykrotnie westchnął raz za razem i powiedział z wyrzutem:

– Mam przynajmniej prawo wiedzieć, dlaczego nie chcesz zostać. Dla ciebie nie jestem marszałkiem. Dlatego chcę, żebyś był przy mnie.

Przerwałem mu ponownie, tonem równie gwałtownym, jak niegrzecznym.

– Właśnie, że jesteś – odrzekłem, patrząc mu prosto w oczy. – Zawsze i wszędzie. Nawet gdybyś chciał być kimś innym, to nie potrafisz.

Wyszedłem bez rozkazu, nie zważając na to, czy mnie zatrzyma.

Jimmy wraz z połową wojska miał pomaszerować na północ, a Orleańczyk na wschód, oblegać miasto zwane Játiva. Na nieszczęście nie mogłem jeszcze dołączyć do jego oddziałów. Na pożegnanie Jimmy zostawił mi zatruty podarunek. Zamieszanie w korespondencji pomiędzy jego sekretarzami i adiutantami Orleańczyka, które opóźnić miało moje przeniesienie pod dowództwo rywala. Berwick zrobił to tylko dlatego, żeby mnie wkurwić, tak więc musiałem zostać w Almansie, czekając na nowe dokumenty. Pięknie. Oblężenie Játivy zapowiadało się na niezłe widowisko, a ja siedziałem na dupie w tej gównianej dziurze pod Albacete, nad którą trupi odór będzie się unosił jeszcze przez tysiąc lat. Utknąłem tam razem z rannymi, mniszkami, rezerwistami i górami prowiantów do wyekspediowania na nowe linie frontu. Pomyślcie tylko, że po obu stronach zginęło w tej bitwie aż dziesięć tysięcy nieszczęśników. Dziesięć tysięcy! A markiz uczył, że w dobrze prowadzonym oblężeniu miasto można zdobyć, tracąc zaledwie dziesięciu ludzi! Rzeź była taka, że mieszkańcy Almansy nie nadążali z kopaniem rowów i musieli grzebać zwłoki w śniegowych studniach. Wrzucali nagie ciała jak worki. Mówię „nagie”, bo miejscowi żyli w takiej nędzy, że zdierali z poległych nawet brudne gacie.

Słowo. Moją klęską było to, że nie pojąłem jednego Słowa. O co pytał markiz? O „obronę doskonałą”. Mijały dni, a ja siedziałem uwięziony w rozbitym na piachu namiocie i moja niecierpliwość rosła. Już nie pragnąłem, lecz musiałem

doświadczyć tego wszystkiego, do czego mnie przyuczono w Bazoches.

Do czasu, gdy w końcu wręczyli mi moje nowe papiery, Játiva wpadła już w ręce burbończyków. Ale za chwilę miało zacząć się oblężenie Tortosy. Nie narzekałem, rzekłem sobie, że Słowo może kryć się w każdym oblężeniu. A Tortosa też była ciekawą twierdzą. Kiedy wyruszył tam konwój z aprowizacją, zabrałem się z nim.

Podczas marszu przydarzył się nam incydent, który zmącił moje myśli, zajęte dotąd wyłącznie poliorcetyką. Konwój musiał zatrzymać się na poboczu drogi, żeby przepuścić zmierzający w przeciwnym kierunku tłum, złożony z setek kobiet, dzieci i starców, równie obszarpanych, jak przygnębionych. Zbiorowa rozpacz nasyciała ich tym samym kolorem: odzienie, twarze, wszystkie te kroczące stopy nabrały przygaszonej szarej barwy. Udręczona trzódka, która mimo swej liczebności poruszała się w ciszy. Tylko najmniejsze dzieci ośmiały się płakać. Mijali nas i nikt nawet nie wyciągnął ręki, by poprosić o pomoc. Eskortowało ich kilku jeźdźców, poganiając opieszalnych batem. Jakaś staruszka upadła mi prosto pod nogi, więc odruchowo schyliłem się, żeby ją podnieść. Jeden z jeźdźców natychmiast do nas przyskoczył.

– Nie zbliżać się do rebeliantów.

– Rebeliantów? – zdziwiłem się. – Od kiedy to babcie wszczynają rebelie?

Spiął wierzchowca, oddzielając mnie od starowiny. Końskie kopyta bywają onieśmielające, więc cofnąłem się o dwa kroki.

– Chcesz do nich dołączyć? Miejsce się znajdzie, droga wolna! – wrzasnął i widać było, że nie żartuje.

Kiedy stoisz na ziemi i nie masz broni, pyskowanie wobec kogoś, kto siedzi na koniu, uzbrojony po zęby, nie jest przejawem szczególnego rozsądku. Niemniej jednak wyzwałem go od bandytów i morderców. Spojrzał na mnie szczerzymi oczkami.

Furman mojego wozu, człek niemłody i doświadczony, z którym po drodze zdążyłem już zamienić kilka słów, siedząc obok na koźle, pociągnął mnie za łokieć i szepnął:

– Nie rób z siebie głupca.

– Ale co złego mogły zrobić te dzieci? Albo ci staruszkowie? – wykrzyknąłem. – I dokąd ich prowadzą?

– A ty kim chcesz być? – zapytał mnie na ucho. – Dobrym inżynierem czy dobrym samarytaninem?

I chcąc uspokoić sytuację, z uśmiechem zwrócił się do jeźdźcy:

– Ej, przyjacielu! Jak tam było pod Játivą?

– Játivy już nie ma – odparł tamten i dźgnął konia ostrogami.

Później dowiedzieliśmy się, że ci ludzie byli obywatelami Játivy, deportowanymi do Kastylii na wyraźne życzenie Filipka. Po zdobyciu miasta

wzięto do niewoli tysiące mieszkańców, również z pobliskich wiosek. Zmieniono nawet nazwę Játivy na „Kolonía San Felipe”. Gdybym nie widział tego smutnego transportu na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzył.

Przez następne dni rzadko się odzywałem. Wychowano mnie w duchu fundamentalnej zasady, iż królowie walczą, by bronić swych dominiów lub zdobywać nowe, nie żeby je niszczyć. Podobny absurd zagnieździć się mógł jedynie w głowie szaleńca. Jakąż korzyść można odnieść ze spustoszonej krainy? Játiva, miasto tysiąca fontann, wymazana z powierzchni ziemi, bo jakiś król oparł swój kciuk na mapie.

Gdy tylko przekroczyliśmy granicę mojej rodzinnej Katalonii, ujrzelśmy drzewa uginające się pod ciężarem wisielców. Konwój zwolnił w obliczu owych wszechobecnych, rozhuśtanych ciał. Na najgrubszych drzewach widać było nawet po pięć, sześć, siedem trupów rozwieszonych na gałęziach, jedno wyżej, inne niżej, z nogami kołysanymi przez wiatr. Większość stanowili mężczyźni, starsi i w sile wieku, ale na jakimś samotnym dębie dostrzegłem kobietę. Nawet nie związano jej z tyłu rąk. U stóp drzewa siedziała dziewczynka, a obok niej pies, który był żałośnie i węszył, a jego nozdrza rozszerzały się i kurczyły jak kowalski miech. Poruszyło mnie to, że pies wiedział, iż kobieta jest martwa; dziewczynka – nie.

Oficjalni historycy ograniczają się do opowieści o losach oficjalnych wojsk. Lecz w owym roku 1708 wojna dotarła już do Katalonii i tysiące cywilów włączyło się do walki. Można ich nazwać „ochotnikami”, „milicją”, „strzelcami z gór”, my jednak zwaliśmy ich „miqueletami”^[38]. Jeśli nie opowiem teraz o miqueletach, trudno wam będzie zrozumieć, co się wtedy działo.

Samo słowo *miquelete* jest zwykłą transkrypcją katalońskiego oryginału: *miquelet*. Pochodzi, być może, od dnia świętego Michała (Sant Miquel), kiedy to tradycyjnie kontraktowano żeńców. Ci, którzy nie znajdowali pracy przy żniwach, szukali jakiegokolwiek zajęcia i bywało, że zaciągali się do francuskiego lub hiszpańskiego wojska. Jeżeli Francuzi wszczęli na przykład wojenkę z protestantami z południa, natychmiast pojawiali się werbownicy, by kaptować miqueletów. Ci zaś zgłaszali się chętnie, ale odmawiali noszenia mundurów i żołnierskich butów, a nawet broni, woleli bowiem walczyć własną. Francuscy i hiszpańscy dowódcy uważali ich za leśnych ludzi, niekarnych, na wpół dzikich, nieobliczalnych indywidualistów, co nie znaczy, że nie doceniano ich wartości bojowej. Jako lekka piechota nie mieli sobie równych. Wyśmienici w leśnych potyczkach, doskonali strzelcy, szaleńczo odważni, zawsze w awangardzie, zostawiali po sobie spaloną ziemię. *Les miquelets ont fait des merveilles*^[39], zapewniali francuscy oficerowie. Dlatego bez wahania kontraktowali tylu, ilu się dało. Oddział miqueletów kosztował połowę tego co regularna chorągiew, a był dwakroć skuteczniejszy.

Problem w tym, że niektórzy z nich zasmakowywali w owym łupieżczym,

łotrowskim życiu na cudzy koszt. Gdy zwalniano ich z armii, włóczyli się po lasach i drogach, czekając na nowy zaciąg, a tymczasem trudnili się zbójctwem. Zwykli Katalończycy bali się i nienawidzili ich, zwłaszcza w miastach, gdyż postać miqueleta kojarzyła im się z grabieżą i rozbojem.

W roku 1708 wojska burbońskie wkroczyły do Katalonii po raz pierwszy. Miqueleci, co było do przewidzenia, zaczęli atakować najeźdźców. Dotąd wojna niewiele ich obchodziła, lecz widząc swój kraj w niebezpieczeństwie, stanęli do walki. Nominalnie podlegali generałom Sprzymierzonych, faktycznie jednak działali na własną rękę. W każdym razie nie nosili mundurów, a burbończycy nie uznawali ich za legalne wojsko. Dlatego też bestialstwo po obu stronach konfliktu osiągnęło rozmiary nigdy przedtem niewidziane.

Schwytanego miqueleta wieszano na najbliższym napotkanym drzewie. Rebelianci zaś nie pozostawiali dłużni. Francuskim i hiszpańskim jeńcom przypalali stopy i kazali im tańczyć jak oswojonym niedźwiedziom, a potem ich mordowali. Czasami wpędzali ich na jakieś urwisko, dobrze widoczne dla wroga. Potem dęli w róg, żeby zwrócić na siebie uwagę burbończyków. Ustawiali żołnierzy gęsiego, uwiązywali na długim sznurze, pętając im nogi w kostkach, i po kolei spychali w przepaść. Po jednym, po dwóch, po trzech, a ci, którzy spadali, pociągali za sobą innych. Byłem raz świadkiem takiego barbarzyństwa. Dziesięciu, może dwunastu mężczyzn ze skrępowanymi na plecach rękami, spętanych jedną liną. Każdy, który spadał, zwiększał ciężar, jaki musieli utrzymać ci, co stali na krawędzi. Boże mój, ależ oni wrzeszczeli! I ten widok warkocza białych mundurów, zsuwającego się w otchłań bez powrotu... Zaręczam, że był to spektakl nad wyraz przygnębiający.

Opiszę wam teraz typowy dla miqueletów epizod, by pokazać, co z nich byli za ludzie. A przyszło mi, niestety, doświadczyć tego na własnej skórze.

W owym czasie około osiemdziesięciu miqueletów napadło na przygraniczną wioskę katalońską, zwaną Beceite. Działanie typowe dla rebeliantów. Likwidowali małe posterunki burbończyków, a potem spędzali kilka dni w wyzwolonej miejscowości, zażywając wygod niedostępnych w górskich kryjówkach. Wszelako tym razem los im nie sprzyjał: oddział, z którym zdążyłem do Tortosy, przechodził właśnie w pobliżu. Nasza kolumna natknęła się na paru hiszpańskich żołnierzy, na wpół przytomnych ze strachu, którzy cudem uszli z życiem i wszystko nam opowiedzieli.

Owego dnia Hiszpanie zaskoczyli miqueletów w Beceite i spuścili im haniebne manto. Rebelianci świętowali na rynku swoje małe zwycięstwo, racząc się obficie winem, kiedy spadły na nich dwa szwadrony kawalerii. Pierzchli, pozostawiając za sobą ponad trzydziestu zabitych i jednego jeńca.

Gdy było już po wszystkim, do wioski wkroczyła nasza kolumna. Zapewniam was, że widok nie był przyjemny. Plac usłany był ciałami zadźganych sztyletami i stratowanych przez konie miqueletów. W rogu, niby stos

zardzewiałych podków, leżeli żołnierze polegli w pierwszym starciu. Dzień chylił się już ku końcowi, postanowiliśmy więc zostać na noc i zaczęto „organizować kwatery”, jak mawiali oficerowie.

Żołdacy wyłamywali drzwi kolbami i spędzali cywilów na rynek. Bitwa się zakończyła, ale wrzawa nie. Kiedy wszyscy znaleźli się na placu, oficerowie, wedle rangi, wybierali sobie najładniejsze dziewczęta i prowadzili do zajmowanych przez siebie domów, by egzekwować „prawo gościnności”. Innymi słowy: gwałcić panny i mężatki na oczach całej rodziny.

Alkad, na klęczkach przed kapitanem, czując na szyi ostrze szpady, wykrzykiwał, że tutejsi ludzie zawsze byli wierni Filipowi V.

– Łże jak najęty – stwierdził furman mojego wozu.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

W odpowiedzi wskazał na pustą dzwonicę.

– Tam, gdzie nie ma dzwonów, trzymają z arcyksięciem – wyjaśnił. – Przetapiają je na armaty. – Mrugnął do mnie chytrze. – To Katalończycy, więc pewnie je sprzedali. Ale na jedno wychodzi.

Usłyszał to jakiś kapral. Podszedł do nas i warknął:

– Ej, ty tam! Umiesz po katalońsku? Potrzebny nam tłumacz.

Zlazłem z wozu i zaprowadzili mnie do naszego jedyne go jeńca. Był to jakiś pomniejszy herszt, nazwiskiem Ballester. Chcieli wyciągnąć od niego jak najwięcej, zanim zostanie powieszony. Miał rozciętą brew, która obficie broczyła. Lecz z jego wysokiego czoła, zaskakująco pięknego, biła duma i pogarda dla bólu. Sznury krępujące mu ręce zabarwione były ciemną czerwienią. Nie schwytano go przed chwilą, więc rany zdążyły przyschnąć, jakby w jego żyłach od urodzenia płynęła zakrzepła starcza krew.

Zaskoczyła mnie jego młodość. Dowodził oddziałem partyzantów, a nie był chyba starszy ode mnie. Dzieciak. Szesnaście, może siedemnaście lat. Musiał mieć charakter, skoro zdobył taki posłuch. W jego rysach szlachetność mieszała się ze smutkiem. Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Ale coś mi mówiło, że nawet w najradośniejszych chwilach zamykał się w sobie. A jego spojrzenie? Było niczym fale bijące o skałę: mogłeś być pewien, że wcześniej czy później cię skruszy. Nasze światy były tak odmienne, iż czułem się nieswojo, musząc z nim rozmawiać.

Przetłumaczyłem pytania, na które żądali odpowiedzi jego oprawcy. Zwrócił na mnie tyle samo uwagi, co na królika podskubującego trawę. Przekrzywił głowę, splunął zakrzepłą krwią i odparł krótko:

– Zginę. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Nawet nie żałował, że żegna się ze światem, jakby jego śmierć była męczeństwem, a nie ryzykiem wpisanym w wojenny fach. Każda ludzka istota, wiedzona naturalnym instynktem, bardziej sympatyzuje ze schwytanym niż

z prześladowcą, więc chociaż los Ballestera guzik mnie obchodził, powiedziałem:

– Bądź rozsądny. Obiecuj im cokolwiek, to darują ci życie. Powiedz coś, czego nie będą mogli od razu sprawdzić. A przez ten czas wiele się może zdarzyć. Kto wie, może nawet pokój.

Harda sztuka. Zamierzył się na mnie związanymi rękoma, spojrzał mi prosto w oczy i rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Gdybym miał wolne ręce, wyrwałbym ci język, pieprzony *botiflero*^[40].

Tu muszę wyjaśnić, iż nie ma dla Katalończyka gorszej obelgi. *Botiflero* to stronnik Filipa V, Kastylii i rodu Burbonów. Czyli zdrajca ojczyzny. Wzięło się to, jak sądzę, stąd, że królowi z Austrii, Karlangasowi, sprzyjali w większości ludzie niższego stanu, a ci nieliczni, którzy popierali Filipka, wywodzili się spośród arystokracji i kościelnych dostojników. Bogacze mają skłonność do obrastania sadłem. W opiętych, strojnych szatach wyglądają jak nadęte „salcesony”. A zresztą, czy to ważne, skąd pochodzi to przezwisko? Rzecz w tym, że ów Ballester ubliżył mi i nie mogłem tego puścić płazem.

– Próbuje waści bronić, a waści mnie obrażasz! – wykrzyknąłem. – Powiedz, w czymżeś lepszy ode mnie? Ja mam zaszczyt być inżynierem, a ty jesteś warchołem, który toczy własną brudną wojnę.

Jeszcze przez chwilę obrzucaliśmy się nawzajem obelgami. Jedynym wnioskiem z owej dysputy było to, że dzieli nas przepaść nie do przebycia. Dla mnie wojna wciąż była tym, czego nauczono mnie w Bazoches: technicznym ćwiczeniem wyzbytym nienawiści, mitygowanej przez szlachetność ducha zwaśnionych stron. Zgodnie z ową doktryną walka mogła i powinna toczyć się bez emocji, które niczym ciemne chmury rzucają cień na racjonalny pejzaż inżynierii. Wojna była domeną rozumu i bardziej kojarzyła się z partią szachów niż ze świstem kul. Gdyby jakiś żołnierz powiedział Vaubanowi, że nienawidzi wroga, ów odrzekłby ponad wszelką wątpliwość: „Na Boga, a cóż takiego ten wróg waści uczynił?”. Za to dla osobników pokroju Ballestera wojna była sprawą życia lub śmierci. Nie. Była czymś więcej, gdyż w jego mniemaniu rozstrzygała o pryncypiach stojących ponad krótkim ziemskim bytowaniem. Rzecz jasna, z mojego punktu widzenia były to wymysły szaleńców – inżynier wojskowy jest równie daleki od mistyki, jak zegarmistrz.

To prawda, widziałem już setki wisielców kołyszących się na sosnowych gałęziach, widziałem hekatombę *Játivy*, psa i dziewczynkę u stóp drzewa, na którym zawisała matka. Lecz mury mego wykształcenia były zbyt solidne, by kilka smutnych obrazów mogło je zburzyć. Podałem się. Dyskusja z Ballesterem nie miała sensu. Uznałem go za perfekcyjną krzyżówkę bandyty z fanatykiem.

– No to świetnie! – powiedziałem. – Jest pan pierwszym znanym mi człowiekiem, który woli żyć krócej, a nie dłużej.

Hiszpański kapitan, który kazał sprowadzić tłumacza, nie mógł znieść, że nie

rozumie obelg, którymi się nawzajem obrzucamy. Po chamsku zażądał, żebym streścił mu swoją rozmowę z Ballesterem.

– W tych stronach miqueleci działają na polecenie generała Jonesa, angielskiego komendanta Tortosy – skłamałem. – Mieli za zadanie zająć tę wiochę i czekać na nowe rozkazy. Mówi, że nadejdą jutro rano. Kurierem. Do rąk własnych tego ptaszka.

Tak jak podejrzewałem, zamiast powiesić Ballestera od razu, postanowili użyć go jako przynęty.

– Masz jeszcze jedną noc życia przed sobą – powiedziałem. – Uporządkuj swoje sprawy.

Wszystko to wymyśliłem sam. Rankiem następnego dnia nikt się nie zjawi, ale niczym nie ryzykowałem. Pomyślałem, że miqueleci się wycofali, bo odkryli zasadzkę. Dlaczego to zrobiłem? Nie wiem, może Jimmy zaraził mnie swoją królewską wielkodusznością, która nie ma nic wspólnego ze szlachectwem. Albo dlatego, że byłem uczniem Vaubana, który pokonanym wrogom okazywał łaskę. Nie sądzę, że z czystej dobroci, ponieważ moje złajdaczenie szybko postępowało, czego dowodzi fakt, iż zaraz potem ruszyłem použíwać sobie z jedną z naszych śródziemnomorskich piękności, nieletnią dziewczeczką, nie starszą ode mnie i Ballestera, której uroda olśniewała nawet z daleka. Dojrzałem ją, przechodząc przed długim budynkiem, stajnią bez wrót, gdzie słoczono tabun dwudziestu czy trzydziestu koni. Grabiła siano. Na mój widok spuściła oczy.

Widzicie, dzieliłem pozycję horyzontalną z kobietami spod wielu szerokości geograficznych i w najdziwniejszych kolorach. W odwiecznym sporze o to, które są najpiękniejsze, obstaję przy Francuzkach. To chyba jeden z nielicznych banałów zgodnych z prawdą. Wszelako jest to prawda nazbyt ogólna. Bo kobieta znad Morza Śródziemnego, jeżeli jest piękna, nie ma sobie równych. Tamta dziewczyna była urocza. Jej włosy, kręcone, wymykały się spod rąbka chustki i opadały na ramiona. Były czarne jak noc.

Przechodzący obok sierżant ostrzegł mnie:

– Nie zbliżaj się do niej, jest chora. Dlatego wyznaczyliśmy jej tę pracę, nawet koniokrady tu nie zagląдают.

Zapewne jest to kwestia charakteru; są ludzie, którzy słysząc „Nie wchodź!”, wejdą bez namysłu. Wszedłem zatem i ja. Zatrzymałem się o parę metrów przed nią, wsparłszy łokieć na grzbiecie jednego z koni, i przypatrywałem się zachłannie, żując źdźbło słomy. Nie zwracała na mnie uwagi. Wrzucała siano do żłobów i udawała, że mnie nie widzi.

– Chodź tu – rozkazałem.

Kiedy stanęła przede mną, mogłem przyjrzeć się jej dokładnie. Była rzeczywiście młodziutka. Wydatny, z lekka garbaty nos dodawał jej wdzięku. Powoli zbliżyłem palec do jej policzka. Odsunęła twarz, ale przyparłem ją do

ściany. Musnąłem paznokciem brzydką, ciemną krostę. No cóż, może to i było zaraźliwe, ale nie dla studenta z Bazoches, baczno na każdy najdrobniejszy szczegół. Dotknąłem owego pryszczu; potem podniosłem palec do ust i oblizałem.

Rozgnieciona malina. Spryciara! Dzięki rzekomej chorobie zyskała i pracę, i tarczę chroniącą ją przed gwałtem. Kiedy spostrzegła, że oszustwo zostało wykryte, jej bladość zmieniła się w gniewny rumieniec.

Cóż, nie myślcie, że zrobię wam teraz wykład na temat gwałtów żołdactwa. Miałem do czynienia ze zbyt wieloma żołnierzami z całego niemal świata, by nie móc ich zrozumieć. Szeregowy żołnierz rodzi się w biedzie i w biedzie umiera. A uzbrojony człowiek ma na wyciągnięcie ręki dobra niedostępne dlań bez karabinu na ramieniu. Łupy i ludzie stają się bezbronnymi przedmiotami pożądania, strzeżonymi jedynie przez moralność potencjalnego łupieżcy. Zgoda, brzydko jest gwałcić bezbronne kobiety. Ja tylko stwierdzam, że potępiac łupieżców jest równie łatwo, jak trudno powstrzymać się od łupienia.

Nie, nie zgwałciłem jej. Może dlatego, że ktoś wychowany w Bazoches traktuje kobiety jak Vauban, a nie jak Coehoorn. Opowiadam wam o tym tylko dlatego, że przykład mój pozwala unaocznic to, co działo się w całej okupowanej Katalonii: w tej samej chwili setki, tysiące żołnierzy wchodziło do spichlerzy i stajni, w jednej ręce dzierząc szpadę, a drugą wlokąc za sobą kobietę.

Był to kraj zbyt mały, by pomieścić w swych domach tyle wojska. Po latach zetknąłem się z człowiekiem, który w owym czasie piastował urząd alkada w Banyoles, wiosce zamieszkaną przez nieledwie osiemset dusz. Praktycznie wszystkie dziewice zostały zdeflorowane, a sześćdziesiąt trzy zaszły w ciążę. Kiedy złożył skargę do okupacyjnych władz, te zareagowały w sposób typowy dla burbończyków: aresztowali alkada. Nawet Holendrzy w szesnastym wieku nie zaznali tak wielkiej podłości od żołnierzy księcia Alby.

Zacząłem ją przepytawać. Na imię miała Amelis. Nie pochodziła z Beceite. Co tam w takim razie robiła? Powiedziała, że wędruje za wojskiem, mając się najróżniejszych prac. Już zabierałem się do tego, żeby wyciągnąć z niej coś więcej, lecz wtedy się zaczęło.

Nie były to krótkie salwy, jak w wypadku regularnego wojska, ale bezładna strzelanina przy akompaniamencie dzikich wrzasków. Jednego nigdy mi nie brakowało, a mianowicie roztropności właściwej żukom, tak więc zamiast wybiec na zewnątrz, ruszyłem w stronę najdalszego kąta stajni, wlokąc za sobą Amelis jako zakładniczkę. Wleźliśmy w stertę słomy, zatkałem mojej brance usta ręką i siedziałem cicho jak mysz pod miotłą. Niech się dzieje, co chce, i tak się o wszystkim dowiem, nie ma zatem potrzeby strugać bohatera. I faktycznie już wkrótce dowiedziałem się, kto narobił zamieszania. Nagle wpadł jakiś żołnierz w białym mundurze, przerażony, szukając schronienia. Nie zdążył się schować. Zaraz po nim nadbiegło kilku miqueletów. Zatlukli go jak psa, waląc kijami po

głowie, i poszli. Kiedy go katowali, zdjąłem dłoń z ust Amelis i zakryłem jej oczy. Była tak miła – i rozsądna – że nie zaczęła krzyczeć.

Com widział i czegoś doświadczył na własnej skórze, to wam opowiedziałem. W atakach takich jak ten na Beceite nieprzewidywalność miqueletów, ich irracjonalna taktyka wojenna widoczna była jak na dłoni. Zebrali porządne ciężki, uciekli, zostawiając za sobą trzydzieści trupów i swojego młodziutkiego herszta, Ballestera, na pastwę wroga. Któż mógł się spodziewać, że nie minie godzina, a nie zważając na naszą liczebną przewagę, uderzą ponownie, i to pozbawieni dowódcy? Po prostu wrócili po swego kapitana, albowiem Ballester cieszył się wśród nich wielką estymą.

Miqueleci dowiedli słuszności ignorowanej często zasady, której ja sam zawsze surowo przestrzegałem: na wojnie czynnik zaskoczenia sprzyja szaleństwu. I zwyciężyli! Hiszpańscy oficerowie rozpierchli się po całej wiosce i każdy już ściągał spodnie w innym domu. W wojsku zapanowało rozprężenie. Ostrożnie wystawiłem głowę przez okno. W głębi, na rynku, zobaczyłem Ballestera we własnej osobie. Znów na wolności, otoczony swoimi ludźmi, podrzynał gardło kapitanowi, który przed chwilą go przesłuchiwał. Kapitan na klęczkach, Ballester za nim. Jedną ręką chwycił go pod brodę, a drugą, uzbrojoną w nóż, rozciął mu szyję od ucha do ucha.

Nie muszę chyba mówić, jak bardzo zdenerwował mnie ów malowniczy widok. Dla Ballestera byłem przeklętym botiflerem. Lepiej nie myśleć, co by ze mną zrobił, gdyby mnie złapał. Zapewniam, że sposób, w jaki zginął kapitan, to sama przyjemność, czysta, schludna śmierć z wykrwawienia, słodki koniec w porównaniu z pomysłowymi torturami miqueletów.

Wszystko, co mogłem zrobić, to schować się i czekać nadejścia nocy, a potem wymknąć się ze stajni. Przez dłuższą chwilę leżeliśmy na klepisku pod wiązką słomy, przyklejeni do siebie niby dwie łyżki. Przyłgnałem do pleców Amelis, mój policzek przy jej policzku, moja ręka na jej ustach, w intymności równie absurdalnej, jak wymuszonej. Przyjemny zapach jej skóry, zmieszany z wonią słomy, przyniósł wspomnienie Jeanne. Tak to już z nami jest: tam, na zewnątrz, ludzie ginęli od kul i noży, możliwe, że ja miałem być następny, a mimo to nie mogłem się oprzeć wizji nagiej Jeanne, którą przywołała obecność ubranej Amelis.

Wreszcie zapadła noc. Nie wstając z klepiska, wyszeptałem do ucha mojej kruczowłosej ślicznotki:

– Jeżeli cię puszczyć wolno, wydasz mnie i zaczną mi deptać po piętach. Dlatego teraz pójdziesz ze mną. Chcę się stąd wydostać żywy. Bądź grzeczna, to potem pozwolę ci odejść. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Zdjąłem rękę z jej ust. Przedtem jednak, tak na wszelki wypadek, uczyniłem miłosne wyznanie stulecia:

– Piśnij tylko, to cię uduszę.

Wrota stajni wychodziły na ulicę, gdzie niechybnie przydybałby nas któryś z tych zbójów bez munduru. Ale tuż za budynkiem rósł las. Wymyśliłem, że wymkniemy się tylnym oknem. Ale jak? Otwór był zbyt wąski, żebyśmy zmieścili się w nim oboje naraz. Gdyby Amelis wychodziła pierwsza, to znalazłszy się po drugiej stronie, zaczęłaby krzyczeć i uciekać. Gdybym pierwszy wyszedł ja, odwróciłaby się na pięcie i wybiegła przez wrota. Była bystrą dziewczyną i bez zbędnych wyjaśnień zrozumiała, w czym rzecz.

– Idź precz i daj mi spokój – wyszeptała, bardziej zirytowana niż wroga. – Nie zależy mi na twojej śmierci. Nikomu nic nie powiem.

– Gówno prawda.

Chwyciłem ją wpół, wepchnąłem w wąski otwór, a sam wśliznąłem się obok. Ściana z niewypalanej cegły była gruba, o wiele grubsza niż w zwykłych domach, zapewne po to, by w stajni nawet latem panował przyjemny chłód. Utknęliśmy zatem w czymś na kształt długiej na metr glinianej rury. Ramiona i głowy wystawały nam na zewnątrz, a po drugiej stronie majtały w powietrzu cztery nogi.

– Nie martw się – powiedziałem. – Studiowałem w miejscu, gdzie uczyli rozwiązywać takie problemy.

– Ach tak? – syknęła. – No to świetnie cię nauczyli.

– Zobaczysz, teoria anatomii mówi, że jeśli w otworze transzei lub podkopu zmieszczą się ramiona, to tułów też przejdzie. A jeśli jest za wąsko, to trzeba wywichnąć ramię. Po wyjściu należy je nastawić, i gotowe.

Jej wielkie oczy stały się jeszcze większe.

– Sam sobie zwichniesz ramię?

– Ależ skąd! Zwichnę twoje – odparłem. – Potem je nastawię. To nietrudne, bo będę miał obie ręce wolne i umiem to zrobić.

Zaczęła okładać mnie po głowie piąstkami.

– Obmacujesz mnie od kilku godzin, a teraz jeszcze chcesz mi przetrącić grzbiet. Nie waz się tknąć mojego ramienia. Zabieraj łapy!

Zakryłem jej usta.

– Cicho!

Nie mam pojęcia, jak się nam udało. Pamiętam, że chyba wyłamałem drewnianą framugę, przez co zrobiło się trochę luźniej. Prześlizgnęliśmy się jak jaszczurki pozbawione kości. Spadliśmy na drugą stronę, jednym szarpnięciem podniosłem Amelis z ziemi i ciągnąc ją za rękę, pognałem w las.

Beceite było jakby wciśnięte w gorset tchnących labiryntowym pięknem gór, które służyły za kryjówkę oddziałom miqueletów. Ruszyłem na południowy wschód, tam gdzie znajdowały się wojska Dwóch Koron.

Okrągły księżyc zalewał bursztynowym blaskiem niezbyt gęsty sosnowy bór. Świerszcze nie chadzają na wojnę, a rześki chłód nocy przynosił ulgę po skwarnym

dniu. Gdyby w pobliżu nie czaiła się banda szurniętych rzeźników, mógłby to nawet być całkiem przyjemny spacer. Kiedy odeszliśmy na rozsądną odległość, ośmieliłem się odezwać głośno.

– Niezłych masz koleżków! – powiedziałem. – Widziałaś tego żołnierza w stajni? Zatlukli nieboraka kijami, pożałowali mu jednej pieprzonej kuli.

Wciąż jeszcze szła obok mnie, ale już nie próbowała ukryć, że zamierza prysnąć lada chwila.

– Nie mam żadnych koleżków – zaprotestowała. – A gdyby nawet, to o co się czepiasz? O to, że wojują jak biedacy?

– Można być biednym i nie być barbarzyńcą – odparłem.

– Oni przynajmniej nie gwałcą.

– Ja też! – broniłem się. – Jeżeli chcesz wiedzieć, to jestem inżynierem. My, zawodowcy, inżynierowie i żołnierze, mamy powinności wobec tego, kto nas wynajął. Ten król czy inny, obojętne. Jesteśmy wierni, dopóki wiąże nas kontrakt. Nieważne, skąd pochodzimy, nie mamy nad sobą suwerena. To nasz przywilej. Dziś mogę służyć królowi Francji, a jutro Szwecji albo Prus i nikt nie ma prawa zarzucić mi wiarołomstwa i zdrady, tak jak nikogo nie dziwi, że żaba skacze z kamienia na kamień, kiedy chce się przedostać przez rzekę.

– Dla miqueletów jesteś burbończykiem – zauważyła. – A burbończycy wieszają ich ojców i synów. Dziwisz się, że cię chcą zabić?

– Płacą mi za wykonanie prac inżynieryjnych. Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzą Burbonowie i Austriacy, jedni i drudzy.

Przystanąła. Rozejrzała się wokół z uśmiechem i powiedziała:

– Słyszysz?

Zaskoczyła mnie ta nagła zmiana tematu, ale odparłem:

– Masz rację, chodzenie po sosnowym lesie jest cholernie irytujące; przypuszczam, że nie ma sensu cię prosić, żebyś łaskawie nie deptała szyszek, które trzeszczą jak wszyscy diabli. Słyszać nas aż za tą górą.

– Nie, mój inżynierze – przerwała mi, wsłuchana w las. – Pytałam o muzykę.

Muzykę? Słyszałem jedynie zwykłe nocne odgłosy. Wariatka? W świetle księżycy biel jej skóry przybrała jakiś nierealny odcień. Pomyślałem, że może mówi o nas. Zaczęło się nie najlepiej, ale ta letnia noc i las koły wszystko. A może nie wszystko: otoczyłem jej kibić ramieniem. Wyśliznęła się i odwróciła na pięcie.

Na odchodnym obdarzyła mnie westchnieniem niemal smutnym.

– Nie, nie słyszysz – powiedziała. – Żegnaj, wielki inżynierze.

Kiedy zniknęła mi z oczu, jej zapach unosił się jeszcze przez chwilę w leśnej gęstwinie. I chciecie wiedzieć? Nawet wtedy nie byłem pewien, czy mnie nabierała, czy może chodziło o coś więcej.

Wędrowałem przez całą noc, byle dalej od Beceite, matecznika miqueletów. O pierwszym brzasku dotarłem na szczyt wysokiej skały, jakich wiele było

rozsianych po okolicy. Leżąc na wierzchołku mogłem obserwować drogę, przez nikogo nie widziany. Dłuższą chwilę poświęciłem na rozważania nad tym, co się wydarzyło. A w chwilach takich jak ta ujawnia się wyższość miłości nad trwogą, bo obraz tamtej dziewczyny, Amelis, raz po raz przesłaniał w moich myślach wizję śmierci.

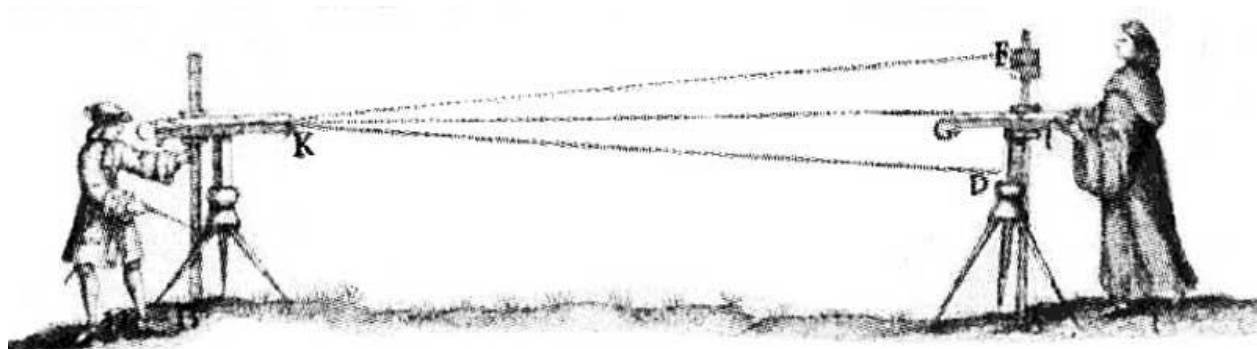
Od czasu, gdy ujrzałem Jeanne, żadna piękność tak mnie nie poruszyła. A zgodzicie się ze mną, że Jeanne, wypielęgnowana arystokratycznymi bielidłami i barwiczkami, miała bezsprzeczną przewagę nad wiejską dziewczką. Amelis na głowie nosiła zgrzebną chustę, a twarz przyozdobiła fałszywą wysypką. Dokąd poszła? Z jej ostatnich słów mogłem wywnioskować wszystko, nawet to, że trudniła się szpiegowaniem, być może dla obu stron. Skończy na stryczku, to pewne.

Późnym rankiem dostrzegłem obłoczek kurzu na horyzoncie. Myślę, że po raz pierwszy i ostatni w życiu widok oddziału burbońskiej kawalerii sprawił mi żywą radość. Ci przynajmniej nie potraktują mnie tak jak miqueleci. Ze szczytu skały jałem dawać im znaki, wymachując kapeluszem, a potem zszedłem.

Dowodził nimi kapitan w mundurze poszarzałym od pyłu. Z wysokości siodła zapytał:

– Hiszpan czy Francuz?

– Człowiek cudem ocalony! – odkrzyknąłem, biegnąc ku nim co tchu. – Zabierzcie mnie stąd, niech to szlag!



Wojskiem, które szykowało się do ataku na Tortosę, dowodził osobiście książę Orleański, bratanek Potwora. Miał pod komendą dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy oraz imponujący tabor artylerii.

I oto, po tylu perypetiach, wreszcie miałem wziąć udział w prawdziwym oblężeniu. Nie zaprzeczę, że poczułem przypływ animuszu. Może zdołałem zatrzeć niepowodzenia z Bazoches, zrehabilitować się, zostać prawdziwym inżynierem. Spędziłem dwa lata, dwa najbardziej wytężone lata mojego krótkiego żywota, pochłonięty bez reszty pracą nad tym, by stać się maganonem, wznieść się na wyżyny wiedzy i etyki. Przyznacie, że dwadzieścia cztery miesiące to dla szesnastoletniego młokosa całkiem spory kawałek życia. Kiedy więc ogarniało mnie zwątpienie, podciągałem prawy rękaw. Medytowałem, kontemplując moje pięć Punktów w rozmaitym oświetleniu: w promieniach wschodzącego słońca i księżycy w pełni; w rozżarzonej blasku południa i w fiołkowej poświacie zmierzchów. Boże mój, jakże piękne były moje tatuaże, owe pięć najświętszych Punktów. Nie wolno mi się poddać. Tortosa oznaczała możliwość odkrycia Słowa, które mnie oświeci.

Wojska burbońskie rozbiły obóz pod Tortosą dwunastego czerwca, a ja dotarłem tam dzień później. Wstąpiłem do brygady inżynierów jako adiutant. Miałem poza tym tę dodatkową zaletę, że mówiłem i po hiszpańsku, i po francusku, mogłem zatem pełnić funkcję łącznika pomiędzy obiema armiami.

We francuskim wojsku związki rodzinne znaczą jeszcze więcej niż w reszcie Europy, a brygada inżynierów pozostawała pod komendą kuzyna księcia Orleanu. Raczej flegmatyczny niż gnuśny, mąż ów, chudy, niezbyt srogi, równie pogodny jak roztargniony, o wykwinnych manierach, smaku i urodzie, z czego wszakże nie sposób było wnioskować o jego cielesnych upodobaniach, spędzał całe dni w swoim wspianiałym namiocie, godnym Dariusza Wielkiego. Płótno zdobiły kaszmirowe hafty, a cebulasty dach przypominał cerkiewną kopułę. Przestronne, pełne przepychu wnętrze mogło pomieścić kompletną orkiestrę i urządzano tam tłumne nocne libacje, miarkowane jedynie przez księcia, mitygującego krewniaka, który tak folgował zamiłowaniu do wszelkich rozkoszy, że ze wszystkich miasteczek i wiosek, przez które przeszły francuskie wojska, kazał sobie sprowadzać *en masse* kurwy, a nawet wypędzone z klasztorów mniszki. Hiszpańscy księża skarżyli się Orleańczykowi, żądając, by w celu uniknięcia skandalu bardziej stanowczo przywołał do porządku swego kuzyna, który ponadto miał słabość do peruk i pachnideł. Lubił mizdrzyć się przed zwierciadłem, przymierzając nawet tuzin peruk jedną po drugiej. Pachnidła dostarczano mu kurierem. Zazwyczaj bardzo mocne. Zanim gdzieś się pojawił, zawsze poprzedzał go przepych azjatyckich woni.

Duchem pozostał w Wersalu i ów „wojaż” po południowych krainach znosił ze swego rodzaju ironiczną rezygnacją. Tymczasem liczył dni, by wreszcie wrócić do Paryża jako ten, kto służył *dans l'armée royale*^[41]. O inżynierii miał pojęcie takie samo jak złota rybka z ogrodowej sadzawki o morzu. O jego umiejętnościach i znaczeniu najlepiej świadczy fakt, że nie pamiętam nawet jego imienia. Nazwijmy go zatem Ktosiem.

Ów Ktoś, przyznaję, miał tę zaletę, że można mu było szczerze powiedzieć gorzką prawdę prosto w twarz, a to zjawisko nieczęste wśród francuskich arystokratów. Prawdą jest, iż przyczyna owej tolerancji nie była zbyt wzniosła. Dlaczego znosił moją krytykę, sugestie i oskarżenia? Ano dlatego, że byłem nikim. Traktował mnie dokładnie tak samo jak muchy, które owego przeklętego lata roiły się wszędzie.

Sami ocenicie, ile jest warte moje zdanie, ale już od pierwszego dnia uznałem tamto oblężenie za kompletną katastrofę.

Ja sam najprędzej gotów jestem przyznać, iż wojna zawsze była i będzie sztuką mierzenia się z niedoborami i niedogodnościami. Kampania nigdy nie toczy się w optymalnych warunkach. Przeciwnie, zawsze braknie tego czy tamtego. I żołnierz liniowy, i budujący umocnienia inżynier muszą umieć improwizować, zadowolić się tym, co dla nich dostępne, i wyciągnąć z tego maksimum korzyści (ufając, że wróg ma się tak samo albo jeszcze gorzej). Vauban wiedział to i dlatego bracia Ducroix wyszkolili mnie w rozmaitych technikach, choć jednocześnie wbijali mi do głowy, że wszystkim rządzi jedna zasada: *débrouillez-vous!*^[42] Czuwaj!

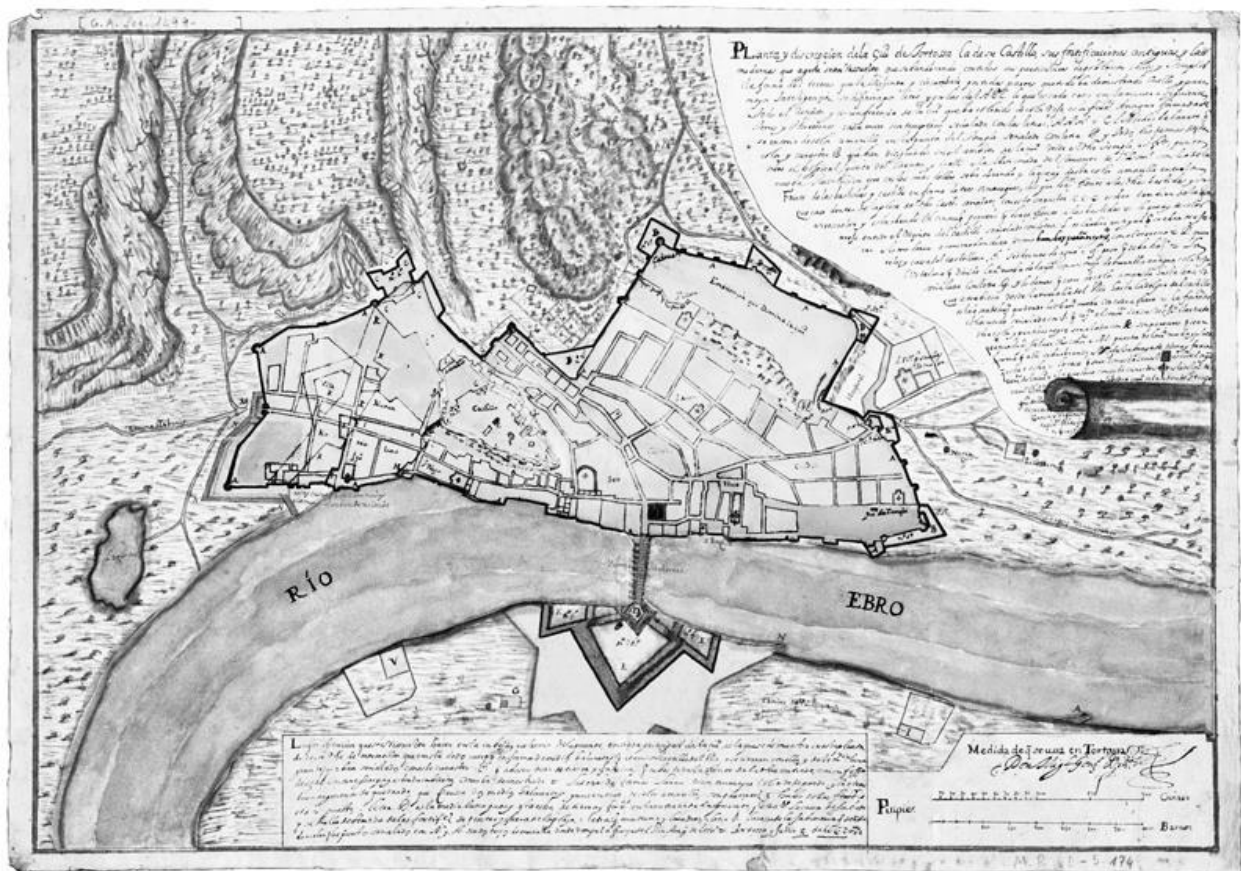
Wszelako nawet przyjąwszy zmienne koleje i ograniczenia wojny, Tortosa była zaprzeczeniem wszystkiego, czego nauczyłem się w Bazoches. Mogłoby to mieć nawet pewną wartość dydaktyczną jako ilustracja tego, czego nie powinno się robić podczas oblężenia. A podczas oblężenia za nieudolność płaci się krwią.

Oto przykład. Pierwszego, dokładnie pierwszego dnia moich studiów poliorcetycznych bracia Ducroix kazali mi wykuć na pamięć *Trzydzieści zasad ogólnych* Vaubana, stanowiących podstawy ataku na każdą fortecę. Chcecie wiedzieć, jak brzmiała pierwsza? Powiem wam.

Être toujours bien informé de la force des garnisons avant que de déterminer les attaques, czyli: zanim przystąpisz do ataku, rozeznaj dobrze siłę garnizonu.

No więc wszystkie nasze kalkulacje okazały się bezużyteczne. Orleańczyk wiedział, że murów Tortosy broniła załoga złożona z około czterech tysięcy pięciuset Anglików, Holendrów i Portugalczyków. Były to niedobitki wojsk spod Almansy. Lecz kiedy rozpoczął się bój, zdaliśmy sobie sprawę z tego, że siły Sprzymierzonych rosną, albowiem mieszkańcy wsparli ich z zapalem, jakim nawet sami żołnierze nie mogli się poszczycić. Około tysiąca pięciuset cywilów z lokalnej milicji dołączyło do regularnych oddziałów, a ludność pomagała im, jak mogła.

Kobiety opatrywały rany, dzieci taszczyły do bastionów konwie z wodą. Najbardziej zaskoczony byłem ja. Dlaczego nie pozamykali się w domach, żeby to wszystko przeczekać? Dlaczego prości chłopci, którzy mieli w nosie dynastyczne przepychanki, stanęli do nierównej walki, nie zważając na represje, jakie mogły na nich spaść w razie przegranej? Byłem ślepy jak kret, nie chciałem zrozumieć, że owa wojna będzie wojną końca świata. Przynajmniej dla Katalończyków.



W oczach inżyniera Tortosa była miastem wielce osobliwym. Od zawsze stanowiła teatr działań wojennych, dlatego w architekturze jej umocnień nakładały się na siebie wszelkie możliwe style, od arabskich murów po bastiony wzniesione wedle najnowszych wzorów. Obszar warowny rozciągał się po obu stronach rzeki Ebro, blisko ujścia. To pozwala zrozumieć jego wartość strategiczną. Samo miasto leżało na wschodnim brzegu, chronione potężnym bastionem. I było cholernie dobrze ufortyfikowane. Pracowali przy tym najlepsi inżynierowie z obozu proaustriackiego, przygotowując się do oblężenia, które po bitwie pod Almansą słusznie uznali za nieuniknione. Mury, bardzo strome, zostały w większości zmodernizowane. W niektórych sektorach zamykały je kościoły, które bez skrupułów przerobiono na prowizoryczne bastiony.

Nie dziwota, że Orleańczyk napotkał tak świetnie przygotowaną obronę.

Ten, kto miał Tortosę, kontrolował najważniejszą rzekę Katalonii i wszystkie drogi na południu kraju.

Dwudziestego lipca otworzyliśmy transzeję. Jak wyjaśniłem w pierwszych rozdziałach, „otwarcie transzei” jest założeniem fundamentów pod atak na twierdzę. Po wyznaczeniu celu uderzenia nie ma już odwrotu. Klęska oblężonych albo niesława oblegających.

O rozkazie dowiedziałem się dokładnie w przeddzień.

– A raport geologiczny, *monseigneur*? – zapytałem Ktosia.

– Raport? O jakim raporcie waść mówisz, mój drogi adiutancie?

Oddziały zajęły teren wokół murów, ale nie zbadał go żaden inżynier. Prawdę mówiąc, ci z brygady inżynierów byli takimi tępakami, że ledwo rozumieli, o czym do nich gadam. Z początku myślałem, że drą ze mnie łacha.

– Otworzymy transzeję bez geologicznego rozpoznania perymetru? – zapytałem.

– Z acana straszny pedant.

Zakomunikowano mi, że owo doniosłe wydarzenie nastąpi nazajutrz o ósmej wieczór. Złapałem się za głowę. Znow pobieglem w te pędy do Ktosia, błagać, żeby to przełożył.

– Słyszałem, panie, że jutro o ósmej wieczór otwieramy transzeję.

Siedział jak zwykle przed zwierciadłem i przymierzał jakąś żółtą perukę. Nie patrząc na mnie, odrzekł:

– I dobrześ słyszał, mój drogi adiutancie. Będziemy mogli kopać po ciemku przez całą noc.

– Tego bym nie rekomendował.

– A to czemu?

– Mamy czerwiec. O ósmej jest jeszcze jasno.

– Widzę, że z acana pesymista, żeby nie powiedzieć panikarz.

A z niego dureń, żeby nie powiedzieć rzeźnik! Zaraz zrozumiecie dlaczego.

Akt otwarcia transzei zawsze był operacją arcydelikatną, a zarazem uroczystą. Zwolowano tysiące żołnierzy, zamienionych w parobków, którzy pod osłoną ciemności ustawiali się wzdłuż rzędu wbitych wcześniej kołków, połączonych wysypaną wapnem linią. (Osobiście uczestniczyłem we wbijaniu palików, na czworakach, ledwo żywy ze strachu). Im bliżej twierdzy rozpoczynano budowę, tym krócej to trwało. Poza tym im mniejsza odległość od murów, tym łatwiej zostać odkrytym. Wojsko jeszcze nie może schować się w rowie z tej prostej przyczyny, że dopiero zaczyna kopać, więc transzeje otwierano przeważnie tuż poza zasięgiem armatniego strzału.

Każdy człowiek niósł kilof lub łopatę, a w pogotowiu czekały już tysiące wielkich wiklinowych koszy, zwanych faszyną. Na umówiony znak ów długi szereg w milczeniu przystępował do pracy. Żołnierz, ukryty za faszyną, czym

prędzej napełniał te wiklinowe kosze ziemią. W ten sposób w ciągu kilku minut powstawał prowizoryczny parapet, dający jaką taką osłonę.

Jednakże tylko bardzo zdyscyplinowany oddział – lub taki, który zaczynał kopać dość daleko, w bezpiecznej odległości – mógł działać niezauważony i bez większego ryzyka. Jak było do przewidzenia, wartownicy wroga dostrzegli nas, usłyszeli, a myślę, że nawet wywęszyli z powodu paczuli Ktosia. I stało się to, co się musiało stać.

Dziwnie jaskrawy i przytłaczający bywa kataloński zmierzch; umierający dzień wybucha na niebie oceanicznym błękitem i rdzawym bursztynem. Jeszcze widniał nad horyzontem pas purpurowego światła, gdy spadły na nas pierwsze kule.

Sprzymierzeni zgromadzili w Tortosie około pięćdziesięciu sztuk artylerii wszelkiego kalibru, które jęły natychmiast nas bombardować. Z dwóch tysięcy dwustu kopaczy zostało dwa tysiące stu, a zaraz potem dwa tysiące. W jakiejś relacji z tego oblężenia wyczytałem, że ową straszliwą noc opisać można jednym prześlicznym zdaniem: „Zagrały im do tańca działa oblężonych”. Mogliby historycy zachować słowo „taniec” dla opisu królewskiego wesela!

Nie można było tego zrobić gorzej. Wszystko, co wedle przewidywań Vaubana może pójść źle w oblężeniu, poszło źle. Inny przykład:

Ogólnie rzecz biorąc, artylerzyści są wielkimi miłośnikami wybuchów. Przy pierwszej lepszej okazji ładują proch i zaczynają strzelać, radując się jak dzieci. To właśnie wydarzyło się pod Tortosą. Jeszcze nie skończyliśmy pierwszej paraleli, a już się pojawili dowódcy naszych baterii i kazali ustawić do rana na pozycjach piętnaście armat i sześć moździerzy, w miejscach, których nie zdążyliśmy dotknąć kilofem. Problem w tym, że pierwszą równoległą buduje się na jakieś tysiąc lub tysiąc pięćset metrów od murów i z takiej odległości działa nawet ich nie drasną. Oczywiście, o ile są dobrze narychtowane i mają szansę trafić w kurtynę lub bastion. Zużyliśmy niezliczone cetnary prochu i amunicji. Wszystko na nic. Poszedłem na skargę do Ktosia; nawet nie zechciał mnie wysłuchać. Co go to obchodziło? Dowódca artylerii był wspaniałym hulaką, a żaden z nich nie płacił za proch z własnej kieszeni.

Podczas pogłębiania wykopu natknęliśmy się na ogromne głązy. Mogło się zdawać, że to wróg je tam umieścił, żeby nam przeszkodzić. Największe musieliśmy wysadzać. Ale wskutek eksplozji zniknęły całe sektory gotowej transzei, razem z parapetami z faszyny, które osłaniały nas przed ogniem nieprzyjaciela i które potem trzeba było odbudowywać. A moi przełożeni wyśmiali mnie, gdy spytałem o raport geologiczny!

Pod Tortosą mogłem się również przekonać o czymś, przed czym przestrzegał mnie Vauban we własnej osobie: o tym, że saperzy chleją na umór, a pijani pozwalają się wyrzynać w pień. Czoło miny przekopują oddziały złożone

z ośmiu, najwyżej dziesięciu ludzi. W wąskim gardle transzei, nawet po mistrzowsku wytyczonej, nie mieści się więcej. Wróg o tym wie i tam koncentruje siłę ognia.

Formacja saperów jest tą, która ponosi najwięcej strat. Choćby byli najsowiciej opłacani i zmieniali się co trzy, cztery godziny, nerwy odmawiają im posłuszeństwa. Żeby to jakoś znieść, piją bez opamiętania.

Młodemu inżynierowi takiemu jak ja Tortosa ukazała przepaść dzielącą lekcje od rzeczywistości. Na przykład pluteje. Kiedy patrzycie na ryciny przedstawiające oblężenie, na przedzie miny zawsze widać wózek, taką maszynę na dwóch kołach, zaopatrzoną w drewnianą tarczę. Za nią kryje się saper. No więc zapomnijcie o plutejach. Zapewniam was, że gamoń, który to narysował, w życiu nie oglądał oblężenia. Pamiętam tylko jedno, w którym użyto owego artefaktu, i to tylko dlatego, że tak kazał jakiś bałwan świeżo po akademii. Zaprawieni w bojach saperzy nienawidzą plutejów. Czemu? A temu, że oblężeni na ich widok wpadają w szal, bo dla nich to łeb wrażego smoka, i strzelają weń bez opamiętania.

Lecz ze wszystkich sprzeczności pomiędzy teorią a praktyką najbardziej być może zaskakujące jest coś, o czym nikt mi nie wspomniał w czasie całej mojej nauki: gromady ludzi, którzy samowolnie przenikają na pole bitwy.

W świecie Vaubana obie sfery, cywilna i wojskowa, istniały osobno, tworząc dwa zamknięte kręgi. Ostatnią rzeczą, jakiej bym się spodziewał, było to, że gdy transzeja szturmowa przeobrażała się w skomplikowaną pajęczynę korytarzy i ziemianek, stopniowo opanowywał ją cywilny żywioł. Kurwy, wędrowni kramarze, wszyscy. Krążyli po paralelach, jakby to były miejskie aleje, ulice i zaułki.

Oczywiście, w miarę jak zbliżaliśmy się do murów, a ogień oblężonych przybierał na sile, intruzów ubywało. Ale nawet w samej najbardziej narażonej na ostrzał awangardzie szwendały się dziesiątki indywiduów, które nie wiadomo po jakie лихо tam przylazły. Zwłaszcza księża. A wszyscy oferowali jakieś usługi. Kurwy – szybki seks pod ścianą rowu, rozkraczone, prezentując pod zadartą spódnicą nagi srom każdemu, kto przechodził; handlarze – przekąski dla urozmaicenia prostego żołnierskiego wikt. Do transzei schodzili ludzie wszelkiego fachu. Wprost nie sposób wszystkich wyliczyć. Szewcy, zawodowi gracze, cyrulicy, odwszawiacze, krawcy łąający odzienie, męskie dziwki, Cyganki, co tylko chcecie. Vauban, oczywista, nigdy by nie pozwolił na takie rozprzężenie. Ale Vauban miał autorytet. A Orleańczyk był coehoornowcem, który lekce sobie ważył solidne przygotowanie oblężenia. Sądzę, że zbudował tę transzeję jedynie po to, by jego krewniak miał czym się pochwalić w Wersalu.

Ja zaś odebrałem ważną lekcję, obserwując, jak ludzki żywioł pasożytuje na żywiole plutonicznym i bierze go we władanie. To tam, w transzei pod Tortosą poznałem dwie przerażające istoty, podobniejsze do stworów z innego świata niż

do ludzi.

Dzieciak miał sześć, najwyżej siedem lat. Nawet zwierzę nosiłoby godniejszy przydzwiek. Był bosy, miał podarte, zwisające w strzępach porcięta, z których wystawały gołe łydki, i koszulinę, niegdyś zapewne białą, a teraz wyszarzałą od popiołu i przygód. A włosy, o matko, te jego włosy! Tak się lepiły od brudu, że jasna czupryna sterczała w szorstkich, sztywnych kosmykach na kształt szczurzych ogonów. Chłopcu służył za giermka inny baśniowy stwór: karzełek ubrany w zniszczony strój wędrownego komedianta. Rysy twarzy miał ściągnięte, jakby cierpiał na mentalne zatwardzenie, co typowe dla takich pokurczy. Lecz owe mimowolne grymasy wskazywały też na jakąś wewnętrzną udrękę. A najdziwniejszy ze wszystkiego był wieńczący jego głowę lejek. Wielki, mosiężny, pękaty, ze sterczącą dumnie szyjką. Trudno by było orzec, czy to lejek wystawał z karzełka, czy karzełek z lejka. Chłopiec i karzełek byli tego samego wzrostu.

Na zawsze zapamiętam pierwsze słowa, jakie wyrzekłem do tamtego malca. Chwyciłem go za kołnierz koszuliny i zapytałem:

– Ej, ty! Gdzie twój ojciec?

Ojciec? Spojrzał na mnie, jakbym mówił po chińsku. W jego katalońskim było trochę naleciałości hiszpańskich i dużo francuskich. Karzełek preferował chrząkanie. Chłopiec nazywał się Anfán, karzełek – Nan. W imionach tych zawierały się biografie ich obu. Anfán to fonetyczny zapis słowa *enfant*, dziecko. Przynajmniej prolog jego życia rozegrał się w jakimś francuskim obozie wojskowym, gdzie na malca wołano po prostu *enfant*. Nan to po katalońsku „karzeł”. Co do tego, że Anfán był zabłąkanym sierotą, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Od dziesiątków lat Katalonia żyła w stanie wojny niemal permanentnej. Straciwszy rodziców, którzy pomarli z przyczyn naturalnych lub zginęli z ręki zabójcy, Anfán dołączył do dryfujących bez celu wyrzutków. A karzełek? Cóż, jego imię było zarazem streszczeniem i tajemnicą jego życia. Jak tu dotarł i skąd przyszedł? Nigdy się nie dowiemy. Nie był ani dość bystry, ani dość wymowny, by to opowiedzieć. Pewne jest tylko, że chłopiec darzył go miłością niesłychaną, zachłanną, niezachwianą. W czasie ich wypraw do transzei Anfán chronił go i osłaniał, a gdy pewnego razu stracił go z oczu w labiryncie korytarzy, omal nie wpadł w rozpacz. Nie spoczął, póki go nie odnalazł; kiedy wreszcie padli sobie w ramiona, obaj płakali ze szczęścia.

Pewnej nocy zaskoczyłem ich śpiących ufnie w służącym im za kryjówkę dole na tyłach pierwszej paraleli, przypominającym zejście do katakumb, gdzie składowano puste skrzynki po amunicji wielkie jak trumny. Dostrzegłem jakieś cienie, wszedłem. Byli tam. Leżeli na starej macie, w głębi jamy, wśród śmieci, pogrążeni we śnie, przytuleni do siebie, głusi na dobiegające z zewnątrz grzmoty wybuchów.

Anfán pochrapywał słodko, z ręką na piersi karzełka. Chciałem ich nastraszyć, ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymało: gołe nogi chłopca. Ostrożnie ująłem w dłonie jego drobną stópkę. Obejrzałem ją z uwagą, wywiczoną w sali sferycznej. Podeszwa tej stopy była niczym pokryta bliznami mapa, na której można było prześledzić bezlitosne koleiny jego krótkiego życia. Uległem sentymentom, co u inżyniera zawsze jest błędem. Nie chciałem się nad nimi rozczulać, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby im dokuczyć.

Jest w oddechu śpiącego dziecka jakaś przenajświętsza świętość, jakby natura próbowała nas przestrzec, że biada temu, kto ów sen zakłóci. Okryłem ich tylko płachtą cienkiego wojłoku, jakim ochrania się amunicję, i wyszedłem.

W tamtej fazie oblężenia jeszcze nie przekopaliśmy trzeciej paraleli. Większość cywilnych intruzów nie zapuszczała się poza pierwszą. Nawet najbardziej chciwy kramarz nie docierał do drugiej, na którą spadały mniej zabłąkane pociski i która była w zasięgu lżejszej broni.

Pewnego dnia znajdowałem się w wysuniętej części wykopu, robiąc wyliczenia za pomocą tablic i peryskopu^[43]. Ach tak, peryskop. Owa tuba z grubymi szklami, tak użyteczna przy obserwacji murów z dna transzei i z tego samego powodu zawsze narażona na ogień nieprzyjaciela. Najbezpieczniej jest wysunąć ją przez jakąś szparę na styku faszyn. Niestety, na murach Tortosy sterczał zwykle jakiś skurwysyn z lunetą, Holender, a może Portugalczyk, który potrafił wywęszyć każdy peryskop i niestrudzenie przeszukiwał wydłużającą się niepostrzeżenie linię transzei. Luneta kontra peryskop. Taka jest wojna pozycyjna. Pół życia strawiłem, walcząc po stronie peryskopu, a drugie pół – po stronie lunety. Jakiś oficer z twierdzy kazał wystrzelić we mnie z dwudziestki.

Bum! Walnęło dokładnie pomiędzy dwoma wielkimi koszami z wikliny, nad moją głową, i wszystko wokół wybuchło w pomarańczowym rozbłysku. Ocaliło mnie to, że przykucnąłem, by zanotować odległości na tablicy. Patrolujący okolicę saperzy odkopali mnie spod zwałów ziemi, desek i gruzu.

Jak ostatni niewdzięcznik odepchnąłem moich wybawców i w dodatku ich skrzyczałem. Peryskop, ów cenny peryskop, połamał się w drzazgi. To rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej. W końcu przywołał mnie do porządku jakiś stary żołnierz. Bez pardonu przerwał moje niestosowne wrzaski:

– Uspokój się, chłopcze. To cud, że żyjesz. Idź na tyły, łyknij sobie czegoś mocniejszego i niech cię opatrzą.

Poczciwina miał świętą rację, co jednak wcale nie poprawiło mi humoru. W podłym nastroju, z twarzą czarniejszą od sadzy ruszyłem w stronę taborów. I wtedy zobaczyłem tamtych dwóch, Anfana i Nana, przy robocie.

Na obwodzie transzei szturmowej znajduje się mnóstwo bocznych odnóg: składy amunicji i materiałów budowlanych, opuszczone lub ślepe korytarze, rowy

odwadniające, fałszywe rozgałęzienia dla zmylenia obserwatorów wroga, miejsca odpoczynku i magazyny prowiantów, przejścia wiodące na platformy dla dział. W jednej z takich nyz klęczał Anfán i ssał fujarę jakiemuś żołnierzowi.

Dlaczego tak mnie zgorszył ów pospolity akt nierzędu? Wiem tylko, że wydarłem się jak rozwścieczona małpa:

– Na galery cię pošlę, sprośny wieprzu!

Żołnierz musiał się porządnie wystraszyć na widok rozsierzonego dryblasza, utyłanego w czerwonym błocie i błyskającego białkami oczu w usmolonej twarzy, który rugał go w niewybrednych słowach. I wówczas za jego plecami zauważyłem karzelka. Kiedy mnie usłyszał, uciekł razem z chłopcem. I z pełnymi rękami.

– Głupcze! – odezwałem się do żołnierza. – Właśnie ci obrobili sakwę. Masz teraz za swoje.

Pobiegłem za Nanem i Anfanem. Nie dogoniłem ich, rzecz jasna.

Po otwarciu drugiej paraleli mózdzierze i armaty oblężców i oblężonych bombardowały się nawzajem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ci z Tortosy usiłowali uniemożliwić kopanie i zniszczyć nasze działa; my, z transzei, usiłowaliśmy zniszczyć ich artylerię i poczynić bresze w murach. Ostrzał z twierdzy był tak silny, że kule bębniły o faszynę jak grad. Niektóre odbijały się od krawędzi i trafiały naszych rykoszetem.

Z niezrozumiałych powodów lato na południu Katalonii bywa bardziej upalne niż w Andaluzji. Jeśli dodać do tego dziesiątki zalegających na zewnątrz transzei trupów, których nikt nie śmiał grzebać nawet po ciemku, to sami możecie sobie wyobrazić chmary latających nad nami dokuczliwych insektów. Cóż za wspaniałym wynalazkiem jest język znaków! My, inżynierowie, tylko tak się porozumiewaliśmy. A dlaczego? Ano dlatego, że gdy wyrzekłeś słowo dłuższe niż *oui*, do ust włąziło ci dwadzieścia much.

Co do Nana i Anfana, to ścigałem ich przez parę dni i nocy, na próżno. Byli nieuchwytni. Biegali jak sześcionogie jaszczurki i zawsze wiedzieli, którądy najlepiej uciec.

Postanowiłem, że spróbuję z nimi paktować. Pewnego razu wpadliśmy na siebie na prostym i wyjątkowo długim odcinku transzei, oni na jednym końcu, ja na drugim. Zanim zwiali, dałem im do zrozumienia, że nie mam zamiaru ich łapać. Położyłem na ziemi złożoną we czworo kartkę. Krzyknąłem z daleka, że to glejt, z którym będą mogli wejść do mojego namiotu. Jeśli przyjdą, dostaną łakocie. Potem oddaliłem się, żeby mogli podnieść ów „list”.

Nic z tego. Możliwe, że mi nie ufali, ale najprawdopodobniej zwyciężył w nich wrodzony instynkt. Narodzili się na to, by żyć jak okopowe szczury, kraść i uciekać.

Kilka dni później wreszcie wpadli w moje ręce. Los mi sprzyjał, gdyż natknąłem się na nich tuż za bardzo ostrym zakrętem i nie zdążyli prysnąć.

Karzelek zdołał mi się wyrwać, ale Anfana trzymałem mocno. Kiedy odchodziłem, niosąc go pod pachą, wrzeszczał i wierzgał nogami.

– Cicho! – powiedziałem. – Już ja dopilnuję, żeby nigdy więcej cię tu nie widziano.

Jakimś cudem się uwolnił. Ruszył biegiem, a Zuvi Długonogi za nim. Skoczyłem naprzód i chwyciłem go za stopę. Po chwili tarzaliśmy się obaj na dnie drugiej paraleli.

Kiedy tak się siłowaliśmy jak para dzieciaków, pojawił się nagle jakiś wielki facet. Już prawie mi się udało ujarzmić podrygującego Anfana, więc nie zwróciłem na tego kogoś szczególnej uwagi.

– Hej, ty! – szczechnął krótko. – Czy u was w wojsku już się nie salutuje przed generałem? – I wskazał palcem na szarfę, którą był przepasany. Na oko dobiegał pięćdziesiątki. Miał grube, mięsiste policzki. Leżałem na ziemi i z mojej robaczej perspektywy jego postać zaćmiewała słońce. Wstałem. Zapewniam was, że gdybym wiedział wtedy, jak ważny będzie ów człowiek w moim życiu, nie odpowiedziałbym mu w słowach tak lekkich.

– Przepraszam, generale, nie widziałem pana. A teraz proszę wybaczyć, ale muszę zaprowadzić porządek w transzei.

Obracałem się niemal wyłącznie wśród Francuzów i przyznaję, że przejąłem wiele z ich uprzedzeń. Pogardzali swoimi hiszpańskimi sojusznikami. Uważali ich za armię żebraków, zwykłą hałastrę, źle zorganizowaną i jeszcze gorzej dowodzoną. I mieli rację. Temu generałowi nie spodobało się, że go tak spostonowałem. Nie muszę mówić, że wobec Francuza zachowałbym się zgoła inaczej, i on o tym wiedział.

Kiedy już zbierałem się, żeby odejść w swoją stronę razem z Anfanem, którego mocno chwyciłem za kark, generał zatrzymał mnie stanowczym gestem. Przyłapał mnie na szamotaninie z płaczącym dzieckiem, które wrywało się i próbowało uciec. Cóż mógł pomyśleć? Spojrzałem mu w oczy i już wiedziałem. Chwycił mnie za koszulę i przygniótł do ściany! A potem wykrzyknął prosto w twarz:

– Znam ja takich jak ty! Lubisz pofiglować z sierotami w okopach, co?

– Ja??? – wysapałem, przyduszony wielkimi łapskami. – Przecież robię wszystko, żeby nie dopuścić do takich bezeceństw! Chyba jedyny w całym wojsku.

Na domiar złego Anfán uderzył w szloch niczym nieutulona w żalu wdowa. Prawdę mówiąc, udawał wręcz artystycznie, tak dobrze, iż swego czasu nawet ja bym się wzruszył. Dukał przez łyzy w tej swojej mieszaninie katalońskiego i francuskiego, okraszonej odrobiną hiszpańszczyzny, chociaż nie trzeba było znać języków, aby go zrozumieć. Bełkotał, że jestem satyrem, który wychynął z podziemnych czeluści, że zmusiłem go do ssania mojego ptaszka, i tak dalej. Padł na kolana i odegrał wielki finał, wznosząc oczy ku niebu, błagając

Wszchemogącego, by zmiłował się nad jego nieszczęsnym życiem, a po policzkach spływały mu dwie łzy, żłobiąc bruzdy na umorusanej buźce. Litość budziły nawet sterczące na wszystkie strony kosmyki jasnych włosów. Jako sześciolatek nawet sam Martí Zuviría nie był aż tak bezczelnym smarkaczem! Żachnąłem się, tego było już za wiele! Lecz hiszpański generał chwycił mnie za gardło z siłą rozwścieczonego byka.

– Milcz, świntuchu! Jak można być tak nikczemnym, żeby czerpać rozkosz z kalania niewinności? – wykrzyknął, a po jego minie poznałem, że już wydał na mnie wyrok. – O czym tu gadać? Słów mi brak.

Był tak postawny i barczysty, że w ciasnocie transzei zasłonił sobą święte idących za nim hiszpańskich adiutantów. Po chwili wszyscy rzucili się na mnie i zostałem aresztowany.

– Jeszcze dziś zawiśniesz na gałęzi – warknął, grożąc mi palcem.

Mówił poważnie, protesty i prośby nie miały sensu. Uratować mnie mogło jedynie wstawiennictwo francuskiego sztabu, ale widać było gołym okiem, że ów hiszpański oficer nie darzy sympatią Francuzów. Anfán był uszczęśliwiony z obrotu wydarzeń. Prowadziło mnie trzech osiłków, a on biegł za nami, grając mi na nosie i podskakując wokół mnie i moich strażników.

– Ale ubaw! – I szydził dalej, po katalońsku, żeby tamci nie zrozumieli. – Przecież sam chciałeś, żebym stąd wyszedł? Ten jeden raz cię posłucham. Chętnie popatrzę, jak cię będą wieszać, stary ośle! Za nic na świecie nie ominę takiego widowiska.

No cóż, może nastąpił cud, bo ktoś nagle krzyknął:

– Generale! Generale! Proszę spojrzeć! Tam w górze!

Rzeczywiście, nad Tortosą, patrząc na wprost, ujrzeliśmy, wśród rozbłysków regularnej strzelaniny, wybuchające wysoko race, jak na pokazie fajerwerków. Nie miały nic wspólnego ze zwykłą wymianą ognia. Czerwone i żółte obłoczki rozpryskiwały się na tle błękitnego letniego nieba i nieskalanej bieli chmur, tworząc przepiękny obraz w czterech kolorach. Szkoda, że okoliczności nie pozwalały mi go podziwiać.

– Czerwone i żółte race! Czerwone i żółte! – krzyczeli adiutanci w wielkiej ekscytacji. – To barwy Sprzymierzonych!

– Szybko, szybko! – zawołał generał. – Za mną!

I ruszył biegiem w stronę kwatery głównej. Miał ów typowy kastylijski głos, stworzony do wydawania rozkazów, tak stanowczy, że aż pozbawiony modulacji. Gdy ktoś taki jak on mówił „za mną”, to znaczyło „za mną”, i wszystko poza tym traciło znaczenie. Żołnierze, którzy mnie trzymali, nie zawahali się nawet przez chwilę. Natychmiast zapomnieli o moim istnieniu i puścili się pędem za dowódcą.

Zgodnie z szyfrem Sprzymierzonych czerwone i żółte rakiety były wołaniem o wsparcie dla operujących w okolicy oddziałów. Niewąski dylemat dla

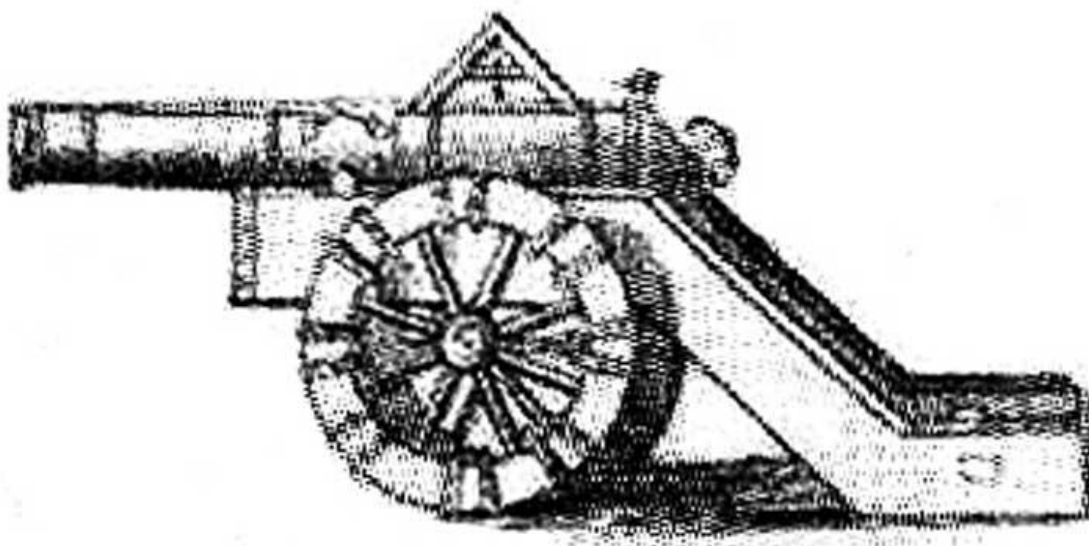
Orleańczyka! Race świadczyły o tym, że załoga Tortosy nie wytrzyma długo, lecz oznaczały także, iż posiłki stronników Austrii znajdowały się dostatecznie blisko, by dostrzec sygnały. Wóz, przewóz: albo zdejmie oblężenie i ruszy na spotkanie wroga, albo ruszy do szturmu „na rympał” („na Coehoorna”), chociaż jeszcze nie ukończyliśmy transzei. I w jednym, i w drugim przypadku góry przekopanej ziemi niczemu by nie służyły.

Tyle o tym, co się tyczy wyższej strategii wojennej. Co do moich prywatnych spraw, to błogosławiłem owe czerwone i żółte fajerwerki, z westchnieniem ulgi głębszym i głośniejszym niż oddech bawołu. Ugiąłem swoje długie nogi, wciąż jeszcze miękkie ze strachu, i osunąłem się na kolana. Obok mnie pojawił się Anfán. Znowu byliśmy sami.

– Połamię ci wszystkie gnaty! – ryknąłem.

A ty jak myślisz, moja kochana, szpetna Waltraud? Złapałem go? Tak czy nie?

No przecież, że nie. Łatwiej byłoby dopaść mysz przemykającą w zakamarkach katedry.



Szturm nie był już sprawą inżynierów, lecz piechoty. Wycofaliśmy się z tranzei, kiedy tysiące żołnierzy zajmowało pozycję do ataku.

Nie widziałem szturmu. Słyszałem go. Przydzielono mnie na tyły, na stanowisko przy jednym z wejść do drugiej paraleli. Najpierw zagrzmiała artyleria, o tej samej wieczornej godzinie, o której zaczęliśmy kopać tranzeję. Słyszeliśmy strzelaninę i szarżę piechoty, wdrapującej się na zbocze nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Opór był tak desperacki, że cywile zrzucali z murów nawet figury świętych. Cztery godziny zajęło Hiszpanom zdobycie jednego bastionu. Aż do drugiej w nocy nie przerywano ognia.

Jak można się było spodziewać, Orleańczyk zdecydował się na atak bezpośredni, bez względu na koszty. A wiedźcie, że ogromna większość rannych jęczała po hiszpańsku, nie po francusku. Wtedy o tym nie myślałem, ale gdy patrzę na wszystko z dystansu minionych lat, ciśnię mi się na usta grube przekleństwo. O co była ta wojna? Jakiś francuski książę chce zawładnąć tronem Hiszpanii, a hiszpańskie wojsko oddaje się pod jego rozkazy. Kiedy robi się naprawdę gorąco, francuscy generałowie posyłają hiszpańskie mięso armatnie do rzeźni. A Hiszpanie nie dość, że giną, to giną ochoczo. Nawet Turcy nie są tak głupi, by pakować się w podobną awanturę.

Na prośbę Sprzymierzonych obie strony zawarły rozejm. Orleańczyk podejrzewał, że był to tylko wybieg dla zyskania czasu, tak mu jednak spieszo było zająć Tortosę, że przystał na krótką zwłokę. Nic nie tracił. Wojska Sprzymierzonych były jeszcze daleko, a jeden bastion został już zdobyty. No więc w czasie owego rozejmu wydarzyło się coś, od czego dostałem gęziej skórki.

Usłyszeliśmy krzyki, zawodzenie kobiet. Była jeszcze ciemna noc, gdy z wnętrza murów uderzył w niebo zbiorowy lament, żałosna skarga, która przywozowała na myśl wersety Starego Testamentu. Później dowiedzieliśmy się, że ludność Tortosy wpadła w rozpacz na wieść, iż cudzoziemscy oficerowie postanowili się poddać.

To wymykało się mojemu rozumieniu. W czasie wojen dynastycznych ludzie szukali bezpiecznego schronienia, nie narażali swego życia w walce. Pamiętam, że powiedziałem sobie wtedy po raz pierwszy: „Zuvi, za długo nie było cię w domu; co tu się, u licha, dzieje?”

Szczyśliwie nie miałem zbyt dużo czasu na myślenie. Podszedł do mnie francuski oficer, łącznik z hiszpańskim dowództwem. Poleciał mi, bym poszedł do zdobytego bastionu i przekazał przednim oddziałom, że zostaną zluzowane. No cóż, zdawało mi się, że z radością przyjmą rozkaz wycofania się z tak niebezpiecznego miejsca. Dziwiło mnie tylko, że do rozmowy z generałem wybrali takiego smarkacza jak ja.

Oficer zlustrował mój pożałowania godny wygląd i powiedział:

– Obmyj się waść trochę i przywdziej jakiś porządny kubrak. I wyglansuj buty.

– Ale, panie pułkowniku – zaprotestowałem szczerze – czy tej szczęśliwej misji nie powinien się podjąć ktoś wyższy rangą?

– Och, poczytuj to sobie za zaszczyt, chłopcze – odparł, poklepując mnie po plecach.

Też mi zaszczyt! Zaraz wam opowiem, na czym ów „zaszczyt” polegał.

Wyszedłem dopiero kiedy zrobiło się widno, a słońce już zaczynało grzać żywych i rozkładać ciała martwych. Droga do bastionu zasłana była wzdętymi trupami. Gdy wspinałem się po pokrytym gruzami zboczu, spod moich butów podnosiły się chmury obsiadających zwłoki spasionych much, pękających jak uskrzydłone kasztany.

Na miejscu zastałem setki przyczajonych w ruinach żołnierzy, z gotowymi do strzału karabinami i bagnetami skierowanymi w stronę śmiertelnie cichego miasta. Generał, któremu miałem zakomunikować wiadomość, czatował w ukryciu wraz z innymi. Ten sam, który chciał mnie powiesić! Nie poznał mnie, Bogu dzięki.

– *Mon général!* – odezwałem się po francusku. – Wreszcie pana znalazłem.

I przekazałem mu rozkaz odwrotu. Nie zrozumiał ani słowa. Popatrzył na jednego z przybocznych i powiedział hiszpańszczyzną twardą jak głaz:

– A ten żabojad? Czego, do chuja, chce?

Natychmiast powtórzyłem wszystko, tym razem po kastylijsku, z reweransami i uśmiechem przeznaczonym dla zwycięzców:

– Rozkaz dowództwa, *mon général*: spełniście swój obowiązek chwalebnie i z honorem, a teraz zechciejcie się wycofać. Zluzują was francuskie bataliony, dopóki nie zostaną ustalone warunki przerwania działań wojennych.

Jego pogarda przeobraziła się w gniew. Łypnął na mnie spod oka, odwracając głowę.

– Że niby co mamy zrobić?

– My to załatwimy, panie generale! – zaofiarował się jakiś żołnierz, wywijając uzbrojonym w bagnet karabinem.

Wciąż uśmiechałem się dyplomatycznie, ale w duchu rzekłem sobie, że nigdy nie zrozumieję wojskowych.

O co im, u diabła, chodzi? Ponieśli ogromne straty. Ja przynoszę im dobrą nowinę, że mogą opuścić to straszne miejsce. A oni co? Grożą, że wyprują mi flaki bagnetem.

Generał rzucił się na mnie. Jego mięsiste policzki zapłonęły ciemną czerwienią. Chwycił mnie za kołnierz koszuli, odwrócił w stronę zasłanej trupami skarpy i powiedział:

– Patrz! Patrz na to! Myślisz, że ci chłopcy oddali życie za to, żeby przyszedł tu jakiś Francuz i zgarnął dla siebie całą chwałę? Naprawdę wierzysz, że pozwolę, by Sprzymierzeni wręczyli klucze do miasta jakiemuś pociotkowi księcia Orleanu?

Szarpnąłem się, a przeświadczenie o własnej niewinności dodało mi ducha. Może i był wielkim generałem, ale nie miał prawa mną poniewierać.

– Nie ja ich pozabijałem, nic mi do tego! – krzyknąłem. – Puszczaj, byczku! Ja jestem tylko posłańcem!

I faktycznie puścił. Spojrzał na mnie, podumał nad tym, jak postąpić z kimś, kto w taki sposób zwraca się do generała, po czym wrzasnął:

– Masz tu odpowiedź! Idź, zanieś ją temu, kto cię przysłał!

Tego, co zrobił potem, nie powinien oglądać żaden dziejopis, bo nie powinno znaleźć się na kartach kroniki tego oblężenia.

Dał mi takiego kopniaka w tyłek, że tylko cudem nie wystrzeliłem na orbitę. Przeleciałem nad skarpą i pokoziołkowałem po zboczu jak piłka, razem z kamieniami wszelkich rozmiarów i trupami, które w zderzeniu ze mną poruszały się, jakby na chwilę wracało im życie.

Do obozu dotarłem w podartym kubraku, oburzony, z tyłkiem piekącym od generalskiego buta, urazą w sercu i złością, która aż rozsadzała mnie od środka. Wpadłem na tamtego francuskiego oficerka.

– I co? Jak poszło? – zapytał ostrożnie.

Wówczas zrozumiałem, dlaczego posłano tam akurat mnie! Nikt inny nie miał odwagi, więc chcąc uniknąć afrenty, posłużyli się najostatniejszym ciurą.

– Jak poszło? – wybuchnąłem. – Można wiedzieć, skądęście wytrzasnęli tego hiszpańskiego trepa?

– No tak, cóż... – bąknął Francuz. – Generał Antonio de Villarroel ma trudny charakter.

Tak, proszę państwa, dobrze przeczytaliście: tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z don Antoniem, człowiekiem, który po latach wyciągnie poczciwego Zuviego z samego dna zatrutej egzystencji i wyniesie na szczyty zobojętnienia; człowiekiem, który będąc z pochodzenia Kastyljczykiem, podjął się w roku 1713 obrony stolicy Katalończyków – Barcelony – i ofiarnie stał przy nas aż do końca.

Moja kochana, szpetna Waltraud, która waży więcej niż kotwica galeonu, ciągle mi przerywa. Nie może zrozumieć, dlaczego w 1708 don Antonio Villarroel służył burbońskiemu królowi, a w 1713 spotykamy go znowu, lecz tym razem po przeciwnej stronie, w służbie króla austriackiego.

No więc posłuchaj, moje ty brzydactwo: już wiem, że mózdzek masz mniejszy niż larwa robaczka świętojańskiego, trudno, ale czy nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że to jest książka i aby ją zrozumieć, trzeba przeczytać wszystkie rozdziały po kolei, aż do końca?

Jakimż cudownym lekarstwem bywa kopniak w tyłek! Tak naprawdę powinienem był podziękować owemu szalonemu generałowi.

Co ja tam w ogóle robiłem? Począwszy od dnia, w którym musiałem odejść z Bazoches, poddałem się pewnego rodzaju życiowej inercji. Świetnie, mam już to swoje obłężenie, przed samym nosem. I co? Czy odgadłem Słowo? Tamto Słowo? Nie.

Ów kopniak w tyłek odesłał mnie prosto do domu. Przepraszę ojca. Na kolanach, jeśli będzie trzeba. Opowiem mu wszystko. Wybacz mi, bo chociaż ma trudny charakter, jestem jego jedynym synem. Rzekłem sobie, że nawet zły ojciec nie może być gorszy od najlepszego obłężenia. Do diaska z wojną, z wierzgającymi generałami i wszystkimi Ktosiami świata!

Żwawym krokiem ruszyłem do mojego namiotu. Gotów byłem zerwać z tym raz na zawsze; spakuję tylko to, co niezbędne, i wyniosę się stąd do Barcelony. Całe wojsko śledziło przebieg rokowań w sprawie warunków kapitulacji, nadszedł zatem doskonały moment, żeby wziąć dupę w troki i oddalić się w przeciwnym kierunku.

Aby podkreślić elitarny status naszej brygady, namioty inżynierów otoczono lichym płótem, oddzielającym ich od pospolitych żołnierzy. Pośrodku pysznił się namiot Ktosia, górujący baniastą kopułą nad rozstawionymi wokół kwaterami oficerów, a nieco na uboczu, pod wspólnym dachem, sypiali prości adiutanci tacy jak ja. Ogrodzony plac patrolowały zwykle trzy pary wartowników, ale owego dnia, w obliczu rychłego końca obłężenia, służbę pełnił tylko jeden młodziutki żołnierz, drepczący tam i z powrotem, z karabinem na ramieniu. Zasalutował mi, lecz ja minąłem go bez słowa i poszedłem prosto do namiotu.

Czegoś takiego się nie spodziewałem. Ktoś rozbebeszył moje rzeczy. Zniknęły wszystkie pieniądze: to, co zaoszczędziłem w Bazoches i cały mój francuski żołd. Sami rozumiecie, że wybiegłem dwakroć tak wściekły jak wówczas, gdy wchodziłem. Tego już było za wiele.

– Żołnierzu! – wrzasnąłem na owego nieszczęsnego chłopca. – Gdzie masz oczy? Okradli mnie!

Wartownik nie namyślał się długo.

– Przykro mi, panie – powiedział. – To na pewno tamci dwaj.

– Dwaj? Jacy dwaj?

– Karzeł z lejkiem na głowie i brudny dzieciak z warkoczykami.

Aż jęknąłem.

– Dlaczegoś ich wpuścił? Nie przyszło ci na myśl, że wyglądają cokolwiek podejrzanie?

– Pozwoliłem im wejść, panie, bo pokazali glejt! – tłumaczył się żołnierz. – Nie umiem czytać, ale pomógł mi jakiś oficer, który właśnie przechodził. Powiedział, że wszystko w porządku. Były tam ich imiona i pański własnoręczny

podpis.

Saperskim butem kopnąłem w palik ogrodzenia. Dzieciństwo! Czas niewinności! Przed napisaniem swoich traktatów pedagogicznych mój dobry przyjaciel Rousseau powinien był zapoznać się z Anfanem. To nie dziecko, to potwór w miniaturze!

Działali zgodnie z perfekcyjnie opracowaną strategią. Z użyciem otrzymanego przeze mnie glejtu poczekali aż do ostatniego dnia oblężenia, gdy oczy wszystkich spoglądały na Tortosę, a obóz był praktycznie opustoszały. To poddało mi pewną myśl. Wstrzymałem atak na palik i spytałem wartownika:

– Dawno tu byli?

– Nie. Odeszli przed chwilą. Jeszcze parę minut temu ich widziałem. Tam – powiedział, wskazując na teren za obozem.

Popędziłem w tamtą stronę. Przebiegłem cały plac, aż za ostatnie namioty. Dalej ciągnęły się spieczone słońcem pola; pejzaż urozmaicały tylko pojedyncze krzaki. Widziałem ich obu jak na dłoni. Truchtali, unosząc łupy, bardziej obładowani niż jukatańskie mrówki.

W transzei mieli do dyspozycji tysiące kryjówek i zakamarków, żeby się przede mną schować, ale na gołym polu nie mogli się mierzyć z Długonogim Zuvim. Rzuciłem się w pogoń i dzielący nas dystans szybko zaczął się zmniejszać.

Widząc, że ich ścigam, przyspieszyli, mimo że każdy z nich dźwigał wór większy od siebie. Dotarli na wierzchołek niewielkiego pagórka i zniknęli na przeciwległym zboczu.

Dobiegłem tam po paru minutach, lecz gdy stanąłem na szczycie, nie dostrzegłem nikogo. Niech to szlag! Gdzie się podziali? Zrobiłem sobie przerwę na złapanie oddechu.

Rozejrzałem się po okolicy. Może ukryli się w jakimś dole? Nie, ani widu, ani słyhu. „No, Zuvi, pomyśl – rzekłem sobie, pilnie przeszukując wzrokiem krajobraz. – Kto cię uczył patrzeć? Pan na Bazoches we własnej osobie”.

Pięćdziesiąt metrów na prawo ode mnie: opuszczona chatynka, jeden z owych kamiennych szałasów, w jakich chłopci trzymają narzędzia i bydło. Nigdzie indziej nie mogli się schować.

Zanim wszedłem do środka, okrążyłem szepę, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś dziury, przez którą mogliby uciec. Nie, okna były za małe nawet dla nich. Dopiero wtedy podszedłem do drzwi i zawołałem:

– Wychodzić, ale już! Wiem, że tam jesteście!

Ku memu zaskoczeniu, drzwi otwarły się natychmiast. Za nimi stał francuski żołnierz.

Był to doskonały okaz rozbastwionej soldateski. Zwisające luźno lederwerki, mundur tak brudny, że jego pierwotna biel pozostała jedynie odległym wspomnieniem. Wzrok miał mętny jak pijak nagle wyrwany z drzemki. Leniwie

wsparty o framugę, czyścił sobie zęby nożem. Zapytał, czego chcę. Co tam się działo? Odsunąłem go i przestąpiłem próg. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do panującego wewnątrz mroku, zastygłem z otwartymi ustami.

Przywiązali karzełka do słupa. Usta miał zatkane słomą i przewiązane jakąś szmatą. Na sfatygowanym krześle siedział Anfán, z pętami na rękach i nogach. Czarny kaptur zakrywał mu głowę i ciało aż do pasa. Żołnierz miał współnika, który właśnie zaciskał mocniej węzły na krępującym chłopca sznurze. Nawet muchy stamtąd zwiwały. Nan przemówił do mnie spojrzeniem pełnym niewyobrażalnego strachu. Przypadek zawiódł go w miejsce przerażające, jedno z tych maleńkich piekieł, które wojna stwarza tak, jak ciemne kąty rodzą pajęczyny.

W pierwszym odruchu chciałem zabrać swoje rzeczy i prysnąć. Ta para zepsutych odmieńców budziła we mnie zrozumiałą odrazę, a żyliśmy w czasach powszechnej samowoli i rozlewu krwi. Im szybciej stąd pójdę, tym lepiej.

Było jednak coś – drobny szczegół, dostrzeżony przypadkiem – co wzburzyło mnie do żywego. Chcecie wiedzieć, cóż to za błahostka? Kropla. Kropla potu, spływająca po prawym policzku jednego z tamtych łajdaków. Ta kropelka była sumą i odbiciem sprośnej chuci, duszy przegniłej na wskroś. Jego w pół otwarte usta, oczy wpatrzone w krzesło, na którym rozpaczliwie miotał się Anfán. Jak u wszystkich padlinożerców, każdy ząb sterczał mu osobno, co napawało mnie tym większym wstrętem. Czasami do czynu popychają nas pozorne drobnostki. A ja miałem zły dzień i ktoś musiał za to zapłacić.

Z powały zwisał dość gruby, zardzewiały łańcuch. Podniosłem z ziemi spory kamień, włożyłem go sobie pod pachę, a wolną ręką chwyciłem za łańcuch. Podeszedłem do tego, który otworzył mi drzwi, i poprosiłem:

– Możesz potrzymać na chwilę ten kamul?

– Dobra – powiedział; schował nóż i wyciągnął do mnie łapska. – A do czego ci potrzebny?

Odpowiedź była prosta: żeby łajdak miał zajęte ręce, kiedy waliłem go łańcuchem w gębę. Upadł na wznak. Ten drugi nie miał nawet odwagi wstać. Widząc, że zamierzam się nań łańcuchem, skulił się i zasłonił głowę. Łąłem go, póki dychał. Miałem dość Tortosy, wojny, świata całego. W pośpiechu rozciąłem nożem pęta krępujące tamtych dwóch gagatków, zgarnąłem swój dobytek i wyszedłem.

Anfán i karzełek podreptali za mną:

– *Monseigneur, monseigneur!*

Moja wrogość gdzieś wyparowała. Odzyskałem pieniądze i zrabowane rzeczy, a wszak nie uchodzi wszczynać awantury z kimś, komu właśnie się uratowało życie. Co nie znaczy, że dbałem o ich los. Nie zatrzymując się, rzuciłem z sarkazmem:

– Wracajcie do transzei. W końcu może macie rację: takie czasy nastały, że będziecie bezpieczniejsi tam niż gdziekolwiek indziej.

Krążyli wokół mnie jak motyle.

– Precz stąd! – opędzałem się od nich. – Powinienem was powiesić za kradzież. Na wasze szczęście spieszy mi się do Barcelony.

Lecz na dźwięk słowa „Barcelona” wpadli w jeszcze większe podniecenie.

– *Monseigneur!* – wykrzyknął Anfán. – My też chcemy do Barcelony! Już od dawna oszczędzamy na tę podróż.

Oszczędzają! Co powiedziałyby mój ojciec na tę ich „pracę”? Już miałem im dać kuksańca na pożegnanie, gdy usłyszałem parskanie koni.

To był pluton kawalerii. Niedaleko. Tyły wojsk oblegających Tortosę były osłaniane przez konne patrole, które eskortowały dostawców paszy, udaremniały ataki miqueletów i wyłapywały dezertorów. Mogłem się z nimi dogadać, ale zbyt już przywykłem do roli uciekiniera. W pierwszym odruchu pobiegłem w stronę pobliskiego zagajnika, wystarczająco gęstego, by nie mogli tam wjechać.

– Stój, *monseigneur!* – zawołał Anfán. – Nie zdążysz pan dobiec! Chodź, panie, z nami!

I dali nura w opuszczoną winnicę. Chłopiec machał do mnie ręką.

– Biegiem! Szybciej! Biegiem!

Winorośl sięgała mi niewiele powyżej kolan. Na tak odsłoniętym terenie kawalerzyści dopadną nas bez trudu. Tych dwóch oszalało! I wiecie co? Pognałem za nimi.

Patrol był tuż-tuż. Biegliśmy desperacko, ja z dwoma workami na plecach, zlany potem. Przeklinałem własną bezmyślność. Lecz gdy konie dotarły na skraj winnicy, stanęły w miejscu, jakby powstrzymane niewidzialną siłą. Jeźdźcy nawet nie próbowali ich popędzać.

Anfán zachichotał, bardzo z siebie dumny.

– Konie nienawidzą winnic. W latoroślach łamią sobie nogi.

Zniechęceni żołnierze wystrzelili za nami kilka razy. Zanim zdążyli objechać wokoło rozległy teren, my już zniknęliśmy w lesie, wobec czego zaniechali pościgu.

– Uratowaliśmy cię, *monseigneur*. Jesteś nam coś za to winien – powiedział Anfán, kiedy wreszcie mogliśmy odsapnąć w leśnym gąszczu.

Roześmiałem się.

– Rzekłbym raczej, że to ja wybawiłem was z opresji. Macie u mnie większy dług.

– Zawrzyjmy umowę! – zaproponował malec. – My skombinujemy transport, a ty, panie, zabierzesz nas do Barcelony.

– Transport? Jaki transport? – spytałem zaciekawiony. Moja eskapada była tak nagła i nieprzemyślana, że nawet nie zastanawiałem się, jak dotrę na miejsce.

– Chodźmy!

Poprowadzili mnie do ukrytej ścieżki, która gubiła się w gęstniejących z każdym krokiem zaroślach.

– Tutaj – powiedział Anfán i wskazał wąskie przejście między drzewami.

Stał tam wóz zaprzęzony w dwa konie, wbity niemal w zwartą ścianę lasu. Na koźle siedział woźnica. Martwy.

Tysiące miqueletów nękało tabory oblegającego Tortosę burbońskiego wojska. Musiała się tu odbyć jakaś niewielka potyczka, w trakcie której woźnica na oślep rzucił się do ucieczki. Pośrodku pleców opiętych w biały mundur ział duży otwór po kuli, z brzegami poczerniałymi od zaschniętej krwi. Ranny widocznie ostatkiem sił próbował zjechać z drogi i utknął w zaroślach.

Z opuszczoną na piersi głową zdawał się spać głęboko. Pociągnąłem go za ramię i bez ceregieli zrzuciłem na ziemię. Konie uradowały się na widok żywych ludzi. Zapewne dlatego tak posłusznie wykonały trudny manewr cofnięcia wozu i zawrócenia go na trakt.

– Jedziemy do Barcelony? – ucieszył się Anfán.

Cóż za oczy miał ten dzieciak! Bardziej głodne niż jego kiszki. Obejrzałem konie. Jednemu kula utkwiała w prawym pośladku, drugiemu ogień spalił pół grzywy. Trudno, wystarczy, że wytrzymają te sto pięćdziesiąt kilometrów dzielących mnie od Barcelony. Wskoczyłem na furmankę. Zobaczyłem stertę worków. Otworzyłem pierwszy z brzegu. Suchary. Rzuciłem dwa Nanowi i Anfanowi, którzy pożarli je w mgnieniu oka, choć były większe niż dysk greckiego atlety. Znalazłem wszystkiego po trochu. Kiedy próbowałem rozwiązać cylindryczny toból półmetrowej długości, wyslizgnął mi się z rąk, a zawartość wypadła mi pod nogi.

Kule, ołowiane kule. Deszcz drobnych kulek rozsypał się na dnie furmanki. Nan i Anfán zwariowali z radości. Jakże maleńka jest kula, owa miniaturowa sfera, pozornie tak niewinna. A przecież celnie nakierowana, zabija po równi szeregowców i generałów, królów i żebraków. Anfán o tym nie myślał. Razem z karzełkiem zaczęli się bawić. Nadal był dzieckiem, wirtuozem sztuki przetrwania, jeśli wolicie, ale w końcu – tylko dzieckiem. Przypatrywałem im się, stojąc na furmance, i mimo woli odczuwałem cień nostalgii.

Po raz pierwszy, po dwudziestu dniach od otwarcia transzei, otaczała mnie prawdziwa cisza. Dwadzieścia dni i nocy znosiłem huk armat i podstępny dźwięk kilofów. A teraz wokół mnie jedynie las, powietrze wolne od dymu artylerii i piskliwych trąbek, świergot ptaków. I dziecko, i karzełek z lejkiem na głowie, grający w kulki ulubionymi narzędziami śmierci. Tak, dzieciństwo było i będzie stanem dywersji.

Kiedy oni się bawili, ja zbałem pozostały ładunek. W rogu leżały dwa koce, które coś przykrywały. Kiedy je ściągnąłem, zobaczyłem ciężki kufer, rozmiarów więcej niż słusznych, zamknięty na trzy kłódki. Wstrzymałem oddech.

Wiedziałem, co te kłódki oznaczają.

Podczas oblężenia sypiał w naszym namiocie pisarz wojskowy. Zwykły osioł, z tych, co to mają się za lepszych od reszty, bo poufała się ze starszymi rangą. Nie miał szlifów, więc nie mógł mieszkać z oficerami, ale godność nie pozwalała mu pospolitować się z żołnierstwem. Dlatego upchnęli go u nas. Gęba mu się nie zamykała. Wracałem skonany harówką w transzei, rzucałem się na pryczę, a ten dalejże nawijać, ple, ple, ple. Czy miałem służbę w dzień, czy w nocy, nieważne, zawsze już na mnie czatował Pisarz Męczydusza, jak go między sobą nazywaliśmy. Problem w tym, że pracował tylko jeden dzień w tygodniu, toteż resztę czasu spędzał na zbieraniu plotek i zanudzaniu swoich ofiar.

No więc ów namolny pisarz pokazał mi kiedyś z dumą klucz do jednej ze skrzyń, w których trzymano wojskowe fundusze. Opowiadał mi, że każdy kufer z gotowizną zaopatrzone był w trzy kłódki. Jeden klucz miał pisarz, drugi generał-kapitan, a ostatni – inspektor generalny. Dzięki swej funkcji Pisarz Męczydusza mógł poznać te tak ważne osoby, czym chełpił się przy każdej okazji. A teraz sami powiedzcie: jaki inny kufer, przewożony pod eskortą żołnierzy, mógł być zamknięty na trzy kłódki?

Nie miałem co prawda trzech kluczy, ale wcale mi nie były potrzebne. Na furmance znalazłem młotek i łom, więc łatwo wyłamałem zamki. Gdy uniosłem pokrywę, ukazały się dziesiątki pękatych woreczków, ułożonych w dwóch warstwach. Każdy woreczek zaplombowany był lakową pieczęcią z burbońską lilią. Rozerwałem jeden z nich. Rzygnął monetami. Jak nic, żołd całego regimentu. Matko Boska!

Natknęliście się kiedyś na bezpański skarb? To jest jak miłość od pierwszego wejrzenia. Serce bije szybciej, drżą palce, ogarnia cię szczęście i trwoga. I nieprzeparta chęć, by uciec razem z nim.

Głośno zatrzasnąłem wieko, wystraszony znaleziskiem. Nan i Anfán dalej grali w kulki.

– Ej, chłopcy! – zawołałem z uśmiechem bardziej fałszywym niż judaszowe srebrniki. – Idźcie przeszukać kieszenie woźnicy.

To był prostacki podstęp, ale chciałem odwrócić ich uwagę. Kiedy się zorientowali, ja już poganiałem konie i zacząłem się oddalać. Na próżno biegli za wozem.

– *Monseigneur, monseigneur!* – krzyczał Anfán. – Nie zostawiaj nas, błagam. Zabierz nas do Barcelony!

Obejrzałem się i zdążyłem jeszcze dostrzec jego główkę z rozwianymi kosmykami jasnych włosów. Wciąż biegł i krzyczał.

A teraz bardzo mi przykro, ale muszę przerwać opowieść, bo ta głupia Waltraud chlipie, smarka i oskarża mnie o bezdusność.

Kto by pomyślał, żeś taka wrażliwa. Jeszcze nie widzisz, jakie z nich

gagatki? Anfán to złodziejski pomiot. Miałem z nim dzielić podróż i skarb?

No dobra, na pociechę powiem ci, że ściągnąłem lejce i zatrzymałem furmankę. Prawdę mówiąc, trochę mnie gryzło sumienie. W końcu to dzięki tym dwóm zdobyłem i transport, i skarb. Widząc, że stoję, Nan i Anfán przyspieszyli biegu, bo odżyła w nich nadzieja. Kiedy zbliżyli się na kilka metrów, rzuciłem im kilka monet.

– To dla was! Kupcie sobie chleba i wina. Wypijcie za moje zdrowie.

I ruszyłem z kopyta.

W gruncie rzeczy zawsze miałem miękkie serce.

Kiedy mój wóz oddalał się od Tortosy z największą szybkością, na jaką stać było poranione konie, zrozumiałem, w jak bardzo ryzykownej sytuacji się znalazłem. Wszędzie krążyły patrole Sprzymierzonych i Dwóch Koron, ścierając się w przypadkowych potyczkach. W rzeczywistości jednak zwaśnione wojska stanowiły dla mnie najmniejszy problem. Południe Katalonii było krainą spustoszoną przez wojnę, rojącą się od szabrowników, bandytów, dezertersów sześciu czy siedmiu różnych narodowości i, co najgorsze – moich ulubionych miqueletów. Byłem sam; do obrony miałem tylko pistolet, a za jedyną kompanię łakomy kasek w postaci wypchanego monetami kufra. Rzadko kiedy tak radował mnie zachód słońca. Po prawej stronie dojrzałem miedzę biegnącą przez zdziczałe pole. Może mógłbym spędzić noc ukryty w bruzdzie? Brak żniw sprawił, że źdźbła wybujały wręcz niewiarygodnie. Łan kończył się przy starym rowie nawadniającym. Nie mogło być lepiej: wysokie łądygi osłonią mnie w ciemności. I będę miał wodę dla siebie i dla koni, które uwolniłem z jarzma zaprzęgu.

Jeszcze nie skończyłem przygotowań do snu, gdy pojawił się ów człowiek.

Szedł miedzą, otulony obszernym czarnym płaszczem. W tym stroju i w trójgraniastym kapeluszu naciśniętym aż na brwi zdawał się płynąć wśród zboża. Skoczyłem żywo po broń, którą zostawiłem na wozie. Co on tutaj robi, tak daleko od ludzi i tak blisko wojny? Wziąłem go na muszkę.

– Pokaż ręce! Ktoś ty?

Nie zatrzymując się, odpowiedział:

– *Pau*.

Nie byłem pewien, czy to prezentacja, czy deklaracja. (*Pau* po katalońsku znaczy „pokój”, ale także „Paweł”). Wciąż mając się na baczności, zadałem mu pytanie równie dwuznaczne jak podstępne:

– Spadłeś waszec z konia?

Uśmiechnął się, lecz szedł dalej. Rozsunął płaszcz, by pokazać, że nie ma broni. Szerokie rękawy koszuli zsunęły się, gdy podnosił do góry ręce. Tego, co wówczas zobaczyłem, moja kochana, szpetna Waltraud, nie było mi dane ujrzeć nigdy więcej: dziesięć Punktów, jeden za drugim, wytatuowane na jego prawym

przedramieniu. Dziesiąty pysznił się prawie w samym zgięciu łokcia.

Skóra, ozdobiona owym niezmywalnym tuszem, była o wiele starsza niż można by sądzić po wyglądzie i zachowaniu nieznanego, mężczyzny dojrzałego, lecz w pełni sił fizycznych i władz umysłowych. Dziesięć Punktów! Inżynier doskonały, ideał maganona. Wciąż z tym samym obojętnym uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy, stanął przede mną i zapytał zdawkowo:

– A waszeć?

– Ja jestem do pańskich usług – odparłem.

Podciągnąłem prawy rękaw i pokazałem swoje pięć Punktów.

Podszedł bliżej i powiedział:

– Skąd waść idziesz?

– Z Tortosy.

– A dokąd?

– Do Barcelony.

– Dlaczego?

– Bo tam jest mój ojciec i dom mego ojca.

– Jesteś tego pewien?

– Tak.

– Na tym świecie nie ma nic pewnego.

Bardziej to przypominało przesłuchanie niż dialog, ale żaden Punktowany nigdy nie wypytuje tych, którzy w hierarchii stoją odeń wyżej, ci zaś muszą wiedzieć wszystko o podwładnym. Jeżeli mają coś do powiedzenia, powiedzą. Nie odrywałem oczu od jego przedramienia, od dziesiątego Punktu. Odszedł na bok, by zlustrować moje małe obozowisko: furmankę, rów, łąn wysokiego zboża otaczający nas roślinnym murem.

Dziesięć Punktów, bez najmniejszej wątpliwości. Powiedzieć, że patrzył, to mało; słuchał. Rzeczy, owady, krajobraz, nawet przejrzyste powietrze – wszystko to do niego przemawiało, otwierało się przed nim, skwapliwie powierzając mu swoje sekrety. Po chwili podniósł rękę, jakby chciał uciszyć grającą orkiestrę. Obejrzał wóz i zapytał:

– Co waść wiesz?

– Nic – skłamałem.

– Otóż to – powiedział.

Było gorąco. Zdjął płaszcz i podwinął rękawy koszuli. Znów zachłannie wbiłem wzrok w jego przedramię.

Świat inżynierii, przepojony duchem praktyki, będący absolutnym przeciwieństwem sfery symbolicznej, czynił tu na jej rzecz maleńkie ustępstwo. Albowiem ów zaszczytny dziesiąty Punkt mniejszy był od poprzednich, a choć otaczał go misterny gwiazdzisty wzór, wyróżniający go spośród innych, rzecz można, iż doskonałość w naszym fachu nagradzano punktem bardzo podobnym do

pierwszego: zwykłym kółkiem.

– Kto jest właściwie mistrzem? – zapytał nieznajomy.

– Był nim Sébastien Le Prestre Vauban. Już nie żyje.

– Dobry inżynier, tak, bardzo dobry – szepnął z szacunkiem. – Żyje w tobie.

Pamiętaj waść o tym.

– Niestety – dodałem gwoli jasności – ten piąty Punkt nie jest mój. Nie umiałem znaleźć właściwego słowa.

– Szukaj zatem dalej.

– Rzuciłem to – odparłem. – A nawet gdyby, to kto go zatwierdzi? Vauban zmarł, a ja nie znam innego mistrza i prawdę mówiąc, nie chcę znać. Mam dość.

Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu.

– Wszyscy tak mówią. Dopóki któregoś dnia nie dotkniesz nieba końcami palców. Wtedy raczej dasz się zabić, byle nie cofnąć dłoni sięgającej chwały.

Mimo respektu, jaki we mnie budził, nie mogłem ukryć rozbawienia. Dostrzegł to, a jego ton stał się tak władczy, że poskromiłby nawet króla. Podniósł głos.

– Jeżeli potrzebujesz mistrza, znajdziesz go. Z punktami albo bez. Nie wolno ci się uchylać od poszukiwań tamtego Słowa, a gdy je znajdziesz, dowiesz się, że warte jest piątego Punktu.

Chciałem coś odrzec. Nie umiałem dobrać odpowiednich słów, by wyrazić się ze stosownym szacunkiem, a poza tym to on dyktował, kiedy ma się zacząć i skończyć ów dialog.

– Rozpostrzyj koc – powiedział.

Wykonałem polecenie.

– Połóż się. Zamknij oczy. Zaśnij.

Nim usłyszałem „śnij”, już zapadłem w sen.

Chętnie dodałbym tu opis tego, co mi się śniło tamtej nocy, i na pewno byłoby to ciekawe. Niestety, odeszło w zapomnienie. Pozostał jedynie ulotny ślad w mojej pamięci. Na wpół zatarty obraz nagiej panny o fiołkowej skórze i kruczoczarnym łonie, a wokół niej pejzaż w barwach ognia. Całymi tygodniami próbowałem przypomnieć sobie każdy szczegół. Dziewczyna patrzyła na mnie najsmutniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałem. Nagle opadły ją legiony białych chrząszczy, otaczały ją zewsząd, obłaziły jej stopy aż po kostki. Błagała mnie o pomoc. Ale wszystko roztopiało się i zlewało, zanim oniryczny sens owej wizji zaczął się układać w całość. Czuję, że muszę go odnaleźć, przemyślałem nad nim setki razy.

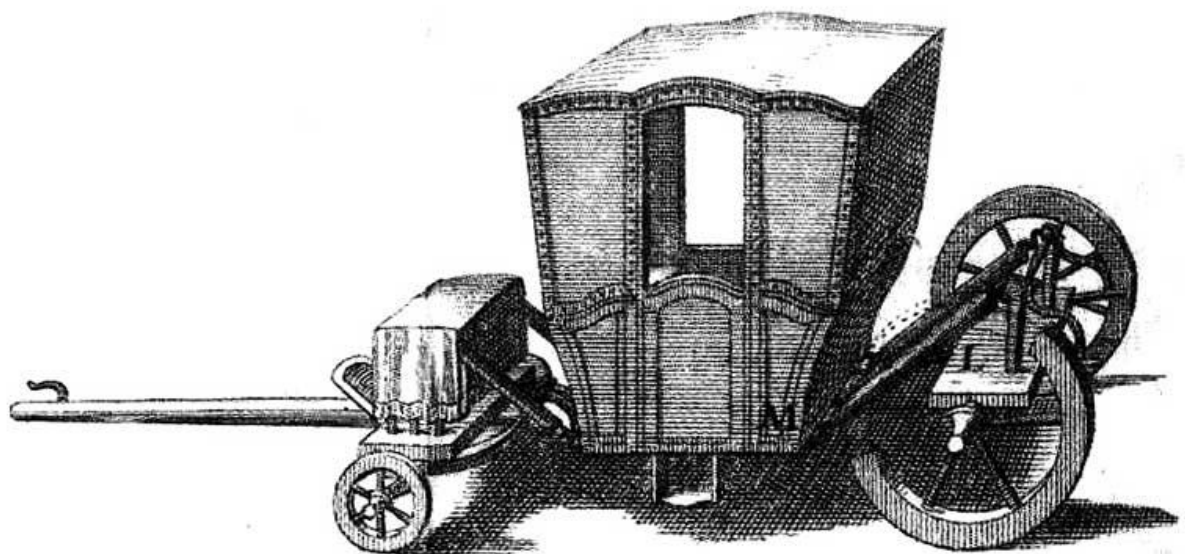
Na nieszczęście w tamtych dniach zbyt wiele działo się na jawie. Sen wymykał mi się jak ryba złowiona na przynętę bez haczyka. Było to bardzo frustrujące.

Nazajutrz wskoczyłem na furmankę i ruszyłem w drogę do Barcelony.

Nawet nie sprawdziłem, czy kufer wciąż jest na swoim miejscu. Ktoś, kto ma dziesięć Punktów, nie zawracałby sobie głowy takimi drobiazgami.

Teraz, gdy minęło osiem dekad, osiemdziesiąt okrążeń wokół Słońca, sądzę, że wiem, kim był ów przedwieczorny człowiek. Poczekajcie, niech wezmę oddech.

To nie był człowiek. To był Mystère we własnej osobie, przechadzający się po świecie z obojętnością pszczelarza, który dogląda brzęczących uli. Zauważył interesującą pszczołę, więc zatrzymał się i obserwował ją przez chwilę.



Przez cały ranek furmanka i ja podążaliśmy drogą oskrzydloną lesistymi górami. W południe znalazłem to, czego szukałem – schronienie i ratunek.

Z prawej strony otwierała się niewielka równina. I tam dostrzegłem stację pocztową. Mieściła się w długim, prostokątnym, skleconym byle jak budynku z adobe, krytym trzciniową strzechą. Przed wejściem jakiś staruszek kopał dół, żeby pogrzebać zdechłego muła. Zatrzymałem się, zeskoczyłem z wozu i podszedłem.

Postanowiłem udawać skromnego kupca, który chce dołączyć do cywilnego konwoju. Staruszek był prawie głuchy.

– Szukasz ochrony? – wrzasnął, przykładając do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń. – Słyszę, słyszę. Chłopcy siedzą w środku. Ci, którzy eskortują podróżnych. Im więcej ich się zbierze, tym taniej wyjdzie. Dobrzy są, potrafią się dogadać z żołnierzami z tej i z tamtej strony!

– Dostanę coś do picia? – zapytałem, podając mu parę monet. – Suszy mnie.

– Wejdz, częstuj się, ale w tym skwarze wino się zagrzało – odparł, wskazując na drzwi. – Jak mi pomożesz zakopać muła, będziesz mógł pić za darmo, ile dusza zapagnie. Przyjeżdżają tu – zrzędził – i już na pierwszym postoju zwierzęta im padają z wyczerpania. I co mam z nimi zrobić? Może ty mi powiesz. No?

A niech to, jeszcze tego brakowało, żebym w tej chwili grzebał zdechłe muły. Nawet nie siląc się na wymówkę, pchnąłem drzwi.

Wewnątrz ukazała się mym oczom scena jak z ostatniej wieczery. Za stołem, przekrzykując się i pijąc, siedziało dwunastu krewkich gości, urzniętych jak bele. Połowa z nich była odwrócona do mnie plecami, a światło padało tak, że nie mogłem dostrzec twarzy pozostałych. Z początku nie zwracałem na nich większej uwagi, oni na mnie też.

Ruszyłem w stronę szynkwasu zbudowanego z beczek nakrytych szerokimi deskami. Na słupie wisiał przytwierdzony łańcuchem dzban. Pociągnąłem kilka łyków kiepskiego wina, w którym pływały źdźbła trawy. Nagle dobiegł mnie z tyłu czyjś głos:

– Ej, przyjacielu, chodź do nas! Nasza gorzałka lepsza niż ten ocet.

Pasowało mi wejść z nimi w komitywę, usiadłem więc na wolnym miejscu, mając sześciu chłopów naprzeciwko i po trzech z każdej strony. Dopiero wtedy się im przyjrzałem.

Blizny. Kolczyki. Brody, którymi można by polerować granit. Wory pod oczami i spojrzenia wypatrujące miejsca, w które najłatwiej wbić ci sztylet, prosto w grdykę czy trochę wyżej. I to ma być ta eskorta sformowana przez poczciwych kmieci z sąsiedztwa? Najniewinniejszy z nich musiał uniknąć stryczka co najmniej pięć razy. A dokładnie twarzą w twarz ze mną mój stary znajomy – Ballester.

Zbielałem chyba bardziej niż ugotowany szparag. Ballester łypnął na mnie z nagłym błyskiem zapiekłej nienawiści. Wyrzekł tylko cztery słowa:

– *El botifler de Beceit*^[44].

Moja kochana, szpetna Waltraud już zapomniała, kto to taki. A pojawił się ledwie dwa, trzy rozdziały temu! Mówię o tym młodym fanatyku, o tym schwytanym przez burbończyków miquelecie, tym chłystku niewiele układniejszym od bydłęcia, który chętnie by się na mnie wysmarkał, a potem wytarł nos moimi uszami.

Słowa Ballestera położyły kres pijatyce. Dwunastu apostołów prostactwa jednocześnie odwróciło głowy w moją stronę. A ja zaniemówiłem. W normalnych warunkach wyćwiczone w Bazoches zmysły ostrzegłyby mnie o jego obecności w tym domu już przed wejściem. Jednakże decyzja o zerwaniu z inżynierią oraz ślepa chęć zdobycia ochrony uczyniły ze mnie pospolitego kreta. Poczulem wstyd, większy nawet od strachu.

Ballester wyciągnął wielki majcher – wielki i ostry, bardzo ostry – ten sam zapewne, którym poderznął gardło hiszpańskiemu kapitanowi w Beceite. Rzuciłem się do ucieczki, lecz nim dobiegłem do drzwi, czworo ramion zmusiło mnie, bym padł na kolana. Za moimi plecami stanął Ballester. W chwili, gdy czubkiem noża wodził mi po szyi, szukając tętnicy, wrzasnąłem:

– Czeka! Mam coś dla was!

Jeżeli kiedyś znajdziecie się w podobnej sytuacji, posłuchajcie dobrej rady: nie traćcie czasu na głupstwa i nie żałujcie wielkich słów.

– Skarb! – krzyknąłem głosem zdławionym przez lęk i ostrze kłujące moją skórę. – Tutaj! Blisko!

Wyszliśmy wszyscy – całą trzynastką – ja z głową zadartą w niebo, bo nóż nadal wbijał mi się w szyję. Staruszek wciąż jeszcze kopał dół dla muła. Po policzkach ciekły mi łzy.

– Ułatw nam sprawę – powiedział Ballester – i gadaj szybko, a będziesz mógł wybrać, jaką śmiercią umrzesz.

– Tam, na furmance! – odparłem, wskazując palcem. – Na pewno wam się spodoba. Przysięgam na Chrystusa, że mówię prawdę!

Trzech ludzi Ballestera wskoczyło na wóz. Staruszek machał łopata i mamrotał bez sensu pod nosem, zajęty tylko swoim mułem, głuchy i ślepy na wszystko.

Znaleźli ukrytą pod derkami skrzynię.

– Pięćset karabinów! – wykrzyknął któryś, uszczęśliwiony, rzucając Ballesterowi garść monet. – Kupimy za to pięćset karabinów!

– Ukradłem to burbońskim świniom! – zawołałem, próbując skorzystać na tej radości. – Jestem patriotą! Precz z Filipkiem i jego dziadkiem!

Kiedy oni delektowali się ową spadłą z nieba fortuną, wymyśliłem historyjkę

nie z tej ziemi. Jestem szpiegiem Generalitat, sabotażystą, który tępi burbońską zarazę i całym sercem stoi przy Austriakach. Napaść na mnie byłaby strasznym błędem, a nawet zbrodnią. Powierzono mi tajną misję przedarcia się z tym ładunkiem do Barcelony, gdzie czekają na mnie katalońscy ministrowie. Zażądałem od Ballestera eskorty i przyobiecałem sowitą zapłatę. W odpowiedzi powalił mnie jednym ciosem.

– Powiesić go – rozkazał.

Jęczałem i zawodziłem na cały głos. Szlochałem, szlochałem i skamlałem, wyrwałem się tym, którzy mnie trzymali, i padłem Ballesterowi do stóp. Cała moja rodzina zginęła, mówiłem, tylko ja się ostałem przy życiu, jedyny syn mego świętej pamięci ojca, szczerego patrioty, człowieka ubogiego, prawego i wielkiej dobroci.

Błaganie kata o litość wydaje się czymś zgoła daremnym. W takim razie dlaczego ludzkość od zarania ucieka się do owych upokarzających praktyk? Powiem wam: bo to działa.

– Panie! – błagałem. – Pamiętaj, że w Beceite uniknąłeś stryczka tylko dzięki memu wstawiennictwu! To dzięki mnie przełożono egzekucję, a twoi ludzie mogli cię odbić. I tak mi odpłacasz! Temu, który dał ci życie, ty śmierć chcesz zadać!

Ballester splunął mi przed nosem, którym ryłem w ziemi.

– A niech tam, dzięki twojej skrzyni mam dziś szczęśliwy dzień – powiedział. – Precz stąd. Nie będę sobie brudził rąk.

Jego mowa była twarda i ostra, do dziś pamiętam ciskane jak kamienie słowa:

– *Fot el camp, gos.* (Wynocha, psie).

Zdarli ze mnie odzienie, choć nie było wiele warte. Myślę, że dla miqueletów obnażanie ułaskawionych jeńców było aktem symbolicznym. Ściągnęli mi nawet gacie, uwalane błotem i gównem po dwudziestu dniach w transzei. Instynktownie zasłoniłem dłońmi genitalia. Odwróciłem się na pięcie i uciekłem z gołym tyłkiem, ścigany rechotem moich prześladowców.

– Ej, ty! – krzyknął Ballester, kiedy byłem już daleko. – Umiesz waść pisać? – zapytał z nieoczekiwaną uprzejmością.

Stałem, wciąż zasłaniając podbrzusze, odwróciłem się i wydyszałem:

– Tak, pewnie, że tak. W kilku językach.

Gestem ręki przywołał mnie do siebie. Co miałem robić? Zawróciłem. Kazał swoim ludziom wyrwać deskę z mojej furmanki. Wręczył mi ją razem z jakimś gwoździem i powiedział:

– Wyskrob tutaj: JESTEM PSEM I BOTIFLEREM. Po hiszpańsku i po francusku.

– Można wiedzieć – szepnąłem, z trudem przełykając ślinę – po co ten napis?

– Bo zmieniłem zdanie – odparł ugrzecznionym tonem. – Ponieważ umiesz

pisać, zawiśniesz, i chcę, żeby wszyscy wiedzieli, dlaczego. Deskę uwiążemy ci na piersi tym samym sznurem, który zaciśnię pętlę na twojej szyi.

Gwóźdź i deska wysunęły mi się z rąk. Błagałem, skamlałem, lałem rześiste łzy, znowu padłem na kolana. Ballester, wzdychając, spoglądał w niebo, jakby nad czymś dumał. Myślałem, że się wzruszył, ale on powiedział:

– Znasz łacinę? To dopisz też po łacinie.

Ryłem w desce, pochlipując i prosząc o litość, a miqueleci pękali ze śmiechu.

– Hop, do góry! – zawołali wesoło, kiedy skończyłem.

Związali mi ręce na plecach i chwycili pod pachy. Największym drzewem w okolicy był samotny figowiec. Ktoś zawiesił mi deskę na szyi. Obląkany staruszek zaczął krzyczeć na nas z dna niedokończonego dołu:

– Tylu chłopca i żaden nie pomoże biednemu dziadkowi!

Jeden z miqueletów próbował przerzucić sznur przez gałąź, ale był tak pijany, że za każdym razem odbijał się od pnia i padał na twarz. Kupa śmiechu.

– Wiecie, jak głęboko trzeba kopać, żeby muł się zmieścił? – nie dawał za wygraną staruszek. – Od rana tyram na słońcu, a taki skwar. Parszywa robota!

Zabić mogą cię tylko raz, a los przeznaczył na moich katów jakichś pijanych partaczy. Wreszcie przerzucili sznur przez najwyższą i najgrubszą gałąź figowca. Założyli mi pętlę na szyję i dwóch drabów, bez dalszych ceregieli, szarpnęło za drugi koniec.

– Wiem, że dobre z was chłopaki! Nie żałujecie mi grosza, a biedaków przeprawiacie przez góry za darmo. Ale ja też jestem biedny, stary i zmęczony, a ten muł o wiele za tłusty!

Podjechałem parę metrów do góry. Pętla się zacisnęła, język wyszedł mi na wierzch. Człowiek nie wie, że ma taki długi język, dopóki nie zawiśnie. Twarz czerwienieje, bo krew nie odpływa z głowy przez zduszone sznurem żyły. Zsikalem się. Spomiędzy nagich ud wytrysnęła paraboliczna strużka. Radość zapanowała tak wielka, że niektórzy tarzali się ze śmiechu po trawie.

Wszyscy byli kompletnie pijani i zapomnieli, jak zdradliwe bywają figowce. Ich gałęzie są bardzo łamliwe, więc kiedy znalazłem się na samej górze, konar pękł z suchym trzaskiem. Jeszcze głośniej trzasnęły pode mną patyki, zeschłe liście i moje własne kości, kiedy grzmotnąłem o ziemię.

Śmiali się tak, że słyhać ich było aż w Tortosie. A potem po prostu odwrócili się i poszli. Tacy już byli ci miqueleci.

– *Figa tova! Figa tova!* – pokrzykiwali rozbawieni, odjeżdżając konno razem z moim wozem, rzecz jasna, oraz kufrem z wyplątą.

(Ta *Figa tova* jest nieprzetłumaczalna. Po katalońsku *figa* to „figa”, a *tova* to „miękką”, lecz oba te słowa razem są obelgą i znaczą tyle, co „safandula” albo „ciamajda”, taka jak, nie przymierzając, ty, moja pulchniutka mądralo).

– Ej, wałkoniu! – zawołał przygłuchy staruszek. – Zamiast się wylegiwać pod drzewem, lepiej byś mi pomógł.



Vidi

No cóż, przyjmijmy, że mój powrót w domowe pielesze był nieco mniej chlubny niż powrót Ulissea. Najgodniejszym przyodziewkiem, jaki udało mi się zdobyć, były zebracze łachy. I tak to przybyłem do Barcelony po czterech długich latach. Obdarty, pokonany, zawstydzony własną nędzą. I co najgorsze ze wszystkiego: z niezasłużonym piątym Punktem wyklutym na przedramieniu.

Lecz zapomnijmy na chwilę o tragedii Zuviego zwanego Długonogim. Wracalem do rodzinnego miasta, do mojej Barcelony. Do jej gwaru, zapachów i zaułków. Do portu, do swawoli. Miasto zdawało się utkane z moich wspomnień, bardziej odległe niż obraz znanej mi tylko z cudzych opowieści matki. W głowie kołatały mi się jedynie dalekie echa dzieciństwa (nie zapominajcie, że opuściłem dom jako mały chłopiec), a moje zmysły wyostrzyła nauka w Bazoches. Wszystko więc było dla mnie na swój sposób nowe, gdyż upływ czasu i umiejętność patrzenia ukazywały mi pejzaż widziany okiem cudzoziemca.

Teraz powinienem przystąpić do rozwlekłego opisu Barcelony z początku wieku. Byłoby to bardzo nudne, a ponieważ mam mapę z tego okresu, po prostu ją tu załączę i gotowe.



Na tej ilustracji nie widać murów obronnych. Bardzo stosownie do okoliczności, wzięwszy pod uwagę stan mojego ducha, gdyż ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem w owej chwili, było wracanie myślami do inżynierii. I do Bazoches, do Jeanne, do Vaubana mówiącego „Nie nadajesz się acan”. Do Słowa.

Jak widzicie, miasto przecinała szeroka aleja – Las Ramblas. Zabudowa miejska skupiała się głównie po prawej stronie owej drogi, po lewej zaś rozciągały się sady i ogrody, bardzo przydatne w razie oblężenia.

Opuściłem Barcelonę jako dziecko, a wróciłem jako mężczyzna. Przegrany, ale mężczyzna. I zapamiętajcie sobie to, co wam teraz głośno mówię: nie widziałem bardziej frywolnego portu ani miasta zamieszkanego przez tylu cudzoziemców. Nawet w Ameryce! Przyjeżdżali, zostawali, roztapiali się w tłumie. W dniu, w którym postanawiali osiedlić się na stałe, nadawali swym imionom i nazwiskom brzmienie katalońskie, dla niepoznaki, tak że nikt już nie wiedział, czy kolebką ich była Italia, Francja czy Kastylia, a może inne, bardziej egzotyczne kraje. Przeważnie, w odróżnieniu od kastylijskiej obsesji na punkcie czystości krwi, wolnej od arabszczyzny i żydostwa, Katalończyków guzik obchodziło, skąd pochodzi sąsiad. Jeżeli przybysz miał pieniądze, był miły i nie obnosił się ze swoją religią, nikt go bez powodu nie szykanował. Owo pasywnie życzliwe nastawienie sprawiało, że ludzie ci przechodzili zupełną metamorfozę w czasie krótszym niż życie jednego pokolenia. Przykładem mój własny ojciec.

Dzięki katolickiemu dziedzictwu jeden na dwa dni w kalendarzu był dniem świątecznym. (Papiestwo musi mieć jakieś zalety, skoro zachęciło do siebie tylu wyznawców na całym świecie). Do tego dodać należy dziesiątki uroczystości i obchodów organizowanych z najróżniejszych okazji: a to król wyzdrowiał, a to jakiegoś ślepego pijaczynie ukazała się święta Eulalia. Ale nie dajcie się zwieść. Katalończycy uwielbiali zabawy, bo wiedzieli, że lenistwo to świetny interes.

Obfitość świąt oznaczała kolosalne wydatki. Barcelońskie festyny i karnawały cieszyły się wielką sławą. Karnawały! Kastylijscy arystokraci, zawsze tacy świątobliwi, wracali z naszego miasta wielce zgorszeni. Na ulicach biedni i bogaci, mężczyźni i kobiety pospołu tańczący do białego rana, przemieszani w tłumie. Skandal. Dla szlachcica z Kastylii istniał tylko jeden kolor: surowa czerń. Kiedy byłem w Madrycie w 1710, zaskoczył mnie pogrzebowy szyk tamtejszych patrycjuszów. W Barcelonie – odwrotnie. Sprowadzano ponad trzysta rodzajów tkanin; im więcej ktoś miał pieniędzy, tym barwniejszy nosił strój. I ruszał do tańca.

W porcie kwitł handel wszelkimi towarami. Samego imbiru mogłeś znaleźć z tuzin różnych odmian. Kiedy byłem mały, ojciec sprawił mi raz tęgie lanie, bo wróciłem z targu z ryżem innym niż ten, który zamówił. A można się było pomylić: musiałem wybierać spośród czterdziestu trzech gatunków po przystępnej cenie.

W niewielu miejscach widziałem też liczniejszych palaczy tytoniu, a jego odmian było chyba jeszcze więcej niż gatunków ryżu. Z racji zdrowotnych właściwości tego zioła zwyczaj kopcenia tak się rozpowszechnił, że biskup musiał wydać dekret zabraniający księżom palenia w czasie nabożeństw!

W Barcelonie sprzed roku 1714 odnosiło się wrażenie, że w mieście króluje libertyński chaos i rozpasana tolerancja. Ludzie zarzynali się pracą i bawili do upadłego. Przy czym Generalitat zazwyczaj nie wtrącała się do obywatelskich

swawoli. Dam wam jeden przykład: „rzut kamieniem”.

Granica pomiędzy ludową zabawą a zbiorową przemocą zawsze była cieńsza niż włos. W czasach dzieciństwa mego ojca „rzut kamieniem” stanowił ulubioną rozrywkę barcelońskich żaków. W największym skrócie: była to bitwa dwóch drużyn, z których każda liczyła przynajmniej setkę towarzyszy. Zbierali się na jakimś pustym placu, jedni naprzeciw drugim, i na umówiony znak zaczęli obrzucać się kamieniami. Raz za razem, a jak się trafiło kogoś w głowę, tym lepiej. Zapytacie być może o zasady owej szlachetnej gry. Odpowiedź jest prosta: żadnych zasad. Zwyciężali ci, którym udało się przegonić rywali. Rzecz oczywista, że kończyło się na dziesiątkach rannych, okaleczonych na całe życie, a nawet zabitych.

Największe płaksy spośród księży piętnowały brutalność owych zabaw. Skoro już musicie się bić, to może chociaż zastąpić kamienie pomarańczami? Wobec tych nacisków brać studencka przyjęła postawę typową dla Katalończyków: zgodzić się i robić swoje. Rzeczywiście rzucano pomarańczami. Dopóki się nie skończyły. Kościół mógł sobie prawić kazania do woli, bo „rzut kamieniem” był rozrywką przyciągającą liczną publiczność, stawiającą niemałe pieniądze na swoich ulubieńców. Poza tym znacie chyba psotną naturę żaków, którzy nader często na widok zgromadzonej gawiedzi zwierali szeregi i miast atakować się nawzajem, bombardowali lekkomyślnych gapiów, pękając przy tym ze śmiechu.

Czasami na pole bitwy wybierali okolice uniwersytetu. Obie strony bratały się wtedy w spontanicznym przymierzu, pozostawiając uczelniane gmachy w opłakanym stanie, na zewnątrz i w środku. Wykłady zawieszano, bo trzeba było naprawić szkody, a działo się to zwykle – słuchajcie, słuchajcie, cóż za zbieg okoliczności! – tuż przed sesją. Nie dziw, że ojciec mój wysłał mnie do Francji: rosłem jak na drożdżach i lubiłem wtykać palce między drzwi, nie wątpił zatem, iż stanę w pierwszym szeregu kamieniarzy, po tej lub po tamtej stronie, i skończę kiedyś z rozbitym łbem. Tak czy inaczej, za czasów mojego dzieciństwa tradycja „rzutu kamieniem” z wolna chyliła się ku upadkowi. Jednego wszelako jestem pewien: Chrystus mógł ocalić świętą jawnogrzesznicę przed kamienowaniem tylko dlatego, że w Judei nie było barcelońskich żaków.

A skoro o kurwach mowa, to jedną z wad Barcelony owych czasów – co świadczy o niezgłębionej perfidii czarnych aksamitników (biskupów, nazywanych tak przez pospólstwo z powodu koloru sutanny) – był surowy zakaz burdeli. Nawet gościńce i tawerny objęto specjalnym nadzorem, żeby wyłapywać wszystkie niewiasty podejrzanego konduity. Myślę, że to przesadne polowanie na owe pocziwe dziewczki było ustępstwem czynionym na rzecz czarnych aksamitników przez aksamitników czerwonych (tak z kolei lud mawiał na włodarzy naszego miasta, którzy nosili szkarłatne aksamitne togi). Jako że możni i bogaci niewiele sobie robili z kazań ganiących hazard i zbytek, władze dały Kościołowi satysfakcję,

przyzwalając na gnębienie ubogich, bezbronnych kurew.

Nie znaczy to, że ich nie było. Były, oczywiście, że były! W miastach, w których są burdele, dziewczki siedzą w zamknięciu i stamtąd nie wychodzą; w miastach bez burdela panoszą się wszędzie i o każdej porze. Po upadku starożytnej profesji rajfurki, kandydatki do zawodu wynajdują tysiące zakamarków, w których po kryjomu uprawiają nierząd.

Skończyłem na tym, jak włóczyłem się po ulicach, zbierając się na odwagę, by pójść do rodzinnego domu, gdy nagle posłyszałem bicie bębnow. Stłoczony na Ramblach tłum padł na kolana.

Więści o upadku Tortosy dotarły do miasta szybciej niż ja. W chwilach takich jak ta lud wyprowadzał w procesji swoją największą relikwię – sztandar świętej Eulalii. Pozwólcie, że dodam tu od siebie kilka słów, ponieważ owa najświętsza chorągiew barcelończyków w pełni na to zasługuje.

Jako godło nie przedstawiała sobą nic nadzwyczajnego. Owszem, różniła się bardzo od współczesnych emblematów. Na wielkiej, prostokątnej płachcie jedwabiu widniała postać młodziutkiej dziewczeczki o ciele fiołkowej barwy i smutnym spojrzeniu. Było coś niepoprawnie pogańskiego w owym wizerunku. Największe wrażenie robiła czająca się w oczach melancholia.

Tradycja nakazywała, by królowie Katalonii osobiście przekazywali ową chorągiew w ręce pierworodnego następcy. Mawiano, że wojsko, które ją dzierży, nigdy nie dozna klęski. (Brednie wierutne, w naszej historii na każde zwycięstwo przypada dziesięć tęgich łań). W każdym razie pewne jest, że sztandar świętej Eulalii otaczany był kultem nie tylko przez żołnierzy. Gdy go niesiono, barcelończycy przyklękali i żegnali się, błagając swoją patronkę o błogosławieństwo i opiekę. A jeśli pozwolicie mi wyrazić własną myśl, powiem wam, że cześć owa niewiele miała wspólnego z religią. Albowiem Eulalia była więcej niż świętą – była podobizną samego miasta.

Nie klęknąłem. Nie przez bezbożność, ale dlatego, że owa panna o fiołkowej skórze przypominała mi dziewczynę ze snu, w którym pogrążył mnie Mystère. Sztandar sunął ponad tłumem w łoskocie bębnow, obwieszczających żalobę po upadku Tortosy, a kiedy mnie mijał, poczułem, że oczy świętej Eulalii jakby mnie o coś pytają.

Martí Zuviría rzecz jasna nie gadał do chorągwi, lecz wrażenie, iż spotkałem istotę z innego świata, tak rzeczywistą, jakbyśmy znali się od lat, było tak żywe, że stanąłem jak wryty z otwartą gębą. Teraz pewnie ciekawi jesteście, nie mniej niż ta nudziara Waltraud, czego ode mnie chciała fiołkowa panna. Otóż powiem wam: nie potrzebowała słów, jak każda dziewczyna, która prosi o obronę.

Ponieważ wszyscy wokół mnie klęczeli, a ja stałem, widoczny byłem z daleka. Ktoś zawołał mnie po imieniu. Peret. Stary Peret, o którym chyba już wam opowiadałem, ów sentymentalny wykolejeniec, co zastępował mi matkę.

Poznał mnie od razu i gdy święta Eulalia się oddaliła, rzucił mi się na szyję, zalewając się łzami. Próbowałem go uspokoić, lecz jego odpowiedź poraziła mnie niczym grom:

– Nad tobą płaczę. Nie dostałeś moich listów?

Nie, nie dostałem. Tyle się działo w moim życiu, że poczta zaginęła na rozstajach dróg. Peret nie trzymał mnie dłużej w niepewności:

– Twój czcigodny ojciec zmarł.

I widząc moje niedowierzanie, moją rozpacz, powiadomił mnie, że odtąd jestem kimś innym. Z człowieka względnie majątnego stałem się nędzarzem. Nie mieszkalem już we własnym domu, nie mieszkalem nigdzie. Nie byłem już synem barcelońskiego kupca – byłem sierotą. Ojciec mój odszedł nagle. Na krótko przedtem ożenił się z jakąś neapolitańską wdową, poznaną zapewne podczas jednej z handlowych podróży. Po jego śmierci bez najmniejszych skrępowań sprowadziła swoje dzieci i wszyscy razem urządzili się w moim domu. W jej domu, ściślej mówiąc.

W ciągu następnych dni moje osłupienie przerodziło się w gniew. Zagroziłem uzurpatorom, że będę się z nimi procesował do końca świata. Cóż, mniej więcej tak właśnie było: przez kolejne lata wszystko, co udało mi się zarobić, wydałem na najlepszego adwokata w mieście, niejakiego Rafaela Casanovę. W sądzie spisywał się doprawdy znakomicie. Minęło osiemdziesiąt lat, a ja wciąż czekam na wyrok.

Gdyby szarże kawalerii były równie szybkie, na świecie żyłoby za dużo ludzi.



Przygarnął mnie stary, wierny Peret do swojej nory w pobliżu portu. Za drzwiami trzy schodki wiodły w ciemną czeluść, gdzie rozpanoszone szczury walczyły z nami o każdy skrawek terenu. Przez okienne szpary, przypominające prostokątne otwory strzelnicze, mogliśmy widzieć jedynie buty przechodniów. W suterenie były dwie izby: jedna służyła za sypialnię, druga za jadalnię, kuchnię, umywalnię i wychodek. Plamy wilgoci tworzyły na ścianach groteskowe kształty.

Tak więc Peret ulitował się nade mną. W swojej nędzy dawał mi nawet czasem kilka drobniaków, akurat tyle, żebym mógł się upić najtańszym trunkiem w jakiejś cuchnącej norze. Byłem najniezwyklejszym inżynierem na całym bożym świecie.

Gdy ktoś raz przesiąknął racjonalizmem Bazoches, nie mógł się wyzwolić spod jego władzy nawet we śnie. Jakże często pragnąłem zrzucić z siebie owo brzemie rzeczywistości! Nie słyszeć ostatniej, fałszywej nuty skrzypka, przytupującego na stole do wtóru wulgarnych przyśpiewek. Krzyków żołnierzy wszelakich nacji. Ich śmiechów, po których można było poznać Niemca, Anglika, Portugalczyka lub Katalończyka, zanim zdążył wyrzec słowo we własnym języku. Pijackich wrzasków, sklepień okopconych dymem fajek i cygar. Chciałbym nie widzieć blasku pięciuset świec, kapiących światłowieniem na tawernę. Ludzi roześmianych, podpitych, roztańczonych. Zgiełku hucznych zabaw, będącego wyrazem człowieczeństwa, a równocześnie, wbrew mojej woli, od człowieczeństwa mnie oddalającego.

Tak, ból, ów uporczywy ból. Dręczyło mnie moje ostatnie spotkanie z Vaubanem. „Wystarczy jedno słowo”, powiedział wówczas. Jedno słowo, moja młodość roztrwoniona przez jedno Słowo. Ale jakie? Jakie? Noc w noc poddawałem się rozpacz. Przy samotnym stole w tym czy innym kącie jakiejś tawerny opróżniałem jeden dzban za drugim, do samego dna. Słowo. Które to słowo? Myślałem i myślałem nad każdym z nich. Od „sapera” do „miłości”. Nie, to nie to. Kiedy trunek uderzał mi do głowy, w smugach tytoniowego dymu wijących się pod powałą widziałem pierwszą linię transzei. Często, nieźle już podpity, zaczepiałem palaczy, waląc ich z byka w szczękę. Trudno zliczyć kije, jakie na mnie spadły, a na wszystkie dobrze sobie zasłużyłem. Budziłem się w bezimiennych spelunkach, leżałem nieprzytomny na brudnych, wąskich uliczkach Barcelony, owego nowożytnego Babilonu.

Pić, uciec od świata, pić, opuścić własne ciało. Pijmy, pijmy wszyscy, my, insekty bytujące na mikrym obwodzie naszego wszechświata! Pijmy, rzygajmy, aż butelczyna stanie się nam towarzyszem wierniejszym niż pies! A mimo to jak tu się pozbyć brzemienia moich niezasłużonych Punktów? W najgorszych chwilach odsłaniałem prawe ramię, wpatrywałem się w owe misterne figury geometryczne

i płakałem. Niedolę wypisaną miałem na własnej skórze.

Co teraz porabia Jeanne? Cokolwiek, ale z pewnością nie wspomina Martiego Zuvirii. Nie mogłem mieć o to żalu. Powinienem być jej powiedzieć: „Kocham cię, kocham bardziej niż inżynierię”. Nie powiedziałem i utraciłem je obie.

Pewnego dnia włóczyłem się po ulicach, pijąc prosto z butelki. Przystanąłem, żeby kupić w jakimś wędrownym kramie pieczone mięso zawinięte w liść kapusty, a kiedy się targowałem o cenę, nagle, w grupce kobiet stojących z dzbanami przy fontannie, ujrzałem twarz, której nie sposób zapomnieć.

Jednym z największych wynalazków cywilizacji są publiczne fontanny i studnie. To tam kobiety wystawiają na pokaz swoje wdzięki, a galanci, pod szarmanckim pretekstem pomocy przy noszeniu wody, zawierają obiecujące znajomości. No, zgadnijcie, kto stał na końcu kolejki z wielkim, pustym dzbanem? Tak, tak, moja przyjaciółka Amelis.

Rzuciła mi spojrzenie spłoszonej synogarlicy. Tylko przelotne, ale niech szczenę, jeśli nie było w nim odrobiny zaskoczenia widokiem tak niecznie porzuconego Martiego Zuvirii. Na wszelki wypadek nie wspomniałem ani słowem o Beceite. Zaofiarowałem się, że poniosę dzban, a ona nie odmówiła. Uprzejmy gest, a zarazem doskonały pretekst, by nawiązać rozmowę. Albo dokończyć tę, którą zaczęliśmy w sosnowym lesie, zanim straciliśmy się z oczu w ciemnościach nocy. Nie uszliśmy nawet dziesięciu kroków, gdy poczułem, że ktoś mi grzebie w fałdach kubraka, szukając kiesy.

Mógłbym to przypisać spostrzegawczości i szczególnym umiejętnościom nabytym w Bazoches, lecz prawdę mówiąc, nie musiałem się do nich uciekać. Już chwilę temu przyważyłem parę innych dobrych znajomych, szwendających się w pobliżu: Nana i Anfana.

Jednak dotarli do Barcelony. Dzieciaka poznałem po nieopisanie brudnych kudłach, karzełka po wciśniętym na głowę lejku. Niczym dwa małe sępy obserwowali przechodniów. Miałem się na baczności, więc wręczyłem dzban Amelis i obu ucapiłem za kołnierz. Odnosiłem wrażenie, że czas stoi w miejscu, tak jakby wciąż jeszcze uciekali przede mną korytarzami transzei.

– Koniec! – oznajmiłem. – Wreszcie was dorwałem.

Zaczęli jęczeć i skamleć, jak gdybym to ja na nich napadł.

– Chodźmy już, puść ich – prosiła Amelis. – To tylko dzieci.

– Cha, cha! – zaśmiałem się. – Nie wiesz, do czego są zdolni. Oddam ich w ręce pierwszego napotkanego strażnika.

– Nie rób tego – broniła ich moja czarnowłosa piękność. – Dadzą im po dwadzieścia kijów i połamią wszystkie kosteczki. Zatlukają ich na śmierć.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie ja ustanawiam prawo. Ale muszę go przestrzegać. – Cały czas pamiętałem, że toczę z wdową proces o dom po moim ojcu. – A jeśli człowiek uczciwy, taki jak ja, też czasem dostaje za swoje, to nie widzę powodu, żeby litować się nad notorycznymi złodziejami.

Anfán, uczepiony moich nóg, płakał i błagał o zmiłowanie. Widząc, że dziewczyna wstawia się za nim, uderzył w jeszcze głośniejszy szloch. Ponieważ sam jestem największym komediantem stulecia, swego rozpoznam z daleka. A trzeba powiedzieć, że chłopak miał talent. Nie dałem się nabrać.

– Wstawaj, gówniarzu!

Amelis szarpnęła mnie za łokieć.

– Jak możesz tak pomiatać maluchami!

Wiem, kobiety z natury są litościwe, lecz ta wyglądała jak Matka Boska od Bezbronnych.

– Proszę!

Z krótkim „Przykro mi, *maca*^[45]”, odepchnąłem ją i ruszyłem dalej, w każdej ręce dzierząc złodziejaszka, jakbym niósł dwa świeżo złowione pstrągi. Nie spodziewałem się jednak, że zastąpi mi drogę. Stała przede mną z założonymi rękoma.

– Wypuść ich – zażądała, po czym dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Dobra, czego chcesz?

Prawdę mówiąc, trochę mnie to speszyło. Zrozumiałem sugestię, co zresztą niczego nie wyjaśniało. Przyjrzałem się jej bacznie.

W jej twarzy dostrzegłem pewien rys upartego smutku. Skąd taka hojność? Dlaczego chce mi się oddać? Cóż, wszystko jedno. Była zbyt ładna, a ja zbyt podły, żeby odmówić. Puściłem ich.

– Następnym razem dopilnuję, żeby was nie minęła szubienica! – krzyknąłem. – Jak zawisniecie, będziecie mieli szyje dłuższe niż gęsi. Zrozumiano?

Zanim skończyłem ich besztać, trzy razy zdążyli zniknąć za rogiem. Odwróciłem się do Amelis:

– Gdzie idziemy?

Zaprowadziła mnie do dzielnicy Ribera, jednej z najbardziej zapowietrzonych i tłocznych w całej Barcelonie, co mówi samo za siebie. Szare kamienice, trzy-, cztero- a nawet pięciopiętrowe, i wąskie uliczki, do których nigdy nie docierało światło słońca. Wszędzie roiło się od ludzi i zwierząt. Bezpańskie psy, kury hodowane na balkonach, mleczne kozy uwiązane do wbitych w mury pierścieni, meeee. Wielu mieszkańców wyglądało na całkiem zadowolonych: palili i grali w kości na przewróconych do góry dnem beczkach. Inni przypominali chodzące szkielety. Moją uwagę zwrócił jeden, podobny do świętego Szymona Słupnika, z tą różnicą, że Szymon spędził na słupie trzydzieści lat^[46], a ten

przynajmniej dwakroć tyle, żywiąc się zapewne ptasim gównem. Chcąc wzbudzić litość przechodniów, rozchyłał poły koszuli i pokazywał żebra sterczące niczym odnóża kraba. Wyciągnął do mnie dłoń proszalnym gestem.

– *Per l'amor de Déu, per l'amor de Déu*^[47].

Większość domów musiała być stara już wtedy, gdy przechadzał się tutaj cesarz August. Weszliśmy do pierwszego z brzegu, może trochę bardziej obokurnego od innych. Wspięliśmy się po schodach na drugie piętro, pod jakieś drzwi.

Weszliśmy. Rozejrzałem się wokół. Ciasna izdebka z jednym oknem. Ulica była tak wąska, że wyciągnąwszy rękę, można było niemal dotknąć budynku z przeciwka. W głębi pokoju siennik leżący wprost na podłodze. Obok kupka wosku, z której sterczało kilka świec. Domyśliłem się, że z początku stawiano świece na podłodze, a te stopione tworzyły lichtarz dla następnych. Resztę umeblowania stanowił taboret przy drzwiach oraz miednica z wodą, nad którą Amelis przykucnęła teraz, żeby się umyć. I to wszystko.

– Tutaj mieszkasz? – zapytałem, kiedy się rozbierała.

– Nigdzie nie mieszkam.

Pośród owej nędzy i opuszczenia tym bardziej rzucała się w oczy stojąca w kącie skrzynka ze szlachetnego drewna, tak mała, że ledwo pomieściłaby parę butów. Zaintrygowany tym osieroconym przedmiotem, podszedłem, a jako że zawsze byłem i jestem bezczelny, bez pytania uniosłem wieko. W tej samej chwili z wnętrza szkatułki rozległa się radosna, mechaniczna melodyjka. Odskokyłem w tył jak oparzony kot. Poczułem się niczym nieoświecony dzikus, który pierwszy raz w życiu zobaczył *carillon à musique*^[48].

– Zostaw to! – krzyknęła Amelis.

Zrzuciła do końca ubranie i odebrała mi przywłaszczoną bezprawnie pozytywkę. Naga, własnym ciałem zasłoniła ją przede mną. Myślę, że sama nie była świadoma uroku owej sceny: piękna kobieta broniąca szkatułki z muzyką.

Po zamknięciu pokrywy melodia rozwiała się i umilkła.

– Nie znałem tego wynalazku – bąknąłem tonem usprawiedliwienia.

Ponownie otworzyła skrzynkę, a kiedy powietrze przesyciło się muzyką, powiedziała:

– Pospiesz się. Masz czas, dopóki gra.

A zatem do dzieła. Przeszedłem, żeby ją wyruchać, i wyruchałem. Najwidoczniej mniejszą dla niej obrazą było to, że posiadałem jej ciało, niż to, że śmiałem dotknąć pozytywki. Na grzeczność zdobyła się tylko raz.

– Poczekaj – poprosiła.

Schyliła się po kłęb moich rzuconych na kupkę ubrań i położyła je na taborecie, żeby nie uwalaty się od lepkiej od brudu podłogi. Nie zwlekając, przystąpiłem do natarcia, a ona zaczęła jęczeć i krzyczeć jak płonąca na stosie

czarownica.

Z kobietami zawsze przestrzegałem strategii stosowanej przez Vaubana przy zdobywaniu miast: atakowałem bez pośpiechu. A uwierzcie mi, że mając przed oczyma taki łup, trudno mi było zwlekać ze szturmem. Wreszcie melodyjka dobiegła końca i Amelis odsunęła mnie od siebie.

– Dotrzymałam słowa, ty jesteś zadowolony, a dzieciaki żywe – powiedziała, patrząc w sufit. – Wyjdź.

Cóż miałem odrzec. Zabrałem z taboretu ubranie i kapelusz, odziałem się i bez pożegnania zszedłem po schodach. Na ulicy natknąłem się znowu na półżywego proroka. Z wyciągniętą ręką wciąż zawodził śpiewnie:

– *Per l'amor de Déu, per l'amor de Déu...*

Po dobrym sztosie każdemu poprawia się humor, przystanąłem więc, żeby dać mu parę monet. Przetrzęsnałem kieszenie. I wiecie co? Sakiewka zniknęła.

Fałszywa suka!

Rozwścieczony wbiegłem na schody. Jak mogłem pozwolić tak się podejść, nabrać na taki tani, wręcz podręcznikowy chwyt...? Ależ ze mnie głupiec! Jeszcze przed chwilą czułem się winny, że zaciągnąłem tę dziwkę do łóżka! Bardziej bolałem nad tym, że dałem się oszukać niż nad stratą. Co by o mnie powiedzieli bracia Ducroix? Jednak kiedy wszedłem do izby, stanąłem jak wryty.

Dziewczyna leżała na sienniku, a na niej, podobny do rozjuszonego zwierza, siedział okrakiem jakiś zbir, który okładał ją pięściami, to z lewej, to z prawej. Lał ją aż miło, a ona krzyczała, daremnie próbując się uwolnić. W barach nie był szeroki, miał za to łapska drwala, potężne jak maczugi. Niechybnie zatłucze ją na śmierć, zanim zdążę się przeżegnać. Nie był jej klientem, na co wskazywała zamknięta pozytywka.

– Ej, ty! – wrzasnąłem odruchowo. – Co robisz?

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Ogr, jednooki ogr. Do tamtej pory sądziłem, że cyklopi żyją na Wyspach Egejskich.

– A jak myślisz? – warknął, łypiąc na mnie swym jedynym ślepiem. – Kąpię ją w różanej wodzie! Zadowolony? Czekasz na swoją kolej? Wynocha stąd, pętaku!

I ja miałbym się przestraszyć tego szubrawca, zwykłego ulicznika, nawet wyrośniętego ponad miarę? Ma się rozumieć, że tak. Zapomniałem o sakiewce i w te pędy zbiegłem po schodach. Szkoda takiej ślicznotki, mruknąłem do siebie.

To, co stało się potem, jeszcze trudniej zrozumieć. Byłem już na ostatnim stopniu, gdy do domu weszła jakaś zacna starowinka. Dźwigała dzban, bardzo podobny do tego, który niosłem za Amelis.

– Pozwólcie, dobra kobieto, że wam pomogę – powiedziałem z wyszukaną uprzejmością. – Ja to zaniosę.

Wszedłem do izby, dźwigając dzban, ciężki jak wszyscy diabli. Nie pytajcie,

dlaczego wróciłem, bo nie wiem. Nie jestem błędnym rycerzem, a ona była cholerną złodziejką.

Jednooki ogr dalej młócił pięściami. Nie jestem też nadmiernie litościwy, ale trzeba było słyszeć jej krzyki! Wiła się w barłogu, usiłując wydrapać mu drugie ślepie, ale jeszcze ze trzy szturchańce i byłoby po niej.

Ja, ona i ogr, a w moich rękach dzban pełen wody. I jeszcze jedno: ogr był odwrócony do mnie tyłem. Uniosłem dzban nad głowę i z całych sił gruchnąłem gościa w potylicę.

Runął na bok, skąpany w wodzie i własnej krwi. Zwaliste cielsko wydało odgłos podobny do hurgotu spadających kamieni. Potoczył się po podłodze i znieruchomiał na wznak. Amelis też się zamoczyła. Żal było patrzeć na jej rozcięte wargi i rozdygotane dłonie.

A potem miała miejsce słodka pogawędka, najbardziej czarująca w całym moim życiu.

Ja:

– Masz coś ciężkiego?

Ona, obejmując ramionami kolana, wciąż jeszcze rozsierdzona, jakby właśnie stoczyła walkę z cyklopem:

– A wyglądam na tragarza?

Ja, sarkastycznie:

– Twój koleżka przytomnieje, więc jeśli czegoś nie zrobię, poszatkuje nas jak dwie główki kapusty.

Ona, wskazując na cztery świece:

– Tam, baranie!

Ja, z urażoną godnością:

– Ta kupka wosku?! Mam mu tym zatkać gębę, żeby się zatchnął?

Ona, z oczami wzniesionymi do góry, jak ktoś, kto ma do czynienia ze skończonym idiotą:

– Neeee... to nie wosk. Podnieś!

Pod spodem kryła się armatnia kula. Pozostałość po bombardowaniu francuskiej floty w 1691 roku, po oblężeniu z 1697, po desancie Sprzymierzonych w 1705, zresztą licho wie. Jakiś dowcipniś przytaszczył ją tutaj i używał jako podstawki pod świece. Topiący się wosk stopniowo oblewał pocisk niczym lepki wodospad, zmieniając go w bezkształtną bryłę.

Obiema rękami chwyciłem ciężki nabój i podszedłem do jednookiego ogra. Nienaturalnie skręcony kark przygniatał mu głowę do ściany.

Ja:

– Odwróć go! Nie widzisz, że mam nieprawidłowy kąt uderzenia?

– Co masz?

– Odwróć go!

Skulona na sienniku Amelis wyciągnęła rękę, chwyciła ogra za kudły i pociągnęła. Stałem okrakiem nad leżącym ciałem i uniosłem armatnią kulę nad głowę. W tym momencie otworzył swoje jedyne oko.

– Czeka! – krzyknęła Amelis.

Naszła ją nagła litość? Wycelowała palcem w pocisk.

– A jak wybuchnie?

Wciąż na wpół ogłuszony, ogr pojął wreszcie, co się dzieje. Złapał mnie za kostkę, a spojrzenie miał bystre jak nigdy.

Cóż, ostatnią rzeczą, jaką zobaczył na tym świecie, była kula kalibru dwadzieścia cztery, spadająca prosto na jego twarz. Niech wielcy stratedzy gadają, co chcą, ale najlepszą taktyką zawsze będzie celna fanga baniakiem w łeb.

Potarłem dłonie, żeby pozbyć się wosku.

– Gotowe! Faktycznie, głowa mu wybuchła.

Amelis popatrzyła z siennika na martwego ogra, potem popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Chyba mnie z tym nie zostawisz? Jak go tu znajdą, to mnie zabiją!

Ja ratuję jej życie, a ona chce, żebym jeszcze wymyśl podłogę! Ach, te kobiety!

– Nie wróciłem po to, żeby poznać twoich znajomych – odparłem. – Sakiewka! – dodałem i wyciągnąłem rękę, czekając na zwrot mojej własności.

Roześmiała się i odrzekła, że nie ma żadnej sakiewki. Mogę szukać do woli, jest niewinna, więc i tak nic nie znajdę. Na ogół wiem, kiedy ktoś kłamie. A ona tak była pewna swego, że jej uwierzyłem. Poza tym w owej gołej izbie nie było zakamarków ani schowków. Jeśli rzeczywiście kradła, to jej złodziejski kunszt zasługiwał na najwyższe uznanie.

Trzeba umieć przegrywać. Zacząłem się zbierać. Ale kiedy już byłem przy drzwiach, powiedziała zimno:

– Zaczekaj.

Wylała za okno wodę, w której się podmywała. Jakąs szmatą starła z twarzy krew, ubrała się i wyszliśmy razem. Prowadziła mnie bez słowa, małomówna jak zwykle. I kogóż to spotkaliśmy? Nana i Anfana, siedzących na schodach kościoła Matki Boskiej Sosnowej^[49].

Na mój widok rzucili się do ucieczki, lecz gdy Amelis zagwizdała jak pasterka na wierne psy, stanęli. Podeszliśmy do nich. Przeszukała odzienie Anfana, znalazła skózaną sakiewkę i wręczyła mi ją, jakby chciała powiedzieć: „Teraz jesteśmy kwita”.

Stanowili zgraną szajkę. Wszystko mieli zaplanowane od początku do końca. Kiedy galanci ręce mieli zajęte dzwiganiem ciężkich dzbanów pełnych wody, otumanieni wizją czarnowłosej, smagłolicej Heleny Trojańskiej, Nan i Anfán opróżniali im kieszenie. Jeżeli coś poszło nie tak, do akcji wkraczała Amelis.

Wszyscy ulegali prośbom osiemnastoletniego anioła cud urody; wszyscy oprócz takich nieczułych gburów jak ja. Tych zabierała do izdebki w dzielnicy Ribera. Kiedy się pieprzyli, Nan stał na czatach, a Anfán zakradał się do domu, bezszelestny niczym jaszczurka, i podwędzał sakiewkę. (Pamiętacie, że ułożyła moje odzienie na taborecie przy drzwiach, łatwo dostępnym z korytarza? Pewien jestem, że jej najgłośniejsze miłosne okrzyki zbiegły się z wtargnięciem Anfana). A potem mogła wzywać Niebo na świadka swojej niewinności, gdyż łup już zdążył zniknąć i nie było śladu po przestępstwie. Niezłe trio.

Dzieciak, karzeł i Amelis zamieszkali w naszej suterenie w Raval^[50]. Było ze wszech miar niewskazane, by widywano nas w Riberze, przynajmniej dopóki ludzie nie zapomną o śmierci jednookiego ogra. Okazało się bowiem, że nie był to żaden stręczyciel ani bandyta z półświatka, ale rozpustny patrycjusz, który czasami nosił dzban za Amelis, opętany chucią. W końcu stracił cierpliwość i postanowił zabić złodziejkę.

Przyszli tak jak stali, oprócz Amelis, piastującej w objęciach swój jedyny ziemski majątek: osobliwą skrzynkę, z której wydobywała się muzyka i do której była tak przywiązana. Używała swego *carillon à musique* jako tarczy przeciw życiowym opresjom. Owinęła ją z pietyzmem w chusty, jakby niosła Dzieciątka Jezus.

Z początku nie było łatwo. Już Peretowi i mnie dokuczała ciasnota, a tu nagle trzeba było zmieścić jeszcze trzy osoby. Ja dzieliłem z Amelis alkowę, Peret i tamta parka zajęli barłóg w izbie służącej za kuchnię i jadalnię. Peret ich wprost nie znosił. Głowa mi puchła od jego narzekania, biadolenia i wyrzutów.

Karzełek na przykład miał dość szczególne pojęcie o domowym życiu. Kiedy nie mógł postawić na swoim, wyrażał niezadowolenie wściekłym wrzaskiem podobnym do kwiczenia zranionego dzika, tak przenikliwym, że rozsierzdziłby nawet głuchego. Gdy i wówczas nikt nie zwracał na niego uwagi, zaczynał walić głową w ściany i drzwi, kręcąc się po izbie jak fryga.

O ile zachowanie karzełka można nazwać ekscentrycznym – o tyle to, co wyprawiał Anfán, przechodziło wszelkie pojęcie. Powiedzieć o nim „złodziej” to mało. Był obsesjonatem, maniakiem kradzieży. O każdej godzinie dnia i nocy czuliśmy jego palce w naszych kieszeniach. Ja, dzięki wprawie nabytej w sali sferycznej, od razu wiedziałem, że coś się święci, więc wystarczyło go trzepnąć ręką jak muchę, ale biednego Pereta okradał nawet pięć razy dziennie. Pewnego ranka staruszek obudził się z ogarkiem świecy przylepionym do nosa i kompletnie goły. Nan i Anfán jeszcze przed śniadaniem zdążyli sprzedać jego przyodziewek na ulicy.

Próbowałem przemówić chłopcu do rozumu.

– Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że dopóki tu mieszkasz, wszystko, co

nasze, jest twoje?

– Nie.

Przynajmniej był szczery.

Trudno się dziwić, że Peret chętnie by ich zatłukł. I jak zwykle Amelis uderzała w krzyk i chowała ich pod spódnicą. Peret miał w tej kwestii wyrobioną opinię:

– Skoro z nią żyjesz, masz prawo traktować ją jak żonę. Wygarbuj jej skórę od czasu do czasu. Niech zna swoje miejsce!

Nasza suterena stała się ogniskiem kłótni. Mimo to wcale mi się nie spieszyło do odejścia Amelis. Szybko doszła do siebie po pamiętnym laniu. Była o wiele ładniejsza niż owego dnia, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy w wioskowej stajni. Postaram się streścić i powiem tylko, że w łóżku nie narzekałem. Sypialiśmy ze sobą, co z czasem stało się rutyną, a rozkosz przeistoczyła się z wolna w codzienne radosne zadziwienie. Miłość? Nie wiem. Nikt się nie zastanawia, czy kocha powietrze, którym oddycha, a przecież żyć bez niego nie może. To było właśnie coś takiego. Tajemnicą pozostanie, co ona wtedy myślała. Cieszyła ją ta zmiana, czy godziła się na to, żeby zapewnić dach nad głową tamtym dwóm, którym była nie tyle matką, co starszą siostrą? Powiem jedynie, że pewnej nocy, zanim zaczęliśmy się kochać, nie włączyła swego *carillon à musique*. I dopóki byliśmy razem, nigdy już go nie otwierała.

Rzecz w tym, że trzeba było ukrócić złodziejskie nawyki Anfana, bo tak dalej być nie mogło. Albo dzieciak się zmieni, albo zwariujemy wszyscy. O laniu nawet nie pomyślałem, ponieważ byłoby bezowocne. Nie za dobrze znałem jego zyciorys, ale wygląda na to, że obrywał od każdego. Wiadomo z jakim skutkiem.

Wielkie zmiany zaczynają się od aparycji. Vauban był takim fanatykiem czystości, że kąpał się raz w tygodniu. Nie jestem zwolennikiem aż takiej przesady, lecz faktem jest, iż Anfán i Nan mieli tyle do czynienia z wodą, co dwa kamienie pośrodku pustyni.

Najgorsze przyszło, kiedy chcieliśmy ściąć kłaki jednemu, a drugiemu zdjąć z głowy lejek. Lepiej nie mówić. Na widok nożyczek i obcęgow (a czym niby mieliśmy ściągnąć lejek?) dali nogę i przez dwa dni nie pokazali się w domu.

Z Anfanem w końcu udało się zawrzeć ugodę. Nie mieliśmy nic przeciwko warkoczykom, ale wytłumaczyliśmy mu, że owe poskręcane farfocle pozlepiały się z brudu. Obiecaliśmy, że jeśli pozwoli je sobie umyć, Amelis będzie zapłacać jego jasne włosy w mnóstwo warkoczyków, o wiele ładniejszych niż te. Czysty, schludnie odziany, w białej koszulinie i wyłatanych portkach, z lśniąca, złocistą czupryną zamiast przetłuszczonego ścierniska na głowie zaczął nawet przypominać dziecko, a nie majtka z pirackiego statku.

Co do karzełka, to zadowoliliśmy się spalaniem jego cyrkowych łańców oraz tym, że miał zdejmować lejek raz w miesiącu. Musieliśmy przysiąc, że podczas

mycia będzie mógł trzymać go w rękach. Darujcie mi wyliczanie wszystkich stworzeń, które znaleźliśmy tam za pierwszym razem. Fúj!

Amelis, Nan i Anfán tworzyli zgrane trio. Nierozłączne. Nie wiadomo właściwie, kto kogo adoptował. Wypytywałem Anfana o jego przeszłość, ale odnosiło się wrażenie, że pamięć ma dziurawą jak sito. Kiedy został porzucony albo kiedy zabito jego rodziców, musiał być tak mały, że w ogóle ich nie pamiętał. Prawdę mówiąc, chyba lepiej, że nie pamiętał niczego. Nie znał innego życia niż dryfowanie na falach inwazji zalewających raz za razem ów naturalny korytarz do Morza Śródziemnego, zwany Katalonią. Już samo imię chłopca i jego żołądki język, będący mieszaniną francuskiego, katalońskiego i hiszpańskiego, mówiły o nim wszystko.

Lecz dziecko zawsze jest dzieckiem. Nawet taki wyrodek jak Anfán. A ponieważ nie dane mu było zaznać ojcowskiej miłości, zastąpił jej brak uczuciem do karzełka. W gruncie rzeczy afekt ów był tym, o co sam wołał wniebogłosy. Zrozumiawszy to, zacząłem nawet żywić doń pewną słabość.

Z tego, czego się dowiedziałem, wkrótce po upadku Tortosy ci dwaj napotkali Amelis (drogi z Beceite i Tortosy łączyły się, zmierzając do Barcelony). Dach nad głową nazywamy domem, gdy jest czymś więcej niż przechowalnią dla tobołka z naszym ostatnim dobytkiem. Pod dachem jest miejsce na wspólne palenisko, a w braku ognia na zwykły, serdeczny uścisk. Ich domem byli oni sami. Dlatego Nan i Anfán nigdy nie nauczyli się sypiać z dala od Amelis. Nocą dezenterowali ze swojego siennika i przemykali się do alkowy. Na to, że akurat się kochaliśmy, nie zwracali najmniejszej uwagi. Zwijali się obok w kłębek i spali jak koty. Początkowo protestowałem:

– Nie moglibyście poczekać, aż skończymy?

Odpowiedź Amelis była prosta:

– Czy to nie wszystko jedno?

Tych troje przeczyło wszelkim cywilizowanym wzorcom, jakie mi wpojono. Spać razem w kłębowisku łokci i kolan, z nogami na cudzej twarzy lub policzkiem przy cudzym brzuchu wydawało im się rzeczą najnormalniejszą na świecie. Chwila nieuwagi i szyjka pieprzonego lejka wbijała ci się w dowolną część ciała. Dowolną!

Zrozumcie, wiem doskonale, że nie uchodzi kochać się i spać w jednym łóżku z dzieckiem, karłem i lejkiem.

Ale co mam wam niby powiedzieć.

W owych dniach zjawili się u nas najbardziej niespodziewani goście: czterech tragarzy i trzech uzbrojonych po zęby konwojentów, którzy oznajmili, że przybywają aż z za północnej granicy. Doręczyli nam jakiś kufer oraz adresowany do mnie list.

List był od kawalera Bardonenche'a, który przepraszał, że nie może mi dostarczyć kufra osobiście, co polecieli mu uczynić krewni Vaubana. Niestety, na granicy zatrzymali go żołnierze Sprzymierzonych, choć zapewniał ich usilnie, iż do pięknego miasta Barcelony pragnie udać się w celach wyłącznie osobistych. „Świat chyli się ku upadkowi – ubolewał Bardonenche – o czym świadczy fakt, że dziś nie ufa się nawet nieprzyjaciołom”. Moja kochana, szpetna Waltraud się dziwi, zapewniam was wszakże, iż w moich czasach, przynajmniej wśród zawodowych żołnierzy, takie przysługi nie były niczym nadzwyczajnym.

No więc, kiedy otworzyliśmy kufer, zdumienie wywołało w kolejności: nieskładny bełkot, okrzyki i omdlenia, jako że zawierał ani mniej, ani więcej tylko dokładnie tysiąc dwieście francuskich liwrów. Markiz zapisał mi tę sumę w testamencie. Nie będę przed wami krył, że się wzruszyłem – Vauban myślał o mnie nawet na tamtym świecie.

Chcąc uczcić ową fortunę spiłem się tak, że przez dwa dni miałem kaca. Problem w tym, że tamta szajka wykorzystała ową chwilę słabości, aby roztrwonić mój skarb: wszystko, co do grosza, wydali na mieszkanie na czwartym piętrze w ludnej dzielnicy Ribera. Amelis potrzebowała podpisu jakiegoś mężczyzny, więc Peret użyczył swego. Miałem ochotę ich udusić, co stanie się tym bardziej zrozumiałe, gdy powiem, iż zawartość kufra nie pokryła pełnych kosztów, w związku z czym wzięli pożyczkę. Oczywiście na moje nazwisko. Poza tym jak mogłem pokochać jakąś otynkowaną budę, ja, który kształciłem się, by budować i burzyć fortece? Amelis z trudem namówiła mnie, żebym zechciał obejrzeć nasze nowe gniazdko.

Była to plebejska kamienica z pretensjami: tanie malowidła na suficie, stiuki na ścianach, trzy pokoje i kuchnia. Pachniała świeżym gipsem. Jak wszędzie, czwarte piętro było najtańsze, gdyż aby tam dotrzeć, należało wspiąć się po niezliczonych schodach. Ale przynajmniej dochodziło tam słońce. Jedną izbę mieliśmy dla siebie, drugą zajęli Nan z Anfanem, trzecią – ten darmozjad Peret, w nagrodę za udział w szachrajstwie i podszywanie się przede mną przed wierzycielami. Tylny balkon wychodził wprost na bastion Świętej Klary. Warowny pięciobok wznosił się tuż pod naszymi stopami. W dole widać było plac broni, mogliśmy oglądać zmiany warty i wszystko, co się tam działo. Kiedy weszliśmy do naszego pokoju, Amelis pokazała mi świetlik dokładnie nad łóżkiem. Przez szybę przeświecało niebo bardziej błękitne niż wody Morza Śródziemnego.

Mieszkanie to stało się prawdziwym domem w dniu, w którym Amelis ustawiła w naszej izbie swój *carillon à musique*. Promienie słońca padały przez świetlik na białe prześcieradła, a ona siadywała pośrodku łóżka, naga, rozczesywała długie, czarne włosy i bezgłośnie poruszając wargami wtórowała rzewnej melodyjce pozytywki. Był to obraz tak piękny, że wprawiał w osłupienie i odbierał mi śmiałość, by w takiej chwili wtargnąć w jej zamyśloną nagość.



Boże ty mój, jakże zmieniło się nasze wspólne życie! Przedtem Amelis używała muzycznej skrzynki, by uciec od poświęceń, jakich wymagało od niej życie. Teraz ta niezwykła melodia, tak sztuczna i tak słodka zarazem, przenosiła ją do najodleglejszych wspomnień. Nie, to było coś więcej: wspomnieniem była sama pozytywka. Na pustyni nie ma granic: granicą jest pustynia.

A zatem staliśmy się świeżo upieczonymi właścicielami nieruchomości.

Kłopot w tym, że w kufrze Vaubana było tysiąc dwieście liwrów, a mieszkanie kosztowało tysiąc sześćset dwanaście. Czyli że w czasie krótszym niż odsypianie kaca zmieniliśmy swój status ze szczęśliwie wzbogaconych nędzarzy, na szczęśliwie zubożałych właścicieli. Do tego zadłużonych. Dług trzeba było spłacić, a w czasie wojny interesy podlegają wojennym prawom.

W tym miejscu powinienem opowiedzieć o mojej wycieczce na ziemię Kastylii. O tym, jak zostałem przymuszony do uczestnictwa w walkach kampanii z roku 1710, jak byłem świadkiem wyniesienia Karlangasa na tron madrycki i jego upadku. Ach, byłbym zapomniał... jeszcze o tym, jak – zgoła nieoczekiwanie – znalazłem mistrza, który miał mi zastąpić Vaubana, będąc jedynym człowiekiem na całym świecie, jakiego mógłbym podejrzewać o to, iż zdolny jest być czymkolwiek mistrzem.

Przedtem jednak, jeżeli pozwolicie, uczynię ostatnią już dygresję. (Moja kochana, szpetna Waltraud protestuje; uważa, że powinienem zmierzać prosto do sedna. No cóż, pieprz się, kotku).

Chcąc odciągnąć mnie jak najdalej od knajpy, Amelis nalegała, żebyśmy wybrali się za miasto, choćby na jeden dzień, a pretekstem stała się czekoladiada. Wynajmowało się fiakra, który po przystępnej cenie wywoził cię jakieś dziesięć kilometrów za Barcelonę, gdzie czekały zielone łąki, zagajniki i widoki. Pod wieczór powozy wracały po wycieczkowiczów. A teraz pozwólcie, że opowiem wam trochę o owych „czekoladiadach”.

Czekoladiada niekoniecznie oznaczała, że jadło się i piło samą czekoladę. Zależnie od pokroju uczestników, do gorącej czekolady dodawano składniki najbardziej perwersyjne, zwłaszcza afrodyzjaki. Księża wypowiedzieli wojnę czekoladiadom i wygłaszali płomienne kazania zwalczające ową modę.

Jako że czekolada jest czarna, nikt nie był pewien, co ma w swojej filizance. Bywało, że kucharz przesadził, a niektóre środki odurzające spożywane w nadmiarze mogły nawet spowodować śmierć. Wszyscy byli świadomi ryzyka. W gruncie rzeczy ludzie szukali bardziej dreszczyku emocji niż innych podniet. Albowiem najczęściej nie było tam nic poza niewinnym kakao zagotowanym z cukrem. Ale ponieważ każdy żywił podejrzenia, o ile nie przekonanie, iż do jego porcji dolano miłosnej trucizny, to gdy zdarzyło mu się pomacać tyłek synowej, zawsze mógł potem zrzucić winę na czekoladę. (Tak, tak, czekolada była winna wszystkiemu).

Czy była to czysta fantazja, czy też nie, po wypiciu drugiej filizanki ludzi brała szalona ochota do tańca. Chwyтали się za ręce i płąsali w kole, śmiejąc się i śpiewając. Nikt nie zważał na obyczajność: mężczyźni i kobiety wymieszani bez żadnego względu na wiek, stan i ród! Zawsze znaleźli się jacyś skrzypkowie, by umilić zabawę, i wkrótce tancerze zaczęli gdzieś parami znikać. (Zgadnijcie po co).

Mnie tam było za jedno, czego dodawali do czekolady, ponieważ znosiłem te męki tylko dla mojej Amelis. Powóz zatrzymał się na uroczym zielonym pagórku. Ledwo zeskoczyłem na ziemię, poczułem się nieswojo, bo w tej rozpuszczonej w czekoladzie atmosferze byle chłystek mógł skorzystać z okazji. Dokładnie pamiętam chwilę, w której dopadła mnie zazdrość. Pomagałem Amelis wysiąść, chwyciwszy ją wpół, a kiedy postawiłem ją na trawie, miałem wrażenie, że już coś straciłem. „Och, *Déu meu* – rzekłem do siebie, trochę przygnębiony. – A jednak. Kocham ją”.

Było nas chyba ze trzydzieści, czterdzieści osób. Rozsiadliśmy się rodzinami na kocach. Nad łąką górowała stara, zrujnowana *masía*, bez drzwi i z zapadniętym dachem. *Masías*, tradycyjne domy katalońskich górali, były niczym miniaturowe fortece. Nie zdziwiło mnie, że mieszkańcy tej, na którą patrzyłem, zbudowali ją właśnie tam. Można było obserwować stamtąd cały widnokrąg, pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, i z daleka dostrzec każdego, kto się zbliża. Jak się okazuje, Vauban nie był pierwszym, który zgłębił pradawną sztukę obrony przed obcymi.

Po śniadaniu podano czekoladę i zaczęły się harce. Skrzypce dały do wiwatu. Ludzie stanęli kołem. Amelis pociągnęła mnie za rękę, żebyśmy też poszli tańczyć. Nie mogłem. W owej chwili wydarzyło się coś nadzwyczajnego: Anfán zaszedł mnie od tyłu i zarzucił mi rękę na szyję. Minał prawie rok, zanim się na to ośmielił. I śmieście się, jeśli chcecie, ale ja się wzruszyłem. Przytulił się do mojego policzka i szepnął na ucho:

– Mogę sobie trochę pokraść, szefie? Wszyscy są pijani.

– Nie, nie możesz. Są pijani, ale to dobrzy ludzie.

Ten argument ani trochę nie trafił mu do przekonania.

– Mógłbym za to kupić nowy lejek dla Nana.

– A Nan prosił cię o lejek? Nie prosił. Ale na pewno chce się dobrze bawić.

Idźcie potańczyć. Zobacysz, jak się ucieszy, a ty nie będziesz musiał narażać się na chłostę. – A potem, tonem, jakim Vauban zwracał się do mnie, dodałem: – Tobie trudno to jeszcze zrozumieć, ale musisz przypilnować, żeby nikt go nie zaciągnął w krzaki. – I wrzasnąłem: – *Allez!*

Dzieciom i żołnierzom zawsze lepiej zlecić jakąś misję, niż wymierzyć karę.

A teraz pozwólcie, że dam upust emocjom. Albowiem odkryłem nagle, że to właśnie jest szczęście. Zielona trawa, radosne skrzypki. Roześmiani ludzie płasający w kole jak głupi. Niziutki, przygarbiony Peret podający rękę jakiejś wdowie i szepczący jej do ucha zberezeństwa. Nan i Anfán razem w tańcu; Nan z kamienną jak zwykle twarzą, ale w duchu uradowany; Anfán, posłuszny moim rozkazom, odganiający kopniakami każdego, kto się zbliżał do karzełka. I Amelis, roześmiana, roztańczona, z rozpuszczonymi na wietrze czarnymi włosami. Nie wiem, ile to trwało. Z pewnością bardzo krótko; szczęście nigdy nie trwa długo. Raptem z krzaków wyskoczył Peret z wdową: Peret, podciągając opuszczone do

połowy spodnie, wdowa rozczochrana. Musieli zobaczyć coś, kiedy używali sobie na całego.

– Ballester! – krzyczał Peret, na wpół żywy ze strachu. – Idzie Ballester!

Ballester! Mój stary znajomy, który w owych dniach był już jednym z najsławniejszych i najokrutniejszych miqueletów. (Przy czym, jak wyjaśniałem wcześniej, w Katalonii słowo *miquelete* ma wiele odcieni).

Czekoladiada odbywała się na szczycie płaskiego pagórka. Wspiąłem się na sterczącą skałkę, żeby sprawdzić, co się święci. Oddział lekkiej kawalerii, jeszcze dość daleko. Po tumanie kurzu odgadłem, że było ich ze trzynastu.

Panika zamienia ludzi w stado owiec. Wszyscy biegali i krzyczeli. Bogacze, którzy przybyli własnym zaprzęgiem, uciekali galopem, porzucając kochanki i kochanków na pastwę losu (zapewne bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Ach, miłość!). Reszta nie wiedziała, co robić, więc gnana zwierzęcym instynktem schroniła się w opuszczonym domostwie. Nan i Anfán, uczepieni ręki Amelis, też wbiegli do zagrody, a ja za nimi.

Wewnątrz ludzie tłoczyli się jak bydło, choć miejsca było dosyć, bo ściany dawno się skruszyły. Kobiety płakały i tuliły się do siebie, mężczyźni rwali włosy z głowy. Wrzasnąłem parę razy i wreszcie zapadła cisza.

– Myślicie coś zrobić – ryknąłem – czy poczekamy i pozwolimy się zarznąć jak barany?

Z kąta odezwał się jakiś wystrojony fircyk:

– O czym ty gadasz? – powiedział. – Gołowas z ciebie, a idzie tu sam Ballester!

– Nie, to święty Piotr na koniu! – odkrzyknąłem i zwróciłem się do pozostałych: – Zrobimy z tym coś czy nie?

– Znalazł się kapitan! – drwił dalej fircyk. – Oni takich chłopaczków jak ty chędożą na śniadanie.

Wskoczyłem na zmurszały stół.

– Słuchajcie! Jak będziecie robić wszystko, co wam powiem, może wyjdziemy z tego cało.

Fircyk podniósł głos:

– Tamci to zawodowi mordercy, uzbrojeni po zęby. A tu masz tylko tłum trzęsących się ze strachu kobiet, dzieci i starców. Ten dom jest ruiną, a ty chcesz się w nim bronić. – Wskazał ręką na bramę: – Tutaj nawet nie ma drzwi!

Nagła błyskawica rozbłysła w mojej głowie. Gdybym miał czas, żeby pomyśleć, to wierzcie mi, powstrzymałbym się od odpowiedzi. Lecz sytuacja była tak napięta, a zarazem tak rozpaczliwa, że nie mogłem milczeć. Dlatego odetchnąłem głęboko i, akcentując każde słowo, rzekłem:

– My jesteśmy drzwiami.

– Nas usieką, a kobiety zgwałcą! – zaperzył się fircyk.

– I dlatego musimy walczyć, głupcze! – wykrzyknąłem. – Bo jak zobaczą, że się tu nie obłowią, nie dostaną okupu ani koni, poderzną kilka gardeł dla zabawy, a naszych kobiet dosiędą na oklep. – Wskazałem na Amelis. – To jest moja kobieta i przysięgam, że nikt jej nie tknie. Nie przejdą!

Są różne rodzaje ciszy. Cisza rozpaczy, cisza namysłu, cisza pokoju: każda jest inna, a ta tchnęła z wątpieniem. Wówczas ktoś powiedział:

– Kiedyś mnie zgwałcili, dawno temu.

Była to staruszka, wciąż jeszcze kipiąca werwą. Spojrzała na fircyka i wycelowwała palcem we mnie.

– I chciałabym, żeby tamtego dnia był obok mnie taki „chłopaczek”. – A spojrzawszy z kolei na mnie, dodała: – Stare pudło ze mnie, ale jak każesz, to rozwalę kamieniem łeb każdemu, kto przejdzie przez te drzwi. Co mam do stracenia?

Rozległ się szmer głosów. Słowa jej, skromne i proste, miały w sobie moc, która lęk przemieniła w gniew. Do stołu podszedł Peret. Złapał mnie za kostkę i powiedział ledwo żywy ze strachu:

– Ależ, Martí, chłopcze, co my możemy zrobić, nieboraki?

– Przede wszystkim, położyć na tym stole całą broń, jaką mamy – odparłem.

Zeskoczyłem na ziemię, a mężczyźni, którzy mieli przy sobie broń, zostawili ją na stole. Jak to zwykle bywa, najbardziej uzbrojeni są najwięksi tchórze, fircyk bowiem wyciągnął dwa pistolety i sztylet. W sumie zgromadziliśmy sześć pistoletów i piętnaście noży różnych rozmiarów. Żałosny arsenał.

– Wspaniale! – wykrzyknąłem, wspinając się na wyżyny sztuki aktorskiej. – Widzicie? Moglibyśmy tym obronić Sagunto^[51].

Wspomniałem już, że katalońska *masía* jest w zamyśle miniaturową fortecą, zdolną odeprzeć ataki z czterech stron świata. Ściany grubości murów obronnych, okienka wąskie jak strzelnice, kamienne stropy, których nie strawi ogień; i chociaż budynek był w połowie ruiną, nadal stanowił całkiem przyzwoite przedpiersie.

Poprosiłem, żeby kobiety ułożyły duże kamienie w stosy. Dach był częściowo zawalony. Z gruzu i resztek mebli mężczyźni zbudowali prowizoryczne schody na górę. Mogli stamtąd strzelać albo chociaż obrzucić kamieniami każdego, kto się zbliży. Z tego, co zostało, wznieśliśmy przy drzwiach barykadę, bardziej symboliczną niż rzeczywistą. Kazałem dzieciom przeszukać wszystkie kąty. Przykucnąłem przed Anfanem.

– Poszukajcie pod podłogą, na pewno coś znajdziecie.

I znaleźli. Każda *masía* miała własny skład broni. W podłodze izby służącej kiedyś za małżeńską sypialnię Anfán i Nan odkryli zakurzoną klapę. Pod nią leżały cztery karabinki. Zardzewiałe, dwa pozbawione kolby, ale koniec końców – karabinki.

– Co niby mamy zrobić z tym złomem? – powiedział ktoś.

– Wyczyścić lufy.

– Już tu są! – odezwał się któryś z wartowników; jedyne, czego mieliśmy pod dostatkiem, to oczy.

Przez dłuższą chwilę jeźdźcy krążyli wokół domu, węsząc i nic poza tym. Ja biegałem od ściany do ściany, pytając przyczajonych ludzi:

– Co robią?

– Nic. Jeżdżą i patrzą.

Dla obrońcy oczekiwanie na atak jest nieskończenie gorsze od samego szturm; trzeba było za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by wyobraźnia podsunęła nam przerażające sceny walki. Postanowiłem wyjść. Amelis próbowała mnie zatrzymać.

– A kto niby ma paktować? – powiedziałem. – Ten fircyk? Peret? Upewnij się, że Nan i Anfán nie ruszą się na krok od ciebie.

– To zbóje! Z nimi nie można się dogadać.

Z oczu wytrysnęły jej łzy gniewu. Była na mnie wściekła, jakbym właśnie wyznał, że mam kochankę. Uderzyła mnie obiema pięściami w pierś:

– Zabijają cię! Zabijają!

Odwróciła się na pięcie i odeszła. (A nie mówiłem? Łatwiej dogadać się z bandytą niż z kobietą. A ty nie patrz tak na mnie, tylko pisz).

Odsunęliśmy kruchą barykadę od drzwi i wyszedłem.

Jeden z rozbójników spał konia i podjechał bliżej. Zatrzymał się jakieś dziesięć metrów ode mnie, przyglądając mi się bacznie. Udawałem obojętność, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Zmusiłem się do uśmiechu i na powitanie uniosłem dwa palce do trójgraniastego kapelusza. Zawrócił. Zaraz potem pojawił się dowódca w asyście ośmiu jeźdźców, czterech po każdej stronie. Ballester.

Zmienił się od czasu naszych spotkań w Beceite i na stacji pocztowej. Zmęźniał, bardziej teraz pasował wyglądem do owego życia w ciągłej walce i ucieczce. W jego twarzy uwagę zwracały zwłaszcza zapadnięte oczy, jakby oczodoły były dwakroć głębsze niż u innych ludzi. Nie był szczególnie szpetny, jako że okrucieństwo potrafi być pociągające. Jednakże nieufny wzrok, brwi czarne i grube niczym powrozy oraz gęsta kuczka broda sprawiały wrażenie, iż wiek był dlań czymś nieistotnym. Dwa okazałe pistolety sterczące na wysokości żeber przypominały, że w razie potrzeby mógł sięgnąć po nie w mgnieniu oka.

Wyraz oczu Ballestera zapamiętam na zawsze. Jego wzrok posługiwał się własną mową. Wewnętrznie sprzeczną. Mówił: „zabiję cię”, a jednocześnie: „pogadajmy”. Ci, którzy nie umieli dostrzec tego drugiego, uciekali. Ja zaś rzekłem:

– Dzień dobry.

– Z pewnością dobry – odparł. Ręce wsparł o łęk siodła i patrzył w górę z miną chłopskiego filozofa. – Bardzo dobry.

– Czego sobie waść życzysz? – zapytałem.

Obraził się. Spiał konia i okrążył mnie kilka razy, co rzecz jasna miało mi napędzić stracha. Niemal słyszałem bicie serc w masii. Podniosłem głos:

– To niegrzecznie rozmawiać z kimś, siedząc w siodle i patrząc na niego z góry, kawalerze.

Odwrócił się do swoich ludzi:

– Kawalerze! Słyszycie? Zostałem kawalerem!

Zbóje głośno zarechotali z uciechy. Ballester skłonił się z drwiącą uprzejmością i zeskoczył z konia.

Nie śmierdział. Wydało mi się to dziwne, ponieważ jako syn kupca morskiego, nieobeznanego z interiosem, zostałem wychowany w przekonaniu, że miqueleci kąpią się w kotłach z piekielną siarką. Ballester pachniał czystym popiołem, tymiankiem, rozmarynem. Jego ludzie też.

Minął rok, odkąd skrzyżowały się nasze drogi, ale nie pytał, tylko stwierdził:

– My się znamy.

– Też mi się zdaje, że mieliśmy przyjemność – powiedziałem beznamiętnym tonem – dokonać wymiany handlowej. Ja zostałem z niczym, a waść zgarnąłeś wszystko.

Zignorował moje słowa i wskazał na dom.

– Dlaczego się tam zamknęliście?

– Twoja sława kroczy przed tobą.

– Na miły Bóg! A cóż to za sława?

Jako że postanowiliśmy się bronić, nie okazałem słabości.

– Sława potwora, mordercy i bandyty. Pod pozorem walki w imię ojczystej Katalonii napadasz waszeć na bezbronnych podróżnych. Okradasz ich albo porywasz. Jeżeli okup nie przyjdzie na czas, przypiekasz pięty swym ofiarom. O ile jesteś w dobrym humorze.

Postanowił widać, że nie da się sprowokować, odrzekł bowiem:

– Doprawdy? A waść wierzysz we wszystko, co ludzie mówią?

– Wiem, że niektórych rozdiewasz do naga, wieszasz i porzucasz.

Parsknął śmiechem.

– Z tego, co mi wiadomo, nie wziąłem nic twojego – przerwał i dodał ponurym tonem: – I ty, botiflerze, śmiesz nazywać mnie złodziejem?

Skoro chciałem paktować, nie należało pozwalać mu na sarkazm. Ballester i ja staliśmy w połowie drogi pomiędzy jego oddziałem a masią. Zdjąłem kapelusz. Był to umówiony znak, żeby moi ludzie wystawili przez drzwi, okna i dziury w dachu całą broń palną, włącznie z zardzewiałymi karabinkami, które kobiety wyczyściły szmatami i śliną.

– Panie – skłamałem – dwadzieścia strzelb celuje prosto w twoją głowę. Nasi jeźdźcy wyruszyli galopem, żeby zawiadomić Straż Pokoju^[52]. Przybędzie lada

chwila. Wiedz, że jesteśmy ubogimi ludźmi. Nie znajdziesz tu bogatych łupów. Jeśli dojdzie do walki, to tylko z twojej winy.

Mówiłem krzycząc prawie, żeby wszyscy mnie usłyszeli. Chodziło o prosty bilans zysków i strat: jeżeli uznają, że atak jest nieopłacalny, odejdą. I nawet gdyby uwierzyli tylko w połowę moich kłamstw, było tego dość, by skłonić ich do zastanowienia. Na nieszczęście, okazja do gwałtu dokonała w Ballesterze niepokojącej przemiany. Z każdym mężczyzną tak jest, lecz w nim jakby coś wybuchło. Oczy zapadły mu się jeszcze głębiej. Niebieska żyła widoczna na prawej skroni nabrzmiała i zaczęła pulsować. Po latach poznałem jego intymne przeżycia towarzyszące zbrodni: kiedy miał kogoś zabić, jego pot wydzieliał specyficzną, ostrą woń. Przemówił. Jego głos zmienił się w przerażający syk, żyła na skroni przypominała tłustą glistę.

– Jak twoi mnie zabiją, moi zabiją ciebie, głupcze.

– Zapewne – odparłem, również szeptem. – Czyli mamy remis.

I wówczas dobiegł nas krzyk wystraszonego dziecka.

Zbliżał się ku nam jeden z jeźdźców, roześmiany, z Anfaniem pod pachą. Chłopiec się szamotał i wrywał. Widząc mnie, wyciągnął ręce z rozczapierzonymi palcami i zaczął piszczeć jeszcze bardziej rozpaczliwie.

Ballester musiał dostrzec zmianę w mojej twarzy, bo skrzywił się raczej, niż uśmiechnął, i powiedział:

– Twój remis właśnie poszedł się pieprzyć.

Wszyscy miewamy w dzieciństwie koszmary, w których coś wciąga nas do ciemnej studni, gdzie czają się złowrogie macki. Dla Anfana to nie był sen, tylko jawa. Miałem go o dziesięć metrów, dziesięć metrów równie dalekich od zbawienia jak świat.

Ten malec był przy mnie już od roku. Odziewałem go i żywiłem. Sypiał razem ze mną i moją kobietą. Łajałem go i karcilem nieskończoną ilość razy, aż stał się trochę lepszy niż wtedy, kiedy go poznałem. Tylko trochę, ale aż do tego dnia nigdy nie widziałem, żeby płakał naprawdę. Zawsze udawał.

Poczułem, że oczy przesłania mi czerwona mgła, opada niczym kurtyna z góry na dół. Gdy się odezwałem, nie rozpoznałem własnego głosu:

– Macie go wypuścić! Ale już! A jak nie, to przysięgam na prochy mojej matki, że was pozabijam. Ciebie i to zwierzę, które go trzyma. – I dodałem tak cicho, że z trudem mogli mnie usłyszeć: – Przysięgam.

Przez nieskończenie długą chwilę Ballester patrzył mi niewzruszony w oczy. Anfán wił się i szarpał, a ja byłem o krok od szaleństwa. Być może Ballester to zrozumiał: z wariatami się nie zadziera. Dał znak głową, tak jakby nie o niego mi chodziło, i jeździec postawił chłopca na ziemi.

Anfán zaczął biec tak szybko, że potykał się, przewracał i wstawał, i znów się przewracał. Ledwo żywy ze strachu, z warkoczykami koloru słomy

powiewającymi na wietrze, umykał co tchu, lecz gdy tylko oddalił się od zbója na bezpieczną odległość, przystanął, pokazał mu język i w obelżywym geście zgiął rękę w łokciu. Rozpłakał się znowu i biegł dalej, dopóki nie poczułem, że z całej siły obejmuje mnie w pasie.

Ballester zostawił nas i odszedł. Była to przedziwna chwila. Nawet gdyby trzymało go na muszce tysiąc karabinów, nikt nie pociągnąłby za spust, wszyscy bowiem zamarli w oczekiwaniu na to, co powie. Ciskając gniewne spojrzenia, przechadzał się tam i z powrotem przed broniącą drzwi barykadą.

– Wiedziecie spokojne, szczęśliwe życie – zagał. – Wasz świat to czekoladiady i pieprzenie się po krzakach. Głupcy! Niebo może runąć na nas, kiedy najmniej się spodziewacie.

Aby okazać swą prorocką pogardę, odepchnął dłonią lufę jednej z mierzących weń strzelb. Nie zareagowałem. Dałem obłąkanym uspokajający znak, umniejszając wagę owego wyzywającego gestu Ballestera. Lepiej było pozwolić mu się wygadać i niech się wynosi. Zresztą w owej chwili było już oczywiste, że to zwykła fanfaronada, bo chce zachować twarz wobec swoich ludzi.

– Wierzycie w kłamstwa Generalitat tylko dlatego, że ogłasza je na papierze. Ilu znacie biedaków, których skrzywdziłem? Setki razy dawałem na mszę, łożę na przytułki dla sierot... Litości nie mam tylko dla botiflerów i czerwonych aksamitników.

(Chodziło mu o ministrów Generalitat, noszących czapki i szaty z czerwonego aksamitu. Już to mówiłem? A co tam).

Z wnętrza masii rozległ się czyjś głos:

– Zgwałciłeś kuzynkę mojego zięcia, taki synu! Powinieneś wisieć na najwyższym drzewie!

– To kalumnie! – odkrzyknął Ballester, odwracając się w stronę, z której dobiegał ów głos. – To był ktoś, kto się pode mnie podszywa. Czy znajdzie się ktoś, kto wierzy, że Ballester musi płacić kobietom za miłość? Albo gwałcić?

Zza barykady wyrzała rozsierzona starowinka, ta sama, która wzięła mnie w obronę przed fircykiem. Wychylona do połowy nad górą połamanych gratów, wygrażała uzbrojoną w kamień ręką.

– Ty czy jacyś inni miqueleci... Co za różnica? Myślicie, że z was tęgie chłopy, bo śpicie przy ognisku i zajadacie dziczyznę. Ty walczysz tylko o swoje, napadasz na spokojnych ludzi, a chcesz nam wmówić, że jesteś jakimś góralskim świętym, bo czasem zabijesz pijanego burbończyka. Na szubienicę!

Ballester pogroził jej palcem, ale odpowiedział z większym niż uprzednio szacunkiem:

– *Mestressa*^[53], jesteś w błędzie. Na tej wojnie ja sam zabiłem więcej Francuzów i Kastylijczyków niż cały królewski pułk.

Nie wytrzymałem i postanowiłem się wtrącić. Stałem, trzymając na rękach

Anfana, który oplótł mnie w pasie nogami jak małpka i tak mocno ścisnął za szyję, że prawie się dusiłem.

– Jeśliś waszeć tak skory do obrony ojczyzny, czemu nie zaciągniesz się pod komendę króla Carlosa?

– Bo jedno wojsko warte drugiego, chociaż nosi inne barwy. Każdy płomień parzy, czy jest czerwony, czy niebieski.

Myślałem, że wreszcie sobie pójdzie, ale zawrócił i powiedział mi na ucho:

– Umiem też dotrzymać przysięgi. Więc słuchaj: jak cię jeszcze zobaczę, tak cię kopnę, że gwiazdy zobaczysz. Zrozumiano?

Anfán przysunął buźkę do twarzy Ballestera, nadął policzki, zacisnął wargi i „pierdnął” mu prosto w ucho. Sądzę, że po raz pierwszy i ostatni widziałem wówczas, jak Ballester uśmieł się serdecznie.

– I powiedz temu swojemu małpisonowi z warkoczykami, że jak się nie nauczy dobrych manier, to wrócę i go zabiorę. – Wytrzeszczył na chłopca oczy, otworzył usta i wykrzyknął: – Buch!

Anfán odwrócił się od niego i jeszcze mocniej uczepił się mojej szyi, piszcząc ze strachu i kopiąc mnie po biodrach. Wśród głośnego śmiechu swoich kompanów Ballester wskoczył na siodło. Zawracając konia, zdjął kapelusz i skłonił się na pożegnanie:

– Panowie! Panie! Życzę przyjemnego dnia.

Do starowinki, która obrzucała go oskarżeniami, rzekł z galanterią:

– *Iaia, t'estimo*. – Babciu, kocham cię.

Spiął wierzchowca ostrogami i odjechali.

Anfán dostrzegł coś na ziemi: Ballester upuścił biczyk. Chłopiec zszedł ze mnie jak z drzewa i wręczył mi owo trofeum.

W dniu mojej śmierci zabiorę ze sobą do grobu widok rozpromienionej buzi tego chłopca, uszczęśliwionego, że daje mi biczyk Ballestera. To nie był podarunek, to było coś, czego w żaden sposób nie można wyrazić słowami. Urodził się złodziejem i fakt, że dzielił się łupem, mówił sam za siebie.

Wyrwałem mu biczyk jednym szarpnięciem:

– Co ci mówiłem? Że masz się trzymać spódnicy Amelis!

Dzień jeszcze się nie skończył. Choć może trudno w to uwierzyć, ale prawdziwie heroiczne chwile dopiero miały nadejść. Po kolacji postanowiłem rozprawić się z Anfaniem.

– Kiedy znalazłeś strzelby, powiedziałem, żebyś został z Amelis – odezwałem się ostro z drugiego końca stołu.

Zareagował jak rozumne zwierzę. Wrodzony instynkt oraz zmysł sprawiedliwości stowarzyszyły się, by obwieścić unisono:

– Ale ci rozbójnicy to złodzieje! – Wskoczył na krzesło w odruchu buntu

i oburzenia. – Dlaczego nie mogę okradać złodziei? – dodał, otwierając szeroko oczy. – A to byli złodzieje!

Peret huknął na niego:

– Głupiś! Kiedy się wreszcie nauczysz, że nie wolno nikogo obrażać? Gdyby nie Martí, smażyłbyś się teraz żywcem na rożnie miqueletów. Głupek!

Sprawę rozstrzygnął ostatecznie Nan, który siedział dotąd spokojnie na krześle i majtał nogami, a teraz, patrząc w podłogę, powtórzył:

– Głupek.

– Będzie kara – oznajmiłem.

Poszedłem do swojej izby po biczyk Ballestera. Wróciwszy, usiadłem i powiedziałem do chłopca:

– Chodź tu.

Jest takie szczególne spojrzenie. Spojrzenie człowieka, który odkrywa, że został zdradzony. Po roku spędzonym pod wspólnym dachem, po sypianiu na wspólnym łożu, miałem się dopuścić wobec niego przemocy. Podszedł, udając obojętność. Wystarczyły te cztery kroki, bym w jego spojrzeniu wyczytał, że chce o mnie zapomnieć.

Wetknąłem mu w rękę biczyk i wyciągnąłem otwartą dłoń.

– Bij.

Z początku nie zrozumiał.

– Bij! – powtórzyłem.

Uderzył mnie delikatnie.

– Mocniej!

Oślupiały, rozglądał się, jakby prosił innych o radę, lecz ja wziąłem go palcem pod brodę i zmusiłem, żeby popatrzył na mnie.

Biczyk trzasnął mnie w rękę.

– To wszystko, na co cię stać? Mocniej!

Uderzył mocniej. Rozciął mi skórę. Na widok krwi cofnął się o krok, wystraszony.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Dawaj.

Znów wyciągnąłem ku niemu krwawiącą dłoń. Uderzył. Chłośniecie pogłębiło ranę i tym razem nie mogłem powstrzymać grymasu bólu.

– Już dosyć – prosiła Amelis.

– Cicho bądź! – wrzasnąłem i spoglądając na Anfana, przynagliłem go: – Bij albo idź i nie wracaj!

Podniósł biczyk. Podetknąłem mu rozciętą rękę pod nos. Z otwartej rany sączyła się krew.

– Bij! Na co czekasz?

Rozszlochał się, wylewając morze łez. Nigdy jeszcze tak nie płakał. W rękach miqueletów chlipał ze strachu, ale tu przed nami tym strumieniem łez

wyrzygał całe zło świata, całą żółć, jaką mu wszczepiła nasza epoka. Amelis przytuliła go mocno.

– Rozumiesz? – szepnąłem mu na ucho. – Teraz rozumiesz?

Owej nocy Anfán pojął, iż jego ból jest naszym, a nasz – jego bólem. Gorzka to była lekcja, którą wreszcie zrozumiał, ja zaś rozumiałem inną: mianowicie, że czworo ludzi nie zawsze bywa jedynie przypadkowym zbiorem osób, gdyż wszystko się zmienia, kiedy połączy je miłość. Tamtej nocy inaczej spojrzałem na nasze zatłoczone łóżko. Już nie widziałem łokcia, lejka ani uprzykrzonego kosmyka cudzych włosów, który wlaził mi do oczu podczas snu. Wszyscy oni stanowili zamkniętą całość, tak samo jak całość stanowiła sala sferyczna, pominąwszy znajdujące się w niej przedmioty. Patrzyłem na nich, mówię, ze skupieniem wyuczonym w Bazoches, pozbawionym sentymentów, które nie są niczym więcej niż chmury zasnuwające krajobraz umysłu. Nigdy bym nie przypuszczał, że metodyczna obserwacja zawiedzie mnie do czułości. Słyszałem pochrapywanie Anfana, przyglądałem się zamkniętym powiekom Amelis i grymasom Nana, któremu coś się śniło, i rzekłem sobie, że to łóżko, ów niewielki prostokąt, jest bez wątpienia najcenniejszą gwiazdą w całym naszym wszechświecie.



Takie oto dziwne ognisko domowe musiałem w połowie roku 1710 opuścić na czas dłuższy. Dlaczego je porzuciłem? Tu powinienem napisać, jak wyglądała wtedy sytuacja militarna.

Pomimo frywolności barcelończyków, którzy żyli tak, jakby wojna toczyła się gdzieś nad brzegami Renu, ona przybliżała się ku nim coraz bardziej. Faktycznie można by było rzec, iż w roku 1710 już byliśmy oblężeni. Całe terytorium kontrolowane przez Karlangasa ograniczało się do trójkątka, jaki na mapie tworzy Katalonia, z Barceloną pośrodku, gdyż prawie cała Hiszpania pozostawała w rękach Filipka. Dwie Korony wciąż działały zgodnie z diabelsko konsekwentną strategią. Sprzymierzeni – zrywami, po których następowały długie okresy indolencji.

Ponieważ było coraz gorzej, władcy sojuszniczych potęg rzekli sobie, że coś z tym trzeba zrobić. Ilekroć zatem w hiszpańskim teatrze wojny panował zastój, Sprzymierzeni mieli na to jedną radę: wysyłali do Hiszpanii generała, który miał zepchnąć wojenną nawę z mielizny. W owym czasie padło na Anglika Jamesa Stanhope'a. Gdybyż zamiast tego dzieciucha był wtedy z nami drugi Jimmy, drugi Berwick! Stanhope, pyszałek, gwałtownik i pozer, stanowił żywe wcielenie postawy: „szast-prast, i gotowe!”. Jak może się czegoś nauczyć człowiek, który uważa, że wszystko wie? Generał Szast-Prast! Pod takim imieniem powinien być przejść do historii!

Przybył do Barcelony z jasną instrukcją swojego rządu. Londyn miał już dość tej wojny, a misją Stanhope'a było zakończyć ją raz na zawsze. Podjął ów ostatni wysiłek, na jaki Anglia była gotowa się zdobyć, by osiągnąć zwycięstwo. Albowiem ze Stanhope'em przybyły też nowe kontyngenty wojska: holenderska i austriacka piechota oraz dowodzony przezeń znaczny korpus angielskiej kawalerii. Posiłki te, w połączeniu z oddziałami, które jeszcze nie opuściły Katalonii, miały przeprowadzić wielką ofensywę, pomścić Almansę i koronować Karlangasa w Madrycie na króla całej Hiszpanii i wszystkich jej zamorskich włości. I to szast-prast!

W Barcelonie ofensywa obudziła wielkie nadzieje. Księgi historyczne zapominają zazwyczaj o ogromnej rzeszy ludzi towarzyszących ruszającej w pole armii. A ponieważ liczba ciągnących za wojskiem cywilów przewyższa często liczbę żołnierzy, przyjąć trzeba, iż jest to poważne niedopatrzenie. W znacznej części chodziło o osoby, które oferowały swoje usługi: od cyrulików po szewców – profesji niezbędnych przy tak wielkim kontyngencie. Rzecz jednak w tym, że ofensywa z 1710 miała być uderzeniem decydującym. Setki, tysiące hiszpańskich stronników Austrii, wygnanych do Katalonii, ochoczo dołączały do kolumny wojsk z wiarą, iż wreszcie nadeszła chwila, by na rumaku zwycięstwa powrócić do domu.

I na tym nie koniec, albowiem śladem markietan i banitów podążał długi orszak oportunistów. W końcu Katalonia była ziemią najwierniejszą sprawie Karlangasa. Zrozumiałe jest przeto, iż po swej koronacji w Madrycie król powinien nagrodzić sprzymierzeńców rozmaitymi synekurami. A zgadnijcie, kto się znalazł wśród najcwańszych spryciarzy? Tak, tak, drodzy państwo, nasz poczciwy Zuvi. Amelis powiedziałem, że drugiej takiej okazji nie będzie i że jeśli mi się poszczęści, to uszczknę co nieco na spłatę naszych długów.

Jednak prawdziwy powód, jaki skłonił mnie do pociągnięcia za wojskiem Sprzymierzonych, nie miał nic wspólnego z pieniędzmi. Rzecz jasna, tego Amelis nigdy nie zdradziłem. Nie rozumiałaby, że ryzykuję życie dla jednego Słowa.

Kufer Vaubana był przesłaniem z za grobu. Jakby markiz rzekł do mnie: „Dla takiego życia kształcili cię twoi mistrzowie?”. Powiedziałem sobie, że nie mogę przyjąć owej schedy, jeśli nie podejmę ostatniej próby, by pojąć znaczenie słowa, tego Słowa.

„Obrona doskonała”, o to pytał mnie Vauban. Wojska z połowy Europy szykowały się do ataku na jądro hiszpańskiego imperium. Jeżeli chcieli koronować Karlangasa, musieli zdobyć stolicę – Madryt. Hiszpania i Francja uczynią wszystko, co możliwe i niemożliwe, by do tego nie dopuścić. Najtęższe umysły staną do walki na jałowych równinach Kastylii, a sworzniem owej bitwy będzie obrona Madrytu. Zapowiadało to spektakl zarówno tragiczny, jak wspaniały, starcie gigantów. W owym teatrze być może spotkać mógłbym mistrza, który zastąpi markiza. A nuż z jego pomocą wreszcie objawi mi się Słowo? Wyrzuty, jakie czyniła mi Amelis, cieszyły mnie, gdyż jedynym powodem, dla którego chciała mnie zatrzymać, była miłość. Lecz ja miałem dług wobec miłości równie wielkiej.

Byłem to winien Vaubanowi.

Musiałem się jakoś zakręcić koło mojej wyprawy, dogadałem się więc z pewnym handlarzem. Zamierzał ruszyć za wojskiem dwukółką obładowaną beczkami podłej gorzałki. Liczył na to, że gdy żołnierze wkroczą na suche kastylijskie pustkowia, gdzie nie ma jak kupić wina, ceny trunków wzrosną niebotycznie.

Zawarliśmy korzystną dla obu stron umowę. Ja potrzebowałem transportu, a jego wóz miał płócienną budę, która nocą zapewniała nam dach nad głową. Handlarzowi towarzyszył syn, upośledzony na umyśle, niewiele mądrzejszy od psa. Sypiali na przodzie wozu, zaraz za kozłem. Ja i jeszcze jeden pasażer kładliśmy się z tyłu, żeby pilnować ładunku.

Ów drugi pasażer przedstawił się nazwiskiem Zúñiga, Diego de Zúñiga. Minęło osiem dziesiątków lat, a ja wciąż pamiętam, jak niezwykle był to człowiek. Co takiego wyróżniało Zuñigę spośród reszty rodzaju ludzkiego? Otóż, może

zabrzmi to dziwnie, ale nie było w nim nic, absolutnie nic, co by go czyniło wyjątkowym. Nie był ani milczący, ani gadatliwy; ani skąpy, ani rozrzutny; ani wysoki, ani niski; ani wesoły, ani smutny. Każdy ma jakiś charakterystyczny gest, jak sposób przytkania palcami, specyficzny śmiech lub szczególne przechylenie głowy przy spluwaniu. Zúñiga nie spluwał, nie przytykał palcami, a jego śmiech zawsze zagłuszał inni. Przy nim nawet duch byłby bardziej namacalny. Należał do tych ludzi, o których zapominamy, gdy tylko znikną nam z pola widzenia. Prawdę mówiąc, usiłuję odtworzyć w myślach jego twarz i wciąż wymyka się mojej pamięci.

Z tego, co mówił, wynikało, że pochodził ze średniozamożnej rodziny, która ucierpiała wskutek wojny. Ponieważ jego ojciec był jednym z nielicznych Kastyljczyków, którzy opowiedzieli się po stronie Karlangasa, burbończycy odebrali mu rodowy majątek. Będąc już posuniętym w latach, zmarł ze zgrzyoty. Zúñiga był z urodzenia madrytczykiem.

Lubiliśmy się choćby z tego powodu, że mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Przede wszystkim nasze rodziny, wywodzące się z tego samego stanu, nie były ani biedne, ani bogate, a życie zepchnęło nas o kilka stopni niżej w społecznej hierarchii. Byliśmy mniej więcej w równym wieku, a przypadek sprawił, że nawet nazwiska mieliśmy podobne. Sypialiśmy skuleni jeden obok drugiego. Od pierwszego dnia naszej podróży dzieliliśmy ze sobą chleb i wino. Szkoda tylko, że nie był bardziej rozmowny.

Na krótko przed przybyciem do Léridy dogoniliśmy owego gigantycznego węża, jakim była kolumna Sprzymierzonych, pstrokata armia Anglików, Holendrów, Portugalczyków, a nawet Katalończyków (osobny regiment obłąkanych fanatyków, i ja wam to mówię), pod komendą równie urozmaiconego dowództwa. Dobiliśmy do nich, jadąc boczną drogą, prostopadłą do głównego szlaku, i musieliśmy czekać godzinami, aż przejdą wszystkie oddziały, razem z całym ekwipunkiem, armatami, lawetami i spyżą. Pochód kończyli nam podobni: tysiące ludzi ciągnących za wojskiem niczym mewy za rufą rybackiego statku.

Wiedząc, że podróż będzie długa, a moja hiszpańszczyzna nadal kuleje, zabrałem ze sobą najgrubszą książkę, jaką udało mi się znaleźć. Czytywałem ją przed snem, przy blasku ogniska, a nawet jadąc na wozie. Podskakiwałem na wybojach i coraz to wybuchiałem śmiechem, jako że dzieło było wielce zabawne i stanowiło uciechę dla ducha. Opowiem wam teraz pewien epizod, pozornie bez znaczenia, choć z jakiegoś powodu utkwiał mi w pamięci.

Zrobiliśmy postój za Balaguer, na rozległej równinie, zapowiadającej już bezkres kastyljskich pustkowi, a ja dla zabicia czasu sięgnąłem po książkę. I od razu zacząłem się śmiać. Na każdej stronie z pięć razy. Wybuchy owe przyciągnęły uwagę Zúñigi.

– Można wiedzieć, co czytasz? – Zerknął na okładkę, po czym dodał

z mieszaniną niesmaku i rozczarowania: – Ach, to.

Nie pojmując sensu jego słów, wykrzyknąłem:

– Od dawna tak się nie uśmieiałem!

– Jeżeli ironia jest boska, to sarkazm od diabła pochodzi – powiedział Zúñiga. – A zgodzisz się ze mną, że ta książka aż ocieka sarkazmem.

– Skoro pisarz potrafi mnie rozśmieszyć – odparł stary cynik Zuvi – wszystko mi jedno, jak to osiągnął.

– Razi mnie – podjął Zúñiga – że autor z bohaterów czyni najpodlejszych nędzników. A jeśli chcemy wygrać tę wojnę, musimy epikę uwzniościć, nie ośmieszyć.

– Wciąż nie pojmuję, czemu ganisz opowieść tak przyjemną i zabawną. Właśnie czytałem rozdział, w którym bohater uwalnia spętanych jeńców. Rozumuje nadzwyczaj prosto: człowiek rodzi się jako istota wolna, dlatego niedopuszczalne jest, by jeden więził drugiego; a zatem każda szlachetna dusza ma obowiązek się temu przeciwstawić. Z wdzięczności za odzyskaną wolność, rzecz jasna, te hultaje obrzuciły go kamieniami – zacząłem głośno chichotać. – Smutne, dowcipne, błyskotliwe!

Zúñiga nie śmiał się wcale.

– Nie przekonałeś mnie. Wręcz przeciwnie. Albowiem sensem istnienia literata jest przekazywanie wzniosłych myśli pięknym językiem. A tu co masz zamiast tego? Stronice pełne bijatyk i żarcików. Czy tym powinna się zajmować sztuka pisarska?

– Literatura może i powinna uczyć tego, co tylko ona potrafi nam uzmysłwić. Gdyby ktoś powiedział: „W szaleństwie rozsądek jest!”, słowa tak mądre nie byłyby niczym więcej niż sentencją bez dowodów. Wszelako kiedy tę samą myśl podaje się nam ubarwioną dramatycznymi wydarzeniami, nie pozostaje nic innego, jak się z nią zgodzić – potrząsnąłem oburącz grubym tomem. – Tak. Oto wielka prawda zawarta w tej opowieści: że rozsądkiem jest brak rozsądku.

Nazajutrz po naszej literackiej debacie pierwszoplanową postacią stał się Stanhope i jego koniki. Znajdowaliśmy się w okolicy miejsciny zwanej Almenar. Dzień chylił się już ku końcowi i szykowaliśmy się do noclegu, kiedy dotarły do nas pogłoski, że doszło do spotkania wojska Sprzymierzonych z armią Dwóch Koron. Zaproponowałem Zúñidze, żebyśmy tam podeszli zobaczyć, co się dzieje. Zostawiliśmy za sobą karawanę cywilów. Na tyłach kolumny natknęliśmy się na wóz pełen chorych żołnierzy. Kiedy zapytaliśmy ich o nowiny, wskazali na wschód.

– Podobno Stanhope zaskoczył burbończyków.

Podsunałem Zúñidze, żebyśmy wspięli się na niewielki pagórek wznoszący się w pobliżu, bo stamtąd łatwiej będzie obserwować teren.

To był miły spacer. Prawdę mówiąc, poszliśmy tam, bo nic lepszego nie

mieliśmy do roboty. I dlatego, że słońce już zachodziło i o tej porze wspinaczka nie była tak męcząca. Wzgórza koloru ochry porastały krzaki rozmarynu. Pachniało pięknie.

Ze szczytu, niezbyt wysokiego, mieliśmy dobry widok. U naszych stóp rozciągała się równina, z lewej oskrzydłona górami, a z prawej rzeką. W jednym z węższych boków owego prostokąta stał Szast-Prast Stanhope ze swoją konnicą. Jeden tylko regiment w szyku bojowym tworzył szereg długości sześćdziesięciu metrów, Szast-Prast Stanhope przywiódł do Hiszpanii cztery tysiące chłopów, z tych najbardziej krewkich. Jak nie pili i nie galopowali, to sikali swoim „birem” (po ichniemu pisze się *beer*) tak obficie, że Katalończycy przezwali ich *pixabirs*, czyli „sikabirami”. Na drugim końcu prostokąta stało wojsko burbończyków. Ich piechota pospiesznie sformowała tyralierę z nastawionymi bagnietami. Boże mój, jakże wspaniały był widok tysięcy ludzi ustawionych w szyku przed bitwą. A jednak, dzięki biegłości nabytej w Bazoches, zmysły moje dostrzegały coś więcej niż sylwetki i mundury. W całej owej rzeszy ludzkiej, podzielonej na bataliony, moje oczy umiały zobaczyć dusze tych żołnierzy, niby płomyki tysięcy świec drżące przed podmuchem nadchodzącego huraganu.

– O Boże, co teraz będzie?

W moich czasach teoretycy kawalerii wiedli dysputy podobne jak inżynierowie. Oni także podzielili się na, powiedzmy, vaubanowców i coehoornowców. Ich Coehoornem był Marlborough. Tak, tak, ten sam, kuzyn Jimmy’ego: *Marlborough s’en va-t-en guerre, mironton, mironton, mirontaine*^[54].

Do tej pory kawaleria zawsze przestrzegała zasad rozsądku. Jeźdźcy podjeżdżali w stronę wrogiej piechoty, zatrzymywali się na odległość strzału z pistoletu i strzelali. Długotrwały ostrzał mógł sprawić, że piechocie puszczały nerwy i rzucała się do ucieczki. Wtedy, i tylko wtedy, kawalerzyści dobywali szabel i ruszali w pościg za umykającym w rozsypce wojskiem.

Owa lisia taktyka, polegająca na wyczekiwaniu okazji bez podejmowania ryzyka, została przez Marlborough zmieniona. W gruncie rzeczy to, co zaproponował, było cofnięciem się o trzysta lat w sztuce wojennej. Czyż koń sam w sobie nie jest potężną bronią? Marlborough sprawił, że kawaleria powróciła do średniowiecza: koń nie był już środkiem lokomocji, lecz taranem.

Nową taktykę jako pierwsza zastosowała angielska kawaleria. Znalazłszy się na sto metrów od wroga, po prostu się nie zatrzymywała: w pełnym biegu ruszała do szarży. Zmiałała wszystko, co napotkała na swej drodze i po kłopotcie! Szast-prast!

(A ty, moja Niemruniu, jak myślisz? Której z tych dwóch teorii hołdował Szast-Prast Stanhope? Brawo, zgadłaś! Spryciula z ciebie!).

Słońce niknęło już za horyzontem, pomarańczowe półkole w fioletowej aureoli. Wielką niewiadomą pozostanie, dlaczego Hiszpanie nie zrobili dosłownie

nic. Kiedy dotarliśmy z Zúñigą na wzniesienie, oba wojska już od dłuższej chwili stały naprzeciw siebie. Hiszpanie mieli dość czasu, by się przegrupować, a nawet wycofać. I co? I nic. Czekali, smażąc się w letnim skwarze. Może dolina była za wąska na jakikolwiek manewr, może nie znali nowej taktyki i sądzili, że jeźdźcy tylko pogrożą im pistoletami i karabinami. A może po prostu, jak zwykle, ich dowódcy byli bandą tępaków?

Zobaczyliśmy, że Sprzymierzeni ustawiają na wyniosłości terenu baterię sześciu armat. I zaraz otworzyli ogień, by osłonić szarżę kawalerii. Stanhope ustawił swoje wojsko w dwóch liniach. Na dany rozkaz pierwszy szereg chwycił szable w dłoń i ruszył do szarży, wyjąc niczym wataha zachrypniętych wilków.

Wierzcie mi na słowo, że niewiele jest na tym świecie rzeczy bardziej przerażających od szarży kawalerii o zmierzchu. Tysiące potężnych kopyt, bębniących w ziemię z impetem spłoszonego stada; nasze wzgórze zadrżało w posadach, ze zboczy staczały się kamienie i grudy gliny.

W owym czasie wojsko burbończyków cierpiało na niedobór żołnierza. Na początku roku większość francuskich oddziałów powróciła do kraju, aby wzmocnić front na Renie, a jakoś hiszpańskich rekrutów pozostawiała wiele do życzenia. W każdym razie nie trzeba było być generałem, aby dostrzec słabość armii Dwóch Koron. Kiedy widziało się ową masę czerwonych kurtek pędzącą co koń wyskoczy na wątył szereg białych żołnierzyków, z góry było wiadomo, jak to się skończy.

Hiszpańscy żołnierze trzęśli się jak galareta, chociaż oficerowie aż zachrypli od krzyku, próbując zaprowadzić porządek. Szereg zafalował. Biedni chłopcy. Nie minęły nawet cztery dni, odkąd wzięto ich do wojska, a już musieli odeprzeć szarżę wyborowej angielskiej jazdy. Policzyłem sobie szybko: cztery tysiące koni, każdy po jakieś trzysta kilo, dodać wagę jeźdźca, średnio siedemdziesiąt, dawało razem ponad milion czterysta tysięcy kilogramów, pędzących trzydzieści kilometrów na godzinę, prosto na ledwo żywych ze strachu niedorostków. Tuż przed zderzeniem odwróciłem głowę, żeby na to nie patrzeć.

W niektórych punktach bagnety stawiały nadspodziewany opór. W innych szereg runął jak zmurszały ostrokół. Nawet odgłos przypominał trzask tysiąca łamanych pali. Jednakże, mimo iż w tym wypadku decydujący był impet uderzenia, na polu bitwy pod Almenar nauczyłem się czegoś, co potwierdzało się potem wielokrotnie: a mianowicie, że rejterada w większości przypadków zaczyna się, co dziwne, na tyłach.

Od owej chwili bitwa stała się zwykłym polowaniem na ludzi. Dla kawalerzysty w plecach uciekającego człowieka tkwi jakiś magnetyzm. Instynkt pcha go do pościgu i rozłupania czaszki jednym cięciem szabli. Co do ściganego, to nie ma słów, które mogłyby opisać jego udrękę. Jeśli nie dosięgnie go szabla, to stratują końskie kopyta.

Opisałem pole bitwy jako dolinę, ograniczoną z lewej strony górami,

a z prawej rzeką. Aby dostać się nad rzekę, trzeba było zejść do stromego, głębokiego wąwozu. W trakcie ucieczki setki ludzi zostało zepchniętych na jego dno przez własnych towarzyszy. Spadali, odbijając się od skał na zboczu, a ci, którzy przeżyli, próbowali przepłynąć się wpław na drugi brzeg. Reszta rozpierzchła się na wschód.

Umykający w rozsypce burbończycy porzucali działa i ekwipunek. Wskazałem na linię horyzontu i krzyknąłem do Zúñigi:

– Patrz! Tam, wysoko, w tej kępie drzew! Widzisz? Toż to Filipek we własnej osobie. Czmycha jak niepyszny, razem ze swoją najemną gwardią!

Sikabiry Stanhope'a zajęte były pogonią za burbończykami. Ci zaś pozostawili wszystkie manatki, włącznie z pełnym wszelkiego dobra taborem, który Filipek wlokł ze sobą. Już to mówiłem wcześniej: pierwsi zawsze będą pierwszymi, a pośród takiego zamieszania można było chapnąć spory kęs. Cały wóz z królewską zastawą, pięćdziesiąt par wykwinionych trzewików, i co tam jeszcze uda się zwędzić. Poza tym ściemniało się, więc łatwo nam byłoby się ukryć. Jęki konających unosiły się niczym chór żab o zmierzchu nad sadzawką. Dziesiątki szabrowników już się tam zbiegło, przeskakując pomiędzy ciałami poległych. Zauważyłem, że mężczyźni szukali przy nich klejnotów i monet, a kobiety zdzierały z trupów buty i odzienie.

– Lepiej będzie się rozdzielić – powiedziałem do Zúñigi. – Jak coś znajdziemy, zagwiżdżemy trzy razy.

Każdy poszedł w swoją stronę, lecz ja po chwili dałem za wygraną. Była już prawie ciemna noc. Przystanąłem nad opadającym ku rzece urwiskiem. Może, rzekłem sobie, stoczył się tam jakiś wyładowany wóz. Gdybym ja był burbończykiem strzegącym królewskich krucyfiksów i złotych nocników, prędzej wrzuciłbym wszystko do wody, niż oddał wrogowi.

Zbocze było strome, więc schodziłem bardzo ostrożnie. Nie znalazłem nic ciekawego. Tylko kilka trupów leżących na brzegu. Po obu stronach rzeki rozciągały się uprawy, stratowane przez ciągnące tędy wojska. Kiedy wracałem do obozowiska, zaczął świecić księżyc i w jego blasku nagle zobaczyłem Zúñigę.

Wychodził z kamiennej szopy, służącej za składzik wieśniakom.

– Diego! Tu jesteś! – wykrzyknąłem!

Zaskoczył go mój widok. Wszedł do szopy, żeby trochę poszperać, powiedział, ale nic tam nie ma. Gdyby nie mój wyczulony węch, odwróciłbym się na pięcie i tyle. W Bazoches wyćwiczone moje oczy, moje uszy, a także nos: wszystkie zmysły. W chwili, gdy Zúñiga zamykał skrzypiące drzwi, do moich nozdrzy doleciał podmuch powietrza, wypchnięty ich ruchem z wnętrza. Znajoma woń. Szczególna woń. Zmieszana z innymi, zwykłymi zapachami, jak zapach suchego ziarna i zwietrzałej słomy. A wśród nich tamta woń. Mój węch jej nie zapomniał; moja pamięć, tak.

– Pozwól, niech się rozejrzę – powiedziałem.

– Mówię ci, że nic tam nie ma. Chodźmy – próbował mnie powstrzymać Zúñiga.

Odepchnąłem go i wszedłem. Ta woń, ta woń, nieprzyjemna, a zarazem kusząca. Co miała wspólnego ze mną, co mi przypominała? Było ciemno choć oko wykol, przyświecał mi tylko blask księżyca, wciskający się przez szpary na kształt rozjarzonych srebrzystych drucików. Narzędzia do uprawy roli pokryte były rdzą, a zrzucone na stertę kolby kukurydzy gniły w zapomnieniu. W głębi jakiś bezkształtny toból nakryty starym workiem. To tam. Każdy z nas ma właściwy sobie zapach, a strach jeszcze go wzmacnia. W nagłym przeblysku pamięci przypomniałem sobie wreszcie, kto wydzielał ów odór brudnych pryszczycy i tłustej, gęstej ropy.

Szarpnąłem za sparciałe płótno. Był tam. Kulił się w kącie jak skorpion pod kamieniem. Joris Prosperus van Verboom. I jak przy spotkaniu ze skorpionem, przydepnąłem mu obcasem łeb, zanim zdążył się poruszyć.

– Mam cię – powiedziałem.

Odwróciłem jego zwaliste cielsko na plecy i puściłem pięści w ruch.

– Martí! Przestań, zabijesz go!

– Ty go nie znasz – odparłem, łapiąc oddech.

I dalej lałem Verbooma po gębie. Wrzeszczał po francusku, po hiszpańsku i po ichniemu, w jednym z tych niderlandzkich narzeczy. Zúñiga ułapił mnie, mitygując:

– Powtarzałeś mi setki razy, że zwykli ludzie nie mają nic do tej dynastycznej wojny! A teraz chcesz zabić tego nieszczęśnika!

– Nieszczęśnika? – przerwałem na chwilę lanie i zasapany spojrzałem na Zúñigę. – Nieszczęśnika, mówisz? To jest Prosperus van Verboom!

Verbooma ocalił Zúñiga. Kiedy usłyszał, że to jakaś gruba ryba, ubłagał mnie, bym darował mu życie, bo możemy go wziąć jako jeńca i zażądać okupu. Byłem na tyle głupi, że się zgodziłem.

Verboom spadł z konia, trafiony odłamkiem armatniej kuli. Lekko ranny, widząc, że się zanosi na klęskę, doczołgał się do szopy, w której znalazł przygodne schronienie. Co prawda, to prawda – dostaliśmy za niego sowitą nagrodę. Sam Szast-Prast Stanhope życzył sobie nas poznać i osobiście nam powińszował.

Serce aż podskoczyło mi do gardła. Czy to znak dany od Mystère'a? A może Stanhope, zanim wstąpił do kawalerii, służył jako inżynier? Może to on będzie moim nowym mistrzem? Odpowiem wam najkrócej, jak się da: nie. Wydawał mi się ostatnim człowiekiem, w którym mogłem upatrywać moralnej ostoji. Wszyscy znamienici jeźdźcy wyglądają na małych, kiedy zsiądą z konia. Stanhope nie tylko tak wyglądał. On taki był. Równie mały wzrostem jak rozumem, pyszałkowaty i zarazem przymilny. Zaciągnął nas do swojego namiotu tylko z jednego jedyne

powodu: aby, chwając nasz wyczyn, wywyższyć siebie, albowiem kiedy od niego wyszliśmy, wszyscy obecni wiedzieli już, że jeśli Sprzymierzeni wygrali bitwę, a nawet wzięli jeńców tak znacznych jak Verboom, nie zawdzięczali swego zwycięstwa połączonym armiom, ani tym bardziej takiemu królikowi jak Karlangas, lecz tylko i wyłącznie temu, że do Hiszpanii zawitał geniusz imieniem James Stanhope.

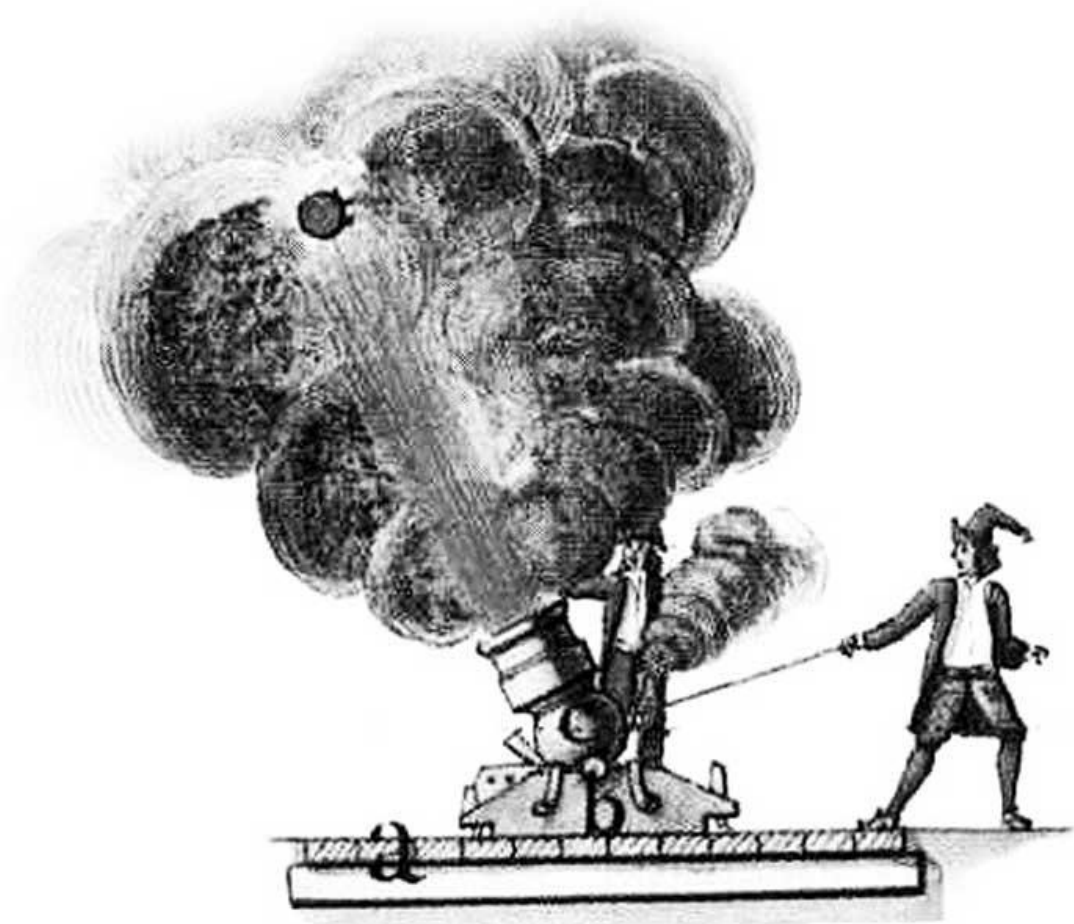
Po audiencji Zúñiga zapytał mnie o Verbooma:

– Co on ci zrobił, że tak go nienawidzisz?

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Minęło sporo czasu od naszej kłótni w Bazoches. Pomyślałem o Jeanne i poczułem ukłucie w piersi. Jednak chciałem wierzyć, że moja niechęć do holenderskiego kielbaśnika brała się z czegoś więcej niż osobista uraza.

Verboom był złym człowiekiem. I jeżeli uważnie przeczytacie to ostatnie zdanie, przyznacie, iż nic gorszego nie można o kimś rzec. To jakby powiedzieć: „Świat bez ciebie byłby lepszy”. W sprawiedliwym świecie dla Verbooma nie byłoby miejsca, a ze świata niedoskonałego należało go wygnąć, żeby uniknąć większego zepsucia. Nie uczyniłem tak, czego miałem potem gorzko pożałować, jak to zwykle się dzieje, gdy zysk stawiamy wyżej od sprawiedliwości.

(A ty jak uważasz? Zakończenie rozdziału nie jest zanadto moralistyczne? Ach tak, tobie się podoba. Dobra, w takim razie nie ma dyskusji: wywal to. Na pewno będzie lepiej).



Zwycięstwo pod Almenar było przełomowe. Nikt nie wątpił w to, że Dwie Korony ponownie staną do bitwy. Jednak liczba strat, umiarkowana, nie odzwierciedlała rozprężenia panującego w szeregach.

Bez kontyngentu francuskiego Filipek mógł liczyć tylko na hiszpańskich rekrutów, którzy jak się okazało byli bardziej zieloni niż trawa. Kolejne starcie rozegrało się pod Saragossą, nad brzegami Ebro. Filipkowi poszło jeszcze gorzej niż w Almenar. Dzień ów zakończył się zdobyciem osiemdziesięciu chorągwi, wzięciem do niewoli sześciuset burbońskich oficerów i dwunastoma tysiącami strat wśród żołnierzy piechoty.

Po wiktorii pod Saragossą Sprzymierzeni wstrzymali działania, żeby zdecydować, co robić dalej. Stanęli w miejscowości zwanej Calatayud i zwołali radę wojenną, w której wzięło udział aż dziewięciu generałów różnej narodowości. Portugalczycy, co zrozumiałe, byli za tym, by utworzyć korytarz do Portugalii. Tym sposobem Lizbona i Barcelona zjednoczyłyby się pod skrzydłami sprzymierzonych armii. Inni chcieli zająć północ kraju. Gdyby zdobyto Nawarrę, argumentowali, granica z Francją zostałaby odcięta, a Filip V nie mógłby otrzymywać wsparcia od swego dziadka. Karlangas się wahał. Ale wtedy wkroczył Szast-Prast Stanhope. Północ, Nawarra? Zachód, Portugalia? On przybył tu z wyraźnym rozkazem, by Karlangasa intronizować jako Carlosa III Hiszpańskiego, a potem wrócić do domu. I to właśnie zamierza zrobić. Wygląda na to, że huknął pięścią w stół: albo pójdą na Madryt, albo on zabiera swoich sikabirów i pa, pa. A więc na Madryt!

Wojsko stronników Austrii nigdy jeszcze nie było machiną tak precyzyjną jak w przeddzień Saragossy. Jeśli idzie o żołnierzy, to od czasów Hannibala nie widziano armii tak różnolitej. Towarzyszyłem im w marszu długie miesiące i mogę powiedzieć, że dobrze ich poznałem.

O ile angielscy oficerowie byli prawdziwymi dżentelmenami, o tyle ich żołnierze stanowili zgraję najgorszego w całej Europie hultajstwa. W korpusie portugalskim kolejność była odwrotna: żołnierze, wspaniali chłopcy, karni i zahukani, służyli pod rozkazami oficerów, którzy wyglądali na handlarzy niewolników. Holendrzy dzielili się na dwie grupy: pijaków i kiepskich pijaków.

Postawę jednych narodowości względem innych można by określić jako: „dajcie im łyk, ale nie wypuszczajcie flaszki z ręki”. Anglicy żywili względem Portugalczyków bezbrzeżną pogardę. Uważali ich za coś gorszego od Hiszpanów, a to już mówi samo za siebie. Portugalczycy zaś, jak łatwo się domyślić, mieli zdanie zgoła odmienne. No bo jak to, pytali się, tacy mądrale z tych Anglików i tacy bogacze, a ostatecznego zwycięstwa jak nie ma, tak nie ma.

Cóż, wyglądało jednak na to, że w końcu nadejdzie, gdyż owej jesieni roku

1710 wojsko Sprzymierzonych kroczyło niepowstrzymanie ku sercu Kastylii. No dobrze, teraz pewnie ciekawi was, jak broniła się stolica przed tą armią. Odpowiedź jest prosta: nie broniła się wcale.

Dziewiętnastego września dwaj angielscy dragoni dotarli na przedmieścia Madrytu. Zdumieni, przekazali nam wieści, że nie napotkali oporu, nie natknęli się nawet na marny batalion milicji. Ja osłupiałem nie mniej niż owych dwóch dragonów. Jak to? Nie będzie walki? No właśnie. Nie było. Ani jednego wystrzału! I po to przemierzyłem taki szmat drogi? Kiedy miasto zamajaczyło nam w dali, Zúñiga powiedział mi, że w Madrycie nie ma fortyfikacji. Otaczał go tylko zwykły kamienny mur, którego jedynym zadaniem było kierowanie podróźnych na rogatki, gdzie pobierano od nich cło za wwożone towary. Brawo, Zuvi!

Karlangas szykował swój tryumfalny wjazd do stolicy, a my tymczasem wysforowaliśmy się przed wojsko. Moje pierwsze wrażenie było takie, że Madryt jest miastem opuszczonym przez Boga i ludzi, a jego ulice zieją pustką. Myliłem się. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że wraz z rejterującym ze stolicy Filipkiem odeszło niemal trzydzieści tysięcy jego dworzan i stronników. Nie zostawił im zresztą wyboru: każdy szlachcic lub sekretarz, który nie zechciałby mu towarzyszyć w ucieczce, miał zostać uznany za zdrajcę świętej sprawy burbońskiej.

Najlepszą kwaterą, jaką udało nam się znaleźć, okazał się stryszek nad jakąś gospodą. Dach był tak pochyły, że w najniższej części musieliśmy chodzić na czworakach. Wygody ograniczały się do dwóch sienników, dwóch miednic i jednego okna. Tak czy inaczej, nie było na co narzekać, bo za nami nadciągał główny korpus armii. Aby uczcić swój powrót do miasta, Zúñiga zabrał mnie do jednej z liczniej uczęszczanych karczm. Kiedy opróżnialiśmy dzban za dzbanem, podszedł do nas szynkarz, który usłyszał, jak rozmawiamy.

– Jak to, panowie – powiedział – nic nie wiecie? Sprzymierzeni wejdą lada chwila. – Rozejrzał się na boki, jakby się bał, że ktoś nas podsłucha. – Dziesięć dni temu francuscy poddani dostali rozkaz opuszczenia Madrytu. Gdzieście się uchowali, że tego nie wiecie? A Sprzymierzeni nie kochają Francuzów, oj nie!

Popatrzyliśmy z Zúñigą na siebie. Domyśliliśmy się, że karczmarz wziął mój kataloński akcent za francuski. Diego wrzucił ramionami, jakby chciał powiedzieć: a niech tam, po co go wyprowadzać z błędu?

– Na Boga! – odrzekłem. – A ja byłem przekonany, że nie słysząc u mnie obcej wymowy.

– Oj, słysząc, słysząc! – powiedział karczmarz. – I możesz pan napisać sobie biedy.

– Bieda w tym – wpadłem mu w słowo – że ja nie mogę wyjechać z Madrytu. Prawdę mówiąc, dopiero mnie tu przysłali. Pojmujesz?

Poczekalem, aż sam wyciągnie wnioski. Ludzie lubią uchodzić za bystrzejszych, niż są. Wreszcie oczy mu zabłyśły: „Oto – myślał zapewne – szpieg

króla Filipa”. Dopiero wtedy dodałem:

– Cicho sza! Za chwilę w mieście zaroi się od stronników Austrii. A my musieliśmy przyjechać tak nagle, że jeszcze nie zastanawialiśmy się, gdzie będziemy nocować.

I tak dzięki patriotyzmowi karczmarza zdobyliśmy dach nad głową na owym stryszku. Kiedy już się rozgościliśmy, przedstawił nam sytuację. Dowiedzieliśmy się od niego, że Filipek postanowił posłużyć się bronią niestosowaną w wojnie nowożytnej: cipkami.

Karczmarz wyjaśnił to konspiracyjnym szeptem:

– Kiedy rząd zrozumiał, że utrata Madrytu jest nieunikniona, sprowadził tu wszystkie chore kurwy z Kastylii, Andaluzji, a nawet Estremadury. Na oko są zdrowe, ale roznoszą paskudne choroby. W ten sposób nasi mają nadzieję zdzięsiatkować Sprzymierzonych. Na wszystko, co wam drogie, trzymajcie się od dziwek z daleka.

Nie jest Madryt najpiękniejszą ze stolic. Ulice biegną przypadkowo, ku zgrozie każdego, kto mieni się inżynierem. Nierówności terenu kradną perspektywę gmachom, których fasady są wręcz niewiarygodnie brzydkie. Miejscom publicznym brak przepychu. W Madrycie nie ma zabytków przeszłości, co jeszcze można wybaczyć, jako że zbudowano go niedawno, gdy przeniesiono tu dwór (co nastąpiło zaledwie sto lat przed przybyciem Długonogiego Zuviego). Dopiero wtedy owa prowincjonalna pipidówka została wyniesiona do rangi stolicy. Nie można za to wybaczyć, że miastu wzniesionemu od podstaw pozwolono rozrastać się bez planu, wytyczając strome ulice, wąskie, mroczne i kręte. Wiem, co mówię: w czasie budowy madryccy inżynierowie zapewne stawiali fortece gdzieś na Karaibach. Stołeczne ulice są brudne, a bruk dziurawy, zaniedbany i wyboisty, o ile w ogóle jest. Sami madrytcy mawiają, że najgorszą torturą, jaką mogłaby wymyślić inkwizycja, byłoby wsadzić skazańca do bryczki i wozić go po tych kocich łbach.

Ale kreślę wam tu smętny i wykoślawiony obraz Madrytu. Dla moich zmysłów, wyostrzonych w Bazoches, największą podniecie stanowiło wszystko, co nowe, a jako że nowe było całe miasto, moje oczy i moje uszy czekała prawdziwa uczta. Tak, nauka w Bazoches sprawiła, iż madrycka eskapada stała się odkrywczą wyprawą. Dla pojętnego ucznia Mystère’a świat jest pełen blasku, a bacna obserwacja jeszcze go oświecła. Ludność miejscowa i cudzoziemcy zgodnie wysławiają madryckie niebo. Powietrze w mieście zawsze jest rześkie; zimowe zorze zachwycają subtelnym pięknem, latem zaś, inaczej niż w śródziemnomorskiej Barcelonie, słońce nigdy nie razi oczu. Madrytcy przepadają za mrożonymi napojami, więc śnieg zwozi się tu na grzbietach tysięcy jucznych bydła. W Barcelonie handel lodem nieźle prosperował; w Madrycie –

kwitł. Czyż można marnotrawić czas przyjemniej, niż włóczęc się po brzegach rzeki Manzanares i podziwiając tutejsze ślicznotki? Zwyczajem jest, że panny na wydaniu, wystrojone w najmodniejsze suknie i piękne niczym kwiaty, rozsiadają się w cieniu parasoli, pod czujnym okiem krewnych. Przechodzący obok kawalerowie zwalniają kroku i prawią im komplementy, przyjmowane skinieniem głowy, wzgardą lub pozorną obojętnością.

Na madryckim rynku panuje wieczny harmider. To tam dociera poczta z całego świata, więc ludzie ściągają tłumnie, by poznać i obgadać najświeższe nowiny. Na tym samym placu odbywają się auto da fé, walki byków i egzekucje. Potrójna okazja do zabawy, albowiem gawieź najpierw pasie oczy widokiem pokutników, potem zaczyna się korrida, a spektakl wieńczy jakaś ucieszna kaźń. Publika jeszcze komentuje ostatnie słowa skazańca, kiedy nadchodzą wieści z drugiego krańca imperium, opisujące masakrę dokonaną przez Mapuczów w którejś kolonii albo piracki napad na jeden z karaibskich portów.

Hiszpan nie przejmuje się zbyt losem swoich dominiów. Są tak daleko i przynoszą tak niewiele realnych korzyści, że dobre wiadomości przyjmowane są równie obojętnie jak te złe. Potulność owa ogromnie mnie fascynowała. Mieszkańcowi Barcelony Madryt jawił się jako oaza spokoju. W Katalonii żyło się w stanie wojny, utajonej i chronicznej, wszystkich ze wszystkimi. Biednych z bogatymi, zamożnego wybrzeża z dzikim góralami, miqueletów z cudzoziemcami i gwardii z rozbójnikami. Od strony morza czyhali berberyjscy piraci, których osobliwa działalność handlowa polegała na porywaniu podróżnych i żądaniu okupu. A żeby nie pominąć niczego, dodajmy hordy obrzucających się kamieniami żaków.

W Madrycie, z wielu rozmaitych powodów, tak nie było. Obecność dworu powściągała wszelką przemoc poza przemocą władzy; miasto leżało z dala od wojennych szlaków, a madrytczyki nie są z natury buntownikami. Jak wszystkie dwory, Madryt był plastrem miodu wabiącym roje ludzi, z których niewielu osiedlało się na stałe i którzy, jak wszyscy oportuniści, woleli protekcję od walki. Lecz najdziwniejsze było chyba to, że w Madrycie wojowniczość stanowiła przywilej osobliwej kasty „zamaskowanych” – rycerzyków, którzy ukrywali siebie i swoje twarze pod peleryną i spędzali czas, szukając okazji do zwady.

Jakby życie nie było już i tak wystarczająco niebezpieczne, to jeszcze tylko brakowało tych szaleńców, dziwacznej mieszanki błędnego rycerza z nocnym szakalem. Najdrobniejsza niegrzeczność dawała im powód, by wyzwali cię na pojedynek do ostatniej krwi, i nie przyjmowali przeprosin. Do nich należała noc, dlatego po zachodzie słońca Madryt stawał się miastem znacznie nudniejszym od Barcelony. Bardzo szybko się nauczyłem, że najlepiej uchodzić za biedaka i człowieka podłego stanu, gdyż „zamaskowanym” zabicie byle kogo nie przynosiło zaszczytu. A ponieważ pocziwy Zuvi honoru miał mniej niż Indianin

włosów na brodzie, unikałem ich zakusów bez większych problemów.

A teraz będzie najlepsze. Gdybyście zapytali tego oto żołnierzyka, gdzie oberwał najmocniej, odrzekłby wam bez wahania, że w dwóch miejscach globu: na Tahiti kapitana Cooka i w Madrycie jesienią 1710 roku. Jawnym i ostatecznym dowodem na to, iż świat został źle urządzony, jest fakt, że kurwom trzeba płacić za pieprzenie. (A ty siedź cicho i pisz, dewotko). Ale kiedy rozniosła się bzdurna plotka, że dziwki są agentkami Burbonów, biedaczki nie miały wyjścia i musiały obniżyć stawki, a gdy to nie przyniosło efektu, obniżyć znowu i znowu, choć już nie miały z czego. Było oczywiste, że wszystko to wymyślono, by zastraszyć Sprzymierzonych. A oni to łyknęli. Świadomi, że Filipek jest zdolny do każdej podłości, dzielni wojacy zamknęli się w swoich kwaterach i żeby jakoś się pocieszyć, przerzucili się z kurew na butelczynę. Zaiste, nie sposób przewidzieć, jakimi drogami chadza żołnierska myśl.

Tak czy inaczej, Długonogi Zuvi, jak mówiłem, używał sobie w owych szczęśliwych dniach, ile wlezie. Wojsko wkroczyło już do Madrytu, ale Karlangas zwlekał jeszcze, zajęty własnymi sprawami oraz przygotowaniem wielkiego tryumfalnego wjazdu do miasta. Ja tymczasem rzuciłem się w wir uciech w towarzystwie tanich ślicznotek.

Na początku, bądźmy całkiem szczerzy, popełniłem błąd cudzoziemca.

Pierwszego dnia, spacerując w południowej części miasta, przystanąłem, by przypatrzeć się jednej z owych ponurych, pozbawionych okien fasad. Jakiś niemający widać lepszego zajęcia madrytczyk zagadnął mnie uprzejmie:

– Czemu się acan tak przyglądasz? Myślisz zbudować trefny dom?

– Ani zbudować, ani prowadzić – odparłem naiwnie. – Po prostu chcę się zabawić. Nie wie pan, czy drogo biorą za wejście?

– Ależ skąd – odrzekł ów dobry człowiek. – A niby dlaczego? My tu, w Madrycie, jesteśmy gościnni. Wejdz acan śmiało i sam o wszystko wypytaj.

Faktycznie, drzwi były uchylone, jakby niczego się tu nie obawiano ze strony przybyszów. Wspiąłem się po wąskich schodach. Na piętrze jakaś poczciwa kobiecina łątała bieliznę. Nie powiem, dyskretnie wewnątrz! Ani jednego okna, z pewnością po to, by ukryć, jaką profesją trudnią się mieszkanki.

– Czołem! – powiedziałem. – Ile dziewcząt macie w domu?

Kobieta spojrzała jakoś dziwnie. Może wzięła mnie za woźnego z magistratu, więc czym prędzej ją uspokoiłem:

– Bez obaw, jestem tylko klientem.

W tym momencie wszedł jakiś mężczyzna. Powtórzyłem pytanie. Wyglądał na zaskoczonego, lecz kobieta dała mu do zrozumienia, że nie jestem pierwszym lepszym przybłądą.

– No więc, jest moja małżonka – odpowiedział, wciąż z lekka zdezorientowany – którą już wać poznałeś, trzy córki i moja matka. Ale kim

właściwie jesteś? I dlaczego pytasz o moje kobiety?

– Zatrudniasz własne córki? Takie są madryckie zwyczaje? – oburzyłem się.
– No cóż, nie moja rzecz. Możesz je waść zawołać, z łaski swojej? Chciałbym obejrzeć. A ile bierzesz za numerek? Żadnych figur, zwykle bara-bara. Za mną kawał drogi i jestem zdrowo wyposzczony.

Mężczyzna zsiniał na twarzy i zrobił ruch, jakby mnie chciał wyrzucić za drzwi.

– Spokojnie, zapłacę! – zaprotestowałem. – Rozumiem, chcesz się potargować, ale najpierw podaj cenę. Przyjmujecie katalońskie pieniądze? Jeszcze nie zdążyłem wymienić.

Ku memu zdumieniu chwycił za siekierę. I zamachnął się nią nad głową.

– Słuchaj waść, jestem synem kupca z Barcelony i potrafię twardo negocjować, więc lepiej pofolguj – powiedziałem. – A chcę się tylko przespać z twoimi córkami, mogą być trzy naraz, jeśli dostanę rabat.

Ujrawszy, że rusza na mnie z siekierą w dłoni, rzekłem sobie, że najrozsądniej będzie czmychnąć na schody.

– Twoja strata! – krzyknąłem, pędząc w dół na złamanie karku. – I wiedz, że właśnie zrujnowałeś reputację tego gościnnego ponoć miasta.

Kiedy opowiedziałem to Zúñidze, uśmieł się do rozpuku. „Trefne domy” nie były lupanarami. Nazwę tę nosiły budynki wzniesione z ominięciem przepisów. Zgodnie z obowiązującym prawem król mógł nałożyć podatek na każdego, kto odmawiał przyjęcia na darmową kwaterę dworskich urzędników. Chcąc uniknąć owej daniny, ludzie stawiali domy w taki sposób, żeby ukryć ich prawdziwe rozmiary. Stąd ślepe ściany i nieproporcjonalnie wielkie dachy. Trefne domy! Na miłość boską, skąd miałem o tym wiedzieć? I kto wymyślił taki idiotyczny haracz? Zaiste, bliska obecność dworu to żaden interes.

Jednakże jeśli pominąć drobne nieporozumienia, nieuniknione w obcym mieście, szybko przywykłem do słodkiego madryckiego życia. Całymi dniami skakałem z kwiatka na kwiatek, a kiedy wracałem na stryszek, już w drzwiach dopadał mnie karczmarz patriota.

– Ależ waść utrudzony! Nie zamieniłbym swojego fachu na szpiegowski, o nie, mój panie! Masz takie podkrążone oczy, przyjacielu. Widać, że żywot królewskiego emisariusza rujnuje ciało i duszę.

Tutaj moja kochana, szpetna Waltraud oburza się, protestuje i krzywi, wymyślając mi od wiarołomnych mężów, łajdaków i wykolejeńców, co oczywiście nic nie wnosi do wiedzy o mężczyznach, ale wiele mówi o kobietach. (Myślisz, mój ty prosiaczku, że Amelis czekała na mnie przy krosnach, niby jakaś Penelopa? A poza wszystkim, my się naprawdę kochaliśmy, czego twój ptasi mózdzek nigdy nie zrozumie).

Dwudziestego ósmego września Karlangas wreszcie wkroczył do Madrytu.

Najpierw miał wysłuchać mszy w sanktuarium w Atocha, a następnie wjechać tryumfalnie do miasta. Tryumfalnie! Cha, cha! I jeszcze raz cha, cha! Tu daj długą wiązaną kpin, śmichów-chichów i docinków tysiąc!

Karlangas jechał na białym rumaku, ubrany w wytworne czarne szaty. Trzeba było widzieć jego minę. Albowiem na ulicach nie było nikogo, nikogusieńko, poza pocziwym Zuvim i jakimś kulawym kaleką, który nie zdążył się schować.

To nie był jego król. Madrytczycy nienawidzili Karlangasa równie mocno jak barcelończycy Filipka. W przeddzień wydano rozkaz, by wymyto bruk i przystrojono balkony. A gówno. Gnoju i łajna było chyba jeszcze więcej niż zwykle. Tryumfatora powitały puste balkony i zatrzaśnięte na głucho okiennice. Dzwony były jak na pogrzeb. Nim dotarł do pałacu, jeszcze na Alcalá zawrócił wierzchowca i powiedział podobno:

– Madryt to jedna wielka pustynia!

Nie mogę za to zaręczyć, gdyż w tym momencie defilady już poszedłem z jakąś zdesperowaną kurwą i jójczenie Karlangasa niewiele mnie obchodziło. Tym bardziej że tuż za Karlangasem podążał na swym koniu, też białym, Szast-Prast Stanhope, którego mina była jeszcze bardziej wymowna niż grymas na królewskim obliczu.

Zawsze to samo. Cudzoziemscy generałowie najwyraźniej nic a nic nie rozumieli. Nie chcieli przyjąć do wiadomości, że Kastylia i Katalonia toczyły ze sobą wojnę tak samo jak Francja i Anglia; że pod nazwą Hiszpanii krył się twór, który zawładnął polityką, handlem, a nawet, za pozwoleniem, zdrowym rozsądkiem. Pole bitwy pomiędzy dwoma skrajnie odmiennymi spojrzeniami na świat, życie, na wszystko. Mówię, że dobrze się przypatrzyłem twarzy Stanhope'a; człowiek ów w końcu zrozumiał, iż wpakował się po uszy w niezły burdel. Nigdy żaden dowódca nie poniósł tak zupełnej klęski po tak doskonałym wypełnieniu powierzonej mu misji. Zdobył Madryt, lecz czyniąc to jako najeźdźca, stracił Kastylię. Koronował Karlangasa, lecz zrobił zeń uzurpatora, którego czas szybko przeminął.

Anglicy mogliby pogodzić się z rządami francuskiej dynastii w Londynie, a Francuzi z angielskim władcą na paryskim tronie. Ale mieszkańcy Madrytu nigdy nie uznaliby Karlangasa za króla. Nie dlatego, że był Austriakiem, lecz dlatego, że był królem dla Katalończyków. A Stanhope sądził, że wszystko załatwi jedna szarża kawalerii. Na miły Bóg! Tak, tak, moja kochana, szpetna Waltraud, jak to u was mówią: *Schweinerei*, wielki bajzel.

Przez całą wojnę Burbonowie przewyższali nas strategią. Sprzymierzeni zdobyli Madryt czymś w rodzaju szalonej średniowiecznej galopady. Burbończycy zawsze działali metodycznie. Powoli, lecz skutecznie brali nas w kleszcze. Sprzymierzeni stali w Madrycie, ale Francuzi i Hiszpanie trzymali się mocno

w Tortosie, Léridzie i Geronie. Szast-prast i gotowe! Uśmiełbym się, gdyby nie to, że tragedia Sprzymierzonych miała stać się naszą.

W następnych dniach Karlangas dwoił się i troił, żeby wkupić się w łaski madrytczyków. Darmowe walki byków, podarki i przywileje dla miasta. Nic. Zafundował trzy nocne iluminacje, których nikt nie chciał oglądać. Nie wiedziałem dotychczas, jak przygnębiający może być pokaz sztucznych ogni bez publiczności. Królowie zapominają o tym, że godności ludu nie da się kupić.

Doszedł nawet do tego, że wzorem rzymskich cesarzy rozdawał pieniądze. Po mieście galopowali jeźdźcy z workami pełnymi monet, które rozrzucali w powietrzu. Madrytczyki rzecz jasna chętnie się po nie schylali, bo co innego być stronnikiem Austriaków, a co innego głupcem. Jednakże zbiory owe okraszali swym kostycznym humorem. Karlangas sam się obwołał „Carlosem III Hiszpańskim”. Oni zaś całowali podniesione z ziemi talary i krzyczeli drwiąco:

– Niech żyje nam Carlos trzeci, dopóki grosz z nieba leci!

Tak więc, jak sami widzicie, zdobycie i okupacja Madrytu była wszystkim, tylko nie epiką. A jako że pytanie Vaubana dotyczyło obrony doskonałej, okoliczności nie sprzyjały szukaniu ani mistrza, ani Słowa. Tymczasem wrzenie przeciw Karlangasowi narastało. Nie żeby ludzie knuli jakiś spisek. Ogromna większość madrytczyków nie różniła się w tym od ogromnej większości barcelończyków: dopóki ich życie się nie zmieniało, nie chciało im się walczyć ani dla Filipa, ani przeciw Karolowi. Żołnierze Sprzymierzonych siedzieli zamknięci w koszarach i nie mieli kontaktu z ludem, co pozwalało unikać prowokacji. A Straż Pokoju składała się z Katalończyków, których zła sława budziła strach. Jak było, tak było. Powiedzmy, że zachowywali doskonałą bezstronność: kiedy złapali bandytę, spuszczali mu lanie, kazali krzyknąć „Wiwat Karol III!” i prowadzili do lochu; kiedy złapali niewinnego przechodnia, też mu spuszczali lanie (jak im się nie spodobała jego gęba), kazali krzyknąć „Wiwat Karol III!” i też prowadzili do lochu.

Prawdziwe niezadowolenie rozniecali zadekowani burbończycy i fanatyczni księża. Moim zdaniem tracili przy tym zdrowy rozsądek. Z jednej strony nie musieli kupować lojalności madryckiego ludu, który i tak już im sprzyjał, z drugiej zaś, żeby nie wiem jak ich podburzać, madrytczyki mieli dość rozumu – albo odpowiedzialności – by nie popełnić szaleństwa powstania przeciwko regularnej armii. (Poza tym, po co się buntować, gdy z nieba leci deszcz pieniędzy?). A co do hiszpańskich księży, to nie ma od nich gorszych w całym katolickim świecie. Ciągną korzyści z ludzkiej głupoty, co słyhać w każdym kazaniu, i nie powstrzymuje ich ani obawa śmieśności, ani siła rozumu.

Kiedy pewnego dnia siedziałem w karczmie, wszedł tam jakiś żebrak. Zamiast prosić o jałmużnę, zaczął rozdawać ulotki. Na każdym stole zostawił kilka,

na moim też. Nie miałem nic lepszego do roboty, więc zacząłem czytać. Już przy trzecim zdaniu nie mogłem pohamować śmiechu.

Biedaczynę wynajął zapewne jakiś agent Filipa do roznoszenia tych żalonych świstków, znakomicie odzwierciedlających burbońską mentalność. Pamflet ów nie atakował Anglików, Portugalczyków czy Austriaków. A skąd! Cała retoryczna szarża skierowana była przeciw „rebeliantom”, czyli Katalończykom. Winą za to, że wróg zajął Madryt, autor nie obarczał wojska ani burbońskiej indolencji, lecz katalońskie intrygi. Nawet ja prawie uwierzyłem, iż w wolnych chwilach Katalończycy wynaleźli wszy, koślawy paluch i hemoroidy. Fakt, że sami cierpieli owe męki, w niczym nie umniejszał ich perfidii, tak jak Żydzi są narodem przeklętym, chociaż Jezus Chrystus też był Żydem.

Nie pamiętam dokładnie treści owego paszkwilu. Może to i lepiej. Zakarbowałem sobie tylko główne punkty oskarżenia. Kiedy skończy się wojna, będziemy gwałcić kastylijskie kobiety i mordować lub zsyłać na galery ich mężów. Katalończycy stoją za spiskiem mającym na celu przejęcie i zmonopolizowanie handlu z Ameryką (do którego Katalonii, jako osobnego królestwa, nigdy nie dopuszczono). Zaprzęgą Kastylijczyków do niewolniczej pracy i będą ciemiężyc podatkami, które zasilą skarbiec w Barcelonie, by nabić kabzy rebeliantom. Całą władzę, wszystkich sędziów i ławników zastąpią swoimi ziomkami. Wzniosą w mieście cytadelę, by tym łatwiej gnębić lud madrycki po wieki wieków.

Śmiałem się do rozpuku. A nie powinienem był. To, co wyczytałem z tego świstka, z tej maleńkiej kartki papieru, było świadectwem najgorszych cech rodzaju ludzkiego. I nie chodzi tu o moją niechęć do wroga, o nie. Czas pokazał, że czaiło się w tym coś o wiele bardziej przerażającego.

Diaboliczność owego paszkwilu polegała na tym, że stał się rzeczywistością, lecz dotknął Katalończyków, i to na biblijną skalę. Przenosząc na nas własne lęki, burbończycy skrupulatnie odbili sobie wymaginowane zniewagi, punkt po punkcie. Masowe rzezie zaczęły się już na długo przed końcem wojny. Po 11 września 1714 roku zburzono cały porządek prawny Katalonii i narzucono nam ten, który panował w Kastylii. Przez dziesięciolecia Katalonia miała status terytorium pod zbrojną okupacją. Wszyscy gubernatorzy pochodzili z Kastylii. Podatki zrujnowały kraj, niegdyś bogaty, i sprowadziły głód na większą część ludności. I wreszcie, aby utrzymać kontrolę nad Barceloną, wybudowano cytadelę, najperfidniejszą vaubanowską twierdzę w historii. A zgadnicie, kto był jej twórcą? Tak, sam Joris van Verboom, rzeźnik z Antwerpii. Oto jaką otrzymał nagrodę za udział w oblężeniu Barcelony. (Już ci opowiadałem, jak go zabiłem?).

Ale kto mógł to wiedzieć w 1710 roku, gdy w Madrycie stały wojska Sprzymierzonych, a Karlangas pysznił się, choć tylko z nazwy, tytułem króla Hiszpanii? Zło było jeszcze niewidzialne, więc nie dostrzegałem żadnej wrogości. Ludzie byli uprzejmi, a nawet uczynni; wojna jawiła się jako spór dynastyczny,

odległy od codziennych trudów i trosk zaprzatających uwagę narodów, które zamieszkiwały imperium. Podarłem wstrętny paszkwil na strzępy. To, co z początku śmieszyło, po dokładniejszej lekturze wzbudziło gniew. Widziałem, co hiszpańskie wojsko wyczyniało w Beceite, widziałem katalońskie lasy pełne stryczków i wisielców. Teraz zrozumiałem już, skąd w tamtych oficerach i prostych żołnierzach brało się tyle morderczej złości.

Wróciłem na kwaterę w burzowym nastroju. Miałem ochotę rozbić komuś łeb, ale komu, komu? Odpowiedzialność nie ciążyła na tym czy na tamym, lecz unosiła się nad nami niby duszne, niewidoczne miazmaty. Zło jest niby ciemna chmura; tworzy się gdzieś wysoko, poza zasięgiem naszych zmysłów i rozumu, a kiedy spuszcza na nas potop, nie dostrzegamy już chmury, próbujemy tylko przetrwać nawałnicę.

Nie miałem ochoty na towarzystwo przy stole. Roznosiła mnie wściekłość. Z pajdą chleba i kawałkiem sera wdrapałem się na stryszek. Zúñigi nie było. Tym lepiej. Jak mówię, tego dnia nie miałem ochoty z nikim gadać. Ani z wrogami, ani z przyjaciółmi. Usiadłem na swoim legowisku. Ser był zeschnięty. Nie miałem noża, więc postanowiłem pożyczyć ten, który widziałem w rzeczach Zúñigi. Przy jego sienniku leżała skórzana sakwa, coś na kształt długiego futerału. W innych okolicznościach okazałbym więcej uwagi wobec cudzej własności, ale przecież byliśmy przyjaciółmi, a ja potrzebowałem noża. Otworzyłem sakwę i wytrząsnąłem jej zawartość na podłogę.

W środku były same papiery, mnóstwo papierów. Setki paszkwili, ulotek takich samych jak ta, którą przed chwilą dano mi do przeczytania w karczmie. Ścisnąłem w garści cały plik, kiedy wszedł Zúñiga.

Miałem przyjaciela, przyjaciela imieniem Diego Zúñiga, a w drzwiach stał ktoś inny, jakiś nieznajomy, o którym nie wiedziałem nic oprócz tego, że swoje życie oddał Filipowi V, najwstrętniejszej osobie stulecia. Wszystko nagle stało się jasne: jego zimnokrwisty temperament, oczy, które widzą wszystko, choć patrzą, jakby nie patrzyły, ciało lekkie niby piórko. Przypomniał mi się Zúñiga w Almenar, kiedy przyłapałem go, jak wychodził z szopy, w której schował się Verboom. Niewątpliwie sam go tam ukrył. Tak, do tej pory nie przyszło mi do głowy, że są tacy, którzy rodzą się po to, by szpiegować.

Rzuciłem mu ulotki w twarz i wykrzyknąłem:

– Bierz swoje śmieci!

Nawet się nie zmieszał. Przecież to Zúñiga, człowiek niewidzialny, nigdy nie wiadomo, co czuje. Pozbierał papiery z podłogi, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Przystąpiłem doń, nie dając za wygraną.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego służę mojemu królowi? O to chodzi? – odparł wreszcie. – Dlaczego ryzykuję życie, ukrywając się latami wśród wrogów? Sądzę, że za odpowiedź starczą dwa słowa: wierność i ofiara.

– Przywilejem królów jest najmować nas, byśmy za nich umierali, a nie żebyśmy za nich nienawidzili – powiedziałem. – Do walki służy wojsko. Tylko barbarzyńca może szczuć jeden naród na drugi.

Uśmiechnął się.

– Kiedy wasi deputowani pogwałcili swoją przysięgę na wierność Filipowi, to kto wtedy szczuć Katalończyków na króla? I czego się spodziewałeś? Że Kastylia będzie się biernie przyglądać, jak obrażają jej suwerena, który, między nami mówiąc, jest także waszym władcą? Że będziemy siedzieć z założonymi rękami, gdy zadaliście nam cios w plecy, przynosząc do Hiszpanii wojnę? Mamy imperium, które musimy utrzymać, a wy tam, w Barcelonie, myślicie tylko o tym, jak by mu upuścić krwi. Przez trzysta lat Kastylia samotnie dźwigała je na barkach, podczas gdy wy zerkaliście w inną stronę, schowani pod spódnicą waszych swobód i praw.

– Imperium, imperium... Co zyskaliście, podbijając świat? Indianie w Ameryce was nienawidzą; europejscy sąsiedzi wcale wam nie zazdroszczą, przeciwnie, gardzą wami, a te tysiące zamorskich posiadłości zrujnowały kastylijski skarb. I wy rościecie sobie prawo, by wymagać od innych królestw udziału w waszych ekscesach na chwałę Kastylii! Myślałem, Diego, że jesteś człowiekiem inteligentnym.

– I za takiego się uważam – odrzekł beznamiętnym tonem. – Dlatego boli mnie, że nie potrafię zrozumieć katalońskiej duszy. Wytłumacz mi, dlaczego jesteście tak bezmyślni, dlaczego chcecie zniszczyć sojusz, który zapewniłby nam wszystkim potęgę i szacunek? Skąd wasza zapiekła niechęć do stworzenia wspólnoty, która już wieki temu mogła zjednoczyć cały Półwysep?

– Dlatego, że wy wspólnotą nazywacie opresję! Powiedz mi: przeniósłbyś dwór do Barcelony? Przystałbyś na to, by Kastylia miała katalońskich królów? Zgodziłbyś się na to, żeby wasi ministrowie byli wybierani tylko spośród katalońskich deputowanych? Podobałoby się wam to, że wasze miasta i wioski są okupowane przez katalońskich żołnierzy, którym musicie dać wikt, opierunek, a nawet własne żony? – Pomachałem mu przed nosem ulotką. – Z tego, co tu wyczytałem, to wątpię!

– W życiu tak jest, że wielcy pożerają małych, a słabi ulegają silnym. Lecz postawa Kastylii jest inna. Moglibyście stanowić uprzywilejowaną część pewnej całości, a wolicie być mniej niż niczym. To niezrozumiałe.

– Bardziej niezrozumiałe jest chyba mylenie honoru z wojowniczością. Ta droga wiedzie was jedynie do klęsk i upadku. Źródłem dobrobytu potężnych dziś narodów nie są miecze i proch, lecz trud, pot i puszczony w obieg pieniądź. Ale wy z uporem brniecie w bezmyślne bohaterstwo. Każdy okręt wiozący armaty zamiast beczek to jeden statek handlowy mniej; każdy wyszkolony i uzbrojony regiment to marnotrawstwo ludzkiego wysiłku i przedsiębiorczości. Tak przynajmniej widzą to

moi krajanie.

Muszę oddać sprawiedliwość Zúñidze, że potrafił słuchać.

– Teraz rozumiem – powiedział. – Nie chcecie być wielcy, chcecie być bogaci. Za nic macie sławę, wolicie dostatek. Nienawidzicie Sparty z tych samych powodów, dla których kochacie Sybaris. – Postąpił krok ku mnie. – Ale powiedz, Martí, jaki sens ma życie pozbawione epickich dążeń, zwieńczonych bohaterskim czynem, który można pozostawić w spadku potomnym? Wasza egzystencja jest egzystencją robaków. Bez światła, bez marzeń, nie wznosicie się myślą ponad przyziemne trwanie, ponad swój czas. Lepiej zginąć w bitwie, niż taplać się w ciepłym bajorku. – Na koniec orzekł: – Waszym nieszczęściem jest małość duszy.

– A waszym – odparłem – zaczadzenie książkami o błędnych rycerzach. Kiepskimi!

Parsknął głośnym, bezczelnym śmiechem. Ukrył przede mną swoje szpiegostwo, a nawet gorzej, bo wykorzystał mnie jako kamuflaż. Któż by podejrzewał kompana takiego nieszkodliwego libertyna jak Długonogi Zuvi? Chwyciłem go za gardło i przyparłem do ściany.

– Ktoś pisze te agitki w jakimś ciemnym kącie, a potem drzewa w lesie uginają się pod ciężarem wisielców – powiedziałem. – Widziałem to na własne oczy! Ktoś wymyśla stek bzdur i pomówień, a nazajutrz obcych, niepiśmiennych ludzi czeka zguba i katowski topór. Powiedz, że nie wierzysz w te oszczerstwa. Powiedz!

Spojrzałem mu w oczy i w tej samej chwili dotarła do mnie przerażająca prawda. Przekląłem własną ślepotę, albowiem z jego uśmiechu wyczytałem, że to on sam, mój dobry przyjaciel Diego Zúñiga, napisał lub podyktował owe paszkwile.

– Kastylia podbiła kawał świata – powiedział. – A teraz czterech krwiopijców z Barcelony, schowanych za plecami księcia Karola, chce zagarnąć wszystko, za co ginęli nasi ojcowie. Nigdy! I uwierz mi, Martí: wielu za to zapłaci. Ramię króla nie sięga być może do Wiednia czy Londynu, ale z pewnością dosięgnie was w najdalszym zakątku Hiszpanii.

Puściłem go. Poczciwy Zuvi nie lubił stawiać spraw na ostrzu noża, lecz rzadko kiedy głos mój brzmiał tak stanowczo jak teraz:

– Diego, to koniec naszej przyjaźni.

Rzeczywiście, nie był to mój najlepszy dzień w Madrycie. Przez całą noc włóczyłem się od karczmy do karczmy. I nie po to, żeby zabawiać się z kurwami, ale żeby się upić. A niech tam, będę szczery: tak naprawdę szukałem, komu by dać w mordę. Nie należę do zabijaków, ale doceniam zalety porządnej bójki. Kiedy wszystko idzie źle, dobrze jest kogoś szturchnąć, zwłaszcza jeśli zasłużył. Jeśli nie,

to wystarczy pierwszy z brzegu. Ty jego, a on ciebie. Nieważne, kto bardziej oberwie, grunt, żeby się wyładować.

A czułem się winny, bardzo winny. Przyszedłem tu razem z wojskiem, w nadziei, że zło, wojna, przyniesie mi dobro – mistrza, lecz jak znaleźć w Madrycie maganona? W pijackim widzie podciągałem ludziom rękawy, szukając Punktów. Ku mojej rozpaczy w każdej karczmie goście odsuwali się ode mnie. Przez kataloński akcent i epitety, jakimi obrzucałem Filipa V, brali mnie za agenta, który udaje pijanego, żeby wyśledzić burbończyków. Nawet ostatni głupek podejrzewał, że jestem austriackim prowokatorem. Nie mogłem znaleźć nikogo, kto by mnie pocieszył albo się ze mną pokłócił. Wciąż jeszcze widzę siebie, samego jak palec, rozpartego łokciami na szarym końcu szynkwasu, krzyczącego pijackim głosem:

– Czy w całym Madrycie nie mam przyjaciela ni wroga?

Świtało prawie, gdy wszedłem do jakiejś meliny, pełnej rozwrzeszczanych pijaków. Jeżeli tu nie oberwę, to już chyba nigdzie. Chwiejnym krokiem wtoczyłem się do wnętrza. Ścisk panował niemożliwy, żadnego wolnego krzesła. Zobaczyłem pięciu chłopca stłoczonych wokół jednego ze stolików. Rej między nimi wodził postawny pięćdziesięciolatek o władczym spojrzeniu. W każdej innej chwili rozpoznałbym go od razu, ale wino nie sprzyja pamięci, niech bracia Ducroix mi wybaczą.

Chwyciłem za gardło najmniejszego z całej kompanii i zrzuciłem z krzesła. Zająłem jego miejsce, wyciągnąłem nogi na stole i powiedziałem do owego pięćdziesięciolatka:

– Pozwolisz waść, że się przysiądę?

Nie dał się sprowokować. Zamiast zacząć kłótnię, kiwnął głową, nakazując swoim ludziom, żeby mnie zignorowali. Dyskutowali na tematy wojskowe, a jeden zrobił jakąś uwagę na temat obrony.

– Brednie waść opowiadasz, mój panie – wtrąciłem się do rozmowy. – Palowanie wałów jedynie ułatwia dostęp szturmującym. Głupiś, to i głupio gadasz.

Pięćdziesięciolatek musiał mieć wielki autorytet, bo nawet w tym momencie udało mu się pohamować obrażonego przeze mnie człowieka. Popatrzył na mnie i powiedział:

– Zanim przystąpisz waszeć do wymiany ciosów z Rodrigiem, który z pewnością ci łeb rozwali, z chęcią posłuchamy, jak uzasadnisz te obelgi.

– Wiedz, panie – odparłem – że moimi ustami przemawia sam wielki Vauban.

– Przebóg! – wykrzyknął z jawną ironią. – Jadasz waść śniadania z francuskimi markizami?

– Jadałem – odrzekłem, a widząc jego niedowierzanie, uściśliłem: – Czasami.

Teraz, gdy dyskusja toczyła się już tylko pomiędzy nim a mną, mogłem mu się lepiej przyjrzeć i mimo wina wreszcie go rozpoznałem:

– Chwileczkę. Wiem, kim jesteś! Głowiłem się nad tym, odkąd tu waści zobaczyłem; zmylił mnie brak munduru, ale w końcu sobie przypomniałem. – Pomachałem mu palcem przed nosem. – Tortosa! Ty jesteś tym generałem, który kopie w dupę! Zrzuciłeś mnie z wałów! – Wstałem i zacząłem wygrażać mu pięściami, gotów do bójki. – Takiś odważny? To spróbuj mnie kopnąć teraz, kiedy nie nosisz generalskich szlifów!

Wodził za mną oczami jak stare psisko za natrętnym bakiem.

– Uciszyć go, don Antonio? – pospieszyli w sukurs kompani.

– Ależ proszę! – Roześmiałem się. – Jakbyście nie wiedzieli, to Madryt jest zajęty przez Sprzymierzonych. Wystarczy, że wyjdę na ulicę i gwizdnę. Straż Pokoju bardzo się ucieszy na widok waszego generała, zwłaszcza że wszyscy dobrze pamiętamy, co było w Tortosie, a gwardia składa się z Katalończyków.

Wybuchnęli śmiechem zgodnie i tak gromko, że reszta gości zamilkła, zwracając na nich oczy. Z czego tak się śmiali? Nie wiedziałem, o co chodzi. Zmieszany, opuściłem pięści i podrapałem się w głowę.

– Z przyjemnością przytrę waści rogów – odparł generał. – Przedtem jednak zechciej usiąść przy mnie i powiedz, co sądzisz o tamtym oblężeniu.

Spełniłem jego życzenie. Możliwe, że w ten sposób wyładowałem złość nie gorzej niż za pomocą pięści. Przez całą długą godzinę piłem i rozprawiałem o błędach i niedostatkach oblężenia Tortosy. Ta transzeja szturmowa, czysta kpina i partactwo. Kopaliśmy za płytko i za szybko. Bez stosownych materiałów, bez planu. Transzeja szturmowa *en règle* jest dziełem bardziej skomplikowanym od piramid! A tamta była chaotycznym labiryntem poprowadzonych na chybił trafił korytarzy, o ścianach deskowanych świeżą sosną zamiast porządnych bali. Ziemia, którą należało ubić, bez przerwy się osypywała. A skutek? Niepotrzebna śmierć wielu ludzi. Tysiące młodych żołnierzy zabitych nie przez wroga, lecz przez politykę, *collons*^[55]. Wystarczyło podejść transzeją pod mury. Angielski komendant, rozsądny człowiek, gotów był się poddać. Ale nie, ten orleański wieprz chciał szybkiej chwały. Co mu tam kilka tysięcy trupów, *collons* i jeszcze raz *collons*!

Byłem kompletnie pijany. Kiedy wylałem z siebie całą żółć, popatrzyłem na generała. Oczy zalewało mi wino.

– A do tego waści kopnąłeś mnie w dupę!

Sięgnąłem ręką po szklankę. Źle oceniłem odległość, bo wzrok mnie zawodził, więc palce przeszły przez nią jak przez widmo. Widziałem potrójnie: siedziało teraz przede mną trzech generałów. Wszelako mój wykład na temat Tortosy musiał go zainteresować, gdyż chwycił mnie za klapy, potrząsnął i zapytał:

– Gdzieżeś się tego wszystkiego nauczył? I co to za francuski inżynier?

Wino mnie pokonało. Spojrzałem na niego. Otworzyłem usta, bardzo powoli, żeby opowiedzieć o Bazoches. Poniechałem tego. Nie mogłem, nie chciałem. Poza tym po co? Zbliżyłem zaślinione wargi do jego ucha i jęknąłem zgębiony:

– Powiedz mi, waść, błagam, czy znasz Słowo?

Popatrzył na mnie ze zmarszczoną brwią i otwartymi ze zdumienia ustami:

– Słowo? Jakie słowo, do kurwy nędzy?

Próbował mnie jeszcze wypytywać, ale byłem w takim stanie, że żadna zwierzchność dla mnie nie istniała. Odrzekłem:

– Wszystko to jedno wielkie gówno.

Głowa zwisała mi na bok jak u kukły. Czoło opadło na stół, szyja zwiotczała niczym ścięta przez katowski topór.

Po kilku godzinach ktoś mnie zbudził. Zostałem sam, a karczmę już zamykano. Odkleiliśmy od stołu policzek, lepki od wina. Zataczając się, wyszedłem na ulicę. Potykając się raz po raz, wpadłem na przechodzący tamtędy patrol.

– Hej, *nois*^[56] – powiedział ktoś po katalońsku. – Pośmiejmy się trochę z tego pijaczyny.

Otoczyli mnie i kazali krzyczeć słynne „Wiwat Karol III!”.

– Wiwat potrawka po madrycku! – wrzasnąłem.

– Ejże! Więcej szacunku dla króla!

– Szacunku? Wszyscy królowie są jednacy! Myślą tylko o sobie, a z nas flaki wypruwają! Tak sobie myślę i nie wiem, czego wy szukacie w Madrycie? Wynocha do domu, wara od porządnych pijaków!

Nigdy dotąd nie dostałem tak dokumentnego lania. Kiedy skończyli, moja skóra była wygarbowana staranniej niż najdroższe kurdybany. Poszli sobie wreszcie, ale przedtem ukradli mi buty.

O pierwszym brzasku znalazł mnie karczmarz patriota. Przechodził tamtędy w drodze do swojej gospody i zobaczył, że leżę na ulicy. Podźwignął mnie za ramiona.

– Człowieku, bój się Boga! – zrzędził. – Mówiłem, żebyś się nie zadawał z Katalończykami!



Byłem tak poobijany, że jeszcze po dwóch dniach nie mogłem się zwlec z barłogu. Jedyna pociecha, że Zúñiga wyniósł się z naszego stryszku. Wiele lat później spotkaliśmy się znowu i potem długo ścigał mnie na trzech kontynentach, zawsze pełen nienawiści. Ale to już inna historia.

Wstałem, czując ból w każdej kosteczce, i wdziałem ubranie. W wewnętrznej kieszonce znalazłem glejt, który niewątpliwie wetknęli tam adiutanci generała.

Zechciej acan przybyć do Toledo i stawić się przed generałem don Antonio Villarroelem.

Gdy to przeczytałem, wszystko stało się jasne. Pewnie, że się ze mnie śmiali, kiedy groziłem wezwaniem straży! Mimo przymusu i pogróżek Filipka część Kastyljczyków skorzystała z okupacji stolicy, by przejść do przeciwnego obozu. Wśród nich znalazł się także generał Villarroel. A ci, którzy byli z nim wtedy, to oficerowie z jego sztabu. Najprawdopodobniej świętowali w karczmie, dowiedziawszy się, że Karlangas przyjął ich do swego wojska w stosownej randze i z sowitym żołdem.

Wyruszyłem zatem do Toledo. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem po co. Na spotkanie z jakimś generałem? Tym samym, który w Tortosie kopnął mnie w dupę? Przecież każdy widzi, że gość ma charakter narowistego muła i z pewnością jest jednym z tych, co to jedzą młotki i srają gwoździemi. Jaki interes może mieć do pocziwego Zuviego ktoś taki jak on? No dobrze, chcecie, to wam powiem. Pomknąłem do Toledo, i to szybciej niż indiańska strzała.

Villarroela znalazłem w Alkazarze, w izdebce więcej niż skromnej. Od razu przeszedł do rzeczy. Rzeczywiście, służył teraz po stronie austriackiej i szukał biegłego poliorcetyka. Nie był głupcem: z mojego nieskładnego bełkotu wyluskał wzmianki o Vaubanie i od razu się domyślił, że ów zadziorny smarkacz jest kimś więcej niż zwykłym pijaczyną. Zaczęliśmy targować się o wysokość żołdu, chociaż pieniądze akurat najmniej mnie tu obchodziły.

Nazwijcie to, jak chcecie – intuicją, Mystère czy jeszcze inaczej. Kiedy omawialiśmy warunki, skorzystałem z okazji, by zajrzeć do wnętrza tego człowieka, skupiając wszystkie wyszkolone w Bazoches zmysły.

Z pewnością coś w nim było, choć nie potrafiłbym tego zdefiniować. „Jeżeli będziesz potrzebował mistrza, znajdziesz go. Z Punktami albo bez”. Zgoda, ale czy to ten człowiek ma mi zastąpić Vaubana? Czy u niego mam kontynuować naukę? U kogoś, kto nie jest inżynierem, tylko zwykłym wojskowym, w dodatku Kastyljczykiem, a ja – Katalończykiem? „I co z tego? – rzekłem sobie. – Dlaczego nie? Przecież Vauban mnie przyjął, chociaż Francja nienawidzi Katalonii”.

Rozwiązałem konflikt serca i rozumu polubownie: dam mu szansę. Jeśli okaże się godzien Vaubana, zostanę przy nim. Jeżeli mnie zawiedzie, zdezerteruję przy pierwszej okazji.

Jak to już weszło nam w zwyczaj, moja kochana, arcyszpetna Waltraud przerywa moją opowieść, wtrącając głupie pytania. Mianowicie, czy zamiar dezercji przy pierwszej okazji nie był niebezpieczny. Na to odrzec muszę, że był, lecz o wiele mniej, niż się wydaje. W moich czasach dezercerowało tylu ludzi, i to z każdej armii, że należałoby raczej zapytać, dlaczego nie wszyscy? Niektórzy spryciarze zrobili sobie z tego nawet sposób na życie: zaciągali się tam, gdzie płacono najwięcej, a potem znikali. Skutki były opłakane, albowiem ów oszukańczy fach uprawiano tak powszechnie, że świeżo sformowane wojsko często docierało na front w liczbie zmniejszonej o połowę. Tyle o żołnierzach. W kwestii generałów moją grubą Waltraud dziwi, że Villarroel zaczął wojnę w jednym obozie, a w połowie przeszedł do drugiego. Oświadczam zatem, iż nic w tym nie było niezwykłego. Świat się zmienia. Dziś wojsko francuskie składa się z Francuzów, a angielskie z Anglików. Za moich czasów bywało inaczej. Zawodowy żołnierz był wykwalifikowanym fachowcem, podobnie jak, powiedzmy, specjalista w dziedzinie medycyny. Francuski lekarz może zostać wynajęty przez angielskiego króla i żaden Francuz przy zdrowych zmysłach nie będzie mu wypominał, że dba o cudzoziemskie zdrowie. Tak samo każdy suweren mógł zakontraktować żołnierzy dowolnej proweniencji, a sprawą ich honoru było dotrzymanie warunków umowy, bez względu na to, komu służyli. W 1710 roku Villarroelowi wygasł kontrakt z Filipkiem, co dawało mu pełną swobodę w wyborze suwerena. Wszystko jasne, moja ty blond morsico? To do roboty.

Jako dowódca Villarroel wydawał mi się z początku człowiekiem przerażającym, istnym tyranem na koniu. Jego żywiołem była kawaleria. Wyprowadzał szwadrony na łąki pod Toledo i dalejże, chłopcy, galopować szybciej i lepiej niż królewska gwardia macedońska. Jako inżynierowi udawało mi się wymigać od większości ćwiczeń, ale nie od wszystkich. Tam i nazad, tam i nazad, dopóki tyłek nie zdrętwieje. Bardziej niż generała przypominał pasterskiego psa. Kiedy jakiś jeździec wyłamał się z linii, Villarroel dopadał go, hau, hau, i zawracał pacana do szeregu. A ponieważ pacanem bywał zwykle poczciwy Zuvi, stałem się celem niewybrednych żartów.

– Nająłem się jako inżynier, nie dragon! – zaprotestowałem któregoś dnia, kolebiąc się w siodle.

– Co chcesz waść, żebym powiedział? – warknął. – Złóż dymisję, boś stworzony na księdza, nie na żołnierza! I dziękuj Bogu, żeś uniknął nagany.

Don Antonio pijał tylko jedną szklaneczkę wina do obiadu. Wystarczał mu talerz na wpół surowej kaszy i nie podobała mu się żadna kobieta oprócz własnej żony. W te noce, których nie spędzał w małżeńskim łóżu, a było ich jakieś trzysta

sześciesiąt cztery w roku, wolał gołą deskę od siennika. I jak tu poczciwy Zuvi miał się dogadać z takim człowiekiem?

Inżynierom nie odpowiadały wojskowe porządki. Oddawanie honorów, hierarchia, szacunek dla przełożonych, nigdy tego nie przestrzegałem. Wykręcałem się, jak mogłem. W Toledo nie było co robić, więc piłem już nie z nawyku, ale z nudów. Pewnego razu wezwali mnie na naradę sztabu, na którą przyszedłem spóźniony i nazbyt wesolutki. Don Antonio zgromił mnie jednym z tych swoich wymownych spojrzeń, okrutnie groźnych.

Debatowano nad sytuacją ogólną, albowiem zbierały się nad nami ciemne chmury. Podczas gdy Sprzymierzeni murszeli w Toledo, Filipek czynił zaciągi, werbując tysiące rekrutów. A jakby tego było mało, Potwór wysłał doń francuskie posiłki pod wodzą księcia Vendôme. Villarroel wyraził obawę, iż Toledo stanie się dla nas jedną wielką pułapką. Zapytał mnie, czy miasto wytrzyma oblężenie. Przemówiło przeze mnie wypite wcześniej wino:

– Cha, cha, cha! A to paradne, don Antonio, przepraszam, generale. Che, che, che! Jak burbończycy podejną pod Toledo, nie będzie żadnego oblężenia. Prowianty odcięte, ludzie nas nienawidzą, mury tak przegniłe, że nawet w kamieniach lęgną się robaki. Chi, chi, chi! Wziąwszy pod uwagę, że stosunek sił wynosi jeden do trzech na korzyść wroga, najlepiej zwiać stąd od razu, dopóki możemy, ho, ho, ho.

Zamknął mnie na tydzień w kazamatach, o chlebie i wodzie. I nie dlatego, że różniliśmy się w opiniach, ale dlatego, że powiedziałem to, co sam myślał, choć w niestosownej formie. Sądziłem, iż mój loch okaże się tak głęboki, że jedzenie będą mi spuszczać na sznurku. Otóż nie. Prawdę mówiąc, areszt nie był zbyt ciężki; poza dietą, po której dostałem sraczki.

W czasie owego krótkiego odosobnienia miało miejsce ważne wydarzenie: Karlangas uciekł z Toledo – i z Kastylii – i ruszył prosto do Barcelony. Fakt, że wyprzedził w tym własne wojsko, mówi wszystko o jego ufności w zwycięstwo. Umykał niczym gnany wiatrem. Na drodze do Barcelony czyhały nieregularne oddziały Kastylijczyków gotowych obciąć mu jaja, zabrał więc ze sobą liczną eskortę, uszczuplając tym samym nasze siły. Cóż za przykładowe bohaterstwo!

Na Kastylijczyków narzekał i utyskiwał:

– W Madrycie wszyscy czegoś ode mnie żądali, ale nikt nie chciał służyć.

A czego się spodziewał? Kastylia i Katalonia były w stanie wojny. Nie mógł być królem dla jednych i dla drugich. Kto jak kto, ale on powinien o tym wiedzieć. I rzeczywiście wiedział.

Będąc na ziemi kastylijskiej, pijał mleko wyłącznie od kóz sprowadzonych z Barcelony. Jego chleb wypiekano z katalońskiego zboża, nawet cukier do ciastek przywożono z Katalonii. Prowiantów strzegł regiment Królewskiej Gwardii Katalońskiej, elitarna formacja składająca się w całości z zagorzałych stronników

Austrii, fanatyków tak fanatycznych, że kiedy któryś pierdnął, słyszało się „krrrrr!”, na cześć Karola III. Przesadzam, ale nie za bardzo.

Kiedy przekroczył granicę z Katalonią, wysiadł z karocy i wykrzyknął:

– Nareszcie wróciłem do swego królestwa!

W Kastylii kochano go tak samo jak Filipa w Katalonii. Gdyby dobrze rozeznał sytuację, można by było rozwiązać ów konflikt polubownie. Zakończyć wojnę. I gdyby tak się to wszystko potoczyło, przynajmniej miałbym teraz kraj, w którym by mnie pochowano. Ale nie, jego wysokość Karł, nasz Karlangas o twarzy jak beza, musiał władać cesarstwem, nie mógł się zadowolić niczym mniejszym. I w końcu dostał swoje cesarstwo! Chociaż nie to i nie takie, jakie dlań przewidziano, a dokonał tego ślepy los kosztem jego śródziemnomorskich poddanych. Niedługo wam o tym opowiem. Przedtem jednak opiszę ostatni dzień okupacji Toledo przez Sprzymierzonych oraz nasz odwrót, bolesny odwrót, na ziemi Katalonii.

Pocziwy Zuvi wyszedł z lochu. I tu, jeżeli pozwolicie, coś wam wyznam: łagodność owej kary kazała mi zastanowić się nad człowiekiem, który ją wyznaczył.

Moje dotychczasowe, jakże skromne doświadczenia z don Antoniem podpowiadały mi, że jest dobrym generałem, surowym, ale sprawiedliwym. Dobrze zrobił, że mnie zamknął, bardzo dobrze. Vauban potraktowałby mnie tak samo. I słusznie. Dzięki owemu odosobnieniu uświadomiłem sobie, jak zgłupiałem od czasu, gdy opuściłem zamek, a możliwe, że don Antonio jest swego rodzaju obwoźnym Bazoches.

Po odbyciu kary stawiłem się przed jego obliczem. Spostrzegł zmianę, jaka dokonała się w mojej duszy, więc i on odnosił się do mnie łagodniej.

Rzecz w tym, że przy Villarroelu zawsze płaciło się za swoje błędy w ten czy inny sposób. Ostatni, najostatniejszy grzech młodości, jaki popełniłem służąc pod jego rozkazami, omal nie kosztował mnie życia.

Postanowiłem uczcić odzyskaną wolność pijatyką z kurwami, a hulanka trwała tak długo, że ocknąłem się późno, na kacu i daleko od koszar.

– Wojsko arcyksięcia! Nareszcie sobie idą! – wykrzykiwała dziwka, która mnie obudziła. – Odeszli w nocy, żeby nikt ich nie zobaczył. Niech żyje król Filip!

Cała pieprzona armia wraca do domu, a ja śpię! Chociaż w Bazoches nauczono mnie być czujnym nawet we śnie, niczego nie zauważyłem, bo na noc wymknąłem się z koszar. Ubierałem się w takim pośpiechu, że próbowałem wciągnąć koszulę przez nogi.

W Toledo nie darzono aliantów wielką miłością. Kiedy wyszedłem na ulicę, dostrzegłem narastające wrzenie. W miarę jak rozchodziły się dobre wieści, a ludzie budzili się ze snu, budził się również gniew. Ludzie zbierali się w grupki, wiwatując na cześć Filipa i wymachując nad głową bronią domowej roboty. Boże

mój, co to będzie?

Co sił w nogach pogałem do Alkazaru. Pomyślałem, że może został w odwodzie jakiś batalion, do którego będę mógł dołączyć. Ujrzałem jedynie kilku żołnierzy, tak pijanych, że żaden rozkaz nie zwłóklby ich z pryczy. Było tam wszystkich po trochu: Anglików, Portugalczyków, Holendrów... Alkohol nie dyskryminuje żadnej nacji.

– Co tu jeszcze robicie? Nikogo już nie ma, pomaszerowali do Barcelony! Motłoch nas zabije!

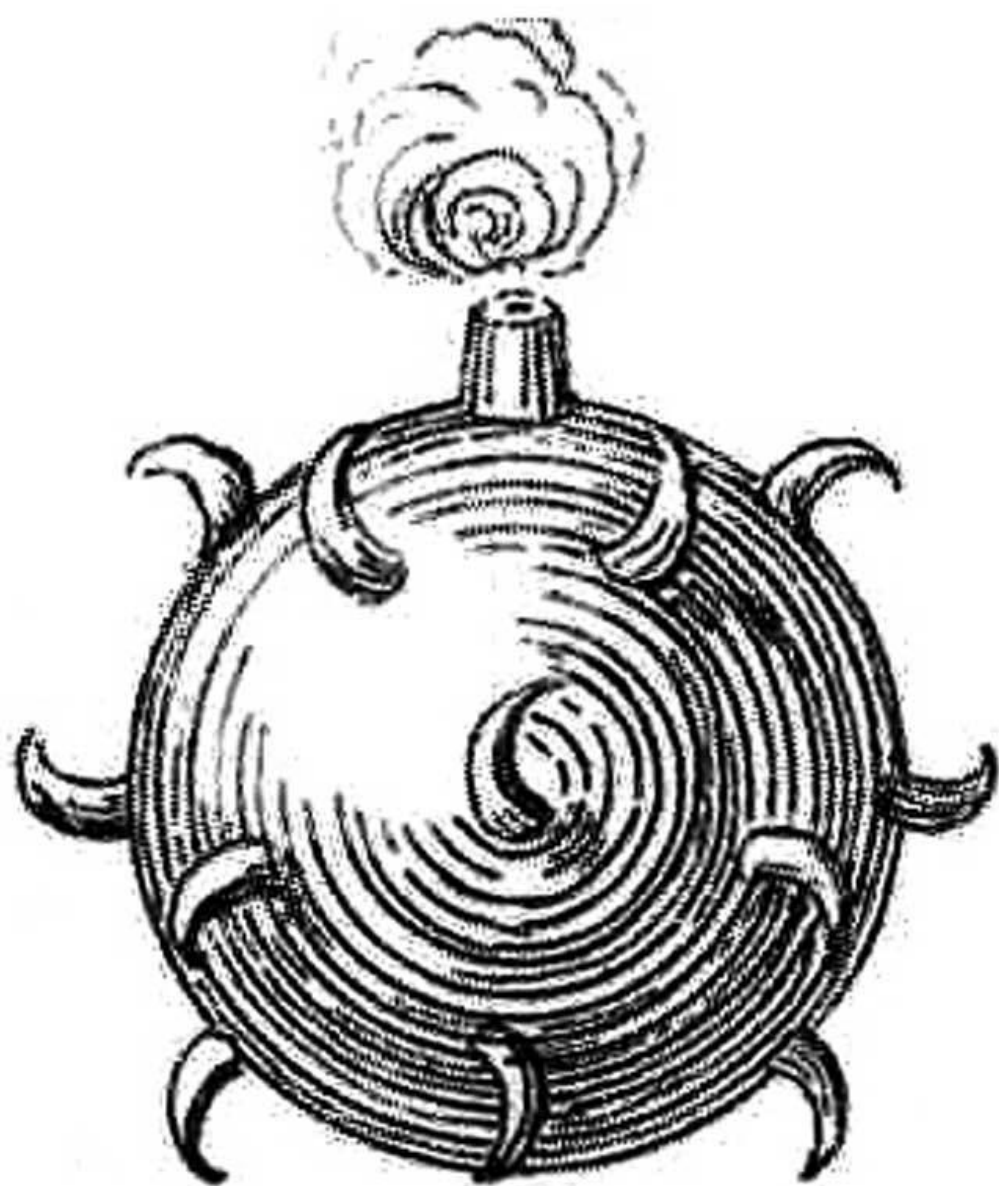
Nikt mnie nie słuchał. Miałem uczucie, jakby wciągał mnie jakiś potworny atlantycki wir, a jedynym statkiem, który mógł mnie uratować, było oddalające się z każdą chwilą wojsko Sprzymierzonych. Ledwie wyszedłem z Alkazaru, usłyszałem krzyki i strzały. Ludzie polowali na maruderów, których wcale nie było mało. Na końcu ulicy zobaczyłem klęczącego Anglika, kopanego i dżganego nożami przez rozwrzeszczany tłum mężczyzn i kobiet. Wyglądali, jakby nagłe stracili rozum.

Toledo jest dość małe. Biegłem ulicami na wschód. Żeby nie budzić podejrzeń, krzyknąłem parę razy z zapalem: „Niech żyje król Filip! Wreszcie jesteście wolni! Niech żyje! Niech żyje!”

A ty co się krzywisz? Chciałabyś, żebym krzyczał: „Niech żyje Karlangas! Jestem pieprzonym katalońskim rebeliantem, na kolację pożeram kastylijskie niemowlaki nadziewane truflami!”? Myśl trochę, bo łepetynę masz twardą jak armatnia kula.

Ostatnia ulica prowadziła do ogrodów, za którymi rozciągały się już tylko skąpo porośnięte łąki. Przystanąłem na chwilę, żeby popatrzeć za siebie. Wysoko na wzgórzu stał spowity dymem Alkazar. Z okienek wychylało się desperacko kilka karabinów, było wszakże oczywiste, że nic nie wskórają. Ci to mieli pecha! Zasłużyli na kulkę w łeb, ale nie na to, by poćwiartowano ich żywcem.

Pocziwemu Zuviemu zawsze sprzyjało szczęście. Przypadek sprawił, że do miasta zdążał tamtędy jakiś ksiądz. Jechał na spasionym koniu, z powodu sutanny siedząc jak amazonka, z obiema nogami po jednej stronie. Jednym ciosem pięści zrzuciłem go na ziemię, wdrapałem się na siodło niczym małpa na kokos i ruszyłem z kopyta, jakby koń miał nie cztery, a osiem nóg. Toledo! Wybaczam ci!



W ariergardzie Sprzymierzonych szła lekka kawaleria don Antonia. Jego żołnierze osłaniali główny korpus uciekającej z Toledo armii, znacznie powolniejszy. Natknąłem się na nich na rozstaju dróg. Wypatrywali czegoś na horyzoncie, a don Antonio pożywiał się, siedząc u stóp samotnego drzewa, w otoczeniu swego sztabu.

Księży koń ledwo zipał. Ja, spocony z trwogi i przerażenia, nie zsiadłem, lecz zwałem się na rzadką, pożółkłą trawę. I tak zostałem, łapiąc ustami powietrze jak zdychająca ryba.

– A oto i nasz inżynierek – rzekł na powitanie don Antonio, niezbyt poruszony. – Już myśleliśmy, żeś zginął.

Włosy wciąż jeszcze miałem zjeżone ze strachu. Ktoś polał wodą z dzbana rękę don Antonia, który wymył je starannie i powiedział:

– No to w drogę.

– Dopiero co przyjechałem! – zachnąłem się. – Nawet cień, jaki rzuca moja dusza, jest dla mnie ciężarem ponad siły!

Wzruszył ramionami.

– Zostań waść, jeśli wolisz.

– A co z maruderami? – zaprotestowałem znowu. – W Toledo zarzynają naszych żołnierzy! Dlaczego zostawiamy ich na pewną śmierć?

– Bo to hultaje.

I nie czekając, dosiadł wspaniałego, białego rumaka. Jeden z adiutantów odrzekł zamiast niego:

– Vendôme depcze nam po piętach, a waść myślisz, że cała pieprzona armia będzie czekać na kilku pijaków? Stracili swoją szansę. Takie przypadki są bardzo pouczające i pozwalają oczyścić wojsko z szumowin.

Don Antonio de Villarroel Peláez. No cóż. I taki człowiek miał stać się moim mistrzem! Zastąpić wielkiego Vaubana!

Wszelako, odłożywszy krytykę na bok, jeżeli chcecie przekonać się, czy jakiś generał naprawdę jest jednym z najlepszych, nie patrzcie na krwawe wiktorie, każcie mu dowodzić rejteradą. A jeśli chcecie utrudnić mu rzecz jeszcze bardziej, niech ów odwrót odbędzie się w zimie. Dużo łatwiej jest zwyciężać, niż bronić; łatwiej atakować, niż wycofać się we wzorowym szyku. Za rejterady nikt nie dostaje laurów i orderów.

Wojsko, które ucieka, bliskie jest paniki i łącznie może pójść w rozsypkę. Znajdowaliśmy się na wrogiej ziemi i był to koronny argument za tym, by utrzymać zwartość szeregów. Jak już mówiłem, kastylijscy chłopcy nie kochali Sprzymierzonych. Gdy jakiś żołnierz, wyczerpany, zostawał w tyle i zasypiał pod przydrożnym drzewem, ciach!, kończył z gardłem poderżniętym sierpem. Na

naszych flankach włóczyły się bandy morderców, a za nami podążał książę Vendôme, sędziwy marszałek, którego Potwór wysłał do Hiszpanii ze wsparciem dla swego przygłupiego wnuka. Wszyscy żołnierze sprzymierzonych wojsk maszerowali zatem w zwartym szyku, stłoczeni niby stado wystraszonych owiec, beeeee.

I ten chłód. Zima 1710 roku była najchłodniejsza w całym stuleciu. Zakonotujcie sobie taką oto scenę: pewnego dnia wstrzymałem konia u stóp samotnie rosnącego drzewa, by przypatrzeć się oblepiającym gałąź kryształkom lodu. Blade słońce krzesło w nich tęczowe błyski. I nagle usłyszałem jakieś pac, pac, pac o ziemię, tuż obok mnie. Były to ptaki, dziesiątki spadających zamarzniętych ptaków.

W armii szerzyła się plaga odmrożeń, jakiej dotąd jeszcze nie widziano. Palce miałem wiecznie sine, a wargi spękane od mrozu.

Ponieważ uciekłem z Toledo tak jak stałem, musiałem skądś zdobyć cieplejsze odzienie: rękawice, kapelusz, koc. Braterstwo broni? Cha, cha! Raczej *débrouillez-vous!* Wszystko ukradłem. I jeszcze szalik, stary, ale dostatecznie długi, by owinąć nim szyję trzy razy i zasłonić nos.

A potem nastąpił trwający całą wieczność marsz przez bezkresny kraj. Nie tyle równinny, co zupełnie płaski. Nie tyle suchy, co jałowy. Mimo panującego chłodu ani mgła, ani deszcz nie przynosiły wilgoci. Boże mój, jakże twarda jest ta kastylijska ziemia; nie ugina się nawet pod butem najeźdźcy. Przemierzaliśmy jej bezkresne połacie, a wioski i miasteczka jawiły się nam niby atole na bezmiarze oceanu. Czym jest Kastylija? Weźcie jakieś pustkowie, dodajcie tyranie – i macie Kastylię.

Vendôme był wielkim żołnierzem. Wojska burbońskie nękały nas bez wytchnienia i spoczynku, czekając sposobnej chwili, by rozgromić siły Sprzymierzonych, ale bez pośpiechu. Moim zdaniem uniknęliśmy nieprzyjemnej niespodzianki, z okrażeniem włącznie, jedynie dzięki kawalerii don Antonia.

Villarroel nie dopuszczał wyjątków. Chociaż miałem tytuł inżyniera, musiałem ćwiczyć w siodle, jeździć na zwiad i walczyć jak inni. Próbowałem powoływać się na swoją specjalizację.

– Mamy za mało żołnierzy – brzmiała jego odpowiedź.

– To prawda, zwłaszcza że część zostawiliśmy w Toledo, bo wypili o jeden dzban za dużo! – brzmiała moja.

– I tylko brak ludzi nie pozwala mi waści wychłostać. – Wetknął mi wodze w rękę. – Wskakuj na siodło!

To w czasie owego straszego odwrotu poczciwy Zuvi stał się niezrównanym jeźdźcem. Nie dlatego, że pokochał konie, lecz za sprawą siły wyższej. Nie miałem wyjścia: albo się nauczę, albo zginę.

Jestem wszelako wobec Villarroela mocno niesprawiedliwy. Choć trudno

w to uwierzyć, ów apokaliptyczny odwrót z wrogiego Madrytu do Barcelony, Odwrót, jak zwykliśmy go nazywać my, weterani, nakazał mi don Antonia szanować, potem podziwiać, a wreszcie miłować.

Odrzucał moje maniery, nigdy opinie. Ja byłem tylko pyskatym młokosem, a on generałem, osmalonym przez bitewny proch, zahartowanym w ogniu walki. Kim byłem, żeby się z nim spierać? Wówczas nie wiedziałem jeszcze, jak wielkie miał dla mnie pobłażanie. W jego oczach usprawiedliwiała mnie moja młodość i mój fach. Żaden inny dowódca nie byłby taki wyrozumiały.

Był wyznawcą tej samej maksymy, którą mi wszczepiono w Bazoches: wiedzieć, co trzeba zrobić, i być tam, gdzie trzeba być. Troszczył się o swoich żołnierzy. W rzeczywistości tylko tym się kierował. Vauban oszczędzał ludzkie życie za pomocą wykresów i liczb; Villarroel – własnym przykładem. Jeśli wolno mi uciec się do uproszczeń, rzekłbym, iż dla mnie Vauban był teorią, a Villarroel praktyką. Nawet podczas wojny manewrowej inżynier może zająć się tysiącem spraw: znaleźć najlepszy bród, gdy niedostępne są mosty, budować pontony lub prowizoryczne umocnienia. Dopiero wtedy mogłem, że tak powiem, zastosować zdobytą wiedzę. I tym, owszem, zyskałem szacunek generała.

Zasugerowałem, żeby pozostawiać mały oddział dragonów z tyłu, w każdym miasteczku, w którym zachowały się choć cztery blanki. Vendôme wstrzymywał wówczas pochód całej armii, musiał bowiem podjąć decyzję, czy atakować, czy oblegać, czy też ominąć ów tymczasowy garnizon. Nasi dragoni wsiadali na koń i jeden po drugim wymykali się pod osłoną nocy. Nazajutrz burbończycy spostrzegali, że miasteczko jest puste, a wojsko Sprzymierzonych zyskiwało dodatkowy dzień marszu.

Kolejna sztuczka z listy Bazoches była trochę nieludzka. Złapaliśmy wszystkich mieszkańców Villabajo (Siodło Dolne) i pognaliśmy ich do Villarriba (Siodło Górne). Były to dwie miejscowości położone na osi północ-południe, oddzielającej nas od armii Vendôme'a. Jednocześnie inny szwadron Sprzymierzonych kazał mieszkańcom Villarriba przejść do Villabajo. Często było tak, że w połowie drogi jedni mijali się z drugimi, wlokąc za sobą kozy i wózki z całym dobytkiem, a gniew owych biedaków świadczył o ogromie naszej podłości. Rzecz w tym, że burbońscy zwiadowcy zajeżdżali konie, gnając z wieściami do Vendôme'a:

– Panie marszałku! Mieszkańcy Villabajo zostali wypędzeni do Villarriba!

Z czego Vendôme wnioskował, iż Sprzymierzeni pozbywają się nadmiaru gąb do wyżywienia, by zmienić osadę w punkt oporu. Wówczas przybywał inny zwiadowca, który przekazywał mu odwrotną zgoła nowinę:

– Panie marszałku! Mieszkańcy Villarriba zostali wypędzeni do Villabajo!

Co tam się dzieje? Wszystko stawało się jasne, gdy burbończycy, po długich podchodach, wchodzili na rynek w jednej i w drugiej mieścinie i w obu zastawali

przybitą na drzwiach ratusza uprzejmą wiadomość od poczciwego Zuviego w bezbłędnej francuszczyźnie:

À bas Villabajo

Le maraud!

À bas Villarriba,

Le gros verrat!

À bas Vendôme,

Ce sale bonhomme!

Co w tłumaczeniu brzmiałoby mniej więcej tak:

Ani Villabajo, ani Villarriba, ależ z ciebie głupek, Vendôme!

No cóż, po francusku wypadło lepiej, bo się rymowało.

Odwrót z 1710 roku można opisać krótko jako niekończący się koszmar logistyczny. Droga do Barcelony była długa, bardzo długa. Niech geografowie mówią sobie, co chcą, lecz ja, po przeżyciu Odwrotu, uważam, że Barcelona leży od Toledo dalej niż Ziemia od Saturna.

Stanhope i jego Anglicy upierali się, by maszerować równolegle do głównego korpusu wojsk. Utrzymanie komunikacji pomiędzy obiema częściami wszystko komplikowało. Idąca naprzód lub cofająca się armia dewastuje ogromne obszary wokół, bo musi się wyżywić. Ponieważ kraj był ubogi, a zima ostra, zrozumiałe jest, iż obie kolumny musiały posuwać się jedna z dala od drugiej. „W bitwie szereg zwieraj, w marszu się rozdzielaj”, mówi wojskowa maksyma. Ale nie aż tak, do jasnej cholery!

Ósmego grudnia Stanhope, ten nadęty osioł Stanhope, dał się zamknąć okrążeniem w małym mieście zwanym Brihuega. Nie wiedział, w jakiej odległości podąża za nim wróg. I choć może się to wydać niewiarygodne, stanął na trzy dni w Brihuedze, żeby wojsko odpoczęło, a on mógł wypić filiżankę gorącej herbaty.

Zanim się zorientował, Vendôme już siedział mu na karku. Stanhope okopał się w miasteczku. W desperacji wysłał do głównego korpusu aż sześciu kurierów, domagając się wsparcia.

Jakim cudem dał się tak łatwo zaskoczyć? Wyjaśnienie jest bardzo proste. Stanhope nie miał oczu don Antonia. Jego ciężka kawaleria nie nadawała się do wojny podjazdowej. A on sam był coehoorniańskim tępakiem, który umiał tylko szarżować na oślep.

Po naradzie dowództwa don Antonio wyszedł z namiotu, żeby powiedzieć nam, jak się rzeczy mają. Zapytany o własną opinię, pokręcił głową.

– Anglików jest za mało, nie wytrzymają masowego uderzenia. Vendôme o tym wie i zaatakuję wszystkim, co ma. Nie wyjdą z tego.

Lecz wojsko Sprzymierzonych ruszyło im na pomoc. Zagrały trąbki i cała armia zrobiła w tył zwrot, by wrócić do Brihuegi forsownym marszem. Polityczne i militarne konsekwencje utraty całego angielskiego kontyngentu byłyby poważne. Po tylu manewrach i kluczeniu, by zgubić przeciwnika, po tylu wysiłkach, by wysforować się naprzód, zawróciliśmy i z własnej woli ruszyliśmy do bitwy, której tak bardzo chcieliśmy uniknąć. Wielkie dzięki, lordzie Szast-Prast!

No dobrze, bądźmy wielkoduszni, albowiem manewr ów nie był może aż tak niedorzeczny. Wojska Sprzymierzonych spieszyły z pomocą; gdyby Szast-Prast wytrzymał trochę dłużej, wzięlibyśmy burbończyków w dwa ognie. Podczas gdy my zajeżdżaliśmy konie, Vendôme okrążył Brihuegę, wzywając Anglików do kapitulacji. Na co Stanhope odparł buńczucznie: „Powiedzcie księciu de Vendôme, że ja i moi Anglicy będziemy się bronić do końca”.

Ktoś powinien był mu wytłumaczyć, że bohaterskie deklaracje zamieniają się w szyderstwo z tego, który ich nie dotrzymuje. Po trzecim szturmie poszedł po rozum do głowy. Po co umierać w jakiejś smętnej kastylijskiej mieścinie, skoro tego samego wieczoru można jeść bażanta w towarzystwie księcia Vendôme? Kiedy dotarliśmy w pobliże Brihuegi, armaty już nie grzmiały. Łatwo było się domyślić, co zaszło; Anglicy się poddali, cały angielski korpus w komplecie.

Cztery tysiące weteranów wziętych do niewoli wraz z uzbrojeniem i prowiantem! A na czele generał Stanhope, ten sam, który przybył do Hiszpanii razem ze swoją konnicą i pychą. Szast-prast, i gotowe! A teraz cztery tysiące jego Anglików maszerowało do niewoli piechotą, ze spuszczoną głową, pod eskortą bagnetów.

Cóż, gnaliśmy pod Brihuegę z wywieszonym językiem i kto tam nas czekał, zacierając z zadowolenia ręce? Vendôme i całe wojsko Dwóch Koron, ustawione w bojowym szyku.

Burbończyków było dwakroć tylu co nas. Forsowny marsz wyczerpał naszych ludzi i nasze konie, bo dniem i nocą szliśmy, żeby ratować Szasta-Prasta. Wróg był za blisko, żebyśmy mogli się wycofać. Nigdy jeszcze żadna bitwa nie

była tak niepożądana i tak nieunikniona.

Inżynier nigdy nie będzie żołnierzem. Nasza mentalność różni się w jednym podstawowym punkcie: skąd w ludziach to zamiłowanie do zabijania się w szczerym polu, skoro wynaleziono takie cuda obronne jak transzeje i bastiony? W razie gdyby wam się to na coś mogło przydać, dołączam w tym miejscu *Krótki poradnik Martiego Zuvirii, jak przeżyć bitwę na otwartym polu*. Mówi tak:

Rozdział pierwszy: Znajdź jakąś dobrą wymówkę, żeby oddalić się od swojej formacji bojowej.

Rozdział drugi: Połóż się na brzuchu, udając martwego, z głową za największym kamieniem, jaki znajdziesz, i nie ruszaj się, dopóki nie przekonasz się na własne uszy, że strzelanina się skończyła.

Rozdział trzeci: Koniec poradnika.

Zapewniam was, że bardzo mi się przydał, czego dowodzi fakt, iż w wieku lat dziewięćdziesięciu ośmiu siedzę tutaj, co prawda bez połowy twarzy, trochę podupały oraz z trzema dziurami w tyłku, i dyktuję te wspomnienia mojej kochanej, szpetnej Waltraud. Jediną wadą poradnika jest to, że w niektórych okolicznościach, jak pod Brihuegą, trudno go zastosować w praktyce. A wiecie dlaczego? Ano dlatego, że ze wszystkich generałów świata trafiłem na służbę do takiego, który nie wykorzystywał swojego stopnia, żeby się schować. Przeciwnie, wystawiał się na niebezpieczeństwo.

Villarroel urodził się w mundurze, dla takiego gościa śmierć w bitwie była jedną z zalet żołnierskiego fachu. A ta bitwa była z góry przegrana, każdy to widział. Moim wojennym wehikułem był koń, zabiedzony, zmarznięty i utrudzony. Żebra mu sterczały, a skóra na bokach obwisła. Staliśmy obok siedzącego na swoim wierzchowcu don Antonia, który nie patrząc na mnie, prychnął:

– Siedz prosto, kapitanie Zuviria! Każdy żołnierz, który się na nas obejrzy, musi zobaczyć godną postawę swoich oficerów i ich gotowość do walki. A waść wyglądasz jak zwiędła sałata.

Nie odpowiedziałem. Pacnął mnie w nerki szpicrutą i dodał:

– Oficer jest duszą i zwierciadłem żołnierza. Jeśli oficer się waha, wojsko idzie w rozsypkę.

Wyprostowałem się nieco, ale nie za bardzo. Ja też mówiłem, nie patrząc na niego. Wyglądało to tak, jakbyśmy siedzieli nie w siodle, a w konfesjonale.

– Nie jestem oficerem, wie pan o tym, generale, równie dobrze jak ja – biadoliłem. – *Merda*^[57].

To *merda* go rozweseliło.

– Może waść nie wiesz, ale urodziłem się w Barcelonie.

Spojrzałem na niego osłupiały. Villarroel był wzorem kastylijskich cnót: surowy, nieustępliwy i prawy, więc słysząc go, zdębiałem.

– Mój ojciec też był żołnierzem i tam dostał przydział – wyjaśnił. – Dlatego

matka wydała mnie na świat w Barcelonie. Piękne miasto.

Podczas gdy Villarroel beztrąsko opiewał uroki Barcelony widziane oczyma Kastylijczyka, walka toczyła się już na całej linii. Tam, gdzie staliśmy, docierał jedynie huk wystrzałów i okrzyki sierżantów usiłujących zaprowadzić porządek w szeregach, a obok nas płynęła rzeka rannych transportowanych na tyły.

– Don Antonio – jęknąłem – to istne szaleństwo. Nie wygramy tej bitwy i waść o tym wiesz.

W odpowiedzi uniósł mi podbródek końcem szpicruty i wrzasnął:

– Masz się do mnie zwracać „panie generale”! Oficerom sztabowym pozwalam na poufałość, gdyż sztab złożony jest z ludzi, którzy służąc pod moją komendą, dowiedli swej odwagi. Waści to nie dotyczy.

W tej samej chwili dopadł do nas konny posłaniec, zlany potem mimo przejmującego zimna.

– Generale! Wróg naciera na lewej flance. Marszałek Starhemberg prosi o wsparcie.

Villarroel cisnął szpicrutę, chwycił szpadę i krzyknął:

– Najwyższy czas, kurwa mać!

Połowa sprzymierzonej kawalerii ruszyła za nim. Ja też, ku memu ubolewaniu.

I tak przeszedł nam dzień. Gdy burbończycy wdzierali się w nasze szeregi, natychmiast pojawiała się jazda don Antonia gotowa załatać dziurę. Przez całą bitwę galopowałem u boku generała.

– Jestem twoim wiernym giermkim, don Antonio! – krzyknąłem doń w pewnej chwili.

– W takim razie powiedz mi – odparł ze śmiechem – dlaczego, kiedy wróg jest z prawej, waść galopujesz po mojej lewej ręce, a kiedy nacierają z lewej, zmieniasz stronę i pojawia się po prawej? Czy przypadkiem nie chowasz się za mną jak za ruchomą faszyną?

Czy dręczył was kiedyś koszmar trwający pięć długich godzin? Tak było pod Brihuegą. Od południa aż do zachodu słońca burbończycy próbowali złamać szyki Sprzymierzonych. Bataliony zwierały szeregi, otaczając się murem bagnatów. Zdziesiątkowane regimenty stawiały niezłomny opór, choć na twarzach żołnierzy malowało się napięcie i wyczerpanie. Około trzeciej zdesperowana piechota jęła formować czworoboki.

Moja kochana, szpetna Waltraud, która na niczym się nie zna, żąda ode mnie wyjaśnień. A to takie proste! Niech będzie, ustąpię.

Kiedy batalion piechoty czuje się osaczony, ustawia się w czworobok. Żołnierze kierują bagnety na zewnątrz, a oficerowie, dobosze i ranni zajmują miejsce pośrodku. Jest to sposób obrony ostatecznej, zwłaszcza przed kawalerią. To tak, jakby oznajmili, że nie będą atakować. (Zrozumiałaś wreszcie, moja ty

płowa niedźwiedzico?). Burbończycy nacierali raz za razem, a kiedy nasze szeregi poczynaly się rwać, don Antonio i jego jeźdźcy na wychudzonych chabetach ruszali do szarży łątać dziury.

Jeżeli kiedyś będziecie zmuszeni uczestniczyć w kawaleryjskiej szarży, róbcie, co mówię. Przede wszystkim starajcie się zmniejszyć impet uderzenia. W ostatniej chwili pochylcie głowę, kryjąc się za końską szyją, by nikt nie dostrzegł gwałtownego szarpnięcia za cugle, którym próbujecie wstrzymać wierzchowca. W zamieszaniu nikt tego nie zauważy. Z całych sił ściskajcie nogami koński brzuch, niech wasze łydki będą niby żelazne kleszcze. Nie pchajcie się na przód, ale też nie zostawajcie w tyle. Jeśli wróg zacznie uciekać, zepnijcie konia ostrogami i gońcie, wrzeszcząc tak, jakbyście w pojedynkę przełamali linię walki (potem, po bitwie, będziecie mogli się tym przechwalać). Jeśli traficie na opór, wymachujcie szpadą na wszystkie strony, klnąc na kamratów, którzy stoją wam na drodze. Ale pod żadnym pozorem nie pchajcie się do przodu! W wypadku ogólnej rejterady bez namysłu i bezczelnie uciekajcie. Idioty z pierwszego szeregu, którym pozwoliliście się wyprzedzić, będą zabezpieczać wam tyły.

Bitwę pod Brihuegą rozstrzygnęło zmęczenie. Czyli pozostała nierozstrzygnięta. Burbończycy rzucili wszystkie drwa na stos, lecz nie udało im się rozbić armii Sprzymierzonych. Kilka regimentów odparło nawet po dwanaście ataków z rzędu. A kiedy malał w nich duch, nadciągał don Antonio ze swoją konnicą, by odeprzeć wroga.

W przedostatniej kontrszarży pęd zniósł nas za pozycje naszej piechoty. Gdy się zatrzymaliśmy, ujrzeliśmy leżące wszędzie trupy nieprzyjaciół, istny dywan białych mundurów. Zapiszczałem z radości jak dziecko:

– Co za widok, don Antonio! Niezła jatka! – Zeskoczyłem na ziemię i rozejrzałem się wokół. Ciało było tyle, że musiałem sadzić wielkimi susami, żeby któregoś nie nadepnąć. – Miałeś waść rację. Nie przegraliśmy! A Vendôme myślał, że już ma nas w saku. Cha!

Wówczas generał zsiadł z konia, podszedł, spojrzał na mnie z gniewem w oczach, a potem zdzielił mnie w pysk, aż jęknęło. I odjechał.

Bardziej zamroczył mnie afront niż sam cios. Nie miałem pojęcia, o co poszło. Villarroel przez cały dzień rugał mnie za brak ducha i bojowego zapału, a kiedy w końcu wykrzesalem z siebie trochę ognia, nagle dał mi w twarz. Wówczas jeszcze nie rozumiałem, że wojna, służba, wznagały w don Antoniu sprzeciw i ból.

Trzymając się ręką za sponiewierany policzek, jęknąłem:

– Co ja znowu zrobiłem?

Jeden z adiutantów odpowiedział:

– Ty idioto, jeszcze niespełna rok temu don Antonio był dowódcą tych chłopców.



Na pierwszym postoju, jaki zrobiliśmy po opuszczeniu Brihuegi, don Antonio wezwał mnie do siebie. Było późno, odtrąbiono już capstrzyk, a wieczór zrobił się tak zimny, że aby przejść krótki odcinek dzielący mnie od namiotu Villarroela, musiałem się opatulić we wszystko, co miałem.

W sztabie i w oficjalnym raporcie z bitwy wychwalano mojego generała pod niebiosa. Ale ja nigdy nie widziałem, żeby miał dobry humor. A na mnie chyba się uwziął, wszak spoliczkował mnie w czasie bitwy.

Jego kwatery polowa była bardziej spartańska niż namiot Leonidasa. Siennik cieńszy niż drewniana deska. Resztę umeblowania stanowiło składane krzesło, stolik i dwie świece, których płomyki drżały w podmuchach lodowatego wiatru, przenikającego przez dziurawe płótno.

Wyglądał źle. Siedział na pryczy, popijając prosto z butelki. Dziwny to był widok. Choć przecież każdy wojak zna tę melancholię, która ogarnia człowieka po bitwie. Spojrzał na mnie spod opadających, zaczerwienionych powiek. Na zewnątrz kastylijski wichur zawodził niczym potwór bredzący przez sen.

– Spoliczkowałem cię – oznajmił bez wstępów. – Postąpiłem źle.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Nie usprawiedliwiam się przed twoją głupotą – ciągnął – lecz przed mundurem, nawet jeśli nosisz go tymczasowo. Oficera nie bije się w twarz. To zniewaga dla szlifów.

– Tak jest, don Antonio.

– Generale!, kurwa mać. Proszę mnie tytułować stopniem, jaki mi nadano.

Podniósł głowę. Zobaczyłem, że jest pijany.

– Tak jest, panie generale.

– A co się tyczy reszty, to zatrudniłem człowieka samolubnego i małodusznego. W każdym wojsku znajdzie się jakiś pryszcz na dupie, ale waść jesteś najbardziej okazałym i napęczniałym ropą wrzodem w całej sprzymierzonej armii.

Oto próbka tego, co don Antonio de Villarroel uważał za „przeprosiny”: wezwał mnie, żeby się wytłumaczyć, a na końcu nazwał ropiejącym wrzodem. Wycelował we mnie szyjkę butelki i dodał:

– Powiniennem waści powiesić.

– Słusznie, don Antonio.

– Choć jak na inżyniera nieźle sobie radzisz. Widziałem, jak wykonujesz manewry. Niezgrabnie, ale przynajmniej śmiesznie. – Westchnął głośno. – Cóż, moja wina. Inżynierowie nie nadają się do jazdy. To tak, jakbym kazał jaszczurkom pływać. Chociaż nie, waść wolisz chować się za kamieniami.

– Tak jest, don Antonio, to znaczy... nie, don Antonio. Zawsze do usług.

Przyglądał mi się przez chwilę oczami szklistymi od wina. Klepnął dwa razy w siennik.

– Siadaj tu!

Wykonałem polecenie, a on otoczył mnie ramieniem. Pachniał kwaśnym winem. I nagle, ku memu zaskoczeniu, odezwał się z serdecznością, o jaką go nie podejrzewałem:

– Nie martw się, synu. Jesteś tchórzem, wiem o tym, ale mało jest ludzi odważnych od urodzenia. Odwagi można się nauczyć, jak dziecko, które uczy się mówić. Rozumiesz to?

– Nie jestem pewien, don Antonio.

Przycisnął mnie mocniej do siebie, potrząsając mną jak źdźbłem słomy. Podsunął mi pod nos zaciśniętą pięść.

– Dobry Bóg postawił niewidzialny szlaban pomiędzy człowiekiem a jego przeznaczeniem. W naszym doczesnym życiu mamy za zadanie przesuwac tę przegrodę dalej i dalej, potrzeba odwagi, by odkryć, co jest po drugiej stronie. – Zamyślił się na chwilę. – Bez względu na wszystko.

– Ale to jest chyba niebezpieczne, don Antonio – odparłem bojaźliwie.

Nie powinienem był tego powiedzieć. Wytrzeszczył na mnie zmętniałe od alkoholu oczy i swym głębokim kastylijskim głosem wypluł słowa, z których każde do dziś pamiętam:

– To czego, do chuja, nauczył cię ten francuski inżynier?

– Umacniać, zdobywać i bronić fortece.

– I czego jeszcze?

Zawahałem się.

– Jeszcze, don Antonio?

Potrząsnął mną.

– Tak, tak, tak! Czego jeszcze?

Ja też byłem przygnębiony niedawną rzezią, tęsknotą za domem. Tą nocą, kolejną lodowatą nocą w obcych stronach. Tam, na zewnątrz, wicher wył jak sfora zdziczałych psów. Dopadła mnie owa melancholia, która zawsze przychodzi po bitwie, i zebrało mi się na zwierzenia.

– Don Antonio, skłamałem. Nie jestem inżynierem. Francuski markiz nigdy nie uznał mojego piątego Punktu.

Nie słuchał mnie albo było mu wszystko jedno, co powiem.

– Gównu, nie bitwa – szepnął. – Gównu. Świat stał się lżejszy o pięć tysięcy dusz. I co? Jest tak, jak było.

Wino uderzyło mu do głowy bardziej, niż myślałem. Podkulił kolana jak staruszek, skrzyżował ręce na piersi i zwałił się na pryczę. Zostałem tam jeszcze kilka minut, przypatrując się wielkiemu człowiekowi, który zasnął po bitwie. W Bazoches uczono mnie patrzeć na zwisające z niewidocznych nici przedmioty,

odgadywać je i rozumieć ich niezmierną skromność. Jakże mogłem nie poświęcić tych paru chwil na kontemplację tak ludzkiego w swej wielkości don Antonia?

Poczułem nagły przypływ litości. Owej nocy, gdy chrapał, uśpiony jak niemowlę w łonie matki, oddałbym własne życie, żeby chronić jego sen. Jego życiem była służba, dyscyplina, surowy, choć sprawiedliwy, rygor. Przypatrywałem się każdemu z osobna rozszerzonemu porowi w obwisłej skórze policzków, rozważałem wszystko, co o nim wiedziałem, i rzekłem sobie, iż ów generał kawalerii wybrał własną drogę wiodącą do Mystère. Zrozumiałem wówczas, może nawet lepiej niż on, jego najgłębiej ukrytą tajemnicę: że od najwcześniejszych lat szukał śmierci w bohaterskiej szarży, tak desperacko pięknej.

Nie był to zwykły nierozsądny pęd ku śmierci. Dla kogoś tak ofiarnego, tak opętanego przez ducha kawalerii, polec na czele swoich żołnierzy nie oznaczało kresu istnienia, lecz czyniło je doskonalszym. Pod Brihuegą, od początku do końca bitwy, pierwszy ruszał do każdej szarży i kontrszarży. Ale śmierć omijała go uparcie, drwiąco. Staliśmy w dwóch skrajnych punktach linii wyznaczonej przez zbiór jego zasad moralnych. A jednak, dzięki wyćwiczonym w Bazoches zmysłom, rozumiałem – lub przynajmniej szanowałem – jego surowy kodeks i nieugiętą prawość. Cóż za tragiczna ironia losu! W 1705 roku rozpoczął wojnę w służbie Burbonów, a w 1710 przeszedł do obozu austriackiego. Walcząc raz po jednej, raz po drugiej stronie, obrał drogę wiodącą donikąd, której perspektywa zacierała obraz wroga. Aby chronić dzisiejszych przyjaciół, zabijał przyjaciół wczorajszych. Smutne, smutne, smutne. Być może Mystère przeznaczył mu główną rolę w największym ze wszystkich dramatów, jakim był upadek Barcelony 11 września 1714 roku. Tak jak mnie.

Była to najzimniejsza noc podczas całego Odwrotu. Bezlitosny wiatr chłostał cienkie płótno namiotu. Zdjąłem generałowi buty i opatuliłem go jedynym kocem, jaki miał. Wyszedłem, ukradłem jeszcze dwa i wróciłem, żeby go lepiej nakryć. Chrapał. Na pożegnanie pocałowałem go w policzek. Dobrze, że spał głęboko, bo gdyby to spostrzegł, dałby mi w łeb za pedałstwo. Upiłem się tym, co zostało w butelce.

Don Antonio. Mój generał. Mój generał, który się kulom nie kłaniał, mój drogi don Antonio de Villarroel Peláez, zapomniany bohater stulecia. Skończył marnie, bardzo marnie. Niewielu obłowilo się na tej wojnie. Ten cwaniak Szast-Prast Stanhope z pewnością był jednym z owych szczęśliwców.

Z racji jego wysokiej rangi w wojsku burbończycy obchodzili się z nim w jedwabnych rękawiczkach i po czterech dniach wracał już do Londynu jak paniczyk z zagranicznych wojaży. Bez chwały i bez wstydu. Powinien wisieć, a tymczasem dostąpił w ojczyźnie zaszczytów. Być może chciano zatrzeć jego kontynentalną porażkę. Ożenił się z córką gubernatora Madrasu i zrobił karierę w polityce. Są ludzie, którzy rodzą się wysmarowani moralną oliwą:

niepowodzenia spływają z nich jak woda. Sami jednak brukają wszystko, czego się tkną. Dziesięć lat później rząd okazał się na tyle głupi, że powierzył mu pieczę nad chwiejną angielską gospodarką. Założę się, o co chcecie, że objąwszy ową posadę, zakrzyknął: „Szast-prast, i gotowe!”.

No cóż, dzisiaj wiemy, że angielskie finanse skończyły dokładnie tak samo jak ów korpus ekspedycyjny: poszły w rozsypkę, szast-prast. Wystarczyło mu parę lat, by przejąć handel z Ameryką wraz z oszczędnościami miliona akcjonariuszy i doprowadzić do bankructwa połowę stoczni, banków, przedsiębiorstw i warsztatów w całym kraju, co znane jest dziś pod nazwą Bańki Mórz Południowych^[58]. Z mego wygnania w Anglii zachowałem wspomnienie kilku tęgich głów, jak Swift albo Newton, ów mędrzec i astronom o powierzchowności libertyńskiego księdza. Newton zawsze jednym okiem śledził niebo, a drugim dno własnej kieszeni. W czasach krachu stracił tysiące funtów na akcjach i choć nie był zbyt popędliwy, miał ochotę Stanhope’a udusić. Wciąż jeszcze słyszę, jak krzyczy: „Daleko łatwiej jest przewidzieć ruch gwiazdy na niebie niż szaleństwa sekretarzy finansów!”.

Co do marszałka Vendôme’a, naszego przeciwnika spod Brihuegi, to w ostatnich dniach owego pamiętnego roku 1710 Filipek mianował go generalnym gubernatorem Katalonii. Nominacja przedwczesna, bez dwóch zdań, jako że w owym czasie większa część kraju wciąż pozostawała w rękach Generalitat. Jedno jest pewne: nie zdążył się nacieszyć nowym urzędem. W 1712, przejeżdżając przez jedną z naszych nadbrzeżnych miejscowości na południu, Vinaroz, zatrzymał się tam na kolację, czym wywołał powszechną panikę. Aby mu dogodzić, podano lokalny przysmak – smażone krewetki.

– Wyśmienite! – chwalił poczęstunek Vendôme.

Mieszkańcy Vinaroz, na wół żywi ze strachu, stawiali na stół półmisek za półmiskiem, a ten łakomczuch zeżarł aż sześćdziesiąt cztery krewetki. Nikt nie śmiał mu powiedzieć, że skorupki się nie zjada. Vendôme, arystokrata z najwyższych sfer, nie był w stanie pojąć, że służba serwuje mu w całości coś, co powinno być obrane, zanim trafi do ust, i że jego szlacheckie paluszki mogłyby się upaprać w tłuszczu.

Tej samej nocy zmarł na niestrawność.

W dniach, które nadeszły po Brihuedze, upajało nas złudne poczucie bezpieczeństwa. Od chwili opuszczenia Toledo całe wojsko jednoczyło się zawołaniem: „Dojść do Barcelony albo umrzeć!”. Po tym, jak nie daliśmy się burbończykom, wszystkim trochę uderzyło do głowy.

Byliśmy już na ziemi aragońskiej, równie jałowej jak kastylijska, ale nam przyjaznej. Don Antonio dowodził pstrokatą kompanią, złożoną z kilkuset Holendrów, Portugalczyków, Palatyńczyków, Hesów – wszystkiego po trochu.

(I oczywiście włoskich najemników! Tych zawsze wszędzie pełno). Większość stanowili chorzy i ranni w bitwie, których transportowaliśmy na przepełnionych, rozbrzmiewających jękami wozach. Aby nie opóźnić marszu kolumny, podążaliśmy inną, równoległą drogą.

Choć niechętnie, ale przyłączyłem się do don Antonia. Od początku wiedziałem, że niańczenie tego oddziału inwalidów, z dala od głównego korpusu wojska, było złym pomysłem. Pełen obaw jechałem wierzchem obok mojego generała, zastanawiając się, co ja tam w ogóle robię. Powodem, jak łatwo się domyślić, było to, że zdążyłem się już do niego przywiązać, podobnie jak kiedyś do Vaubana. Markiz pokazał mi, co powinienem robić; don Antonio poszedł dalej: nadał czynom moralny sens. Jeszcze tego samego dnia poparł swe nauki przykładem.

Z dala od wojska stanowiliśmy łatwy łup. Dziewięciu na dziesięciu rannych nie mogło utrzymać karabinu. Gdyby zaatakował nas dobrze uzbrojony podjazd, bylibyśmy skazani na klęskę. Miałem złe przeczucia. Bez przerwy wierciłem się w siodle, pilnie obserwując horyzont, albo jeździłem tam i z powrotem wzdłuż karawany wozów, przynaglając woźniców do pośpiechu. Liczyliśmy na to, że burbończycy nie będą sobie zaprzętać uwagi takimi okruchami armii i stracą nas z oczu w płątanie bocznych dróg. Żłudna to była nadzieja.

Kastylijscy partyzanci zaatakowali nas z obu flank jednocześnie. Skąpa konna eskorta skoczyła do szarży za don Antoniem, raz, drugi, trzeci. Burbończycy wymykali się niczym wataha wilków spłoszonych przez pasterza, lecz wnet zawracali, skradając się za bezbronną trzódką, i było ich coraz więcej. Na wozach wszyscy, którym starczało na to sił, chwyтали za broń i strzelali. Don Antonio dał rozkaz, byśmy schronili się w najbliższym, widocznym już w oddali miasteczku Illueca. Wpadłem w desperację.

– Don Antonio! Błagam, proszę tego nie robić. Wie pan równie dobrze jak ja, czym to się skończy. Błagam!

Nie odpowiedział. Weszliśmy do Illueki jak mysz w pułapkę. Rozumowanie don Antonia było dość proste: nieprzyjaciel miał nad nami liczebną przewagę; jeśli nasza konnica ucieknie, pozostawiając wozy, ranni zostaną wycięci w pień.

Jako inżynier świetnie zdawałem sobie sprawę z tego, że Illueca jest nie do obrony. Ani prowiantów, ani ludzi do walki. W dodatku wiedzieliśmy, że nikt nie przyjdzie z odsieczą. Ale jeśli się okopimy, to gdy rozwieje się bitewny pył i rozpocznie oblężenie, don Antonio mógłby podpisać korzystną dla nas kapitulację z kimś ze sztabu Dwóch Koron. Przynajmniej darowałiby życie rannym. Tak don Antonio rozumiał obowiązek i ofiarność: poświęcić to, co dla człowieka najświętsze – własną wolność, jeśli dzięki temu ratował życie swoich żołnierzy.

Ja wszelako nie mogłem zapomnieć o pewnym szczególe, dla mnie fundamentalnym: poczciwy Zuvi nie był chory ani ranny, a perspektywa niewoli

zdawała mi się nieznośna. Doprowadzony do rozpacz, próbowałem jeszcze przekonać don Antonia. Podczas gdy zamykano bramy i naprędce organizowano obronę, ja prosiłem, by ponownie wszystko rozważyć. Namawiałem, żebyśmy uciekali póki czas, pozostawiając przy komendzie jakiegoś okulałego oficera i niech on negocjuje warunki poddania. Nie brakowało mi zresztą argumentów taktycznych: don Antonio był wszak generałem, najlepszym oficerem Karlangasa, czy warto zatem narażać wojsko na stratę takiego talentu w zamian za życie setki kalek?

Nic z tego. Nigdy by nie opuścił swoich podwładnych, przenigdy. Uszedłem cało ze zbuntowanego Toledo, przetrwałem chłody i trudy Odwrotu, przeżyłem bitwę pod Brihuegą. A teraz, przez jakiś głupi honor, mam wpaść w łapy bezlitosnego wroga. Postawa don Antonia była godna podziwu; więcej, bohaterska. Ale Długonogi Zuvi nie był jeszcze gotów, by pojąć Słowo, czego dowodzi wybuch jego bezsilnej złości:

– Jesteś waść bardziej uparty od głuchego muła! Słyszysz mnie? Od pieprzonego muła w generalskich lampasach! Ot co!

Kogoś innego natychmiast kazałby powiesić. Ale nie mnie. Dlaczego?

Kochał mnie, nie ma innego wyjaśnienia. Zabrał swoich adiutantów i odszedł, depcząc z wściekłości mój trójgraniasty kapelusz. Po chwili wezwał mnie przed swoje oblicze. Zdążyłem się już trochę uspokoić i pożałowałem własnej niesubordynacji. Szedłem do niego jak baran na rzeź.

Był w zamku. Musiałem wspiąć się po spiralnych schodach, aby dostać się na szczyt samotnej wieży, chłostanej przez cztery wiatry. Z góry roztaczał się widok na całą okolicę, aż po horyzont.

Chciałbym zapomnieć to, co zobaczyłem, ale nie mogę. Nasz kochany generał, samotny, okutany w długą, zniszczoną kapotę mysiej barwy, podobny żywej *échaugnette*, obojętny wobec szalejącej na owych wysokościach wichury. Śledził przez lunetę ruchy burbończyków. Kastylijscy partyzanci wezwali już na pomoc regularne oddziały francuskie. Widziane stamtąd, przypominały białe żuczki. Wkrótce okrążą Illuecę. Wkrótce spełni się nasza ofiara.

– Co powinienem uczynić z waszmością? – powiedział, nie odsuwając lunety od oka.

Zrezygnowany, podążyłem wzrokiem za trajektorią jego spojrzenia i odrzekłem:

– Przypuszczam, że teraz to już wszystko jedno, don Antonio. – Westchnąłem. – Wpadniemy w ich ręce.

– Masz rodzinę?

– Chyba tak.

Opuścił lunetę.

– Chyba? – wykrzyknął swoim grzmiącym głosem. – Albo się ma rodzinę,

albo się jej nie ma!

– Mam.

Nie byłem pewien, czego ode mnie chce.

– Potrzebuję posłańca, który powiadomi króla, co się stało – powiedział. – Służyłem pod burbońskim sztandarem. Ktoś mógłby pomyśleć, że skorzystałem z okazji, żeby zdradzić.

– Ależ, don Antonio, tak pomyśleć mógłby tylko idio... – zamilkłem, bo zrozumiałem, że to tylko pretekst, żeby mnie stąd odesłać dla mojego dobra. – Przepraszam, don Antonio.

– Generale! Proszę mnie tytułować stopniem.

– Tak jest, panie generale.

Przytknąwszy do oka lunetę, powiedział:

– Weź biesagi i prowiant na długą podróż. I mojego konia. Nie chcę, żeby wpadł w łapy jakiegoś francuskiego fircyka.

Nie posiadałem się z radości. Zacząłem dziękować, ale krzyknął:

– Zejdź mi z oczu, zanim się rozmyślę!

Odszedłem. Jednak nim dotarłem do schodów, coś kazało mi zawrócić. Nie mogłem odejść ot tak.

– Don Antonio, wiedz waszmość, że długo myślałem o tym, co powiedziałeś w czasie naszej nocnej rozmowy. Nie mam dość odwagi, by przekroczyć ów postawiony nam przez Boga niewidzialny szlaban. Waszmość za to szukasz go z uporem godnym lepszej sprawy.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Spostrzegł moje wzruszenie.

– O czym waść gadasz? Jaka rozmowa? Kiedy?

– Niedawno, kilka dni temu. W pańskim namiocie.

Nie pamiętał.

– Dla mnie jesteś mistrzem, don Antonio. Zastąpiłeś człowieka, którego podziwiałem najbardziej na świecie – ciągnąłem. – Już pierwszego dnia dałeś mi przykład postępowania. A teraz wolność.

Nie spodziewał się, że padnę na kolana, ani tego, że z ramieniem wspartym na wiekowej kamiennej blance wyznam:

– Po raz drugi w życiu nie zdałem najważniejszego egzaminu. Za pierwszym zabrakło mi odwagi, by zrozumieć, czego ode mnie oczekiwano, dziś nie starcza mi męstwa, by do niego przystąpić.

Nie mogłem już powstrzymać płaczu. Szlochałem tak, że dłonie, którymi zakryłem twarz, nasiąkły łzami jak dwie gąbki. Szlochałem, tuląc się do zimnej aragońskiej blanki, szlochałem tak, że na chwilę zapomniałem, dlaczego tam jesteśmy.

Villarroel ponownie spojrzął przez lunetę i powiedział z łagodną przyganą w głosie:

– Wkrótce zamkną okrążenie. Powstań.

Podniosłem się, rozprostowując moje długie nogi, a kiedy odchodziłem, zawstydzony, to on mnie tym razem zatrzymał. W ów chłodny, wietrzny dzień, w odległym zakątku Hiszpanii, spojrzenie don Antonia zapłonęło ogniem jak niegdyś oczy Vaubana.

– Zuviria – rzekł uroczyście – nie oszukuj się waszmość. Dzisiaj możesz uciec. Ale na szczęście czy na zgubę to jeszcze nie koniec. Ani wojny, ani twoich duchowych rozterek. A teraz idź już.

Umykałem z szybkością niezbyt heroiczną, za to bardzo meteoryczną. Koń Villarroela miał równie mało chęci, by dostać się w niewolę, jak poczciwy Zuvi. Poza tym byłem lżejszy niż jego pan, więc w kilka chwil staliśmy się współnikami w ucieczce. Najwyższy czas! Tuż za Illuecą musieliśmy przypaść w krzakach, żeby ukryć się przed nieprzyjacielskimi oddziałami zamykającymi okrążenie. Przyłgnałem do grzbietu wierzchowca i zakryłem mu pysk ręką. Poddał się posłusznie.

Na szczęście hiszpańskich partyzantów ubywało, gdyż ustępowali pola francuskim żołnierzom i oficerom. Teraz don Antonio, który tak „kochał” żabojadów, będzie musiał z nimi negocjować warunki kapitulacji! Ale i tak było to najlepsze wyjście. Francuzi zadowolą się wzięciem jeńców i nikomu nie będą podrzynać gardeł. Podczas gdy burbończycy stali ze wzrokiem wbitym w mury, ja przekradałem się na tyłach, by czmychnąć w przeciwną stronę.

Galopowałem, wolny i swobodny. Lecz fakt, że udało mi się ocalić własną skórę, jakoś mnie nie cieszył. Przez to, co zostawiłem za sobą, i przez to, co było jeszcze przede mną. Przemierzałem okolice, gdzie radość i zadowolenie nie miały racji bytu. Nieborak Zuvi, na owrzodziałym pod siodłem grzbiecie wierzchowca, w brudnych łąkach, w zeszywniałym z zimna szaliku i oszronionym trójgraniastym kapeluszu. Jak okiem sięgnąć, wznosiły się niewielkie, stożkowate pagórki, podobne do mongolskich kurhanów. Chłostał mnie nieustanny wiatr, od którego pękały wargi. Kiedy podmuchy cichły na moment, miałeś wrażenie, że jeździec i koń za chwilę zamienią się w kamień. I rozpostarte tuż nad moją głową niebo, aż po nieskończoność. Błękitne owym czystym błękitem, ogromne, większe niż całe hiszpańskie imperium. Nie mogłem przestać myśleć o don Antoniu.

Przy nim została i umarła moja ostatnia nadzieja na odnalezienie Słowa tu, w Kastylii. Jakże miałem je odszukać w kraju tak jałowym? To prawda, spotkałem mistrza, który mógłby mi zastąpić Vaubana i który był synem kastylijskiej ziemi. Lecz ta sama ziemia wzięła go w niewolę, a być może uwięzi w swym wnętrzu na zawsze. Zawdzięczałem mu wolność, a bodaj i życie. Mogłem dzielić z nim los, lecz tak nie uczyniłem, gdy on składał ofiarę najwyższą: umierał za swego ucznia. Dzięki don Antoniowi mogłem wrócić do Anfana i Amelis. Podły, ale wolny. Płakałem, roniąc łzy niczym świeca, wielkie, powoli spływające po moich

policzkach.

W Illuece, jeśli kogoś interesują historyczne pierdółki, znajdował się grób pewnego papieża, Papieża Księżycowego^[59], błazna, który w czternastym wieku rzucił wyzwanie Rzymowi. Po kapitulacji don Antonia Francuzi zburzyli grobowiec, licząc na bogate łupy. Znaleziono tylko kości. Żabojady źle to przyjęły. Żołdacy rozszarpali mumię na kawałki. Czaszką grali w piłkę, a potem wyrzucili ją przez okno.



Z tego, co wydarzyło się pomiędzy moim powrotem z frontu w 1710 roku do Barcelony a owym niesławnym latem 1713, nic nie zasługuje na miejsce w tej opowieści.

Byliśmy winni kupę forsy za kupno domu w dzielnicy Ribera. Amelis i ja klóciliśmy się o długi, o jej kiepskie talenty kulinarne (wspaniałe kochanki zazwyczaj nie są dobrymi kucharkami), o tysiące głupstewek. Kiedy pojawiał się temat długu – lichwa dwadzieścia od sta – było to niczym grzmoty przed burzą. Peret, Nan i Anfán znikali natychmiast, pędząc po schodach na złamanie karku. Ja wtedy wypominałem jej, że kupiła to mieszkanie, a ona śmiała się z moich skrupułów. Amelis nie umiała czytać, nie umiała dodawać, ale wiedziała jedno: że na tym świecie przeżyje tylko ten, kto nauczy się chodzić po tłuczonym szkle. Każdy mąż, który to czyta, nawet najbardziej dobroduszny, musi tu postawić rozsądne i ze wszech miar słuszne pytanie: dlaczego nie dałem jej w skórę? Cóż, powody były dwa. Skoro jako najemnik odmawiałem stosowania przemocy wobec obcych, to jak mogłem używać siły wobec niej? A drugi powód? Ja ją kochałem.

Dość łatwo odkryłem, że wróciła do prostytucji. Pobierałem wszak nauki w Bazoches. Kiedy robiło się kiepsko, nagle pojawiały się sakiewki wypchane pieniędzmi. Sądziła, że potrafi to przede mną ukryć, bo bardzo zręcznie nimi gospodarowała, wydzielając monety po trochu. Poza tym kupczenie ciałem nie zajmowało jej wiele czasu. Zauważyłem, że kiedy wychodziła, jej fioletowa niedzielna suknia zniknęła z szafy. Nie miałem najmniejszych wątpliwości: była luksusową kurwą jakiegoś czerwonego aksamitnika, który sownie płacił za jej względy. Nie rzekłem na to ani słowa.

Na dzisiaj wystarczy. Podaj mi kota i flaszkę. I odejdz.

Z braku innych zajęć zostałem domowym nauczycielem Nana i Anfana. Ku mojemu zaskoczeniu karzełek świetnie sobie radził z liczbami, chociaż nie potrafił usiedzieć na miejscu: ledwie minęło kilka chwil, już wiercił się na krześle, jakby było nabite gwoździami. Tu muszę wspomnieć o czymś, co napawa mnie smutkiem. Moje lekcje odniosły skutek nieprzewidziany i godny pożałowania. Oto braterstwo Nana i Anfana zaczęło się psuć. Pamiętam pewien dzień szczególnie bolesny.

Podarowałem Nanowi dużą frygę z wypisanymi na niej liczbami. Anfán wszedł do izdebki, która służyła nam za salkę szkolną, i zobaczył karzełka, a przed nim kręcącego się bączka. Zaczęli się o niego klócić. Nan przytulił zabawkę do siebie, nie mając zamiaru jej puścić. Oburzony Anfán krzyknął:

– Ty i te twoje liczby! Zapomniałeś, ile kromek czerstwego chleba przyniosłem ci, kiedy sypialiśmy w lisich norach? Straciłeś rachubę, co? *Nan*

merdós!^[60]

To, że rzucił Nanowi w twarz takie wyzwisko, było czymś tak niezwykłym, tak nie do pomyślenia, że nie zrobiłem nic. Karzelek, owszem. Pobiegł za Anfanem z płaczem, skruszony, wymachując rękami w rozpacz. Chcąc go pocieszyć, wręczył mu frygę. Chłopiec ważył ją przez chwilę w dłoni i po krótkim wahaniu wyrzucił przez okno. Omal nie zabił ostrzyciela noży, który właśnie przechodził ulicą.

W jakiś sposób Anfán wyczuwał, że wygodne życie, cała ta nauka i tak dalej niszczą łączącą ich najgłębszą więź. Pogodzili się, ale już nie było tak jak dawniej.

Razem z Amelis daliśmy im dach nad głową, przydziejek, jedzenie, a nawet miłość. Pełni najlepszej woli staraliśmy się, żeby mieli coś, co przypomina rodzinę. To prawda, że nie byli już narażeni na kule ani na łaskę żywiołów, czuło się jednak, że cały ów niegdysiejszy ból, zamiast odejść, przeniknął im pod skórę. Podczas oblężenia Tortosy nigdy nie widziałem ich smutnych. Przeciwnie. Drwili ze śmierci tak samo jak ze mnie. I zawsze im się udawało. Teraz Anfán już nie kradł, już nie włąził nam do łóżka w najmniej odpowiedniej chwili, rozpychając się i chrapiąc nad uchem. Przesiadывał za to godzinami na balkonie, zwiesiwszy nogi między prętami balustrady, sam, z tęsknym, zasepionym spojrzeniem dzikusa, którego wyrwano z dżungli. Jedząc umaczany w oliwie chleb, wpatrywał się w ludzi na ulicy, w widoczny za nią bastion Świętej Klary, a jeszcze za nim – w cały daleki świat. Oboje nas dręczyło to samo pytanie: czy nie byłoby lepiej, gdyby nigdy nie opuścili transzei pod Tortosą?

Żeby uprzyjemnić im naukę, coraz częściej zabierałem ich na spacer. W gruncie rzeczy było wszystko jedno, czy dawałem im lekcje w domu, czy podczas przechadzki, a Anfán był jak zwierzątko, które potrzebuje świeżego powietrza. Podczas jednej z owych wycieczek wydarzyło się coś, co dowodzi, iż przez zbytek grzeczności ludzie prawi wychodzą na durniów.

Jak mówiłem, zabrałem Nana i Anfana na spacer, tym razem za miasto. Anfana ogromnie ciekawiły moje wojenne przygody. Zawsze byłem powściągliwy w opowiadaniu o tych wszystkich jatkach, bagnietach i błocie, lecz mój opór tylko wzmagił dociekliwość malca. Wyszliśmy już za mury, na dróżkę biegnącą wśród ogrodów i rozsianych z rzadka chat, gdy zapytał mnie o to, jakich poznałem generałów.

– Żeby odezwać się do francuskiego generała, musisz się wyprostować. W ten sposób! – powiedziałem, stając na baczność, z rękoma wzdłuż ciała i podniesioną brodą. – Jakbyś kij połknął. I żeby nie wiem jak głupio gadał, trzeba trzasnąć obcasami, tak!, i wrzasnąć: *Mes devoirs, mon général!*^[61] Potem każą ci ruszyć do ataku. Ty odwrzaskujesz jeszcze głośniej: *À vos ordres, mon général!*^[62], i korzystając z zamieszania, pędzisz co sił w nogach w dowolnym kierunku, byle nie tam, gdzie ci kazano.

– A z hiszpańskimi generałami jest tak samo?

– O nie, z hiszpańskimi jest całkiem inaczej! – wykrzyknąłem. – Do tych musisz wrzasnąć: „Tak jest, panie generale!”, i pobiec w przeciwną stronę.

Chyba już dorośleli, bo wzięli to za żart, podczas gdy ja mówiłem poważnie.

– No cóż – przyznałem – prawda jest taka, że służyłem pod rozkazami dwóch sławnych wodzów, którym byłem ślepo posłuszny, nie zważając na to, czy żądają ode mnie rzeczy szalonych. Jednak nie dlatego słuchałem ich, że byli wielkimi generałami, ale dlatego, że byli wielkimi nauczycielami.

– A z tych wielkich ludzi, który był największy? – zapytał karzełek.

Dla Anfana największym był ten, który nauczył mnie, jak przeżyć, jeśli bowiem jesteś martwy, nie możesz zgłębić żadnych arkanów. Dla Nana, bystrego mimo pewnej umysłowej ciasnoty, największym był ten, który wtajemniczył mnie w arkana, albowiem bez znajomości tajników życia nie można wykpić się od śmierci.

– Chyba ten, który wtajemniczył cię w arkana – powiedział Nan. – Bo jak przetrwać, nie znając tajników życia?

Kiedy podjęliśmy spacer, Anfán wdrapał się na płot otaczający jakiś dom z ogrodem. Chciał tylko przyjrzeć się cedrowemu drzewu, które rosło w rogu za ogrodzeniem. Opowiadałem im niedawno o rozmaitych gatunkach drewna i o tym, że cedr jest jednym z najbardziej cenionych przez rzemieślników. Chłopiec koniecznie chciał go dotknąć, więc wspiął się po pniu jak małpa.

– Z tego samego drewna robi się skrzypce i kolby karabinów. Ciekawe, prawda? – powiedziałem. – Na razie są tam w środku, i skrzypce, i karabin. Co byście wybrali, gdyby to od was zależało...?

Przerwał mi sługa, który wybiegł z domku ogrodnika i rozsierdzony pomstował na Anfana:

– Ej, wy, rabusie, gruszek się wam zachciewa! Wynocha stąd albo kija posmakujecie!

– Nic nie ukradłem! – bronił się Anfán z niezwykłą u niego zapalczywością, jako że po raz pierwszy było to prawdą.

Ogrodnik jednak, wymachując długą żerdzią, wyskoczył za płot razem z jakimś kundlem, który rzucił się na karzełka. Pozwoliłem im wszystkim potarmosić się trochę, a potem ich rozdzieliłem.

– Dobra, dobra, wystarczy.

Chcąc udobruchać ogrodnika, jąłem podziwiać sad i zadbane ogród. Spojrzał na nas życzliwiej. Po chwili zjawił się jego ojciec. Pogadaliśmy sobie, a na koniec dali nam warkocz czosnku i kilka dojrzałych pomidorów.

– Widzisz, jak to dobrze być uczciwym? – powiedziałem do Anfana, kiedy wracaliśmy do domu z pełnymi rękami.

– Dobrze? A co z tego za korzyść? – zaprotestował, rozcierając posiniaczoną

twarz. – Pierwszy raz nie kradłem i napadł na mnie ten wielkolud. Na to się zdało być uczciwym!

– Otóż mylisz się bardzo – odparłem. – Co robiłeś, kiedy coś ukradłeś?

– Jak to co? Zmykałem co sił w nogach!

– Właśnie. A teraz rzucił się na ciebie chłopak o pięć lat starszy, z kijem i psem. A ty, zamiast uciekać, zacząłeś się bronić.

Ów retoryczny chwyt musiał zrobić na nim wrażenie, bo słuchał z uwagą.

– Uczciwość naoliwia muskuły duszy – ciągnąłem. – Chroni nas przed niesprawiedliwością i umacnia wolę walki. Byłeś słabszy i nieuzbrojony. Ale miałaś rację i o tym wiedziałeś. Dlatego się mu postawiłeś. Poza tym prawość serca winna iść w parze z łagodnością słów. Popatrz na ten czosnek i na te pomidory. Dostaliśmy je za darmo, w goście dobrej woli, tak rzadkiej w dzisiejszych czasach. A dlaczego? Przecież nie kradłem, nie kłamałem nawet. Podziwiając ogród tego dobrego człowieka, mówiłem samą prawdę: że swoją ciężką pracą przemienia świat i dzięki temu ma na chleb. On zaś, chcąc zapewne odwzajemnić się za owe pochwały, zechciał podzielić się plonami z obcymi sobie ludźmi. Po co wymieniać się złem, skoro można się wymieniać dobrami? Dał nam dużo więcej, niż mógłbyś ukraść!

Piękna mowa, czyż nie? Jako pedagog nie mogłem się równać z Janem Jakubem Rousseau, ale jak na amatora wyszło całkiem niezłe.

Zbliżaliśmy się do bram miasta, gdy ujrzałem grupkę osobliwych spacerowiczów. Pięciu mężczyzn, czterech pod bronią, z karabinami na ramieniu. Piątym był on. On! Rzeźnik z Antwerpii!

Joris Prosperus van Verboom. Pod eskortą, przechadzający się radośnie za murami, wokół barbakanu. Wiedziałem, że był więźniem katalońskich władz (sam go schwytałem, pamiętacie?), ale nie spodziewałem się, że przetrzymywany jest w stolicy. Wysforowałem się przed Nana i Anfana, ruszyłem prościutko ku niemu i zacząłem go dusić obiema rękami. Straż siłą mnie od niego oderwała.

– Ejże, chłopcze! – zganił mnie dowódca wyrozumiale. – Widzę, że nie pałasz miłością do burbońskich dygnitarzy, ale nie zachowuj się jak dzikus. Wroga trzeba traktować wielkodusznie, przynajmniej póki nie dojdzie do wymiany.

– Do wymiany? – jęknąłem. – O czym waść gadasz? Taki śmieć nie może podlegać wymianie! A teraz, gdy w swojej głupocie pozwoliliście mu się włóczyć pod murami, nie wolno go wypuścić z miasta aż do zakończenia wojny! Dawać mi go tutaj!

Większość ludzi odchodzi z tego świata, nie zdążywszy pojąć, iż wojna nie jest sprawą brutalnej siły. Że wynik wojennych zmagania rozstrzyga się w rejonach wyższych, w świecie atramentu, ksiąg i liczb. Verboom był Punktowanym. Z pewnością sam namówił ich na ten spacer, aby przyjrzeć się naszym umocnieniom i słabości naszych bastionów. Oczywiście było, iż Verboom

zgrupuje dane, które będą warte więcej niż dwadzieścia regimentów. Nie dziwota, że próbowałem zaprotestować przeciw głupocie i źle pojętej kurtuazji rządu.

On zaś, swobodnie, bez kajdan ni łańcuchów, chodził i obliczał grubość i wysokość murów, oddalenie i głębokość fosy. Wypatrywał, jak poprowadzić gigantyczną, złowrogą transzeję szturmową. Nie było chyba w historii szpiega, który mniej by ryzykował od Verbooma: nie mogli go aresztować, bo już był więźniem, gościem swoich nieprzyjaciół, którzy uprzejmie pokazywali mu wszystko, co chciał zobaczyć. Znajdowaliśmy się dokładnie u stóp bastionu Świętej Klary. Ledwie o kilkadziesiąt metrów dalej stał mój dom – dom, który dzieliłem z dwójką dzieciaków. I z Amelis.

Znowu rzuciłem się na rzeźnika z Antwerpii. Tym razem już się ze mną nie cackali. Wpadłem w furję, rozkwaśnięty kilka nosów. W końcu obalili mnie na ziemię kolbami, na oczach chichoczącego Verbooma, który powiedział po francusku, żeby strażnicy nie zrozumieli:

– *L’homme avisé est toujours sur ses gardes même quand il se trouve emprisonné.* Czyli: „Człowiek bacny zachowuje czujność nawet w więzieniu”.

Była to sentencja Tytusa Liwiusza bodaj, często przywoływana w Bazoches, tyle że słowa „we śnie” Verboom zamienił na „w więzieniu”. Bili mnie nasi, a on mógł sobie pozwolić na luksus śmiechu. Zawsze to samo; powtarzało się spiralnie niby w weneckim śnie: ilekroć stawałem naprzeciw holenderskiego kielbaśnika, wyrastała przede mną bariera stworzona przez władzę, niezdolną pojąć, że kogoś takiego jak on trzeba ze świata wyrwać z korzeniami.

Noc spędziłem w ponurej celi, a raczej podziemnym lochu, razem z kurwami, pijakami i drobnymi złodziejaskami. Verboom przeżył w Barcelonie jako jeniec całe dwa lata. I nie było dnia, by nie jadał lepiej niż większość z nas, ani nocy, której by nie przespał w miękkich piernatach. Czerwoni aksamitnicy niańczyli go w jedwabnych powijakach, karmili pierśią, z której wysysał naszą krew. Oto macie, com wam mówił: wzięliśmy do domu jajo węża i wyhodowaliśmy żmiję.

Podczas gdy mnie zbito i aresztowano, Nan i Anfán wrócili spokojniutko do naszego domu w dzielnicy Ribera. Moja nieobecność nie dziwiła Amelis, mogłem przecież gdzieś pójść albo zajrzeć na chwilę do karczmy. Ale już przy kolacji zapytała o mnie.

– Szef zarobił parę kijów i siedzi w lochu – odpowiedział Anfán, siorbiąc zupę. – Zrobił nam wykład o braku pożytku z niesłusznej przemocy, o uczciwości i korzyściach płynących z uprzejmej rozmowy. A potem zobaczył jakiegoś szlachcica, pod strażą i bez broni, i rzucił się na niego z pięściami. Kiedy go od niego odciągali, ryczał jak rozjuszony zwierz, łząc Najświętszą Panią, rząd i tego idiotę Karła, naszego króla. Powieszają go, jak nic.

Słodkie dziecko.

W owych dniach zajmowała mnie również sprawa oswobodzenia don Antonia. Wyrwanie go z burbońskich szponów stało się moją obsesją. Powiedzmy, że to, co we mnie jeszcze zostało z godności inżyniera, kazało mi wydostać go na wolność. Nie zdołałem uchwycić Słowa, więc niech przynajmniej uratuję z niewoli następcę Vaubana. Marna to była pociecha, ale zawsze pociecha. Wymiana jeńców trwała bez przerwy, lecz taki biedak jak Martí Zuviría niewiele mógł zdziałać. Spróbowałem wykorzystać zawartą w karczmie znajomość z pewnym holenderskim pośrednikiem. Ciągłe wyjeżdżał i wracał, przekraczając to w jedną, to w drugą stronę linię frontu, i ktoś, kto nie wiedział, czym ów człowiek się zajmuje, nigdy by nie pomyślał, że tkwi po uszy w tak misternych intrygach.

Wymiana jeńców była bowiem czymś pomiędzy partią szachów a potajemną aukcją. Jeden pułkownik za trzech kapitanów; trzech pułkowników za generała, a w grę wchodziła jeszcze brzęcząca moneta, żeby dobić targu. W dodatku każdej ze stron zależało na tym, by odzyskać najcenniejszych praktyków (jak ten wieprzek Verboom, którego ja oddałbym, tylko wylupiwszy mu pierwej oczy i wyrwawszy język; nawet dzisiaj wychodzę z siebie, gdy pomyślę, co z nas były za osły). Droga negocjacji bywała kręta, ponieważ nikt nie chciał zdradzić, jaką realną wartość miały dlań jego najdroższe pionki ani ile był gotów za nie zapłacić.

W połowie roku 1712 don Antonio Villarroel przebywał w niewoli już od półtora roku. To skandal, że wojskowy jego rangi tak długo pozostawał w rękach nieprzyjaciół. Zapłaciłem za tyle dzbanów wina, ile mogłem, żeby zjednać sobie Holendra. Lecz człowiek ów okazał się artystą „drobnej dyplomacji”, jak sam ją nazywał. Na wzmiankę o don Antoniu tylko parsknął śmiechem. I kręcił.

– Z Villarroelem jest taki kłopot – mawiał czasami – że jest za dobrym generałem. Chodzą pogłoski, że kuszą go ważnym stanowiskiem w armii Filipa. Ale odmawia. Podobno ma złe wspomnienia ze służby u Burbonów i nie chce o nich więcej słyszeć. Doprawdy nie rozumiem tego. Przecież był już żołnierzem Dwóch Koron. Mógłby powrócić na tamtą stronę bez uszczerbku na honorze, bo do wojska króla Carlosa wstąpił najzupełniej legalnie. A burbończycy nie są głupi: nie chcą go wypuścić, żeby nieprzyjaciel nie wykorzystał jego zdolności przeciwko nim.

Kiedy indziej zaś cmokał i gadał zgoła co innego.

– Ten twój generał ma wroga wśród swoich. Rząd nie spieszy się z wymianą, więc pewnie szczerze biedaczek w niewoli.

Gdy reagowałem wzburzeniem, Holender wzruszał ramionami.

– Sam sobie waść odpowiedz – mówił. – W tej sprawie król Carlos bardzo liczy się ze zdaniem swoich doradców. Ci z kolei nic nie postanowią bez zgody Generalitat, a rząd nie jest zainteresowany. Twierdzą, że Villarroel „nie jest nasz”.

O co im mogło chodzić? No cóż, to prawda, nikt nie jest wolny od własnej przeszłości. Barcelonie upadek Tortosy mocno dopiekł, a pamiętajcie, że to właśnie don Antonio dowodził ostatecznym szturmem, wydając miasto na pastwę Burbonów. Poza tym nie był Katalończykiem.

W owym czasie humor miałem tak podły, że moje życie z Amelis zaczęło się psuć. Nie mogliśmy sięść do stołu, żeby się nie pokłócić. Albo, co jeszcze gorsze, zapadała cisza tak długa i pełna napięcia, że trudno to było wytrzymać. Nie chciałem ranić Nana i Anfana. Patrzyli na nas z wyczekiwaniem, jak ktoś, kto nie chce walki, lecz nie ma na to wpływu. Aż pewnej nocy Amelis powiedziała:

– Przestań gderać, narzekać i krzywić się, jakby wszystko ci śmierdziało. Twój generałunio jest już wolny.

Zamurowało mnie.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Czy to ważne?

– Maczałaś w tym palce?

Odpowiedziała tym swoim jadowitym, drwiącym głosikiem, wybijając każde słowo:

– Jasne! Ten twój pieprzony Mystère mnie o to prosił.

Nic więcej nie mogłem z niej wyciągnąć.

Jak było, tak było, ale pod koniec 1712 don Antonia wreszcie wymienili. Zła wiadomość jest taka, że wolność odzyskał także Verboom. Rozmowy były tajne i domyślałem się, że rzeźnik z Antwerpii stał się kartą przetargową. Wyjeżdżał grubszy, niż przyjechał i z głową pełną pomiarów. Nie lubię się przechwalać i udawać proroka, ale fakty są takie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił po przybyciu do Madrytu, było napisanie szczegółowego raportu o systemie obronnym naszego miasta. Zostawmy to. Jeśli idzie o don Antonia, to wybrał drogę odwrotną: z Madrytu do Barcelony. Zaproponowano mu stanowisko generała kawalerii, które po krótkim wahaniu przyjął.

Był człowiekiem, który tragizm wypisany miał na czole. Myślę, że po prostu nie mógł postąpić inaczej. Był zawodowym żołnierzem, a wojsko było jego życiem. Dlaczego wzgardził hojną ofertą Filipa V? Możliwe, że kierowała nim duma. Don Antonio był na wskroś Hiszpanem. Sami wiecie... wybijałe poczucie honoru, to takie kastylijskie... bohaterstwo absolutne skrzyżowane ze wzniosłą głupotą.



Tymczasem, bardzo daleko od nas, działy się rzeczy, które miały odmienić bieg wojny, fatalnie zaważyć na naszym życiu, a mnie, wbrew wszelkim przewidywaniom, postawić przed majestatem Słowa.

W 1711 zmarł pewien cherlawy kawaler, niejaki Pepito. Błyskawiczny atak ospy i prosto do ziemi. Śmierć owa sprawiła, że w wojnie nastąpił dramatyczny zwrot, a wszystkich Katalończyków skazała na wieczną niewolę. Zapytacie, jak to możliwe, iż wydarzenie tak błahe, zwyczajny zgon wskutek ospy, miało tak dalekosiężne skutki.

Cóż, przypadek chciał, że umarlakiem, owym Pepito, był Józef I, cesarz Austrii i brat Karlangasa. Gdy zabrakło Pepita, tron cesarski przypadł Karolowi, który wciąż aspirował do hiszpańskiej korony, a teraz został również władcą Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Jak zapewne pamiętacie, wojna wybuchła, ponieważ Anglia sprzeciwiała się dynastycznej unii Francji i Hiszpanii. Londyn nigdy by nie pozwolił zaistnieć na kontynencie tak wielkiej potędze i dlatego poparł Karola przeciw Filipkowi. W tej sytuacji jednakże pomysł okazał się chybiony, gdyż Karlangas, jednocząc pod swym berłem Hiszpanię i Austrię, utworzyłby królestwo równie potężne. Czyli przyczyna konfliktu nie zniknęła, przesunął się jedynie punkt ciężkości.

Śmierć Pepita była dla nas wyrokiem. Jeszcze tego samego dnia angielscy dyplomaci przystąpili do negocjacji. I patrzcie, patrzcie, teraz, gdy sytuacja zagrażała ich własnym interesom, znaleźli wyjście szast-prast: Karlangas powinien wyrzec się hiszpańskiego tronu i na zawsze pozostać w Wiedniu; Filipek powinien wyrzec się tronu francuskiego (gdyby zmarło się Potworowi) i pozostać na zawsze w Madrycie. Koniec wojny. Wszyscy do domciu, jak gdyby nigdy nic.

Francja, wyczerpana, zareagowała ospale; Karlangas zaprotestował, ale słabo. Bez wsparcia Wyspiarzy, wojskowego, a zwłaszcza finansowego, nie mógłby kontynuować walki nawet przez trzy miesiące. Tak więc wszystkie strony wyraziły zgodę na angielską propozycję. Od tego dnia chodziło już tylko o targi i ustalenie mniej istotnych szczegółów.

A Katalonia? Śmiech mnie bierze! Ani Karlangas, ani Anglicy nie pofatygowali się, by powiadomić władze Barcelony. Jak można się domyślić, nawet czerwoni aksamitnicy podnieśli krzyk oburzenia. Nasi miqueleci zatem nadal ginęli w górach, nasi obywatele płacili złodziejskie podatki na podtrzymanie niekończącej się wojny, a tymczasem nasz własny król kopał pod nami dół. Rozmowy dyplomatyczne toczą się powoli, zwłaszcza jeśli dotyczą wojny światowej, więc od 1711 do 1713 roku Katalończycy bili się – jak głupie pionki – za króla, który już sprzedał ich katy.

W tym miejscu nie zdołam uniknąć dygresji. W kronikach czytamy, że

Pepito zmarł na ospę, ale zawsze coś mi tu śmierdziało. Nikt nie choruje na ospę sam – albo jest epidemia, albo żadnej ospy nie ma. Przypadek zaś sprawił, że tylko Pepito, jeden jedyny w całym Wiedniu, zapadł na tę chorobę.

Stosunki pomiędzy obu braćmi już od dawna były chłodne. Przez braterską lojalność Pepito wydawał ogromne sumy na nie swoją wojnę i miał owego konfliktu dosyć nie mniej niż reszta Europy. Jak powiedział mi pewien sędziwy wiedeński dworzanin, ostatnie listy do Karlangasa cechował jeden ton: „Braciszku, daj sobie wreszcie spokój z tą wojną, której końca nie widać. Katalończycy Cię kochają, a Kastyljczycy nienawidzą? To zrobmy tak: niech Filip zostanie królem Kastylii, a ty Katalonii”.

O tym, że możliwość taka nie była tylko czczym gadaniem, lecz realnym celem politycznym, świadczy to, iż wszystkie austriackie gazety przedstawiały tę propozycję jako ostateczne rozstrzygnięcie ciągnącego się latami sporu. Karlangasowi pomysł ów nie spodobał się wcale i odpowiedział listem przyprawionym arsenikiem. Ospa! A ty jak uważasz, moja kochana, szpetna Waltraud? Zabił go, jak Kain Abla? Dobrze, już dobrze, zamknij się, kogo obchodzi twoja opinia.

O czym to ja mówiłem? Ach tak, Karlangas obwołany nowym cesarzem Austrii. Spakował manatki i ruszył biegusiem do Wiednia na koronację. W Barcelonie zostawił swoją królowną, teraz już także cesarzową, jako rękojmię wieczystej wierności Katalończykom.

Podkreślam: przez zbytek grzeczności ludzie prawi wychodzą na durniów. Albowiem oczywiste było, iż Karlangas nigdy nie wróci, a królowna, którą nam oddano w zastaw, skorzysta z pierwszej lepszej okazji, by podążyć w ślad za nim. W Barcelonie spędziła rok, chadzając do opery w przerwach pomiędzy jednym ziewnięciem a drugim. Potem zaś, kiedy uznała, że już można, adieu, bądźcie zdrowi. Do dziś trzęsę się ze złości na myśl o tym, jak się ta dziewczka tłumaczyła. Wedle jej własnych słów, musiała wyjechać, gdyż „sprawą najwyższej wagi stało się zapewnienie tak upragnionej sukcesji”. Czyli że przypiliło ją, by rozłożyć nogi przed jej Karlangasem, co było ważniejsze niż losy całego narodu.

A teraz zgadnijcie, co zrobili czerwoni aksamitnicy, kiedy królowna ogłosiła swą łaskawą wolę wystawienia nas do wiatru.

Wypuścili ją bez szemrania! Oni, panowie szlachta, nasz, pożał się Boże, rząd! Jedyną kartę, jaką mógł zagrać opuszczony przez króla naród; ostatnią gwarancję, że cały kraj nie zostanie poćwiartowany żywcem. I jeszcze pożegnali ją z wszelkimi honorami! Rząd w komplecie stawiał się na nabrzeżu, a obchodziło ich tylko to, żeby zająć miejsce na widoku, jak najbliżej cesarzowej.

Powiedzieć wam, co powinni byli zrobić? Wysłać do Wiednia zalakowany list z obietnicą, że wrzucimy królowną do szczurzej nory i nie pozwolimy jej zmienić majątek, dopóki Karlangas nie zasiądzie do międzynarodowej partii

szachów i nie załatwi wszelkich gwarancji politycznych, dyplomatycznych i wojskowych, by Katalonia stała się wolna i bezpieczna. Ale nie, czerwoni aksamitnicy byli grzeczni. Świat szykował się na naszą egzekucję, a oni zajmowali się pudrowaniem peruk!

Mając rozwiązane ręce, Karlangas podpisał z burbończykami haniebny traktat ewakuacyjny. Zgodnie z jego postanowieniami, Sprzymierzeni mieli wycofać wszystkie siły z Półwyspu, czyli z Katalonii, jedyne terytorium, które jeszcze kontrolowali. Od tej chwili sprawy potoczyły się bardzo szybko. Kiedy królowa uciekła do Wiednia, stanowisko wicekróla Katalonii objął austriacki marszałek Starhemberg.

Starhemberg dźwiga na swoich barkach brzemień największej i najbardziej odrażającej zbiorowej egzekucji czasów nowożytnych. W początkach roku 1713 dramat czekał już tylko na swój finał. Wszystkie tryby się zazębiły. Niebiosa miały wkrótce runąć. Trzeba było jedynie nacisnąć dźwignię. Tą dźwignią był Starhemberg.

Za kulisami podpisano ugodę z Potworem. Do Barcelony przybył goniec: Starhemberg musi zarządzić odwrót i pokierować ewakuacją wojsk Sprzymierzonych z Katalonii. Holendrzy, Niemcy i Portugalczycy mają wsiąść na angielskie okręty kotwiczące w Barcelonie. Czyż nie oznaczało to wydania tego kraju, najwierniejszego z wiernych, na rzeź i pohańbienie? Ależ oczywiście, że tak. I co z tego? *It is not for the interest of England to preserve the Catalan Liberties.* Ani utrzymanie Katalończyków przy życiu.

Spróbujcie sobie wyobrazić osłupienie, jakie zapanowało w Barcelonie, gdy wieść ta rozeszła się wśród ludzi. Z początku nikt nie chciał wierzyć. Fala defetyzmu zdławiła serca. Na ulicach i w karczmach rozmawiano o tym, co nieuniknione, a pijacy zawodzili makabryczne przyspiewki:

Anglesos han faltat!

Portuguesos han firmat!

Holandesos firmaran,

I al fi nos penjaran!^[63]

Na murach w całym mieście pojawiały się napisy, z których wiele tchnęło najczarniejszym humorem:

KOMEDIA O EWAKUACJI

Występują:

Hiszpania w roli księżej dupy; nasze wolności jako papier do podtarcia;

niewola jako latryna na drugim planie, a Sprzymierzeni jako czyściciele gówna.

Urzędy, tytuły i beneficja nadane przez Karlangasa straciły wartość z dnia na dzień. Jakiś wesolek potrząsał dzwoneczkiem i sypiąc na przechodniów konfetti, wykrzykiwał:

– *Es venen senyories a preus d'escombraries!* – Sprzedam tytuły za pakuły!

Nie od dziś wiadomo, że błazeństwa pomagają opanować strach. Któregoś dnia natknąłem się na Nana i Anfana niedaleko od domu, na ruchliwym placu Born, jak bawili się w ulicznych komediantów. Karzełek występował goły – jeśli nie liczyć lejka na głowie – niczym jakiś pokraczny biblijny Adam. Lewy kulas podkurczył do tyłu, odgrywając kuternogę. Do kolana przywiązał sobie kość od szynki i z przodu wyglądał jak stwór z jedną nogą ludzką, a drugą świńską. Skrobał nagą kość nożykiem, odkrawając resztki mięsa, które następnie wkładał do ust i połykał. Wił się w udawanych bólach, rozdarty pomiędzy rozkoszą degustacji i mękami, jakie sam sobie zadawał. Anfán tymczasem krążył wśród widzów z sakiewką, prosząc co łaska i nucąc popularną w owych dniach rymowankę:

– *Entre Carlos tres i Felip cinc, m'han deixat ab lo que tinc!*^[64].

Ach, śmiech, śmiech! Ten wentyl strachu, który pozwala mu ulotnić się na chwilę, ale nie wypędza go na zawsze. Albowiem trzecią fazą jest przerażenie.

Przerażenie wkradło się do miasta jak zaraza, przyniesione przez podróżnych. Do Barcelony napływali uciekinierzy z całego kraju. Gdy wchodzili przez bramy do miasta, otaczały ich tłumy barcelończyków, wypytujących o to, co dzieje się na prowincji. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo:

– Katalonia płonie.

I rzeczywiście tak było. Jeśli jakaś miejscowość nie poddawała się od razu, ostrzeliwano ją z armat, a potem rzucano do szarży kawalerię. Ścigające Sprzymierzonych wojsko burbońskie nie kontentowało się przy tym jedynie zajęciem wiosek i miast. Żądali, by alkadowie wychodzili im naprzeciw i składali hołd.

Strach rodzi skrajne postawy. Zazwyczaj uległość w obliczu zagrożenia. Niekiedy jednak, rzadko, bardzo rzadko, wywołuje stan ducha równie niezwykle jak niebezpieczny: zbiorową furję.

Ostatnich alianckich oddziałów wycofujących się w kierunku wybrzeża nikt

już nie błagał, by zostały; cywile obrzucali je kamieniami. Oburzenie sięgnęło szczytu, gdy jęły wychodzić na jaw dowody zdrady. Nie tylko odchodzili, ale też wręczali burbońskim komendantom klucze do miast i fortec!

W ostatnich dniach czerwca 1713 roku Barcelona wrzała. Ludzie nie są głupi, zawsze wiedzą, kto zawinił ich nieszczęściom. Setki rozwścieczonych mieszkańców zebrały się przed rezydencją wicekróla Starhemberga, obkleili drzwi kurzymi pazurami i pierzem^[65]. W jednym się mylili: Starhemberg ani nie był tchórzem, ani nie mógł przestać nim być, podobnie jak kaci nie są ani odważni, ani bojaźliwi, lecz tylko podli.

Czerwoni aksamitnicy zażądali od niego wyjaśnień, dlaczego Sprzymierzeni się wycofują, dlaczego wydają niewinnych ludzi na pastwę okrutnego wroga, a wreszcie, co zamierza zrobić Karlangas, by nie dopuścić do egzekucji narodu, który stał przy nim wiernie od samego początku wojny.

Odpowiedź Starhemberga zasługuje, by przejść do historii cynizmu:

– Pragnę wyrazić waszym ekscelencjom moje najgłębsze ubolewanie i zapewnić o nieustającej życzliwości.

I odjechał. Jeszcze tego samego wieczoru wymknął się tylnymi drzwiami, pod pretekstem wyjazdu na polowanie. Już nie wrócił. Dołączył do oddziałów czekających na zaokrętowanie u ujścia rzeki Besós, w północnej części miasta. Angielska flota kotwiczyła tam, by w razie zamieszek w porcie uniknąć kłopotów. Nasi wierni sojusznicy!

Zauważcie, iż Starhemberg nie złożył dymisji z urzędu wicekróla. Trudno sobie wyobrazić większą podłość. Nawet przestępcom skazanym na śmierć udziela się ostatniego namaszczenia.

Nasi sojusznicy rejterowali, pozostawiając nas na łasce losu, kolumny burbońskich wojsk nieubłaganym marszem szły na Barcelonę, a co na to czerwoni aksamitnicy? Nic. Starhemberg już pakował walizy, a oni do ostatniej chwili wysyłali mu dokumenty do podpisu. Zgodnie z ich logiką, pokrętnie legalistyczną, austriacki sęp wciąż był wicekrólem. Maszyneria musiała działać wedle przyjętych zasad. A że Starhemberg skumał się z wrogiem, że oddał mu nasze domy i nasze wolności? Och, przecież nic się nie stało, to bez znaczenia.

W regimentach Sprzymierzonych służyli też Katalończycy – niezbyt liczni – którzy swego czasu zaciągnęli się do cesarskiego wojska Karlangasa. Nie byli to miqueleci, w pół drogi pomiędzy prawem i piekłem, lecz ludzie, którzy chcieli zostać żołnierzami regularnej armii. Oni, owszem, widzieli, co się święci. Nie zasiadali w rządzie, nie mieli na co dzień do czynienia z dygnitarzami i wielką polityką. A mimo to rozumieli, o co toczy się gra i komu winni są wierność. Do ostatniego dnia opuszczali szeregi alianckich oddziałów, bywało nawet, że wyskakiwali za burtę odpływających już okrętów, żeby tylko dostać się do

Barcelony. Starhemberg przekroczył wówczas granice dyscypliny, posuwając się do najzwyczajszego okrucieństwa: nakazał wieszać uciekinierów, choć przez całą wojnę nie wyróżniał się szczególnie gorliwym zwalczaniem dezercji. Tak zatem nasi najdzielniejsi chłopcy zawisli na drzewach, znacząc szlak sojuszniczej rejterady, a tymczasem czerwoni aksamitnicy kłaniali się w pas mordercy.

Nareszcie, pod koniec czerwca 1713 roku, władze postanowiły zwołać parlament. Były tak zaskoczone pochodem burbońskich wojsk, że obrady ograniczono do jednego punktu: poddać się czy walczyć?

Tu muszę wyjaśnić, że nasz parlament dzielił się na trzy części, inaczej mówiąc „stany”: jeden gromadził szlachtę, drugi przedstawicielei pospólstwa, a trzeci – jakżeby inaczej – watykańskie karaluchy.

A ty nie przerywaj i nie poprawiaj mi tych „karaluchów”! Dobrze wiem, o czym mówię, i nie mam zamiaru milczeć.

Nie twierdzę, że wszyscy księża są źli. Nie w tym rzecz. Podczas oblężenia widywałem ojczulków chudszych niż cyprys, kruchych jak szkło, lecz obojętnych na ogień nieprzyjaciela. Ich jedynym ziemskim dobrem była sutanna, kule świstały im koło uszu, a oni klęczeli na pierwszej linii, udzielając sakramentów konającym. Biskupi wszelako różnili się od czerwonych aksamitników jedynie kolorem szat. Bo spójrzcie tylko, jak się zachował sam pasterz Barcelony i kardynał, ten nędznik Benet Sala.

W pierwszym dniu debaty sekretarz parlamentu zapytał, jak na sprawę zapatruje się stan duchowny. Stanowili grupę najmniejszą ze wszystkich, logiczne zatem było, że powinni wypowiedzieć się przed innymi. Odpowiedzieli mętnie. Ani na tak, ani na nie. Wdali się w teologiczne dysputy, dowodząc, iż wojna sama w sobie jest złem i że gdy jedni chrześcijanie podnoszą rękę na drugich, Bóg płacze krwawymi łzami.

Banda faryzeuszy! Z tego, co mi wiadomo, Watykan pobłogosławił dziesiątki wojen i nigdy się nie przejmował, że giną na nich ludzie. A poza tym, jak dotąd, w ciągu tych trzynastu długich lat nikt tam jakoś nie brzydził się wojną.

I wtedy otrzymaliśmy cios sztyltem w plecy. Benet Sala miał dobrą wymówkę, by wyjechać z Barcelony, jako że w owych dniach wezwano go do Rzymu. Nawykły do watykańskich konszachtów, dogadał się ze Starhembergiem, że opuści miasto razem z oddziałami Sprzymierzonych.

Nagle barcelończycy ujrzeli, że zostali opuszczeni przez wojsko, które broniło ich ciała, i przez pasterza, który powinien strzec ich dusz. Celem Beneta było rzecz jasna zniszczenie morale tego samego chrześcijańskiego ludu, któremu winien był duchową posługę, a wszystko po to, by naród ów poddał się, popadł w zwątpienie i poszedł na rzeź jak potulny baranek. Kiedy umrę, będę szczęśliwy, mogąc wziąć Beneta Salę na słówko. Albowiem niewątpliwie smażyć się będziemy w jednym kotle. Ale przysięgam wam, że Sala w nim utonie, bo utopię go

własnymi rękami.

Tymczasem wrzenie w mieście narastało. A to, co wówczas się stało, trudno jest wytłumaczyć.

Religia zawsze stanowiła wentyl bezsilności. Na ulice wylegały procesje, by wyblagać dla Barcelony zbawienie. Nudne to się już robiło, włączyli się pod oknami i nie dawali ludziom spokoju. Albowiem na początku z tłumu dobiegał tylko cichy szmer, ale powszechne wzburzenie udzielało się wszystkim. Największe wrażenie wywarł pochód złożony z dwunastu dziewczeczek, które udały się z pielgrzymką na świętą górę Montserrat z prośbą o boską interwencję. (Montserrat to grzbiet o wielce osobliwym kształcie, wznoszący się na północny zachód od Barcelony. Przypomina piłę o stępionych zębach, a na szczycie znajduje się sanktuarium dziwnej czarnoskórej Madonny).

Nazwijcie mnie niedowiarkiem, ale procesje ślicznotek w sukniach uwydatniających powabną kibić zawsze były tłumniejsze niż te z udziałem zakapturzonych biczowników. Widok owych panien zrodził w głowach gapiów następującą myśl: „Czyż można się zgodzić na to, by takie piękne dziewczęta poszły na ofiarę?”. Tym sposobem religijne procesje przeobraziły się w protest przeciwko poddaniu miasta. W końcu okrzyki na cześć patronki stolicy, świętej Eulalii, zmieniły się w pomstowanie na Filipa V.

A poczciwy Zuvi? Cóż porabiał wśród owego obywatelskiego poruszenia?

No więc w owych dniach interesowało mnie głównie wznowienie procesu o należny mi spadek. Czasu miałem pod dostatkiem i często zaglądałem do kancelarii adwokackiej. Sądziłem, że moją sprawę przyspieszyć może jedynie spotkanie z samym Casanovą, udzielnym panem i władcą. Nic z tego. Casanovy nigdy tam nie widywano, a jego podwładni zanudzali mnie desperackim bajdurzeniem. A bo pan Casanova piastuje obecnie wysokie stanowisko polityczne i nie może być do mojej dyspozycji; a bo trybunały stają na głowie, żeby nadażyć z natłokiem spraw; a bo tararara. Kiedy indziej drzwi zastawałem zamknięte przez cały dzień. To ostatnie wprawiało mnie w wyjątkowo pieski humor. Kiedy wyklócałem się z jakimś podrzędnym adwokacina, zawsze mogłem go skłąć i jakoś się wyładować, nawet jeśli na nic to się zdało. Ale cóż mogłem zrobić wobec zamkniętych drzwi? Gdyby dali mi sprawną brygadę saperów, mógłbym w dwadzieścia dni zdobyć fortecę o dwunastu wieżach. Z domem adwokata lepiej nawet nie próbować.

– Ej, Martí, chcesz się pośmiać? – zapytał mnie pewnego dnia Peret.

Właśnie rozpoczynały się obrady parlamentu i wpadł na pomysł, że mógłbym się temu przysłuchać.

– Masz zamiar tam wejść? – odparłem drwiąco. – Wystawili potrójną straż, na placu Świętego Jakuba stoi rozwścieczony tłum. Nie słyszysz?

Do naszych okien dobiegały okrzyki wzburzonych ludzi.

– Chodź za mną i nic nie mów. I wystrój się jak na niedzielę.

Nie miałem nic lepszego do roboty, więc poszedłem. Z trudem przeciskaliśmy się przez plac Świętego Jakuba. Nastroje nie były rewolucyjne, choć ludziska napierali na drzwi i rozstawione wokół gmachu kordony. Wszystkie oczy spoglądały na balkon. Nikt nie chciał obalać rządu, domagano się przywództwa. Wokół niósł się jeden okrzyk:

– Crida!^[66] Ogłóście cridę!

Crida oznaczała legalną mobilizację. Tylko przez cridę można było wezwać dorosłych Katalończyków do obrony ojczyzny, ten zaś, kto chwycił za broń samowolnie, stawał się wyjętym spod prawa miqueletem, nawet jeśli czynił to z patriotycznych pobudek. Dlatego tak ważne było, by wezwanie do walki zbrojnej zostało ogłoszone z zachowaniem wszelkich legalnych form. A żywotnym interesem czerwonych aksamitników było do tego nie dopuścić.

Peret okrążył gmach, kierując się do drzwi wychodzących na wąską, położoną na tyłach uliczkę Świętego Honorata. Tam szepnął coś na ucho dwóm żołnierzom stojącym na warcie i pozwolili nam wejść. Zdziwiły mnie ich spiskowe i zarazem nieufne miny.

– Jeden ważny gość zaofiarował mi pewną sumkę w zamian za wsparcie dla sprawy, której broni – wyjaśnił mi Peret na schodach.

Parlament podzielony był na dwa zwalczające się obozy: zwolenników ogłoszenia cridy i sformowania czysto katalońskiego wojska, żeby stawić opór wrogowi, oraz tych, którzy woleli poddać się burbończykom. Jak już wspomniałem, czerwoni aksamitnicy nie mieli najmniejszego zamiaru bronić konstytucji, a bez cridy nie można było legalnie wezwać ludzi pod broń. Szedłem więc za Peretem i zanim się zorientowałem, znaleźliśmy się w sali Świętego Jerzego.

Wyobraźcie sobie obszerną prostokątną aulę, wysokie sufity i kamienne ściany. Wzdłuż trzech z nich stały w równych rzędach wspaniałe ławy wyściełane aksamitem, rzecz jasna czerwonym. Na wielkim pustym stole, nakrytym karmazynowym obrusem, leżała Biblia do składania przysięg i dzwonek. Dzwonek, w teorii, służył do udzielania i odbierania głosu mówcom. Powiedziałem „w teorii”, albowiem gdy debaty stawały się gorętsze, można było sobie dzwonić do upojenia.

Na papierze wszystkie katalońskie terytoria miały prawo wysyłania na zgromadzenie swoich przedstawicieli, co było niewykonalne, wzięwszy pod uwagę, iż trzy czwarte kraju zajął nieprzyjaciel. Owego dnia wkroczyliśmy w kolejną fazę. Ponieważ głosy zostały już rozdzielone, a pula zamknięta, oba stronnictwa skupiały się na szukaniu innych form nacisku. Tak, odgadliście: postanowili wynająć płatnych krzykaczy, żeby skandowali ich hasła i zagłuszali

oponentów. Peret był odpowiednim kandydatem, gdyż z racji podeszłego wieku mógł uchodzić za sędziwego patrycjusza, a w dodatku sprzedałby grób własnej matki za miskę smażonych kałamarnic. W sali Świętego Jerzego kotłowało się tak samo jak w całej Katalonii. Nie wszyscy z tych, którzy powinni tam być, stawili się na obrady i nie wszyscy z tych, którzy się stawili, powinni tam być. Wielu delegatów nie mogło przybyć (mieli dobrą wymówkę: wiosłowali w tym czasie na galerach albo wisieli na gałęzi); inni po prostu stchórzyli, uchylając się od obowiązku.

O ile mnie pamięć nie myli, owo wielkie zgromadzenie odbyło się czwartego lub piątego lipca i upał był jak cholera. Rzecznikiem obozu kapitulantów był niejaki Nicolau de Sant Joan. Nim jeszcze zaczął przemawiać, już dostał oklaski. Czego jak czego, ale patosu mu nie brakowało.

– Gdy sił nie staje, zwyczajną jest rzeczą przyznać się do moralnej niemocy w obliczu przemożnej potęgi. Prawo naturalne i chrześcijańskie uczą i nakazują nie narażać na okropności wojny świętyń, starców, dzieci, a nawet Bożych sług. Rozpasana żołnierska samowola nie oszczędza kościołów, za nic ma dziecięcą niewinność, nie szanuje nietykalności i świętości dziewictwa.

Tu przerwał mu czyjś głośny śmiech.

– My też, my też! Przyślij nam jakąś dziewicę, to pokażemy ci, jak to się robi!

No jasne, Peret. Na słowa tak bezczelne i nieprzystojne Sant Joan zapomniał języka w gębie. Czerwonych aksamitników też zatkało.

– Milczeć, hultaje! Wichrzyciele!

Sant Joan podjął swą przemowę.

– Kraj nasz jakoby w kleszczach tkwi pomiędzy Kastylią i Francją; wrota morza zamknęły nam francuskie okręty. Niechęć i słuszny żal możemy żywić do Anglików, którzy nas zdradzili. Zapytam: gdzież ma król, nasz pan, zbrojną armadę, by przysłać nam posiłki? A nawet jeśli przybędą, jakie sumy wyasygnować może na pomoc dla nas, sam uwikłany w wojnę nad Renem?

– Trzeba nam więcej jaj i mniej wazeliny, dupku jeden! – wrzasnął Peret, a wielu mu zawtórowało: – Buuu, buuu!

– Cisza! Fora ze dwora, hultaje! Fora!

Tak z kolei krzyczeli klakierzy czerwonych aksamitników, tupiąc w podłogę i wymachując rękami. Dla czerwonych aksamitników ludzie niższego stanu byli zwykłym motłochem, który tylko przeszkadzał w sprawowaniu urzędu i podejmowaniu decyzji. Zapominali jednak, że nie wszyscy równi im urodzeniem myśleli podobnie. A wśród nich świecił niczym samotna latarnia na pustkowiu niejaki Ferrer. Emmanuel Ferrer.

Ferrer pochodził z drobnej szlachty i szanowano go powszechnie za zasługi w zarządzaniu miastem. Jestem nędznym szczurem i z bohatera mam w sobie tyle,

co kot napłakał, ale potrafię rozpoznać, ile kto jest wart. Ferrer wiódł życie wygodne i spokojne, był zamożny i szczęśliwy. Głosując za oporem, nie zyskiwał nic, a tracił wiele. Zabrawszy głos w tej sprawie, sam się naznaczał. Wiedział, że jeśli burbończycy wejdą do miasta, dopadną go i wyleją nań swoją despotyczną żółć.

Gdy nadeszła jego kolej, Ferrer wstał i powiedział:

– Pytam: czy to wciąż ta sama Katalonia co dawniej? Czy nasze konstytucje i przywileje nie dają nam prawa do sprzeciwienia się Kastylijczykom, którzy niesłusznie chcą nas oprymować? Jaki powód daliśmy Burbonom, by uciskali nas tak straszliwie, pragnąc z naszego wolnego, niezależnego ludu uczynić naród poddanych i niewolników? Kto zatem ośmielił się nakłaniać nas do zgody na to, by intronizować w naszej ojczyźnie kastylijską pychę i gwałt, a nas samych oddać w haniebną służbę, tak jak to uczyniono Indianom?

– Szaleńcy! Samobójcy! – odezwali się stronnicy czerwonych aksamitników.

– Ściągniecie nieszczęście na cały naród!

Chcę być obiektywny. Nie twierdzę wcale, iż wszyscy szlachcice, którzy głosowali za kapitulacją, byli sprzedawczykami. To nieprawda. W rzeczywistości istniały powody bardziej niż racjonalne, aby nie stawiać oporu. Zostaliśmy opuszczeni, zaatakowani przez całą potęgę Dwóch Koron, przez połączone siły królestwa Francji i hiszpańskiego imperium. Głosowanie za negocjowaniem porozumienia, nawet jeśli w owym czasie niewiele można było otrzymać w zamian, niekoniecznie oznaczało wysługiwanie się Filipkowi.

Ferrer powołał się na Portugalię, która obawiała się, że wkrótce podzieli los Katalonii, więc z pewnością by nam pomogła; jeżeli damy odpór, cesarz Karlangas nie będzie mógł stać obojętnie, gdyż ucierpiałby na tym jego międzynarodowy prestiż; Anglię wciąż obowiązuje podpis, jakim potwierdziła dawne przymierze; katalońscy ambasadorowie na wszystkich dworach Europy podnosić będą sprawę narodu, którego jedynym pragnieniem jest najpierwsze ze wszystkich praw: prawo do przetrwania.

Przerywano mu wielokrotnie. Ferrer głuchy był na głosy wrogów i przyjaciół. Przypomniwał w skrócie historię Katalonii i zgubnej dla nas unii dynastycznej z Kastylią, po czym kontynuował:

– Dość zatem jest powodów, by nie zwlekając, chwycić za broń, wznieść wysoko sztandary i zaciągać wojsko. Skorzystajcie przeto, Najświetniejsze i Najwierniejsze Stany Generalne, z władzy, jaką Bóg złożył w wasze ręce! Przystąpcie, a żywo, do pisania manifestów i niechaj cała Europa dowie się o naszych słusznych prawach, potomni zaś o czynach naszych, i niech nasi wrogowie doświadczą na własnej skórze, iż nie zginął jeszcze duch w narodzie naszym i honor.

W gruncie rzeczy nawet sam Ferrer nie żywił złudnych nadziei. Krok ów był

tak desperacki, iż równał się niemal szlachetnemu samobójstwu.

– Niechaj naród skona w chwale – ciągnął – albowiem lepiej jest z honorem polec, niż znosić ucisk i gwałty, jakich sami Maurowie się nie dopuszczali.

Moja kochana, szpetna Waltraud przerywa mi, podnosi łeb jak krowa nad pustym żłobem i pyta raz po raz, co ja wtedy o tym wszystkim sądziłem. Nie ma to najmniejszego znaczenia, ale dobrze, niech będzie, odpowiem.

Staralem się na sprawy patrzeć w sposób możliwie beznamiętny i uważałem, że racja leży po obu stronach. Kapitulacja oznaczała utratę swobód, jakimi cieszyliśmy się od tysiąca lat, przeobrażenie się w jeszcze jedną prowincję Kastylii, część jej imperium, dźwiganie jarzma wspólnie z jej mieszkańcami, cierpienie bezlitosnych represji. Opór, jak wieszczili czerwoni aksamitnicy, oznaczał ruinę i rzeź niewinnych. Szło o wybór pomiędzy dwiema jednakże zgubnymi drogami.

Zagłosowali. Zwyciężyła kapitulacja. Znaczną większością. Ferrer wyskoczył na środek, podbiegł do sekretarza i zażądał, by wpisano go z imienia i nazwiska jako głos sprzeciwu. Było to tak, jakby samemu podpisać na siebie wyrok. Gdyby burbończycy weszli, nie potrzebowaliby lepszego dowodu, żeby go powiesić. A jednak inni szlachcice wstali również i poszli za przykładem Ferrera!

Oślupiałem. Dlaczego? Dlaczego to robią?

Dostrzeżcie także postawę drugiej strony. Równie lub nawet bardziej godną podziwu, jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało. Byli bowiem szlachcice, jak Francesc Alemany, Baldiri Batlle, Lluís Roger czy Antoni València, którzy w sumieniu swoim uznali, że powinni głosować za kapitulacją, i tak właśnie uczynili. Potem sprawy przybrały inny obrót. Więc walczyli. Posłuszni woli większości, rezygnując ze swych prywatnych przekonań dla dobra ogółu. Moja Waltraud pyta mnie, dlaczego z moich oczu płyną łzy. Odpowiem: dlatego, że ludzie ci, którzy nigdy nie chcieli oporu, bili się do upadłego przez cały długi rok oblężenia. W imię cudzych idei, nawet wbrew sobie. A o świcie owego pamiętnego 11 września 1714 roku zapłacili za to własnym życiem. Wszyscy. Wciąż jeszcze widzę Valèncię rzucającego się z szablą w rękę na mur bagnatów i pochłoniętego przez morze białych mundurów.

Abyście mogli uświadomić sobie wagę owej uchwały, powiem, że stan szlachecki w naszym parlamencie podobny był do angielskiej Izby Lordów. Liczba głosów i uświęcony tradycją autorytet przydawały mu znaczenia, więc pospólstwo zwykle zatwierdzało jego postanowienia.

– Należałoby ci się, żeby twoi przegrali – powiedziałem do Pereta w drodze powrotnej do domu. – Nie wstyd ci, że się sprzedajesz?

– To nie tak, chłopie – odparł. – Mnie opłacili czerwoni aksamitnicy, żebym robił klakę za kapitulacją. Ale byli na tyle głupi, że dali mi pieniądze przed głosowaniem.

– Tak czy inaczej, jest dwa do zera – westchnąłem, kiedy przechodziliśmy

przez zatłoczony plac Świętego Jakuba. – Księża i szlachta za kapitulacją. Jutro stan ludowy zagłosuje pod ich dyktando. To koniec.

Nigdy nie pomyliłem się bardziej. Nie opuściliśmy jeszcze placu, gdy na balkonie ukazał się przedstawiciel zgromadzenia i zakomunikował tłumom, że stan szlachecki poparł kapitulację.

To było tak, jakby na ludzi spadła lodowata ulewa. Nikt nie protestował. Z tysięcy gardeł nie dobył się żaden gniewny okrzyk. Lecz zamiast rozejść się do domów, rozłożyli się obozem na samiotkim placu!

Sądzę, że to wtedy nastąpił ów decydujący zwrot. Nie w akcie buntu, lecz przez manifestację milczącego nieposłuszeństwa. Ludzie na dole zdumieni byli tym, co usłyszeli, nie mniej niż szlachta na balkonie ową zbiorową ciszą i spokojem. Co mogli zrobić? Rozpędzić tłum? Nikt nie miał dość odwagi ani żołnierzy, żeby chociaż spróbować. Ponadto jawna przemoc mogła doprowadzić do rozruchów, których czerwoni aksamitnicy chcieli za wszelką cenę uniknąć.

Przez całą noc nikt nie ruszył się na krok z nabitego ludźmi placu. Nazajutrz obradować miał stan ludowy. Nastroje ulicy i przemowa Ferrera tak rozпалиły krew deputowanym, że w miażdżącej większości głosowali za oporem. Tym razem plac Świętego Jakuba wybuchnął radością:

– Ogłóście cride! Ogłóście!

Krzyczeli tak głośno i tak zawzięcie, że nie była to już prośba. Grozili i nakazywali. Gdyby ich zlekceważono, mogło wydarzyć się wszystko. I większość szlachty wycofała swoje głosy! To jednak nie zakończyło sporu. Najbardziej nieprzejednani z czerwonych aksamitników jęli przedkładać trudności natury prawnej. Dowodzili, że o zmianie stanowiska rozprawiano w kularach, a nie na legalnie zwołanej sesji, nie podjęto zatem żadnych decyzji. Ich strategia, jak łatwo się domyślić, polegała na przeciąganiu i odwlekaniu procedur, tak by obozujący na placu ludzie zmęczeni się i poszli do domu. Nie udało się. Minęły dwa dni i dwie noce, a tłum wcale się nie zmniejszył, przeciwnie, protestujących wciąż przybywało. Hojność zawsze ma swoją gorzką stronę; ci, którzy gotowi są dać wszystko, niewiele zwykle mogą zyskać na zwycięstwie, a najwięcej stracić w wypadku przegranej. A przez te dwa dni debata stała w martwym punkcie.

Dziwiątego lipca Peret szykował się, żeby wrócić do sali Świętego Jerzego.

– Znowu?! – wykrzyknąłem. – Nie wierzę, że kapitulanci są tak głupi, by raz jeszcze zapłacić komuś, kto ich wykiwał.

– To nie tak, chłopie. Widzisz, poprzednio poszło mi tak dobrze, że stronnicy oporu zaofiarowali mi trochę grosza, żebym teraz pokrzyczał jeszcze głośniej.

– Ale w obozie kapitulacji już cię znają. Nie wejdiesz.

– Wejdem, bo powiedziałem im, że tamci mi zapłacili, a oni obiecali dwakroć tyle, jeśli będziemy agitować za pokojem. Zagłosuję za kapitulacją! Niech żyje pokój! Idziesz?

Kiedy weszliśmy, w sali Świętego Jerzego rewolucja panowała jak w kurniku. Najświętsze sanktuarium katalońskiego parlamentaryzmu przeistoczyło się w pełen przekupniów bazar. Siedzieli naprzeciw siebie, tu zwolennicy ustępstw, tam stronnicy zbrojnego oporu, jedni wrzeszczeli na drugich, wymachując rękami niczym mackami ośmiornicy. Ci, którzy chcieli walczyć, krzyczeli ze swoich ław:

– Konstytucje i wolność! Piszmy manifest! Ogłosmy *cridé*!

– Pokój i rozważa! – odpowiadano im z przeciwnej strony.

Ha! Nawet mnie, chociaż byłem tylko widzem, irytowali czerwoni aksamitnicy i ich tępi klakierzy. Czyż mimo wszystkich sztuczek i podstępów nie przegłosowano oporu? No to skoro taka była wola ludu, należało spisać manifest i ogłosić *cridé*. (Co do mnie, to miałem szczerzy zamiar wziąć nogi za pas i wiać z miasta. Nikt mi nie musiał mówić, co oznacza obłężenie tak potężnej twierdzy!).

– *Seny!* – krzyczeli ci, którzy chcieli się poddać. – Postradaliście zmysły? *Seny!*

Przywołane tu katalońskie *seny* zasługuje na kilka słów wyjaśnienia. (Prawda, moja ty kochana, szpetna Waltraud?)

Katalończycy są najwybitniejszymi na świecie specjalistami od bezużytecznych duchowych wynalazków. Powiedzmy, że *seny* to tyle, co opanowany, rozsądny, ugodowy. Można się spodziewać, iż człowiek *assenyat* działa z powściągliwością całkowicie sprzeczną z rycerską pasją Kastylijczyków. Problem w tym, że zmierzało ku nam wojsko dowodzone przez kastylijskich *hidalgów*. A dla ich wojowniczej mentalności *seny* było czymś niezrozumiałym, małodusznością właściwą Żydom i kramarzom, którzy musieli rozstrzygać spory słowem, bo nie mieli odwagi czynić tego mieczem.

Jak mówiłem, sala Świętego Jerzego tonęła w kakofonii wrzasków. Czerwoni aksamitnicy zachowali na ten ostatni dzień dwa *asy* w rękawie. Pierwszego wyciągnęli z grobu.

Do sali wszedł szlachcic niemal całkiem ślepy. Jedną rękę opierał na chwiejnej lasce, drugą na ramieniu prawnuka. Starzec? Raczej truchło. Musiał wstawać w nocy co najmniej cztery razy, żeby się wysikać, a pomyślcie, że ja wstaję trzy.

Zwał się Carles de Fivaller. Podobnie jak autorytet sędziwych senatorów starożytnego Rzymu, jego moralna przewaga nie wynikała z piastowanych urzędów, lecz z doświadczenia i szacunku, jaki zyskał sprawowaną przez całe długie życie służbą dla dobra ogółu. Fivaller zajmował w parlamencie honorowe miejsce. W czasie debat nie pojawił się ani razu, bo prawie rozsypywał się ze starości. A jednak czerwoni aksamitnicy ściągnęli go z łóżka – którego nigdy nie opuszczał – by stawił się na obrady i agitował za *seny*.

Wraz z tym wiekowym, przygarbionym mężczyzną do sali Świętego Jerzego wkraczał kataloński parlamentaryzm. Zamiast zasiąść w swoim honorowym

krześle, Fivaller stanął na samym środku wielkiej auli. W to, że jego słowa będą miały olbrzymią wagę, nikt nie wątpił. Obie strony zamilkły z szacunkiem.

– Dzieci moje! Zrujnowane zdrowie nie pozwala mi służyć z pożytkiem ojczyźnie – ozwał się starzec, patrząc wokół z zadartą głową jak ślepiec, na wszystkich i na nikogo. – Dlatego suplikuję, błagam tę dostojną izbę, w nadziei, że przychyli się do owych próśb i spełni to moje ostatnie życzenie.

Musiał przerwać, żeby odzyskać głos. Cisza zapadła taka, że nawet ten nicpoń Zuvi nie śmiał przełknąć śliny.

Fivaller uniósł trzęsącą się dłoń do twarzy, otarł łzę i powiedział wreszcie:

– Jako że moje ręce nie mogą już utrzymać ciężaru karabinu, proszę was, użyjcie mego ciała jako faszyny, gdy staniecie do walki w tej wojnie, którą nam wydano.

Trzeba było słyszeć krzyk, jaki się wtedy podniósł! Niespodziewana radość bywa najgłośniejsza. Nawet kilku czerwonych aksamitników nie kryło wzruszenia. W końcu Fivaller może nie był znów tak niedołączny. Ani głuchy, ani ślepy. Przechodząc przez plac Świętego Jakuba, tak zatłoczony, że aż pękał w szwach, musiał zrozumieć, co się dzieje.

Czyjaś buntownicza ręka otworzyła wiodące na balkon drzwi. Do wnętrza wdarł się zgiełk zgromadzonego na dole tłumu, przekonanego, że wszystko już się rozstrzygnęło:

– Crida! Ogłoście wreszcie *cridę*!

Lecz najbardziej nieustępliwym z czerwonych aksamitników pozostał jeszcze jeden, ostatni nabój. Współ ze swoimi „czarnymi” kumplami spłodzili coś w rodzaju summy argumentów teologiczno-legalistycznej natury. Zgadnijcie sami, czyją stronę brali.

Watykańskie eminencje cieszyły się powszechnym szacunkiem. Czulem, że wszystko może się odwrócić. Szlachta raz już zmieniła zdanie. Nic im nie broniło uczynić tego ponownie. A prześliczne księżę kazanie mogło skłonić do zastanowienia wielu delegatów niższego stanu.

Aby zrobić większe wrażenie, umyślili, że tekst odczyta ich najlepszy orator, podziwiany przez całe prawnicze gremium pomnikowy Demostenes, który niedawno postanowił wejść do polityki. No cóż, znakomitością ową nie był nikt inny, tylko niejaki Rafael Casanova, adwokat prowadzący moją sprawę, który w owej chwili wkraczał do sali, odziany w czerwoną powłóczystą szatę katalońskich magistratów.

– Waszeć! – wrzasnąłem na jego widok. W trzech susach przyskoczyłem do niego i szarpnąłem go za ramię: – A gównu, Casanova! Mam tego dość! Słyszysz? W twoje ręce złożyłem dziedzictwo po ojcu! Broń mojej ojcowizny! Mam do niej prawo!

Ponieważ większość obecnych stanowili ludzie wykształceni, „dziedzictwo

po ojcu” zrozumieli jako „dziedzictwo naszych przodków”, sformułowanie często przywoływane w debatach. Tych, którzy jeszcze siedzieli w swoich ławach, mój wyskok poderwał z miejsca.

– Ten młodzik ma rację! Dość tego! Sto pokoleń katalońskich bohaterów patrzy na nas z nieba! Piszmy manifest! Crida!

Mimo rozhuśtanych namiętności obie strony ograniczały się dotąd do buczenia z ław. Teraz idąc za moim przykładem, dziesiątki osób stłoczyły się wokół Casanovy. Jedni wymyślali mu wraz ze mną, inni go przed nami zasłaniali. Casanova, wyprowadzony z równowagi, oganiał się od wszystkich czerwonym aksamitnym biretem, ja tymczasem wyrwałem się Peretowi i przepchnąwszy się do przodu, znów drania dopadłem.

– To gwałt! – protestował Casanova niczym Cezar przed pierwszym ciosem sztyletu.

– Żaden gwałt, do kurwy nędzy! – zachnąłem się. – Płacę ci za to, żebyś bronił moich interesów, a waść się migasz i zwlekasz!

– Tak jest! Dość tej zwłoki! Ten kawaler ma słuszność! – pokrzykiwali przeciwnicy kapitulacji. – Wstyd, że taki dzieciak musi nam wskazywać drogę! Wróg coraz bliżej, a my tracimy czas na bezużyteczne debaty!

Inicjatywę przejął Emmanuel Ferrer. Było to posunięcie sprytne i błyskotliwe, albowiem on pierwszy pojął, że w tej chwili ważą się nasze losy i trzeba wszystko postawić na jedną kartę. Wymknął się z tłumu i podszedł do sekretarza siedzącego spokojnie przy dzwonku, z kwaśną miną i w okularach na nosie. Wycelował weń władcym palcem:

– Pisz!

Sekretarz musiał wybrać pomiędzy chaosem a poddaniem się cudzej woli. Przez sekundę walczył ze sobą. Potem umaczał pióro w kałamarzu.

Ferrer dyktował w pośpiechu. Jeszcze nie wysechł atrament, gdy Ferrer osobiście przyłożył na dokumencie państwową pieczęć, wyrwał papier sekretarzowi i wzniosłszy nad głowę, ogłosił:

– Crida! Jest manifest!

Koniec debatowania. Na rękach wynieśli Ferrera z gmachu. Powitały go gromkie owacje, bliskie ekstazy. Wszystko dobrze widziałem, bo zamiast wybiec z innymi na plac Świętego Jakuba, wyszedłem na balkon.

Ujrzałem Ferrera niesionego na ramionach i wymachującego manifestem cridy przed tłumem, który otaczał go niby koło oś. Dla mnie było to coś niepojętego: płakali z radości, bo mogli wreszcie ruszyć w desperacki bój.

Wszyscy ci ludzie ponieśli Ferrera, albo raczej cridę, na ulice miasta. Plac, zaśmiecony odpadkami po obozowisku, opustoszał.

W mentalności Katalończyków zakorzenione jest szczególne pryncypium moralne, tyleż wadliwe, co rozczulające: przekonanie, że racja zawsze stoi po ich

stronie. Nie oni jedni cierpią na ową przypadłość. Specyficznie katalońskie są natomiast wnioski, jakie z tego wyciągają, a mianowicie, że skoro już mają rację, cały świat w końcu im ją przyzna. Oczywiście wcale tak nie bywa. Prochem dla armat nie jest prawda, ale interesy, a o tych się nie dyskutuje: własne się narzuca, cudze miażdży.

Z manifestu cridy zapamiętałem tylko to, że składał się z dwóch zaledwie zdań. Pierwsze z nich jest, w moim mniemaniu, najbardziej wykwintne, przejrzyste i najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisano po katalońsku:

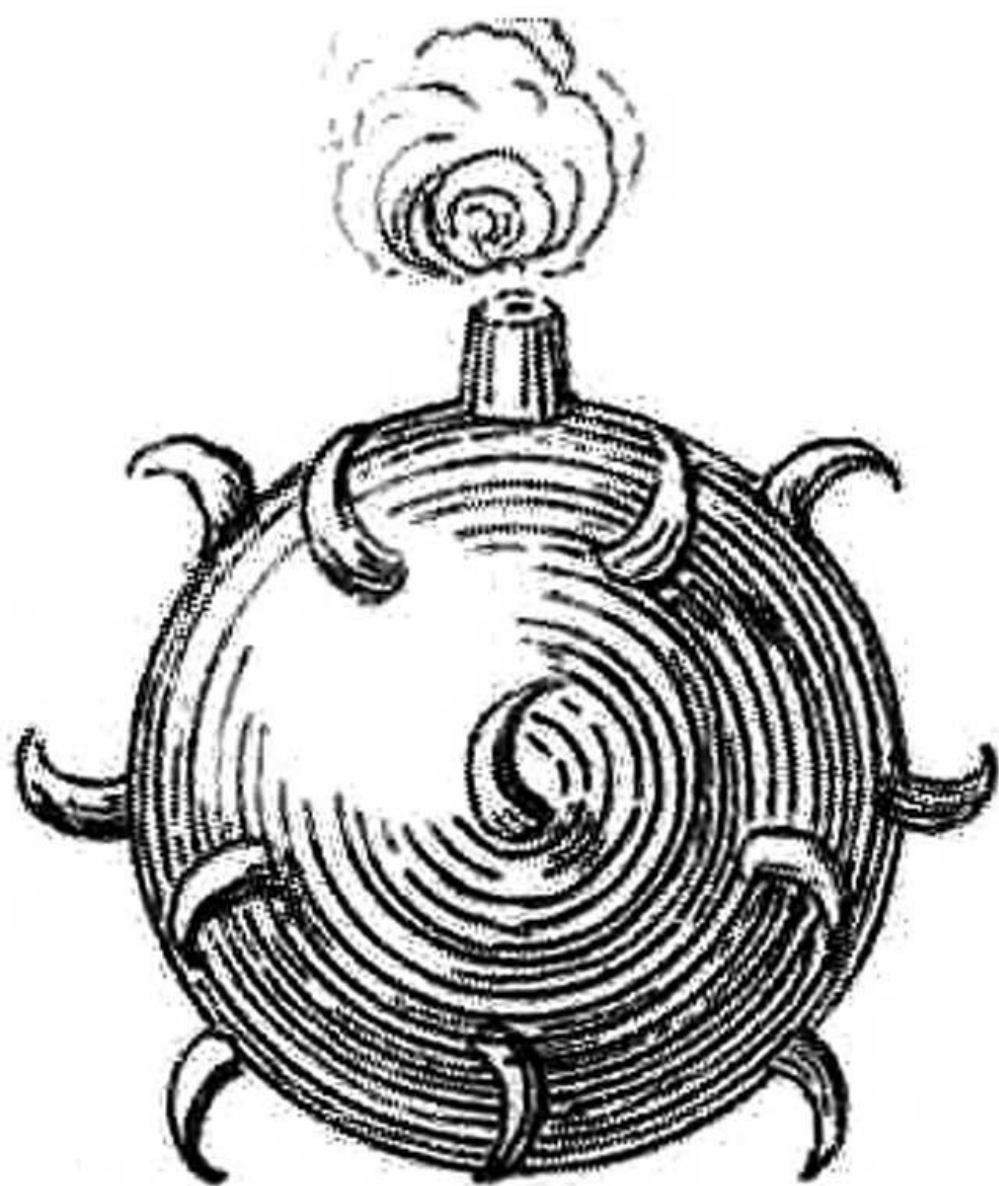
Havent los Braços Generals, lo die 6 del corrent mes aconsellat a est consistori resolgués defensar les Libertats, Privilegis y Prerogativas dels Catalans, que nostres Antecessors à costa de sa sanch gloriosament alcansaren, lo die 9 del corrent manarem fer la Crida pública per nostra defensa^[67].

Marszałka Starhemberga wezwanie do broni zastało na brzegu, w chwili gdy miał wejść na pokład okrętu. Znad ujścia rzeki Besòs widać było w oddali zachodnie mury Barcelony. Zapytał o powód dobiegających stamtąd krzyków, bębnow i trąb.

– Ryzykowne przedsięwzięcie – odrzekł podobno – ale śmiało.

Stuknął dwa razy laską w ziemię i wszedł na trap.

Powinien był to sformułować na opak: „Śmiałe przedsięwzięcie, ale ryzykowne”. Bardzo. Albo lepiej: powinien był powiedzieć to, co naprawdę wówczas pomyślał: „Zostaliście sami, nieszczęśni straceńcy”.



Opowiadają kronikarze, iż w początkach trzeciej wojny punickiej miasto Kartagina przeżywało wojenną gorączkę. Osamotnione, bez przyjaciół, skazane na pewną klęskę w starciu z całą potęgą Cesarstwa Rzymskiego. A jednak jego mieszkańcy z zapałem zabrali się do pracy przy budowie umocnień.

Coś podobnego wydarzyło się w Barcelonie roku 1713. Wojenne namiętności bez reszty zawładnęły stolicą. Kuźnie rozdzwoniły się szaleńczym rytmem młotów. Z warsztatów wynoszono nowiutkie karabiny, bagnety, kule i pociski rozmaitej wielkości. I rzecz najbardziej zadziwiająca: barcelończycy witali zagrożenie z radością zgoła niepojętą w tej sytuacji. Rozbrykane dzieci biegały za maszerującymi batalionami, a kobiety, odwracając uświęcony obyczajem porządek, prawily komplementy żołnierzom.

Ów stan ducha miał swoje uzasadnienie. Dla ludzi niższego stanu dynastyczny spór pomiędzy domem austriackim i Burbonami był dotąd cudzą wojną. Teraz wojna podchodziła pod mury ich miasta i groziła unicestwieniem swobód, jakimi cieszyli się, odkąd zaistnieli jako Katalończycy.

A ja dodałbym jeszcze jeden powód: napadając na Barcelonę ludzi takich jak Amelis, Filip V popełnił najbardziej niewybaczalny z błędów właściwych tyranom. Zaatakował dom ludzi nazbyt długo pozbawionych domu. Ci zaś postanowili bronić się zębami i pazurami, albowiem ognisko domowe jest ostatnią redutą tych, którzy nic innego nie mają. Moja Amelis tułała się przez całe życie, zawdzięczając tymczasowe przytulisko tylko własnej płci, a teraz, kiedy wreszcie miała dom, jakiś szalony despota chciał zniszczyć jej przyszłość. I nie tylko mojej Amelis; Barcelona dawała schronienie wyzutym z mienia przybyszom ze wszystkich stron. Tu znajdowali choć cztery ściany i jaki taki zarobek. Iluż cudzoziemców stało się bohaterami naszego oblężonego miasta! Tak więc gdy rozwiały się wątpliwości, czy należy stanąć do walki, barcelończycy wszystkich stanów ruszyli na wojnę, ich wojnę, z radością, jak na karnawał. Ten jeden raz, jeden jedyny, bogaczy i nędzarzy, mężczyzn i kobiety połączyła wspólna sprawa. Szczęśliwi chcieli walczyć o swoje szczęście, nieszczęśliwi mieli nadzieję, że ich smutki i utrapienia rozwiążą się razem z bitewnym pyłem.

Bądźmy bezstronni: entuzjazm pozwala widzieć jedynie entuzjastów, lecz nie wszyscy podzielali ową niezwykłą euforię. Bierni, lękliwi, chwiejni, oporni, a nawet ten i ów cichy stronnik burbończyków, milczeli lub kryli się w oczekiwaniu na lepsze czasy. Ale większość połączył jeden duch! Strach bywa zaraźliwy; nadzieja także. Albowiem ktoś taki jak Zuvi, obdarzony tak wyostrzonymi zmysłami, nie mógł pozostać obojętny, gdy oczyma Bazoches patrzył na uśmiechy biedaków, wynędzniałych i głodnych, którzy nareszcie znaleźli coś, co nadawało sens ich życiu.

Nikt lepiej od ucznia Bazoches nie mógł wiedzieć, jak cudowne było to przeobrażenie. Wszak my, fachowcy od wojny, poślubieni przemocy, zawsze stanowiliśmy mniejszość. W normalnych warunkach nikt nie chwyta za karabin. Człowiek jest w gruncie rzeczy istotą tak tchórzliwą, że zazwyczaj niechętnie ryzykuje własne życie nawet po to, by je ocalić.

Jednym z najradośniejszych dni stał się ten, w którym gnuśni i bogaci wyjechali z miasta. Ci najzamożniejsi, co było do przewidzenia, nie chcieli mieć nic do czynienia z owym szaleństwem. Woleli przedostać się za linie Burbonów i prosić o łaskę Filipka. Wiedzieli, że im nie odmówi. Bogacze zawsze są mile widziani.

Wyruszyli zbici w gromadę, jak owce szukające bezpieczeństwa w liczebności stada. Czego się właściwie obawiali? Rząd zawsze ich chronił. Porzucali swoje obywatelskie obowiązki, cała Barcelona wiedziała, że zmierzają do Mataró, znanej kryjówki botiflerów, a mimo to czerwoni aksamitnicy, miast pozbawić uciekinierów majątku, wystawili przed ich opuszczonymi domami strażę, by zapobiec grabieży.

W dniu ucieczki wspaniałe karoce zajęły całą ulicę Comerç. Ponieważ odjazd ich wcześniej ogłoszono, lud zgromadził się wzdłuż dróg wiodących za miasto, bucząc i bombardując powozy zgniłymi warzywami. Ludzie stłoczeni na balkonach śmiali się i kpili. Ale to wszystko. Żadnego gwałtu poza drwiną i ciskaniem zgniłymi ziemniakami w peruki nieszczęsnych koniuchów. W odwrotnej sytuacji burbończycy nie zawahaliby się przed doraźną egzekucją dezertów.

Powolny przemarsz tej karawany widziałem na własne oczy, bo akurat tamtędy przechodziłem. Gromada malców wykrzykiwała za nią pełen repertuar dziecinnych wyliczanek, co może się wydawać przesadą, lecz nastrój towarzyszący owemu wydarzeniu był raczej świąteczny, więc exodus ów bardziej bawił, niż gorszył, a na każdą obelgę przypadały trzy wybuchy śmiechu.

Ja zaś byłem przybity. Myślałem o tym, że uciekający z miasta ludzie unikną grożącego nam okrutnego oblężenia, że w tych powozach, oddalających się niby tratwy pełne rozbitków, powinienem siedzieć ja i moi bliscy. Nagle zobaczyłem, że ostatnia kareta zatrzymuje się przede mną.

– Martí! – zawołał ktoś. – Ty jesteś synem Zuvirii!

Był to Joaquim Nadal, najbogatszy kupiec w kompanii handlowej mego ojca. Rozpoznawszy mnie, kazał zatrzymać powóz. Otworzył drzwiczki, wychylił się do połowy i powiedział:

– Co ty tu jeszcze robisz? Chodź, wsiadaj! Za mną już nikt nie jedzie. Masz szczęście, że cię zauważyłem, chłopcze!

Widząc, że się waham, spojrział na mnie zaskoczony. O dach karety bębniły zgniłe marchewki i brukiew. *Botiflers, botiflers!*, wołały dzieci, a dorośli im

wtórowali ze śmiechem: *Foteu el camp!*^[68]. Joaquim Nadal ponagłał:

– Szybciej, chłopcze! Co z tobą? To ostatnia okazja. Wsiadaj albo zostaniesz na łasce tej hołoty.

Zdjąłem kapelusz i odparłem grzecznie:

– Ależ, panie Nadal, to nie hołota. To nasi sąsiedzi, ci sami co zawsze.

Popatrzył na mnie jak na wariata.

– Już rozumiem – powiedział zamyślony, pod gradem lecących na niego warzyw, i powtórzył: – Tak, już rozumiem. – Trzasnął drzwiczkami i kazał woźnicy jechać.

Tego wieczoru, w domu, Peret wychwalał przy kolacji świeżo sformowane bataliony i piękno nowych sztandarów, święconych w kościołach. Jedne oddziały miały mundury niebieskie, inne pyszniły się głęboką czerwienią. Niektóre miały uniformy żółte jak cytryna. Kiedy zaczął opowiadać cuda o ulepszeniach, jakie czyniono w murach, nie wytrzymałem. Przerwałem mu gwałtownie i tak szorstko, że wreszcie się zamknął.

– Czy całe miasto straciło rozum? – wrzasnąłem na niego i na Amelis. – Fantaści tacy jak wy nie mają pojęcia o tym, co się dzieje za Pirenejami. Żadnego! – walnąłem pięścią w stół. – Ilu Katalończyków jest na świecie? Pół miliona mniej więcej. W jednym tylko Paryżu mieszka więcej ludzi. Francuzi rodzą się z bagnetem pod pachą, nie znam bardziej agresywnego narodu. Idzie na nas armia hiszpańskiego imperium, wzmocniona oddziałami z Francji. A nas opuścili wszyscy sprzymierzeńcy, wszyscy! Wspaniale! – wykrzyknąłem, oklaskując własny sarkazm. – A teraz powiedzcie mi: jeżeli Barcelona stanie pod broń i zamknie bramy, to czy choć przez chwilę potraficie sobie wyobrazić skutki owego szaleństwa? Hiszpania może zniszczyć miasto z lądu, a Francja z morza, ale ja nie zamierzam pozwolić, żeby zburzyli mój dom.

Zapadła niewygodna cisza. Nie spodziewałem się, że przerwie ją Amelis. Cicho, tonem dziwnie jak na nią potulnym, zapytała:

– A jeżeli miasto się podda, to co? Wszystko będzie dobrze?

Potarłem dłonią kark i odrzekłem:

– Nie wiem. Nikt tego nie może wiedzieć. Ale my wyjedziemy. Wszyscy, cała piątka. Ty, ja, Nan, Anfán i Peret. Wrócimy, kiedy się uspokoi. To już postanowione.

Oczekiwałem protestów i krzyków. Nic z tych rzeczy: nikt się ze mną nie wyklócał, nikt nie buntował. Amelis zamknęła się w sypialni. Peret podszedł do kominka, dorzucił do ognia i zaczął przypiekać strąki papryki. Jego uległość sprawiała, że czułem wokół pustkę, jakbym boksował się z powietrzem. Poszedłem za Amelis i zamknąłem za sobą drzwi sypialni.

– Anfán to jeszcze dziecko – powiedziałem. – Nan to świr. Peret wyjeżdżał z miasta tylko na czekoladiady. Ale ty wiesz równie dobrze jak ja, co oznacza

przemarsz burbońskich wojsk. Widziałaś lasy pełne wisielców, gwałty w zajętych przez żołnierzy wioskach. Jeżeli się zaciągnę, to wiesz, czym się będzie różnił twój los od mojego? – I zanim odpowiedziała, zrobiłem to za nią: – Tym, że mnie tylko zabijają.

Jakże chciałem, żeby mi się postawiła, albo chociaż odezwała. Gdy ogarniał ją ten jej smutek, nigdy nie umiałem znaleźć właściwych słów. To było tak, jakby płakała w środku, a ja nawet nie mogłem jej otrzeć łez. Podeszła do swojej pozytywki i podniosła wieko.

Spojrzała w niebo przez nasz szklany świetlik i powiedziała:

– Dobrze, ty tu rządzisz. Wyjedziemy. Ale powiedz mi, Martí, dokąd? W całym kraju wojna. Odplyniemy do Neapolu? A potem co? We Włoszech też jest wojna. Uciekniemy do Turcji? Albo jeszcze dalej?

– Nie – odparłem. – Nie trzeba. Wystarczy, że dotrzemy do Mataró. To mniej niż dwa dni drogi.

– Z botiflerami?

Nie było w tym pytaniu żadnej przygany, a mimo to poczułem się obrażony.

– Z ludźmi, którzy nie chcą mieć z tym wszystkim do czynienia – odrzekłem.

– A skąd wiesz, że nie zaatakują Mataró? Stronnicy Austrii, burbończycy, miqueleci? A jeśli Austriacy jednak wygrają tę wojnę, to jak wrócimy do Barcelony? Wszyscy będą nas wytykać palcami jako zdrajców. – Nie odrywając wzroku od świetlika, Amelis mówiła dalej: – Opowiadałam ci, że żyłam, chodząc za wojskiem. Kłamałam. To wojsko zawsze chodziło za mną. Dziewictwo straciłam z francuskim żołnierzem, kiedy miałam trzynaście lat. Krwawiłam przez osiem dni. Dziewiątego napatoczył się jakiś hiszpański kapitan. Tych potem już nie pamiętam, nie chcę. Wielu miqueletów. Oni przynajmniej dawali mi coś do zjedzenia. Później włóczyłam się bez celu. – Rozejrzała się wokół. – Nigdy nie miałam domu.

Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedłem do izby, spojrzała na mnie. Smutno, bardzo smutno.

– Wyjedźmy, Martí. Ale powiedz: dokąd? Dokąd?

Nie znosiłem, gdy mi przyznawała rację. Kiedy to robiła, rozbrajała mnie zupełnie. Ja z kolei zadałem sobie inne pytanie. Jakie prawo ma byle król, żeby burzyć moje życie? A tak właściwie, to czy naprawdę zależy mi na takim przeciętnym życiu, takim nędznym okruchu Mystère?

Tym, co kochałem najbardziej na świecie, był widok Amelis wstającej co rano z łóżka, nagiej, kucającej nad miednicą, żeby się umyć. Jej czarne włosy muskały sutki. Zawsze szeroko rozchyłała kolana. I zużywała mnóstwo wody, może dlatego, że pomiędzy jej udami kryła się ciemna gęstwina. Patrzyłem na nią z pościeli i uśmiechaliśmy się do siebie. Wiem, jestem łajdakiem i cynikiem, ale nikt nie miał prawa zrywać owego łańcuszka codziennych czynności, które

szczęście czyniły rozpoznawalnym. Nikt.

Westchnienie. Podniosłem wysoko cztery palce, aż moje opuszki dotknęły szyby świetlika. Co powiedział ów człowiek, którego przedramię zdobiło Dziesięć Punktów? „Kiedy dotkniesz nieba, nie będziesz już mógł cofnąć ręki”. Są sytuacje, w których życie stawia nas dokładnie tam, gdzie moralność zlewa się z koniecznością. Dlaczego ktoś decyduje się na walkę desperacką i śmiertelną? Dla wiecznej chwały? Dla dobra ludzkości? Nie, wcale nie. Wiem to od Mystère’a.

Ludzie dają się zabijać w Termopilach za mieszkanie ze świetlikiem.

Ponieważ służyłem już pod rozkazami don Antonia, nie było mi trudno załatwić sobie audiencję. Albowiem, choć niełatwo w to uwierzyć, czerwoni aksamitnicy obrali go na komendanta i naczelnego dowódcę naszych wojsk. Zaskakująca decyzja. Było dwóch innych kandydatów, z lepszym rodowodem, których wszelako, Bogu dzięki, odrzucono. Byli Katalończykami, nie brakło im wojennego doświadczenia, a ich szlacheckie tytuły przewyższały parentelę Villarroela, który, jak pamiętacie, pochodził z Kastylii, kraju naszych zaprzysięgłych wrogów. Dlaczego zatem go wybrano? A skąd ja mam to wiedzieć? Może czerwoni aksamitnicy, ci skończeni kapitulanci, już wtedy nie łudzili się co do wyniku wojny i nie chcieli, żeby odium klęski spadło na jednego z nich? Albo po prostu don Antonio był najlepszym z najlepszych, więc mając pod ręką tak wybitnego generała, nawet oni nie mogli go pominąć.

Rzecz w tym, że szedłem do niego pełen sprzecznych uczuć. Moja kochana, szpetna Waltraud pyta mnie, jak to możliwe, że jeszcze nie złożyłem mu wizyty, skoro od jego uwolnienia minął już rok. Odpowiedź jest bardzo prosta: stało się tak dlatego, że radość z powrotu don Antonia przyćmiewał wstyd w związku z opuszczeniem go tuż przed pojmaniem.

Poprosił, żebym usiadł, i powitał mnie serdecznie. Zbyt serdecznie. To nie wróżyło nic dobrego. Czemu? A temu, że nigdy, przenigdy nie był miły dla swoich podwładnych.

– Jestem ogromnie wdzięczny waści za gotowość – powiedział wreszcie – ale jej nie przyjmuję.

Zmroziło mnie. Czy nie dzieliliśmy trudów Odwrotu w 1710? Czy nie dowiodłem, że znam swój fach? Za murami Barcelony niewielu było biegłych inżynierów. Uznał nagle, że się nie nadaję, chociaż trzy lata temu byłem dobry i sprawdziłem się na polu bitwy?

– Oczywiście, że tak. Mimo młodego wieku zgłębiłeś tajniki inżynierii i potrafisz korzystać z nich w sposób godny podziwu.

– Więc cóż?

Zastanawiał się przez chwilę, zanim odparł swoim głębokim głosem:

– Odmawiam, bo nie masz waści tego, co powinieneś mieć.

Naszła mnie chęć, by rzucić się z pięściami na ściany. Rzecz jasna spytałem, o co chodzi.

– O naszą ostatnią rozmowę w Illuece – powiedział. – Zaproponowałem, żebyś odszedł, a waść odszedłeś.

– To prawda, don Antonio – odparłem urażony – ale przypominam, że sam mnie waszmość zachęcałeś do ucieczki.

– Tak. Żeby ci oszczędzić hańby. Gdybyś wszelako został, niewola przyniosłaby ci chwałę.

Aż się zagotowałem.

– Na miłość boską, don Antonio! Na cóż by się zdało, gdyby mnie schwytali? Prawdę mówiąc, wciąż uważam, że popełnił pan błąd, dając się pojmać i pozbawiając w ten sposób wojsko tak zdolnego dowódcy.

Uśmiechnął się.

– Dajże waść spokój, Zuviría, bądź ze sobą szczery. Do ucieczki skłonił cię egoizm, nie rozsądek. Nie kierowało tobą umiłowanie życia, lecz strach przed śmiercią.

– Tam była tylko garstka kalek! – zaprotestowałem. – A wiesz waszmość, co było najsmutniejsze? Kiedy wróciłem do Barcelony, poszedłem prosić o odsiecz. I co? Nikt nie chciał mnie wysłuchać, nikt w całym wojsku nie zaprzętał sobie głowy wozami, które wtedy osłanialiśmy. A najgorsze, że być może mieli trochę racji: cztery furmanki inwalidów nie wygrałyby tej wojny.

– A widzisz waść? – przerwał. – Służyłeś pode mną, ale nic a nic nie zrozumiałeś.

Czułem się tak zraniony, że nie rzekłem nic. Podniosłem się z krzesła i ruszyłem do drzwi.

Teraz, po wielu, zbyt wielu latach, myślę, że don Antonio przygotował sobie tę scenę zawczasu. Kiedy bowiem kładłem już rękę na klamce, odezwał się nagle:

– Jedno słowo. Gdybyś wtedy w Illuece wypowiedział tylko jedno słowo, uznalbym w tobie inżyniera.

Zatrzymałem się w miejscu. Jedno słowo. Być może kiedyś, po pijaku, podchmielony jakimś podłym trunkiem, zwierzyłem się don Antoniowi z mojej tragedii. Jedno słowo! Tak czy inaczej to, co teraz powiedział, rozżarzyło mnie do białości. Zawróciłem, rozwścieczony, i wbiłem pięści w dębowy stół.

– Wszyscy w tym mieście poszaleli! – wykrzyknąłem. – Wszyscy! Począwszy od rajców aż do ostatniego żebraka, wszyscy chcą się bić! Głupcy! Walczyłem, przemawiałem do rozumu rodzinie, przyjaciółom, sąsiadom. A kiedy wreszcie to oni mnie przekonali, żebym uczestniczył w tej wariackiej obronie, waszmość, akurat waszmość, odmawiasz przyjęcia mnie na służbę. A niedoczekanie! Wiedz, że nie masz prawa mi tego zrobić! To moje miasto, tu jest mój dom, a waść natychmiast masz mnie zapisać do swojego pieprzonego wojska,

czy tego chcesz, czy nie!

Pozwolił mi się wykrzyczeć, a kiedy zabrakło mi słów i tchu, powiedział:

– Tak już lepiej. Jest przynajmniej jakiś postęp. – A po krótkim milczeniu dodał: – Mówiłem ci to w Illuece, synku. Ta wojna jeszcze się nie skończyła. I twoje udręki także.

Wieczorem w domu wyprawiliśmy przyjęcie na pożegnanie pokoju. Owego fałszywego pokoju, w jakim żyło miasto przez ostatnie lata. Kiedy doszliśmy do deseru, poprosiłem o chwilę uwagi.

– Po twardych pertraktacjach don Antonio przyznał mi stopień pułkownika-lejtnanta. Słyszeliście? Rozmawiacie z pułkownikiem-lejtnantem, więc z łaski swojej zwracajcie się odtąd do mnie z należnym szacunkiem! Najmłodszy pułkownik-lejtnant w całym wojsku! A to jeszcze nie wszystko. Dostanę dodatkowo dziesięć procent żołdu, bo zatrudnił mnie jako swojego osobistego adiutanta. – Nie mogłem powstrzymać tryumfalnego uśmiechu. – Co wy na to?

– Pułkownik-lejtnant! – wykrzyknęła Amelis. I zaraz spytała: – A co to takiego?

– Widzisz, kochanie – tłumaczyłem, zaciągając się cygarem – w wojsku zaraz po generale jest pułkownik, który dowodzi własnym regimentem. Pułkownik-lejtnant to oficer, który oczekuje na przydział własnego regimentu. Rozumiesz?

– Czyli jeszcze nie masz własnego regimentu?

– No tak – przyznałem. – Ale co za różnica?

Obok mnie siedział Anfán. Pociągnął mnie za rękaw i zapytał:

– Szefie, a iloma żołnierzami dowodzisz?

– W gruncie rzeczy żadnym – odparłem. – Będę się zajmował ważniejszymi sprawami. Tak naprawdę to będę inżynierem. Ale don Antonio, który mnie bardzo ceni, uznał, że powinienem mieć stopień stosowny do mojej władzy, żeby żołnierze czuli przede mną respekt.

– W takim razie, szefie, ten twój stopień jest gównem wart, skoro nikim nie dowodzisz – skonkludował Anfán.

– Będę zarabiał sto dwadzieścia sześć liwrów miesięcznie! – obwieściłem z dumą. – Oczywiście, nie licząc tych dziesięciu procent za adiutanta.

Tu wtrącił się Peret:

– Powiedz mi, Martí, co właściwie robi taki adiutant?

– Już wam mówiłem, że będę do wyłącznej dyspozycji don Antonia, w każdej sprawie i w każdych okolicznościach. Bardzo mnie ceni!

– Czyli będziesz chłopcem na posyłki Villarroela – zachichotał. – Dałeś się wrobić. Będziesz codziennie tyrał dwa razy dłużej albo i więcej.

– I to za marne dziesięć procent – dodała Amelis. – Faktycznie, nieźle

wytargowałeś.

Udało im się zepsuć mi humor.

– Macie rację. Pewnie nie potrafię się dobrze sprzedać! – I jak wszyscy, którym brakuje argumentów, uderzyłem w ton patriotyczny: – Ale gdy wróg stoi u bram, ja mam się wyklócać o pieniądze?

– Jakiego koloru będzie twój mundur? – zapytała Amelis.

– Żadnego. Przecież mówiłem, że będę inżynierem. Korpus inżynierów jest zwolniony z noszenia mundurów.

– Zwolniony z noszenia mundurów! – zarechotał Peret. – Słyszałeś, żeby jakiś generał był, jak to nazwałeś, zwolniony z noszenia mundurów? Niezbyt się na ciebie wykosztowali!

Uparli się, żeby mi wszystko zepsuć. Nie święciłem tryumfów, jak to sobie wyobrażałem.

Peret drążył dalej:

– Do którego regimentu cię zapisali?

– Zapisali?

– Tak, chłopie, gdzie twój rejestr?

Pogardliwie machnąłem ręką z cygarem i powiedziałem:

– A co mi tam, nie będę sobie zawracał głowy takimi drobiazgami. Don Antonio to najuczciwszy człowiek w całym mieście, na pewno wciągnął mnie do jakiegoś rejestru.

– Zgoda, ale w którym regimencie?

– Nie wiem! – poddałem się, przyparty do muru i w głębi ducha zły na siebie za to, że nie umiałem znaleźć innej odpowiedzi. – We Francji uczyli mnie budować, bronić i szturmować bastiony, a nie o papierkach, jakich żądają kanceliści zadekowani na tyłach!

– Cudownie! – zachichotali wszyscy, nie wyłączając karzelka. – Nawet ci nie kupili mundurów i będziesz ganiał przez cały dzień jak kot z pęcherzem. Jesteś pułkownikiem-lejtnantem tymczasowo i tymczasowo nie masz regimentu ani nie wiesz, do którego cię zapiszą.

– Dobrze już, dobrze! – broniłem się. – Pamiętam, że Villarreal wspomniał chyba coś o cesarskim regimencie. Wysłał listy do Wiednia z prośbą o zatwierdzenie swojej nominacji, a przy okazji upomniał się, by wciągnięto mnie do jednej z jednostek Karlangasa. Można uznać, że to załatwione. Sądzicie, że cesarz nie przychylił się do prośby jedyne go generała, jaki mu został w Hiszpanii?

Tym razem śmiech był tak gromki, że sąsiedzi zaczęli walić w ściany.

– Ależ z ciebie głupek, Martí! Nie o to chodzi. Jeżeli cię zapiszą do austriackiego regimentu, na nominację będziesz czekał miesiącami. Teraz ci płaci Wiedeń, nie Barcelona. Dopóki nie przyjdą cesarskie pieniądze, nie dostaniesz ani grosza. Port blokuje francuska flota, więc bardzo możliwe, że zostaniesz z niczym.

Zepsuli mi tę kolację. A najgorsze, że mieli słuszość.

– No i dobrze! – odrzekłem, zwracając się do Pereta. – Możliwe, że się nie wzbogacę, ale ty zaciągnąłeś się jako szeregowiec, a żołd szeregowca to żaden cymes.

– A kto ci powiedział, że mi płaci Generalitat? – odparł, śmiejąc się na widok mojej konsternacji. – Znasz naszych barcelońskich krezusów, Martí. Sądzisz, że ci ludzie są gotowi chwycić za broń, wspinać się na mury, sterczeć na warcie dniem i nocą, wystawiać się na ostrzał i armatnie kule? Jasne, że nie. Opowiadać się za konstytucją i wolnościami to jedno, a narażać dla nich własną skórę, to co innego. Więc złożyłem wizyty tym najmniej wyrywim.

– W sprawach handlowych – wtrąciła Amelis ze zrozumieniem.

– Właśnie – dodał Peret. – Rządowi musi się zgadzać liczba żołnierzy w oddziałach i nazwiska, nie sprawdzają, kto jest kim. No to zaproponowałem kilku dekownikom, że ich zastąpię, oczywiście za niewielką opłatą.

– Pójdziesz do wojska za jakiegoś bogacza, który nie chce walczyć?! – wykrzyknąłem ze zgrozą.

– Ale po uczciwej licytacji! – odpowiedział Peret.

Przez resztę wieczoru pokpiwali sobie z poczciwego Zuviego, który nie ma nosa do interesów. Byłem tak przygnębiony, że nawet cygaro przestało mi smakować. Ze wszystkich oblężeń, w jakich uczestniczyłem przez ostatnie siedemdziesiąt lat, tylko za jedno nie dostałem ani grosza. Od rządu mojego własnego kraju. No cóż... Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale był to nasz ostatni szczęśliwy wspólny wieczór. Dlaczego tak trudno zrozumieć, że jest się szczęśliwym, kiedy jest się szczęśliwym?

Wciąż pamiętam Pereta śmiejącego się z mojej naiwności; pamiętam, jak mimo swego wieku rwał się do walki, i myślę o tym, jakie to szczęście, że my, ludzie, nie wiemy, co nam przyniesie los. Pereta zabili mi, kiedy to wszystko się skończyło.

Pod koniec oblężenia jedynymi zdrowymi ludźmi w Barcelonie byli kanibale. Łatwi do odróżnienia, bo skórę mieli nienaturalnie różową, źrenice obrzydliwie szkliste jak u świeżo złowionych ryb i zastygłe w uśmiechu usta. Reszta przypominała gromadę zakurzonych żebraków, którzy wyglądali, jakby ich wyciągnięto z ciemnego strychu. Po kapitulacji przez długie tygodnie, a nawet miesiące barcelończyka wszędzie można było rozpoznać po bladej cerze i spuszczonej głowie. Pewnego dnia Peret wyruszył za miasto w poszukiwaniu jedzenia. Zastrzelili go. Może za to, że był barcelończykiem, a może, co bardziej prawdopodobne, jakiś patrol na drodze próbował go zatrzymać i otworzyli do niego ogień, bo nie usłyszał wezwania.

Co to jest forteca? Zbierzcie garść ludzi gotowych się bić, znajdźcie

obwarowany teren i zatknijcie sztandar. I mamy fortecę. Latem 1713 sytuacja militarna wyglądała następująco. Zacznę od tej dobrej strony.

Jak już wiemy, czerwoni aksamitnicy mianowali don Antonia naczelnym dowódcą. Czekало go zadanie gigantyczne, by nie rzecz niewykonalne: musiał zorganizować i wyćwiczyć nieistniejące wojsko, a potem nim pokierować i bronić miasta nie do obrony.

Pomijając dowództwo, artylerię mieliśmy świetną. Dowodził nią Costa, Francesc Costa. To był gość! Najlepszy artylerzysta naszego stulecia. Abyście mogli ocenić jego zdolności, dam wam jeden przykład: kiedy burbończycy weszli do miasta, aresztowali wszystkich wyższych oficerów oprócz Costy właśnie (Costy i poczciwego Zuviego, gwoli ścisłości). Jimmy, któremu żadne skrupuły nie mąciły jasności rozumowania, wiedział, z kim ma do czynienia, i zaoferował mu beneficja i zapłatę więcej niż sowitą, cztery dublony dziennie, jeśli wstąpi do francuskiego wojska. Costa nie wahał się ni chwili. Odparł, że z chęcią, że będzie zaszczycony, mogąc służyć w armii Ludwika XIV. Zniknął tej samej nocy.

Większość artylerzystów Costy pochodziła z Majorki. Co do jego raptownej ucieczki po jedenastym wrześniu, to założę się, o co chcecie, że jego Majorkanie wywieźli go statkiem na Baleary.

Costa był niziutki i milkliwy. Nie chodził, lecz przemykał ze spuszczoną głową, wtuloną w ramiona, i brwiami zawsze uniesionymi, jakby się czemuś dziwił lub za coś przeproszał. Niepytany, nie odzywał się wcale. Dyskusja z nim była stratą czasu, są bowiem ludzie, którzy swoją nieśmiałością zbijają z tropu rozmówcę. Jego ulubionymi słowami były „tak” i „nie”, a chociaż wśród techników zwięzłość jest godna pochwały, Costa przekraczał wszelkie granice powściągliwości. Wybaczmy mu. Podziwiamy go. Jeżeli ktokolwiek potrafił go zrozumieć, to tylko ja. Łączyło nas swoiste podobieństwo: na papierze dowódcą artylerii był generał Basset, inżynierami zaś kierował Santa Cruz ojciec. W praktyce za sprawy inżynieryjne odpowiadałem ja, za armaty Costa. To pełnienie funkcji z pominięciem hierarchii służbowej wytworzyło pomiędzy nami swoistą więź. Dla ludzi takich jak Costa świat ograniczał się do kąta strzału i odległości, z jakiej padały pociski.

Wrodzoną nieśmiałość ukrywał, żując bez przerwy nać pietruszki. Pod koniec oblężenia wszyscy oszukiwaliśmy głód zieleniną, cóż było robić, lecz u Costy był to zwykły odruch. Kiedy ktoś go o coś zagadnął, musiał, jak już wspomniałem, wyrywać mu słowa z gardła. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Zapytałem, ile mamy dział:

- Dziewięćdziesiąt dwa.
- Spodziewałem się skarg i żądań. Cisza.
- Rozdysponowałeś je, waszmość, zgodnie z rozkazami don Antonia?
- Tak. Z kilkoma poprawkami.

– Wystarczy nam tyle? – dopytywałem się, stropiony jego powściągliwością.

– To zależy.

Oczekiwałem jakiegoś komentarza. Nie dodał żadnego.

– A od czego zależy zdaniem waszmości?

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby uważał, że liczy się moja opinia, nie jego.

– Od tego, ile armat ma wróg.

– Z tego, co dotychczas wiadomo, choć raporty naszych szpiegów nie są zgodne – powiedziałem – tabor burbończyków liczy sto piętnaście dział. Należy przewidywać, że w przyszłości nadejdą posiłki.

– Dobrze – odparł.

– Dobrze?

– Tak.

Irytowała mnie ta jego małomówność; chyba to spostrzegł, bo dodał, jeszcze bardziej unosząc brwi i gryząc nać:

– Moi Majorkanie nie pozwolą im podejść za blisko, dopóki stosunek sił nie przekroczy trzech do pięciu. Potem nic nie mogę obiecać. – Wyciągnął z kieszeni jeszcze kilka gałązek pietruszki i zaczął je podgryzać jak znudzony królik.

Co do sytuacji ogólnej, na tym kończą się dobre wieści, których nie było wiele. I zaczynają się złe.

Forteca bez wojsk, które jej bronią, jest równie bezużyteczna, jak garnizon w twierdzy pozbawionej murów. (Nawet ty, moja kochana, szpetna Waltraud, potrafisz to zrozumieć). Otóż my nie mieliśmy ani jednego, ani drugiego. Ani wojska, ani murów.

Kiedy po raz pierwszy przejrzałem rejestr żołnierzy, dusza uciekła mi w pięty. Villarroel zażądał dokładnego raportu o sile i środkach, jakimi mógł dysponować. Pewnego dnia, gdy dyskutowałem z Costą, stanął w drzwiach i przerwał nam ze zwykłą u niego szorstkością. Chciał wiedzieć, dlaczego dotąd nie otrzymał spisu wszystkich jednostek.

– Wybacz mi, waszmość, don Antonio – powiedziałem – ale nie mogłem tego zrobić, bo wkradł się błąd. – Zachichotałem, pokazując mu papiery. – Jakiś głupek z rządu przysłał nam to coś. Ja proszę o rejestr wojsk, a oni dają nam projekt rozbudowy miejskiego targowiska.

Villarroel przeglądał papiery, a ja znowu zacząłem się śmiać.

– Chyba pomylili kartki – dodałem. – Lista, którą waść czytasz, to pewnie przydział miejsc dla kramarzy, dostawców i kupców. Słyszałeś przecież, że po wojnie mają podobno przebudować kramy na placu Born. Jeszcze dziś osobiście pójde do Generalitat i zażadam właściwych rejestrów.

Lecz Villarroel tylko popatrzył na mnie tym swoim posepnym, groźnym spojrzeniem.

– Nie może być! – Przełknąłem ślinę. – Powiedz waść, że to żart.

Aż do tego dnia myślałem, że będziemy prowadzić wojnę jak każde inne europejskie królestwo (choć bez króla). Rząd najmie zaciężne oddziały, które ściągnie z daleka i z bliska, oferując godziwą zapłatę. Miejscowa milicja zapewni jedynie wsparcie i aprowizację, bo czegoż można wymagać od cywilów w rodzaju Pereta?

Jedynymi zawodowymi żołnierzami, na jakich mogło liczyć miasto, byli ci, którzy z takiego czy innego powodu nie skorzystali z możliwości ewakuacji, niedobitki Sprzymierzonych, wałęsające się w rozsypce po okolicy. Najlepsze wrażenie czynili Niemcy, blisko setka chłopów. Utworzyli własną jednostkę pod wodzą jedenastu oficerów tej samej nacji. Ach, jak oni trzymali szereg! Jako adiutant zanosilem im multum rozkazów, które wypełniali z zegarmistrzowską precyzją. Żołnierz zaciężny ma w sobie coś z awanturnika. Wspominam o tym, bo Waltraud, która ma mniej wyobraźni niż mrówka, nie może zrozumieć, skąd jej rodacy wzięli się w Barcelonie lat 1713 i 1714. W owym czasie nie było to najprzyjemniejsze miejsce na świecie, lecz łowca przygód nie szuka bezpieczeństwa. Szuka wrażeń. Wielu z nich miało powody, by nie wracać do ojczyzny, a Generalitat płaciła całkiem przyzwoicie; inni zaś mieli jeszcze lepszy powód, by zostać.

Musisz wiedzieć, moja kochana, szpetna Waltraud, że na tym świecie istnieje pewien fenomen wywodzący się z wzajemnego pociągu genitaliów męskich i niewieścich, znany również pod nazwą miłości. W Barcelonie roiło się od kobiet urodziwych, panien, a także mężatek poślubionych marynarzom, którzy niemal nigdy nie bywali w domu, i... no cóż, co tu więcej gadać? Poza Niemcami cudzoziemców było tak mało, że nie warto brać ich w rachubę. Owszem, mieliśmy wszystkich po trochu, od Węgrów po Irlandczyków (a nawet neapolitańczyków! Tych zawsze wszędzie pełno!). Poznałem jednego z nich, który pochodził z Państwa Kościelnego.

Jednakże, jak mówię, trzon naszego wojska stanowili zwykli cywile. Opuściłem moje miasto we wczesnej młodości i miałem jedynie mgliste pojęcie o jego systemie obronnym. Podstawę stanowiła miejscowa milicja, zwana „Pułkową”, czyli Coronela. Każdy cech wystawiał własny oddział i każdemu przydzielono jedną z bram. To było dobre w trzynastym wieku, ale pięćset lat później żyliśmy jednak w epoce technicznych rozwiązań Vaubana.

Żebyście zyskali jakie takie pojęcie o moich ówczesnych obawach, przedstawię wam dokładny skład Piątego Batalionu.

Pierwsza Kompania: rejenci sądowi. (Ależ oni nie potrafili nawet mojej sprawy w sądzie przeprowadzić! To jak niby mieli strzelać z karabinów albo pełnić służbę garnizonową w bastionie?).

Druga: kowale i kotlarze.

Trzecia: warzywnicy.

Czwarta: garncarze, druciarze i tapicerzy. (Garncarze, to jeszcze rozumiem – kiedy zacznie się głód, pustych garnków będzie w bród).

Piąta: szmuklerze.

Szósta: rzeźnicy. (Kolejni, którzy prędko zostali bez pracy).

Siódma: szewcy.

Ósma: barwiarze i przędzarze jedwabiu.

Dziewiąta: studenci teologii, medycyny i filozofii. (Nie ma co, piękna ich czekała promocja).

I z tym mieliśmy stanąć przeciw dragonom i grenadierom zahartowanym w ogniu tysiąca bitew: z oddziałami bednarzy, karczmarzy i sukienników; drukarzy, rękawiczników, powroźników, masztalerzy, krawców, tragarzy, skrybów. Pamiętam, że w Szóstym Batalionie był nawet cały oddział odprzedawców. Dobrze przeczytaliście, nie sprzedawców, tylko odprzedawców. (O czym myśleli, kiedy ich werbowano? O odprzedawaniu intendenturze używanych kul, wystrzelonych przez wroga?).

W sumie nie mieliśmy nawet sześciu tysięcy ludzi pod bronią. Mniej niż sześć tysięcy przeciwko czterdziestu tysiącom. Część z owych czterdziestu tysięcy była co prawda zajęta walką z naszymi miqueletami w głębi kraju, ale gdyby nawet było to trzydzieści tysięcy, matematyka nie kłamie: na każdego zbrojnego barcelończyka przypadało pięciu burbończyków. A sytuację dodatkowo komplikował fakt, że kłopoty zaczęły się jeszcze przed oblężeniem.

Jedynym scenariuszem, w którym dopuszczalna – a nawet wymagana – staje się dyktatura wojskowa, jest oblężenie miasta. I nie chodzi tu o kwestie polityki, lecz o zdrowy rozsądek. Albowiem najgorszą perspektywą dla twierdzy jest konieczność odparcia szturm przy braku jednolitego dowództwa. A tak właśnie było w tym przypadku.

Zakładano, iż naczelne dowództwo nad wszystkimi proaustriackimi oddziałami operującymi w Hiszpanii będzie sprawował Villarroel. Problem w tym, że – jak to przed chwilą wyjaśniłem – ogromna większość żołnierzy służyła w barcelońskiej milicji, która podlegała ratuszowi. Na don Antoniu mścił się również fakt, że został mianowany przez rząd kataloński, który uważał, iż generał powinien wykonywać polecenia władz. Villarroel nalegał, by jego nominacja została potwierdzona w Wiedniu, i w końcu dopiął swego w listopadzie 1713 roku. Jednak to tylko pogorszyło sprawy, ponieważ zgodnie z klauzulami traktatu ewakuacyjnego, zawartego przez Dwie Korony ze Sprzymierzonymi, Hiszpanię musieli opuścić wszyscy cesarscy żołnierze. Dla czerwonych aksamitników pozostał cudzoziemskim najemnikiem, a dla wroga – rebeliantem z Kastylii.

Czerwoni aksamitnicy zawsze byli zazdrośni o swoje prerogatywy, więc don Antonio musiał prosić ich o zgodę nawet na ściągnięcie do miasta kompanii

Impedits^[69], w której zgrupowano kalekich weteranów. Wojowanie ludźmi, którym brakuje ręki albo nogi, może się wydawać makabryczne, lecz zapewniam was, że byli to żołnierze nadzwyczaj przydatni. Mieli doświadczenie i wysokie morale. Pamiętam jednego z nich, z uciętym poniżej kolana kikutem. Na widok don Antonia podnosił wysoko kulę i pozdrawiał go okrzykiem:

– Generale! Ja na pewno się nie cofnę!

W czasie oblężenia ciężka służba wyniszcza wojsko. Nawet jeśli w bastionach stosuje się rotację załogi, zmęczenie, bombardowania i choroby dziesiątkują żołnierzy w stopniu, na jaki nie mogliśmy sobie pozwolić. *Impedits* przydali się do obstawienia mniej zagrożonych bastionów i kurtyn, co pozwalało odpocząć zluzowanym.

Bywałem świadkiem scen godnych politowania. Don Antonio na radzie wojennej z czerwonymi aksamitnikami, zaczerwieniony z gniewu, ochrypły od krzyku, domagający się, błagający wręcz, by dali mu stu lub choćby pięćdziesięciu ludzi. Żalotne. Naczelny wódz, któremu odmawiano nawet prawa do przegrupowania czterech kulawców. Na domiar złego osobistym adiutantem nieszczęsnego generała był niejaki Martí Zuviría, powszechnie znany ze swej dyplomacji. Nie raz i nie dwa omal nie stłukłem binokli jakiemuś rajcy. Czarna rozpacz. Albo jeszcze gorzej, gdyż są takie sytuacje, w których głupota ociera się o zdradę.

Przypomnijmy, że kiedy wszystko się zaczęło, owego złowieszczego lata 1713 roku, wróg forsownym marszem szedł na Barcelonę. Garnizony Sprzymierzonych wręczały oprawcom klucze do naszych miast. Oszukanym, bezradnym, pozbawionym jakiegokolwiek zwierzchności zdolnej zaprowadzić ład w szeregach, rozproszonym po całym kraju i atakowanym z nienacka miqueletom nawet nie przeszło przez myśl, że otrzymają taki cios nożem w plecy. Schodzili z gór i z dnia na dzień napotykali na twierdze, niegdyś przyjazne, a teraz zajęte przez burbończyków. Mogli tylko przypatrywać się z daleka łunom, rozbojom i egzekucjom. Usłyszeć ostatni krzyk.

W tych okolicznościach decyzje należało podejmować błyskawicznie: ogłosić *cridé* w całym kraju, proklamować legalność rządu w Barcelonie i zespolić rozproszonych bojowników pod wspólnym sztandarem. Nie dopuścić, by w ręce burbońskie dostało się więcej wiosek i miast. A żeby to osiągnąć, trzeba było koniecznie, natychmiast, znaleźć symbol jednoczący tych, którzy czekali na głos przywódcy. Villarroel rozkazał, by wysłannik wojska niezwłocznie wyruszył z miasta ze srebrną buławą i chorągwią świętej Eulalii i przemierzył cały kraj, ogłaszając wszystkim, że walka trwa.

– Wynieść świętą chorągiew naszej patronki za mury Barcelony? – zawahali się czerwoni aksamitnicy. – To niezwykła rzecz. Wcześniej powinna odbyć się debata.

Nie żartowali! Zebrali się na uroczystą naradę. Czy to słuszne i zgodne z prawem oraz tradycją? Jaka straż honorowa ma towarzyszyć świętemu wizerunkowi? Zostało w mieście kilku szlachciców, ale czy dość wysoko urodzonych, by trzymać drzewce i wstęgi? Debata się przeciągała, powrócono do niej nazajutrz, a potem następnego dnia i kolejnego, nie mogąc uzgodnić ostatecznej decyzji. Villarroel aż krzeszał iskry zębami. Zanim doszli do porozumienia, wróg zdążył już zająć całą Katalonię, prócz Barcelony i kilku samotnych twierdz – jak Cardona – których komendanci stanowczo odmówili wykonania cesarskich rozkazów.

A teraz przyjrzyjmy się fortyfikacjom Barcelony, od których tyle razy odwracałem wzrok, nie chcąc przywoływać wspomnień z Bazoches.

Pierwszym poleceniem, jakie mi wydał Villarroel, moją pierwszą misją, było sporządzenie raportu o ogólnym stanie umocnień. Rozkaz wykonałem. Obszedłem całe mury. Zapłakałem. I, o wstydzie, przyznaję się, że nie jest to tylko figura retoryczna.

Przypadek sprawił, że byłem nie tylko inżynierem, ale także barcelończykiem. A kiedy dokonujesz przeglądu murów rodzinnego miasta, mając pewność, że będą je atakować tysiące ludzi gotowych podpalić twój dom, zabić twoje dzieci i zgwałcić twoją kobietę, na wszystko patrzysz trochę inaczej. Mystère nakazywał nie ulegać wzruszeniom. Maganon, który nie ma chłodnej głowy, nie jest maganonem i do niczego się nie nadaje. Na swoje usprawiedliwienie dodam, iż ujrzałem obraz nędzy i rozpaczy.

Czasami porównania bywają przydatne. Zerknijcie na tę rycinę. (Wklej ją, gdzie trzeba, albo możesz zapomnieć, że mnie znasz, ty tłusta kwoko).

Barcelona, Fortaleza ideal



Gdyby przez jakiś kaprys losu ufortyfikowanie Barcelony zlecono poczciwemu Zuviemu, taki by właśnie był rezultat jego najlepszych starań.

Jak widzicie, mury i bastiony wewnętrzne byłyby osłonięte przez perfekcyjnie rozmieszczone półksiężycy czy też raweliny, potrójnie umocnione. Każdy z nich powinno się szturmować osobno, a zdobycie go nie naruszyłoby głównej linii obrony. Zanim Jimmy stanąłby przed naszą ostatnią redutą, trupy jego żołnierzy utworzyłyby stertę tak wysoką, że tych z góry mogliby pogrzebać na Księżycu. W gruncie rzeczy forteca taka, wzniesiona ściśle wedle Vaubanowskich

reguł, każdego by zniechęciła do szturmu. Jimmy to szczwany lis i z wdziękiem wymigałby się od zaszczytu kierowania tak trudnym oblężeniem. Bo któż poza Jimmym mógł nas złamać?

A teraz porównajcie tamtą rycinę ze smutną rzeczywistością, która wyglądała tak:



Smętne. Niespójne. Jak zwichnięte szczęki, zbiór bezkształtnych garbów.

Albo, jak by to technicznie określił Vauban, „twierdza złożona”, czyli stara forteca podreperowana tu i ówdzie, by uczynić zadość wymogom nowoczesnej wojny.

Do starych murów dokleiono kilka pentagonalnych bastionów. Nie było ich wcale tak mało, każdy miał własną nazwę, własną historię; barcelończycy już zdążyli się do nich przywiązać. Lecz budowano je w różnym czasie, bez planu, łatając słabsze miejsca. Gdzieniegdzie kurtyny ciągnęły się na odcinkach tak długich, że ogień z jednego bastionu nie mógł dać wsparcia sąsiedniemu, stojącemu za daleko. O fosie, która powinna otaczać całą fortyfikację, lepiej nie wspominać – zasypana śmieciami i tak płytka, że widać było uszy pasących się w niej świń. A bankrutujący rząd nie miał z czego zapłacić sprzątacjom. Oblężenia z przełomu wieków spowodowały szkody w całym obwodzie murów. I choć trudno w to uwierzyć, nikt nie zajął się naprawą wyłomów. Tak to wyglądało. A barbarzyńcy stali u bram. Niszczycielska wojenna machina, przez dziesięć długich lat hartowana w ogniu bitew i napędzana nienawiścią do „rebeliantów”, poszła w ruch. Za niespełna dwa tygodnie miała uderzyć na Barcelonę.

Moglibyśmy więc zadać następujące, w pełni uprawnione pytanie: skoro wojna dotarła na Półwysep w roku 1705, a do 1713 mieliśmy osiem okrągłych lat na umocnienie miasta, to jak to możliwe, że Katalończycy, razem z własnym rządem, nie zadbali o fortyfikacje? To również jedna z moich osobistych udręk, nocny koszmar i zmora na jawie. Co takiego się stało? Nie używajcie nigdy słowa „gdyby...”; owo „a gdyby?” zabija. Albowiem odpowiedź nie jest polityczna ani wojskowa. I nie ma najmniejszego związku z inżynierią.

Vauban był największym inżynierem wojskowym wszech czasów, to prawda. Lecz był także Francuzem. W swoim gabinecie mógł tworzyć tuszem na papierze fortece idealne, olśniewające, zadziwiające swym geometrycznym pięknem. Jego metoda miała tylko jedną, jedyną wadę: kosztowała mnóstwo pieniędzy.

Wyobraźnia człowieka jest darmowa, dopóki nie zderzy się z kontrahentami. Wznoszenie umocnień obronnych miasta okazuje się bardzo drogie. Tony materiałów, tysiące kamieniarzy, stolarzy i robotników, całe tuziny fachowców – miejscowych lub, co zdarza się znacznie częściej, zagranicznych – którzy pobierają astronomiczne pensje. Dostawcy oszukują i kantuja rząd. Prace się przeciągają, wydatki rosną trzy-, a nawet czterokrotnie. A gdy budowa się rozpocznie, w imię czego ją przerywać? Placówka ufortyfikowana w połowie jest bardziej bezużyteczna niż nieukończona katedra. Boga można chwalić i na kartoflisku, ale miasta i jego mieszkańców nie da się bronić, dopóki ostatnia *échaugnette*, pokornie wyniosła, nie zwieńczy bastionów. Nawet najgłupszy straganiarz handlujący zieleniną wie, że mury trzeba zamknąć. Postęp prac widoczny jest dla wszystkich, a z tym wiąże się ogromny nacisk na włodarzy, którzy stają się podatni na przekupstwo. Cwani pośrednicy wchodzą w komitywę z fachowcami; ci pierwsi

przedstawiają zawyżone rachunki, a ci drudzy je podpisują w zamian za wręczoną pod stołem łapówkę. Pieniądze, zawsze pieniądze. Już Temistokles powiedział, że na wojnie nie liczy się broń, tylko pieniądz, a wygrywa ten, komu zostanie w ręku ostatnia moneta. (No dobra, może to nie Temistokles, chyba Perykles, nie pamiętam. Zresztą, co za różnica? Wpisz, kogo chcesz. Byle nie Woltera!).

Istniał jeszcze jeden ważki powód naszej straszliwej bezbronności. W 1705 wszystko wskazywało na to, że wojna zakończy się w kilka miesięcy. Po wysadzeniu oddziałów w Barcelonie Sprzymierzeni mogli pomaszerować na Madryt i zrzucić z tronu Filipka. Karlangas zostałby królem, Kastylia zrozumiałaby w końcu, że nie jest panem i władcą w zagrodzie, a Katalończycy uczyniliby z Hiszpanii konfederację państw, kwitnącą i nowoczesną, z angielskim parlamentem, holenderską flotą i zaradnym mieszczaństwem dzierżącym ster finansów. Ale tak się nie stało. Wojna się przedłużyła. Karlangas utknął w Barcelonie i wciąż żądał nowych pożyczek od katalońskich władz na utrzymanie swojego międzynarodowego wojska. Wojny wygrywa się atakując, a nie broniąc, więc rząd czynił zadość tym roszczeniom, czego ostatecznym skutkiem był dramat lat 1713 i 1714.

Tego samego wieczoru robiłem wyliczenia. W domu panował niezwykle spokój. Nan i Anfán, podejrzanie grzeczni, bawili się w coś przy kominku, w którym piekliśmy strąki papryki i zielone pomidory. Obok, siedząc w bujanym fotelu, Peret czytał w blasku ognia. Nigdy nie nauczył się czytać po cichu, więc mamrotał pod nosem jak modlący się mnich. Były to wiersze Romaguery^[70], wybitnie liche, a wzięwszy pod uwagę naszą sytuację, brzmiały tym bardziej fałszywie. Być może dlatego je pamiętam.

Szczęścia motyl płochy zazdrości

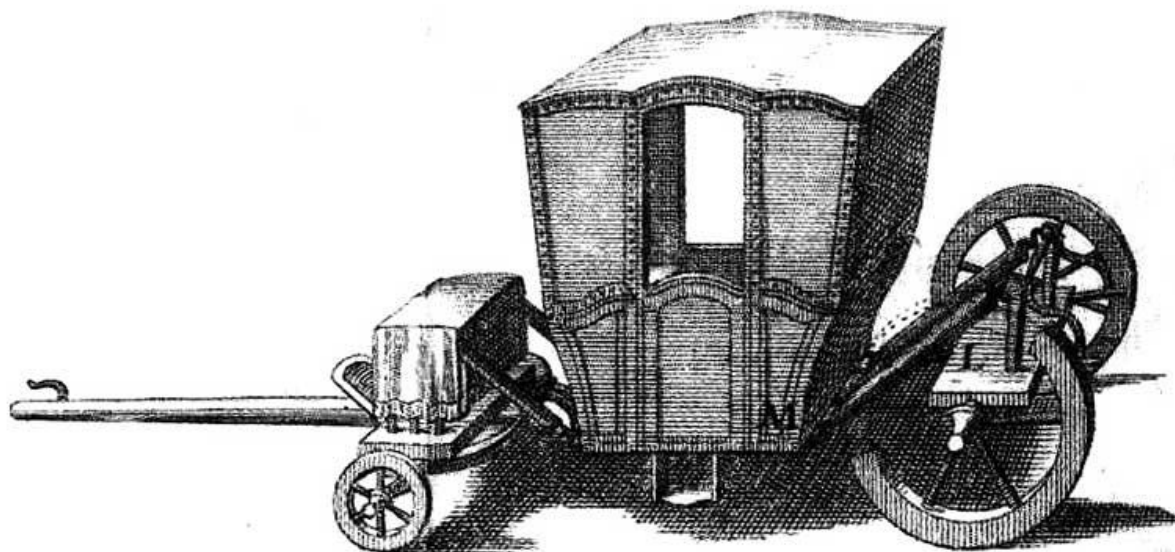
Temu, kto służbę i trud wybiera.

Motyl się rodzi i wnet umiera,

Śmiałek żyw zawsze w twej miłości.

Amelis była czulsza niż zazwyczaj. Zaczęła zbierać ze stołu tabele, papier i kałamarz, żebyśmy wcześniej poszli spać. Odsunąłem ją, czując pod skórą nieprzyjemne mrowienie. Nie przyjmowali do wiadomości tego, co nas czeka; nie chcieli, tak jakby przyszłość miała zniknąć tylko dlatego, że jej nie znamy.

Według moich najbardziej optymistycznych obliczeń miasto mogło wytrzymać dokładnie osiem dni regularnego oblężenia. Ani dnia więcej. A potem ciemność.



Tygodnie bezpośrednio poprzedzające nadejście burbońskich wojsk spędziliśmy bardzo pożytecznie. Oddziały Coroneli defilowały na Ramblach tam i z powrotem, głównie po to, żeby podnieść morale ludności, a przy okazji ćwiczyły się w strzelaniu. Milicjanci mieli uciechę, ale z wojskiem niewiele to miało wspólnego. Uczynili dwie ogromne kukły, wypchane słomą, za którymi wzniesli drewniany parapet wysokości trzech metrów. Jedną nazwali Lluís^[71], a drugą Felipet^[72]. Dziesięć razy dziennie rozstrzeliwało je sto karabinów. Bez większego powodzenia, jeżeli mam być szczery. Powiem tylko, że w okolicy wszystkie okna zabito deskami.

W tak krótkim czasie kompanii blacharzy i garbarzy nie można było przekształcić w zawodowe jednostki. Nikt zresztą nie rościł do tego pretensji. Od celności strzałów ważniejsza jest łącząca ludzi więź. Wszelako samo poczucie braterstwa nie wystarczy, gdyż musi je scementować zaufanie do oficerów. Don Antonio nadawał się do tego jak mało kto.

Dziś targana przez wewnętrzne niepokoje Francja rozsiewa po całym świecie rewolucyjnych generałów, którzy z dnia na dzień porzucili karczmarzkie fartuchy, by przywdziać generalskie lampasy. Ale w moich czasach oficer to był ktoś. Choć przez dziewięćdziesiąt osiem lat poznałem dziesiątki pułkowników i generałów, którzy o swoich żołnierzach nie wiedzieli nic poza tym, jaką barwę noszą.

Don Antonio to stary wiarus, obyty z okopami i ogniem. Miłością do wojska nasiąkł w rodzinie. W Barcelonie urodził się przez przypadek, gdyż jak mówiłem, ojciec jego służył wówczas w naszym mieście. A stał się dla nas mężem opatrnościowym, choć dla czerwonych aksamitników nigdy nie przestał być Kastylijczykiem, intruzem, burbończycy zaś nie uznawali go za Katalończyka. Po latach Jimmy pokazał mi odpis listy najznacniejszych jeńców aresztowanych po kapitulacji. (Zrobił to, by mnie przekonać, że sam nie przyłożył ręki do odwetu, bo uwięziono ich już po jego wyjeździe z Barcelony. Kłamstwo. Nawet jeśli nie działało się to z jego rozkazu, nie uczynił nic, by prześladowaniom zapobiec, chociaż dobrze wiedział, co się święci). Przy nazwisku don Antonia nie napisano „Kastylijczyk”, lecz, co wielce wymowne, „nie-Katalończyk”.

Rzecz w tym, że Villarroel pojął wkrótce, iż nasze ówczesne wojsko różniło się od innych. Coronela stanowiła zbieraninę uzbrojonych mieszczan, których nie można było traktować jak zwykłych żołnierzy. Wiedział, że więcej osiągnie zachętą niż dyscypliną.

Nie widziałem naczelnego wodza, który by tyle czasu spędzał z żołnierzami. Niespodziewanie pojawiał się na murach, raz tu, raz tam. Do podwładnych miał zwyczaj zwracać się per „dzieci moje”, co im się bardzo podobało. Kiedyś, gdy znalazł się w grupce, w której przeważali jego rówieśnicy, poprawił się w połowie

zdania:

– Dzieci moje... O, przepraszam, rzec chciałem: bracia moi.

Milicjanci pękali ze śmiechu. A starym dziadkom pozwalał się nawet klepać po plecach! W innym wojsku dostaliby za to pięćdziesiąt batów.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że mnie, zważywszy mój młody wiek, publicznie nazywał *fillet*. Czyli „synkiem”. Było to chyba jedyne katalońskie słowo, jakiego się nauczył ten mruk. W dodatku wymawiał je źle, bo zamiast *fillet*, mówił *fīyé*, z kastylijskim akcentem, co nadzwyczaj wszystkim bawiło.

Kilkadziesiąt lat później służyłem pod rozkazami Fryca, tego Prusaka^[73]. Boże Ty mój, czy można porównywać naszych barcelońskich bojowników do pruskich regimentów? Dla Fryderyka żołnierz był czymś gorszym od psa. O wiele gorszym! Zapewniam was, i nie jest to żadną przesadą, że każdy niemiecki żołnierz skakałby z radości, gdyby traktowano go jak psa. Choćby taki szczegół: w czasie marszu, by zapobiec dezercji, nikomu nie pozwalano się oddalić na odległość większą niż sześć metrów od kolumny pilnowanej przez uzbrojonych jeźdźców, którzy mieli rozkaz zabić każdego, kto się wyłamie z szeregu. Czy ktoś potrafi sobie wyobrazić pruskiego despotę mówiącego do żołnierza: „dziecko moje”? Proszę was! Tym właśnie nasze wojsko różniło się od innych. Don Antonio był wojskowym pełną gębą, ale umiał dostrzec jądro prawdy i wiedział, że Coronela składa się z wolnych ludzi, którzy bronią swojej wolności, i że nie będą słuchać kogoś, kto depcze to, o co walczą.

No dobra, dosyć głędzenia.

Częściej, niżbym chciał, don Antonio wzywał mnie na narady sztabu. Moim głównym zajęciem były prace inżynieryjne, więc obecność na owych posiedzeniach zdawała mi się stratą czasu. Burbończycy się zbliżali, a stan umocnień już wam opisywałem. Zazwyczaj odzywałem się rzadko. Lecz pewnego dnia pojawił się temat małej liczebności żołnierzy. Ktoś, nie pamiętam kto, zasugerował, by wcielić do regularnego wojska oddziały miqueletów. Rząd, z zaciśniętymi zębami, gotów był na to zezwolić. Nazwisko Ballestera było pierwszym, które wypłynęło w dyskusji. Moim nominalnym przełożonym był dowódca korpusu inżynierów, niejaki Santa Cruz, kapuś czerwonych aksamitników, którego don Antonio ignorował, chociaż musiał go tolerować. Santa Cruz stanowczo się sprzeciwił wyniesieniu Ballestera do godności żołnierza. Don Antonio zapytał mnie, co o tym myślę.

– Nie nazwałbym Ballestera pospolitym zbójem – odparłem bez wahania. – Fanatykiem, owszem. I okrutnikiem. A jednak to człowiek honoru. Może i porwał czasem jakiegoś czerwonego aksamitnika, o, przepraszam, jakiegoś bogacza z rządu, lecz nie kieruje się chęcią zysku. Wszystko to robi z nienawiści do Burbonów, Francuzów i Hiszpanów.

– Panie generale – wtrącił się Santa Cruz – i tak już mamy problemy

z dyscypliną w Coroneli, co więc będzie, kiedy zechcą wziąć przykład z ludzi o tak wątpliwej moralności? A sami wiecie, że niechętnie szafuję takimi słowami i nikogo nie sędzę pochopnie.

– Z Ballesterem czy bez – argumentowałem – dyscyplina nigdy nie będzie mocną stroną Coroneli. A jeśli Ballester zgodzi się do nas przyłączyć, naturalną rzeczą kolejną wstąpi do lekkiej kawalerii. Możemy uczynić go łącznikiem z miqueletami na prowincji, zatrudnić do rekonesansów w terenie albo nękania taborów wroga. Nie będziemy go tu często oglądać, bo do służby na murach nadaje się tak samo jak Coronela do konnicy.

Don Antonio spoglądał w przestrzeń, pogrążony we własnych rozmyślaniach. W owej chwili zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo pocziwy Zuvi pragnie wcielenia Ballestera do wojska. Nasze dawne spory straciły na znaczeniu; patrzyłem nań teraz jak na kogoś, kim w istocie był: sprytnym, zdolnym dowódcą. Nieważne, w mundurze czy bez. A nam rozpaczliwie brakowało doświadczonych ludzi.

Minęły chyba wieki, zanim Villarroel zabrał głos. W końcu orzekł:

– Żołnierzy mamy tak mało, że nic nie stracimy, gdy zaproponujemy mu, żeby wstąpił w nasze szeregi i dalej walczył z bronią w rękę, już jako prawy żołnierz. A jeśli odmówi, weźmie to na własne sumienie.

– Świetnie powiedziane, don Antonio! – wykrzyknąłem.

Spiorunował mnie wzrokiem. Trudno było wytrzymać to pełne nagany spojrzenie, surowsze od jakichkolwiek słów. Czekwały nań pilne sprawy, więc zrobiliśmy w tył zwrot i ruszyliśmy do wyjścia. Pamiętam, jak Santa Cruz kręcił głową, niezadowolony z jego decyzji.

– Zuviría – zatrzymał mnie w progu Villarroel. – Jeszcze jedno: dopilnujesz, waść, osobiście, żeby Ballesterowi przekazano naszą propozycję.

Omal trupem nie padłem.

– Ja? Ależ to niemożliwe, don Antonio! Mam huk roboty przy wzmacnianiu murów i bastionów.

– A ja sędzę, że możliwe – przerwał. – Jestem waści przełożonym i musisz wykonywać moje rozkazy, a poza tym widać, żeś wielkim orędownikiem tego Ballestera. Na pewno łacniej wysłucha ciebie niż kogoś innego.

Łacniej wysłucha! Nie mogłem rzecz jasna przyznać się do tego, że Ballester napadł na mnie w masii, a przedtem jeszcze okradł mnie, rozebrał do naga i chciał powiesić na gałęzi figowca.

– No, *fiyé*, skąd taka mina? – zdziwił się Villarroel. – Myślisz, że ryzykowałbym utratę adiutanta, gdy wróg znajduje się o sześć dni marszu od miasta? Każę ci przydzielić stosowną eskortę.

„Eskorta” składała się z dwóch ludzi: jednego chudego na koniu i drugiego, niziutkiego, na mule. Ten na koniu miał, jak się zdaje, jakie takie pojęcie o tym,

gdzie możemy się natknąć na idące w awangardzie patrole burbończyków, a ten na mule znał kryjówki Ballestera i jego zbirów. Obaj zaś umierali ze strachu nie mniej niż ja sam. W intendenturze wydano mi tymczasowo mundur pułkownika-lejtnanta piechoty. Żeby ludzie mnie szanowali, jak stwierdził don Antonio. Wątpliwy szacunek. Ballesterowi wielką przyjemność sprawiało podrzynanie gardeł oficerom i raczej mało go obchodziło, po której stronie walczyli. A poza tym kurtka okazała się tak ciasna, że nie mogłem jej dopiąć. Tak czy inaczej, nie był to dobry moment na poszukiwanie krawca.

Opuściliśmy Barcelonę, przejechaliśmy wiele wiosek, i nic. Wszędzie ludzie nas popierali i donosili nam o ruchach wojsk Filipa, dowodzonych wówczas przez niejakiego księcia Popoli (Popoli! Kolejne nazwisko, które winno spłonąć na stosach Historii! Kiedy opowiem wam dlaczego, z pewnością przyznacie mi rację). Widzieli jedynie pojedyncze patrole konne i, jak dotąd, żadnych większych oddziałów piechoty czy artylerii. Kolumna posuwała się tak powoli, bo burbończycy chcieli wpieryw ubezpieczyć wszystkie miejscowości. A choć wiedzieli, że ogłoszono cridę, nie wierzyli, iż barcelończycy są na tyle szaleni, by zamknąć bramy przed tak potężną armią.

Co do Ballestera, to odnaleźć go było łatwiej, niż się spodziewałem. Nawet nie próbował się ukrywać. Wraz z ewakuacją aliantów zniknął wszelki ślad jakiegokolwiek władzy poza murami Barcelony.

Znaleźliśmy go w dużym wiejskim dworze, opuszczonym przez jakiegoś znacznego botiflera. Przez okna dobiegała wrzawa dzikiej zabawy. Przyśpiewki, gwar męskich głosów, głośny śmiech kobiet i dźwięk butelek rozbijanych o podłogę i ściany.

– Naprawdę waść myślisz wejść do tej jaskini? – zapytali mnie moi towarzysze.

– Nie musicie iść ze mną. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, szybko do was wrócę. A jeżeli nie... – westchnąłem smętnie. – Jeżeli nie, powiadomcie o tym Barcelonę.

Tuż za drzwiami znajdowała się wielka izba. Wszystko było wywrócone do góry nogami, a na owym pobojuwisku ujrzałem, podobnych zgrai pijanych małą, ludzi Ballestera. Najbardziej w czubie miał jakiś wielkolud. Szyję owinął sobie kotarą na kształt peleryny, a w ręku dzierżył szpadę z nadzianym na nią kurczakiem. Do dziś pamiętam rozchylony dziób i zamknięte ślepką nieszczęsnego ptaka.

Naliczyłem pięć kobiet i dziesięciu mężczyzn. Jeden z nich, odziany w niewieście szatki, tańczył z trupem burbońskiego żołnierza. Głowa nieboszczyka majtała się jak wahadło, to opadając do tyłu, to opierając się na ramieniu przebierańca, który tulił truchło do siebie i pieścił jego twarz. Na wielkim żyrandolu pośrodku sufitu bujał się inny typek i wył jak opętany. To musiał być

chyba ich największy wesołek. Wszyscy rechotali, naśmiewając się z niego i judząc do wygłupów. Wszyscy prócz Ballestera.

Siedział w kącie na wybebeszonej bagnetami kanapie. U każdego boku miał wsiową kurwę, obie uwieszone u jego szyi. Jedna chichotała jak wariatka; druga, pijana, zwiesiła głowę na piersi. Ballester dostrzegł mnie pierwszy.

W owej chwili żyrandol zerwał się pod ciężarem wesołka. Runęli razem z brzękiem tłuczonego szkła. Śmiech urwał się jak nożem uciął: człowiek mała legł u mych stóp.

Wielkolud ruszył ku mnie, wymachując szpadą z nadzianym kurczakiem. Próbował wybełkotać jakieś pogroźki, ale był tak zamroczony trunkiem, że poślizgnął się na szkle i upadł na pysk.

Ballester cmoknął ironicznie wargami.

– Masz waść do mnie pecha! – powiedział i nawet nie uznał za stosowne wstać. – Przychodzisz na ratunek swoim kamratom botiflerom, a znajdujesz mnie.

– Znajduję tego – odparłem – kogo szukam.

Jeden z jego ludzi podszedł z nożem w dłoni, chcąc zadźgać mnie na miejscu. Podniosłem tubę, w której przewoziłem zwinięte w rulon dokumenty, opatrzoną pieczęcią Generalitat.

– Oto – obwieściłem – nominacja oficerska. Tuszę, że zainteresuje wszystkich tu obecnych. Mam przeczytać? Bo ręczę, że żaden z was nie umie. Jak mi zetniecie głowę, nigdy się nie dowiecie.

Dostrzegłem ich wahanie, więc dodałem pospiesznie:

– Rząd postanowił nadać stopień kapitana ochotników panu Esteve Ballesterowi. Wraz z mundurem i stosowną gratyfikacją. Niniejszym kapitan Ballester będzie mógł zaciągać rekrutów wedle swej woli, ci zaś wstąpią na służbę jako prawi żołnierze jego cesarskiej mości na żołdzie Generalitat.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Teraz! – wrzasnął nagle któryś z mniej pijanych. – Teraz przychodzą lizać nam dupę! Teraz, kiedy zostali z ręką w nocniku!

Wolałem się nie odzywać. Przede wszystkim dlatego, że miał rację. Ballester nie ruszył się z kanapy. Reszta, wrzeszcząc i pomstując, otoczyła mnie zwartym kręgiem. Jeden opowiadał historię zrujnowanego przez podatki gospodarstwa, inny pokazywał mi plecy wychłostane na rozkaz czerwonych aksamitników.

Aby rozmawiać z buntownikami, trzeba nad nimi górować. I nie mam tu na myśli wyższości moralnej. Przepchnąłem się przez nich, wskoczyłem na stół i podniósłszy tubę nad głowę, powiedziałem:

– Może i jest na tym podpis czerwonych aksamitników. Ale to – tu chwyciłem się za mundur na piersi – znaczy więcej od wszystkich ministrów. Ten mundur uszyła pewna kobieta z Ribery dla swojego męża, oficera Czwartego Batalionu. Człowiek ów jest cieślą. Kto was chłostał? Barcelońscy cieśle czy

rządowi urzędnicy?

– Idź w cholerę razem z tą twoją ojczyzną – krzyczeli, otaczając stół. – Gdzie była, jak jej potrzebowaliśmy? Jak wysyłali na nas wojsko! Gnębili! Brali na męki!

– Nieszczęśni! – ryknąłem, zadziwiony własną odwagą. – Który syn, widząc swą matkę w opresji, nie broni jej, lecz wypomina lanie, jakie mu kiedyś sprawiła? – Potrząsnąłem głową, jakby ogarnął mnie wielki smutek, i zażartowałem nagle: – Mawiają, że kiedy dziecko wpada do studni, matka rzuca się za nim, a kiedy wpada matka, dziecko woła sąsiadów.

Wierście lub nie, ale tu i ówdzie ozwał się śmiech. Nie czekając, aż umilknie, rzekłem tonem pełnym przygany:

– Otóż zła wiadomość jest taka, że naszymi sąsiadami są Kastylia i Francja, i to one chcą nas utopić.

– I przysłali ciebie, żebyś nam o tym powiedział? Kiedy Francuzi i Kastylijczycy zeżrą nasze konstytucje z brukwią, my najmniej na tym stracimy. Pierdol się!

– Sam się pierdol! – wrzasnąłem, nie panując nad sobą. – Nawet wy rozumiecie, że to nie tak. Jeśli Barcelona upadnie, my upadniemy wraz z nią. Co się stanie, gdy rozpanoszą się tu burbończycy? Wy porzuciliście swoje domy, ale na pewno macie gdzieś krewnych i przyjaciół. Oni się dla was nie liczą? Koniec z głosowaniem: już nie będziecie wybierać alkadów, Filipek wskaże ich palcem. A kogo, jak nie najwierniejszych botiflerów? Nasi chłopcy będą musieli służyć pod jego sztandarem, nawet w tym strasznym miejscu zwanym Ameryką. I to latami. Katalońskie sądy będą podlegać burbońskim sędziom, którzy pewnie nie są gorsi od naszych, ale są jeszcze dalej i w dodatku nas nienawidzą. A jeśli teraz daniny wydają się wam wygórowane, poczekajcie, aż podniesie je wrogi nam dwór w Madrycie, odmawiając naszym stanom świętego prawa do zawetowania ich w parlamencie. – Byłem tak wzburzony, że zamilkłem tylko dla zaczerpnięcia tchu. – Ślepi jesteście? Kto jak kto, ale wy powinniście wiedzieć najlepiej, że w wypadku klęski najmniej stracą czerwoni aksamitnicy. Oni zawsze utrzymają się na powierzchni, bez względu na to, kto będzie rządził. A jeżeli naprawdę macie to wszystko gdzieś, to powiedzcie mi, dlaczego tańczycie z trupami burbończyków?

Wrzawa przycichła. Namiętna przemowa wyczerpała mnie zupełnie. Ciekawe. Aż do tamtej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo moje poglądy zgadzały się z tym, co mówiłem. Przybyłem tam, żeby przekonać innych, a tymczasem przekonałem sam siebie.

Ktoś zapytał:

– Jakim człowiekiem jest twój dowódca?

Typowe dla mentalności miqueletów: mniej znaczyła dla nich sprawa, za którą mieli się bić, niż człowiek, który będzie nimi dowodził.

– Sam sobie odpowiedz – odparłem z kwaśnym uśmieszkiem. – To on kazał mi wejść do tej spelunki, a ja usłuchałem bez szemrania.

Do tej pory Ballester się nie odzywał. Teraz wstał z podartej kanapy i rzekł do mnie:

– A ja myślę, że jeśli wejdziemy do Barcelony, to nigdy się stamtąd nie wydostaniemy. Powiedz waść tym ludziom, że tak nie będzie. No, powiedz!

– Nie powiem. Nie mogę – odparłem z namysłem. – Bardzo możliwe, że tak właśnie się stanie. Zginiemy wszyscy. Mogę was tylko zapewnić – dodałem nieco ciszej – że w takim razie ja też nie przeżyję.

Ballester pokazał kciukiem na drzwi w głębi izby.

– Wejdz tam.

Prowadziły na tylny dziedziniec okolony wysokim murem. Mój krótki pobyt w tym miejscu uprzyjemniło towarzystwo dwóch trupów w białych mundurach. Przetrzęsnałem ich sakwy, wypełnione oficerską korespondencją. Prawdopodobnie byli łącznikami. Domyśliłem się, co zaszło. Jechali z listami, zobaczyli przy drodze ten piękny dwór i zrobili sobie krótki postój. Ballester też akurat tędy przejeżdżał i wpadł na ten sam pomysł. Pech.

Przez drzwi wyraźnie słyszałem każde słowo z toczącej się za nimi narady miqueletów. Przez cały czas wrzeszczeli. Jedni chcieli przyjąć rządową propozycję, inni – większość – obstawali przy tym, żeby mnie zarżnąć. Wolałbym tego nie słuchać.

To ciekawe, jakimi drogami biegły moje myśli w owych dniach. Odżyło we mnie wszystko, czego nauczyłem się w Bazoches. Oblężenie jeszcze się nie zaczęło, a jednak już natchnęło mój umysł i duszę. Martí Zuviría, Księżę Tchórzy, odchodził z wolna w niebyt, ustępując miejsca Inżynierowi Zuvirii. Pamiętam tylko, że pomyślałem wtedy: „Jeżeli postanowią mnie zabić, listy muszą trafić do Barcelony. Za wszelką cenę”.

Drzwi się otwały. Wróciłem do wielkiej izby. Oczy wszystkich, mężczyzn i kobiet, zwróciły się na mnie. Wiedziałem, że muszę działać natychmiast.

– Możliwe, że nie chcecie uczestniczyć w obronie Barcelony – powiedziałem, podając listy Ballesterowi – mniemam jednak, iż nie jesteście także przeciw. Zawieźcie, proszę, te papiery człowiekowi, który mnie tu przysłał.

Przez nieskończenie długą chwilę Ballester patrzył mi prosto w oczy, nie sięgając po listy. Jego ludzie jeszcze bardziej niż ja czekali na to, co zrobi, bo ja już pogodziłem się z losem. Mimo praktyki w Bazoches nie potrafiłem wyczytać nic z owego spojrzenia i zdawało mi się, że rok cały minął, nim wreszcie zrozumiałem.

– Zawieź je sam – brzmiała odpowiedź, lapidarna, bez najmniejszego śladu serdeczności, mimo tego, co zapowiadała.

Podszedł do stołu, wziął tubę ze swoją nominacją na kapitana ochotników, popatrzył na nią i dodał zdegustowany:

– Ugięli się. Bardziej niż gałąź pod wisielcem.

Wydali z siebie ryk radości. Tak jakby ostatnim, który się zgodził, był ich wódz i od niego tylko zależała upragniona przez wszystkich decyzja. Dziś pewien jestem, że było inaczej, że to właśnie Ballester jako pierwszy wydał wyrok na nich i na siebie. Że nie zdradził, co sam myśli, żeby nie wpływać na ich osąd, nie okazać słabości, a zarazem nie zmuszać innych do samobójstwa.

Szli na śmierć i czynili to z niewczesną radością. Zniknęli w jednej chwili, skoczyli na koń i odjechali, uwożąc ze sobą przytulone do nich kobiety. Tętent kopyt i rżenie wnet umilkły. Ballesterowi natomiast wcale się nie spieszyło; wodzowi nie godzi się pędzić na złamanie karku. Zostaliśmy sami, on dziwnie zatopiony we własnych myślach, z dała ode mnie, z dała od wszystkiego. Zauważyłem u niego to samo spojrzenie co kiedyś, w Beceite, gdy ze związanymi rękami czekał na śmierć. Wyszliśmy. Nasze konie stały obok siebie, lecz zwrócone w przeciwnych kierunkach, więc kiedy ich dosiedliśmy, znaleźliśmy się twarzą w twarz, jeden jeździec naprzeciw drugiego.

– Jeszcze coś – powiedziałem. – Z chwilą wstąpienia do cesarskiego wojska musisz się waść podporządkować hierarchii i dyscyplinie. Ja noszę stopień pułkownika-lejtnanta i jestem osobistym adiutantem naszego naczelnego wodza. Masz wykonać każdy rozkaz, który wydam. Bez wyjątku.

Wykrzywił wargi w uśmiechu, nieco makabrycznym na jego brodatym obliczu o czarnych krzaczastych brwiach.

– Wtedy, w tamtej masii, powiedziałem, że jak się znowu spotkamy, to oberwiesz.

Zacisnął pięść i z całej siły uderzył mnie w pierś. Nie włożyłem jeszcze nóg w strzemiona, więc wyleciałem z siodła jak wystrzelony z procy i upadłem na wznak. Dobrze chociaż, że wylądowałem w kępie rozmarynu, która posłużyła mi za siennik. Ale cóż to był za cios!

Kiedy podniosłem głowę, Ballestera już nie było. Zza krzaków wyskoczyli chudy z małym i pomogli mi wstać.

– Matko Boska! – wykrzykiwali, podczas gdy ja rozcierałem rękami obolałe nerki. – Żyjesz waść. A Ballester jedzie do Barcelony. Coś im obiecał?

– To, czego tym ludziom zawsze odmawiano – odparłem. – Prawdę.

Spojrzeli na mnie pytającym wzrokiem, więc wyjaśniłem:

– Dałem im słowo, że wszyscy zginiemy.

I tak dotarliśmy do dnia 25 lipca 1713 roku. Wróg miał pojawić się lada dzień. A większość dzieł obronnych i naprawa murów jeszcze nie zostały ukończone. Omówiwszy to z don Antoniem, postanowiliśmy przerwać wszystkie prace oprócz palisady.

Kiedy jest dość czasu, by przygotować się do oblężenia, załoga otacza

ufortyfikowany teren parawanem z zastrzonych pali, nachylonym w kierunku oblegających i umiejscowionym tuż przed fosą, jako pierwsza linia obrony murów i bastionów.

I znowu mi się tu wtrąca ten worek sadła, zwany Waltraud. Mówi, że z tego, co jej dotychczas wiadomo, palisada w zasadzie niczemu nie służy. Ogień artyleryjski raz dwa strzaska sterczące przed murami kołki. Po co zatem tracić czas na wbijanie w ziemię tylu drągów?

Palisada utrudnia marsz piechocie i onieśmiela wroga. Las tysięcy potężnych pali stanowi poważną przeszkodę. Zwłaszcza gdy patrzycie z pozycji kogoś, kto ma ową przeszkodę sforsować, podczas gdy strzelają doń ze wszystkich stron. Oficerowie muszą użyć całego swojego autorytetu, by zagonić żołnierzy na ową najeżoną szpicami zaporę.

Zgoda, bombardowania artyleryjskie niszczą większość pali. Nie jest to jednak tak istotne, jak by się zdawało. Drągi mają dwa, trzy metry długości. Wbijane są bardzo głęboko, pod ostrym kątem i z przyporą u podstawy, sięgają zatem na metr lub półtora nad ziemię. Nawet jeśli, strzaskane przez ostrzał karabinowy i kule armatnie, wystają na trzy piędzi, a niechby i dwie, mogą poranić stopy i golenie, albowiem pękając wskutek wybuchów, stają się tym bardziej niebezpieczne. Gęstwy twardych, drewnianych kolców nie należy lekceważyć. Kiedy atakujący prą hurmem naprzód, łamie szyki, rani setki ludzi i spowalnia szturm. A dalej czeka ich jeszcze fosa i sforsowanie murów. Czasami najprostsze środki obrony bywają też najskuteczniejsze.

Nie przeczę wszelako, iż palisada przeobraża i psuje krajobraz. Nasze miasto, naszą tysiącletnią frywolną Barcelonę, otoczyło cierniste halo, złowrogie i ponure. Perymetr takich umocnień bywa ogromny, sam widywałem częstokoły zbudowane z osiemdziesięciu tysięcy pali. Owa zwarta ściana martwego drewna, ociosanego rękami ludzi pragnących cudzego bólu, zwiastuje śmierć. Gdy zmoczy ją deszcz, zdaje się jeszcze bardziej posępna niż pod śniegiem. W miejscach tak pełnych słońca jak Barcelona, wrażenie to jeszcze się potęguje.

W magazynie było szesnaście tysięcy pali. Według moich obliczeń potrzebowaliśmy co najmniej czterdziestu. Cóż miałem począć? Popłakać się w kąciku? *Débrouillez-vous!* Postanowiłem osłonić najbardziej narażone odcinki.

Nie brakło nam za to ludzi pełnych zapału. Rząd nie mógł płacić wszystkim, ale wsparło nas sześć tysięcy ochotników. Spędziłem z nimi wiele godzin, nadzorując prace. Pouczałem, że muszą kopać głębiej i dobrze zakotwiczać słupy, żeby się nie przewróciły pod ostrzałem artylerii; upewniałem się, że są nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni; że końce dobrze ostrugano – słowem, troszczyłem się o wszystko. Jednakże nie starczało nam pali, narzędzi, robotników, a zwłaszcza czasu, by przeobrazić Barcelonę w obronnego „jeża”.

Owego pamiętnego dwudziestego piątego też byłem przy palisadzie, gdy

nadjechał Ballester ze swymi ludźmi. Prowadzili konie za uzdy, rozradowani i rumiani na twarzach od wina. Znaczna część burdeli, najlepiej zaopatrzonych w dziewczki i trunki, stała poza murami i one to obsługiwały podróżnych na przychodnym i na odjezdnym. Ci także z pewnością wstąpili już do jednego z owych przybytków. Trudno im się zresztą dziwić. W kraju panował nastrój jak przed końcem świata. Wejdą burbończycy, i po zabawie.

Byli tu dopiero od czterech dni, a już zasłynęli z rozrzutności w karczmach i lupanarach. I z bójek na pięści ze strażą miejską, jakżeby inaczej. Ilekroć dobiegały mnie o nich wieści, z niesmakiem potrząsałem głową. Może ugoda z nimi wcale nie była takim dobrym pomysłem.

Ujrawszy ich, zwróciłem się do herszta tej bandy:

– Kapitanie Ballester – powiedziałem bez zastanowienia, wiedziony chęcią przyspieszenia robót – porzućcie inne zajęcia i pomóżcie nam wbijać pale. Każda para rąk się przyda.

Powinienem był przewidzieć ich odpowiedź. Zaśmiali się gromko i odparli, że przyszli tu walczyć, nie pracować. Kiepska sprawa, bo ich odmowa zmuszała mnie do konfrontacji.

Uprzedziłem Ballestera jasno i wyraźnie, że dołącza do zorganizowanej obrony, w związku z czym obowiązuje go dyscyplina. Gdybym pozwolił, żeby raz mnie zlekceważył, i to w obecności innych, nigdy więcej nie mógłbym liczyć na jego szacunek. Ze względu na upał byłem w samej koszuli. Nie był to strój, który dodawał mi powagi i nie mógł skłonić do posłuchu bandy morderców. Kiepska sprawa. Co gorsza, rozpoznawszy Ballestera, znajdujący się najbliżej nas robotnicy porzucili narzędzia i wstrzymując oddech ze strachu, czekali, co będzie dalej. Jakkolwiek było, Długonogi Zuvi podszedł do miqueletów i oznajmił:

– To rozkaz. Tutaj wszyscy pracują. – I przemaszerowałem przed nimi, wytykając palcem każdego z osobna. – Wszyscy.

– Naprawdę? – brzmiała odpowiedź Ballestera. – A nie widzę tu żadnego czerwonego aksamitnika z łopata.

– To nie pole bitwy. Tu się walczy inaczej. – Cofnąłem się kilka kroków i chwyciłem za ramię młodziutką dziewczeczkę. Wypchnąwszy ją przed siebie, pokazałem Ballesterowi jej dłonie. – Spójrz waść na krew, która spływa z jej palców. Pęcherze i otarcia to ordery nie mniej cenne od tych, które rozdają za bohaterstwo na wojnie.

Ballester przybliżył swoją twarz do mojej i z ledwo hamowaną nienawiścią syknął:

– Skoro potrzebowałeś robotników, to po chuja nas tu ściągnąłeś?

– Kiedy nareszcie zrozumiesz waść – odparłem tym samym tonem – że nie służysz mnie, lecz naszej wspólnej sprawie?

– Właśnie zaczynam rozumieć – odrzekł Ballester – że pod pretekstem

wojny czerwoni aksamitnicy chcą nas gnębić jeszcze bardziej niż dotąd.

Już miałem mu odpowiedzieć, gdy usłyszeliśmy jakiś przeraźliwy dźwięk: wszystkie dzwony w Barcelonie były na trwogę. Dziesiątki oszalałych dzwonników głośno straszną nowinę. Zadarliśmy głowy. Straże na murach dawały nam znaki już od dłuższej chwili. Zajęci kłótnią, nie zwróciliśmy na nich uwagi.

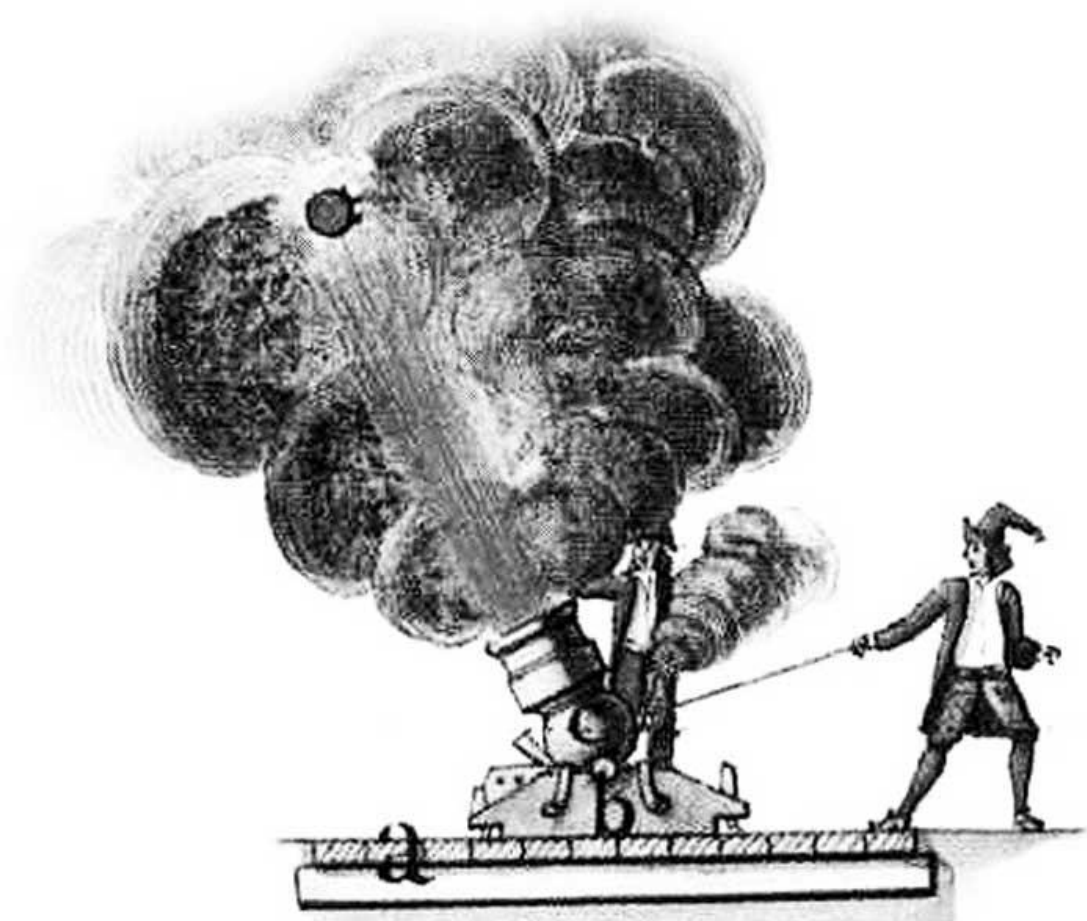
– Idą już! Idą! – krzyczeli do nas z bastionu.

Gdy długo oczekiwane wieści potwierdzają się wreszcie, stają się czymś nierzeczywistym. Przyszli, już tu są. I choć oswajaliśmy się z tą myślą od tygodni, byłem jak ogłuszony. Ballester, palisada, wszystko traciło sens w obliczu rychłego zagrożenia.

– Na co czekacie? – wołali wartownicy. – Biegnijcie do najbliższej bramy! Wracajcie, zanim zamkną!

Byli to dwaj chłopcy, bardzo młodzi i źle uzbrojeni, jeden w binoklach na nosie. Tamtego dnia na naszym odcinku straż pełnili studenci filozofii. Wydali mi się wężsi niż papier uczonych ksiąg. Ten w okularach wskazał ręką horyzont.

– Szybciej! Całe wojsko idzie na nas.



Victus

Ty! Tak, ty! Jak śmiesz przekroczyć próg mojego domu? Wczoraj czytałem to, co napisaliśmy do tej pory.

I co to jest? Co to jest? Spisałaś wszystko, tak jak ci dyktowałem! Słowo w słowo!

Że takie były moje rozkazy, tego chciałem? No pewnie! Ale nawet ty mogłabyś zrozumieć, że są rzeczy, których nie bierze się dosłownie. Kiedy mówisz gościom „czujcie się jak u siebie”, to naprawdę tak myślisz? Oczywiście, że nie!

Gdy zaczynałem tę opowieść, założyłem z góry, że ją ucukrujesz. Chciałem napisać ładną, łatwą książkę, taką jak powiastki Woltera; jak ten głupi *Kandyd*, coś w tym stylu. No, może nie tak dziecinną, ale odpowiednio zredagowaną, żeby mogły ją czytać nawet panny z dobrych domów. A co wyszło? Katastrofa! Czy ty nie widzisz, co zrobiłaś? Ty! Tak, ty! Jesteś dla literatury tym, czym Attyla dla trawy^[74]!

Així et surtin cucs pel nas, filla de...^[75]

To, co wam teraz powiem, nie ma nic wspólnego z książką, ale powinniście o tym wiedzieć: Waltraud mnie porzuciła.

Dobrze słyszycie. Niezwykłe, prawda? To gadatliwe, dupiaste, przygłupie prosię zbuntowało się raptem i od dwóch tygodni ani widu, ani słyhu. No dobrze, coś tam wiem. Przedwczoraj wsunęła mi pod drzwi jakiś idiotyczny liścik, pełen niestworzonych wymówek na usprawiedliwienie jej dezercji. Że bardzo żałuje, że to, że pstro. Miała nawet czelność oskarżyć mnie o nieobyczajność!

A przecież sami, z tego, co było na poprzedniej stronie, mogliście wyrobić sobie pojęcie o naszych stosunkach.

Nie myślcie, że pracuje ze mną nad tą książką z dobroci serca, co to, to nie. To ona tak mówi! W gruncie rzeczy uważa się za jej autorkę. Przytrafiło się jej to samo co temu psu, który tak często kąsał owce w zadek, aż uwierzył, że jest pastuchem. Chociaż... cóż, przyznaję bez bicia, że czasami przywracała narracji właściwy bieg, gdy zносиło mnie na manowce. Teraz myśli, że nie dam rady ciągnąć tego sam, trzymając się kolejności zdarzeń, aż do jakże gorzkiego końca oblężenia w 1714. Otóż myli się bardzo! Sądzi, że będę się jej włóczył u nóg i błagał, żeby wróciła. Próżność! Kobiety! Co za idiota wymyślił drugie słowo, jakby jedno nie wystarczyło? Nigdy, przenigdy nie poproszę tej kwoki grafomanki o pomoc!

JA, MARTÍ Zuviría, Inżynier, Dziewięć Punktów z łaski Mystère'a, pułkownik-lejtnant Jego Cesarskiej Mości Karola III, inżynier wojsk Zbuntowanych Państw Ameryki, inżynier na żołdzie władców Cesarstwa Austrii,

Prus, Imperium Otomańskiego, Carstwa Rosji, narodów Creek, Oglala i Ashanti, pierwszy doradca maoryskiego króla Aroaroataru, komanczero^[76], mystèrysta, poliorceta, pirotechnik, wodofob, plepleple, plepleple i plepleple, a teraz, na ostatek i mówiąc krótko, wrak człowieka,

PODPIS MÓJ KŁADEĘ oraz przed Bogiem i ludźmi, którzy zechcą przeczytać te słowa, uroczyście oświadczam:

Po pierwsze: Że moje zachowanie wobec Waltraud Spöring, od chwili, gdy wstąpiła do mnie na służbę, aż po dziś dzień, nie zawsze było stosowne, zwłaszcza gdy kosztem własnego snu pielęgnowała moje nadszarpnięte zdrowie.

Po drugie: Że przepraszam ją za wszystko publicznie i prywatnie, pokornie błagając, by powróciła pod moje opiekuńcze skrzydła.

Po trzecie: Że nigdy nie żądała, bym dzielił się z nią moją literacką sławą ni ziemską chwałą, a wszelkie jej starania, jakich dokładała, spisując niniejszą księgę, miały na celu jedynie zachowanie ku pamięci potomnych tego, co pamięci godne. (Czyli niczego, ale tego nie musisz już pisać).

Po czwarte, co z własnej i nieprzymuszonej woli dodaje niżej podpisany: Że Waltraud Spöring nie jest brzydka, lecz odznacza się urodą szczególnego rodzaju. Jest pełna dobroci, a w oczach Boga tylko to się liczy. (Wszystko pięknie, ale chyba sama w to nie wierzysz).

Zadowolona? Teraz, gdy znowu chwyciłaś za pióro, przypuszczam, że nie ma znaczenia, co powiem, bo i tak napiszesz, co zechcesz. Przez ciebie książka wyjdzie bardziej pokiereszowana niż moja twarz! Gdybyś była szczerą, dodałabyś, że to wszystko jest brutalnym szantażem i bezprzykładnym upokorzeniem.

Ja?! Ja nigdy cię nie obraziłem! A czego chciałaś? Żebym cackał się z tobą jak z leśną nimfą? Od niedźwiedzicy z germańskich kniei różnisz się tylko tym, że wśród niedźwiedzic nie ma blondynek.

Nie! Nie odchodź! Zaczekaj, proszę, proszę cię, moja kochana, szpetna Waltraud. Jeśli odejdiesz, kto będzie ze mną rozmawiał?

Siadaj. Weź pióro, błagam.

Tak już lepiej. Może kawusi z miodem? Częstuj się, jeśli masz ochotę. (Przypomnij mi, żebym ci odliczył z pensji).

Tak więc 25 lipca 1713 wojska burbońskie pod wodzą księcia Popoli stanęły wreszcie pod Barceloną. Palownicy zdążyli czmychnąć (z Zuvim Długonogim na czele; w dowodzeniu rejteradą najlepsze jest to, że zawsze znajdujesz się najdalej od nieprzyjaciela).

Jak można się było spodziewać, wojsko księcia Popoli zostało powitane kanonadą. Prawdę mówiąc, uciekający palownicyomal nie wpadli na galopujące w przeciwnym kierunku trzy szwadrony kawalerii, które starły się z burbońską forpocztą i powróciły, prowadząc kilku jeńców.

Książca Popoli porażka owa zaboląła tak, jakby stracił cały regiment. Na wojnie morale jest wszystkim, a w mieście oklaskiwano zwycięską konnicę jak bohaterów. Co do jeńców, to na widok ich ogłupiałych min można by pomyśleć, że właśnie ponieśli druzgocącą klęskę. Nie mogli uwierzyć, że w tak krótkim czasie z konkwistadorów stali się więźniami.

– Przecież chcieliście dostać się do Barcelony – drwili z nich gapie. – No to jesteście.

W pełnym brzmieniu książkę Popoli zwał się nader pompatycznie: Restaino Cantelmo Stuart, książkę Pettorano, dworzanin królewski i czort wie, ile jeszcze tam było tytułów i innych pierdół. Filipek nie przypadkiem wybrał go na generała, który miał pognębić „rebeliantów”. Popoli był bardziej filipowski niż sam Filip, a Barcelony nienawidził z całej duszy. Po odejściu Sprzymierzonych z Katalonii z rozkoszą pokierował jej okupacją. I szybko miał dowieść swego okrucieństwa.

W czasie marszu na Barcelonę żołnierze księcia Popoli, zajmwszy kolejną miejscowość, przyprowadzili do niego dwóch domniemanych stronników Austrii.

– Zagracie o swoje życie w kości – powiedział. – Ten, który wygra, będzie żył.

Było to nie tylko bezprawie, ale też perfidia, podłość i samowola. Rzecz w tym, że potem przegranego ułaskawił: wpływowi przyjaciele zaręczyli, że człowiek ów po cichu sprzyjał burbończykom, lecz musiał się z tym ukrywać. (A tutaj coś, co teraz może wydawać się zabawne. Dla barcelończyków, obytych z hazardem, uczciwość w grze była świętością. Dlatego w godnym tyranów postępowaniu księcia Popoli najbardziej ich oburzyło nie okrucieństwo, lecz fakt, iż zwyciężonego uwolnił od stryczka). To jednak tylko makabryczna anegdota. Rzeczy naprawdę straszne wydarzyły się w pobliżu miejsca zwanego Torredembarra, gdzie burbończycy zrobili sobie krótki postój, a potem wzięli dwustu jeńców. Popoli kazał ich powiesić. Wszystkich.

Taką właśnie logiką kierowali się ministrowie w Madrycie. Odkąd żołnierze Sprzymierzonych opuścili hiszpańską ziemię, ci, którzy odmawiali służby w burbońskiej armii, uznawani byli za zwykłych rebeliantów i tak też byli traktowani. Z perspektywy Barcelony, co oczywiste, wyglądało to zgoła inaczej. Po odejściu sojuszniczych wojsk Generalitat powołała pod broń rekrutów opłacanych z rządowej kiesy. Powstało więc regularne wojsko, umundurowane i podlegające katalońskim władzom. A wiemy, że burbończycy i miqueleci rozkręcili już spiralę represji i odwetu. Ale żeby Popoli zlikwidował za jednym zamachem dwustu ludzi na państwowym żołdzie, to już zakrawa na bestialstwo stulecia. Dwustu regularnych żołnierzy zawisło na stryczku! Don Antonio wysłał pismo do księcia z zapytaniem, czy „przepił własny rozum”. Popoli odpisał, że odtąd postąpi tak samo z każdym, kogo schwyta. Najbardziej ubodło Villarroela to, że książkę nazwał go „wodzem buntowników”. Jego! Zawodowego żołnierza i szlachcica,

skrupulatnie przestrzegającego wojskowych konwenansów i kurtuazji! Odparł zatem, że w takim razie zmuszony jest traktować w ten sam sposób wszystkich wziętych do niewoli burbończyków.

I kazał na murach stawiać szubienice, dobrze widoczne dla każdego, kto zbliżył się do miasta. Boże mój, jakże posępny był to teatr wojny: sterczące z ziemi zaostrome pale i kołyszące się nad nimi stryczki.

Żołnierze księcia Popoli dostali niezłą nauczkę w pierwszej konnej potyczce i zaczęli się pilniej strzec. Regimenty rozłożyły się o półtora kilometra przed Barceloną, dokładnie na granicy zasięgu naszej artylerii. Od razu wzięli się do budowy umocnień, obwarowując się wielkim kręgiem parapetów, który miał otoczyć całe miasto, od Llobregat do Besós, dwóch rzek opływających katalońską stolicę, jedna od południa, druga od północy. Chodziło o to, by odciąć nas, dopóki inżynierowie nie wytyczą transzei szturmowej.

Łańcuch militarny jako taki nie kryje w sobie wielu tajemnic. Zasadniczo jest to płytki rów, za którym wznoszą się wały ubitej ziemi, kołki, kamienie, deski – nada się wszystko, co akurat jest pod ręką. Jako dodatkową przeszkodę wykorzystuje się nierówności terenu, rozmaite zagłębienia i pagórki. W miarę możliwości dobrze jest wznieść kilka miniaturowych pentagonalnych bastionów. Nie muszę dodawać, że przed budową umocnień oblegający burzą wszystkie okoliczne budynki, nawet te najmniejsze, by zaopatrzyć się w potrzebne materiały.

Prace oblężnicze już się rozpoczęły, gdy nadjechało trzech trębaczy z ultimatum od księcia Popoli, żądając, byśmy zdali się na jego łaskę i niełaskę. O tym, jakie nastroje panowały w mieście, niech zaświadczy fakt, że nieszczęsnych trębaczy chciano powiesić. Tłum zebrał się nieprzebrany, trzeba było wzmocnionych straży i ostrych bagnatów, by ich obronić.

Tego samego wieczoru don Antonio rozkazał, bym się przed nim stawiał. Ledwie wszedłem, powiedział:

– Chcę, żebyś towarzyszył posłom, którzy zawiozą odpowiedź.

– Ja, don Antonio?

– Pragnę przypomnieć, że jesteś waszmość moim osobistym adiutantem. A osobistych adiutantów używa się do załatwiania osobistych spraw. W grę wchodzi nie tylko honor tego miasta, lecz także mój, bo to ja jestem komendantem twierdzy.

– Temu nie mogę zaprzeczyć, don Antonio.

– Wiem, że nigdy nie będziesz dobrym żołnierzem, zawsze pozostaniesz zaledwie inżynierem w mundurze, niezdolnym pojąć elementarnych podstaw sztuki wojennej. Bądź jednak tak uprzejmy, by zwracać się do mnie „generale”.

– Tak jest, panie generale.

– Chcę mieć pewność, że nikt w niczym nie uchybi naszym nieprzyjaciołom. Dopiero co tu przybyli, a na wojnie, jak w miłości, trzeba się dobrze

zaprezentować.

– Zgadzam się, don Antonio.

– Rozповідаją wszędzie, że jesteśmy buntownikami, bez króla ni ojczyzny, bez czci i wiary. Cóż lepiej zada temu kłam niż teatr dobrych manier odegrany na oczach całego wojska. Nie pozwól, waść, by ktoś wyrwał się z czymś niestosownym. Grzeczność, ogłada, rycerskość, dworność i kurtuazja. Oto twoje zadanie.

– Wedle rozkazu, don Antonio.

Prawdę mówiąc, misja owa zdawała mi się całkowitą stratą czasu. Burbończycy stali pod miastem, przyszli po nas i żadne słowa nie mogły tego zmienić. Lecz cóż, za moich czasów taki był wojskowy sznyt: ludzie musieli się zabijać, ale z galanterią.

Przekazanie naszej odpowiedzi na ultimatum księcia Popoli zlecono jakiemuś aksamiciątku, paniczykowi z dobrego domu. Młodzian ów wprost pękał z dumy i wystroił się z tej okazji w swoje najlepsze szatki. Przyjął mnie uśmiechnięty od ucha do ucha.



– Oznajmiono mi, że będziesz mi waszmość towarzyszyć z asystencją – powiedział. – Znasz protokół?

– Nie bardzo.

– Ja będę szedł na czele, waszmość po mojej prawej ręce i o krok za mną.

Następnie burbońscy trębacze. A na końcu orszaku dwóch naszych chorążych: jeden z królewskim proporcem, drugi ze sztandarem parlamentu. Dopilnuj, by zachowali stosowne formy i odległości.

– Wedle życzenia waszmość pana.

– Przed ich oficerami złożymy ukłon grzeczny, lecz nie czołobitny. Pamiętaj waszmość, że jesteśmy na wojnie.

Ja z kolei odniosłem wrażenie, że to on zapomniał, że jesteśmy na wojnie. Zapytałem:

– A skąd wiadomo, że ukłon przestaje być grzeczny, a staje się czołobitny?

– To nieistotne, kiedy już tam będziemy, nie rób waszmość nic, a list oddaj mnie. Ja go odczytam.

Tak, rozpierała go duma. Wszak miał przewodzić delegacji.

– Nie spałem całą noc. Pisałem i uczyłem się na pamięć nieśmiertelnych słów, które wygłoszę, wręczając rządową notę – dodał z szerokim uśmiechem. – Dziś, mości panie, przejdziemy do historii.

Od burbończyków dzieliła nas odległość armatniego strzału, więc poselstwo czekał niezły spacer przez otwarte pole. Szedłem pogrążony we własnych myślach, raczej niewesołych.

Zatrzymali nas tuż przed ich pierwszą linią. Tysiące żołnierzy trudziło się nad budową monumentalnego kręgu rowów i barykad, od Montjuïc aż do ujścia Besosu. Ludzie tkwili już w okopach po pierś; na całym obwodzie, jaki mogłem ogarnąć wzrokiem, widziałem łopaty sypiące ziemię na wały.

Rozmiary fosy, widok owych tysięcy mężczyzn pracujących w sposób zgodny i przemyślany na naszą zgubę, wprawiły mnie w rozpacz. Pod Tortosą stałem po przeciwnej stronie, dlatego nie uświadamiałem sobie dotąd, jak wielką trwogę może budzić taki obraz w oblężonych.

Kilka minut później nadszedł jakiś niski i gruby pułkownik ze świtą czterech oficerów. Wyszli kilka kroków za ukończony w połowie parapet i pułkownik odezwał się tonem oschłym i wrogim:

– Nie było wam spieszo z odpowiedzią.

Tyle zaplanowanych ceremoniałów, tyle zachodu, a kiedy się w końcu zjawiamy, nie stać ich nawet na kilka słów powitania.

– Powody naszego spóźnienia – powiedziałem, występując naprzód – znajdziesz waść tutaj, na samym początku. Czytaj.

Wręczyłem mu pismo, zapominając mimowiednie o protokole i nieśmiertelnej przemowie naszego aksamiciątka. Pułkownik, ujrawszy, że odpowiedź napisano po katalońsku, oddał mi ją i rzekł opryskliwie:

– Przetłumacz!

Zarówno on sam, jak i towarzyszący mu oficerowie zdawali się odlani z jednej formy: ciemne oczy i srogie wąsiska, sztuczna buta wyuczona w trakcie

długich ćwiczeń. Westchnąłem. Wroga można obrazić na tysiąc sposobów. A jako że zostałem zmuszony do czytania, uczyniłem to, wymawiając każde słowo powoli i wyraźnie, jakbym miał przed sobą wioskowego głupka, który z wrodzonej tępoty może nie zrozumieć, dlaczego barcelończycy tak długo zwlekali z odpowiedzią:

Nowina, jaką przynosi temu Miastu list nieprzyjaciela doręczony przez trębacza, zasługuje na tak wielką uwagę, że nie wolno nam było niczego postanawiać pochopnie, dlatego też potrzebowaliśmy czasu, by podjąć właściwą decyzję.

Podniosłem wzrok znad arkusza papieru.

– Chcesz waść, bym czytał dalej? – zapytałem. – Czy też domyślasz się już, co będzie potem?

– Czytaj!

Zionąłem ogniem z nozdrzy. Cholera mnie brała na tego tłuszciocha i jego władczy ton, bo nie przyszedłem tu, żeby mi wróg rozkazywał. Zawahałem się. Czytać? Nie czytać? Postanowiłem, że wypełnię misję powierzoną mi przez don Antonia.

Nabrałem powietrza w płuca, aby usłyszały mnie tysiące żołnierzy w białych mundurach. Oskardy i łopaty znieruchomiały nad parapetami, bo wszyscy przestali kopać, żeby obserwować rozgrywającą się przed ich oczyma scenę. Patrzyli na mnie z uwagą, lecz bez wrogości. Oficerowie też nam się przyglądali z ciekawością, zapomnieli nawet wydać rozkaz powrotu do pracy. Rzekłem sobie: „Odczytaj to tak, jak by to zrobił Jimmy, ogłaszając swoje przybycie u wrót niebios”, i wydeklamowałem stentorowym głosem:

Bramy Miasta zostają zamknięte, a twierdza będzie bronić się przed wrogiem, który na nią chce napaść.

Miasto wraz z całym Księstwem nie spocznie w walce, pozostając wierne swemu suwerenowi, od którego jedynie zależy ogłoszenie pokoju lub wojny.

Niesprawiedliwe i bezprzykładne groźby nie trwożą serc, lecz tylko dodają ducha wasalom, którzy trwają niezłomnie w złożonej przez nich przysiędze.

A jako że Miasto nasze nie zwykło lekceważyć zasad grzeczności, odsyłamy trębacza tak bezpiecznie, jako przyszedł, wobec zaś tej oto odpowiedzi Jego Książęca Mość niech postąpi wedle swej woli, albowiem to Miasto gotowe jest bronić się do upadłego, co wkrótce się okaże.

Barcelona, w miesiącu lipcu roku 1713

Przez sekundę, sekundę dłuższą niż ten ich zaszary łańcuch, całe wojsko Dwóch Koron gapiło się na nas, jakby Mystère zamienił wszystkich w kamień. Opuściłem arkusz gwałtownym gestem i wówczas dopiero opasły pułkownik wykrzyknął z prawdziwym lub też udawanym oburzeniem:

– A cóż to za jakaś farsa? Rozumiem, że szykujecie się na odparcie szturm?

– A waści jak się zdaje? – warknąłem. – Że po to wystawiliśmy armaty na bastionach, by was powitać kwiatami?

– Brnąć w takie szaleństwo mogą jedynie zatwardziali przestępcy, ze strachu przed karą, jaka ich może spotkać z ręki króla.

– Miarkuj się waszeć – zaprotestowałem. – Trochę szacunku, z łaski swojej.

– Wasze mury ledwo stoją, a wojsko Jego Królewskiej Mości liczy czterdzieści tysięcy zaprawionego w boju żołnierza!

Podniosłem nad głowę zaciśnięte pięści.

– A my mamy pięćdziesiąt tysięcy! Wszystkich, co do jednego, mieszkańców miasta i jeszcze tych biedaków, którzy uciekli przed waszym zbrojnym terrorem!

– Zuviría, proszę cię! – mitygował mnie paniczek w aksamitach, dopiero teraz otwierając usta.

Lecz mnie ogarnęła wściekłość i nie mogłem się już powstrzymać:

– To wy robicie z nas zbrodniarzy! Kiedy zajęliśmy Madryt w 1710, najgorszym naszym postępkim było rozdawanie worków pełnych pieniędzy. A wy dziękujecie nam za to, paląc nasze miasta i wsie, wieszając kobiety i starców. Teraz stajecie przed naszymi murami i chcecie nas usmażyć tysiącem kwintali prochu.

– Nikt nie będzie na mnie krzyczał, zwłaszcza buntownik, który podnosi rękę na swojego króla! Tylko wojenne prawa gościnności powstrzymują mnie przed wymierzeniem waszmości surowej kary! – wrzasnął pułkownik. – Jeszcze macie czas, żeby odzyskać rozsądek. Jak zamierzacie stawić opór jego wysokości księciu Popoli, który już zyskał nieśmiertelną sławę na polu bitwy, a ród jego wywodzi się z najznamienitszych rodzin neapolitańskich?

Neapolitańczyk! Nie mógł wybrać lepszego argumentu, żeby mnie boleśnie dźgnąć. Jego naczelny wódz, Popoli, był neapolitańczykiem! Sami widzicie, że wszędzie ich pełno!

– Rzekłeś waść neapolitańczyk? – dopytywałem się ze zwodniczym spokojem, jaki poprzedza odpalenie lontu.

– Pochodzi z Neapolu, z najwyższej arystokracji.

Przerwałem mu, rycząc jak hipopotam:

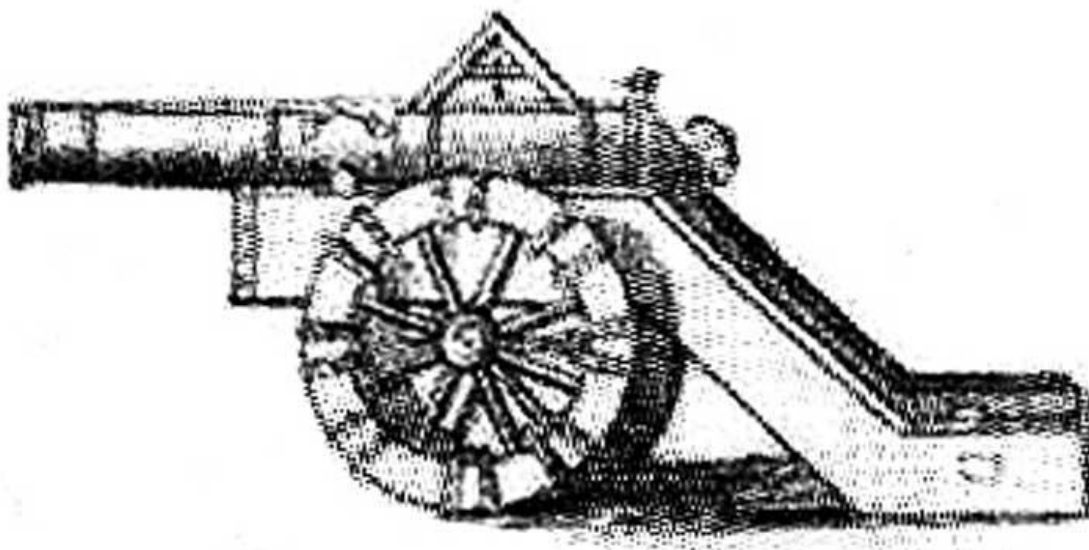
– Wiecie, dlaczego ten wasz włoski generałek nie zaczął jeszcze szturmować? Bo umiera ze strachu! Dziurkę w dupie ma tak ściśniętą, że nie dałoby się w nią wetknąć nawet macki chrabąszcza.

– Pułkownikulejtnancie, proszę cię! – oburzyło się aksamiciątko, którego twarz w tej chwili podobna była do ogórka: trochę zielona, a trochę biała.

– Popoli dostanie takiego kopniaka, że przeleci nad Morzem Śródziemnym z powrotem na swój włoski but! – dodałem. I zwróciłem się do oficerów eskortujących grubasa: – A was wszystkich, jeżeli się tylko zbliżycie, podziurawimy jak sito. Banda głupców!

Cóż, nie trzeba mówić, że na tym skończyła się owa kurtuazyjna uroczystość. Aksamitny paniczek był tak skonsternowany, że przez całą drogę powrotną nawet nie otworzył ust. Ja zaś, stanąwszy przed Villarroelem, zameldowałem, pomijając nieistotne szczegóły:

– Zadanie wykonane, don Antonio.



I tak rozpoczęło się długotrwałe, okrutne i wyjątkowe oblężenie Barcelony. W kilka dni burbończycy zamknęli łańcuch, lepiej lub gorzej, od krańca do krańca miasta. Potem byli tak zajęci jego ulepszaniem, że nawet się nie fatygowali, by do nas strzelać.

Nastroje w mieście falowały bardziej niż londyńska giełda, więc barcelończycy dość prędko przeszli od euforii do zubożenia, jakie rodzą wlokące się w nieskończoność rozejmy. Ani Barcelona nie myślała się poddać, ani Popoli nie atakował jej murów. Służba w bastionach ograniczała się do rutynowych potyczek artylerii, bardziej malowniczych niż niebezpiecznych, wycieczek konnicy na ziemię niczyją, dezercji po jednej lub po drugiej stronie. I choć wydaje się to dziwne, więcej ludzi napływało do miasta, niż z niego uciekało. Hiszpanie dezercerowali częściej od Francuzów, niewątpliwie dlatego, że jadalni gorzej. Zbiegowie mieli skłonność do przesady w opisach biedy, jaką mieli cierpieć, wszelako buty bez podeszew mówiły same za siebie.

Napięcie pomiędzy Francuzami i Hiszpanami wzrastało z dnia na dzień. Francuzi oskarżali swoich sprzymierzeńców o bezużyteczność i niezdolność do zaspokojenia podstawowych potrzeb żołnierzy. Hiszpanie rewanżowali się im narzekaniem, że francuska flota próżnuje, kołysząc się na falach. (To prawda; blokada morska była śmiechu warta, przynajmniej dopóki nie pojawił się Jimmy).

Jako inżynier byłem uszczęśliwiony takim obrotem spraw. Przypominam, że oblężonemu miastu, *selon les règles*, daje się trzydzieści dni życia, i to w najlepszym wypadku. Inżynier, którego zadaniem jest obrona, stara się więc jedynie zyskać na czasie. I nie moją już rzeczą było, co z tym dodatkowym czasem zrobi rząd: czy będzie negocjował honorowe warunki pokoju, ściągnie posiłki z zagranicy, czy skłoni do działania światową dyplomację. Zresztą wszystko jedno. Jeżeli krzyk Barcelony usłyszą w Europie, prędzej czy później ktoś coś zrobi. Tak wtedy myślałem. Wszyscy tak myśleliśmy. Tymczasem mijały miesiące, a Popoli nie decydował się na otwarcie transzei, przez co każdy nowy świt mogliśmy uznać za nasze zwycięstwo.

Doprawdy, *drôle de guerre*^[77]. Pomyślcie, że pospolity żołnierz Coroneli pełni służbę na murach, a potem wraca na wieczerzę albo śniadanie do własnego domu, często stojącego ledwie o kilkaset metrów od posterunku. Ja sam, spędziwszy pięć minut w jakimś bastionie, obserwując wroga przez lunetę lub nadzorując prace obronne, zasiadałem do stołu z Anfanem na kolanach, a moja Amelis stawiała przede mną pełną miskę. „Jak ci minął dzień, kochanie?”. „Świetnie, duszko, jakiś patrol kręcił się w pobliżu, więc opuściliśmy portki i wypięliśmy na burbończyków gołe dupy”.

Jak dawniej, ludzie na portowej promenadzie spacerowali i popijali trunki.

Czasami mogli przyglądać się emocjonującym potyczkom naszych okrętów z Francuzami. My próbowaliśmy prześliznąć się przez blokadę, w czym Francuzi, od czasu do czasu, usiłowali nam przeszkodzić. Tłum gapiów klaskał i pokrzykiwał, zapominając, że jesteśmy w oblężonym mieście, a nie w jakimś nadwodnym teatrze.

Okręty przywoziły żywność i nowiny. Z wieści, jakie do nas docierały, zawsze skąpych i niepewnych, wynikało, że na prowincji toczyły się walki o wiele bardziej zaciekle niż w samej Barcelonie. Czerwoni aksamitnicy też z niecierpliwością oczekiwali na każdą wiadomość. Czasami przychodziły z Wiednia listy od Karlangasa. Wydaje mi się, że już o tym wspominałem, przypomnę jednak: ta wredna świnia nas sprzedała, ale w owych królewskich liścikach czytaliśmy, że świetnie, brawo chłopcy, dalej nadstawiajcie karku za waszego kata.

Pomiędzy liniami znalazły się warsztaty, gospody i przydrożne domy uciech. W miarę jak oblężenie się zacieśniało, wróg burzył je i równał z ziemią. Częściowo winne były temu bombardowania, lecz znacznie więcej zniszczeń powodowały inkursje czynione przez obie strony w celu przywłaszczenia sobie cegieł, dachówek i desek. Tamtym brakowało wszystkiego, co mogłoby posłużyć do wzmocnienia okopów, nam zaś – materiałów do naprawy murów.

Zazwyczaj w świetle dnia jakiś oddział, ich albo nasz, zajmował opuszczony budynek stojący w połowie drogi między łańcuchem wojsk a murami. Po kryjomu wymontowywano wszystko, co mogło się przydać, a po zachodzie słońca żołnierze wracali do swoich, dźwigając łupy w workach lub na własnym grzbiecie. O ile było to możliwe, korzystaliśmy z wyschniętego koryta jakiegoś strumienia albo opuszczonego wykopu, żeby skryć się przed wzrokiem nieprzyjaciela. Zrozumiałą jest rzeczą, iż często dochodziło do starć. Bardziej wskutek przypadkowego bałaganu niż z chęci do walki, powiedzmy to szczerze.

Rabunek kojarzy się ze zdziczeniem i brutalnością, tymczasem metodyczna rozbiórka budynku jest jedną z najbardziej skomplikowanych operacji, zwłaszcza gdy trzeba kierować kimś takim jak Ballester i jego banda. (Jasne, wypadło na mnie; inni oficerowie zrzekli się owego zaszczytu). Z początku wcale nie kryli się przed wrogiem. Przeciwnie, prowokowali. Nie chcieli zrozumieć, że do tej opuszczonej masii albo stodoły przyszliśmy po to, żeby zgromadzić materiały i sprzątnąć je sprzed nosa burbończykom. Szlag mnie trafiał, kiedy widziałem, że tracą czas na wyciąganie z kufrów niewieścich szatek, przebieranki i żarty. Powinni zachowywać się jak najciszej, a oni owijali sobie szyje halkami i piszczeli z uciechy. Pocziwy Zuvi gdał niczym kwoka wydająca rozkazy dziesięciu wilkom. I często rozkazy te były dla nich niezrozumiałe.

– Ramy! Wyrwicie ramy okien i okiennice.

– Po chuja mamy dźwigać drewniane ramy?

– Róbcie, co mówię!

– Dziwnie sobie poczynają na wojnie te inżynierzy, panicyki – narzekali.

Kiedy wracaliśmy, zawsze jeden czy dwóch niosło na owiniętych halką barach pięć albo sześć wielkich kwadratowych ram, pod których ciężarem aż się uginali.

Przymusiłem ich do wcześniejszego zaczynania rozbiórek. Żeby wyprzedzić burbończyków oraz dlatego, że w przeciwnym razie z Barcelony wychodzili już nieźle podchmieleni. Jednak tego, że wracali pijani, nie mogłem uniknąć, bo w pierwszych dniach można było jeszcze znaleźć wino i gorzałkę, pochowane po kątach opuszczonych spiżarni.

Niekiedy, widząc, że upadają na duchu, bywałem bardziej pobłażliwy. Owe izby, opustoszałe teraz, niedawno zamieszkiwali ludzie tacy jak oni. A raczej tacy jak oni z czasów, nim zostali miqueletami. Niemal mogłem czytać w ich myślach: „Skoro przyszedliśmy bronić tego miasta, to czemu niszczymy domy stojące za jego murami?”.

Próbowałem im tłumaczyć:

– Wasze życie już nie jest wasze! Teraz należy do miasta, ono decyduje, jaki użytek z tego życia zrobić i kiedy je poświęcić. Dopóki trwa oblężenie, nie istniejemy jako jednostki. Zapamiętajcie to sobie!

Wówczas Ballester odpowiadał mi, a nasze debaty rozgrzewały nas do czerwoności. Był to bardzo izokratyczny^[78] sposób sprawowania przywództwa, trudno temu zaprzeczyć, ale dla mnie wyczerpujący. Czuję się jak w potrzasku, którego dolną szczękę zastępował Ballester, a górną don Antonio.

W końcu zrozumiałem, ile zawdzięczam sali sferycznej. Służenie pod rozkazami dowódcy takiego jak Villarroel było niby życie w jej wnętrzu. Nie pozwalało na najmniejszą nieuwagę. Kiedy zakończycie prace na tym odcinku murów? Dlaczego bastion San Pere ma tępy kąt? Skąd się wzięło to bajoro pod palisadą? Ile dokładnie mamy cegieł w zapasie? Nie czuję już rąk, nóg ani mózgu. A oblężenie jak dotąd ograniczało się do drobnych potyczek.

Don Antonia otaczała zwykle kohorta adiutantów i oficerów. Lecz pewnego chłodnego ranka spotkaliśmy się przypadkiem na murach sami. Obserwował przez swą długą lunetę nieprzyjacielski łańcuch. Owinięty peleryną wilgotną od rosy zdawał się jednym z wielu kamieni tkwiących w obwarowaniu.

– Don Antonio – powiedziałem – dręczy mnie pewna wątpliwość.

Nie huknął na mnie, co zinterpretowałem jako pozwolenie, bym mówił dalej.

– Zganiłeś mnie waszmość za to, że nie mam tego, co powinienem mieć – ciągnąłem. – A mimo wszystko przyjąłeś mnie na służbę.

– *Fiyé* – odparł, nie odsuwając lunety od oka – pobierałeś nauki u najlepszego inżyniera naszych czasów, nie mogę zlekceważyć takiej wiedzy.

– Ale nie zatwierdził moich studiów. – Podwinąłem rękaw. – Popatrz

waszmość na te tatuaże. Mówią o mnie wszystko, a piąty z nich aż krzyczy, że jestem oszustem. Jest coś, czego nie wiem, don Antonio, ale nie mam pojęcia co. Może waszmość mi powiesz?

Villarroel ani drgnął. Nieporuszony wpatrywał się w pozycje wroga. Wreszcie odrzekł:

– Pozwól, że zadam ci jedno pytanie, synku. Czy gdyby całe burbońskie wojsko szturmowało twój dom, broniłbyś ostatniej reduty do samego końca? Odpowiedz.

– Tak jest – odparłem, i nie była to najmniej entuzjastyczna odpowiedź, jakiej w swoim życiu udzieliłem.

On jednak powiedział:

– Generał to taki ktoś, kto bez przerwy słyszy osławione „Tak jest!”. I wiesz co? Nie zaręczylbym życiem za to, co teraz usłyszałem od ciebie.

Zamilkłem. Opuścił lunetę.

– Zuviria, waści nie brak wiedzy. We Francji nauczono cię wszystkiego, co powinieneś umieć. Co innego stoi ci na przeszkodzie, byś znalazł to, czego szukasz. W rzeczywistości sprawa jest niesłychanie prosta.

I wówczas stała się rzecz osobliwa. W don Antonia jakby coś wstąpiło, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk – jakaś dobrotliwość, jakiś cień wzruszenia. Dotąd spojrzenie takie widywałem tylko u dwóch osób: u Amelis i u Ballestera. I powiedział do mnie:

– Jeszcze nie dość wycierpiałeś. – Urwał, jakby czekając, aż to coś opuści jego ciało, a kiedy przemówił, znów był wielkim generałem. – Jutro na naradzie sztabu ogłoszę rozpoczęcie niezwykle ważnej, być może decydującej operacji. Wyłożymy na stół znaczną część naszych kart w wojennej rozgrywce. A waśc będziesz uczestnikiem tych działań. – W jego słowach nie usłyszałem najmniejszej ironii, gdy dodał: – Jeśli przeżyjesz, okaże się, że być może pozbyłeś się już owych rozterek, które skrywasz w głębi duszy.

Miałem odejść, gdy zerknął na mój żołnierski pas.

– I jeszcze jedno: oficer bez szpady nie jest oficerem – powiedział. – Znajdź sobie jakąś.

W intendenturze byli tak pazerni, że chcieli zedrzeć ze mnie sześć liwrów. Odmówiłem stanowczo. Tej samej nocy, kiedy Peret chrapał w najlepsze, ukradłem jego szpadę. Klingę miała tak wyszczerbioną, że bardziej przypominała piłę. Nie szkodzi. I tak najczęściej będę ją trzymał w pochwie. Obrażony Peret zażądał, żebym mu ją zwrócił przed końcem oblężenia. Udawałem głuchego. Sześć liwrów!
Au, vinga!^[79].

Operacja, o której mówił don Antonio, polegała na wysłaniu morzem licznej ekspedycji, ponad tysiąca ludzi oraz oddziału kawalerii, i wysadzeniu jej na ląd na

tyłach wroga. Jej zadaniem miało być wzniesienie w kraju powstania za kordonem otaczającym stolicę. Po skrzyknięciu wystarczającej liczby ochotników mieliśmy, z walnym udziałem Coroneli, wziąć burbończyków w dwa ognie, a Popoli znalazłby się w potrzasku.

W Bazoches wyuczono mnie wszystkich sposobów ekspediowania żołnierzy z oblężonej twierdzy i musiałem przyznać, że operacja ta odznaczała się fantazją, śmiałością i precyzyjnym planem. A raczej odznaczałaby się, gdyby na świecie nie istniała rasa szkodliwych i zachłannych dyletantów, znana powszechnie jako czerwoni aksamitnicy!

Waltraud prosi mnie, żebym się uspokoił i pisał dalej, ale ja się nie chcę uspokoić, nie mam zamiaru się uspokajać. Ponieważ Hiszpanów i Francuzów należało zabijać. Cóż, byli naszymi wrogami. Wszelako czerwoni aksamitnicy, paniczki o upudrowanych buźkach, ze wszystkiego, o co walczyliśmy, uczynili zwykłą wydmuszkę. W głębi ducha nie wierzyli w katalońskie wolności i konstytucje. W końcu jednak zetknęli się z kampanią eksterminacyjną, tak niesłychaną i okrutną, że nie mieli innego wyjścia, musieli się bić, choć cichcem wyznawali hasło: „Lepsze kajdany niż chaos”. Powiem wszystko! Jak wycyckali generała Villarroela, jak obrócili w klęskę nasze zwycięstwa. Albowiem wszystkie wersje historii tej wojny, jakie dotąd dotarły do mych uszu, pochodzą z kręgów władzy lub od wroga i wszystkie grzeszą fałszem i pustotą. A wiadomo, że puste kielichy zawsze dźwięczą głośniejsze niż pełne.

Sznapsa, daj mi sznapsa, daj więcej, nie żałuj. Niech gorycz wypala nam gardła, nie serca! Martí Zuviría zawsze wesół, zawsze rad!

Do roboty. Na czym skończyliśmy? Ach, tak. Na ekspedycji.

Rząd naciskał, by wyprawę poprowadził wojskowy poseł, arcyszlachetny i arcyaksamitny Antoni Berenguer. Człowiek ów nie był zdatny do tak trudnej i ryzykownej operacji. Mimo piastowanego przez się urzędu nie był żołnierzem, lecz politykiem, a podeszły wiek zmuszał go do poruszania się w lektyce z przymocowanym pod krzesłem nocnikiem, do którego bez skrępowania się wypróżniał, gdy zaciągnięto niezbyt szczelną firankę. Dolne powieki zwisały mu niczym dwa wilgotne, krwawe ozorki. Przyznać jednak należy, iż białe wąsiska i broda, ufryzowane przez biegłych cyrulików, nadawały mu czcigodny i nobliwy wygląd.

Towarzyszyć mu miał orszak wybitnych osobistości, by podnieść rangę przedsięwzięcia. Byli to zwykli lizodupcy i wkrótce zaczęto ich nazywać „trutniami Berenguera”. Istnieli tylko jako świta owego posła; bez niego stawali się stadem odzianych w jedwabie baranów.

Co do mnie, to od początku jakoś nie miałem do Berenguera przekonania. Zgoda, poseł wojskowy był instytucjonalnym wcieleniem ducha walki. On i tylko on miał święty przywilej obnoszenia srebrnej buławy symbolizującej prawo

Katalończyków do sprzeciwu wobec najeźdźcy. Była to długa ozdobna laska, wykonana z czystego srebra, którą lud zwał pieszczotliwie „pałką”. Każdy Katalończyk powyżej szesnastego roku życia, który w swej wiosce lub miasteczku zobaczy ją w rękach wojskowego posła, ma obowiązek rzucić wszystko i bronić ojczyzny. Zrozumcie jednak mój tok myślenia: czy naprawdę trzeba było wyciągać z domowych pieleszy staruszka, który popuszcza w gacie? I nie mówię tego, żeby mówić, bo jego kiszki były już zupełnie do niczego.

Co do pułkownika Dalmaua, Sebastià Dalmaua, to brak mi słów, by opisać talenty owego wielkiego małego człowieka. Powiedzmy, że wśród wszystkich zapomnianych bohaterów naszego stulecia Dalmau był jednym z największych.

Pochodził z zamożnego barcelońskiego domu. Gdy rozeszła się wieść, że wojska Sprzymierzonych opuszczają Katalonię, jego krewni bez wahania stanęli po stronie Generalitat. Znaleźli się w gronie tych nielicznych bogaczy, którzy odpowiedzieli na wezwanie do cridy. By wesprzeć walkę Katalończyków, zainwestowali w tę wojnę – i stracili – cały swój majątek. Wykosztowali się do tego stopnia, że regiment Sebastià – wszystko: żołd, broń, prowianty, mundury – finansowany był z rodzinnych pieniędzy. W istocie piechota biorąca udział w ekspedycji składała się niemal wyłącznie z jego ludzi, i to takich, którzy nie należeli do żadnego ze szlchetnych cechów, pozbieranych po karczmach i burdelach, słowem – z motłochu, cieszącego się w rządzie zaufaniem mniejszym niż Żyd konwertyta. Jako inżynier nie patrzyłem na ich godność ani proveniencję, a jedynie na wojenną sprawność, i muszę powiedzieć, że zrobili na mnie doskonałe wrażenie. Czerwoni aksamitnicy kierowali się inną logiką, więc odetchnęli z ulgą, gdy oddział Dalmaua zniknął im z oczu (po co narażać świętych mężów, gdy pod ręką mamy szumowiny?).

Są ludzie, którzy rodzą się radośni, tak jak inni się rodzą kulawi lub niebieskoocy. „Wszystko będzie dobrze”, mówił uśmiech Dalmaua i brzmiało to bardziej jak prorocтво niż pobożne życzenie. Sebastià Dalmau był urodzonym dowódcą. Niemniej, jak na barcelończyka przystało, wojnę traktował jak interes, ojczyznę jak własne przedsiębiorstwo, a krewnych jak akcjonariuszy. Po głębszym zastanowieniu przyznać trzeba, że w owym wojsku cywilów na komendanta nadawał się jak mało kto.

Spośród innych oficerów ekspedycji warto wymienić tylko pewnego niemieckiego pułkownika. A im mniej o nim powiemy, tym lepiej. W oblężonych miastach lęgną się czasem ponure historie.

Niemiec ów należał do tych nielicznych, bardzo nielicznych, którzy po rozpoczęciu ewakuacji postanowili porzucić armię Sprzymierzonych i wstąpić na służbę Generalitat. Nie powodowała nim jednak szlchetność. W wojsku miał sporą kartotekę przestępstw pospolitych, zarzucano mu, między innymi, okradanie trupów. Wyglądało na to, że przewodził bandzie rabusiów, którzy ograbiali ciała

poległych żołnierzy, jeszcze niepogrzebanych we wspólnej mogile.

Widząc, że grunt pali mu się pod nogami, człek ów skorzystał z cridy i przeszedł na naszą stronę, zapewniając o swym wielkim oddaniu dla sprawy katalońskiej. Generalitat brakowało oficerów, przyjęto go więc bez zbędnych pytań. Musiał być to wszelako niezły gagatek, skoro niemieccy ochotnicy stanowczo odmówili służby pod komendą tego łajdaka. Don Antonio zapowiedział mu surowo, że jedno z dwojga: albo się zrehabilituje w ogniu walki, albo już może pakować manatki i wracać do Wiednia, gdzie czeka go stryczek. Nie miał zatem wyjścia i dołączył do ekspedycji.

Jego ulubionym słowem było *Scheisse*. Ponieważ powtarzał je tak często, ludzie zaczęli nazywać go Scheiszem. Musisz wiedzieć, moja kochana, szpetna Waltraud, że w kastylijskich nazwiskach końcówka „ez” oznacza synostwo. Pérez jest „synem Pedra”; Fernández „synem Fernanda” i tak dalej. Barcelończycy nie wiedzieli jednak, że po niemiecku *Scheisse* znaczy „gówno”, tak jak po hiszpańsku *mierda*. Dlatego też w rzeczywistości zwracali się do swego przełożonego per Miérdez, czyli Gównowski. Mierdezowi nie było to w smak, lecz wiedząc, że don Antonio nie puści mu płazem żadnego wybryku, musiał to jakoś przelknąć. Spojrzenie miał kose. W czasie naszej morskiej podróży nie spuszczałyśmy się nawzajem z oka. Był niby jeszcze jeden szczer na pokładzie, z tą wszakże różnicą, że szczury pierwsze uciekają z tonącego okrętu, on zaś przemyślał, jak zwiać, dopóki okręt jeszcze płynie.

Co do mnie, to nie mogłem wyrzucić z pamięci spojrzenia, z jakim don Antonio wydał mi rozkaz dołączenia do ekspedycji. Wynik wojny zależał od owego tysiąca ludzi, którzy żeglowali wraz ze mną. Może właśnie teraz czekała mnie lekcja ostateczna. Może – nareszcie – płynę na spotkanie Słowa.

Towarzyszył nam także oddział Ballestera, w sile dziesięciu ludzi, nadzwyczaj przydatnych jako zwiadowcy. Blokująca port francuska flota nie martwiła nas zbyt. Nasze statki mogły się przemknąć tuż przy brzegu; ich okręty, o dużym zanurzeniu, nigdy nie podpływały bliżej. Droga do Arenys nie była długa, nie więcej niż sześć godzin przy sprzyjającym wietrze, a musieliśmy się spieszyć, by skryć się pod osłoną nocy. Zaoszczędzę wam szczegółowego opisu załadunku; czterdzieści siedem jednostek rozmaitej liczebności, tysiąc piechurów i kilka szwadronów kawalerii wchodzących po trapach. Nie będę się też rozpisywał o podróży, którą z racji mego wysokiego stopnia musiałem spędzić w towarzystwie posła Berenguera, jego pierdnięć i jego trutni.

Wyładunek był równie nieprzyjemny jak podróż i panował jeszcze większy bałagan. Mieliśmy za mało barek do przewiezienia oddziałów na ląd, więc ponieważ przy brzegu było płytko, większość ludzi wyskakiwała za burtę, żeby przyspieszyć całą operację. Musieli brnąć przez fale, zanurzeni po pachy, niosąc nad głową proch i karabiny. Konie po prostu zrzucano do wody. Płynęły do brzegu

zdane na własny instykt. Ja zszedłem jako jeden z pierwszych, zaraz po Ballesterze i jego ludziach. Nie przez nadmiar odwagi, ale dlatego, że miałem już dość. Gdy postawiłem stopę na stałym lądzie, poczułem się tak, jakbym zamiast głowy miał wirujący bączek. (Morze! Zagadka: duże i niepotrzebne jak morze – co to jest? Odpowiedź: to może być tylko moja kochana, szpetna Waltraud. Cha, cha! Dlaczego się nie śmiejesz?).

Jakby tego było mało, całe Arenys wyległo, by nas powitać z radością wyzwolonych przez wojsko cywilów. Bardzo ładnie z ich strony, ale jeśli chcecie zrobić niezły bałagan, to zmieszajcie razem przemoczony pułk, konie biegające luzem po brzegu, barki wyladujące ludzi i sprzęt, zachrypniętych od krzyku oficerów oraz setki starców, kobiet i dzieci obściskujących dręczonych chorobą morską żołnierzy. Posłowi należały się wszelkie atencje, a przeniesienie go na ląd w lektyce było nie lada widowiskiem. Nie mieliśmy barki godnej jaśnie pana, więc ktoś wpadł na błyskotliwy pomysł, by przetransportować go na ramionach nosicieli, którym woda sięgała do pasa. Najpierw opuścili lektykę, a potem posła. Nie przewidzieli jednak ciężaru owej wytwórni bąków. Usadowiwszy się na poduszkach, zanurzył nieszczęsnych tragarzy po szyję. Jeszcze trochę, a by się potopili. Berenguer za to był wprost uszczęśliwiony, gdyż sunąc nad wodą, przypominał Pana Jezusa na krześle.

Ja tymczasem, prawie całkiem pozbywszy się nudności i zawrotów głowy, wspiąłem się na mały pagórek, z którego roztaczał się rozległy widok. Dojrzałem Ballestera. Jego podkomendni rozsiedli się wśród skał i zjadali śniadanie. On stał i w zadumie patrzył na morze, trzymając w ręku wodze swego konia. Dla ludzi gór morze nigdy nie przestanie być pompatyczną tajemnicą. Zapowiadało się na to, że wyladunek jeszcze potrwa, zszedłem więc, odnalazłem swojego wierzchowca i podjechałem, żeby pogadać.

– Nudne to – powiedziałem i dodałem zaczepnie: – Przejedziemy się? Założę się, o co chcesz, że będę w Mataró szybciej od waszmości.

Mataró było zajęte przez wroga. To tak, jakbym zaproponował mu wyścig na skraj przepaści, a przegrałby ten, kto pierwszy się zatrzyma. Prychnął pogardliwie i nie patrząc na mnie, odparł:

– Wojsko stoi w wodzie po szyję, a waści wyścigi w głowie.

W rewanżu za tę opryskliwość postanowiłem się z nim podrażnić.

– Ha! Nie chcesz, bo się boisz, że przegrasz zakład – powiedziałem. – Stawiam jednego liwra.

Odwrócił nagle głowę, niebieska żyła na jego czole nabrzmiała.

– Czy nie mówiłeś waść, że mam służyć wszystkim twoich rozkazów? – odparł. – To każ mi dosiąść konia!

I tak zrobiliśmy. W mgnieniu oka ruszyliśmy galopem z zawrotną szybkością. (Nic nie mów. Było to zupełne wariactwo i lekceważenie zdrowego

rozsądku. Ale wiesz co, moja ty kochana, szpetna Waltraud? Byliśmy młodzi).

Wąską ścieżką zagłębiliśmy się w sosnowy las. Jego koń był czarny, mój biały. Przez dobrą chwilę szły prawie łeb w łeb. Od czasu do czasu odwracałem się i pokazywałem mu język. Ballester nie miał poczucia humoru, wściekał się i bódł swego wierzchowca ostrogami. Nie wiem, co się stało mojemu. Może zobaczył węża albo potknął się o korzeń, rzecz w tym, że raptem stanął w miejscu, a ja wyleciałem z siodła. Na szczęście przed kilkoma dniami lał deszcz: droga była trochę grząska, co złagodziło upadek.

Wstałem, badając wszystkimi zmysłami dookolną roślinność. Zaczynałem zdawać sobie sprawę z naszej niewczesnej brawury. Przebyliśmy kawał drogi na południe, a Arenys dzieliło od Mataró nie więcej niż pięć, sześć kilometrów. Było niemożliwe, żeby w miejscowości takiej jak Mataró, tak blisko Barcelony, burbończycy nie pozostawili jakiejś załogi.

– Dziwne – powiedziałem – nikogo nie ma. Ani posterunków przy drodze, ani konnych patroli. Nic.

– Zaskoczyliśmy ich – stwierdził Ballester, który nagle też stał się czujny. – Nie spodziewali się, że zajdziemy ich od tyłu.

Dosiadłem konia i podjechaliśmy stępą jeszcze trochę. Nigdzie żywej duszy. Tylko las, gęsty i śmiertelnie cichy. Dotarliśmy do zakrętu okrążającego urwiste zbocze.

– Patrz! – wykrzyknąłem.

Ballester sięgnął do szpady. Lecz ja chciałem tylko pokazać mu setki pomarańczowych motyli fruujących nad polaną tuż za zakrętem. Zeskoczyłem na ziemię i wszedłem w ową chmurę barwnych skrzydeł.

Opadły mnie wspomnienia z Bazoches, swoistej racjonalnej magii, jaką czasami demonstrowali bracia Ducroix. Nie, wcale nie chciałem skrzywdzić motyli. Przeciwnie. W świecie ogarniętym wojną, w owych czasach balansujących nad otchłanią, zanurzenie się w tych skrzydłach było dla ducha jak ożywcza kąpiel. Motyle zrozumiały to i podleciały ku mnie. Dziesiątki ich obsiadły moje wyciągnięte ramię, ozdabiając rękaw munduru migotliwymi festonami.

– Chcesz je zjeść? – zachichotał Ballester.

– Nie bądź waść barbarzyńcą! Siadają mi na ręce, bo wiedzą, że nie zrobię im nic złego. Słuchaj mnie: kiedy ktoś uważnie obserwuje krajobraz, staje się jego częścią. A owady uwielbiają badać wszystko co nowe.

– Matko Boska... – jęknął Ballester, wsparłszy obie dłonie na łąku siodła. – Jesteśmy szpicą wojskowej ekspedycji, a waść tracisz czas na osvajanie robaków ze skrzydłami.

– Zsiadaj – zachęcałem. – No, nie daj się prosić! Chodź, pokażę ci sztuczkę.

Podjechał kawałek dalej, żeby zobaczyć, czy za zakrętem nikogo nie ma. Potem zeskoczył z konia.

– Wyciągnij rękę – poleciłem. Patrzył na mnie, niezdecydowany. – Ejże, co z tobą? Waleczny Ballester, któremu niestraszone całe burbońskie wojsko, boi się motyli?

– To mnie się boi wszystko co żywe. Moi ludzie to potwierdzą: po upalnej nocy pod gołym niebem oni budzą się pokąsani przez komary, a do mnie te ścierwa nawet się nie zbliżą.

W końcu wystawił otwartą dłoń. Dziesiątki motyli polatywało wokół mnie, ale jego omijały.

– Widzisz waść? – oznajmił tryumfalnie i cofnął rękę.

– Nie o to chodzi, żebyś wyciągnął do nich dłoń, ale żebyś oddał im się cały – odparłem. – Dłoń powinna być i posłańcem, i wieścią.

Prychnął urażony. Zamiast odpowiedzieć, znów podniósł rękę, niechętnie, jak ktoś, kto dla świętego spokoju przyjmuje głupi zakład. Ku jego zdumieniu, jeden z motyli podfrunął, zatoczył kilka kręgów i w końcu przysiadł mu na dłoni o grubych, pokrytych odciskami palcach.

Rysy Ballestera złagodniały. Patrzył na owego motyla oczyma dziecka, rzecz nie do pomyślenia u kogoś takiego jak on. Nareszcie znalazło się jakieś stworzenie – niechby i robak ze skrzydłami – które się go nie bało. Spojrzeliśmy na siebie. Wybuchnęliśmy śmiechem. Nie jestem pewien, z czego się śmialiśmy, ale się śmialiśmy.

Jakiś dźwięk, cichy i rytmiczny, jakby mosiądz tarł o mosiądz, przerwał ów czar. Zastygły w bezruchu Ballester odwrócił głowę. Zza zakrętu wyszło sześciu żołnierzy w białych mundurach. Hałas czyniły uderzające o pasy manierki. Niebieska żyła na skroni Ballestera znów nabrzmiała.

Żołnierze stanęli jak wryci, z karabinami gotowymi do strzału i ustami otwartymi ze zdumienia na widok dwóch mężczyzn bawiących się z motylami na leśnej ścieżce. Przez długą chwilę Ballester wciąż stał z wyciągniętą ręką. I nagle motyl odfrunął.

Jakby na dany mu znak Ballester rzucił się ku nim ze szpadą. Żołnierze maszerowali dwójkami, a on wdarł się pomiędzy oba szeregi. Ciął po szyjach, raz na prawo, raz na lewo. Pamiętam tylko jego zwierzęcy ryk i ludzi padających od śmiertelnych ciosów. Trzy mrugnięcia okiem i sześciu Francuzów leżało na ziemi martwych lub ciężko rannych.

Ballester zużył tyle energii i w tak krótkim czasie, że dysząc, wsparł się rękami o własne kolana. Patrzył na mnie, a ja nie byłem pewien, czy prosi mnie o wybaczenie, czy gani za motyle. Ja też dyszałem, ale ze strachu.

Na zakręcie pojawiło się jeszcze czterech żołnierzy. Biegli z podniesionymi karabinami. Krzyczeli coś po francusku. Nie wierzyli w to, co widzą: sześciu martwych towarzyszy i dwóch ludzi stojących nad nimi.

– Rzuć szpadę! – powiedziałem do Ballestera.

Uśluchał, ale wiedziałem, o czym myśli: że będzie miał obie ręce wolne, by sięgnąć po pistolety. Lepiej było pójść w niewolę, niż umrzeć, krzyknąłem więc:

– Ballester, na wszystko, co ci najdroższe, nie strzelaj! Nie rób tego!

Wrzeszczeliśmy wszyscy, wszyscy prócz Ballestera. Francuzi gotowi wypalić do nas z karabinów, my gotowi się poddać. Ballester ze skrzyżowanymi ramionami i dłońmi na kolbach pistoletów. *Ne tirez pas, nous nous rendons!*^[80] Nie chcę, żeby to głupio zabrzmiało, ale pamiętam, że powietrze opustoszało z motyli.

Na dźwięk wystrzałów padłem na ziemię zwinięty w kłębek, przytrzymując rękami kapelusz. Trzy paf, paf, paf, raz za razem. I jeszcze trzy, i znowu trzy paf, paf, paf.

Kiedy podniosłem głowę, okazało się, że obaj z Ballesterem żyjemy, a martwi są czterej Francuzi. Z lasu porastającego strome zbocze wybiegł tuzin miqueletów z wciąż dymiącymi strzelbami.

Patrzyli na nas nieufnie.

– Pod czyimi rozkazami walczyacie? – zapytali.

– Cesarza Karola – odparłem, dygocząc, na kolanach. – A wy?

– Busquetsa. Ręce do góry. Wyżej! – rozkazał dowódca, mierzając do mnie z karabinu. – Łokcie przy uszach. Już!

Wykonałem polecenie, choć zaprotestowałem:

– Jesteśmy wojskiem Generalitat!

Zyskałem tyle, że zrobił się jeszcze bardziej nieufny. Lufy strzelb skierowały się wprost na moją twarz.

– Łzesz! Mówisz po katalońsku, więc pewnie jesteś botiflerem.

Cała ich uwaga skupiła się na mnie. Ballester, korzystając z okazji, dobił umierającego Francuza. Kula przeszła na wylot przez kark i wyleciała ustami, jakby ją wypluł.

Nigdy nie potrafiłem pojąć zamiłowania Ballestera do przemocy. Francuz był w agonii i człowieczeństwo nakazywało oszczędzić mu cierpień, zgoda. Jednak Ballester strzelał do ludzi tak łatwo, jak sznurował sobie buty. Jakby to była najzwyczajniejsza, codzienna czynność, wykonywana bez zastanowienia, niemająca żadnych konsekwencji. Na kolanach, poblady, z rękami w górze, czekałem na swój los. Ballester schował pistolet.

– Zabierz mnie do twojego dowódcy – powiedział do przesłuchującego mnie miqueleta – jest mi winien dwadzieścia liwrów. – Spojrzał na mnie i dodał: – Busquets kiepsko gra w kości.

Zaprowadzili nas na leśną polanę, gdzie zastaliśmy gromadę mężczyzn. W powietrzu unosił się ów ciężki jak ołów smutek, jaki zwykle pojawia się po klęsce. Ranni pojękiwali głośno, a ci, którzy wyszli ze starcia cało, oklapli niczym strach na wróble bez tyczki. Niebo było posępne, pochmurne i szare.

Inaczej niż miqueleci Ballestera, zahartowani w setkach bitew, ludzie Busquetsa byli cywilami niedawno zbiegłymi do lasu. Na nogach wciąż jeszcze mieli trzewiki zamiast używanych przez miqueletów espadryli i nie nosili charakterystycznych niebieskich kapot, a ich uzbrojenie wyglądało na zupełną prowizorkę, jakby uciekając, chwycili pierwszy lepszy nóż kuchenny lub starą fuzję wiszącą nad kominkiem.

Ballester w ogóle na nich nie patrzył. Podszedł prosto do leżącego na trawie jegomościa z jasną brodą i lwią czupryną, wspartego plecami o siodło. Po złotych kolczykach dyndających mu w uszach poznałem, że to naczelnik bandy, Busquets. W jego lewym ramieniu tkwiła kula. Nad nim klęczał jakiś człowiek i dłubał szczypcami w otwartej ranie. Trudna sprawa, bo Busquets kwiczał jak dzik w potrzasku, raz po raz pociągając łyk gorzałki, którą wypluwał, gdy ból stawał się nie do zniesienia.

Busquets rozpoznał Ballestera i wycelował w niego flaszkę:

– Ty?! Co ty tu, do chuja, robisz?

Ballester wyciągnął do niego otwartą dłoń.

– Jesteś mi winien dwadzieścia liwrow.

Busquets patrzył nań morderczym wzrokiem. Ballester stał z wyciągniętą ręką i czekał. Rozejrzałem się wokół, obawiając się najgorszego. Wtedy jednak Busquets parsknął śmiechem, ucisnął Ballesterowi dłoń i pieszczotliwie nazwał go „sukinsynem”. Cyrulik, który na chwilę wyjął szczypce z rany, spojrzał na mnie, jakby mówił: „Co się tak gapisz? Operacji nie widziałeś?”. No cóż, tacy już byli ci miqueleci. Do mojej skromnej osoby Busquets odniósł się raczej sceptycznie.

– Pułkownik-lejtnant? Niech będzie. – Wypił kolejny łyk i wrzasnął z bólu. – Chcesz mnie wyleczyć czy zabić? – syknął do grzebiącego w ranie cyrulika.

Nie wiedziałem, jak mam się do niego zwracać, więc na wszelki wypadek postanowiłem tytułować go kapitanem.

– Kapitanie Busquets, proszę nam opowiedzieć, co się tutaj stało.

Zawahał się, nie wiedząc, czy może mi ufać. Ballester kiwnął głową.

– Wygląda na takiego – powiedział – ale to nie aksamitnik.

Busquets jęknął znowu, zwymyślał cyrulika, a potem, stękając z bólu, opowiedział nam, co zaszło.

– Zaatakowaliśmy Mataró. Wiesz chyba, że do naszej wioski uciekli botiflerzy z całej Katalonii. A do tego ludzie muszą ich utrzymywać. Dlatego wielu przystało do nas. Tamci są tak nieznośnie pyszni, bezczelni... Wyrzucają rodziny z domów i jeszcze każą sobie usługiwać. Jadają ze srebrnych półmisek, a nasi nie tylko przymierają głodem, ale na dodatek muszą im gotować i opróżniać nocniki. – Aż kipiał oburzeniem. – Za kogo oni się mają? Przywłaszczają sobie nasze domy, traktują nas jak niewolników i jeszcze mają czelność oskarżać nas o bunt!

Cyrulik wciąż dłubał w ranie i Busquets znowu krzyknął.

– Rzecz w tym – ciągnął – że rozeszły się pogłoski, jakoby do Mataró przybyły wczoraj posiłki. Czy to prawda, czy nie, sam nie wiem. – Jęknął. – Była piechota, konni. Nie jesteśmy mocni w starciu z kawalerią. Zmiotli nas.

– Kiedy to było? – zapytałem.

– Mówiłem, wczoraj.

– Chcą was tu zamknąć – wtrącił Ballester.

– Wiem. Ale nie mają dość ludzi, żeby okrążyć taki duży las. Wysłałem kilku naszych na tyły, żeby śledzili ich ruchy.

Brzmiało to wiarygodnie. Busquets wyjaśniał dalej.

– Czekam tylko, aż wszyscy się tu zbiorą, i zmykamy – powiedział z wargami wilgotnymi od wódki, a potem odwrócił się do cyrulika. – I aż ten konował połata rannych!

– Milcz już waść lepiej – odparł cyrulik. – Nie ułatwiasz mi tego. Myślisz, że mam wprawę w wyciąganiu kul?

– Chirurg chyba powinien to umieć – rzekłem ironicznie.

– Jaki chirurg? – zżymał się, nie przerywając pracy. – Uciekłem z Mataró, bo bałem się, że poderżnę gardło jakiemuś botiflerowi, jak mnie cholera weźmie – i spojrzawszy na mnie, dodał: – Jestem golibrodą.

Chwyciłem Ballestera za łokieć i odciągnąłem na stronę, żeby pogadać z nim w cztery oczy.

– Busquets źle zrobił – szepnąłem. – Jak każdy będzie wojował na własną rękę, nigdy nie wygramy. Sam waść widzisz.

– Busquets zrobił dobrze – odparł Ballester. – Walczy na swojej ziemi i o swój dom. Czego się waść spodziewałeś? Że będzie siedział z założonymi rękami i czekał na nas? Jeszcze tydzień temu sami nie wiedzieliśmy, że staniemy pod Mataró.

Choć odeszliśmy kilka metrów, Busquets nas usłyszał.

– My przynajmniej próbowaliśmy, do ciężkiego chuja! Próbowaliśmy! – krzyknął. – A teraz zjawiacie się wy, nie wiadomo skąd, i zaczynacie się mądrzyć.

Podszedłem do niego.

– Nie czynię waści zarzutu z tego, że zabijasz burbończyków. Ale nie podoba mi się, że ułatwiasz im mordowanie patriotów. – Szerokim gestem zatoczyłem wokół. – Spójrz na swój oddział, zdziesiątkowany, ukryty w tym posępnym mateczniku. A Mataró wciąż jest w burbońskich rękach. – Pochyliłem się, by popatrzeć mu prosto w twarz. – Busquets, masz waszmość autorytet u tych ludzi. Każ im wstąpić do wojska Generalitat. – Odwróciłem się do Ballestera, szukając u niego poparcia. – Ballester, powiedz coś.

Wyciągnął rękę do Busquetsa.

– Jesteś mi winien dwadzieścia liwrów.

– A idźże w cholerę razem z twoimi liwrami! – wrzasnął Busquets,

potrząsając płową czupryną i złotymi kolczykami. Wycelował we mnie palcem. – A waść przestań mnie dręczyć. Poseł wojskowy! Ci ludzie nie ufają czerwonym aksamitnikom, dla nich niczym się nie różnią od botiflerów. I nie wyznają się na wyższej strategii, chcą tylko odzyskać wolność i wrócić do domu. Nie opuszczają swoich bliskich, żeby biegać po całej Katalonii. – Westchnął z goryczą. – A jakim wodzem byłbym dla nich ja, gdybym kazał im robić coś, czego nie chcą?

Tyradę ową przerwał ostatni jęk. Cyrulik wreszcie wyjął kulę.

– Masz – powiedział, podając mu na dłoni czerwoną od krwi sferyczną bryłkę.

Busquets ucałował zakrwawioną kulę i z pietyzmem schował do skórzanej sakiewki. Wpadając do środka, wydała głuchy dźwięk ołowiu uderzającego w ołów.

Ballester szepnął mi do ucha:

– Busquets kolekcjonuje kule, które utkwily w jego ciele. Święty Piotr mu powiedział, że otworzy przed nim bramy dopiero wtedy, kiedy sakiewka będzie pełna.

– A co do ciebie – ciągnął Busquets, patrząc na Ballestera – to chciałbym wiedzieć, dlaczego jesteś chłopcem na posyłki u czerwonych aksamitników i tego ich posła.

Ballester rzucił mu szydercze spojrzenie.

– Jesteś mi winien dwadzieścia liwrów – powtórzył.

Stara historia: zbierzcie razem trzech Katalończyków, a zaraz przedstawią cztery sprzeczne opinie. Potrząsałem głową i rzekłem do Ballestera:

– To na nic, chodźmy stąd.

– Świetnie, idźcie! – krzyknął za nami rozsierdzony Busquets. – Po czerwonych aksamitnikach niczego innego się nie spodziewałem! Ale my będziemy walczyć! Słyszysz mnie? Będziemy walczyć, dopóki choć jeden z nas pozostanie żywy!

Nie oglądając się za siebie, machnąłem ręką, jak na nieuleczalnego wariata.

– A wy chcecie, żebyśmy poszli z wami! – pyskował dalej Busquets. – No to coś wam powiem: odbijemy Mataró i tamtejsze spichlerze! Zdobędziemy sześćdziesiąt tysięcy *cuarteras*^[81] zboża!

Stałem, jakbym wpadł na niewidzialną ścianę. Zawróciłem, sadząc wielkie susy po własnych śladach.

– Coś powiedział? Powtórz! Sześćdziesiąt tysięcy *cuarteras* zboża? – zapytałem. – Jesteś waść pewien?

– Spichlerze pękają w szwach. To oczywiste, że wybrali nasze miasteczko na magazyn dla wojska. Leży blisko obleganej Barcelony, a patrioci z Mataró uciekli w góry. Nie boją się sabotażu.

Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Sześćdziesiąt tysięcy *cuarteras*

zboża! Całą żywność przeznaczoną na utrzymanie stojących pod Barceloną żołnierzy mamy na wyciągnięcie ręki, zaledwie kilka kroków stąd. O przybyciu posła burbończycy jeszcze się nie dowiedzieli. Dlatego wzmocnili Mataró tylko kilkoma szwadronami kawalerii, wystarczającymi do odparcia co najwyżej garstki lekkomyślnych miqueletów.

– Kapitanie Busquets! – wykrzyknąłem. – Od teraz przechodzisz pod rozkazy posła wojskowego i masz być im posłuszny. Jeśli będziesz współdziałał z wojskiem, to wkrótce odbijemy Mataró.

Busquets skrzywił się, co jeszcze bardziej zniekształciło jego ściągniętą bólem twarz:

– Hola, hola! Przecież przed chwilą mówiłeś waść, że zajęcie Mataró nic nie da.

Ballester i ja odeszliśmy, prowadząc konie za wodze. Ze spuszczonej głowami przedzieraliśmy się przez gęstwinę do drogi. Wyszędłszy z lasu, nie mogłem się powstrzymać i uściskałem Ballestera, który zdziwił się wielce owym objawem uczuć.

– Załatwimy ich logistycznie! Zrobimy im pod Barceloną drugie Kanny!

– Kany? Kanty chyba! Jakie znowu kanty chcesz waść robić? – powiedział, najwyraźniej źle usłyszawszy. – Gadaj po ludzku, niech cię chuj! Nie jestem taki uczony jak ty.

Nie chcąc go urazić, puściłem omyłkę mimo uszu.

– Przypomnij waść sobie jeńców i dezertów, którzy przeszli na naszą stronę. Wszyscy mówią to samo: brakuje im nawet butów, a za wikt dostają pajdę czerstwego chleba na cały dzień. To zrozumiałe, tak spustoszyli kraj, że nie mają już skąd brać żywności. Cierpią głód jak lisica, która wydusiła cały kurnik.

– I co z tego? Waść nie wiesz, co to głód. A jak się jest w potrzebie, zawsze można coś wykombinować.

– Mówisz tak, bo dowodzisz małym leśnym oddziałem. Ale pod Barceloną jest czterdzieści tysięcy żołnierza i tyle samo gąb do nakarmienia. W dodatku nie mogą się stamtąd ruszyć. A ich żołądek mamy tuż pod nosem: to spichlerze w Mataró. Pewnie liczą, że Barcelona podda się, zanim gumna opustoszeją.

– A te kanty?

– Nie kanty, tylko Kanny. Pod Kannami starożytni Rzymianie ponieśli największą klęskę w dziejach swego cesarstwa, choć mieli dwakroć więcej żołnierzy niż Hannibal. Bo on na początku bitwy ustawił swoje wojsko w półksiężyc. I kiedy Rzymianie uderzyli, cofnął się jeszcze, a kartagińska kawaleria zwinęła skrzydła, zamykając okrążenie. Naszą konnicą będzie zrabowane zboże. My odetniemy ich od prowiantów, poseł od burbońskiego kordonu, i będą zgubieni. Oblegający staną się obleżonymi.

Cień uśmiechu na wargach Ballestera dał mi poznać, że zostałem

zrozumiany.

– Czterdzieści tysięcy ludzi nie może tygodniami, a kto wie, czy nie miesiącami, żyć o pustym brzuchu. Nie będą mieli wyjścia, muszą zdjąć oblężenie.

Nim dosiedliśmy koni, raz jeszcze uściśnłem Ballestera.

– Będą chcieli zakończyć to jak najszybciej. Podupadłe morale, skarbiec w Madrycie pusty. Europa ma dość tej wojny. Wszyscy ministrowie będą naciskać na Filipka, żeby paktował z Generalitat.

Nie szczędząc koni, pognaliśmy do starej masii, gdzie poseł stanął na kwaterze. Razem z Dalmauem i innymi oficerami odbywał naradę wojenną. Kręcił się tam też Miérdez, więc zdążyliśmy akurat na czas.

Byłem tak podniecony, że aż mi się język plątał. Poseł się zirytował.

– Ten cały Busquets, o którym nam waszmość opowiadasz, to jakiś prowodyr bez stopnia i munduru! Nie możemy zawierzyć jego słowu.

– Ale, ekscelencjo – powiedziałem – to łatwo sprawdzić. Jest ranny, widziałem go na własne oczy.

– Skoro wpadł w zasadzkę – odparł poseł – to wcale nie jest taki sprytny. Skąd mamy wiedzieć, że jego informacje są prawdziwe?

– Bo Busquets i jego ludzie są z Mataró – wtrącił sucho Ballester.

Dalmau wstał i ze swoim zwykłym uśmiechem zaproponował:

– Proszę to zostawić mnie, ekscelencjo. Nie zaszkodzi się tam przejechać.

Poprowadziliśmy konnicę i cały regiment Dalmaua do lasu Busquetsa. Kiedy miqueleci nas zobaczyli, wybuchnęli radością. Całe wojsko szło im na odsiecz! Ach, ta wojna... Jest niczym wielkie wahadło. Kilka godzin temu Busquets zaszył się w lesie ranny i osamotniony. A teraz dołączył doń dobrze uzbrojony regularny oddział, gotów do walki. Stała przed nami otworem droga do Mataró, do spichlerzy pełnych zboża, a przy odrobinie szczęścia – do ostatecznego zwycięstwa. Miqueleci Busquetsa byli w ekstazie. Ściskali żołnierzy Dalmaua, płacząc ze szczęścia. Wówczas po raz pierwszy i ostatni pomyślałem o tej wojnie z nadzieją. Nie musieliśmy jej wygrywać. Wystarczyło nie przegrać.

Po południu wezwano mnie przez łącznika do sztabu. Całą wyższą kadre oficerską zastałem w tej samej co przedtem, nadmorskiej masii. Trafiłem na zażartą dyskusję pomiędzy Dalmauem a posłem. Berenguer siedział rozparty na swoim tronie z nocnikiem, Dalmau stał wychylony do przodu, z pięściami wbitymi w stół.

– Naszym celem jest wywołanie w kraju powstania i wyzwolenie Barcelony!
– wykrzykiwał poseł.

– Naszym celem jest wygranie wojny! – odparł Dalmau zza stołu. Ujrzawszy zaś mnie, powiedział: – Ach, oto i Zuviría. Domyślam się, że przesłuchałeś już waszmość francuskich jeńców Busquetsa?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Potwierdzili informacje o magazynach w Mataró?

– Jota w jotę, panie pułkowniku – odrzekłem, nie pojmując dobrze, co jest przedmiotem sprzeczki.

Dalmau ze zdwojoną energią przystąpił do kolejnego natarcia.

– Słyszysz, wasza miłość? Skoro nie ufasz Busquetsowi, zaufaj przynajmniej jego wrogom. Cztery i pół miliona kilogramów zboża! Wszystkie zapasy! Po żniwach, po wojennych spustoszeniach nie będą mogli wyżywić wojska. A proszę sobie wyobrazić, jak wzrośnie morale naszych żołnierzy, kiedy przejmujemy te magazyny. Łatwo przewieziemy część zboża statkiem do Barcelony jako trofeum. Albo jeszcze lepiej: zabierzemy, co się da i rozdzielimy między potrzebujących. Masowo zaczną się zaciągać do wojska!

Posel słuchał, nie kryjąc rozdrażnienia.

– Powtarzam – powiedział – że to decyzja naczelnych władz, niezależna od okazji, jaka tu się nadarzyła. Proszę wypełniać rozkazy! W przeciwnym razie potraktuję to jako niesubordynację!

Nie mogłem się powstrzymać i wtrąciłem:

– Ekscelencjo, czy mogę zapytać, o jakiej decyzji mowa?

Dalmau, zrezygnowany, opadł na krzesło. Gestem zmęczenia potarł dłonią twarz.

– Nie zaatakujemy Mataró – powiedział przygnębiony. – Pan poseł odmawia.

Aż mną zatrzęsło.

– Możemy zdobyć Mataró bez rozlewu krwi! – wykrzyknąłem. – Atakując nic nie tracimy, a wiele możemy wygrać. Może nawet koniec wojny!

– Wy musicie słuchać mnie, a ja moich przełożonych – przerwał mi poseł. – Mam od rządu instrukcje, żeby nie zajmować Mataró. I nie zajmiemy.

Zabrakło mi słów. Przestałem cokolwiek rozumieć, bo to było nie do pojęcia. Wroga zwycięża się, nękając go aż do ostatecznej klęski, a nasz własny wojskowy poseł odmawia użycia siły.

– Ekscelencjo – powiedziałem, czując suchość w gardle – wasza miłość mówisz tak, bo nie widziałeś naszych chłopców w akcji. Jeśli każemy im uderzyć na Paryż lub Madryt, pójdą jak w dym. Proszę w nich uwierzyć, błagam o to.

– Dajże spokój, kogo chcesz oszukać? – odparł Berenguer pogardliwie. – Stary już jestem i nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale wzrok mam wciąż doskonały. – Palcem wskazywał mnie, ale zwracał się do Dalmaua. – Człowiek, który towarzyszył w tej wycieczce pułkownikowi-lejtnantowi Zuvirri, to nie jest przypadkiem ów niesławny Ballester? Ballester! Bandyta napadający na ludzi na drogach, bożyszczce złoczyńców wyjętych spod prawa. Przed kilkoma laty sam kazałem go ścigać, schwytać, zabić i poćwiartować na publiczne pohańbienie. – Westchnął. – Tak, wojna wywraca do góry nogami naturalny porządek świata. Waszmość, Dalmau, wiesz równie dobrze jak ja, że twój regiment nie jest o wiele

lepsy. Plebejusze najniższego autoramentu, pozbawieni szlachetniejszych instynktów.

Dalmau zaprotestował:

– Moi ludzie walczą jak lwy!

– Winszuję – odrzekł poseł. – Choć twój regiment jest ze świeżego zaciągu, już miał okazję dowieść swej bojowej wartości. Ale powiedz mi waść: czy kiedykolwiek musiałeś zakazywać im gwałtów i przemocy?

– Jeśli chodzi o dyscyplinę, wszyscy obecni tu oficerowie zaświadczą, że nigdy nie było z tym problemów.

– W Barcelonie! – zaznaczył z naciskiem poseł, z uniesionym w górę palcem. – Pod czujnym ojcowskim okiem Generalitat. Lecz gdy wejdą do Mataró, czy możesz mi waszmość zaręczyć, że tę dyscyplinę utrzymają? – Następnie zwrócił się do mnie: – Pułkowniku-lejtnancie Zuviría, podobno w 1710 służyłeś jako inżynier w wojsku jego wysokości.

– Tak, panie.

– Powiedz nam zatem: czy można przypuścić, że w mieście przemienionym w główny magazyn, w którym zgromadzono wielkie ilości zboża, znajdują się też inne dobra i sprzęt?

– Oczywiście, ekscelencjo – odparłem, bo to prawda, a poza tym dawało mi to więcej argumentów za atakiem. – Broń, amunicję, na pewno materiały i narzędzia minerskie, być może wozy i konie pociągowe...

Ów starzec o na wpół przymkniętych powiekach był równie ostrożny jak przebiegły, albowiem wpadając mi w słowo, zapytał:

– Wino? Tania wódka?

– Cóż... – zawahałem się. – Możliwe.

Podniósł głos.

– Możliwe? Gromadzą żywność dla całej armii i nie mieliby ani jednej stągwi gorzałki? Pułkowniku-lejtnancie! Jak dodają sobie kurażu żołnierze przed natarciem?

Poddałem się, ku memu ubolewaniu.

– Nie zaprzeczam, że kropelką alkoholu.

– Kropelką, chłopcze?! – sarknął na mnie, sapnął dwa razy i powiedział do Dalmaua: – Pierwsze, co zrobią tam wasi ludzie, to się upiją. A jak już zmienią się w pijany motłoch, żadna dyscyplina świata nie pomoże. W Mataró przebywa wielu ludzi z najwyższej sfery, z rodów, których korzenie sięgają czasów króla Jakuba I. Ulegając złym namowom, nieszczęśnicy owi zdradzili swoją ojczyznę. Ale nie wolno nam ich zabijać, a już na pewno nie bez sądu! Oto wymarzona wprost okazja, by najpodlejszy plebs wziął najgorszy z odwetów: powyrzynał szlachciców, a ich żony, matki i córki pohańbił. Czy muszę mówić, co wobec tak straszliwej zbrodni na naszym sumieniu uczyniłby wróg? Rozniósłby te wieści po całej

Europie, szargając święte imię naszej katalońskiej ojczyzny! A skoro jesteśmy krajem tak maleńkim, zwykłym pionkiem na szachownicy dziejów, czyż nie zależy od silniejszych narodów? Nie, proszę waszmościów, nie pozwolę, by jakieś drobne, niewiele znaczące zwycięstwo zaprzepaściło nasze wspólne cele.

Słuchając tego, tak się zagotowałem, że znów musiałem wtrącić słowo:

– Nie wierzę, że don Antonio zgodzi się z tą decyzją! Wręcz przeciwnie!

– Naczelnny wódz zależny jest od władz i winien im posłuszeństwo, a ja działam zgodnie z rządową instrukcją – krzyczał poseł, który jako prawy aksamitnik dostawał szału, ilekroć dyskutowano sprawę podziału kompetencji między Villarroela i rząd. – To nie jest wojskowa dyktatura!

– Don Antonio dyktatorem? – zatchnęło mnie. – W życiu nie słyszałem większych bzdur!

Tak się zapędziłem, że Dalmau musiał przywołać mnie do porządku.

– Pułkowniku-lejtnancie Zuviría! Zachowuj się waść, jak przystało na oficera.

Ale mnie jakby coś opętało.

– Gdyby don Antonio tak ukochał sobie rządy miecza, stałby dziś po stronie burbończyków, a odrzucił ich oferty znacznie hojniejsze niż żołąd, który dostaje z Wiednia! A jeśli nasi chłopcy podrą zębami parę botiflerskich galotów, to cóż w tym złego? To jest wojna, a tamci opuścili swój lud, by służyć jego oprawcom. Co mamy z nimi zrobić? Uhonorować? Odznaczyć medalami? Moglibyśmy wymienić ich za patriotów! Trzymając w garści tych wszystkich botiflerów, zapobieglibyśmy egzekucji setek, tysięcy miqueletów!

Niektórzy z obecnych tam oficerów chcieli mnie aresztować. Gdy chwycili za szpady, przyskoczył ku mnie Dalmau.

– Uspokój się, Zuviría, w ten sposób nic waść nie zyskasz – powiedział, wypychając mnie za drzwi.

Zdażyłem jeszcze krzyknąć przez ramię:

– I to ma być wojna? Zegarmistrze robią zegary, politycy politykę! Jak chcecie, żeby wojnę prowadzili wojskowi, dajcie nam wolną rękę!

Nic więcej nie mogłem zrobić. Usiadłem pod drzewem i chwyciłem się rękoma za głowę.

Tak, wahadło wojny. Przegrywać, wygrywać, znowu przegrywać. W niepojęty sposób wszystko zmieniało się w jednej chwili, i to z powodów niemających żadnego związku z wojskiem. Jak? Jak mogliśmy wygrać z takimi ludźmi u steru? Bardziej martwili się o swoich koleżków, zdrajców i botiflerów niż o własnych żołnierzy.

Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem stojącego nade mną Ballestera.

– Wracam z moimi ludźmi ze zwiadu – powiedział. – Mury Mataró nie nadają się do obrony, garnizon jest lichey. Mam zdać szczegółowy raport?

Nie odpowiedziałem, z twarzą wciąż jeszcze ukrytą w dłoniach. Ballester szarpnął mnie za ramię.

– Bataliony są w gotowości? – zapytał. – Możemy dostać się tam w trzech miejscach. Ale nie widzę potrzeby. Poddadzą się na sam widok wojska w bojowym szyku.

Wstydzilem się spojrzeć mu w oczy.

– Nie będzie szturmu – powiedziałem. – Nie zajmiemy Mataró.

Minęła cała wieczność, nim wykrzyknął:

– Ale dlaczego? Dlaczego?

Była to jedna z owych nielicznych chwil, w których dostrzegłem w nim jakieś uczucia. Odsłonił się przede mną, a ja czułem się winny. Nie mogłem tego znieść.

– Ballester – wyjąkałem – tak mi przykro. Miałeś waszmość rację we wszystkim, coś mówił o czerwonych aksamitnikach. Nie powinienem był cię prosić, byś do nas przysłał. – Podniosłem się, unikając jego wzroku. – Idź. Zabierz swoich ludzi i odejdz. Albo zostańcie z Busquetsem. Róbcie, co chcecie.

Chwycił mnie za szyję i przyparł do drzewa.

– Za kogo ty się masz? Za kogo, do ciężkiej cholery? Nie masz prawa mnie wyganiać, tak jak nie mogłeś mnie zmusić, żebym się zaciągnął! A teraz mów, dlaczego nie będziemy atakować Mataró?

Nawet nie próbowałem się wyrywać. Wstyd sprawił, że zdobyłem się na szczerłość.

– Nie wiem.

Obok przeszło kilku oficerów.

– Ejże, co tu się dzieje?

Ballester puścił mnie, odwrócił się i rzucił na odchodnym:

– Nic się nie dzieje. Chyba tylko to, że są ludzie, którzy nigdy nie chcą wiedzieć, co się dzieje.



Smutniejsze od patrzenia, jak szczęście wymyka nam się z rąk, jest chyba tylko jedno: świadomość, że my sami mu się wymykamy, i to z własnej nieprzymuszonej woli. Ekspedycja wyruszyła dalej, pozostawiając za sobą Mataró, niczym poszukiwacz skarbów, który widząc diament wielkości skały, porzuca go, bo kazano mu szukać złota. Przodem szła konnica; piechota wymaszerowała ostatnia. Spadł deszcz, krótki i gwałtowny, ulewa, jakich wiele nawiedza w sierpniu śródziemnomorskie strony.

Miqueleci Busquetsa patrzyli na wymarsz wojska oczyma ludzi, którym odebrano wszelką nadzieję. Ich groźne milczenie oskarżało nas. Gdy widziałem ich po raz pierwszy, byli przybici poniesioną klęską. Teraz było dużo gorzej. Wyglądali tak, jakby ktoś wyrwał im dusze. Już im się zdawało, że zwyciężyli, a zostali pokonani i nie mieli pojęcia dlaczego.

Tylko Busquets aż zachrypnął od wrzasku. Biegł przy szeregach niebieskich mundurów, maszerujących równo w strugach deszczu, i krzychał:

– Dlaczego odchodzicie? Dlaczego? Zwycięstwo jest tuż! – pokazywał ręką w kierunku Mataró. – Wystarczy kopnąć w drzwi, a ten ich zmurszały dom legnie w gruzach!

To najżałośniejszy ze wszystkich obrazów, jakie przechowuję w głębokich szufladach mej pamięci. Busquets z ręką na temblaku, z grzywą płowych włosów zmoczoną przez deszcz, wołający nadaremnie.

Ballester z dziewiątką miqueletów zabezpieczał tyły kolumny. Spoglądali na Busquetsa obojętnie, lecz ja ich znałem i wiedziałem, że w środku aż się gotują. Spiałem konia i pogalopowałem ku nim.

– Jeśli chcesz waść odejść – powiedziałem do Ballestera – zrób to teraz. Dopóki oficerowie nie widzą. Według prawa mogliby cię oskarżyć o dezercję.

Odwrócił się i splunął pod kopyta mojego konia.

– Dezerterami jesteście wy – odparł.

Busquets podszedł do nas, ubłocony i zapłakany:

– Ballester! – ozwał się błagalnie. – Chodź z nami, jeszcze nie wszystko stracone. Warto spróbować.

Ballester pokręcił głową.

– Już zostali ostrzeżeni – powiedział. – A wkrótce nadejdą posiłki. – Uśmiechnął się, rzecz u niego niezwykła. – Po co miałbym zostać? Już nie odzyskam swojego długu, bo i tak cię zabiją, stary draniu.

– O naszym czasie na tym padole decyduje święty Piotr – odburknął Busquets. – A moja sakwa na naboje jest nadal w połowie pusta.

– Albo już w połowie pełna – dodał Ballester.

Busquets zabrał swoich ludzi i odeszli. Bóg jeden wie dokąd. Ze mną nawet

się nie pożegnał.

Dlaczego zostałem z tym bydlakiem Berenguerem? Sam dobrze nie wiem. Don Antonio kazał mi towarzyszyć posłowi, a w owym czasie było nie do pomyślenia, żebym nie usłuchał jego rozkazu. Sądzę, że powodowało mną owo przeświadczenie, drzemiące w każdym z nas, że kielich goryczy trzeba wychylić do dna.

Lało przez cały dzień.

Po Mataró było już tylko gorzej. Dowiedziawszy się o ekspedycji, Popoli o mało co nie umarł ze strachu i rzucił przeciw nam wszystko, co miał. Tysiące Hiszpanów i Francuzów stacjonujących w okupowanej Katalonii opuściły zajmowane przez siebie placówki, by ścigać nas i wyciąć w pień. Popoli posunął się nawet do tego, że ściągnął kilka batalionów spod samej Barcelony dla wsparcia naszych prześladowców. Świadomy był zagrożenia, jakie stanowił masowy zryw zbrojny za jego plecami. Z wielką przykrością to przyznaję, ale nasi wrogowie wierzyli w patriotyzm katalońskiego chłopstwa bardziej niż czerwoni aksamitnicy.

Znacznie mniejsza liczebnie od nieprzyjaciela, ekspedycja nasza przyjęła taktykę lisa umykającego przed sforą psów. Wchodziliśmy do wiosek i miast przy dźwięku trąbek, niosąc przed sobą srebrną buławę. Dla większego wrażenia musieliśmy na rozkaz posła występować w galowych mundurach. Z początku go słuchaliśmy. Potem nie mieliśmy już w co się przebrać. Z wolna przeobraziliśmy się w brudną, bosą hałastrę w po stokroć łatanych niebieskich kurtkach, utyłanych błotem. Mimo wszystko orkiestra zawsze grała hucznie, choć jej radosne dźwięki kontrastowały z naszym wyglądem. Bumtarara! Bumtarara! Odczytywaliśmy na rynku cridę, a Berenguer odbębniał przemówionko. Nazajutrz, najpóźniej po dwóch dniach, zwiad donosił nam, że idzie na nas kilka regimentów wroga, więc trzeba było uciekać z popierdującym ze strachu Berenguerem na plecach.

Cóż, wszystko to było mniej lub więcej do przewidzenia. (Nie popierdywanie, rzecz jasna, lecz ruchy burbońskich wojsk). Sprawnie omijaliśmy zasadzki, przemieszczaliśmy się szybko, tysiące oczu informowało nas o pozycjach nieprzyjaciela. Wszelako największe nieszczęście już się stało, a zwało się Mataró.

Wieść, że w Barcelonie ogłoszono cridę, rozeszła się równie szybko jak nowina o odstąpieniu spod Mataró. Ludzie nie są głupi. Czy w tych okolicznościach mogli posłowi zaufać? Jego publiczne tyrady zasadzały się na trzech punktach. Że Karlangas jest bardzo, ale to bardzo pobożny, oj, jaki pobożny (jakby kogoś choć trochę obchodziło, że król, żyjący w miejscu tak odległym jak Wiedeń, jest świętoszkowatym dewotem). Że powinni oddać się w opiekę Bogu, Panu naszemu, który nie opuści wiernego mu Księstwa Katalonii (skoro wszystko było w rękach Boga, a Bóg stał po naszej stronie, to dlaczego pozwolił, by kraj znalazł się w tak oplakany położeniu?). I na koniec, że nie chcąc kalać uszu

dobrych chrześcijan, przemilczy niecne gwałty i samowolę nieprzyjaciela. (O nie, mój panie! Powiedz to, wykrzycz! Niechaj nawet głusi się dowiedzą, że dzielimy ich ból!). Pamiętam, że Dalmau w trakcie tych Berenguerowych peror wznosił oczy ku niebu, sapiąc z irytacji.

Najgorsze, że uprzedzenia Berenguera do klas niższych niekiedy bywały uzasadnione. Najżarliwsi patrioci już dawno dołączyli do tego czy innego oddziału miqueletów, choćby do Busquetsa. Nasza obecność miała na celu dodanie ducha alkadom, by wytrwali w oporze i lojalności wobec Generalitat, oraz księżom, którym wyższe duchowieństwo dało przykład zdrady; przede wszystkim jednak pragnęliśmy przyciągnąć ludzi chwiejnych, którzy wszędzie są większością: tych, co nie są gotowi do walki z tyranią jako wyjęci spod prawa partyzanci, ale chętnie by do niej stanęli pod sztandarem legalnej władzy. Z Berenguerem i jego tyradami, śpiewnymi jak jego pierdnięcia, jedynym naszym plonem były wykręty lub niechętna opieszałość. Dołączały do nas za to rozmaite szumowiny. Niebieskie ptaki albo przymierający głodem nędzarze, którzy poszliby z każdym za kawałek chleba. Tak więc rekruci zwerbowani przez Berenguera jedynie potwierdzali jego opinię o ludziach niższego stanu. A gdybyście mieli jeszcze jakieś wątpliwości, podam inne przykłady świadczące o tym, czego można się było spodziewać po naszym wojskowym pośle.

Pewnego dnia stanęliśmy twarzą w twarz z kilkoma kastylijskimi batalionami. Chcieliśmy wejść do jednej ze sprzyjających nam miejscowości, a okupanci wyszli nam naprzeciw. Kiedy otworzyli ogień, zobaczyliśmy, że grupka patriotów wspięła się na dzwonnice i zaczęła strzelać do burbończyków. Nasi żołnierze jęli wymachiwać trójgraniastymi kapeluszami do partyzantów z kościelnej wieży, oni odpowiedzieli tym samym. Nasi chorążowie w uniesieniu wywijali drzewcami sztandarów jak wariaci. A wiadomo, iż niewiele rzeczy budzi większą radość niż odkrycie, że obcy ludzie są nam braćmi. Hiszpańskie szeregi zafalowały. W owej chwili powinniśmy byli ruszyć do szarży i zmieść ich co do jednego. Tymczasem trąbki dały sygnał do odwrotu.

Z niedowierzaniem popychałem naprzód stojących przede mną piechurów.

– To pomyłka – mówiłem. – Nie przerywajcie ognia! Nie przerywajcie!

Musiał przygalopować Miérdez we własnej osobie i powtórzyć mi ów nieszczęsny rozkaz.

– Nie słyszysz waść trąbki? Wycofujemy się stąd! – wrzasnął z konia. – Zwiadowcy ostrzegają, że idzie tu cały regiment, chcą uderzyć na nas znienacka.

– To my ich zaskoczyliśmy! – wykrzyknąłem, nie panując nad sobą. – Zanim nadejdzie tamten regiment, zdążymy dojść do Portugalii i z powrotem.

Miérdez żywił do mnie szczególną urazę, bo obaj byliśmy pułkownikami-lejtnantami. Żeby udobruchać zawistnika, powiedziałem mu kiedyś, że w moim przypadku stopień ów nic nie znaczy, ponieważ Villarroel nadał go

tylko po to, by zapewnić mi posłuch wśród żołnierzy i kapitanów zatrudnionych przy pracach inżynieryjnych. Daremny trud. Osiągnąłem jedynie to, że z „gryziwórka” awansowałem w jego oczach na obłudnika. Jego obsesją stało się zdobycie pułkownikowskich szlifów. Uzyskałby je, gdyby utworzono nowy regiment albo gdyby pojawił się wakat, więc każdy pułkownik-lejtnant był jego potencjalnym rywalem. Wychylił się z siodła i wymachując mi palcem przed nosem, powiedział:

– Zuviría, z waści nigdy nie będzie żołnierz, bo nie odróżniasz całości od części.

Całości od części! No to opowiem wam, o co chodziło z tą „częścią”.

Kiedy odeszliśmy, burbończycy nawet nie pofatygowali się, by schwytać strzelców z dzwonnicy: podłożyli ogień pod kościół i spalili ich żywcem. Taktyka, jaką wobec nas stosowali, była prosta: gdy w jakiejś miejscowości udzielano nam schronienia, nazajutrz podpalali domy i rozstrzelali jednego na dziesięciu mieszkańców. Zaiste, proste.

Wkrótce potem ekspedycja się rozdzieliła. Był to pomysł Dalmaua, który przekonywał, że nie zdołamy przetrzymać naporu wielotysięcznej armii, lepiej więc rozbić kolumnę na kilka mniejszych. Część oddziałów miała wyruszyć w odleglejsze rejony, by wzniecić tam powstanie, poseł pozostałby dowódcą głównego korpusu, a Dalmau objąłby komendę nad osobną, nie tak liczną, lecz dobrze uzbrojoną chorągwią.

Pomysł nie był zły. Gdybyśmy się rozproszyli, ich zwiadowcom zajęłoby trochę czasu rozpoznanie, ilu nas jest i w jakim kierunku się posuwamy. Burbończycy też musieliby się rozdzielić. Na tej wojnie, obróconej w wojenkę, rozdrobnienie zawsze działało na naszą korzyść. Poza tym polityka terroru uprawiana przez księcia Popoli powodowała straty innego rodzaju. To więcej niż zrozumiałe, że mieszkańcy, wiedząc, iż nazajutrz po naszym wymarszu staną się pastwą płomieni, mieli opory, by otwierać przed nami bramy. Rozproszeni na małe grupki, przekonywał Dalmau, mogliśmy zająć więcej miejscowości. A nawet dowództwo Dwóch Koron nie było na tyle szalone, żeby podpalić naraz wszystkie miasta i wioski w Katalonii.

Owego dnia pojąłem całą plugawą nieprawość, jaka gnieździ się pod powierzchnią każdej wojny. Albowiem poseł pogrążył się w zadumie i podniósłszy głowę, powiedział z nadzieją w kaprawych oczkach:

– Cóż... gdyby tak się stało, wówczas prostactwo, pozbawione ojca, matki i dachu nad głową, znalazłoby się w sytuacji bez wyjścia i musiałyby przyłączyć się do nas.

Wszyscy przy tym obecni udali, że tego nie słyszą. Dalmau, ponieważ – z łokciami na rozpostartej przed nim mapie – w skupieniu obmyślał szczegóły swego planu, a Miérdez dlatego, że to Miérdez. Lecz mnie słowa te głęboko

zapadły w pamięć.

Polityka jest rzeczą złą; wojna bardzo złą. Ale istnieje coś jeszcze gorszego: pokraczny twór, zwany polityką wojenną. Wychowano mnie w świecie, w którym inżynierowie – ściślej mówiąc, inżynierowie wojskowi – byli niczym zawiasy utrzymujące w równowadze wojnę i politykę. W świecie rządonym przez doktrynę, która głosiła, że polityka jest tylko cieniem czynów zbrojnych: stoi za nimi i nakreśla ich kontury. Wszelako w nowym stuleciu ów mroczny cień ogarnął i zaćmił wszystko. I oto mieliśmy tego konsekwencje. Celem naszej wzniosłej misji była ochrona życia i domów współobywateli. Wobec odwrócenia moralnych pryncypiów Berenguer już nie widział nic złego w tym, że wróg podpalał i zabijał. Przeciwnie, uznał, że to dobrze, gdyż rozpacz i chęć zemsty działały na naszą korzyść.

Nie muszę chyba dodawać, iż jednym z powodów, niebłahym zresztą, planu Dalmaua było to, że miał powyżej uszu zarówno posła Berenguera, jak jego sklerotycznych tyrad i popierdywania i chciał działać samodzielnie. Prosiłem go usilnie, żeby zabrał mnie ze sobą. Odmówił.

– Kiedy wrócimy, don Antonio zechce się dowiedzieć, co tu się działo – przekonywał. – A jak mnie zbraknie, waść będziesz jedynym wiarygodnym świadkiem. Bo raczej nie możemy ufać Mierdezowi?



Ekspedycja posła wojskowego

Następne tygodnie i miesiące utworzyły w mej pamięci skłębiony wir oderwanych obrazów, zawsze podobnych i zawsze różnych. Wojsko Dwóch Koron ścigało nas. My umykaliśmy, atakowaliśmy i kontratakowaliśmy. Marsze, kontrmarsze, noce pod gołym niebem. Deszcz. Słońce. Błoto. Zawsze czujni. Miasta pełne zapachu do walki, miasta odporne, miasta w poździe. Krajobraz, w którym jak w tyglu przeszłość już stapiała się z przyszłością, zmysły przytępione monotonią okrucieństwa. Wracaliśmy po własnych śladach, a z wioski, która wczoraj witała nas z radością, dziś pozostały tylko zgliszcza. Błoto. Słońce. Więcej deszczu. Chłostani przez grad, kluczyliśmy po zawieszonych nad urwiskami ukrytych ścieżkach i leśnych duktach. Po prawej siedem drzew uginających się pod ciężarem ludzi powieszonych po trzech na jednym sznurze. Nie szliśmy już czasem

tędy? Nie, wtedy to były trzy drzewa, a wisielców siedmiu. Kolejna zmiana kierunku; zwiadowcy byli jak czułki, za którymi ciągnęła nasza kolumna podobna gąsienicy o tysiącach odnóży. Nasza klęska wynikała z paradoksu: nie mogliśmy werbować, bo uciekaliśmy, a uciekaliśmy, bo nie mogliśmy werbować.

Nie chcę przez to powiedzieć, że posuwaliśmy się przez kraj monolityczny i solidarny, którego wszyscy mieszkańcy, jak jeden mąż, gotowi byli do poświęceń dla konstytucji i swobód. A gdzieżby! Zawsze i wszędzie fermentuje zdrada, słabość i oportunizm. Lecz wojna sprawia, że fusy wypływają na wierzch, ujawniając najbardziej atawistyczną stronę ludzkiej natury.

Pewnego dnia jechałem w grupie kawalerzystów na czele kolumny, gdy ze skalistego zbocza zaczęto do nas strzelać. Słyszeliśmy głosy napastników krzyczących do siebie po katalońsku. Sądziłem, że pomyłono nas z kimś innym, co niestety nazbyt często zdarza się na wojnie. „To pewnie ochotnicy z pobliskiego miasta – rzekłem sobie – którzy wzięli nas za Francuzów lub Kastylijczyków”. Dałem rozkaz naszym jeźdźcom, by nie odpowiadali ogniem, a sam jałem wymachiwać kapeluszem na powitanie. Tymczasem kule padały coraz gęściej. Podjechałem trochę bliżej i dostrzegłem mężczyznę, który ukryty za skałą ładował broń:

– Ludzie, co robicie? Co wy robicie, do kurwy nędzy? – krzyknąłem do niego. – Jesteśmy wojskiem Generalitat!

Nie odpowiedział. W pośpiechu przybijał stempel, poruszając łokciem raz w górę, raz w dół, i wówczas wyczytałem w jego oczach, że modli się, by moja konfuzja potrwała dość długo, żeby mógł mnie powalić jednym strzałem.

W 1705, wraz z przybyciem wojsk Sprzymierzonych do portu w Barcelonie, wiele gmin opowiedziało się za Karlangasem. Ale nie jednogłośnie. Gdy jakieś miasto stanęło po stronie austriackiej, sąsiednie nierzadko ogłaszało poparcie dla Filipka. A dlaczego? Dlatego, że miejscowy proboszcz klął się na wszystkie świętości, iż Filipkowi sprzyja Bóg? Skądże! Ich wyborem kierowała nienawiść do sąsiadów. Wiecie, jak to jest, wioski i miasteczka toczą ze sobą ciągle spory o prawo do studni albo własność młyna, słowem, zawsze coś wymyślą. Dopóki Karlangas wygrywał, siedzieli cicho jak myszy pod miotłą. Teraz jednak, kiedy Dwie Korony okupowały prawie całą Katalonię, z zapalem chwytały za broń, ciesząc się, że pod pretekstem walki o słuszną sprawę mogą podziurawić brzuchy sąsiadom.

Rodacy, którzy wtedy do nas strzelali, mieli w nosie konstytucje, Habsburgów i Burbonów. Międzynarodowa wojna była pretekstem, by uprawomocnić ich lokalną wojenkę. Europejska apokalipsa stała się dla tych ludzi epizodem, w którym mogli zamanifestować jedyną prawdę, jakiej hołdowali: że ci zza miedzy to banda skurwysynów. Wolność ojczyzny, dobrobyt i przyszłość tej ziemi, potrzebę zrzucenia obcego jarzma, wszystko to podporządkowali szlachetnej

sprawie rozbicia łba sąsiadowi i synowi sąsiada.

Tak jak mówię: wojna to ogień, który podgrzewa garnek i wypycha zeń opary atawizmu, unosząc ową lekką, chybotliwą pokrywkę, zwaną cywilizacją. Rousseau miał rację: barbarzyństwo tkwi wewnątrz, nie na zewnątrz nas; siedliskiem barbarzyństwa nie są egzotyczne kraje, lecz najskrytsze zakamarki ludzkiej duszy. I pod byle pozorem dzikus, ten zły dzikus, ujawnia nagle swe oblicze, burząc nasz cywilizowany świat, tak jak armatnia kula burzy lichą ścianę.

Ale ten lachociąg Wolter nigdy tego nie rozumiał!

Berenguer z dnia na dzień popadał w coraz większe przygnębienie. Był to człowiek równie perfidny jak bystry, wiedział, że kaptowaliśmy za mało ochotników, by przerwać burboński kordon. Będąc wszelako pilnym i skrupulatnym urzędnikiem, słał do Barcelony list za listem, co doprowadzało mnie do szału. Sieć, jaką oplatało nas wojsko Dwóch Koron, była coraz szczelniejsza. Aby prześliznąć się przez jej oka, musieliśmy ekspediować z pocztą najbardziej zaufanych żołnierzy, którzy z narażeniem życia przedzierali się na wybrzeże. Skoordynowanie przyjazdu kurierów z potajemnym przybyciem statku z Barcelony potrajało ryzyko. I po co to wszystko? Po to, żeby wysłać epistoły, w których Berenguer meldował, że nie ma nic do zameldowania.

Znaleźliśmy się w martwym punkcie, pogrążeni w trudnym do przewyciężenia bezwładzie. Powstanie z roku 1705 rozpoczęło się w miejscowości zwanej Vic, ponad sześćdziesiąt kilometrów na północ od Barcelony. Zdążaliśmy tam, klucząc i omijając przeszkody. Była to cała epopeja, gdyż liczba ścigających nas burbończyków z dnia na dzień rosła i trzeba było wielkiej zręczności i sprytu, by ekspedycja bezpiecznie dotarła do celu. Spodziewaliśmy się ciepłego przyjęcia, bo swego czasu mieszkańcy Vic pierwsi stanęli murem przy Karlangasie i należeli do najgorętszych jego zwolenników. Śmiechu warte!

Nawet nie chcieli o nas słyszeć, a patrycjat robił wszystko, by pozbyć się nas z miasta jeszcze tego samego dnia, w obawie przed posądzeniami o zdradę.

– Zrozumcie waszmościowie, że jako najzarliwsi stronnicy cesarza możemy ponieść karę surowszą niż inni.

Poseł, jak zawsze pobłażliwy dla swoich, obszedł się z nimi łagodnie. Ja już nie.

– Skoro pierwsi nawoływaliście do walki – powiedziałem – powinniście zejść z placu boju jako ostatni.

Kazali mi zamilknąć. Zamilkłem. Tak czy inaczej, sprzeciw był daremny. Wtedy jeszcze nie mogliśmy tego wiedzieć, lecz całe to gadanie było bezcelowe. Później okazało się, że zanim rozpoczęliśmy rozmowy, radni Vic wysłali lokalnego konowala, niejakiego Josepa Pou, by błagał siepaczy Filipka o łaskę i przebaczenie.

Niebywałe! Ci, którzy podłożyli ogień, oskarżali nas o wzniesienie pożaru.

W końcu można było odnieść wrażenie, że jedynym celem naszych zagonów było nie dopuścić do schwytania Berenguera przez burbończyków. Skoordynowanie naszych działań z Barceloną i innymi oddziałami ekspedycji okazało się zadaniem arcytrudnym; bez przerwy się przemieszczaliśmy, tamci też byli w ciągłym ruchu. Wielu naszych kurierów nigdy nie wróciło. Ilekroć któryś z nich odjeżdżał galopem, z trudem powstrzymywałem się od łez. Gdyby go złapali, zamęczyliby na śmierć. I to daremną, gdyż raporty pisane były tajnym szyfrem, a klucza do niego Berenguer strzegł zazdrośnie. (Tylko to robił dobrze ten safandula).

Szyfr był bardzo zmyślny. Każda litera – albo słowo – odpowiadała jakiejś liczbie. I tak, 11 oznaczało A, 40 – M, zaś 30 – E. 70 to Barcelona; bomby – 100; Filip V – 81; granaty – 53; Popoli – 54, a miqueleci – 87.

Wśród żołnierzy krążyła plotka, że Berenguer ukrywał owe raporty bardzo głęboko, a burbończycy nigdy nie złamią szyfru, bo te litery i liczby to zmyłka. Żadnego tajnego pisma nie ma, gdyż poseł nadaje wiadomość, popierdując w wetkniętą do tyłka tubę, odbiorca zaś odczytuje treść z prukania wydobywającego się z owej rury po wyjęciu korka.

No cóż, żarty pospółstwa rzadko bywają finezyjne.

Któregoś dnia, późnym rankiem, warty wszczęły larum. Chwyciliśmy za broń, przekonani, że burbończycy postanowili zaatakować nas w porze śniadania. Fałszywy alarm. Z ulgą spostrzegliśmy, że to byli nasi. Ścisłej mówiąc, Ballester ze swymi ludźmi.

Widok powracającego do nas Ballestera sprawił mi wielką radość, jedną z nielicznych w czasie całej ekspedycji. Rzuciłem mu się na szyję i uściskałem serdecznie. Dziś wiem, że Ballester wdzięczny mi był za ową wylewność, choć nie potrafił jej odwzajemnić. Obejmowałem go, a on stał z opuszczonymi rękami. I co z tego. Jego zmieszanie było dla mnie równie wymowne jak uczucia, których nie umiał okazywać.

Popatrzyłem nań i chwytając go za ramiona, powiedziałem:

– Wiedziałem, że nas nie opuścisz, wiedziałem.

Odsunął mnie.

– To wy nas opuściliście. Nie pamiętasz waść?

Spostrzegłem, że jest z nim tylko siedmiu miqueletów.

– Gdzie Jacint i Indaleci? – zapytałem.

– A jak waść myślisz?

Zamilkliśmy. Powiedziałem:

– A mimo to wróciłeś?

– To wy wróciliście.

I wskazał ręką za siebie. Okazało się, że ludzie Ballestera stanowili jedynie forpocztę znacznie większego oddziału – całej kolumny Dalmaua. Wracał, prowadząc ze sobą ponad trzy tysiące ludzi! Dalmau zwerbował ich na własną rękę, używając argumentów zgoła odmiennych od napuszonych apeli Berenguera. Jeśli się dobrze zastanowić, jego sukces wcale nie dziwi. Trudno znaleźć bieguny bardziej przeciwstawne niż moralna abulia posła i święty zapał Dalmaua. Dla Berenguera ojczyzna to przeszłość i protokoły. Dla Dalmaua – nasze prawa i przyszłość.

Tego samego dnia zwołano radę wojenną. Dalmau chciał przedstawić nam wnioski, jakie nasunęły mu się podczas samotnej wyprawy.

W sumie moglibyśmy zebrać około pięciu tysięcy ludzi. Pozostał wierny pierwotnemu planowi zaatakowania burbońskiego kordonu wokół Barcelony i przerwania blokady. Wobec rozproszenia sił, całkowite nasze zwycięstwo nie było możliwe. Przede wszystkim, otaczały nas tysiące burbończyków, rozlokowanych w całym kraju. Jeżeli zauważą, że kierujemy się w stronę Barcelony, natychmiast przystąpią do koncentracji wojsk, by uderzyć na nas od tyłu.

– Gdyby jednak udało się ich ominąć – mówił Dalmau – możemy zaatakować kordon od prawej flanki.

Rozpostarł mapę. Wszyscy pochyliliśmy się nad stołem.

– Burbończycy podzielili kordon na trzy odcinki – tłumaczył. – Prawy, zajmowany przez Hiszpanów, przylega do bagien i nadmorskich mokradeł. Atak stamtąd da nam przewagę. Hiszpanie są gorzej wyszkoleni od Francuzów. A w tym trudnym terenie nasi miqueleci będą się poruszać sprawniej niż regularne wojsko nawykłe do walki w szyku. – Potarł oczy. – Problem w tym, jak skoordynować atak z załogą stacjonującą w mieście. Zwłaszcza jeśli zdecydujemy się uderzyć nocą, co zwiększy zaskoczenie, a jest to jedyny sposób, by wyrównać stosunek sił w starciu z przewyższającym nas liczebnie wrogiem. Jeśli jednak my wywiążemy się z naszej części zadania, a Villarroel ze swojej, w co nie wątpię, nie widzę powodu, dla którego miałoby się nam nie udać.

Cóż, taki był cel ekspedycji – wyzwolić Barcelonę z burbońskiego oblężenia. I wszyscy się zgadzali, że to ryzykowne, ale nie niemożliwe. Mieliśmy jednak kłopot z posłem. Nocnego szturm na czele pięciu tysięcy ludzi czołgających się wśród mokradeł Berenguer by nie przetrzymał. Ponadto w ciemnościach, w bitewnym zamęciu, mogło się zdarzyć dosłownie wszystko. Fakt, że Berenguer był nieudacznikiem i obrzydliwą personą, nie umniejszał powagi jego urzędu. Dla burbończyków schwywanie go byłoby wielkim sukcesem, dla Katalończyków zaś – ciężkim ciosem. Oczywiście nie zostałby zabity. Ale nie mieliby oporów, by obwozić go po kraju na ośle i z katarynką.

Berenguer zakrył twarz rękoma i w tej cierpiętniczej pozie oznajmił, że nie

chce być dla ojczyzny ciężarem. (Wreszcie raczył to zauważyć). Trzeba spróbować, mówił dalej. A jemu wystarczy eskorta czterech wiernych żołnierzy. W razie nieszczęścia ludzie ci, spełniając swój święty obowiązek, zetną mu głowę, żeby żywy nie dostał się w ręce wroga.

Co za czelność! Przez całą naszą wyprawę trząśł się ze strachu jak trusia i nagle struga bohatera. Szczyt obłudy w czasach, w których bohaterstwo było najpospolitszą monetą. Ludzie tacy jak Villarroel albo Dalmau, wojownicy pokroju Ballestera i Busqueta przenigdy by się nie obnosili ze swoją gotowością do ofiary: nie musieli tego mówić, bo wszyscy wiedzieli, że złożą ją bez wahania. A naprzeciw nich – Berenguer, odmierzający każde słowo epicką miarką, by zapisano je w annałach. Wystąpiłem krok naprzód i powiedziałem:

– Ach, niech ekscelencja nie martwi się tak tą czwórką żołnierzy potrzebnych do ścięcia głowy waszmości. Jeden wystarczy. Ja.

– Zuviria! – zakrzyknął. – Dość już mam twojego chamstwa. Masz się waść za wesołka i zapewne oczekujesz poklasku całego wojska? Pierwsze, co zrobię po powrocie, to wydam rozkaz, by wtrącono cię do lochu w Pi^[82]!

Jeden z trutni Berenguera wpadł na pomysł, żeby przedrzeć się na wybrzeże i odesłać posła do Barcelony, zanim ruszymy na kordon. Uszczęśliwił tym wszystkich: Dalmaua, bo mógłby się uwolnić od Berenguera, i Berenguera, bo mógłby ocalić tylek.

Ballestera i jego konnych wysłali, jak zwykle, na szpicę, żeby się upewnić, że droga wiodąca do nadbrzeżnej Alelli jest wolna od burbończyków, co umożliwi ewakuację posła. Przyłączyłem się do nich. Jeszcze tej samej nocy dotarliśmy do Alelli, lecz chcąc uniknąć przykrych niespodzianek, rozbiliśmy obóz na plaży, zamiast zatrzymać się w miasteczku.

Ballester przez cały czas zachowywał większą niż zazwyczaj ostrożność. Rozłożyłem koc na piasku, obok niego. O kilka kroków od naszych stóp szumiało morze. Po bezchmurnym dniu niebo było czyste, nad nami świeciły gwiazdy. (Podoba ci się ten poetyczny szczegółik, moja kochana Waltraud? Przecież to głupie! Skoro w nocy nie było chmur, to dlaczego, do chuja, gwiazdy nie miałyby świecić? Dobrze, już dobrze, daj to, a niech tam, przynajmniej będzie wiadomo, że dopadła nas melancholia). Wkrótce miała się rozpętać bezlitosna wojna, ale cichy szmer fal i cykanie świerszczy ukołysały nas w owej chwili pokoju, co zachęciło mnie do mówienia.

– Chciałbym, żebyś coś wiedział. Ja też uważam, że powinniśmy się wstydzić za Mataró.

Nie odpowiedział. Urażony jego milczeniem, zaprotestowałem:

– Próbuje przeprosić, do jasnej cholery! Chociaż to nie moja wina.

– Twoje Kanny szlag trafił – odrzekł w końcu.

– Tak. I wciąż mnie to boli. Chociaż gdyby się udało, zginęłoby wielu ludzi.

Może tysiące – spojrzałem w niebo. – Gdyby Vauban to widział...

– Po co ten lament? Na wojnie ludzie giną. Gdyby nie ginęli, toby nie była wojna.

Wolałem zmienić temat.

– Jesteś żonaty? – zapytałem.

– Nie mam żony. Mam tylko kobiety. A ty?

– Jedną. Jest dla mnie jak żona. Myślę, że przedtem była kurwą. Mniej więcej.

– Poważnie gadasz? – zdziwił się, a zdziwienie nie było u Ballestera czymś zwyczajnym.

– Kurwą, szelmą, złodziejką... i co z tego? Takie czasy, że każdy radzi sobie, jak może. Mieszkam z nią, z jednym staruszkiem, z karzełkiem i z dzieckiem. Dziecko znasz.

– Ja? – zdziwił się znowu.

– Tak. Pamiętasz, jak napadliście na nas wtedy, w masii?

Ballester opatulił się kocem i powiedział:

– Pamiętam tylko, że nigdy nie widziałem bardziej nieznośnego szczeniaka.

– Ziewnął.

– To prawda. – I na myśl o tym raptem głupio się ucieszyłem. – Ale nie jest moim synem.

– Traktował cię jak ojca... – powiedział Ballester, ziewając ponownie.

– Powiedzmy, że dla niego jestem hersztem szajki. I tyle.

Byliśmy zmęczeni, Ballester przymknął powieki, ale ja szturchnąłem go w ramię.

– Ballester, masz dzieci?

Otworzył oczy i popatrzył w gwiazdy.

– Chyba tak. Jedno, może dwoje. Trudno wiedzieć na pewno. Wszystkie mówią, że to moje. Może dlatego, że jako naczelnik bandy mam najwięcej pieniędzy.

– Ale nie ty je wychowujesz.

Skrzywił się szelmowsko.

– Myślisz, że dałbym radę? Ich matkom nie brak niczego. Dbam o to.

Znów pociągnąłem go za rękaw, byłem poważny jak nigdy dotąd.

– Ballester, chciałbym cię o coś zapytać, tak między nami.

Podniósł się na łokciach, podejrzewając jakąś złośliwość. Patrzył na mnie z czujnością dzikiego zwierzęcia, lecz ja rzekłem tylko:

– Dlaczego walczysz?

Dumał przez chwilę, przesypując piasek między palcami. Chcąc go ośmielić, podpowiedziałem:

– Nie musisz mi robić wykładu, powiedz krótko. – I dodałem: – Jedno

słowo. O nic więcej nie proszę.

Ku memu rozczarowaniu położył się znowu i odparł z westchnieniem:

– Jeżeli do tej pory tego nie zrozumiałeś, to nie warto gadać.



Być może zawczasu powinienem wyczuć, że zdarzy się coś potwornego. Ale kto by przypuszczał, że na plażach Alelli objawi się w pełnej krasie maniacki legalizm czerwonych aksamitników i ich obłudny, czczy patriotyzm. Ja zaś myślałem tylko o tym, że wreszcie pozbędziemy się Berenguera razem z jego świtą trutni.

Wczesnie rano na plażę dotarł, zgodnie z planem, główny korpus ekspedycji. Tymczasem Ballester i ja targowaliśmy się w miasteczku o rekwizycję lekkiej i szybkiej barkasy słusznych rozmiarów. Dla niepoznaki poseł wypłynąć miał dopiero o zmierzchu.

Choć raz stary Berenguer wykazał się zapałem do działania. Żeby zabezpieczyć teren, kazał zająć naszym ludziom wszystkie nadbrzeżne wzniesienia. Stawianie na warcie pięciu tysięcy żołnierzy wydawało mi się przesadą, ale tylko wzruszyłem ramionami. Dla czerwonych aksamitników protokół był świętością, więc pomyślałem, że poseł chce nadać wydarzeniu stosowną oprawę.

Z wartowania udało się wymigać jedynie ludziom Ballestera. Podczas gdy wszystkie bataliony wspinały się na wzgórza i zamykały drogi, oni zadekowali się w rybackiej tawernie na skraju Alelli, jakieś sto metrów od brzegu. Wiedziałem, co zamierzają, ale ponieważ sam musiałem być obecny przy pożegnaniu Berenguera, powiedziałem tylko:

– Nie zapomnijcie zapłacić. Nie jesteśmy burbończykami.

Poseł siedział rozparty w swoim krześle, otoczony przez pięciu czy sześciu wyższych oficerów, wśród których dostrzegłem Mierdeza i Dalmaua. Zaczęli beze mnie, beniaminka ekspedycji. Dalmau wygłaszał kwiecistą mowę pożegnalną.

– Wybacz waszmość, że wpadnę w słowo – odezwał się nagle Berenguer – muszę wszelako powiadomić tu zebranych, że wszyscy wyżsi oficerowie odpływają wraz ze mną.

Stałem za plecami Dalmaua i tak jak on osłupiałem ze zdumienia.

– Słucham? – powiedział, jakby źle usłyszał. – Jak to wszyscy? A kto będzie dowodził wojskiem?

– Od pułkownika-lejtnanta w górę – odparł stanowczo Berenguer – wszyscy wracają ze mną do Barcelony. To rozkaz. Nie ma dyskusji.

Opuścić pięć tysięcy ludzi! Odstąpić od ataku na kordon! Wszystkie trudy i poświęcenia ostatnich miesięcy wyrzucić, ot tak, do morza! Przełknięcie owego nonsensu, owej piramidalnej głupoty, kosztowało nas tyle wysiłku, że milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

– Ależ, ekscelencjo – bąknął wreszcie skonsternowany Dalmau – to niemożliwe. Kto poprowadzi natarcie na kordon?

– Jest wśród nas oficer złakniony wojennych zasług – powiedział Berenguer.

– Zostawimy wojsko w dobrych rękach.

Chodziło mu o Mierdeza! Równie dobrze można by było wojsko rozwiązać. Nowi rekruci, którzy nie doświadczyli jeszcze, czym jest braterstwo broni, bez dowódców nie istnieli. Pozostawieni samym sobie, poszliby w rozsypkę. Nawet regiment Dalmaua. Dla nich bowiem (jak zresztą dla wszystkich żołnierzy) najważniejsza była osobista więź z komendantem. Co zrobią, porzuceni bez słowa wyjaśnienia na samotnym, pustym brzegu, oddani pod rozkazy zwykłego łajdaka? Lepiej już byłoby od razu ich wydać burbończykom.

Pozostali oficerowie, choć nie mniej zaskoczeni, jeden za drugim posłusznie wchodzili na barkasę za Berenguerem i jego trutniami. Wszyscy oprócz Dalmaua, który stał przy trapie, protestując coraz głośniej i coraz zapalczywiej. Ktoś z pokładu próbował go mitygować. Rozkaz to rozkaz. Nie on jeden doznaje ujmy na honorze.

– W to nie wątpię – odparł Dalmau. – Powtarzam jednak, że to ani mądre, ani słuszne. Nie chcę zostawiać mojego regimentu i moich oficerów, ludzi honoru, człowiekowi, który jak dotąd honorem się nie wykazał.

Podczas gdy on wyklócał się z Berenguerem, ja popędziłem do tawerny. Otworzyłem drzwi kopniakiem. Widząc mnie w takim stanie, Ballester pomyślał, że napadli na nas burbończycy. Gdybyż tak było!

– Chcą zwiać! – krzyknąłem. – Wołaj chłopaków!

Z początku mnie nie zrozumiał.

– Chcą uciec – powtórzyłem. – Nie tylko Berenguer i jego trutnie. Kazali się zaokrętować wszystkim wyższym oficerom oprócz Mierdeza! Musimy im przeszkodzić! Skrzyknij chłopaków! Może poseł się ugnie, jak podniesiemy rwetes.

Ten jeden jedyny raz Ballester usłuchał mnie od razu. Wypadli z tawerny i pogalopowali ku stojącym na czatach żołnierzom. Ja, pędząc co sił w nogach, wróciłem do barkasy. Kłótnia trwała w najlepsze. Dalmau nadal odmawiał wejścia na pokład, chociaż reszta oficerów już tam była. Nigdy nie widziałem go w takiej furii, jego, człowieka, któremu uśmiech nie schodził z twarzy. Ja też zacząłem wrzeszczeć, a łatwo możecie sobie wyobrazić, że używałem słów mniej parlamentarnych.

Na okolicznych wzgórzach zapanowało poruszenie. Żołnierze, którzy powinni wypatrywać możliwego ataku, odwracali głowy w stronę morza. Dziesiątki, setki ludzi jęły schodzić ku nam, nie rozumiejąc, co się dzieje. Na barkasie jakiś oficer błagał Berenguera:

– Ekscelencjo, proszę zmusić Dalmaua, żeby wszedł, bo wszyscy będziemy zgubieni.

Rozparty w lektyce Berenguer krzyknął do Dalmaua, grożąc, że jeśli natychmiast nie stawi się na pokładzie, pójdzie pod sąd za niesubordynację. Dalmau przez chwilę wpatrywał się w fale głaszczące piasek plaży. Potem

odwrócił się do mnie i powiedział:

– Idziemy, Zuviria.

Pokręciłem głową. Wziął mnie pod łokieć i dodał:

– Nie wolno nam odmówić wykonania rozkazu wydanego osobiście przez posła. – A szeptem dodał: – I musimy o tym opowiedzieć.

Nie wiem, czy powinienem się tym chwalić, czy wstydzić tego, że jako ostatni wspiałem się na drewniany trap. Widząc, że wszyscy wyżsi oficerowie wchodzą na łódź, pozostawiając ich samych, żołnierze biegiem ruszyli na plażę. Pięć tysięcy uzbrojonych mężczyzn pędziło prosto na nas. Trutnie Berenguera sikały ze strachu po nogach. Poseł kazał odbijać od brzegu: „Szybciej, szybciej!”. To, co stało się potem, będę pamiętał do końca życia.

Tych pięć tysięcy zdradzonych ludzi nie chciało nikogo zabić. Stanęli na brzegu, a w ich oczach nie było nienawiści, lecz zdziwienie i rozpacz porzuconych psów. Skoro nawet dla mnie było niepojęte, że całe dowództwo ucieka od własnego wojska, jakże mogli to pojąć oni? Na niewielkim pagórku dostrzegłem Ballestera i jego miqueletów. Oni zrozumieli. Widok ich nieruchomych sylwetek, rysujących się w owym śródziemnomorskim zmierzchu niby grupa centaurów, napełniał mnie poczuciem wstydu, przygniatającym jak fizyczny ciężar.

Nie odplynęliśmy nawet na pięćdziesiąt metrów, gdy ujrzałem, że jakiś młodzik wchodzi w wodę aż po kolana. Zwróciłem na niego uwagę, bo jasne warkoczyki opadające mu na uszy przypomniały mi Anfana. Wymachiwał czymś nad głową, a zgromadzony na brzegu tłum jął coś skandować rytmicznie. Szum fal i wiatru głuszył słowa. Tylko ja patrzyłem w stronę plaży. Wyteżyłem słuch. Zrozumiawszy, o co chodzi, zacząłem walić pięściami w burtę.

– Zawracajcie, zawracajcie! Niech to szlag! Zawróćcie łódź!

Trutnie obskoczyły mnie wkoło, próbując uciszyć. Nareszcie mogłem im wykrzyknąć w twarz, co o nich myślę:

– Idioci! Poseł zapomniał buławy!

Tak było. Żołnierze krzyczeli: „Pałka! Pałka!”. Uciekając w pośpiechu przed własnymi rodakami, Berenguer i jego trutnie zapomnieli o najwyższym symbolu katalońskiego oporu.

Jak może istnieć naród tak mężny, a zarazem tak uległy? Powiem wam: to, co się stało w Alelli, pokazało, że nasz lud wierzył w wolność i strzegące jej instytucje bardziej niż ci, którzy nim władali. Berenguer zapomniał o srebrnej buławie; pogardzani przezeń łachmaniarze pamiętali. Nie chcieli go powiesić, chcieli tylko ratować pałkę.

Barkasa wykonała powolny i upokarzający zwrot. Na pokładzie wszyscy byli tak zawstydzeni, a może wystraszeni, że nikt nie chciał zejść po buławę. Ponieważ to ja wszcząłem alarm, uznali, że jestem właściwym człowiekiem, by ją odzyskać. A niech to diabli! Pojąłem całą bezczelność posła, kiedy jego trutnie podeszły

znowu, tym razem płaszcząc się przede mną:

– Prosimy...

Nie musiałem nawet opuszczać łodzi. Miała bardzo małe zanurzenie, więc podpłynęliśmy blisko brzegu, a chłopak ruszył ku nam, zanurzony aż do piersi. Z wyciągniętą ręką wychyliłem się przez burtę i wziąłem od niego buławę. Ledwie ją chwyciłem, barkasa zaczęła szybko oddalać się od plaży. Zdążyłem jeszcze krzyknąć:

– Jak się nazywasz?

Wykrzyknął swoje imię, ale wiatr zmienił kierunek i nie dosłyszałem. Na myśl o tym wietrze ogarnia mnie żal, taki straszny żal, że mam ochotę zamilknąć na zawsze. Po co komu książka, w której zapisane jest imię Berenguera, obmierzłego Antoniego Berenguera, a nie ma w niej imienia tamtego chłopca?

Podróż powrotną spędziłem skulony w kącie między dwiema beczkami. Skrzyżowałem ręce na piersi i nakryłem głowę kocem, żeby nie musieć z nikim gadać. Moją pierwszą myślą było, że to na pewno jakiś spisek, a Berenguer po cichu służy burbończykom. W rzeczy samej, po upadku Barcelony rozeszły się pogłoski, że ze służalczym pośpiechem stawiał się na rozkazy nowej władzy. Ale ja raczej nie wierzę w spiski. Po prostu był słabym człowiekiem, a u ludzi, którzy piastują wysokie urzędy, słabość stapia się w jedno ze zdradą. Być może po to załadował na pokład wszystkich oficerów, by podzielić się z nimi wstydem ucieczki, a może bał się, że w ataku na kordon zginie ich zbyt wielu. Wszyscy byli synami szlacheckich rodów, więc czerwoni aksamitnicy mogliby mieć mu za złe, że posłał na rzeź tyłu swoich. Zresztą, a bo ja wiem? Nie to było najważniejsze.

Za konstytucje i wolności gotowi byliśmy ruszyć na wojnę z Dwoma Koronami, jedno miasto przeciw niezmierzonej potędze dwóch sprzymierzonych imperiów. Ale jak tu walczyć z własnym rządem?

Skutki naszej nieszczęsnej ekspedycji lepiej przemilczeć. Kiedy wróciliśmy do Barcelony, don Antonio wściekł się jak nigdy dotąd. Ucieszyłem się, i to bardzo, że nie byłem obecny, gdy doszły do niego wieści o tchórzostwie Berenguera, klęsce pod Mataró, a w końcu także o haniebnym porzuceniu wszystkich naszych żołnierzy na skrawku plaży. Podobno cisnął swoją buławą o ziemię, krzycząc:

– Dla Boga – obraza! Dla króla – wiarołomstwo! Dla ojczyzny – upadek!

Villarroel zażądał od nas wyjaśnień, więc razem z Dalmauem zdaliśmy mu dokładną relację z wydarzeń. Posła chciał powiesić na murach. Jak można się było spodziewać, czerwoni aksamitnicy go wybronili. Odegrał jednak rolę tak ponurą, że nawet oni nie zdołali zapobiec postawieniu go przed sądem. Wolę to przemilczeć. Zresztą proces i tak nie mógł być uczciwy. Berenguerowi włos z głowy nie spadł. Jurysdykcji don Antonia urzędnicy państwowi nie podlegali,

więc poseł wykpił się aresztem domowym. Wziąwszy pod uwagę, że i tak nie ruszał się ze swego krzesła, powiedzcie mi, że nie była to gówniana kara. Sprawiedliwość czerwonych aksamitników!

Poseł Berenguer siedział w swojej złotej klatce, a co działo się w tym czasie z pozostawionymi na los szczęścia pięcioma tysiącami żołnierzy? Zaraz po powrocie do Barcelony Dalmau wynajął za własne pieniądze małą flotyllę, żeby ich stamtąd wydostać. Przybyła za późno. Jak było do przewidzenia, poszli w rozsypkę. Kilku dołączyło do oddziału Busquetsa i innych miqueletów. Setki dostały się do burbońskiej niewoli. Domyślcie się sami, co ich spotkało. Inni, wielu, po prostu wrócili do domu. (Czy można ich za to potępiać?). Reszta dalej nękała burbończyków za murami Barcelony, działając na własną rękę. A strategiczny cel ekspedycji diabli wzięli.

To zadziwiające, ale znaleźli się i tacy, którzy postanowili wrócić do stolicy. Konno, pod osłoną ciemności, grupki straceńców forsowały kordon w szaleńczym galopie. Nocami widywaliśmy rozbłyski wystrzałów na linii wroga, słyszeliśmy huk i wrzaski leśnych jeźdźców. Przedzierali się przez nadmorskie bagna, najslabiej strzeżone. Znalazłszy się na otwartym polu, pędzili niczym meteory i wpadali za mury jak deszcz spadających gwiazd – po dziesięciu, po dwudziestu, po trzydziestu...

Od Mierdeza nie mieliśmy żadnych wieści. Jedno z dwojga: albo powiesili go burbończycy, albo nasi chłopcy zrobili to za nich. (Jeśli ciekawi was moje zdanie, to znając ludzi Dalmaua, skłaniam się ku drugiej z tych możliwości). Ale to tylko domysły. Może od kogoś to usłyszałem, nie pamiętam. Jak słodkie bywa czasem zapomnienie!

Zresztą, dość już tych narzekań. Zawsze wesół, zawsze rad! Oto moja dewiza. Albo jak mawialiśmy w Barcelonie, *via fora* smutki^[83]. Przynajmniej wróciłem do domu w jednym kawałku, a to już dużo. Uściskawszy moją dziwną rodzinę, padłem na fotel, rozglądając się po ścianach, jakby wszelka cywilizacja była mi obca. Nie mówiłem wiele. Wyjrzałem z balkonu na mury. Wartę w bastionie Świętej Klary pełnił oddział bednarzy. Rozpalili ogień, by przygotować wieczerzę. Patrzyłem na nich z przyjemnością, wiedziałem bowiem, że są tam dlatego, bym tej nocy mógł bezpiecznie spać we własnym domu. W owym czasie bardziej już ufałem bednarzom przedzierzgniętym w żołnierzy niż żołnierzom służącym w regularnym wojsku.

Nan przyniósł miednicę z gorącą wodą i postawił ją przy moich nogach. Miły gest, którym chciał uczcić mój powrót. Amelis wrzuciła do miednicy garść soli. Boże mój, gorąca kąpiel dla stóp, w otoczeniu najbliższych. Tym właśnie jest dom. Anfán poprosił, żebym opowiedział o swoich przygodach.

Zdejmując buty, pomyślałem o maszerowaniu bez końca, dniem i nocą, o tysiącach stóp, bosych lub obutych w podarte łapcie. Pomyślałem o zapachu

spalonego prochu, o tych, którzy zginęli na darmo. W moich nozdrzach wciąż unosiła się woń zardzewiałych bagnatów i wysłużonych, spękanych rzemieni. I po co to wszystko? Po to, żeby ten wieprzek Berenguer odpokutował swoje winy w wygodnym pałacyku, obsługiwany przez rój trutni.

– Mam opowiadać? O czym? – zapytałem. – Chyba tylko, że byłem tam po to, abyś ty nie musiał tam kiedyś być.

Do pełni szczęścia brakowało mi jedynie łóżka. Amelis weszła do alkowy zaraz za mną. Było ciemno, nie mogłem jej zobaczyć, usłyszałem tylko trzaśnięcie zamykanych drzwi. Położyła się na mnie, naga jak ja. Schudła, bo w mieście zaczynało brakować żywności. Zza okna dobiegał od czasu do czasu daleki grzmot, poprzedzony krótkim błyskiem. Była to burbońska artyleria, lecz wiedziałem, że jeszcze nie musimy się jej bać. Na razie tylko rychtowali działa do ataku, by pewnego dnia uderzyć na stojący za murami klasztor kapucynów. Włosy Amelis opadały na moje oczy, w jej oddechu wyczułem świeżość mięty. Pogłaskała mnie po twarzy i spytała:

– Chcesz spać?

Spać? Dawno nie słyszałem lepszego dowcipu. Martí Zuviría zawsze wesół, zawsze rad! Niewiele jest rzeczy bardziej podniecających niż kochać się w huku armat. A od pierwszego kochania lepsze jest na tym świecie tylko jedno. To drugie.

W poprzednim rozdziale zapomniałem opisać wam ostatnią odsłonę naszej ekspedycji. Więc robię to teraz, i będzie z głowy. (Wyglądź to jakoś, za to ci płacę).

Pewnego dnia o świcie byłem w bastionie Świętej Klary, zajęty wymianą ognia z burbończykami, gdy pojawił się tam Francesc Castellví, kapitan oddziału welurników, roszczący sobie pretensje do miana historyka. Są tacy, którzy zawsze przychodzą nie w porę.

Bywało, że wartownicy spostrzegali żołnierzy nieprzyjaciela, pasących konie na ziemi niczyjej. Wówczas w bastionach podnoszono alarm i otwieraliśmy ogień. Burbończycy, żeby osłonić swoich, odpowiadali z dział o najdalszym zasięgu.

Uważałem owe artyleryjskie pojedynki za bezsensowne marnotrawstwo amunicji. Z tej odległości nasze armaty nie mogły dosięgnąć wroga i vice versa. Ale taka jest wojna. Costa, nasz artylerzysta, prosił, żebym przymknął na to oko. Prochu w magazynach mieliśmy jeszcze dużo, a jego Majorkanie mogli przy okazji doszkolić miejskich rekrutów.

– Rad jestem, że wróciłeś zdrów i cały! – ryknął na powitanie Castellví, przekrzykując huk detonacji.

– Tak, tak, dziękuję – odpowiedziałem, ledwie zwracając nań uwagę, bo czym innym byłem wówczas zajęty.

– Nieźle wyglądasz. No, może schudłeś odrobinę.

– Nie powinieneś być teraz ze swoimi welurnikami?

– Nie, skądże. Dziś mamy wolne, więc odwiedzam przyjaciół.

Ja tu się uwijam, pilnuję ludzi noszących amunicję, sprawdzam zużycie prochu i szkody poczynione przez bombardowanie, a ten wypytuje mnie o zdrowie.

Większość nieprzyjacielskich kul nie osiągała celu. Niektóre dolatywały do murów, ale pozbawione impetu odbijały się od nich, ledwo drasnawszy kamień. Trik, trak! Trik, trak! Turlały się powoli po zboczach, spowite dymem. Używaliśmy tego samego kalibru, więc połowa z nich krążyła tam i z powrotem dziesiątki razy – od nas do nich, od nich do nas, i tak w kółko. Niektóre były niczym latające listy. Burbończycy wypisywali na nich węglem albo kurzą juchą obelgi w rodzaju „cHuj wAm rEbeliaNci”. Na co nasi chłopcy odpisywali po drugiej stronie kuli: „W twOją Dupę burBonie”. A do tego rysunekki buziek, kutasów i tyłków.

– I pewnie się ucieszysz, że twój kumpel też wrócił! – ciągnął niezrażony Castellví.

– Kumpel?! Jaki kumpel?!

– A któżby! Ballester! I jego chłopcy!

– Nieprawda! – odkrzyknąłem. – On został w Alelli! Już nie wróci!

– A właśnie, że nie! Dzisiaj w nocy przedarli się przez kordon! Konno! Tuż przed świtem! Kilka godzin temu! Są w mieście!

– A ja ci mówię, że nie! To nie on! Na pewno! Ballester nigdy nam nie wybaczy, że ich zostawiliśmy!

Majorkanie wrzeszczeli coś do artylerzystów. Przez ten ich cholerny akcent, huk wystrzałów i turkot przetaczanych dział trudno było cokolwiek zrozumieć. Zachrypliśmy od krzyku. Dlaczego nie znalazł się tu jakiś Vauban, który nauczyłby welurników języka znaków?

– To był on! – upierał się Castellví, co doprowadzało mnie do szału. – Ta wojna zasługuje, żeby opowiedzieć ją z najdrobniejszymi szczegółami! I zapewniam cię, że ja to zrobię!

– Świetnie! Idź i opowiadaj! Ja jestem teraz zajęty, bo muszę walczyć! – I zanim odszedł, dodałem: – Powtarzam, mylisz się! Ballester nas nienawidzi! Z jakiego powodu miałby narażać własną skórę, by wrócić do Barcelony?!

To powiedziawszy, zamilkłem nagle. Słowa czasami bywają szybsze niż myśl. Oświeciło mnie wreszcie.

– Co z tobą?! Pobladłeś! – zaniepokoił się Castellví. – Przestraszyłeś się kul?!

– Zastąp mnie na chwilę! – powiedziałem zdławionym głosem. – Odwdzięczę się!

– Ale ja jestem z piechoty! – zaprotestował. – Nie mam pojęcia o...!

A teraz pozwolę, byście odgadli sami, dlaczego tak mi się spieszyło i dokąd poszedłem. (Moja kochana, szpetna Waltraud już to zgadła. Sprytna bawoliczka!).

Ballester mógł mieć tylko jeden powód, żeby wrócić do Barcelony: zamordować Berenguera. Zgodnie z jego zbójceją logiką ubliżyły mu nie jakieś anonimowe decyzje polityczne, lecz osoby, które je podjęły, a odpowiedź mogła być tylko jedna: osoby te musiał ukarać na gardle.

Pobiegłem do domu Berenguera. Dotarłem tam zasapany, akurat w sam czas. Ballester i jego ludzie czaili się za rogiem. Zatknąwszy noże za pas, zakładali na głowy czarne kaptury. Stałem, odcinając im przejście. Uliczka była tak ciasna, że całkowicie ją zagroziłem swoim ciałem.

– Już nie salutujesz przełożonym? – zwróciłem się do Ballestera.

– Odejdź.

Cóż, zwięzłość należała do jego niezaprzeczalnych zalet.

– Założmy, że wyważycie te drzwi i zabijecie Berenguera – powiedziałem. – Pomyślcie o tym, co potem: poseł będzie martwy, wy będziecie wisieć. Wojskowy poseł, który w mieście uchodzi za bohatera, zginie z ręki własnych rodaków. Potraficie sobie wyobrazić, jak spadnie morale obrońców? I jak bardzo skorzysta na tym wróg? Powiedzą, że pozeramy się nawzajem jak zamknięte w worku szczury.

Ballester ze złością ściągnął kaptur.

– Myślisz wać, że chcę zabić Berenguera? Tak myślisz? Nie, ja wcale nie chciałem tu wracać, nie należę do tych, którzy ryzykują życie, żeby zgnieść karalucha – kciukiem wskazał stojących za nim miqueletów. – Ale oni chcieli! Zabrałem na tę waszą cholerną wyprawę dziewięciu ludzi, wróciłem z sześcioma. Chcesz, żeby zapomnieli o poległych? Dobrze, sam im to powiedz!

Był prostym człowiekiem, nieokrzesanym. A tacy nie umieją prosić o przysługi, duma im na to nie pozwala. Ale ważąc jego słowa, pojąłem, że Ballester chce, bym go poparł.

Przypomniałem im bezsenne noce, wszystkie marsze i potyczki, w jakich uczestniczyłem, a takich była większość. Ze śmiechem wspominałem ów dzień, w którym namówiłem ich, żeby pojechali ze mną do Barcelony. Wiele się wydarzyło od tamtej pory.

– Berenguer stoi nad grobem – powiedziałem. – Zostały mu cztery dni, nie więcej. Ceną za ich skrócenie jest wasze życie i osłabienie obrony miasta. Naprawdę tego chcecie?

Sam nie wiem, jak udało mi się zaciągnąć ich do jednej z nielicznych czynnych jeszcze knajp. Trunek ich pocieszył, i to jak! Jakby nigdy nie żywili żadnych krwiożerczych zamiarów. Bawili się, pili i śpiewali do upadłego; wszyscy oprócz Ballestera i mnie. Krzyżowaliśmy nad stołem spojrzenia przepełnione goryczą i smutkiem.

„Jeszcze nie dość wycierpiałeś”, powiedział mi kiedyś don Antonio. I przysięgam, że wyruszyłem na tę wojenną wyprawę gotów stawić czoło

wszystkiemu, byle tylko wyrwać z mojej duszy żal. Nie wiedziałem jednak, że ból zawsze atakuje z najmniej spodziewanej strony. Sądziłem, że ekspedycja wystawi na próbę moje umiejętności, podczas gdy w rzeczywistości zburzyła mój obraz świata. A najgorsze, że mimo to, mimo zyskania nieszczęsnej wiedzy, iż ład, jaki nami rządzi, jest równie pozorny jak fałszywy, nawet o włos nie przybliżyłem się do Słowa. „Jeszcze nie dość wycierpiałeś”. W owej karczmie zobaczyłem oblicze strachu inne niż to, które już poznałem. Albowiem jeśli wszystkie nieszczęścia, wszystkie okropności ekspedycji nie zmieniły mnie dostatecznie, to jakiego jeszcze poświęcenia trzeba, bym wreszcie ujrzał światło?

Owej nocy, gdy wypijałem dzban za dzbanem, rozmawiając oczyma z Ballesterem, nie wiedziałem, że już za chwilę nastąpi rzecz straszliwa: niebios runą na nas.



Teraz, oceany lat później, wspominam Boże Narodzenie 1713 z rozrzewnieniem większym, niż ów czas na to zasługiwał. Podczas służby na murach nękał nas straszliwy chłód. U naszych stóp sterczały oblodzone pale; za nimi ciągnęły się okopy wroga. Wiatr, deszcz, a nad nami ołowiane niebo, szare jak ośli brzuch. A jednak, gdy pełniliśmy wachtę na którymś z owych zakotwiczonych w ziemi okrętów, jakimi były bastiony, otuchy zawsze dodawał nam widok miasta, którego przyszło nam bronić.

Od początku oblężenia czerwoni aksamitnicy całą uwagę skupili na swojej obsesji: bezpieczeństwie publicznym, któremu nie sprzyjały pograżone w ciemności ulice. Zarządzili, by po zapadnięciu zmroku barcelończycy stawiali w oknach i na balkonach zapalone latarnie i świece. Wystarczyło się odwrócić i oczom wartownika ukazywało się morze świateł. W te święta lamp było więcej niż kiedykolwiek. Czerwone, żółte i niebieskie szkiełka rzucały na miasto migotliwy tęczyowy blask.

Nadszedł rok 1714 i niewiele się zmieniło. Minęły trzy miesiące, cztery, pięć; i nic. Wybuchła wiosna i wszyscy, ze mną na czele, zaczęli mieć już dość tego oblężenia. Nie działo się nic prócz jakiejś potyczki od czasu do czasu. Wolnych dotąd mieszczan, poddanych rygorom militaryzacji, z wolna ogarniała nuda i zniechęcenie. W Bazoches tak długie oblężenie oznaczało klęskę. Więcej nawet: niewybaczalny i niepojęty błąd. Popoli powinien był nas zmieść w ciągu tygodnia, a nawet nie odważył się na otwarcie tranzei.

Słowem, próbuję wam powiedzieć, że wiosną 1714 zaczynałem tracić cierpliwość. Wszyscy czuliśmy to samo. Wyjątek stanowił don Antonio de Villarroel. Wśród moich obowiązków jeden był szczególnie uciążliwy: musiałem towarzyszyć mu podczas każdej inspekcji stanowisk bojowych, nawet tych najdalszych. Bastion za bastionem, kurtyny murów ciągnące się pomiędzy nimi. Nigdy nie był zadowolony. Tu brakowało żołnierzy, tam armat, ówdzie niezalutana bresza. Dziewiętnastego maja, kiedy znowu robił mi o coś awanturę, przerwało nam bombardowanie silniejsze niż zazwyczaj.

Z bastionów niemal co dnia widywaliśmy paszcze burbońskich armat rozświetlające okopy niemym błyskiem. Potem rozlegał się stłumiony świst i głośne trik-trak uderzającej w mury kuli. Tym razem było inaczej. Strzelali wysoko, tak wysoko, że pociski przecinały niebo ponad naszymi głowami, po czym spadały na miasto, na dachy, ściany i fasady domów od zachodniej strony.

– Zgłupieliście!?! – krzyknąłem. – Hej, tu jesteśmy! Tutaj! Z dupy strzelacie?

Kanonada trwała, przez cały czas tak samo chaotyczna. Moja wściekłość rosła. Villarroel kazał mi być cicho. Prędzej ode mnie pojął w czym rzecz.

– Wiedzą, co robią – powiedział.

– Don Antonio – zaprotestowałem. – Przecież kule przenosi nad nami.

Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do sztabu. Pospieszyłem za nim. Wreszcie mnie oświeciło. Bombardowali miasto!

To ja latami uczyłem się w Bazoches, jak zdobyć twierdzę tak, by zginęło w niej mniej ludzi niż w wypadkach przy budowie wałów obronnych, a ten rzeźnik Popoli, zamiast burzyć mury, kieruje działa na domy cywilów. Była to rzecz tak niezwykła, tak jawne, plugawe i brutalne pogwałcenie najświętszych zasad Vaubana, tak wyzute z najmniejszego śladu człowieczeństwa, że nie mogłem w to uwierzyć. Kiedy bieглиśmy ulicami, olbrzymia kula uderzyła w czteropiętrowy budynek. Fasada osunęła się, a pośród hurgotu kamieni i belek usłyszałem krzyk małej dziewczynki.

Cierpienie dziecka budzi niepowstrzymaną chęć odwetu. Zawróciłem i w jednej chwili znalazłem się na szczycie bastionu. Pamiętam, że chwyciłem lunetę i spojrzałem na pozycje burbończyków. Przesuwałem wzrok po parapetach z faszyny, za którymi tkwiły armaty. W dymie wybuchów i krzątaniu artylerzystów szkło soczewki wyłowiło nieruchomą sylwetkę. Człowiek ów także mnie obserwował. Przyglądaliśmy się tak sobie przez chwilę. Potem on pomachał do mnie ręką. Szydził z naszego bólu. Rozpoznałem go od razu: to był Verboom, ten wieprzek Verboom.

Odbyła się nadzwyczajna narada z udziałem Costy i innych wyższych oficerów. Wszyscy byli wzburzeni, tylko Costa nie dał się ponieść emocjom. Żując nać pietruszki, ozwał się tym swoim monotonnym głosem, tak beznamiętnym, że aż apatycznym:

– Strzelają z armat o dalekim zasięgu. Ale doniesie co najwyżej do Ribery, bo to najbliżej murów. Bateria składa się tylko z trzech dział.

Nie mogłem się powstrzymać od egoistycznej uwagi:

– Akurat tam mieszka moja rodzina.

Kilku oficerów domagało się wysłania dwóch batalionów w celu zniszczenia baterii. Inni uważali, że wróg chce nas sprowokować do przedwczesnego ataku, żeby wojsko wyszło z miasta. Część żądała wysłania poselstwa do księcia Popoli z oświadczeniem, że jeśli nie zaprzestanie bombardowania cywilów, zaczniemy wieszać jeńców. Nasz przeżuwacz pietruszki jako jedyny wpadł na rozwiązanie najprostsze: ponieważ nasze najcelniejsze działa miały znacznie mniejszy zasięg, należało zmniejszyć dystans pomiędzy nimi a baterią burbończyków, a następnie ją zniszczyć. Jak to zrobić? Wyprowadzić z miasta jeden oddział artylerii.

– Ale wówczas wróg otworzy ogień – zaoponowałem.

Odpowiedział mi we właściwy sobie sposób:

– A po co wymyślono piechotę, jak nie do ochrony artylerii?

Nigdy nie było wiadomo, czy Costa żartuje, czy mówi poważnie. Zajrzał do swojej sakwy; nie znalazł pietruszki, więc dodał niepocieszony:

– Dajcie moim Majorkanom osłonę przez dziesięć minut. Nie potrzeba nam więcej.

W rzeczywistości wystarczyło pięć. Don Antonio wydał rozkaz dwóm batalionom, które wyszły z miasta jak na paradę, maszerując równym krokiem do wtóru dwudziestu bębnow. Burbończycy stanęli przeciw nim w dwakroć większej sile. Dali się nabrać i wyszli przed linię okopów. Tymczasem Costa, korzystając z zamieszania, wyprowadził sześć armat. Na głowy obsługujących wrogą baterię kanonierów posypały się armatnie kule. Majorkanie zaprzęgli lekkie działa do wózków i wrócili za mury Barcelony, sprzątnąwszy księciu Popoli sprzed nosa trzy śmiercionośne kolubryny.

Rozdrażniony, przegrupował artylerię i zacieśnił nieco kordon. Z tej odległości mogli dosięgnąć całego miasta oprócz wąskiego pasa nad brzegiem morza. Atak z 19 maja to było nic w porównaniu z tym, co czekało nas teraz. Tak rozpoczęło się bombardowanie Barcelony. Stałe i regularne, ciągnące się miesiącami, we dnie i w nocy.

Wojskowy terrorizm rozkochany jest w zniszczeniach na wielką skalę. Ciasne uliczki biegnące wśród wysokich domów tworzyły w mieście wąwozy, stanowiące pokusę aż nazbyt wielką. Nieprzyjaciel, z uciechą dziecka deptającego mrowisko, zasypywał nas gradem bomb. Dotąd mam przed oczyma tłumy uciekających cywilów i ściany pękające niczym nabrzmiałe ropą krosty.

Dla barcelończyków – piekło. Dla księcia Popoli – zimne wyrachowanie. Kalkulował, że ludzie, przerażeni, sami zmuszą rząd do otwarcia bram. Odkładając na bok emocje, trzeba przyznać, że nie było to rozumowanie pozbawione racji. Czy opłacało się bronić kosztem naszych domów i katedr, kosztem własnego życia? Barcelony bronili ochotnicy walczący dla swoich bliskich. Po co trwać w uporze, skoro mogą przez to zginąć? A jednak Popoli omylił się w swoich rachubach. Mieszkańcy katalońskiej stolicy postąpili wbrew jego podstępnej logice.

Tak samo uczynił niżej podpisany Martí Zuviría, inżynier biegły w chłodnych kalkulacjach. Dobrze znałem barbarzyństwo wroga, wiedziałem, że nie cofnie się przed niczym, i właśnie dlatego moim obowiązkiem było nawoływać do opamiętania. Dlaczego tego nie zrobiłem? Nie wiem. Może zaszliśmy już za daleko. Bazoches to jedno, a rzeczywistość za jego murami to drugie. Świat się zmieniał, racjonalna postawa markiza już nie miała w nim racji bytu.

W gruncie rzeczy manewr księcia Popoli świadczył o jego bezsilności i frustracji. Bombardowanie nie nadważyło wiary w obronę, lecz ją wzmocniło, albowiem ludzie pojęli w lot, że Popoli bombarduje miasto, gdyż nie potrafi go zdobyć. I jeszcze jedno: my nie, ale on już wiedział, że w obliczu jego nieudolności w Madrycie zapadła decyzja o zmianie na stanowisku dowódcy i że nigdy nie wejdzie do Barcelony jako zwycięzca. Upokorzony Popoli wyżywał się na barcelończykach. Grad armatnich kul spadał na miasto w przerażających

interwałach, dokładnie co kwadrans, bez przerwy, miesiąc za miesiącem, a przemienione w zwały gruzów ulice już tylko pamięć mogła rozpoznać.

Dawna Barcelona, tak niegdyś frywolna i radosna, teraz umęczona atakiem z powietrza. Bomby nienawidzące intelektu i duku: jedna trafiła w redakcję poczytnego „Dziennika Oblężenia” i zabiła jego właścicieli oraz redaktorów. Bomby ateistyczne: kula przebiła rozetę kościoła Matki Boskiej Sosnowej w środku mszy, dokonując rzezi wśród wiernych. I wreszcie bomby nocne, ślepe i głupie, albowiem jedna zabiła trzech agentów Filipa, gdy rozwieszali paszkwile na murach. Rozniosła ich na strzępy. Pewnego ranka natknąłem się na przyklejony do fragmentu ściany pędzel. Moją uwagę przykuło to, że pędzel wciąż tkwił w ręce oderwanej od ramienia na wysokości łokcia. Cóż, brygada czyścicieli nie spieszyła się z jej usunięciem, ku przestrodze wszystkich zdrajców.

Zarządziliśmy ewakuację mieszkańców: jedni schronili się na plaży, inni na szczycie Montjuïc, bo tylko tam bomby nie sięgały. Niewiele więcej mogliśmy zrobić. Na Montjuïc przeniosła się zamożna mniejszość, ci, którzy mogli wysłać służbę po zakup żywności. Tymczasem na plaży powstało ogromne obozowisko wygnańców. Najpierw pojawiły się tysiące sienników, potem rozpięto nad nimi namioty, bardziej zaciszne i przytulne. Znać tam było kobiecą rękę, odwieczny instynkt upiększania. Zgrzebne płachty zakryto wywieszonymi na widoku wzorzystymi kapami i kotarami, wszystkim, co kto miał najlepszego w domu. Barwne kaszmiry i adamaszki pyszniły się w cichej rywalizacji, a wokół płóciennych bud rozstawiono rozmaite sprzęty i meble, z których wiele miało wymyślne barokowe kształty. To zrozumiałe, że ludzie zabrali ze sobą najcenniejsze rzeczy, by mieć je cały czas na oku. Boże, cóż to był za pejzaż! Płonące na piasku kuchenne ogniska, a tuż obok dębowe stoły na spiralnych nogach, lustra w bogatych ramach, masywne rzeźbione szafy, miękkie fotele, a czasem nawet jakaś wykwintna damska toaletka *toujours à la mode*.

Masowe bombardowania mają w sobie coś izokratycznego: pod gradem armatnich kul wszyscy stają się równi, bez względu na stan i majątek. Wzajemna bliskość i brak konwenansów wywołały skutek odwrotny do tego, co chciał osiągnąć Popoli. Ludzie, których nie dzieliły już ściany domów, stworzyli pod gołym niebem zżytą społeczność. Stłoczeni razem na owej plaży, poczuli się zjednoczeni bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Dzieciaki biegały po piasku, kobiety gotowały przy wspólnych paleniskach, starcy gawędzili, paląc tytoń. Jedynie mężczyźni w sile wieku stanowili tam rzadki widok.

Pomiędzy plażą a murami rozciągało się miasto opustoszałych ulic i porzuconych domów, ukazując oczom przechodnia widok niezwykły: podmuchy bomb otwierały drzwi na oścież i zdierały z kamienic maski fasad, odsłaniając wnętrza mieszkań, w których łóżka i inne sprzęty wciąż stały na swoim miejscu. Ludzie nie mogli zabrać ze sobą wszystkiego, więc tyle bezpańskiego dobra

stanowiło nie lada pokusę. Czerwoni aksamitnicy, tak zawsze rozmiłowani w porządku i bezpieczeństwie, natychmiast wysłali do miasta oddziały straży, przyznając im władzę nad życiem i śmiercią przestępców wszelkiego autoramentu.

Jednym z pierwszych rabusiów, którzy wpadli w ręce strażników, był niejaki Cigalet (przydomek ów można przetłumaczyć jako Chujek). Po doraźnym procesie skazano go na stryczek, a wyrok został wykonany natychmiast, ku przestrodze ogółu. Nie miałoby to większego znaczenia, gdyby nie to, że Chujek był osobistością znaną powszechnie – przypadek sprawił, iż owym pierwszym schwytanym na gorącym uczynku rabusiem okazał się nasz miejski kat. Musiał go powiesić jego pomocnik, a zarazem narzeczony córki. Chujek zniósł egzekucję znacznie lepiej niż jego przyszyły zięć. Wstępując na szubienicę, przekomarzał się z gawiedzią. Ludzie dodawali mu otuchy żarcikami i wesołymi docinkami. „Pamiętaj, że awansowałeś dzięki mnie”, powiedział Chujek do zięcia, gdy ten zakładał mu pętlę na szyję. Zięć wiesza teścia. Cóż za przepyszna scenka! Zastanawiam się, jak wyglądała jego noc poślubna.

Nieszczęsny Chujek miał przynajmniej uczciwy proces. Z innymi tak się nie patyczkowano. W Barcelonie stały trzy pręgierze; pojmanego przez straż złodziejaska rozstrzeliwano przy tym, który znajdował się najbliżej miejsca przestępstwa. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: w każdym obleżonym mieście stosuje się środki nadzwyczajne, ale rządy czerwonych aksamitników zestrajały się z burbońskim barbarzyństwem jak dwa koła obracające się na wspólnej osi.

Straż Pokoju rekrutowała się spośród najgorszych mętów. Nie mogło być inaczej, gdyż wszyscy uczciwi obywatele służyli w Coroneli, walcząc na murach. A do straży werbowano stręczycieli, naciągaczy, łobuzów wszczynających bójkę w knajpach, bezpańskich zbirów, ulicznych nożowników i pijaczków, którym zwidują się latające szczury. I takie szumowiny, ni mniej, ni więcej, miały strzec porządku. Wraz z blokadą portów ceny żywności poszybowały w górę. Rabusiami częściej powodował głód niż chciwość. A bandyci, z nakazu władz, mogli w majestacie prawa strzelać do głodujących ludzi.

Moja kochana, szpetna Waltraud prosi, żebym się tak nie żołądkował. A jak tu się nie żołądkować? Tworząc owe lotne patrole, czerwoni aksamitnicy powoływali się na potrzebę zachowania spokoju i ładu; „olimpijskiego pokoju”, w ich pokrętnym języku. Też mi coś! Poczekajcie, zaraz wam opowiem, jak ów „olimpijski pokój” wyglądał.

Niebo waliło się nam na głowy, i to w sensie najbardziej dosłownym, a aż do ostatniego dnia straż pilnowała majątku botiflerów, którzy zdezerterowali do Mataró. Kiedy jakiemuś wychudzonemu chłopakowi albo ubogiej bezzębnej starowince udało się przez wyłom w murze zakraść do któregoś z owych pałacyków, stojący na czatach i uzbrojeni przez rząd zbóje chwyтали ich, przywiązywali do pręgierza i rozstrzeliwali. Burbończycy zabijali nas z za murów,

wewnątrz murów – czerwoni aksamitnicy. Ot i cała prawda.

Żadna forteca nie ma dachu. A z naszego nieba spadała na nas burza ognia. Kiedy już nastąpił koniec, siedem na dziesięć domów w Barcelonie było zburzonych albo podziurawionych przez kule. Tylko przez pierwsze dwa miesiące bombardowania na pięćdziesięciotysięczne miasto spadło 27 275 pocisków wielkiego kalibru. Tak więc każdego z barcelończyków Filip V obdarował połową armatniej kuli.

Nawet dziś zadaję sobie pytanie, kto był owym skrupulatnym rachmistrzem, który to wszystko liczył. Wyobrażam go sobie na szczycie jakiejś dzwonnicy, jak z tabliczką i rysikiem, znudzony, beznamiętny, notuje za pomocą krzyżyków i kresek kolejne trafienia. Stąd zapewne wzięło się porzekadło: „Kto nie ma pracy, ten liczy bomby”.

Tymczasem dotarły do nas wieści z drugiej strony. Popoli miał wkrótce zostać odwołany ze stanowiska dowódcy wojsk oblegających Barcelonę. I chociaż dziwnie to zabrzmiało, nic gorszego nie mogło nas spotkać.

Chcąc kimś zastąpić nieudacznika, Filipek ubłagał dziadka, by przysłał mu francuskie posiłki pod wodzą swego najlepszego generała. Zgadnijcie kogo? Nie mógł to być nikt inny niż najwierniejsza, niezwyciężona dotąd królewska szpada, postrach wrogów Ludwika XIV, marszałek spod Almansy – Jimmy.

Według naszych szpiegów miał już przekroczyć Pireneje, wiodąc za sobą kwiat francuskiego wojska. Posuwali się wolno z powodu złego stanu dróg, zrytych przez potężny tabor artylerii, który – na nasze nieszczęście – ciągnął przed nimi.

Dowiedziawszy się o tym, poczułem, że w piersi braknie mi tchu. Jimmy. Jego bezduszne wyrachowanie, jego nieubłagana determinacja. Tysiąc razy wolałbym mieć za przeciwnika Szatana we własnej osobie. Dlaczego? Otóż dlatego, że Jimmy walczył tylko wtedy, kiedy sprzyjał mu los.

Don Antonio przekazał nam owe wieści na naradzie głównych dowódców. Nasi agenci musieli być z zawodu rachmistrzami, albowiem wyliczył nam, jeden po drugim, wszystkie francuskie bataliony idące w ślad za koniem Jimmy'ego. Pamiętam ciszę, jaka potem zapadła. Każdy oficer z odrobiną oleju w głowie rozumiał, co to znaczy. Nikt tego nie powiedział głośno, ale w powietrzu unosiło się jedno pytanie: „I co teraz?”.

Tamtej nocy don Antonio dał mi wolne. My też przenieśliśmy się nad morze, do budy skleconej ze starych ubrań. Dla barcelończyków nuda jest gorsza od choroby, więc z zapadnięciem nocy plaża zmieniała się w scenę, na której jedna czy dwie kapele uprzyjemniały czas tymczasowym wygnańcom. Przyznam, że przy kolacji, którą zjadłem na brzegu w towarzystwie gromadki dzieci, karłów i staruszków, humor nieco mi się poprawił.

Później Amelis i ja poszliśmy do namiotu, ale byłem tak wyczerpany, że nie

miałem siły na miłość. Za łóżko służyły nam dwa koce: jeden na wierzchu, drugi pod spodem, wprost na piasku, który musiał zastąpić nam siennik. Zabraliśmy ze sobą niewiele rzeczy, lecz przy poduszce Amelis stanęła na poczesnym miejscu pozytywka. W tym ubogim schronieniu jej dźwięki niosły nam osobliwą pociechę.

Streściłem Amelis przebieg wojennej narady.

– Dobra wiadomość jest taka, że oblężenie szybko się skończy – powiedziałem.

– Poddamy się?

Wydawało mi się, że nie zrozumiała.

– Już teraz we wszystkim mają nad nami przewagę – odparłem – ale kiedy nadejdą francuskie posiłki, nierówność sił stanie się ogromna. Poślemy trębacza, żeby z nimi paktować i uzyskać honorowe warunki, a na pewno poszanowanie życia i własności mieszkańców. Jimmy nie będzie się sprzeciwiał.

– I to wszystko?

– Broniliśmy się dzielnie, ponad zwykłą powinność – dodałem nie bez dumy.

Skrzywiła się, ale milczała.

– Co z tobą? – burknąłem. – Jeśli to się skończy teraz, zachowamy nasz dom. Bo przy takim bombardowaniu artyleria zburzy go prędzej czy później.

Owinęła się kocem i ostentacyjnie odwróciła plecami.

– Gdzieś mam ten twój pokój – prychnęła. – I po to sterczeliście przez rok na murach? Żeby po odejściu Hiszpanów potulnie otworzyć bramy Francuzom?

– Powiedz to czerwonym aksamitnikom – warknąłem. – Bo to oni wykupili całą żywność, a teraz ją sprzedają dziesięć razy drożej. Biedacy już tracą siły. Wczoraj szedłem z Castellvím, tym intelektualistą, kapitanem welurników, i widzieliśmy, jak na środku ulicy zemdlął jakiś staruszek. Nic mu nie dolegało, zasłabł z głodu.

Amelis odwróciła głowę na poduszce i powiedziała:

– A kiedy go już ocuciliście, zapytałeś go, czy chce się poddać?

– On tylko chciał jeść!

Zdmuchnęła świecę.

Przez cały następny dzień nasz poczciwy Zuvi był nienaturalnie milczący. Ograniczyłem się do wydawania suchych rozkazów. Pierwszy zauważył to Ballester. Stałem zamyślony na dziobie bastionu, kiedy podszedł do mnie i z właściwą miqueletom grzecznością zapytał:

– Co jest, do chuja?

Nie było powodu ukrywać przed nim, co mnie dręczyło, więc zwierzyłem się z moich rozterek. Odpowiedział z typową dlań fanfaronadą, że zje wątrobę Berwicka, duszoną z gruszkami i brukwią. Parsknąłem znużonym śmiechem.

– Nie znasz waść Jimmy’ego... Marszałka Berwicka – poprawiłem się zaraz.

– A waść go znasz? – zadrwił.

– Trochę. – W okopach panował spokój, więc przysiedliśmy na krawędzi bastionu. – Jimmy to oportunistą. Nie przyjąłby dowództwa, gdyby nie miał pewności, że dobrze się przysłuży swemu panu, a dla siebie zdobędzie kolejny laur. Prowadzi doborowych francuskich żołnierzy. Przy odpowiednim wsparciu i pod dobrym dowództwem nikt ich nie powstrzyma. To koniec.

Nie spodziewałem się odpowiedzi. Lecz Ballester skoczył na równe nogi i stanął przede mną.

– Wiesz co? – odezwał się swoim zwykłym tonem, rozwlekłym, zawziętym.

– Kiedyś ci zaufałem. Rzekłem sobie: „On jest inny. Może tam, w Barcelonie, znajdują się tacy, którzy nie są jak czerwoni aksamitnicy, może da się wykorzystać tę wojnę, żeby coś zmienić”. Dlatego tu przyszedliśmy, żeby nikt nie mówił, że tego dnia nas tu nie było. Zgodziliśmy się służyć pod twoim dowództwem. I teraz sam na siebie popatrz. Piszczysz jak przestraszona suka. A coś ty sobie myślał? To jest wojna! Są w niej lepsze i gorsze chwile, a ten, kto traci ducha przy pierwszym starciu, pokazuje, że nigdy nie powinien był jej zaczynać.

Stałem przed nim i wykrzyknąłem:

– Policz sobie! Kiedy przyjdzie Berwick, nie będziemy się już bić z nawarskimi wieśniakami. Razem z nim idzie tu kwiat królewskiego wojska, ciężkie armaty i tony amunicji. Dragoni, grenadierzy i wyborowe oddziały z nad Renu. Mury są w żalnym stanie, prawie całe miasto legło w gruzach. Bronią go cywile, w większości wycieńczeni i głodni. Doskonale wiem, co zrobi Jimmy, i wierz mi waść: albo pošlemy do niego trębacza, albo nas zmiażdży.

Ballester słuchał mnie, sapiąc głośno.

– Teraz widzę, że w głowie nie masz waść nic oprócz cyferek – powiedział.

– Te cyferki to liczba tych, którzy już ponieśli śmierć w oblężeniu! – wykrzyknąłem oburzony. – Ilu jeszcze ma umrzeć? Sam straciłeś dwóch ludzi w tamtej niesławnej ekspedycji. Chcesz waść, żeby zginęli wszyscy?

Uderzył pięścią w mur.

– Chcę, żeby ich śmierć na coś się przydała!

Podniosłem głos jeszcze bardziej.

– Miasta broni się po to, żeby ochronić dzieci, kobiety i kościoły! Dalszy opór oznacza dla nich zagładę! Walczymy, żeby miasto ocalić, nie zniszczyć.

– A konstytucje i wolności? – zapytał. – Kto je ocali?

– Nie wiem! – odparłem, rozkładając ręce. – Pogadaj waść z Casanovą, z politykami. Ja jestem inżynierem.

Nigdy nikt na mnie nie patrzył z takim wyrzutem i gniewem.

– Ja nie gadam z politykami ani z inżynierami, gadam z ludźmi – oświadczył i zakończył dobitnym szeptem, bez wątplenia nieświadomy filozoficznej głębi własnych słów: – Ale w tym mieście trudno ich znaleźć.

Odszedł, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Przez następne dni nasze stosunki były bardziej napięte niż zwykle. Nie próbowałem go nagabywać. Kiedy wpadaliśmy na siebie, udawałem, że go nie widzę. Odmówiłem dowodzenia jego ludźmi. Ballester uznał to za obrazę. I tak było. Jego sprawa, rzekłem sobie. Lecz brak naszych codziennych kłótni, owych szorstkich, a zarazem gładkich polemik, zamiast łagodzić sytuację, tylko ją pogarszał.

W pewien sposób odzwierciedlaliśmy nastroje panujące w mieście. Wiadomość o tym, że marszałek Berwick idzie na Barcelonę ze swoim wojskiem, szczególnie, co zrozumiałe, przyczyniła się do podniesienia morale. A z zagranicy docierały do nas jedynie mgliste obietnice. Liściki Karlangasa wychwalające naszą wierność i męstwo. Dyktował je zapewne w chwilach, gdy figlował ze swoją królową, nie szczędząc wysiłku, by „zapewnić tak upragnioną sukcesję”.

Któregoś dnia towarzyszyłem don Antoniowi na spotkaniu z przedstawicielami władz. Chciał unaocznić im słabość naszej obrony, a ja miałem mu w tym pomóc. Przyjęto go chłodno, lodowato.

Czerwonych aksamitników trudno zrozumieć. Z zasady byli płaksami, skłonny do paniki i czarnowidztwa. Sądziłem, że wykorzystają mój raport, by przekonać niezdecydowanych. Stało się wręcz przeciwnie. Nawet nie zechcieli mnie wysłuchać. A Casanova niemal przewiercił mnie na wylot tymi swoimi czarnymi oczkami.

Byłem wówczas bardzo młody. Sprawy publiczne niewiele mnie obchodziły, liczyła się tylko budowa fortyfikacji. Jednakże tamtego dnia po raz pierwszy w życiu dane mi było obserwować z bliska, jak się robi politykę.

Casanova nie chciał walczyć, nigdy nie chciał. Jeżeli śledziliście uważnie tę opowieść, wiecie, że uczynił wszystko, co tylko możliwe, żeby nie dopuścić do zamknięcia bram i uzbrojenia miasta. Dlaczego zatem tak zaciekle bronił powstańczych racji, a przynajmniej uznawał ich wyższość?

Aby to zrozumieć, trzeba było patrzeć nie w górę, lecz w dół. We Francji pod panowaniem Potwora poddanych obowiązywało ślepe posłuszeństwo wobec króla. Ale nasze stare obleżone miasto, zamieszkiwane przez niesforny, buntowniczy lud, przypominało raczej ateńskie polis niż Spartę, a władza robiła to, czego chcieli obywatele. Casanova wiedział, że nie może zlekceważyć ich woli. Co myślał naprawdę? Trudno dociec. Ja zakładałam – choć są to jedynie moje przypuszczenia – że intencje miał zacne. Być może postanowił przeczekać do czasu, gdy nadarzy się sposobność, by to wszystko zakończyć, zanim stanie się najgorsze.

Don Antonio dodał od siebie tylko kilka dobitnych słów jako podsumowanie mojej przemowy. Podkreślił, że Berwick ma nad nami miażdżącą przewagę,

a ratusz powinien być świadomy skutków swoich decyzji. Tu muszę skonstatować fakt pozornie błahy, choć – tak między nami – nie bez znaczenia: don Antonio nie mówił po katalońsku.

Jak wszyscy wykształceni Katalończycy, czerwoni aksamitnicy doskonale znali hiszpański. Kiedy rozmawiali z don Antoniem, przez szacunek zwracali się do niego w tym języku. Ale Katalończycy mają w sobie jakiś wewnętrzny przymus, jakąś trudną do przezwyciężenia niechęć, by we własnym gronie używać mowy innej niż rodzima. Tym sposobem don Antonio tracił spore fragmenty debaty. Podjąłem się więc funkcji tłumacza i szeptałem mu do ucha to, co mówili, gdy ponosiły ich emocje, a bywało tak nader często. Wszelako znacie już poczciwego Zuviego: kiedy dyskutanci się zacierzowali, szlag mnie trafiał i zamiast tłumaczyć ich słowa, zaczynałem się wdawać w polemikę. Rajcy zgadzali się co do jednego, a mianowicie, że należy podjąć „działania nadzwyczajne”. A owe „działania nadzwyczajne” polegały na zorganizowaniu zbrojnej wycieczki, żeby dodać ludziom otuchy. Błyskotliwy pomysł, nie ma co!

Było to zwykłym szaleństwem. Gdyby atak się nie udał, w co trudno wątpić, morale spadłoby jeszcze bardziej. Niemniej jednak, godząc się na wyprowadzenie ludzi z miasta, don Antonio mógł udowodnić, że nie zamierza być kimś więcej, niż był: wojskowym komendantem w służbie rządu. Usłuchał, wbrew własnemu przekonaniu.

W wojsku, podobnie jak w ludzkim ciele, włókna nerwowe są niewidoczne i przekazują informacje z góry na dół. Skoro oficerowie wątpili w sens owej wycieczki, to czy żołnierze mogli im zaufać? Wszystko odbyło się na łapu-capu, a skrupiło się również na mnie. Rozkazy wydawano w pośpiechu i były niejasne. Zrozumiałem, że wraz z innymi mam ruszyć do ataku, podczas gdy w rzeczywistości don Antonio chciał, żebym pilnował porządku na tyłach, czyli całej tej gromadki księży i cyrulików zajmujących się rannymi, oficerów łapiących tych, którzy próbują dać drapaką i trzeba ich zagnać z powrotem na rzeź... Sami wiecie.

Oddział, w liczbie tysiąca żołnierzy, zgrupowano przy trzech bramach. Mieli wyjść za mury, połączyć się i razem uderzyć na kordon. Przerwać go i wycofać się do miasta. Nastraszyć tamtych, pokazać im, że nie boimy się Berwicka. Mówiłem, że to bezdena głupota. Jimmy jeszcze nie dotarł i figę go to wszystko obchodziło. Burbończycy już nas znali, a tak ograniczony atak nie dawał nic poza okazją do rzezi. Boże kochany, jak strasznie jest umierać, gdy wiosenne słońce tak pięknie świeci.

Atakując w chwiejnym szyku, masz wrażenie, że pakujesz się w pułapkę. Ogarnia cię zwątpienie i nieufność. I rzecz nie w tym, co oficerowie mówili, ale w tym, czego nie powiedzieli. Poza ustawianiem żołnierzy w ordynku, krzykiem, nie robili nic, by przekonać ludzi, że wierzą w zwycięstwo. Wyprowadzali mnie

z równowagi księża biegający z kropidłem wzdłuż szeregów i nieskładnie mamrocący po łacinie. Dostrzegłem Ballestera i jego chłopców.

– No, no, waszmość tutaj – powitał mnie z ironią. – Cieszysz się, że posyłasz nas do rzeźni?

– Nie ja – odparłem. – To nie ja chciałem się tak głupio bić, tylko waszmość. Nie pamiętasz? Atakujmy, atakujmy, atakujmy! No to masz ten swój atak!

Popchnąłem go do szeregu. Na Ballestera ręki się nie podnosi. Odwrócił się i walnął mnie na odlew w twarz, dodając przy tym kilka słów o mojej matce. Wystarczyło, żebym wpadł w furję.

Pisałem już, że ostatnio nasze stosunki nie były najlepsze. W dodatku poprzedniego wieczoru po tym samym policzku pogłaskał mnie swoją drobną rączką Anfán. Dzieciak bardziej szorstki niż jeź. Po tylu latach wreszcie usiadł mi na kolanach. Była północ. Wracałem ze służby, zmęczony i brudny. Chłopiec czekał na mnie, czuwając, choć oczy kleiły mu się do snu. Przypadł do mnie. „Szefie, szefie! Ilu wrogów dzisiaj zabiłeś?”. A teraz, gdy za chwilę mogłem pożegnać się z tym światem, moim ostatnim wspomnieniem miał być dotyk wielkiego łapska tego fanatycznego gbura.

Zwinąłem dłoń w pięść i zaprawiłem go w szczękę potężnym lewym sierpowym. Kostkami palców wyczułem, że gęsta broda zamortyzowała uderzenie. Ballester szybko ochłonął i oddał cios. Cudowny spektakl na moment przed bitwą: dwóch oficerów załatwiających pięściami swoje porachunki na oczach stojącego w szyku wojska. Wrzeszcząc i okładając się na oślepe, runęliśmy na ziemię. Kiedy nas rozdzielili, jakiś głos powiedział:

– Aresztować go, pułkowniku-lejtnancie?

– Żeby się wymigał od walki? – odparłem, spluwając krwią. – Nie ma mowy. Stanie razem z innymi!

Ruszyliśmy do ataku. Każdy batalion w kurtkach innej barwy, wszyscy kolorowi jak umaczone w farbie pędzle. Wesołe wojsko naprzeciw bieli burbońskich szeregów.

To była jedna wielka katastrofa. Bębny, miast dodawać mi ducha, napawały niepokojem. Zawsze, ilekroć słyszałem owo bum, bum, bum, żołądek podchodził mi do gardła. Z okopów zaczęto strzelać do nas z armat. Ludzie padali. Zostawialiśmy ich za sobą, ich oraz ich krzyki, tak jak rufa okrętu zostawia za sobą smugę piany. I te świsty, te świsty pocisków przefruwających obok ucha, a ty nie wiesz, czy następny nie rozłupie ci czaszki, która rozbryźnie się jak rozdeptany pomidor.

Wojskowa dyscyplina i cywilne braterstwo to nie to samo. Wyćwiczony żołnierz idzie naprzód, niewzruszony, choćby szalały nad nim żelazne nawałnice. Co innego wojacy z Coroneli. Obok nich, z lewa i z prawa, szli ich ojcowie, ich dzieci, ich bracia. Trzy pokolenia maszerowały ramię w ramię. Gdy komuś urwało

rękę albo pół głowy, ci, którzy byli najbliżej, zatrzymywali się, żeby mu pomóc. Ja, wypełniając swą ponurą misję, odciągałem ich siłą i poganiałem:

– Naprzód! Naprzód! Nie marudzić! To robota dla cyrulików.

Nie potrafili zrozumieć, że łamią szyk. Pochylali się nad rannymi, przerażeni, a reszta potykała się o jednych i drugich. Wszyscy na siebie wpadali, w szeregach panował bałagan, a ja wydzieriałem się daremnie, bo ani mnie nie słyszeli, ani nie słuchali. Byliśmy w rozsypce.

Boże, jak ja się ucieszyłem na dźwięk trąbek wzywających do odwrotu. W głowie kołatała mi się jedna jedyna myśl: „Zrobiliśmy swoje, chodźmy już!”. Do tej chwili szedłem równo wraz z innymi. Gdy zmierzając do domu, chciałem przyspieszyć kroku, zauważyłem, że nie władam lewą nogą.

Po całej łydce, aż do kostki, rozlewała się wielka czerwona plama, która przesiąkała przez spodnie. Jak to często bywa, w zapale walki nawet nie poczułem bólu. Udo miałem przestrzelone. Wlot i wylot były wyraźnie widoczne mimo tryskającej strumieniem krwi. Coronela uciekała, a ja pozostałem z tyłu, podskakując jak kulawa kaczka i pokrzykując komicznie „aj, aj, aj!”. Dla Ballestera, który oddalał się szparkim krokiem, nadeszła chwila zemsty.

– I co teraz? – zapytał. – Powinniśmy zatrzymać się, żeby zabrać rannych? Czy mamy sobie iść? Jak waszmość wolisz?

Ten jeden jedyny raz moje osobiste interesy przegrały z emocjami i złością, albowiem zamiast prosić o pomoc, krzyknąłem doń coś o dziurze, którą wydostał się na świat. Przeczekaliśmy jeszcze kilka bomb i każdy ruszył w swoją stronę. Boże, cóż za sromotna rejterada! Niektórzy nawet ciskali na ziemię karabiny, byle szybciej uciekać. Ich jedyną myślą było dotrzeć pod osłonę naszych dział, bo tam konnica nie odważyłaby się ich ścigać.

Burbońscy kawalerzyści krążyli coraz bliżej mnie. Wiedziałem, że nie zdołam dopaść bram czy choćby palisady. Położyłem się w jakiejś rozpadlinie, twarzą do ziemi, i udawałem martwego. Kiedy nadejdzie noc, podczołgam się cichutko do murów. Potrzebowałem jedynie odrobiny szczęścia.

No cóż, szczęścia mi zabrakło. Nad moim maleńkim naturalnym okopem dostrzegłem kątem oka dwóch żołnierzy. Zamierzali się bagnetami, żeby mnie przebić i upewnić się, że nie żyję. Co miałem począć? Odwróciłem się na plecy i wrzasnąłem:

– Jestem pułkownikiem-lejtnantem w służbie jego wysokości Karola III! Zaprowadźcie mnie do komendanta, a sownie was wynagrodzę.

Kiedy zatrzasnęły się za mną wrota burbońskich umocnień, wciąż jeszcze nie mogłem w to uwierzyć. Zjadłem śniadanie w domu, a zaledwie kilka godzin później znalazłem się w obozie wroga, ranny, aresztowany i pod strażą.

Jeńców wzięto niewiele, co dowodzi, że dwie krótkie, gnane strachem nogi

bywają bardziej przydatne niż dwie nogi długie, ale kulawe. Zauważyłem, że od początku oblężenia ulepszyli i wzmocnili wały.

Żołnierze, którzy mnie schwytali, obeszli się ze mną w miarę kurtuazyjnie. Dumni ze swojej zdobyczy, prowadzili mnie do dowódcy, gdy napatoczył się jakiś oficer o bardzo nieprzyjemnej gębie. Ujrzawszy mnie, rzucił kilka przekleństw i powiedział, co ma zamiar zrobić „wichrzycielom” z Barcelony. Wzruszyłem ramionami i odparłem po francusku:

– Nie zdążysz waść, bo wkrótce będziemy jeść kolację w Paryżu.

Miałem na myśli krążące po mieście pogłoski. Mówiono, że katalońscy dyplomaci paktują z Francuzami, żeby zawrzeć rozejm. Kapitan o wrednej gębie zrozumiał moje słowa zgoła inaczej. Sądził chyba, że pocziwy Zuvi chce w pojedynkę najechać Francję. Wyrwał karabin jednemu z żołnierzy i trzepnął mnie kolbą w nerki. Upadłem z bezsilnym krzykiem. Co on wyrabia? Popatrzyłem mu w oczy.

Gotowego na wszystko mordercę poznaje się po spojrzeniu. Może to był zwykły wariat albo oficer zdesperowany i zdziczały z powodu trwającego już rok oblężenia, nie wiem. Czołgałem się pod gradem ciosów w żebra, celnych i bardzo bolesnych. Rozpaczliwie wzywałem pomocy, lecz gdzie jej szukać w obozie wroga? To nie było zwykłe bicie, on się nade mną pastwił. Wściekłe uderzenie w łędźwie sprawiło, że przed oczami zatańczyły mi żółte punkciki. Zabije mnie, zabije. Próbowałem uciekać na czworakach, ale następny cios rozciął mi głowę.

Pod koniec nawet nie czułem bólu. Dźwignąłem się na kolana. Dostałem kolbą między łopatki. Upadłem znowu, lecz przedtem zdążyłem dostrzec stojącego na szczycie wałów mężczyznę, który przez lunetę obserwował miasto i opustoszałe już pole bitwy.

Znałem tę sylwetkę. Oblicze raczej dumne niż łaskawe; poza pełną wyższości wobec wszystkiego, co pospolite, postać wspaniała, owiana jakąś nieodpartą aurą. Rzekłem sobie: „Martí, to nie może być on, ten człowiek umarł”. Znów spróbowałem powstać. Majak, nie majak, i tak nie miałem nic do stracenia. Klęcząc w błocie, wyciągnąłem rękę i zawołałem:

– *Monseigneur de Vauban!*

Powoli odwrócił głowę, nie odsuwając od oczu lornetki.

– *C'est moi! Votre élève bien aimé de Bazoches!*

Spojrzał na mnie z wysoka, marszcząc brwi.

– *C'est qui?* – zapytał.

– *Moi!* – wycharczałem raczej, niż krzyknąłem. – Martín Zuviría!

– *Marten? C'est toi?*^[84]

Na jego twarzy, skupionej, badawczej, pojawił się nagle wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Zszedł ze wzniesienia i ruszył ku nam. Jednym spojrzeniem odprawił kapitana o wrednej gębie. Kiedy przyklęknął nade mną, w oczach już mi się mgliło,

nie odróżniałem kolorów.

Zawahał się. Z wielką delikatnością ujął mnie za nadgarstek i dyskretnie podciągnął mi rękaw, sprawdzając, czy mam wyklute na przedramieniu Punkty.

Chwyciłem go za wyłogi munduru i wyszeptalem:

– *Maréchal, quelle est la Parole? Dites-moi! S'il vous plaît, la Parole!*^[85]

Nie był to, rzecz jasna, markiz, lecz jego kuzyn, Dupuy-Vauban, którego – jak zapewne pamiętacie – poznałem, kiedy gościł w Bazoches. Ten sam, który pewnego dnia powiedział do markiza: „Dobry Boże, obym nigdy nie musiał spotkać Martiego po drugiej stronie okopów!”. Cóż, życie. A moja pomyłka nie była takim zupełnym przywidzeniem. Dupuy i markiz, blisko ze sobą spokrewnieni, podobni byli z twarzy, z postawy i z męstwa.

Zabrał mnie do swojego namiotu i podał kubek gorącego ponczu. Jego osobisty chirurg opatrzył mi przestrzeloną nogę.

– To czysta rana – powiedział Vauban. – Kula przeszła przez mięsień. Gdyby przebiła arterię, już byś nie żył. Wykrwawiłbyś się na śmierć.

Podciągnął mi rękaw. Chciał raz jeszcze policzyć wszystkie moje Punkty, bo przedtem dojrzał tylko te nad samym nadgarstkiem.

– Cztery – uprzedziłem jego pytanie. – Piąty nie został zatwierdzony.

Dupuy odparł dobitnie:

– Tak, słyszałem. Ale pamiętaj: zatwierdzony czy nie, zdobi twoją rękę. Bądź godny tego Punktu.

Wolałem zmienić temat. Co się dzieje na świecie?

– Marszałek Berwick nie dotrze tu prędko. Szliśmy razem, lecz pochod spowalniała artyleria i ataki miqueletów, dlatego poprosił mnie, żebym się wysforował naprzód i trochę tu rozejrzał. Cóż, z tego, co widzę, oblężenie jest prowadzone źle, bardzo źle. Ludzi ponoszą nerwy. Sam mogłeś się o tym przekonać.

Chciałem coś powiedzieć, ale położył mi palec na ustach.

– Posłuchaj mnie... Niestety, nie mogę pomóc ci tak, jak bym chciał. Na wiele rzeczy nie mam wpływu, dowództwo nadal jest w rękach Hiszpanów. Dobrze wiesz, jacy są podejrzliwi. Nie mogę im tak po prostu odebrać jeńca, w dodatku pułkownika-lejtnanta.

Już otwierałem usta, jednak znowu mnie uciszył.

– Milcz i słuchaj! Powiem ci, co będzie: przesłuchają cię, ale łagodnie. Tak, wiem, to okrutna wojna. Tortury zastąpiły kurtuazję. Nie obawiaj się, mam kogoś. Jest w służbie króla Filipa, ale to jeden z nas. Przesłuchanie odbędzie się przy kolacji. Nasz człowiek zajmie się tobą przez kilka dni, a potem przekażą cię mnie.

– Kto to? – zapytałem. – Francuz czy Hiszpan?

Uśmiechnął się, wskazując na płótno zasłaniające wejście.

– Pierwszy, który tu wejdzie i przemówi do ciebie językiem znaków. – Na odchodnym dodał jeszcze: – Można wiedzieć, co robiłeś w murach miasta obleganego przez naszego króla?

– Służyłem jako inżynier, panie – odparłem.

Jego odpowiedź godna była Punktów, które zdobył:

– Rozumiem – powiedział. I wyszedł.

Zostałem sam. Przestraszony tym, co się stało. W tak krótkim czasie wydarzyło się tak wiele, że nie mogłem zebrać myśli. Do namiotu bez przerwy ktoś wchodził, przeważnie słudzy Dupuya, meblujący jego dopiero co postawiony wielki namiot. Zajrzał też jakiś francuski oficer, by przekazać wyrazy szacunku kuzynowi sławnego Vaubana. A ja, z obandażowaną nogą, siedziałem w kącie, skulony na pryczy. Obserwowałem ich wszystkich bacznie w nadziei, że ktoś zwróci się do mnie w migowym języku inżynierów. Nic.

Późnym popołudniem zjawili się czterech hiszpańskich żołnierzy i jeden kapitan. Pomimo moich protestów wyprowadzili mnie z namiotu. Zachowywali się dziwnie; nonszalancko i trochę teatralnie, jakby ktoś ich do czegoś przymusił. Wlokąc mnie, rozglądali się na boki, jak gdyby się obawiali, że zobaczy ich ktoś z dowództwa. Bardziej przypominali porywaczy niż wykonujących rozkaz żołnierzy. To nie wróżyło dobrze.

Domy, nieszczęsnym zrządzeniem losu znajdujące się w miejscu, w którym założono obóz, zamieniono w magazyny i kwatery dla wyższych oficerów. Wepchnęli mnie do jednego z nich, stojącego nieco na uboczu. Weszliśmy na piętro, a potem zostałem zamknięty w izbie, której jedynym umeblowaniem był stary stół i dwa toporne krzesła. Stół, krzesła i podłogę pokrywała cienka warstewka kurzu. Szyba w jedynym oknie była rozbita. Obóz burbończyków był niczym sak, a owa maleńka izdebka – niczym sak w saku. Pusty śmiech mnie bierze, na Jonasza!

Pół godziny później pojawił się on, „nasz człowiek”, zdaniem prostodusznego Dupuy-Vaubana. Pojąłem, w czym rzecz. Vauban przybył do obozu, a tam, serdecznie i z respektem, powitał go jeden z Punktowanych. W przekonaniu, że święte zasady z Bazoches obowiązują na całym świecie, Dupuy zaufał mu bez zastrzeżeń.

„Nasz człowiek” zrugwał towarzyszących mu żołnierzy. Jak to możliwe, że jego gościa, jego szlachetnego nieprzyjaciela, nie poczęstowano jadłem i napitkiem? Lecz w tajemnym języku znaków, patrząc mi prosto w oczy, powiedział za pomocą gestów: „Mam cię, draniu”.

Stał przede mną rzeźnik z Antwerpii, Joris Prosperus van Verboom.

Kiedy nadszedł kres wszystkiego, kiedy Barcelona upadła, a wojna dobiegła końca, Verboom otrzymał od Filipa V znaczne beneficja. I pozostał w Katalonii. Pokonane, zrównane z ziemią i wykrwawione miasto wciąż było solą w oku Burbonów. Istnieje forma poddaństwa gorsza od śmierci – zniewolenie, które ma trwać po wsze czasy. Filipek zlecił to zadanie Verboomowi.

Dołączę tu dwa szkice planu miasta (o ile moja włochata hipopotamica gdzieś ich nie zawieruszy). Pierwszy już widzieliście. Przedstawia dawną Barcelonę tuż przed oblężeniem.



A na tym drugim widać, co z niej zrobił Verboom.



Ta dodana gwiazda, cytadela, to jego dzieło. Tak, cytadela. Aby ją zbudować, wyburzył jedną piątą miasta. Stworzył fortecę doskonałą; nie po to, by chronić mieszkańców, ale żeby ich uciskać, a jeśli trzeba – bombardować. Złośliwy guz na ciele miasta, który z barcelończyków czynił więźniów w ich własnym domu.

Ale po co ja wam opowiadam o tym, co wydarzyło się po oblężeniu? Zamknięty jak w klatce za burbońskimi okopami, w rękach mojego najgorszego wroga, miałem aż nadto kłopotów.

Umysł mój, zwykle tak bystry, otępszał z nadmiaru nieszczęść. Jedyнным sposobem ucieczki było porozumieć się z Dupuy-Vaubanem. Niewykonalne: na drodze stał mi Verboom. Osobnik zdolny ukartować moje porwanie, był też

zapewne dość przezorny, by je ukryć. Najprawdopodobniej zlikwiduje mnie tu, na miejscu. Potem będzie przysięgał, że próbowałem uciec, a jakiś nierozgarnięty żołnierz niechcący mnie zastrzelił. Wymyśli cokolwiek. Niech to szlag!

Verboom zjawił się z nadejściem nocy, jak morska mgła albo śmiertelna gorączka. Na okoliczność owego spotkania przygotowałem sobie zmajstrowany naprędce nożyk, w postaci kawałka szkła białego w drzazgę wyłamaną ze starej drewnianej ramy. W najgorszym razie zdążę wylupić mu oko, zanim mnie wykończy.

Jednak szybko zrozumiałem, że sytuacja przedstawia się inaczej. Kielbaśnikowi z Antwerpii towarzyszył tylko jeden wartownik. Za całą broń mieli tacę, butelkę i dwa kubki. Żołnierz postawił to wszystko na stole i poszedł. Kiedy zostaliśmy z Verboomem sam na sam, wybuchnąłem z oburzeniem:

– Jak śmiecie mnie tu trzymać! Oświadczam, że jestem zbiegiem. Uciekłem, żeby służyć królowi, nie żądam innej nagrody. Nawet nie wiesz waszmość, co ja wycierpiałem, przymuszony przez rebeliantów do kolaboracji w tym szaleństwie!

Ów komediancki popis nie wywarł większego wrażenia na Verboomie, który usiadł za stołem, napełnił winem oba kubki i powiedział:

– Pij.

Nawet nie drgnąłem. Może chciał mnie tu po cichu otruć, żeby nie wyjść przed Dupuyem na gwałtownika?

– Dajże spokój, nie bądź śmieszny – dodał ze zdegustowaną miną. – Czyżbyś posądział mnie o taką podłość? Nie marnowałbym przedniego porto, używając go jako trutki na szczury.

Podniósł mój kubek i opróżnił go jednym haustem. Ale i tak mu nie ufałem. Ciszę przerwał stłumiony huk burbońskich armat, niby ostatni pomruk odchodzącej burzy. Ściany izby lekko zadrżały. Na stół posypały się drobinki wapna. Verboom zerknął na sufit i zakrył kubek dłonią. Ten odruchowy gest mnie przekonał: nikt nie troszczy się o zatrute wino. Nalałem sobie i wypilem. Mocny trunek drapał w gardle. Czego ode mnie chce? Nie owijał w bawełnę.

Za kilka dni miał zjawić Jimmy. Po zdobyciu Barcelony budowniczy transzei szturmowej zgarnie dla siebie znaczną część chwały. W 1712, gdy wyszedł z niewoli, Verboom opracował własny plan oblężenia. Wcześniej jednak Jimmy zlecił to zadanie Dupuyowi. Dupuy szczycił się posiadaniem siedmiu Punktów, było zatem wielce prawdopodobne, iż Berwick wybierze projekt autorstwa kuzyna Vaubana, a cały wysiłek kielbaśnika poszedłby na marne. Żegnaj sławo! Żegnajcie zaszczyty i nagrody!

Krótko mówiąc, Verboom chciał, żebym poprawił, oszlifował i ulepszył jego narys. Miałem pięć Punktów i tę przewagę nad Dupuy-Vaubanem, że dobrze znałem stan umocnień wewnątrz murów.

Mimo okoliczności nie mogłem powstrzymać głośnego śmiechu. Naprawdę

sądził, że zechcę mu pomóc?

– Przez ciebie spędziłem dwa lata w niewoli – powiedział i powtórzył: – Dwa długie lata.

Jego nienawiść stała się niemal namacalna. Więcej, skamieniała. Wszystko w tym człowieku było wielkie: postura, głowa, zęby jak kły hipopotama. Przełknąłem ślinę, półżywy ze strachu. Milczał, smakując swoją onieśmielającą siłę. Byłem zdany na jego łaskę i niełaskę, uwięziony, samotny. Ludzie są różni, sami popatrzcie. Święty Jerzy zabił smoka, tak jak się rozdeptuje karalucha, Roger de Llúria^[86] opędził sto tysięcy bisurmanów na trzy śniadania, a król Jakub podbił Majorkę i Walencję, bo mu się nudziło w barcelońskich pałacykach. Niestety traf zechciał, że Zuvi Długonogi nie był świętym Jerzym ani Rogerem de Llúria, ani królem Jakubem. Zsikałem się w gacie.

– Nic waści nie zrobiłem! Nic! – wrzasnął na mnie. – Po prostu bawiłem kiedyś w zamku Bazoches, starając się o względy pięknej damy, i nagle jakiś brudny ogrodnik wszedł mi w drogę. Czy ja mam coś przeciwko ogrodnikom? Nic! Ale tamtego dnia, w 1706, człowiek ów napadł na mnie podstępnie, a cztery lata później, w 1710, podstępnie mnie pojmał. Kolejne cztery lata później znów napotykam tego podstępnego, nikczemnego ogrodnika i już nic mi nie przeszkodzi, bym się uwolnił od niego raz na zawsze. Nic! – Zamilkł i wymachując mi przed oczami palcem, dodał: – Istnieje wszelako wąta, wątlutka szansa, że mu wybaczę. Jeśli uczynisz zadość mojemu żądaniu, zadowolę się dożywotnim zesłaniem waści na Cabrere^[87] albo do jakiegoś innego maleńkiego, gorącego piekła.

Zostawił mnie samego, żebym to sobie przemyślał. Na stole leżały plany zaprojektowanej przez niego transzei i plik kartek z opisem technicznym. Nawet na nie nie spojrzałem. Jeniec ma swoje prawa i swoje obowiązki, wszystkie zaś można streścić w jednym słowie: ucieczka.

Wyjrzałem przez okno bez szyb. Wyskakując z pierwszego piętra, na pewno bym się nie zabił. A skręcona kostka zdawała się niewygórowaną ceną za wolność. Tam, w dole, stali francuscy wartownicy. Kiepsko. Ale przecież nie musiałem wracać do miasta, co zresztą było raczej niemożliwe. Na razie wystarczy, jeśli znajdę Dupuy-Vaubana.

Korzystając z wiosennego słońca, papierów i kawałka szkła w charakterze lupy, mógłbym wzniecić ogień i narobić dymu. Zamieszanie. Strażnicy łagodniej traktują zbiegów, którzy ratują się z pożaru. Zawahają się, choćby przez jedną sekundę, czy pomóc mi, czy mnie aresztować. Miałbym czas, żeby wrzasnąć wniebogłosy. W obozie wojskowym echo niesie się dalej niż w górach, więc moja osobliwa wiadomość szybko by dotarła do uszu Dupuya. Wówczas nawet Verboom zawahałby się, czy mnie zabić. A potem się zobaczy.

Wziąłem kartkę z zapiskami kielbaśnika z Antwerpii i oparłem się o framugę

w oczekiwaniu na promień porannego słońca. Czarny atrament zapala się wcześniej niż biały papier. Kierowałem światłem za pomocą kawałka wklęsłego szkła, mając przed oczami fragment instrukcji Verbooma. Umysł ludzki bywa zaskakująco pojemny, albowiem pamiętam dokładnie każde słowo: *...Gauche cottés G, et si le temps le permet on fera le retour H et la redoute I, et l'on construira la batterie K de 10 pièces de canon pour les moulins L, et le pont de la porte neuve cotté M et ce qu'on pourra des deffences du bastion de Sainte Claire et de la vieille enceinte qui ferme sa gorgue. Se faudra pour cette manoeuvre 1000 hommes d'armes et après...*^[88].

Obejrzałem się. Tam, na stole, leżała mapa. Na chwilę poniechałem planów wzniecenia pożaru. Inżynier zawsze będzie inżynierem. Szkice przyciągały mnie z magnetyczną siłą. Po prostu musiałem je obejrzeć.

Mapa przedstawiała Barcelonę, zabudowania i sfatygowane mury. Wokół miasta biegła zygzakiem narysowana ręką Verbooma transzeja. Każda liczba i każdy zaznaczony tam symbol zostały opisane w notatkach. Chciałem tylko zerknąć, a skończyło się na tym, że usiadłem za stołem i zacząłem studiować wszystkie szczegóły, zestawiając je z zapiskami na kartkach.

Wnikliwie zbadałem cały projekt oraz wskazówki dotyczące jego rozbudowy. Ponownie przyjrzałem się mapie. I jeszcze raz.

Nic nadzwyczajnego. Zdecydowanie nic nadzwyczajnego. Dzięki licznej armii, jaką dysponowali burbończycy, dałoby się dociągnąć transzeję pod mury. Z ogromnymi stratami w ludziach, owszem, ale kogo to obchodziło? Zresztą problem i tak tkwił gdzie indziej, albowiem Dupuy zrobiłby to lepiej, o wiele lepiej, a Berwick wybierze jego plan.

Wtedy mnie olśniło. Jedna myśl naprowadziła mnie na drugą: skoro widać jasno, że sprawy potoczą się tak, a nie inaczej, to może powinienem się wtrącić?

Kiedy holenderski rzeźnik wrócił, pocziwy Zuvi siedział grzecznie za stołem, studiując notatki.

– I co? – zapytał.

– Chcesz waść poznać moje zdanie czy nie? – Przedarłem papiery na pół i z pogardą zrzuciłem je na podłogę. – *Des ordures*^[89]. – I zanim zdążył wybuchnąć, dodałem: – Błąd tkwi nie tyle w planach, co w założeniach.

Zaczęliśmy się spierać. Ja byłem lepszym inżynierem. Postawiłem na swoim.

Z natury pocił się obficie. Moje wywody sprawiły, że spocił się jeszcze bardziej. Na widok gęstych kropli nad jego górną wargą ogarniało mnie obrzydzenie.

– Słuchaj waść – powiedziałem na koniec. – Przemyślałem wszystko, co mi tu rzekłeś, i być może jest w tym trochę racji. Nasza wzajemna wrogość bierze się z dawnego nieporozumienia. Proponuję układ. Waszmość nigdzie mnie nie ześlesz, a ja w zamian będę ci służył swoją wiedzą i dochowam wierności.

– Wierność? – parsknął. – Waszmość nie znasz znaczenia tego słowa.
– Musisz zmienić projekt. A kto to zrobi lepiej ode mnie? Trzeba wszystko zacząć od nowa.

– Długu, który masz u mnie – powiedział – nie spłacisz kilkoma gryzmołami.

– Nienawidzisz mnie, zgoda. Ale kiedy wręczone waści plany transzei szturmowej, nijak ci będzie oddać mnie w ręce kata.

Widziałem myśli Verbooma, jakby jego czaszka była zrobiona ze szkła: „Jest w moich rękach. Co mam do stracenia?”.

– Tusz, papier. Kompas, ekierka. Tego mi potrzeba. Przede mną długa, pracowita noc.

Nie jedną, lecz dwie noce i trzy dni spędziłem zamknięty w owej nędznej izbie. Nie golilem się, nie myłem. Artyleria grzmiała bez przerwy, a w powietrzu unosiły się chmury pyłu.

Projekt transzei szturmowej wyszał ze mnie wszystkie siły. Wierście mi, mózg jest tym organem, który męczy się najszybciej. Nigdy, przenigdy, ani przedtem, ani potem talenty poczciwego Zuviego nie zostały poddane egzaminowi tak trudnemu. Czułem się jak architekt z uporem tworzący plany chaty z przegniłych bali, tak by w oczach Rzymu wyglądała na katedrę. Atakowałem piórem kałamarz, używając całej swojej wiedzy zdobytej w Bazoches, a każda kreska mówiła mi, że jestem do tej pracy urodzony, że całe moje życie, wszystkie godziny przecierpiane pod czujnym okiem Vaubana zyskują nagle sens w tym cholernym planie. „Czym jest obrona doskonała?” – zapytał mnie markiz na łożu śmierci. I może, czas to pokaże, odpowiedź jest właśnie tu: „Obrona doskonała to transzeja szturmowa”. Albowiem, jak się zapewne domyślicie, cały mój wysiłek kierował się ku temu, by osłabić wojsko Burbonów, zaszkodzić mu i popsuć szyki. Rozpieprzyć im wszystko, od kół przy lawetach po obcasy żołnierskich buciorów. Transzeja na papierze powinna wydawać się cudem, a w terenie okazać się katastrofą. Verboom był świnią, ale nie idiotą. Wykryłby podstęp i jawne pułapki. Owocem mojej pracy było zatem piękne, przepiękne kłamstwo. Obłudne i uwodzicielskie, mamiące pozorną prawdą, pod którą kryła się perfidia i fałsz. Musiał to być sabotaż, a zarazem projekt lepszy od planu Dupuy-Vaubana, najznakomitszego żyjącego inżyniera od czasu śmierci markiza. Przewyższyć Dupuya! I jeszcze pod przenikliwym okiem Jimmy’ego! Na samą myśl czułem zawrót głowy.

Tak czy inaczej, transzeja sięgnęłaby podstawy murów, żołnierza burbończycy mieli aż nadto, nie musieli oszczędzać ludzi, którzy dla rządzącego Francją tyrana byli tylko budulcem, niczym się nieróżniącym od desek i gliny. Jednak budowa takiej wadliwej transzei trwałaby dłużej, nawet o tydzień lub dwa.

A w tym czasie nasz mały świat wciąż przecież obracałby się wokół swojej osi. Kto wie? Może umarłby jakiś król, jakaś królowa; może doszłoby do odwrócenia aliansów, może coś by się zmieniło...

Verboom, coraz bardziej zniecierpliwiony, co chwila zaglądał do mojej tymczasowej celi.

– Masz to? Masz? Berwick będzie tu lada dzień. Pospiesz się waszmość!

Przysunąłem stół do okna. Światło padało tam ukośnie i było bardzo ostre. Tysiące strzępków popiołu unosiło się i opadało w słonecznym blasku niczym meduzy pod powierzchnią wody. Gdy nastał trzeci świt, poczułem, że moje obolałe, zaczerwienione oczy za chwilę się rozpląną.

Verboom, z mordem w oczach, zatrzasnął za sobą drzwi. Jego cierpliwość się wyczerpała. Uprzedziłem jego słowa.

– Być może tym razem będziemy kwita.

– Mam nadzieję, że to coś naprawdę wyjątkowego, skoro warte jest życia – powiedział, biorąc plany do ręki, i dodał z naciskiem: – Zwłaszcza twojego.

Długo studiował projekt, zachowując kamienną twarz. Przeczytał notatki. Ponownie przyjrzał się mapie. Oględziny trwały wieczność. Nie potrafiłem zinterpretować jego pełnych skupienia pomruków. W końcu nie mogłem już wytrzymać i zapytałem:

– Czy ów załazek transzei rokuje jakieś nadzieje?

Nie odpowiedział, jakby w ogóle mnie tam nie było. Przytknąwszy nos do mapy, wodził po niej palcem. Po chwili, nie racząc zaszczyścić mnie spojrzeniem, rzekł:

– A waść jak sądzisz? – Podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. – W przeciwnym razie już jesteś martwy.

Przez cały dzień szlifowaliśmy szczegóły. Ja padałem z nóg, on tryskał energią. Może i był prostakiem, ale siły miał niespożyte. Nie chcę powiedzieć, że mój wróg był tępakiem lub zwykłym nieukiem. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin nie ruszył się od stołu. „Boże – myślałem – czy ten człowiek nigdy nie sika, nie śpi, nie je?”. Zaopatrzony w jeden suchar i butelkę porto mógłby przewędrować pustynię wzdłuż i wszerz. Zasypywał mnie pytaniami.

– Za blisko – powiedział w pewnej chwili. – Linię pierwszej paraleli wyznaczyłeś w zbyt małej odległości od miasta. Jak zaczniemy kopać, zobaczą nas i wystrzelają jak kaczki.

– Chcesz waść, żeby Berwick poparł nasz plan? To daj mu, czego pragnie. Im bliżej zaczniemy, tym mniej dni zajmie nam dotarcie z wykopem pod mury. Berwick nie oprze się takiej pokusie.

– Wszystkie trzy paralele i łączące je transzeje są za szerokie – orzekł. – Dlaczego? Usunięcie takiej ilości ziemi wymaga nadmiernego wysiłku, a w konsekwencji straty czasu.

– Szerokość tranzei powinna być proporcjonalna do grubości wałów obronnych – argumentowałem. – Musimy atakować wielką liczbą. Gdzie chcesz waszmość zakwaterować oddziały uderzeniowe? I jak w tak wąskich korytarzach mają się przemieszczać żołnierze i saperzy? Zrobią się zatory. Zamiast oszczędzać czas, tylko byśmy go marnowali.

– Odbiłeś z tranzeją za bardzo w lewo, w stronę morza – zauważył.

– Przypomnij sobie topografię – powiedziałem. – Okolice obfituje w kanały i ujścia strumieni. Latem wysychają. Kopacze mogą wykorzystać koryta cieków wodnych równoległe do murów. Będą tylko musieli pogłębić tranzeje podarowane nam przez naturę i meliorantów.

Przynajmniej jedno odgadł trafnie: trudniej zabić wroga, jeśli go znasz. Te dwadzieścia cztery godziny pracy ramię przy ramieniu, wspólnoty pozornej i fałszywej, ale jednak wspólnoty, przyczyniły się do swoistego zbliżenia między nami. Zwykł był drapać swoje mięsiste policzki małym palcem. Ludzie przeważnie używają wówczas palca wskazującego. Verboom przestawał już być Verboomem, moim śmiertelnym wrogiem. Przeobrażał się w mężczyznę w średnim wieku, wyróżniającego się spośród wszystkich żyjących na świecie osób tym, że drapał się po twarzy małym palcem. Powiem więcej, wspólna praca stworzyła coś na podobieństwo braterstwa. Trudno życzyć śmierci komuś, kto trzyma drugie wiosło, przynajmniej dopóki łódź nie dobieje do brzegu.

Czy wroga można szanować? Dopadły mnie wątpliwości. A jeżeli tym złym jestem ja, a nie on? Nie mogłem całkowicie zaprzeczyć jego wersji naszej wzajemnej wrogości. Bo co tak naprawdę zrobił mi złego, w czym mnie skrzywdził? Pewnego dnia, gdy zalecał się do panny, rzucił się nań jakiś brudny „ogrodnik”. Każdy mężczyzna na jego miejscu skłąby mnie tak samo jak on. Obliczałem liczbę taczek, odchylenia i korekty, drenaż rowów, wysokość korony wałów i kąty przeciwskaż, a jednocześnie dochodziłem do wniosku, że moja nienawiść do Verbooma była jedynie objawem miłości do Jeanne Vauban. Może nienawidziłem go tylko dlatego, że łatwiej mi go było zabić, niż przyjąć do wiadomości prawdę, pogodzić się z tym, iż straciłem Jeanne nie z jego winy, ale z własnej. Owa zaskakująca myśl wprawiła mnie w przygnębienie.

Zrozumcie moją sytuację. Wyrwany z domu, uwięziony, nie złożyłem broni, lecz stanąłem do walki na umyśle, w sekrecie i przeciw wszystkim, również swoim, którzy być może uznali mnie za dezertera. Tu – spodziewany lada moment Jimmy, tam – don Antonio. I Słowo unoszące się gdzieś w tej dusznej izbie, w powietrzu gęstym od pyłu wzbijanego przez armatnie kule. Bałagan, jaki w owych dniach panował w mojej duszy, nadwątlił nienawiść do Verbooma.

A niech tam. Mówiłem, że będę szczery, to będę.

Powiem wam, dlaczego znienawidziliśmy się od pierwszego wejrzenia i dlaczego nienawidziłem Jorisa Prosperusa van Verbooma, dopóki go nie zabiłem,

i dlaczego dotąd go nienawidzę.

No więc, bo tak! Czasami coś jest, bo jest, nie wybieramy tego, po prostu jest i już. Do licha z Verboomem, niech to szlag!

Koniec rozdziału, kurwa mać.

Ach, nie? Moja blond foka podpowiada, że lepiej byłoby dodać kilka okrągłych zdań. Mówi, żebym opowiedział, jak zakończył się ów wieczór. (Widzisz, co się porobiło? Teraz to ty jesteś inżynierem tej książki, a ja mam do gadania tyle co prosty saper).

Kiedy zakończyliśmy pracę, byliśmy dokumentnie wyczerpani. Verboom kazał przynieść kilka flaszek. Porto było jego namiętnością i wytchnieniem. Za jedną butelkę tego trunku płacił podobno krocie. Od początku wojny Portugalia handlowała tylko z Anglią, przez co na Półwyspie rezerwy tamtejszych win ciągle się zmniejszały. A mimo to podzielił się ze mną. Pewnie dlatego – myślę sobie – że po tych wszystkich wspólnie przepracowanych godzinach trudniej było mu mnie spostonować owego wieczoru, niż zamordować nazajutrz o świcie.

Jak wszyscy mężczyźni (poza Jimmym), przy kieliszku mówiliśmy o kobietach. A raczej mówił Verboom. Ja milczałem o mojej tęsknocie za Amelis. Kiedy był, nazwijmy to, więziony w Barcelonie, czerwoni aksamitnicy dostarczali mu podobno nawet luksusowe dziwki.

– Och, tylko jedną – lekceważąco machnął ręką. – Metresę opłacaną przez magistrat.

– O mój Boże, a to kutwy! – odparłem ze śmiechem. – Taki znamienity zakładnik, a oni kazali mu cierpieć monogamię? Pewnie chcieli upodobnić twoją niewolę do małżeństwa.

Byliśmy już mocno pijani, więc nie chwycił sarkazmu.

– Znała swój fach, suka. Pierwsze, co zrobię, jak wejdziemy do miasta, to każę ją odszukać – wyznał. – Czarnulka, trochę za chuda. Wolę obfitsze kształty. Zmyślna bestyjka. I biodrzasta. A języczkiem to wyprawiała cuda.

– Czarna, mówisz waść?

– Jako heban. – I uściślił: – Chodzi o włosy, nie o skórę. – Zastukał kostkami palców w stół, jakby pukał do drzwi. – Ciało miała twardsze od dębiny. I popatrzył waść, taka dziwka, a sknera. Żadnych klejnocików, żadnych nowych fatalaszków, zawsze w tej samej fioletowej sukni. Na co wydawała swoje zarobki? A, i wiesz waszmość, co było najciekawsze? – mówił, wodząc oczyma po ścianach, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół. Tak się ożłopał porto, że nie zwracał uwagi na moją zbudzoną nagle zwierzęcą czujność. – Jak na niewiastę była nadzwyczaj bystra. W najczarniejszej chwili mojej niedoli to ona, ona!, znalazła drogę ucieczki. „Joris, najmilszy, rzekła do mnie, jeśli chcesz się stąd wyrwać, zaproponuj, żeby cię wymienili na jakąś grubą rybę, jak ten generał, ten Villarroel, który siedzi w niewoli u Burbonów. On wróci do Barcelony, a ty do Madrytu. I wszyscy będą

zadowoleni”. – Z podziwem potrząsnął swoją wielką głową jak mokry pies po wyjściu z wody. – Takie proste... Że też sam na to nie wpadłem! Zrobiłem, jak powiedziała. I oto jestem.

Wiecie, co mnie najbardziej zabolalo? Drobiazg, błaostka. To intymne „Joris, najmilszy”. Kubek był gliniany. Nie zdawałem sobie sprawy, jak mocno zaciskam na nim palce. Rozprysnął się na kawałki z trzaskiem zgniatanych orzechów.

Dźwięk ów wyrwał Verbooma z oparów alkoholu. Rzeźnik z Antwerpii spojrział na mnie. I wszystko wyczytał z mojej twarzy. Jego lica zajaśniały.

– Nie – powiedział – nie może być.

Przeżyłem pięćdziesiąt osiem lat. A gdybym przeżył tysiąc pięćdziesiąt osiem, jego rechot wciąż brzmiałby mi w uszach, jakby to było wczoraj.



Byliście kiedyś martwi? Ja tak, i to nie raz. A jest to stan tak łagodny, tak błogi, że potrafię zrozumieć, dlaczego nikt stamtąd nie wraca. Śmierć zabija jedynie pragnienia i obowiązki. A nie mając pragnień i obowiązków – po co wracać na ów maleńki okrąg naszego świata?

Pamiętacie wszak: pocziwy Zuvi za burbońskim kordonem, zamknięty w izbie opróżnionej ze wszystkiego oprócz kurzu, a przed nim gotowy plan transzei szturmowej. Zza ścian dochodził odległy grzmot armat, monotonny, bezosobowy niczym śmiech *Mystère'a*. Moja praca dobiegła końca, jutrzejszy świt miał być ostatnim w moim życiu. Verboom kończył ustalać ze mną szczegóły projektu, pilnie wszystko zapisując. Zmęczony, przetarł oczy, schował notatki do teki i krzyknął coś po niderlandzku.

Do izby weszło dwóch drabów, szerszych w barach niż ja jestem długi w nogach. Kiełbaśnik z Antwerpii poklepywał tekę, upychając w niej arkusze papieru. Jakby mimochodem wskazał na mnie nieznacznym pochyleniem głowy.

Ów gest mówił sam za siebie. Zatluką mnie tu jak nic. Ani chybi to walońscy jurgieltnicy w prywatnej służbie Verbooma. Cztery łapska chwyciły mnie pod pachy i dźwignęły w górę.

– Chwileczkę! – wrzasnąłem.

Nigdy jeszcze nie myślałem tak szybko. Puściłem łokcie w ruch i ponownie przykleiłem się do krzesła. Wyciągnąłem rękę nad mapą i jęknąłem błagalnie, wyzbywszy się resztek godności:

– *Monseigneur! Et les moulins?*

– Jakie młyny?

– Nie dopracowaliśmy szturm na odcinek L. Buntownicy zmieniają te młyny w reduity.

Verboom zamrugał.

– Ach, tak, młyny z odcinka L – powiedział. – Zostawiliśmy je na później, a potem o nich zapomnieliśmy. No cóż, nie są takie straszne, przejdziemy.

To tak, jakby powiedział: „Nie, nie przełożymy egzekucji”. Dwaj najemnicy, czyhający obok niczym trzymane siłą na smyczy psy myśliwskie, znowu chwycili mnie pod pachy. Zdjęty paniką, jąłem wygadywać niestworzone brednie o rzeczonych młynach. Mówiłem, że jakiś bezimienny geniusz stworzył osobliwy system kamuflażu dział. W oknach – zamienionych w otwory strzelnicze – stanąć miały niewidoczne z zewnątrz armaty średniego kalibru. Dla niepoznaki do młynów zostaną doczepione skrzydła wiatraków. Ich obroty, skoordynowane z ogniem artylerii, będą rozwiewać dym i proch, żeby wróg jak najdłużej nie mógł się zorientować, skąd nadlatują mordercze kule.

– Wielce oryginalne! – wykrzyknął Verboom z podnieceniem plagiatora; zapisał sobie coś i zastanawiając się głośno, zapytał: – A waszmość znasz osobiście tego szalonego geniusza? Możliwe, że kiedy miasto się podda, daruję mu życie, jeżeli zechce mi służyć. – Nie był zbyt domyślny. Nagle łypnął na mnie wrogo. Jego własne słowa naprowadziły go na właściwy ślad. – To ty, no jasne...

Tej obelgi nie mógł ścierpieć. To był koniec. Cóż, nie da się wiecznie skakać z patelni na patelnię. Verboom kazał mnie wyprowadzić, i tym razem walońskie wielkoludy ucapiły mnie mocno.

Nie wiedziałem o tym, lecz już od wielu dni mój los był przesądzony. Na murach powiesiliśmy ku przestrodze kilku szpiegów schwytanych w mieście. Widząc to, burbończycy postanowili wziąć odwet, czyli powiesić na wałach kilku naszych. Za sprawą Verbooma zostałem wpisany na listę. Faktycznie, kiedy trafiłem do obozu wroga, pozostała już tylko jedna wolna szubienica, stojący na skraju pięciometrowy słup, zakończony poprzeczną belką na kształt odwróconego „L”.

Bardziej to przypominało samosąd niż wykonanie wyroku śmierci. Widok powieszonych na murach skazańców tak wzburzył żołnierzy, że oficerowie z trudem utrzymywali ich w ryzach. Morze ramion popychało mnie i szarpało i gdyby nie eskorta Walonów, nie dotarłbym żywy pod szafot. Związali mi ręce i poprowadzili po drewnianych stopniach, które miały ułatwić piechocie wyjście z okopów.

Z góry mogłem widzieć wszystko. Wszystko. Dmuchał zachodni wiatr przeganiający dym do morza. Oczywiście uwolnionymi od mgły prochu wodziłem po linii frontu.

Kordon, burbońskie armaty. Owego dnia ich kanonierzy pracowali bez zapalań, być może uśpieni mającą wkrótce nastąpić zmianą dowódcy. W odnogach wiodących od wałów do klasztoru kapucynów krążyły grupki żołnierzy, tam i z powrotem jak mrówki, przenosząc amunicję. Od strony miasta działa Costy odpowiadały ogniem raczej rozważnym niż huraganowym.

Mogłem zobaczyć stanowiska Dwóch Koron, a nasze znałem na pamięć. Wiedziałem, że za każdą kurtyną, w każdym bastionie znajduje się batalion Coroneli. Z każdej stojącej blisko murów dzwonnicy dwie pary oczu obserwują przedpole. Brygady naprawcze czyszczą fosę z gruzu, osłonięte przez tarcze sporządzone z zespawanych ze sobą drzwi.

Na ziemi dzielącej oba wojska, pozornie opuszczonej, aż wrzało od sekretnych działań. Wszystkie zrujnowane domy, setki razy zdobywane i odbijane, pełne były teraz przyczajonych zwiadowców z jednej i drugiej strony barykady. Czulem obecność naszych strzelców wyborowych w rozpadlinach i zagłębieniach terenu. Widziałem jednocześnie zwierzynę i myśliwych, nieroztropnych burbońskich kosiarzy i strzelców, którzy na nich czyhali. Za palisadą splekane

mury, a jeszcze dalej – całe miasto z mnóstwem kościelnych wież kłujących iglicami niebo. W głębi zaś, niczym tło obrazu, nasze Morze Śródziemne, jak zawsze obojętne na człowieczą kalwarię. Widok miasta nasunął mi myśl o umierającym ciele, które mimo agonii wciąż się zbliżnia.

W zetknięciu się pętli z ludzką szyją jest coś nieodwracalnego. Moją ostatnią myślą, choć niechętnie się do tego przyznaję, była błaha techniczna uwaga, pozbawiona jakichkolwiek sentymentów. Powiedziałem do siebie: „Costa powinien skorygować kąt strzału o kilka stopni”. Żołnierze odsunęli schodki. Moje stopy straciły oparcie.

Nie umiemy pojąć urody świata, dopóki nie ogarnie nas zobojętnienie. W mojej ostatniej wizji wszystko było dobre, piękne, właściwe. Nawet zniszczenia w murach stanowiły część owego ładu, bresze idealne jak kokony jedwabników. Każda chwila jest końcem, pełnią samą w sobie. Sądzić inaczej to wielki błąd! „Jak pięknie wygląda oblężenie!”, zdążyłem jeszcze pomyśleć. A potem delirium i brak tchu.

Usłyszałem coś. Głos:

– Zbudź się. To rozkaz.

Otworzyłem oczy.

To był Jimmy. Patrzył na mnie, jego twarz tuż przy mojej. Poczulem zapach jego peruki.

Tak, to był Jimmy, taki, jakiego znałem: zadowolony z siebie egoista, z dworackim uśmieszkiem na wargach, chełpliwy jak pawi ogon. Otaczała go grupka adiutantów. Widząc, że przytomnieję, odwrócił się do nich z tryumfalną miną, podnosząc zmanierowanym gestem dłoni, jakby mówił: „Widzicie? Ożył. Ja go wskresilem”.

Potoczyłem wokół błędnym wzrokiem. Znajdowałem się w namiocie przeznaczonym dla rannych oficerów. Szyję spowijał mi gruby bandaż. Większość prycz stała pusta. Lecz nie byliśmy sami. W najdalszym kącie dostrzegłem barłóg, na którym konał jakiś hiszpański kapitan, tak pokiereszowany, że żaden opatrunek nie mógł zasłonić straszego widoku. Z jego ust dobywało się rżenie, napęliając namiot ponurą przedśmiertną muzyką. Jimmy nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Odesłał swoją świtę.

– Masz szczęście, bratku – powiedział, kiedy zostaliśmy sami z konającym oficerem. – Zaraz po moim przybyciu tutaj idę na inspekcję frontu i co widzę? Widzę, jak dyndasz na stryczku, ze sztywną kuśką. Jeszcze chwila i bym cię nie odratował. Możesz mówić?

Pokręciłem głową.

– Nie dziwota. Sznur prawie przepiłował ci gardło. To pomysł Verbooma?

Przytaknąłem. Jimmy zdjął rękawiczki i odłożył je na stolik. Udawał

zaskoczonego.

– Na Boga! A więc to on. Tak bardzo się lubicie?

W odpowiedzi zgiąłem rękę w łokciu, trochę ślamazarnie z uwagi na mój stan. Twarz Jimmy’ego zasepił cień namysłu. Przysiadł obok mnie na łóżku. Westchnął raz i drugi. Poklepał mnie po łydce.

– Mam sporo pracy. Zdrowiej, a potem zdecyduję, czy cię zatrudnić, czy odesłać do lochu. A teraz śpij.

W trzecim dniu mego odosobnienia w owym połowym szpitaliku przyszli po mnie. Jimmy urządził swoją kwaterę i punkt dowodzenia w okazałej masii zwanej Mas Guinardó, stojącej za burbońskim kordonem. Przeniosło mnie tam kilku zaciężnych Anglików, służących w jego prywatnej gwardii. Wrzucili mnie do wnętrza dworu jak rybę do beczki i poszli.

Jimmy’ego nie było. Towarzystwa dotrzymywała mi tylko para sług. Znalazłem się w sytuacji dość dwuznacznej: jeńca i gościa. Oni nie mogli wydawać poleceń mnie, a ja im, więc swobodnie szwendałem się po całym domu. W gabinecie walały się w beładzie sterty papierów. Na samym wierzchu leżało pismo od Filipka.

Jeżeli zostawicie kota samego, będzie myszkował po wszystkich zakamarkach. Jimmy wiedział to, i nie wątpiłem ani przez chwilę, że zostawił tam ów list po to, żebym go przeczytał. Były to wytyczne dotyczące ostatecznego szturmu.

Spodziewając się, iż twierdza Barcelona rychło się podda, chcemy, byś poznał Waszmość, jakie są nasze intencje. Rebelianci owi, buntownikami będąc, podlegają najsurowszym wojennym prawom. Jeśli łaski jakowejś od nas oczekują, to jedynie przez litość i miłosierdzie nasze, przeto gdyby skruszeni, wyrzekłszy się błędu swego, ukorzyli się, nim nastąpi otwarcie transzei, zmiłowania prosząc, nie czyńcie im zadość zbyt pochopnie, lecz wysłuchajcie, co mówić będą, a wicherzycielstwo onych przed oczy im stawiając, ażeby ujrzeli, jak niegodni są miłosierdzia, nadzieją ich zwodźcie i wstawiennictwo swoje u króla ofiarujcie, by przynajmniej życie zachowali, której to łaski (albowiem tę tylko przyobiecać im możecie) dostąpią wszyscy oprócz prowodyrów buntu. Jeśli nie okażą wdzięczności, lecz zaniechają inkursji i niszczenia wałów, nie godźcie się na kapitulację inną niż bezwarunkowa. Gdyby zaś nadal trwali w uporze i przyszłoby do szturmu, nie zasługują wtenczas, jako sami pojmujecie, na żadną litość i mają doświadczyć najsrozszych rygorów wojny, którym winni zostać poddani wszyscy bez wyjątku hiszpańscy oficerowie znajdujący się w murach twierdzy.

O matko, jeśli taki los spotkać miał oficerów, to jak postąpią z resztą mieszkańców?

Jimmy pojawił się niespodziewanie, oficjalny i nadęty. Nie zniżył się nawet

do tego, by zrugać mnie za myszkowanie w jego gabinecie.

– Cóż, powiem krótko – oznajmił. – Jestem bardzo zajęty.

Nie zmienił się, wciąż tak samo niecierpliwy, nawet kiedy odpoczywał. W przelocie chwycił leżące na tacy jabłko i usiadłszy w fotelu, zaczął je zajadać. Prywatnie pozwalał sobie na gminne maniery, teraz też przewiesił nogę przez poręcz i rozparł się wygodnie, odrzuciwszy głowę w tył.

– Buntownicy płacili ci nędzne grosze – podjął. – A więc nie służyłeś im dla pieniędzy. Ani dla ambicji, bo skazani są na porażkę. Powiedz mi... Masz jakieś zobowiązania wobec kogoś za murami?

– Tak – wycharczałem niewyraźnie, z wysiłku zdrapując paznokciem wapno ze ściany. Ale przynajmniej mogłem już mówić.

– Kobieta czy mężczyzna? – spytał.

– Dziecko.

Cisnął ogryzek za fotel.

– Rany boskie! Dziecko! Za każdym naszym spotkaniem odkrywam w tobie nowe pokłady perwersji.

– Jest jeszcze kobieta, staruszek i karzeł – dodałem ze śmiertelną powagą.

On wyraźnie był w nastroju do żartów. Znów odchylił głowę na oparcie i westchnął, patrząc w sufit.

– Karzeł raczej przerasta moją wyobraźnię – powiedział i nagle zmienił ton: – Wszystko przez to, że uciekłeś ode mnie. Gdybyś po Almansie został ze mną, nie wpadłbyś w takie tarapaty. Najpierw ofiarowałem ci zaszczyty i moje towarzystwo. Odrzuciłeś wszystko. A teraz ratuję ci życie. Mam chyba prawo oczekiwać, że wykrztusisz kilka słów podziękowania?

– Nie.

– Pomożesz mi pobić ten zbuntowany motłoch?

– Nie.

Roześmiał się głośno.

– To mi się podoba. Okopałeś się na jasno określonych pozycjach. Teraz ja mogę otworzyć transzeję. A więc od początku. Zasięgnąłem wieści. Wydaje się, że w Tortosie byłeś jedynym inżynierem z prawdziwego zdarzenia. Wiedziałem to od pierwszego rzutu oka: „Ten młokos ma głowę nie od parady i świetne nogi. Przyda mi się i jedno, i drugie”. – Zachichotał z własnego dowcipu. – Co chcesz w zamian za powrót pod moją opiekę?

Nie odpowiedziałem.

– Dobrze, bardzo dobrze, robimy postępy – podjął. – Ludzie, którzy nie potrafią się cenić, są dla mnie niewiele warty. Nie lubię taniochy. – Wstał i jął przechadzać się z założonymi na plecach rękoma, rozmyślając przez chwilę. Wreszcie wybuchnął potokiem słów: – Dziecko, kobieta, staruszek. Wydostanę ich z tego straconego miasta. Ach tak, zapomniałbym, karła też. To rzadka okazja,

żeby possać komuś, nie musząc przed nim klękać. Co jeszcze? Dziesięć tysięcy liwrów. Zresztą co mi tam? Pięć tysięcy i kwita. Rocznie, do końca życia. I jakiś tytułek szlachecki. I dom na wsi, czemu nie? Z tego, co widzę, w tym spustoszonej kraju nie brak bezpiecznych dworów i włości. – Usiadł na krześle, swobodny, lecz skupiony. Podparł brodę ręką. Przyglądał mi się, jakby patrzył na rzadki okaz niespotykanego owada. – Chociaż jeśli się dobrze zastanowić, mogę podwyższyć ofertę. Ten подарowany dwór nie będzie twoją główną rezydencją. Umieścisz tam kobietę, karła i resztę kompanii. Odwiedzisz ich od czasu do czasu. Pofiglujecie trochę, żeby ich zadowolić, a później do domu. – Potem, z wahaniem, jakby niepewny, czy powinien o tym mówić, dodał (rzecz jasna wszystko to sobie wcześniej zaplanował): – Doszły mnie wieści z Bazoches... Słyszałem, że Jeanne Vauban nie jest szczęśliwa. Znasz ją? Wydaje mi się, że tak. Jej mąż znowu wpadł w obłąd. – Roześmiał się nieprzyjemnie. – Teraz wierzy, że kamień filozoficzny jest ukryty w cipce jego żony. Rzucił się na nią z królewskim lancetem^[90]. Wiesz, z takim długim, zakrzywionym narzędziem, którego chirurdzy używają do wycinania guzów odbytu. Bogu dzięki, służba zdążyła na czas! Zamknęli biedaka. Małżeństwo jest w trakcie unieważniania. – Cmoknął językiem. – Smutne! Taka piękna kobieta i samiutka na świecie! – Spowaźniał. – Uważam, że mógłbyś stworzyć w Bazoches akademię inżynierów. Byłbyś świetnym kandydatem na rektora i z pewnością mile by cię tam przyjęto.

Spojrzałem na niego z niechęcią.

– Nie wiesz, co mówisz.

– To ty nic nie wiesz, głupcze! – wykrzyknął z gniewem. – Wiedziałaś na przykład, że Jeanne została matką? Jej syn ma sześć lat. A wedle moich obliczeń, w chwili poczęcia małżonek przebywał w Paryżu. – Ponownie zmienił ton. – Znasz te francuskie damy. Kiedy wstrętny mąż jest daleko, bierze sobie taka parobka ze stajni, żeby ją ujeżdżał. O tak, czasami nazywają to miłością. Niestety, szlachcianki nie poślubiają stajennych. Ale jakiś szlachcic, nawet bez parenteli, byłby całkiem do przyjęcia. A pewien jestem, że doskonale byś zastąpił chłopcu ojca. Co o tym sądzisz?

Kiedy Jimmy mówił o przyszłości, zdawało się, że wszystko może się ziścić. Przypuszczam, iż przyczyną tego nie był jego talent oratorski, lecz wysoka pozycja społeczna. Co innego fantazjować i błagować w karczmie, co innego – w pałacu. Oto Jimmy, władca świata. Jeżeli tacy jak on coś obiecują, to dlatego, że wszystko już mają i mogą sobie pozwolić na rozrzutność. Jeanne. Wspominając o niej, stawiał ją w moim zasięgu. Dla mnie – nieosiągalne szczęście, dla niego – niewarta uwagi wzmianka.

– A czego żądam w zamian? – ciągnął. – Prawie nic. Po pierwsze: na moje wezwanie rzucisz wszystko, gdziekolwiek będziesz, i przyjedziesz do mnie, nawet gdybym się znajdował na przeciwnym krańcu Europy. Po drugie: jutro otrzymasz

rozkaz i wypełnisz go co do joty.

Zawahałem się.

– Jaki rozkaz?

Moją ciekawość zinterpretował jako oznakę uległości. Dlatego odpowiedział tonem nieprzejednanym i pełnym wyższości:

– O moich rozkazach dowiesz się, gdy ja tego zechcę, a nie kiedy ty o to prosisz. Decyduj. Tak czy nie?

Spuściłem głowę, myśląc o Jeanne, o Amelis. Myśląc o Anfanie, myśląc o własnym synu, nieznanym, ale z mojej krwi. Cały Jimmy. Wspominając o Jeanne, wskrzeszał ją, tak jak wskrzesił mnie. Wrócić do Bazoches. Na samą myśl o tym czułem, że zwariuję. Nikt poza Jimmym nie był zdolny wymyślić tortury tak bolesnej, tak perfidnej. Gdybym uległ jego szantażowi, stałbym się jednym z tak bardzo mi nienawistnych burbońskich arystokratów. Gdybym odmówił, jednym z nich stałby się mój syn. Tylko Jimmy mógł sprawić, że czuleś się jak ostrzeliwana zewsząd *échaugnette*.

– *Merde!* – wykrzyknął zniecierpliwiony. – Odpowiedz. Nie będę czekał cały dzień.

Jeanne. Czy ją kocham? Złe pytanie. Czy kocham ją tak mocno, żeby zapomnieć o Amelis, o naszym mieszkanku na czwartym piętrze w dzielnicy Ribera, na tyłach bastionu Świętej Klary? Nie, nie w tym rzecz.

– Jeśli dotrzymasz słowa – powiedziałem – ja też dotrzymam.

Niespiesznie powiódł po mnie wzrokiem. Uważnie przyglądał się moim brwiom, oczom wilgotnym od łez. Badał spojrzeniem grymas moich ust, jakby obserwował bombardowany bastion.

– Dobrze... dobrze...

Wynik owego śledztwa musiał być satysfakcjonujący, bo Jimmy nagle się rozluźnił, tym razem naprawdę.

– Rzeczywiście, nie kłamiesz.

Po odjeździe księcia Popoli Jimmy niezwłocznie dokonał inspekcji wałów. Towarzyszyli mu w tym: poczciwy Zuvi, świta angielskich wykidajłów, cztery czarne psy oraz dwóch skrybów, których zadaniem było notować każde słowo wielkiego wodza, by zachować je dla potomności.

Zatrzymywał się przy najlepiej przygotowanych szańcach, obserwując mury przez lunetę pomalowaną na czarny kolor, żeby refleksy światła nie przyciągnęły uwagi strzelców. Znał swój fach: pytania, jakie mi zadawał, były techniczne i wnikliwe.

– Interesują cię tylko bastiony?

– Czemu pytasz? – odparł, opuszczając lunetę.

– Jesteś estetą, spróbuj zobaczyć coś więcej.

Ponownie zbliżył okular do oka.

– *Mon Dieu, c'est vrai!* – wykrzyknął. – *Quelle belle ville!*^[91]

– Przed bombardowaniem było jeszcze piękniejsze.

Roześmiał się.

– Widokiem się nie najemy. Chodźmy na kolację.

Kiedy wracaliśmy do masii Guinardó, przemówił do towarzyszącej mu świty tymi słowy:

– Zaiste, hiszpańską koronę nosi obłąkaniec. Dlaczego chce zniszczyć kraj tak bogaty, na szkodę własnych interesów? Podatki, port, warsztaty, handel zasiliłyby królewski skarbiec. A zgraja wojowniczych ministrów domaga się, bym zburzył to do ostatniego domu, a na gruzach wzniosł pomnik zwycięstwa.

Nie łudźcie się, przyszłość Barcelony guzik Jimmy'ego obchodziła. Wierzył w to, co mówił, lecz zarazem, wypowiadając głośno owe myśli, chciał zdjąć z siebie ciężar odpowiedzialności za mającą nastąpić masakrę. Nie chciał się mieszać w sprawy Hiszpanii, które w jego oczach stanowiły istny galimatias odwiecznych wojenek i ambicji. Psy towarzyszyły mu wszędzie. Cztery czarne bestie, wielkie jak żrebaki, o gładkiej sierści i obwisłych policzkach. Sypiały z nim, jeden w każdym rogu łóżka. Zawsze czułem się przy nich nieswojo, bardziej przypominały cerbery niż zwykłe zwierzaki.

Wieczorem zapytał mnie:

– Naprawdę byłeś martwy?

– Chyba tak.

– Śmierć... – westchnął. – Jaka jest?

– Nic takiego. Ale to, co przychodzi potem, wymyka się wszelkiemu pojęciu.

Rozwiewa się czas i przestrzeń. Niewysłowiony spokój.

– Opowiedz mi.

– Tego nie da się opowiedzieć. Ale zapewniam cię, że umieranie jest mniej straszne niż powrót stamtąd.

Roześmiał się.

– Robisz mi wyrzuty za to, że ocaliłem ci życie? – zapytał.

Wtuliłem twarz w poduszkę i odrzekłem:

– To tak, jakby wypić milion litrów własnej ropy.

Nie lubił smutnych rozmów. A jeszcze mniej oddawać komuś pole.

– Kiedy to wszystko się skończy, załatwię ci jakiś tytuł szlachecki – powiedział. – Hrabia? Markiz? Niech będzie baron. – Zachichotał głośno. – Uwielbiam wojnę. Wiesz dlaczego? Dlatego że w czasach pokoju jestem za blisko rodziny. Nie ma lepszej wymówki, żeby się odczepić od krewnych niż porządna kampania, a ja mogę się wtedy cieszyć towarzystwem psów i kochanków.

Jimmy nie miał tatuaży na przedramieniu. Ale uczył się od mistrzów i kierował tyłoma obłąkami, że mógłby zebrać więcej Punktów niż ja.

Zapytałem go o to.

– To była moja pierwsza decyzja polityczna – wyjaśnił. – Pewnie z czasem zostałem najlepszym inżynierem na całym świecie. Ale Punktowany może być tylko Punktowanym; inżynieria pochłania was do tego stopnia, że nic innego nie wchodzi w grę. To nie królowie służą inżynierom, ale inżynierowie królom. Ja chcę być królem. – Odwrócił się, żeby na mnie popatrzeć. – Dlaczego pytasz?

– Dlatego że gdybyś był Punktowanym – powiedziałem – musiałbym za ciebie umrzeć. A ponieważ nie jesteś, mogę cię zabić bez wyrzutów sumienia, nawet nie mrugnawszy okiem.

Ze śmiechu trząśł mu się brzuch.

– Ach tak, zapomniałem. Święte zasady Mystère. Naprawdę sądzisz, że przed wbiciem mi noża w plecy powstrzymują cię te kropeczki? Powiedz, czy gdybym odesłał cię do Verbooma, nie wyrwałbyś mi wątroby tylko dlatego, że ma trzy Punkty wytatuowane na ręce? – Spowaźniał. – Ten wasz Mystère jest wymysłem inżynierów, ubarwia im nudę brył i kątów. Posiadanie własnego tajemnego boga – lub antyboga – sprawia, że człowiek czuje się ważniejszy, niż jest. Mystère nie istnieje. – Odwrócił się do mnie plecami, wtulił ucho w poduszkę i dodał: – Pogaś świece.



Jimmy był szybszy niż śmierć. Nazajutrz z samego rana oznajmił tonem udzielnego władcy:

– Przyrzekłeś posłuszeństwo. Godzina wybiła.

Złożyłem przed nim ostentacyjny dworski ukłon i odparłem:

– Jakie są twoje rozkazy?

Skinął łaskawie ręką i odrzekł niedbale:

– Drobiazg. Zerknij na to.

Rozpostarł na stole dwie wielkie mapy. Na pierwszej widniała transzeja wykoncypowana przez Verbooma i sabotowana przeze mnie; na drugiej – transzeja Dupuy-Vaubana. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w obie. Zapewniam was, żal wkrada się przez oczy.

Nie mogłem powstrzymać łez. Cichych łez, które spływały mi po twarzy i spadały deszczem na leżące przede mną plany. Jimmy zapytał:

– Dlaczego płaczesz?

– Te dwie transzeje są takie piękne... – powiedziałem. – Co ty możesz wiedzieć o uczuciach inżynierów?

Obojętnie, który projekt wybrałby Jimmy – Dupuy-Vaubana czy mój, przywłaszczony przez Verbooma, nasze mocno uszkodzone, stare mury i tak by nie wytrzymały. Kiedy mamy dobry narys, dostatek materiałów i liczne oddziały saperów, każda transzeja szturmowa dotrze w końcu pod mury. Gdyby jednak Jimmy skorzystał z planów Dupuya, tak perfekcyjnych, nie przetrwalibyśmy dłużej niż okamgnienie: mniej niż tydzień i byłiby w mieście. Musiałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby Jimmy odrzucił projekt Dupuya. Ale jak? Jak?

– Verboom widział projekt Dupuy-Vaubana i vice versa? – zagadnąłem, jakby chodziło o zupełną błaźnię.

Jimmy nie dostrzegł obawy kryjącej się w tym pytaniu. Na moją transzeję dałby się nabrać, z trudem, ktoś mający trzy Punkty, jak Verboom. Lecz gdyby Dupuy-Vauban – Siódemka – zanalizował ją dogłębnie, wówczas... adiu Fruziu. Zobaczyłby, że to pozłacany szmelc i zauważył moją krecią robotę.

Na szczęście Jimmy wykrzyknął:

– Cóż za pomysł! Nie przepadam za walkami kogutów. Niech bronią swoich projektów, ale nie chcę, żeby skakali sobie do oczu. Żyjmy w zgodzie. Oblegający powinni przede wszystkim utrzymać spójność w szeregach.

Gdyby czerwoni aksamitnicy byli tacy jak Jimmy! Zamiast wspierać don Antonia, uprzykrzali mu życie od rana do wieczora. W murach – garstka skłóconych obrońców; za murami – Jimmy rządzący żelazną ręką w żelaznej rękawicy.

– Wezwałem ich tutaj. Niech się wypowiedzą. Rzecz jasna ostatnie słowo

należy do mnie. Wiesz o transzejach więcej niż ja. Będiesz mi doradzał.

– Cóż za zaszczyt! – odparłem drwiąco. – Pokorny sługa waszmości jako sędzieja w sprawach inżynierii! Dupuy-Vauban jest w twoim sztabie – dodałem. – Już wcześniej zleciłeś mu pracę nad planami transzei szturmowej. Zatwierdź jego projekt, i gotowe.

– Włączyłem Dypuya w skład sztabu, bo jest najlepszym z żyjących inżynierów. Ale skoro mam dwie oferty, przed kupnem chcę zajrzeć koniom w zęby.

Gdy zasiadł, by przyjąć owych „dwóch gamoni”, jak ich nazwał, znikła gdzieś jego chłopięca frywolność, którą zastąpiła poza udziałnego monarchy.

– Wysłuchamy ich. I pamiętaj: masz być jak sufler ukryty za plecami króla i szepczący mu do ucha. Z pozoru będą mówić do mnie, w rzeczywistości do ciebie. Kiedy ich odprawię, poproszę cię o radę.

Kazał mi wyjść do sąsiedniej izby, oddzielonej przepierzeniem tak cienkim, że mogłem wszystko słyszeć. Przez szparę na wysokości oczu widziałem nawet przygotowane dla nich krzesła.

Weszli. Jimmy usadził ich twarzą w twarz i poprosił, żeby przedstawili zalety swoich transzei. Najpierw Dupuy-Vauban, potem Verboom. Spełnili jego życzenie. Polemika była nieunikniona. Pierwszy nie wytrzymał Francuz:

– Święta Klara? – wykrzyknął, przerywając kielbaśnikowi z Antwerpii. – Mamy atakować przez bastion Świętej Klary? To wbrew zasadom poliorcetyki!

Verboom nie pozostał dłużny:

– Wbrew zasadom? Pracowałem nad tą transzeją przez całe lata. A waszmość zjawiasz się nagle z naprędce przygotowanym projektem i wmawiasz nam, że jest lepszy.

Dupuy-Vauban, ignorując te uwagi, zwrócił się do Jimmy’ego:

– Panie marszałku, błagam. To miasto oblegano w ostatnich czasach trzy razy. Trzy! Za każdym razem z tego samego miejsca. I nigdy od strony Świętej Klary! Czy to znaczy, że wszyscy nasi znakomici poprzednicy byli w błędzie?

– Pochodzę z Antwerpii, lecz zawsze służyłem, służyć i będę służył królowi Filipowi, niech Bóg nad nim czuwa! – wybuchnął ni w pięć, ni w dziewięć Verboom. – Dla niego cierpiałem niewolę i jemu pozostaję wierny.

Argument był raczej chybiony. Jimmy wciąż pamiętał krytykę, jaka z racji jego pochodzenia spadła nań po bitwie pod Almansą. Z flegmą sparował cios.

– Mój drogi Jorisie – powiedział – dyskusja nie dotyczy naszych rodowodów. Korzenie, korzenie, korzenie... ludzie to nie warzywa. Wypominasz mi, że na czele angielskich wojsk walczyłem przeciwko jego wysokości Filipowi V?

Verboom wszędzie wietrzył spiski:

– Teraz rozumiem! To spotkanie od początku było czczą formalnością.

Jestem inżynierem i potomkiem inżynierów. Jednak rzecz jasna nie dorównuję szlachectwem wielkiemu Vaubanowi. – Wstał i oparł zaciśnięte pięści na stole. – Powiadomię króla Hiszpanii o tym, jak postępuje się jego poddanych, faworyzując Francuzów. A ci potrafią się zaprotegować jak mało kto!

Tego już było za wiele dla Dupuy-Vaubana, który będąc rycerzem w każdym calu, miał wszelako usposobienie dość gwałtowne. Nazbyt gwałtowne.

– Milcz, ty sprzedajna kokoto, kupcząca ekierką i cyrklem! – rzucił Verboomowi w twarz, zrywając się z miejsca. – Inżynierowie z całej Europy znają twoje haniebne sztuczki. Żalisz się na domniemane szykany, żeby wyżebrać przywileje. Waszmość nie służysz żadnemu królowi, ty chcesz się królami wysługiwać!

Jimmy ich wzajemne obrzucanie się obelgami śledził z wyższością i znudzeniem. I nawet nie starał się tego ukryć. Pamiętam, jak patrzył w sufit i ostentacyjnie wachlował się ręką. „Boże, co za upał – zdawał się myśleć – doprawdy, że też im się chce tak gorączkować”. Nagle do drzwi zapukał posłaniec. Musiały to być jakieś ważne wieści, skoro ośmielił się przerwać naradę u samego marszałka. Jimmy zaczął czytać, nie zwracając uwagi na walkę kogutów, która toczyła się w najlepsze tuż obok.

– Cisza, panowie! Opowiem wam pewną historię – powiedział, odsuwając list od oczu. – Po łacinie miesiąc lipiec nosi nazwę Julius, od Juliusza Cezara. Sierpień to Augustus, na cześć Oktawiana Augusta. Po Auguście cesarzem został Tyberiusz. Lizusy z senatu, chcąc mu się przypodobać, zamierzały przemianować wrzesień na Tiberius, lecz władca ów, który nie był aż takim tyranem, jak się wszystkim wydaje, wyśmiał nadgorliwców: „Co zrobicie, powiedział, kiedy zabraknie wam miesięcy, a cesarzy wciąż będzie przybywać?”.

Verboom i Dupuy zamilkli, próbując odgadnąć morał wynikający z owej opowieści. Zapadła długa cisza. Jimmy odprawił ich gestem dłoni. Skłonili się, nieco skonsternowani, i wyszli.

– A ta parabola o cesarzach, Tyberiuszu i wrześniu? – spytałem. – O co w tym chodziło?

Jimmy zaprzątnięty był własnymi sprawami.

– Ach, tamto... Nie mam pojęcia – powiedział. – Kłócili się tak, że jeszcze by się pozabijali, więc dałem im do myślenia. Jak ktoś nie chce wyjść na głupca, lepiej niech milczy. – Rozdrażniony, pomachał przeczytanym listem. – Nie uwierzysz, co tu jest napisane.

Zobaczyłem pieczęć Filipa.

– Tak, to od niego, od tego pomyleńca, fuksem koronowanego na króla! – wykrzyknął. – Proponuje mi stanowisko naczelnego wodza wszystkich hiszpańskich wojsk. Mnie, marszałkowi Francji! A cóż to za zaszczyt? Mam opuścić Ludwika XIV? Żeby stanąć na czele armii bosonogich obdartusów? Może

jeszcze mnie mianuje królem węgierskich Cyganów? – Ze złością zmiął list w kulkę. – Na miły Bóg! Czy ktoś, kto obcuje z Homerem, zadowoli się Wergiliuszem?

Z pogniecioną kartką w rękach krążył po izbie, pogrążony w myślach. Miał dość problemów, a czy tego chciał, czy nie, ta niespodziewana propozycja stawiała go w kłopotliwej sytuacji: powiedzieć „nie” królowi to niebezpieczna rzecz.

– A co z transzeją? Verboom czy Dupuy? – zapytałem.

Zastanawiał się, chodząc tam i z powrotem, ze spuszczoną głową. Serce waliło mi jak młotem. Rzadko się modłę, ale wtedy błagałem w duchu Boga czy Mystère’a, wszystko jedno: „Proszę, proszę... Niech wybierze moją transzeję, moją, moją”.

Nagle Jimmy znieruchomiał. Przemówił, ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę, podniesionym palcem celując w sufit:

– Postawmy na transzeję Verbooma.

I wyjaśnił łaskawie:

– Rzecz jasna odrzucę propozycję Filipa. Uzna to za zniewagę. A jeśli wraz z moją odmową dotrze do niego wiadomość, że odsunąłem na bok Verbooma, przyjmie to jeszcze gorzej. Ty nie wiesz, jaki on jest... To chorowity, trawiony melancholią dzieciak w ciele króla. Zaczynamy, jak tylko zgromadzimy potrzebne materiały. – I zakończył: – Do roboty. Im szybciej skończymy z tym miastem i tą zgrają szaleńców, tym lepiej.

Moja kochana, szpetna Waltraud przerywa mi opowieść, pytając o Anfana i Amelis. Streścimy obawy grubej Waltraud: czy naprawdę gotów byłem opuścić moich bliskich? Czy okłamałem Jimmy’ego? Odpowiedź brzmi: nie, nie okłamałem.

Teraz powiem coś, z czym może trudno będzie wam się zgodzić. Najwyższym dowodem miłości jest jej odrzucenie. Jimmy to Jimmy. Jimmy’ego nie dało się okłamać. Zdemaskowałby mnie, gdybym tylko mrugnął. Jedyнным sposobem, by ukryć przed nim moje uczucia, było owych uczuć nie mieć.

Jeśli rzeczywiście kochałem rodzinę, musiałem zdusić w sobie tę miłość, musiałem się jej wyrzec, przynajmniej do czasu. Stać się kimś innym, wymyślonym od nowa, a przy tym wiarygodnym. Ukryć moją miłość pod maską innej miłości. I zapewniam was, że było to równie trudne jak naszkicowanie kłamliwej transzei szturmowej, o ile nie trudniejsze. I niech będzie, powiem to: następne czterdzieści osiem godzin poświęciłem samemu sobie, by rozwiać wszelkie podejrzenia Jimmy’ego. Trzeciego dnia dostałem od niego mundur francuskiego kapitana.

Znacie pewnie stare marynarskie porzekadło: kropla dziegciu wystarczy, żeby zatruć beczkę miodu. Postanowiłem stać się tą kroplą w burbońskim obozie.

To nie do wiary, ile klęsk i szkód może spowodować jeden – jeden jedyny – człowiek, jeśli z rozmysłem działa w złej wierze.

Przechadzałem się dumnie, obnosząc swój świeżo wyfasowany francuski mundur, tam i z powrotem. Są kapitanowie i kapitanowie, a mój uniform uszyty był z nowiutkiego białego sukna – słowem, Zuvi Długonogi zadawał szyku, budząc respekt w całym wojsku. Brudni żołnierze o ubłoconych nogach, pogrążeni w abnegacji po ciągnącym się już rok oblężeniu, widzą nagle oficera, który wygląda, jakby wyszedł prosto z wersalskich salonów. I tu właśnie dostrzegłem sposobność, żeby im spieszyć robotę.

Upatrzyłem sobie nawarskiego rekruta o głupkowatej gębie. Nawrzeszczałem na niego tak, że skulił się ze strachu, i zawlokłem do parku artylerii. Wetknąłem mu w ręce młot i dłuto i kazałem skuwać lufy armat. To by je uszkodziło na amen. Ale co mógł zrobić? W armiach despotów żołnierze to potulni niewolnicy. W odróżnieniu od wojaków z barcelońskiej Coroneli, nie zadawali pytań, a tym bardziej nie śmieli odpowiadać. Zostawiłem go i poszedłem. Prędzej czy później ktoś biedaka przyłapie i powieszą go jak nic, przedtem jednak zdąży zniszczyć kilka dział.

Proch jest dobrem tak cennym, że wartownicy pilnują go dzień i noc. Bez wyraźnego rozkazu nie wolno go tknąć. Ale przy większych oblężeniach część zawsze trafia w niewłaściwe miejsce, a część długo czeka na przydział. I tu jest pole do popisu dla dobrego sabotażysty. Kazałem przenieść beczki z prochem armatnim na stanowisko piechoty, a proch muszkietowy wydać artylerzystom. (Moja kochana, szpetna Waltraud nic z tego nie rozumie. No jasne, skoro cały dzień spędzasz na gotowaniu kapusty, to jak możesz się znać na prochu?). Granulacja jest inna dla każdej broni. Po zamianie, gdyby strzelano z armat, pociski padałyby tuż za wylotem lufy, a podczas wystrzału z karabinu wybuch w panewce oślepiłby strzelca. Pół ziarenka prochu wystarczy, żeby wypalić oko.

Zaczynałem się naprawdę dobrze bawić, gdy zaskoczył mnie stary znajomy: kapitan Antoine Bardonenche. To było nieuniknione. Prędzej czy później musieliśmy się na siebie natknąć, jak nie w tym, to w innym miejscu obozu.

– Wreszcie się spotykamy, przyjacielu! Ale, ale... nie za nisko się waszmość cenisz? W służbie króla Carlosa byłeś pułkownikiem-lejtnantem, a tutaj dali ci tylko kapitana.

– W służbie arcyksięcia Karola – poprawiłem go, żeby nie wypaść z roli dezertera. – Królem nazywają tego uzurpatora rebelianci.

– Tak, tak, wiem, ale czy to nie wszystko jedno? – powiedział Bardonenche, którego polityka guzik obchodziła. – Rzecz w tym, że teraz obaj jesteśmy kapitanami. Musisz waść zjeść ze mną kolację.

Podłożyłem burbończykom jeszcze parę świń, a wieczorem – cóż miałem zrobić? – skorzystałem z zaproszenia. Kolacja była słodko-gorzka. Noc

zakończyliśmy, pijąc razem przy obozowym ognisku. Płomienie, niebieskie i wątle, nadały naszemu spotkaniu melancholijny ton. Jakże dalekie zdawały się owe dni bez troskiej swawoli na łąkach Bazoches, w towarzystwie Jeanne i jej siostry.

– Mogę coś wyznać waszmości? – spytał, ulegając nastrojowi sentymentalnej nocnej pory. – Nienawidzę tego wszystkiego, nienawidzę. Tkwimy tu od miesięcy, w tym smętnym obozowisku. Widziałeś kiedyś równie niechlujnych żołnierzy? Wyglądamy jak armia żebraków.

– Na wojnie, jak na wojnie. Sądziłem, że czujesz się tu jak w domu.

Pokręcił głową.

– To już nie jest honorowa wojna. Bardziej przypomina obławę na wilki. Zabijanie tych ludzi nie przynosi nam zaszczytu.

Wyznaczono go do działań na tyłach: przez cały czas eskortował wozy z zaopatrzeniem dla wojska, walcząc z nękającymi tabory miqueletami.

– Nie tak dawno, w okolicy Mataró – ciągnął – podpaliliśmy las, żeby wypłoszyć stamtąd zamknięty w okrążeniu oddział. Widziałeś, jak płoną sosny? Płomienie sięgały nieba, tysiące szyszek wybuchały niczym granaty. Krzyczałem, żeby się poddali. Cztery razy przysięgałem na własny honor, że daruję im życie. Daremnie. – Zamilkł na chwilę. – Kiedy już nie mogli znieść żaru, wybiegli hurmem spośród drzew. Połowa z nich jako żywe pochodnie. I wiesz co? Wyli, płonąc w męczarniach, ale myśleli tylko o tym, żeby zewrzeć się z nami w uścisku i zabrać nas ze sobą do piekła. Jednemu z nich przebiłem pierś szablą. To chyba był ich herszt. Popatrz na to. – Podał mi skórzany woreczek. – Miał to przy sobie. Dziwne, prawda?

Otworzyłem sakiewkę. W środku były kule. Niektóre wciąż poplamione zaschniętą krwią.

– Wierzysz waszmość w przeznaczenie? – zapytał.

– Nie.

– Ja też. Ale tu jest dziewiętnaście kul, a ja zabiłem dziewiętnastu ludzi w pojedynkach i na wojnie.

– I cóż z tego wynika?

– Wbiłem mu szablę w pierś, aż po rękojeść. Gdybyś widział jego spojrzenie. Ostatkiem sił wycharczał coś do mnie. Nie mogłem go zrozumieć.

– Pewnie cię przeklinał.

Bardonenche odwrócił wzrok i spojrzał w ogień.

– Pewnie tak.

„Znużenie” i „Bardonenche” to słowa, które zupełnie do siebie nie pasowały. A jednak tamtej nocy wydawał się wyczerpany. Siedział skulony, obejmując rękoma kolana. Ważyłem w dłoni sakiewkę Busquetsa. Busquets, kapitan miqueletów, którego poznałem podczas ekspedycji i który tak bardzo chciał wyzwolić Mataró. Wierzył przesądnie, że nie umrze, dopóki nie napełni tego

woreczka kulami. Cóż, święty Piotr nareszcie otworzył mu bramy nieba.

– Czemu się zadręczasz tym makabrycznym wspomnieniem? – powiedziałem, wpatrując się w sakiewkę jak w szklaną kulę.

– Nie wiem – odrzekł z westchnieniem. – Czuję, że ta sakiewka jest teraz moja. Próbowałem ją wyrzucić, ale nie mogę.

Wysiliłem się na pełen niedowierzania uśmiech.

– Nie możesz? Ja to zrobię, jeśli chcesz.

Znowu pokręcił głową i zapytał:

– Powiedz mi waszmość: jaki sens ma noszenie woreczka pełnego zużytych kul?

– Nie wiem – westchnąłem także. – Może jej właściciel chciał obarczyć nim tego, kto go zabije. Albo jeszcze gorzej.

– Gorzej? – spytał z nagłym niepokojem.

Spróbowałem wczuć się w mentalność miqueleta.

– Kiedy miqueleci złapią Francuza czy Hiszpana ze strzelbą z katalońskim stemplem albo ze szpadą ozdobioną katalońskim herbem na rękojeści, dokonują na nim egzekucji tą samą bronią, którą zrabował. Przeczytaj wyszyte na woreczku imię właściciela: „Jaume Busquets, *capità*^[92]”. Gdyby przyjaciele nieboszczyka schwytali waszmości z tą sakiewką, wepchnęliby ci jej zawartość do gardła. Taki mają obyczaj.

Ledwie skończyłem to mówić, pożałowałem swoich słów. Opowiadać takie rzeczy Bardonenche’owi to tak, jak straszyć dziecko, nawet jeśli był najlepszym szermierzem w całej Europie. Musiałem wracać do Mas Guinardó. Wstałem.

– Przyjacielu mój najmilszy – pożegnał mnie Bardonenche, nie podnosząc się ze swego miejsca przy ognisku – cieszę się, że służymy razem. Wiesz co? Często myślałem sobie: „Boże wielki, jeśli to zajdzie za daleko, możliwe, że będę musiał zabić mojego kamrata z Bazoches”.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale nie bardzo wiedziałem co.

– Antoine – odparłem, rozmyślając na głos – być może nie wszystko jest takie proste, jak przedstawiali nam to nasi przodkowie i nauczyciele.

Zaskoczyła mnie trafność odpowiedzi, tak niepasująca do jego chłopięcej natury.

– To by było bardzo smutne – westchnął. – Bo oznaczałoby, że miłość do naszych ojców i dziadów kryje w sobie fałsz. Lecz czy jako dobrzy synowie i uczniowie mieliśmy inny wybór? – I dodał grobowym tonem: – Nie chcę cię zabijać.

Zmroziło mnie. Może wcale nie był taki głupi. Możliwe, że nasza zażyłość pozwalała mu domyślić się wielu rzeczy. Między innymi tego, że „buntownik” bez reszty zaangażowany w obronę rodzinnego miasta nie przeszedłby tak lekko na stronę wroga. I może, tamtej nocy, Bardonenche dał mi najwyższy dowód

przyjaźni: nie zdradził zdrajcy.

– Wierzysz waszmość w przeczucia? – zapytał.

– Nie.

– A ja tak. Jeżeli Barcelona się nie podda i dojdzie do szturmu, zginę. Wiem to. – I zapatrzył się w ogień.



Transzeję otworzyli nocą z 11 na 12 lipca 1714 roku.

Jimmy wszystkiego miał w bród: pierwszą paralełę kopało trzy tysiące pięciuset ludzi osłanianych przez dziesięć batalionów piechoty i dziesięć kompanii grenadierów. Ja, przywykły do wojennych braków, z zazdrością patrzyłem na ów zbytek.

Dzięki mundurowi francuskiego kapitana wszędzie miałem swobodny dostęp. Gdy tylko zaczęli kopać, wśliznąłem się do rowu. A jak oni pracowali! Tysiące łopat, w galernicznym rytmie, wyrzucały ziemię przed siebie na długości ponad kilometra.

Dół sięgał nam do kolan, a już po chwili niemal do piersi. Krążyły wiklinowe kosze, setki koszy. Napelniano je kamieniami i piachem, układano na przedniej krawędzi transzei, a potem wzmacniano parapet, dosypując więcej ziemi. W środku aż mnie skręcało na myśl o moim mieście, o żołnierzach barcelońskiej Coroneli: „Na co czekacie? – desperowałem – atakujcie, atakujcie wreszcie!”.

Atak na transzeję pierwszego dnia robót jest czymś tak oczywistym, tak przewidywalnym podczas każdego oblężenia, iż rzeczą niezwykłą bywa jego brak. Kopacze i osłaniające ich wojsko widoczni są jak na dłoni. Najczęściej manewr polega na bombardowaniu transzei z murów, by następnie rzucić się hurmem na wroga. Jeżeli wycieczka została dobrze przygotowana, obrońcy twierdzy, przy odrobinie szczęścia, mogą przedrzeć się przez oddziały osłaniające wykop, zbyt jeszcze płytki, by zapewnić im schronienie. W tym pierwszym zbrojnym wypadzie oblężeni starają się dokonać jak największych zniszczeń – jeśli zdążą, to nawet zasypać rów – i natychmiast się wycofać. Z pozoru to niewiele, ale na wojnie morale jest wszystkim. Miasto wysyła w ten sposób sygnał do atakujących je wojsk: „Wasza praca poszła na marne. Chodźcie tutaj, czekamy na was!”. I wszystko trzeba zaczynać od nowa.

Burbończycy nie czuli się pewnie, tak bywa zawsze w chwili otwarcia transzei. W dodatku, przerabiając narys Verbooma, położyłem szczególny nacisk na to, że należy zacząć kopać jak najbliżej murów. Odległość faktycznie była nadzwyczajnie mała. Półtora strzału z karabinu, niespełna sześćset metrów. Żywiłem tajemną nadzieję, starannie rzecz jasna skrywaną przed Verboomem, że generał tak czujny jak don Antonio dostrzeże rozpoczęcie robót i zaatakuje. Wszystko grało na naszą korzyść. Przy tej pierwszej paraleli, biegnącej tak blisko murów, nasi chłopcy mogli się znaleźć w mgnieniu oka. Podczas błyskawicznej szarży nie musieli obawiać się strat, dopóki nie dojdzie do walki wręcz, a ich zawziętość stokrotnie przewyższała bojowy zapal francuskich najemników Potwora i hiszpańskich rekrutów Filipka.

Na rozkaz Jimmy’ego burbończycy przez całą noc walili w kotły, żeby

zagłuszyć szcęk narzędzi. Strata czasu. Nawet po ciemku trudno ukryć tysiące kopiących w ziemi ludzi. Jednak dla saperów najstraszniejszy jest dzień następny, kiedy po całonocnej pracy bez spoczynku padają z nóg, a słońce już wschodzi. Aż do tej chwili nie dzieje się nic. Chwila rozprężenia. I wtedy nadciągają oblężeni w błyskawicznym natarciu.

Lecz świt nadszedł, a na murach nie widać było najmniejszego ruchu. Dlaczego nie atakują, dlaczego? W duchu odchodziłem od zmysłów. „Nic nie widzicie? Ruszcie się, do kurwy nędzy!”. I po raz pierwszy ogarnęło mnie przerażające uczucie, jakiego nikomu nie życzę: „Boże, Martí, a jeśli zaprojektowałeś to za dobrze?”.

Don Antonio miał rzecz jasna plan błyskawicznego natarcia na transzeję. Ja jednak, z oczywistych powodów, nie mogłem wiedzieć, co się dzieje w mieście. A co się działo? A to, że czerwoni aksamitnicy znowu wsadzili nos w nie swoje sprawy i wszystko zepsuli. Don Antonio przez całą noc z 12 na 13 lipca w tajemnicy przygotowywał wycieczkę. Trzynastego z samego rana wysłał liścik do żony – która mieszkała wówczas na Montjuïc – z zapowiedzią, że o dziewiątej będzie u niej na śniadaniu. Dyktował go w obecności innych, tak więc już o ósmej całe miasto wiedziało, że generał Villarroel, zamiast ruszyć do ataku, ruszył na spotkanie z małżonką, by razem z nią zajadać smakołyki. Oto iście homerycka pogarda dla wroga! „Otwierają transzeję? A niech sobie otwierają. Idę coś zjeść. Niech wszyscy zobaczą, ile mnie obchodzi, czy kopią, czy nie kopią!”.

Nawet moja kochana, szpetna Waltraud, która jest gadatliwa i głupia jak papuga, zrozumiała, że ów liścik miał zmylić burbońskich agentów. Wiemy przecież, że w Barcelonie szpiegów było więcej niż much na zadku muła, dlatego punkt dziewiąta don Antonio stawiał się na Montjuïc w otoczeniu licznej świty, zamierzał jednak wrócić potajemnie do miasta o jedenastej, czyli na długo przed najwcześniejszą porą śródziemnomorskiego śniadania, by poprowadzić natarcie.

Casanova, *Conseller en Cap*^[93], zupełnie stracił głowę, odkąd powiadomiono go, że burbończycy otworzyli transzeję. Natknąwszy się owego ranka na jednego z generałów piechoty, zaczepił go niegrzecznie, wykrzykując na cały głos:

– Idziesz waść ucztować na Montjuïc? To powiedz Villarroelowi, że prawy barcelończyk nie przełknąłby ani kęsa, patrząc na to, jak wróg bez przeszkody okopuje się tuż pod miastem!

Generał rzecz jasna powtórzył don Antoniowi jego słowa, a wzburzony obcesowym tonem Casanovy, jeszcze je ubarwił. Tak więc don Antonio musiał odwołać natarcie do czasu, aż dogada się z rządem. Z trudem udobruchał Casanovę, który nie dość, że zniweczył jego podstęp, to jeszcze zaczął się wtrącać do planu samej bitwy. Do dzisiaj uważam, że nikt w oblężonej Barcelonie nie rozumiał, na jak ciężką próbę wystawiono cierpliwość i żołnierski spryt starego wojaka. Nie starczy tu miejsca, by wyliczyć wszystkie głupie pomysły naszego

Conseller en Cap i jemu podobnych.

Kiedy Casanova wyklócał się z don Antoniem, ja siedziałem skulony na dnie pierwszej paraleli, usiłując z dość marnym skutkiem chronić się przed armatnimi salwami naszego wybitnego artylerzysty i przeżuwacza pietruszki, Francesca Costy.

Tuż przed samym świtem Costa, który miewał skłonność do działania na własną rękę, postanowił nie czekać na rozkazy rządu i dowództwa. Przegrupował osiem moździerzy i czterdzieści dwie armaty, które jęły miotać kule i kartacze na traszeję (oraz moją nieszczęsną osobę).

O samym bombardowaniu powiem tylko, że jeśli artyleria jest sztuką, to ów poranek zasługuje na nieśmiertelną pamięć. Wylatujące z moździerzy pociski kreśliły w powietrzu parabole doskonałe, znaczone na niebie smugami dymu. Niektóre z kamiennych kul ważyły ponad pięćdziesiąt kilo. Miażdżyły wszystko, a spadając, wzbijały fontanny ziemi, połamanej faszyny i drzazg ostrych niczym noże.

Majorkanie Costy strzelali na zmianę kamieniami i wypełnionymi prochem bombami z zapalonym lontem. Te na wysokości dwóch lub trzech metrów rozrywały się w żółtych i białych wybuchach, sypiąc na głowy skulonych w okopach ludzi kawałki rozpalonego do czerwoności żelaza. Trzeba nie lada wprawy, by przewidzieć, w którym momencie dopali się lont, i ocenić siłę wystrzału tak, by stało się to dokładnie nad traszeją, nie za wysoko, by śrut nie ostygł, i nie za nisko, bo wówczas cały impet idzie w ziemię. Kiedy naprzeciwko masz takiego mistrza jak Costa, jedyną możliwą osłonę stanowi wąski i bardzo głęboki rów, ograniczający pole rażenia. Przypominacie sobie zapewne, że przekonałem Verbooma, by uczynił dokładnie na odwrót: zaprojektował traszeję płytką i szeroką.

Niestety, jak wiecie, ja byłem wówczas na linii burbońskiej, a nie u boku naszego mistrza artylerii i miałem wielki kłopot, albowiem paradoksalnym zrządzeniem losu sam padłem ofiarą artyzmu Costy. Bomby wybuchały mi nad głową z ogłuszającym hukiem. Pamiętam zapach wilgotnej, gorącej ziemi osuwającej się ze ścian nieoszalowanego jeszcze wykopu. Wokół mnie, nade mną i pode mną kuliły się, jęcząc ze strachu, dziesiątki przerażonych powietrznymi detonacjami robotników. Transzeję szturmowa wywołuje zamęt w przestrzeni, sprawia, że mylą się wszystkie kierunki, a przebywający w niej ludzie doświadczają skrajnych przeżyć. Walczą o życie, atakowani w trzech wymiarach: na powierzchni, wręcz; z powietrza, bombami, a pod ziemią – minami. A dodajmy do tego jeszcze wymiar czwarty: czas. Postęp transzei można dokładnie wyliczyć i jest to zadanie najprostsze na świecie. Ale tylko dla kogoś, kto jest Dziesiątką, i dla samego *Mystère'a*. Oblegającemu twierdzą inżynierowi wydaje się, że praca posuwa się naprzód jak ślimak; obłożonemu inżynierowi, że pędzi jak rączy jeleni.

Transzeja szturmowa jest najbardziej precyzyjnym ze wszystkich dzieł człowieka, a zarazem powstaje w warunkach najbardziej nieludzkich.

Wreszcie, gdy minęło południe, z miasta wybiegły tysiące furiatów, moich drogich sąsiadów, gotowych na wszystko. Wychyliłem się nad parapetem i zobaczyłem, że wyrwy w palisadzie zapełniają się ludźmi idącymi do szturm na świeżo wykopaną transzeję.

Rozpętało się pandemonium jak tysiąc jajec. Oblężeni atakowali środkiem, z prawa i z lewa. Na skrzydłach konnica wspierała piechotę. Artyleria waliła nieprzerwanym ogniem z obu stron. Wokół kłębił się kurz, dym i masa ludzkich ciał i już nie było wiadomo, kto tu kogo zabija. Początkowo zamierzałem schować się w jakiejś dziurze, odczekać, aż fala napastników przetoczy się nade mną, a potem ujawnić się i wrócić razem z nimi do miasta. Dobry plan, nieprawdaż? Niestety, strategia owa nie brała pod uwagę mojego przysłowiowego tchórzostwa. Setki pijanych, kwiczących jak zarzynane świnię drabów strzelały prosto we mnie. Zdawało mi się, że rozpoznaję w nich grenadierów kapitana Castellarnaua, rekrutów z nowego zaciągu.

„Na miły Bóg – pomyślałem – naprawdę źle im z oczu patrzy”. Naprzeciw nim ruszyły trzy normandzkie bataliony. Ci od Castellarnaua parli naprzód, jakby gnały ich piekielne moce. Powalili Normandczyków bagnietami i pobiegli dalej. Kiedy byli już blisko, zobaczyłem ich oczy, zaczerwienione od wina. Rzekłem wówczas sobie z przerażeniem: „Martí, oni nie będą się z tobą patyczkować”. Szli do natarcia, wydając z siebie ochryple pijackie wrzaski, wiwatując na cześć świętej Eulalii i dobijając rannych. Gdy padli Normandczycy, napastnikom nic już nie stało na drodze do pierwszej paraleli.

Atakujący żołnierz nie zna nikogo. Nikogo! Tu oni, rozjuszeni; tam ja, w moim bielutkim mundurze. W owej chwili przemknęła mi przez głowę jedna z najdziwniejszych myśli w całym moim długim wojennym życiu: „O matko, idą nasi... Ratunku!”.

– W nogi, w nogi! – krzyknąłem do otaczających mnie kopaczy. – Wynośmy się albo buntownicy posiekają nas na kawałki!

Widząc, że uciekam, niektórzy się zawahali. Prosto na nas pędzili pijani grenadierzy Castellarnaua, a Costa i jego Majorkanie bombardowali transzeję z istic diabelską precyzją. No cóż, gdy wszyscy oficerowie dają drapaka, to czego wymagać od zwykłych najmitów, których nie obowiązuje żaden wojskowy rygor?

Hurmem ruszyli za mną. (I dobrze zrobili, albowiem, jak się potem dowiedziałem, tych nielicznych, którzy zostali, pijane żołdactwo wycięło w pień). Porzucili kilofy i łopaty, taczki i na wół wypełnione kosze i pomknęli przed siebie z zadziwiającą szybkością. Kilku miało takiego stracha, że wyprzedzili nawet mnie. Mnie!

Szarża wygasła, nie czyniąc większych szkód. Nie był to pożar, raczej ogienek, wąty niczym wieczna lampka płonąca ku pamięci poległych. A kogo obchodzili martwi? Owszem, napastnicy zajęli transzeję, owszem, zniszczyli wszystko, co się dało, lecz szybko wyparły ich stamtąd cztery tysiące burbońskich żołnierzy, robotników i minerów, którzy wrócili do kopania, jakby nic się nie stało.

Ktoś z dowództwa wręczył mi raport z potyczki i polecił zanieść Jimmy'emu. Nie zważając na zakazy, bezczelnie przeczytałem ów dokument po drodze do Mas Guinardó od deski do deski. Tylko pierwszej nocy i pierwszego dnia otwarcie transzei kosztowało 648 zabitych i rannych. Raport wyszedł spod ręki Verbooma, a dostarczyć go Jimmy'emu miał (o ironio!) poczciwy Zuvi.

Wkroczyłem do Mas Guinardó z pismem w dłoni, rozmyślając o tym, że szkody byłyby dużo większe, gdyby wszystko poszło dobrze. Jimmy'ego zastałem w gabinecie. Patrzył przez okno. Rzeź, którą chwilę przedtem oglądał na własne oczy, figę go obchodziła. Pogrążony we własnych myślach, przygryzał palce. Odwrócił się, zobaczył mnie i znowu wbił wzrok w szybę.

Pojękiwał, powtarzając w kółko:

– Umiera, umiera, umiera...

– Kto umiera, Jimmy? – wykrzyknąłem. – Kto?!

– Królowa, królowa, królowa...

Wytrzeszczyłem na niego oczy okrągłe jak spodki:

– Królowa Anglii? Nie żyje? – Uderzyłem powietrze pięścią. – Ależ Jimmy!

To fantastycznie!

Boże, cóż za ponura zbieżność interesów. Z przyczyn zgoła odwrotnych wiadomość ta uradowała nas obu.

Istotą polityki angielskiej było utrzymanie w równowadze dwóch bardzo czułych szal, z których jedną stanowili torysi, a drugą wigowie, na zmianę będący u władzy. Wraz ze śmiercią królowej Anny runąłby główny filar aliansu z Potworem, więc zwrot wydawał się nieunikniony. A gdyby Londyn zadarł z Paryżem, wówczas naturalną rzeczą koleją szukałby sojuszu z Barceloną.

W Anglii – co przynosi jej zaszczyt – istnieje władza nieznana tyranom: opinia publiczna. W londyńskich gazetach ukazywały się artykuły ostro krytykujące politykę zagraniczną, a jednym z gorętszych tematów była „sprawa katalońska”. Parlament huczał od debat.

Nie oszukujmy się. Jeżeli Grecja Peryklesa wysłała wojsko na Sycylię, to uczyniła tak tylko pod naciskiem demagogów. Dla Anglii liczą się wyłącznie jej własne interesy, podszepty faworytów i głos ludu. Jednak gdyby ruszyła nam z pomocą, motywy byłyby dla nas bez znaczenia. Na morzu Anglia nie miała godnego przeciwnika, angielskie okręty z łatwością by złamały francuską blokadę. I tak jak w 1706, gdy podczas pierwszego burbońskiego oblężenia angielska flota wpłynęła do portu, teraz także przywiozłaby żołnierzy i prowianty, a jej obecność

dodałaby ducha mieszkańcom. Oblężenie portu bez jego blokady jest z natury rzeczy niewykonalne, Vauban *dixit*.

W wypadku śmierci angielskiej królowej każda, nawet najmniejsza zwłoka miała znaczenie. Dwa, trzy dni wyrwane przyszłości mogły odmienić wszystko. Cała nadzieja w mojej transzei.

A Jimmy? Ów monarszy zgon nadawał nowy sens całemu jego życiu. W Anglii wrzenie, sukcesja zawieszona w próżni. Narodził się po to, by zostać królem, a kiedy nadarza się okazja, jedna na tysiąc, on tkwi tutaj, o tysiące kilometrów dalej, walcząc o sprawę, która guzik go obchodzi. Trudno kierować oblężeniem na południu, a jednocześnie przewodzić dynastycznej rebelii na północy. Musiał wybrać.

Jimmy, kosmopolita z pozoru, w głębi duszy był zatwardziałym Anglikiem. Kiedy wygnano jego ojca, ostatniego katolickiego króla Anglii, wychowywał się na dworze francuskim. Ministrowie Potwora go chwalili, mógł w pełni rozwinąć skrzydła mimo pochodzenia z nieprawego łoża. Lecz jako najemnik Francji na zawsze pozostał „drugim synem”. W 1714 miał już dość zaszczytów i zasług, by uwierzytelnić się jako pretendent do tronu. Zwycięzca tysiąca bitew, marszałek świata. Tolerancyjny w kwestiach religijnych (niewątpliwie, wszak nie wierzył w nic), pojednawczy wobec wszystkich stronnictw (też w żadnym nie pokładał wiary), giętki zawsze, ilekroć mógł coś na tym zyskać (posłużyłby się każdym i każdemu by służył). Vauban, w polityce naiwny jak Cynceron, opowiadał się za republiką cnotliwych mężów. Jimmy nie uznawał niczyich rządów, chyba że sam stanąłby na ich czele (on i kilku grzesznych mężów). A jednak trwał w służbie Potwora, który wysłał go do Hiszpanii. Porzucenie oblężenia Barcelony tuż po objęciu dowództwa było nie do pomyślenia. Potwór żywcem obdarłby go ze skóry. Śmierć królowej zmuszała Jimmy’ego do wyboru pomiędzy zobowiązaniami zaciągniętymi już w dzieciństwie wobec Francji, a własną świetlaną przyszłością.

Miał aż nadto powodów, by nas nienawidzić. Wojna światowa, trwająca od czternastu lat, wreszcie dobiegła końca. Ale ci zaciętrzewieni barcelończycy nie chcieli się z tym pogodzić, niwecząc jego szanse na królewski tron. Trzymał mnie przy sobie tak długo, mógł zapytać o przyczynę owego fanatyzmu. Nigdy tego nie uczynił. Rozpoczął i zakończył oblężenie, nie starając się nawet dowiedzieć, kim są jego wrogowie i jakiej sprawy bronią. Nie żywił do nas nienawiści, ale tylko dlatego, że nie kochał ani dobra, ani zła. Po prostu byliśmy dla niego przeszkodą.

I wtedy zapadł na zdrowiu. Medycy nie potrafili dostrzec rzeczy oczywistej: że nie była to choroba ciała, lecz głębokie załamanie duszy. Mógł pozostać wierny Potworowi i doprowadzić oblężenie do końca. Albo zdradzić go, pójść za głosem przeznaczenia i wrócić do Anglii jako pretendent do jej tronu. Nareszcie królować, samemu lub w osobie jednego z przygłupich braci. Być lokajem bez przyszłości albo wszystko postawić na jedną kartę.

Owo wewnętrzne napięcie objawiało się złośliwą gorączką, która jego żołnierski zapał tylko wzmagala. Całymi dniami krążył tam i z powrotem, nadzorując wszystko, a zwłaszcza dowóz materiałów potrzebnych do budowy transzei. Gdy wracał do Mas Guinardó, nie miał nawet siły zdjąć pancerza. Rozluźniałem rzemienie. Gors koszuli bywał tak sztywny od potu, że miałem wrażenie, jakbym zdierał skorupę z żółwia. Kiedy go rozbierałem, przepełniony nienawiścią, on odwracał do mnie głowę i dopytywał się błagalnie:

– Ty mnie nigdy nie zdradzisz? Nie zdradzisz, prawda?

Ach, ten bezdenny egoizm Jimmy’ego, nienasycony, ten jakiś pierwotny despotyzm. Gorączka rosła aż do granic delirium. *Trench... Go!...*^[94]. Jego szept przyprawiał mnie o drżenie.

Pewnego ranka nie miał siły wstać z łóżka. Przeleżał cały dzień, mocząc prześcieradła. Pod wieczór zjawił się dyżurny oficer z zapytaniem o hasło dnia. A kto? Bardonenche!

Tego dnia wydał mi się bardziej służbisty niż kiedykolwiek. Dobroduszne spojrzenie, żadnych uprzedzeń. Zastał nas w łożu, na wpół nagich. Ja przygnieciony ciężarem marszałkowskiego ciała, z rękami wilgotnymi od potu Jimmy’ego, a w powietrzu jego zapach zmieszany z moim. Bardonenche nie rzekł nic, niczego nie osądzał. Nieśmiało postąpił dwa kroki, unosząc brew, wpatrzony we wstrząsanego dreszczami dowódcę.

– Biedaczysko – wymamrotał ze współczuciem.

Przynaglony sytuacją, klepnąłem Jimmy’ego w twarz i powiedziałem:

– Jimmy, Jimmy, wojsko czeka na hasło.

Spojrzał na mnie, rzucając się w konwulsjach jak opętany, wywrócił oczy i wybełkotał nieprzytomny:

– *Loyalty*^[95].

– Jeśli umrze – westchnął przygnębiony Bardonenche konfidencjonalnym tonem – to katastrofa. Nie można trzy razy zmieniać dowódcy w tak krótkim czasie.

Mając takiego świadka, z łatwością mógłbym Jimmy’ego zabić i nikt by mnie o nic nie oskarżył, gdyż widać było, że śmierć może nadejść lada chwila.

Nie, nie zabiłem go. Nie mogłem. Niech wszyscy polegli i moi zmarli mi przebaczą.

Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Przez całą tę naszą ostatnią noc ścisnął mnie z taką siłą, że jeszcze przez trzy dni bolały mnie żebra.

– Powiedz, że nigdy mnie nie opuścisz, nie ty... – szeptał w malignie. – *Trench... Go... King... Kingdom...*^[96].

Okolo piątej nad ranem rozluźnił uścisk. Położyłem dłoń na jego czole. Gorączka spadła. Cieszyłem się i rozpaczałem zarazem. (Wiem, że jedno przeczy drugiemu. Ale tak właśnie napisz!).

Kiedy zasnął, ubrałem się i uciekłem.

Mojej ucieczce sprzyjała jedna okoliczność: jakież rozbitek wyskakuje z szalupy, by powrócić na tonący wrak? Nikomu nie przyszłoby do głowy, że francuski oficer w schludnym, nowiutkim mundurze zamierza przejść za linię okopów i czmychnąć do konającego miasta.

Pierwszy brzask wstawał znad widnokregu. Przeszedłem spory kawał wzdłuż okopów, szukając najbardziej oddalonego wejścia do transzei. Po lewej okopy rozświetlał krzyżowy ogień obu artylerii. Tysiące ludzi pracowało w rowach, cały bitewny zgiełk skupiał się na tym odcinku. Im dalej stąd, tym lepiej dla mnie.

Włóczenie się po burbońskim obozowisku zwiększało ryzyko, ostatecznie więc wybrałem pierwszą napotkaną bramkę. Strzegły jej wzmocnione straże na wypadek jakiejś wycieczki zza murów.

Bezsprzeczną zaletą dezercji ze sztabu jest znajomość hasła:

– Wierność!

Nie zwalniając kroku, wielkopańskim gestem kazałem otworzyć furtkę. Otworzyli natychmiast. W końcu stali tam po to, żeby nie wpuszczać rebeliantów, a nie po to, żeby nie wypuszczać francuskich kapitanów, udających się być może z jakąś tajną misją.

Wychodząc poza obręb transzei, czułem na plecach wzrok wartowników. (Te białe burbońskie mundury, nawet podarte i brudne, bywały kłopotliwe podczas nocnych walk. Dlatego żołnierze siedzieli za kordonem jak trusie). Przez kilka minut przechadzałem się tam i z powrotem, jakbym sprawdzał stan zewnętrznych wałów, głębokość wykopu i rozmieszczone co trzydzieści metrów stosy chrustu, gotowe do podpalenia, by w razie ataku oświetlić pole i oślepić wroga. Kiedy byłem już względnie daleko, na wpół skryty w ciemnościach, jakie zwykle poprzedzają nadejście świtu, zacząłem biec. W nogi, Zuvi!

Nie strzelali. Albo mnie nie widzieli, albo udawali, że nie widzą. Żołnierze wolą się nie wtrącać do spraw oficerów, bo wiedzą, że to oznacza kłopoty. Tym lepiej. Jimmy nie tak prędko odkryje moją ucieczkę.

Gdy znalazłem się bliżej miasta, padłem na ziemię i zacząłem się czołgać. Teren był pofałdowany, więc pełznąłem to w górę, to w dół, niby niesiony falą przyboju. Byłem jeszcze daleko od murów, gdy napotkałem jegomościa, który tak jak ja czołgał się po ziemi niczyjej, tyle że w przeciwnym kierunku. Nie zauważyłem go wcześniej, bo grunt zryty był lejami po niecelnych bombach. Spojrzeliśmy na siebie niby dwie dżdżownice, nie wiedząc, jak się zachować. Po otwarciu transzei różni słabeusze i zaprzańcy przekradali się za mury do obozu burbończyków. Trudno się im dziwić, gdy miastu groziła zagłada.

Oto ciekawy problem filozoficzny dla teoretyków prawa wojskowego: dwóch dezertów mija się na spornym terytorium – czy ich obowiązkiem jest się

pozabijać? My stwierdziliśmy, że nie. On udał, że mnie nie widzi, ja odwzajemniłem się tym samym. Spostrzegłem, że za nim ciągną inni, tak z tuzin, pełną niczym glisty. Kiedy się mijaliśmy, popatrzyli na mnie bez wrogości, ale za to jak na wariata. Pod koniec oblężenia z miasta uciekli już prawie wszyscy zawodowi żołnierze, a my staliśmy się wojskiem złożonym z sąsiadów.

Przede mną wznosiły się nasze nędzne bastiony i mury, podobne w ciemnościach do wielkich szczybatych zębów. W tym moim szaleństwie wiele było z don Antonia. Jeśli się dobrze zastanowić, oblężenie Barcelony było bitwą dwóch przeciwstawnych charakterów. Jimmy, wyrafinowany, zepsuty, wykwit wyższych sfer i wersalskiego egoizmu. A naprzeciw niego don Antonio, wspaniały kastylijski narwaniec, bezmyślnie ofiarny i uparty jak osioł, w manierach plebejusz.

A mój syn, ów syn, którego właśnie porzucałem, być może na zawsze? Mój powrót do miasta był naszym pożegnaniem, nigdy nie będę mógł go przytulić. Odpowiem, że kierowała mną zasada wspólna wszystkim żołnierzom Coroneli: więzy krwi są mniej ważne niż więź jednocząca tych, którzy przelewają własną krew i łzy. Pojmujecie już, że wobec konstytucji i wolności wewnętrzne rozterki jednostek schodziły na dalszy plan? Zło ma władzę kuszenia nas jedwabiami, zaszczytami i rozkoszą. Mystère – władzę wyrwania nas z mocy owego szantażu w zamian za nic. Albo za jedno Słowo. Ale dla mnie liczyli się wtedy tylko oni.

Zginę. Nie, jeszcze gorzej; łokcie i kolana popychały mnie ku ciemności straszliwszej niż śmierć. I dla kogo to wszystko? Dla przygarbionego staruszka, pokracznego karła, rozwydrzonego smarkacza i czarnowłosej kurwy. Poetom nie wypada, więc ja to powiem.

Miłość to jedno wielkie gównno.



Zaraz po powrocie do Barcelony przekonałem się, że w czasie mojej długiej nieobecności sytuacja znacznie się pogorszyła.

Po przybyciu Jimmy'ego flota francuska nabrała wiatru w żagle. Teraz już tylko jakiś samotny stateczek od czasu do czasu wymykał się blokadzie. Małą łodzią łatwiej lawirować, ale udźwignie jedynie niewielki ładunek. A gdy ostatecznie zdławiono morskie dostawy, spichlerze opustoszały z dnia na dzień.

Do tej pory, choć po zbójeckich cenach, można jeszcze było kupić coś do jedzenia. Abyście to lepiej zrozumieli, wyjaśniam. Liwr czy też funt kataloński dzielił się na dwadzieścia solidów, a dzienna płaca najemnego pracownika w Barcelonie wynosiła dwa solidy. Od stycznia 1714 roku litr wina kosztował osiem solidów. Gorzałki piętnaście. Za dwa kurze jajka (dawniej barcelończycy hodowali drób na balkonach, teraz zniszczonych przez bomby) żądano trzech solidów. Mięso już na początku oblężenia stało się dobrem nieosiągalnym dla biedaków. Cena za parę kurczaków wynosiła dwa liwry; za pół kilo baraniny liwr. Za tyle samo można było dostać sześć kilo jęczmienia lub siedem pszenicy. Co z tego, skoro nie dało się upiec chleba.

Podczas każdego oblężenia najszybciej znika opał. Zima z 1713 na 1714, wyjątkowo ostra, mocno uszczupliła zapasy. Ludzie palili własne meble. Ponadto, do naprawy murów potrzeba tyle samo kamieni co drewna doszło więc do tego, że rozbieraliśmy mostki nad przecinającymi miasto kanałami, zwanymi po katalońsku *recs*. Pod topór bezlitosnej inżynierii poszło również dwieście pięć drzew oceniających Ramble. (Nieszczęsne Ramble, nasza najpiękniejsza aleja: po każdym oblężeniu obsadzano ją drzewami, by znów je ścinać, gdy zaczynało się następne).

Kiedy ja przebywałem u burbończyków, głód stał się w mieście powszechny. Wróciłem w pierwszych dniach sierpnia, gdy blokada była najszczelniejsza, i w owym czasie za żadne pieniądze nic nie można było kupić, bo niczego już nie było. Resztki tego, co zostało, przeznaczono na racje dla wojska. Co w takim razie jedli inni?

Latem 1714 jedynym dostępnym pożywieniem były placki zagniatane z łupin bobu. Resztki wyskrobane z dna spichlerzy, tak przegniłe, że trudno pojąć, jak mogliśmy przełknąć ową rozmiękłą, cuchnącą papkę. Będąc z Jimmym, na każdy posiłek jadałem befsztyki. Zmiana diety była tak raptowna, że poddałem się dopiero po trzech dniach. Ale co miałem począć? Musiałem. Nie istnieje prawo wyższe niż prawo brzucha. Francesc Castellví, nasz kapitan welurników, opowiedział mi o eksperymencie, jaki przeprowadził z kawałkiem tego „chleba”: rzucił go psu, jednemu z nielicznych jeszcze błakających się po mieście, a ten warknął ze wstrętem i uciekł.

Znalazłszy się w murach Barcelony, w głowie miałem tylko Amelis i Anfana. Dopóki tkwiłem za burbońskim kordonem, wydawali mi się tak dalecy, a powrót do nich tak nieprawdopodobny, że dokonywałem cudów, by wyrzucić ich z moich myśli. Teraz, gdy wiedziałem, że są blisko, pragnienie, by jak najszybciej wziąć ich w objęcia, doprowadzało mnie do szaleństwa. Tak to już jest z powrotami i uczuciem, jakie budzą: im bliżej jesteście tych, których kochamy, tym bardziej boimy się ich stracić.

Odnalazłem ich tuż pod murami. Pracowali przy budowie umocnień. Zamiast podbiec od razu, przystanąłem za węglem, żeby sobie na nich popatrzeć. Biedacy wiedzą, że czas radości bywa krótki, więc nie oczekują zbyt wiele. Byliśmy uczestnikami najokrutniejszej wojny stulecia, uwięzieni w skazanym na zagładę mieście. Ale byliśmy żywi, wciąż jeszcze żywi. Samo nasze istnienie rzucało wyzwanie możliwym tego świata, dlatego na widok Amelis i Anfana z trudem powstrzymałem łzy.

Zapatrzyłem się tak, że dopiero po chwili zorientowałem się, co właściwie robią. Żołnierze obwiązywali łańcuchami słupy podtrzymujące stropy budynków, po czym – na dany rozkaz – szeregi mężczyzn i kobiet ciągnęły razem z całej siły. Domy waliły się z hukiem kamiennej lawiny, podnosząc chmury gipsowego pyłu. Jednym z nich był nasz dom. Podeszedłem bliżej. Wyraz twarzy Amelis, rozpromienionej radością, wynagrodził mi wszystko. Nigdy jej takiej nie widziałem.

Są uściski, które wyznaczają etapy naszego życia. Wróciłem do swoich i uścisk nasz pieczętował więzy, których nawet dwóch królów nie zdołało zerwać. Kiedy tuliłem ją do siebie, zauważyłem coś jeszcze: schudła tak, że pod palcami czułem jej sterczące żebra.

– Na miłość boską! – wykrzyknąłem. – Uprzątasz gruzy naszego własnego domu.

– I tak niewiele z niego zostało – powiedział Peret, który też tam się kręcił. – Zaraz po tym, jak cię złapali, w fasadę walnęły dwie bomby.

W lot pojąłem, że władze miasta wprowadziły owe drakońskie zarządzenia, by zbudować dodatkową zaporę dla spodziewanego szturm.

Kiedy w murach obleganej twierdzy pojawiają się trudne do załatwienia bresze, zawsze można się uciec do rozwiązań tymczasowych. Takim właśnie rozwiązaniem są zapory, ich zadaniem jest zatrzymać wroga, który wdarł się na mury. Chodzi o to, żeby stworzyć równoległy do nich, biegnący zygzakiem parapet, tak wysoki, jak to tylko możliwe, a najlepiej chroniony jeszcze fosą. Gdy napastnik myśli, że już zwyciężył, napotyka kolejną przeszkodę.

W Bazoches zaporom poświęcono kilka wzgardliwych lekcji. Dlaczego? Ano dlatego, że zaporą niczemu nie służy. W całym moim długim życiu nie widziałem żadnej, która by powstrzymała jakikolwiek szturm. Bo jeśli pod

uderzeniem wroga padają herkulesowe bastiony, to czy wytrzyma go sklecona byle jak barykada? Zanim jeszcze schwytali mnie burbończycy, sprzeciwiłem się stanowczo tym pomysłom. Argumentów było aż nadto.

Po pierwsze: zaporą niszczy morale obrońców, ci bowiem, wiedząc, że mają się gdzie schronić, wolą się wycofać, niż walczyć do ostatniego tchu. Po drugie: słabość takiego tymczasowego umocnienia tylko rozzuchwala wroga, który po sforsowaniu głównej linii obrony naciera tym zacieklej. Po trzecie: z powodu topografii Barcelony zaporą znalazłaby się poniżej bastionów, tak więc burbończycy mogliby ruszyć na nas ławą i zaatakować z góry, zyskując nad nami znaczną przewagę. Po czwarte i najważniejsze: zaporą miała zostać wzniesiona w terenie zabudowanym, a wymaga czystego pola strzału; w dodatku Barcelona była skupiskiem miejskim tak gęstym, że domy były niemal przyklepione do murów. Trzeba by zrównać z ziemią całe ulice. Ludzie nie byliby, delikatnie mówiąc, zachwyceni, że władza pozbawia ich dachu nad głową.

A jednak się myliłem, przynajmniej co do tego ostatniego. Nikt się nie sprzeciwił wyburzeniom. Wszyscy je poparli, w imię obrony miasta. I oto patrzyłem w osłupieniu, jak wycieńczeni, nękani głodem, pomagają zwałać ściany, wśród których mieszkali. Aby bronić swoich domów, barcelończycy gotowi byli je zniszczyć.

Moje oczy, wyćwiczone w Bazoches, dostrzegły coś pod gruzami naszej kamienicy. Podeszedłem. To była pozytywka Amelis, jej *carillon à musique*. Trzymałem ją w ramionach jak niemowlaka, otrzepując z piachu i odłamków gruzu. Co to tu, u diabła, robi? Przecież Amelis nigdy się z nią nie rozstawała. Później dowiedziałem się, że Peret, który kradzieży bał się bardziej niż głodu, skorzystał z chwili jej nieuwagi i zaniósł pozytywkę z powrotem do domu, uznał bowiem, iż nasze zamknięte na kłódkę drzwi ochronią ją lepiej niż płócienne ściany rozbitego na plaży namiotu. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że gorsze od złodzieja są armatnie kule. Wręczyłem skrzynkę Amelis:

– Nie martw się – powiedziałem. – Znajdziemy kogoś, kto to naprawi.

Ogarnęło mnie swoiste poczucie winy; wykształcono mnie, żebym budował i naprawiał monumentalne mury, a byłem bezradny wobec skrzyneczki, z której po podniesieniu wieczka płynęła muzyka. Gdy chodziło o pozytywkę, nigdy nie wiedziałem, czy Amelis mówi poważnie, a teraz odparła:

– Nieważne.

Czym jest dom, własny dom? Często bywa melodią albo wspomnieniem melodii. Dopóki miała przy sobie tę pozytywkę, była w domu. Rozpadła się tylko skorupa, nic więcej.

– Nieważne – powtórzyła z uporem. – Mamy skrzynkę, więc łatwiej przypomnimy sobie melodię.

Z don Antoniem spotkałem się jeszcze tego samego wieczoru. Powinien się dowiedzieć o agonii angielskiej królowej, o listach Filipka wzywających do zgładzenia nas. I, co oczywiste, o każdym detalu transzei szturmowej. Dzięki ćwiczeniom w sali sferycznej wszystkie te dane zostały zgromadzone w łepetynie Zuviego.

Po drodze czułem duszną atmosferę przygnębienia i brudu, jaka już spowijała miasto. Na plaży piętrzyły się góry śmieci. Barcelończycy, tak zawsze roześmiani, teraz zdawali się jakby zamknięci w sobie, codzienną radość zastąpił zbiorowy smutek. W rodzinnych namiotach mieszkało więcej mężczyzn niż poprzednio, okaleczonych w walce, bez ręki albo nogi, kurujących się z ran pod opieką bliskich. Kobiety gotowały wodniste zupy. Byłem świadkiem kłótni dwóch gospodyń. Szarpały się za włosy i drapały paznokciami. Poszło, o ile dobrze rozumiałem, o skradzioną połówkę brukwi. Zagłębiłem się w labirynt ulic. Kolory miasta wyblakły, pokryte szarym nalotem popiołu i kurzu. Jedynie oddziały Coroneli pozostały wierne, zwarte i gotowe.

Don Antonio tak zmarniał, ubranie tak na nim wisiało, że gdyby nie generalski mundur, to chyba bym go nie poznał. Później powiedziano mi, że odkąd burbończycy zaczęli kopać, mało co jadał i prawie nie sypiał. Usiedliśmy naprzeciw siebie i z uwagą mnie wysłuchał. Nad rozpostartą mapą odtworzyłem z pamięci całą transzeję. Czasami, w najmniej spodziewanych sytuacjach, wpadamy w pułapkę własnego serca. Tak więc im bardziej techniczne były moje wywody, tym potężniejsze i straszliwsze emocje mną targały.

W Bazoches nauczono mnie tłumić wszelkie sentymenty, które są niczym chmury przesłaniające rozum. A wtedy, w Barcelonie roku 1714, zderzyły się we mnie dwa przeciwne bieguny: skrajna racjonalność budziła skrajne odczucia. Któż bowiem lepiej ode mnie wiedzieć mógł, co oznaczają owe nakreślone atramentem linie, z pozoru tak niewinne?

Opisałem postępy prac nad transzeją, odcinek za odcinkiem. Pierwsza paralela, już niemal gotowa, z godziny na godzinę mocniej zaciskająca się wokół miasta, w czasie gdy my prowadziliśmy naszą rozmowę. Druga paralela. Trzecia paralela.

Czułem, że za chwilę braknie mi tchu, a kiedy powiedziałem: „... i otoczą walem fosę”, głos mi się zupełnie załamał.

– Przepraszam, panie generale – wyjąkałem.
– Będziesz nadzorował pracę przy zaporach. I na miłość boską – krzyknął – przestań mi tu chlipać!

Chcąc pokazać, że jestem bardziej stanowczy, niż byłem, na odchodnym jąłem się rozwódzić nad problemem postawionym mi ongi przez Vaubana.

– Kto wie? – powiedziałem. – Jeśli wytrwamy, może uda nam się stworzyć obronę tak doskonałą, że wróg odstąpi.

Lecz Villarroel pokręcił głową.

– Synu mój, aby choć otrzeć się o perfekcję, musielibyśmy przekroczyć granice ludzkich możliwości. A skoro zbrodnią jest wymagać tego od zawodowych żołnierzy, to czy mamy moralne prawo zmuszać do heroizmu całe miasto?

Nasz zbrojny opór nie miał przyszłości, nikt tego nie mógł wiedzieć lepiej niż Villarroel. Setki razy naciskał na rząd, by ten przystał na ugodę. Don Antonio znalazł się w moralnym potrzasku, skazany na wiarołomstwo. Miał bowiem do wyboru: ulec szaleństwu i bronić miasta do upadłego, co kłóciło się z jego sumieniem, albo poddać się i splamić swój honor. Kilkakrotnie groził dymisją, choć nigdy nie zamierzał spełnić tych pogroźek. Traktował je raczej jako kartę przetargową w rozgrywce z czerwonymi aksamitnikami, wiedząc, że nie przyjmą jego rezygnacji. Słowem, wpadł w błędne koło paradoksów: żołnierze byli ślepo posłuszni jemu, on – czerwonym aksamitnikom, zaś czerwoni aksamitnicy musieli wykonywać wolę ludu Barcelony. A czymże była Coronela, jak nie zgromadzeniem stojących pod bronią barcelończyków? Na długo przed otwarciem burbońskiej transzei don Antoniowi przyświecał jeden jedyny cel: uniknąć bezsensownej masakry. Wszelako w miarę upływu dni owa szlachetna idea przeobrażała się w coraz bardziej nieosiągalną mrzonkę, przede wszystkim dlatego, że ci, których chciał ocalić, woleli sami złożyć się w ofierze, niż dobrowolnie poddać.

A ja? Ja stałem się obserwatorem i zarazem uczestnikiem owego szaleństwa. Pierwszej nocy po moim powrocie, kiedy w naszym namiocie tuliłem do siebie Amelis, mało ze sobą rozmawialiśmy. Obok koca, który służył nam za siennik, postawiłem zepsutą pozytywkę. Woląłem nie opowiadać za wiele o tym, co mi się przydarzyło w burbońskim obozie. Rankiem, gdy spotkaliśmy się po tak długiej rozłące, widok jej dłoni, zakrwawionych od dźwigania kamieni, powstrzymał mnie od pytania o Verbooma. Teraz także, czując bliskość jej nagiego ciała, postanowiłem to przemilczeć.

– Proszę, zrób coś dla mnie – powiedziałem tylko. – Ta twoja niedzielna sukienka, ta fioletowa... Spal ją, dobrze?

Parsknęła znużonym śmiechem.

– Martí – odparła – ależ z ciebie głuptas. Już dawno ją sprzedałam, żeby kupić jedzenie.

Wszystkie burbońskie baterie Jimmy wycelował teraz w bastiony Portal Nou, Świętej Klary i w nędzną kurtynę murów pomiędzy nimi. Nie był to już morderczy ostrzał na chybił trafił prowadzony przez księcia Popoli, lecz metodyczne, konsekwentne działania, skoordynowane z planami transzei. (A kto te plany opracował? No kto? Gryzło mnie to bez przerwy). Sieć rowów rozrastała się dniem i nocą, a wróg walił do nas z armat, by poczynić wyłomy, i szykował się do

szturmu.

Rzecz jasna, Costa i jego Majorkanie dwoili się i troili, żeby uprzykrzyć życie burbończykom. Strzelali do baterii i w niebo nad transzeją, starając się zabić tylu saperów i żołnierzy, ilu mogli. Nieprzyjaciel odpowiadał polowaniem na nasze działa. Huk był nie do wytrzymania dla zwykłych ludzi. Armaty z tej i z tamtej strony szukały się nawzajem bez przerwy, my zasypywaliśmy kartaczami ich paralele, oni kruszyli kulami nasze mury i zabijali naszych ludzi. Costa był wszędzie. Żując nać pietruszki, przestawiał działa z jednej pozycji na drugą, żeby ściągnąć je z linii strzału. Armaty grzmiące, armaty przetaczane z miejsca na miejsce. A pomiędzy nimi żołnierze Coroneli ostrzeliwujący transzeję z lekkiej broni.

Ci krawcy, stolarze i ogrodnicy wiedzieli, że dopóki ktoś ich nie złuzuje, będą tkwić pod ogniem dział we dnie i w nocy, zamknięci w pięciokątnych grobach bastionów. Błagalnie spoglądali w niebo, wypatrując na nim chmur, gdyż deszcze moczyły proch i spowalniały działania burbońskiej artylerii. Na nieszczęście była pełnia lata. Morze Śródziemne spycha nad Barcelonę gorące, wilgotne powietrze. Sierpień u nas jest niczym wrzący kocioł. Ach to niebo, błękitne, bez jednej chmurki, która dawałaby nadzieję na deszcz, błękitne, zawsze błękitne; nigdy błękit nie był kolorem tak bezlitosnym. I skwar. Tym większy, że podsycany ogniem walki.

Wysoko, na murach, oddychało się kamiennym pyłem, wzbijanym przez nieustanny ostrzał. W powietrzu unosiły się puszyste kłębki popiołu: wystarczyło machnąć ręką, a zaczynały wirować wokół twarzy niczym nasiona dmuchawców. Chwilka w Świętej Klarze albo w Portal Nou i już w zębach zgrzytał piach; nie, coś gorszego niż piach – starte przez kule na proch fragmenty rozbitych murów. Było wśród nas kilku zuchów, lecz byli i tacy, którzy tracili rozum. Nikt nie może w nieskończoność znosić bombardowania. Nikt. Niektórzy poddawali się od razu. Kulili się po kątach, nieobecni, obojętni na wszystko. Ich powieki trzepotały szybciej niż skrzydełka kolibra, ręce poruszały się mimowolnie, jakby ukręcały łebki niewidzialnym kurom. Szaleństwo zawsze było i jest ucieczką w głąb samego siebie.

Skończono kopać drugą paralełę. Burbończycy mogli wreszcie przetoczyć działa i z bliska zaatakować flanki murów. Niewiele mógł uczynić Costa przeciw tylu plującym ogniem armatom. Wówczas wróg zastosował „strzał rykoszetowy”, wynalazek samego markiza de Vauban.

W skrócie technika rykoszetu polega na tym, że do armaty ładuje się tylko dwie trzecie potrzebnego prochu. Kule wówczas, zamiast uderzyć w cel, koziolkują, odbijając się od ziemi jak płaski kamyk od powierzchni wody. Strzał rykoszetowy jest bardzo przydatny do niszczenia rozstawionych na murach dział. Pocisk przelatuje przez dziedziniec bastionu, rozbijając wszystko, co znajdzie na

swej drodze. Trzeba było widzieć owe sferyczne bryły wielkości sporego arbuza podskakujące na bruku. Przy każdym ich podskoku rozlegał się głuchy, bezduszny łoskot, obcy ludzkiemu uchu. Rykoszet przemienia ludzi w mrówki, a bastiony w rozdeptywane mrowiska. Ciężkie kamienne lub żelazne kule dudniące na płytach podwórca. Bum! Trach! Bum! Nadlatywały z prawa, z lewa, z przodu, z tyłu, ze wszystkich stron naraz, i zawsze ktoś krzyczał:

– *A terra!*^[97]

Tych, którzy zdążyli uchylić się na czas, kule rzadko zabijały. Amortyzowane przez miękkie ciało miażdżyły co najwyżej parę żeber. Ale temu, kto się zagapił, zwiedziony ich powolnym lotem, urywały rękę albo nogę i dalej bezlitośnie krążyły po dziedzińcu bastionu. Widok okaleczonych, rozczłonkowanych ciał budzi w nas jakiś pierwotny lęk.

Żołnierze przejmujący służbę w Portal Nou i Świętej Klarze klękali przedtem, żeby się przeżegnać. Ale szli. Nie starczało mi odwagi, żeby kazać im tam wejść, zawsze znajdowałem dla siebie tysiąc wymówek, bo czułbym się jak ktoś, kto kieruje egzekucją niewinnych.

Myślałem, że pisząc tę książkę, zrzucę z siebie brzemię wspomnień. Wyleję na jej karty gorycz zdrady, odkupię się przez prawdę. Sądziłem w swej pysze, iż oddając na papierze cześć ludziom, którzy walczyli o wolność wbrew wszelkiej nadziei, zatuszuję własną lichotę. Ale to się nie uda, teraz już wiem. A dlaczego? Wszystkiemu winne jest nasze – jakże ulotne, jakże zdegenerowane – wyobrażenie bohaterstwa.

Wielbimy jego obraz w postaci Achillesa ze zdobnym w pióra hełmem na głowie. Widzimy go jako zwycięzcę, wznoszącego miecz nad pokonanym Hektorem. Ale czy równie epicka, równie podniosła jawi nam się gromada brudnych, pospolitych prostaków, zajętych codzienną krzątaniem? Bohaterstwo nie jest jednorazowym aktem, jest stanem, w którym trwamy; nie jest świetlistym punktem, lecz cienką linią, niezniszczalną w swej pokorze. Być bohaterem to wchodzić na atakowane przez wroga mury, dzień za dniem, dzień za dniem. Wychodzić z domu i iść do piekła, wracać i o świcie znów wkraczać w bramy śmierci. A ponieważ bohaterstwo było wówczas w powszechnym obiegu, nikt nikogo nie uważał za bohatera. I w tym tkwiła nasza wielkość. Bohaterowie starzeją się, podobnie jak zdrajcy. Przetrwają ci, których złożono w ofierze, do nich należy chwała. Nie czcimy żywych, gdyż tylko śmierć może naznaczyć nas piętnem nieśmiertelności.

Rozpoczęto trzecią paralelę. Widząc to, popłakałem się, skulony w najbardziej kamiennym zakamarku bastionu, z twarzą ukrytą w dłoniach, w obecności stojącego przede mną Ballestera i jego drużyny. Nie rozumieli powodów owej rozpaczki, a jednocześnie domyślali się, że te moje łzy płyną z powodu jakiejś wiedzy tajemnej, dla nich niedostępnej. Miqueleci nie okazywali

słabości – nigdy – i być może dlatego skrycie podziwiali tych, którzy nie wstydzili się własnych uczuć.

Jest w trzeciej równoległej coś z początku końca. Zapytał mnie kiedyś Goethe o filozofię Vaubana. Streściłem mu najlepiej, jak umiałem, ideę oblężenia poprzez budowę transzei ewoluującej w trzy wielkie paralele. Zastanowił się i odrzekł: „Już Arystoteles powiedział, że każdy dramat składa się z trzech aktów”. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślałem.

Sprawnie posuwali się naprzód. Kiedy dotrą pod mury, nastąpi koniec. Wystarczy tylko przekopać rowy dochodzące do krawędzi fosy, osłonić je parapetami (zwanymi w żargonie inżynierów „kawalierami”), a potem rzucić do szturmie pięćdziesiąt tysięcy karnych morderców.

Transzeja szturmowa już była ciągnącym się kilometrami labiryntem, który zygzakował, załamywał się i wyginał w tysiące kątów. Na jego lewym krańcu wznosił się przed nami Montjuïc, spowity dymem aż po wierzchołek, który – jakby zawieszony w powietrzu – przypominał fantastyczną latającą górę. Musiałem wyteńczyć wszystkie zmysły i przywołać wszystkie zdobyte w Bazoches umiejętności, by odgadnąć, co dzieje się tam, na dole, zaledwie kilka metrów przede mną. Podczas jednego z częstych bombardowań przydarzyła mi się rzecz szczególnie bolesna.

Byłem w bastionie Portal Nou. Przykucnąłem w jakimś kącie, z rozpaczą patrząc na bresze powiększające się z dnia na dzień wskutek nieustającej kanonady, podczas gdy my nie mogliśmy zrobić nic, żeby je naprawić. Obok mnie przycupnął nieznan mi żołnierz Coroneli. Tak jak ja krył się przed ostrzałem – jedną ręką ścisnął karabin, drugą przytrzymał na głowie kapelusz. Przywarliśmy do siebie i sam już nie wiedziałem, która ręka czy noga jest moja, a która jego. Bum, trach, bum! Był zwykłym ciurą w ubogim, podartym ubraniu, uwalanym w bitewnym pyłu. W pewnej chwili wystawił głowę przez dziurę w murze i ujrawszy monumentalny labirynt okopów, powiedział:

– Jakim skurwysynem trzeba być, żeby wymyślić coś tak podstępnego?

Być może właśnie te słowa sprawiły, że postanowiłem zrobić z siebie męczennika za wolność. Czując się narzędziem w rękach wspólnoty, narażałem życie aż do granic rozsądku. Pewnego dnia ujrzałem coś, na co czekałem od dawna: setki wiader, którymi burbończycy wylewali za parapety zbierającą się w okopach wodę.

Na planie Verbooma skierowałem transzeję ku morzu, by spowodować jej zalanie. Podczas kopania saperzy Jimmy'ego natrafili na podmokły, nasiąknięty słoną wodą teren. Na widok wiader wpadłem w jakąś chorą euforię. Wychylony do połowy nad murem krzychałem:

– Dobrze wam tak, sukinsyny! Potopcie się jak szczury!

Ballester siłą ściągnął mnie na dół za poły kurtki.

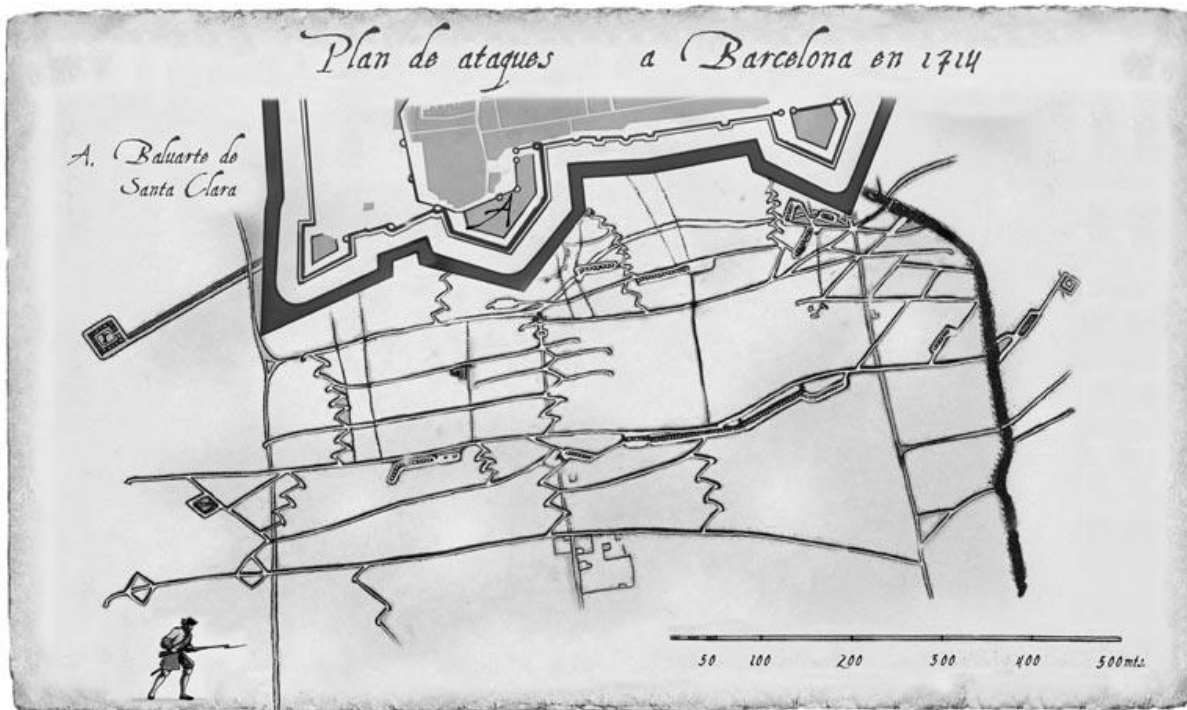
– Pułkownik-lejtnancie! – zganił mnie, kiedy przykucnąłem za występem muru.

Zapamiętałem tę chwilę, bo była wyjątkowa, niezwykła. Dlaczego? Ano dlatego, że w oczach Ballestera ujrzałem coś, co sprawiło, że dostrzegłem tam siebie.

Dotąd on widział we mnie człowieka słownego, lecz niegrzeszącego odwagą, bojaźliwego i nadmiernie ostrożnego. Tamtego dnia dokonała się i dopełniła w nas jakaś niepojęta, nedorzecznna zamiana, jakieś wzajemne przeobrażenie. Ballester przedzierzgnął się teraz w odpowiedzialnego oficera na legalnym żołdzie, a pułkownik-lejtnant Zuvi stał się maszyną owładniętą obsesją mordu. Patrzyliśmy tak długo, bardzo długo.

O ile dni były piekłem, o tyle braknie słów, by opisać noc. Odkąd rozpoczęto trzecią paralełę, nocne wypadki stały się częstsze i bardziej krwawe. Jakże mogłem się od nich wymigać? Znałem na pamięć wszystkie zakamarki i zakola transzei. Moja obecność była nieodzowna, by poprowadzić atakujących w prawą lub lewą stronę wykopu. Nie ma nic gorszego od bitwy w ciemnościach, w chaosie bagnatów, noży i wybuchających granatów, a wszystko to w rozgałęzionym labiryncie ziemnych korytarzy.

Tak, owe nocne potyczki odznaczały się niesłychanym okrucieństwem. Wychodziliśmy pod osłoną zapadającego zmierzchu albo tuż przed świtem, raz po raz zmieniając porę ataku, żeby zmylić wroga. Z początku sądziłem, że w tego rodzaju starciach Ballester będzie w swoim żywiole. W gęstym mroku, po omacku, mógłby dać upust najniższym instynktom pospółstwa – zabijać i uciekać. Było dokładnie na odwrót. Noce owe uszlachetniły Ballestera, a ze mnie uczyniły bestię.



Warunkiem udanego wypadu jest szybkość oraz oszczędność czasu. Atakujący mają za zadanie wdrzeć się możliwie najgłębiej w dzieła oblężnicze, okopać się i zatrzymać wroga, podczas gdy inny oddział niszczy i rujnuje. Potem trzeba się wycofać, ponosząc jak najmniejsze straty.

Na dany znak ruszaliśmy biegiem na transeję, pochyleni, w zupełnej ciszy; gwizdki oficerów milkły, by nie ostrzec burbończyków i nie zostawić im czasu na oddanie strzałów. Trzecia paralela dotarła już tak blisko, że mogliśmy dostać się do środka względnie łatwo. Nawet gdyby zachowali najwyższą czujność, spadlibyśmy na nich w mgnieniu oka. A potem rozpoczynała się przedziwna bitwa: podcinanie gardeł wysuniętym strażom i natychmiastowe zajmowanie owego skrawka terenu, by utrzymać się na pozycji choćby przez kilka minut. Czerń nocy, głębokość rowów i ciasnota sprawiały, że nie widzieliśmy nikogo. Ale słyszeliśmy głosy. Jęki, charkot, wycie. Gwizdki burbońskich oficerów, słowa w pięciu czy dziesięciu językach rozbrzmiewające w ciemności. Celem tych błyskawicznych ataków było uszkodzenie sprzętu saperskiego, zasypanie łoża transeji, zagwożdżenie armat. A owym dziełem zniszczenia kierował poczciwy Zuvi. Najważniejsze było psucie dział.

Nasi ludzie wspinali się na nie niczym małpy. Jeden wbijał do otworu zapalowego gwóźdź długości dwóch piędzi, a drugi młotem utracał główkę jak najbliższej spizu. To wystarczyło do unieszkodliwienia armaty. Kiedy wróg odzyska teren, już nie będzie mógł jej użyć. Kradliśmy też narzędzia. Ci z drugiej linii donosili nam amunicję, a potem wracali czym prędzej, niosąc zrabowane łopaty

i gracie.

Czasami saperzy, zaskoczeni w jakimś ślepym korytarzu, poddawali się bez walki. Zbici w grupkę, klęczeli z podniesionymi nad głowę rękami i błagali o życie. W ich oczach odbijały się rozbłyśki wystrzałów i wybuchających wokół granatów. Ich ostatnie chwile przypominały sceny z koszmarnego snu: nocna ucieczka w labiryncie pogrążonych w ziemi ścian, ślepy zaułek, a za plecami bezlitosny wróg. Lepiej było nie patrzeć im w twarz. Wydawałem Ballesterowi krótki rozkaz:

– Zabij ich, nie trać czasu! Zabij i naprzód!

W sierpniu 1714 żadna ze stron nie brała jeńców. Po co? Niechęć była silniejsza od nas. Kiedy się wycofywaliśmy, nie mogliśmy zabierać swoich rannych. Każdy, kto pozostał w tyle, szedł pod nóż nieprzyjaciela. Nazajutrz o świcie wyrzucano trupy z transzei, a my patrzyliśmy z murów, jak ciała naszych sąsiadów gniją w sierpniowym słońcu. To było istne szaleństwo. Wszystko zostało tak zbrukane, że sami siebie nie poznawaliśmy.

Cóż, zostawmy na chwilę te czarne myśli. Abyście zobaczyli, że nawet w najkrwawszym teatrze wojny *Mystère* nie traci poczucia humoru, opowiem wam, co mi się przydarzyło 3 sierpnia.

Wszedłem do gabinetu don Antonia. Czarne włosy Zuviego zbieleły od popiołu i kamiennego pyłu. Nie zdążyłem złożyć raportu, bo nagle wkroczył batalion czarnych aksamitników, czyli kościelnych hierarchów. Powodem owego najścia było wręczenie don Antoniowi „Instrukcji dla prześlągania Bożej sprawiedliwości”.

Czarni aksamitnicy od zawsze stanowili najbardziej szelmowską część ludzkości, a to, co wymyślili teraz, uznać można było jedynie za żart w złym guście. Przeczytajcie, przeczytajcie sobie, jakie znaleźli sposoby, by zapewnić nam boską pomoc i wyzwolenie miasta.

Zakazać nieodwołalnie teatru i gry w pelotę.

Wygnać Cyganów z miasta.

Wylapać wszystkie dzieci włóczące się bez opieki po ulicach.

Wyrzec się świeckiej mody i kosztownych strojów, w których tak gustują mieszkańcy Barcelony.

Przywrócić zbezczeszczonym świątyniom godność, która im została odebrana.

Odmawiać publicznie różaniec na miejskich placach.

Zapamiętałem ową „Instrukcję” jako doskonale wręcz połączenie hipokryzji z cudactwem. Boiska do gry w piłkę zostały zniszczone przez bomby, nikt też nie miał siły ani ochoty chadzać do teatru. Nieszczęśni Cyganie, powszechnie pogardzani, dojrzeli w wojnie nadzieję pozbycia się odwiecznego piętna i zasłużenia na miejsce w katalońskim świecie; większość naszych doboszów miała

twarze ciemne jak czekolada. A dzieci, jak mój Anfán, myszkowały wśród gruzów, żeby znaleźć cokolwiek do zjedzenia. Co do „świeckiej mody i kosztownych strojów”, to na jakim świecie oni żyli? Nasze wesołe, kolorowe miasto już dawno straciło swój frywolny szyk. Poza tym jakoś nie widzę związku między łaską Bożą, obłąčeniem i jedwabną spódnicą.

Don Antonio przyznał im rację we wszystkim. A potem dość pośpiesznie wyprosił całe towarzystwo, wygłaszając na pożegnanie wielce kwiecistą mowę, czym nadzwyczajnie ich uszczęśliwił.

Jimmy był zagorzałym wyznawcą Coehoorna. Prawdę mówiąc, nie mogłem pojąć, dlaczego nas nie atakuje. Przyznaję, nie skończyli jeszcze transzei, ale jakie to miało znaczenie dla coehoornowca? Jeżeli śledziliście uważnie moje przygody w Mas Guinardó, wiecie, że transzeja szturmowa była dlań tylko jednym z wielu politycznych instrumentów. Mury stały otworem, miał na swe usługi liczne, świetnie wyćwiczone wojsko, nienawidził „podżegaczy”, których w większości uważał za zbieraninę wszelkiego rodzaju szumowin i łajdaków pod wodzą garstki regularnych oficerów.

Dlatego nie potrafiłem zrozumieć, czemu tak zwleka ze szturmem. Kreśląc plany transzei, oparłem swoją strategię na wrodzonych skłonnościach Jimmy’ego. Przedwczesne uderzenie byłoby dla nas korzystne. A on zawiódł moje rachuby i czekał nie wiadomo na co. Dziwny był to pojedynek, albowiem kryjąc się przed bombami Jimmy’ego i czołgając za strzaskanymi blankami, błagałem w myślach: „No, dalej, atakuj wreszcie, atakuj!”.

W nocy 11 sierpnia, jednej z najbardziej upalnych, jakie pamiętam, znajdowałem się za murami Portal Nou. Milicjanci w większości porozbierali się do pasa. Wyszedłem na wysuniętą najdalej pozycję za fragmentem muru sterczącego w górę niby wielki zepsuty ząb. Obserwowałem stamtąd burbończyków. Był ze mną żołnierz Coroneli, którego komendant bastionu przydzielił mi do ochrony.

– Cicho! – powiedziałem. – Słyszysz?

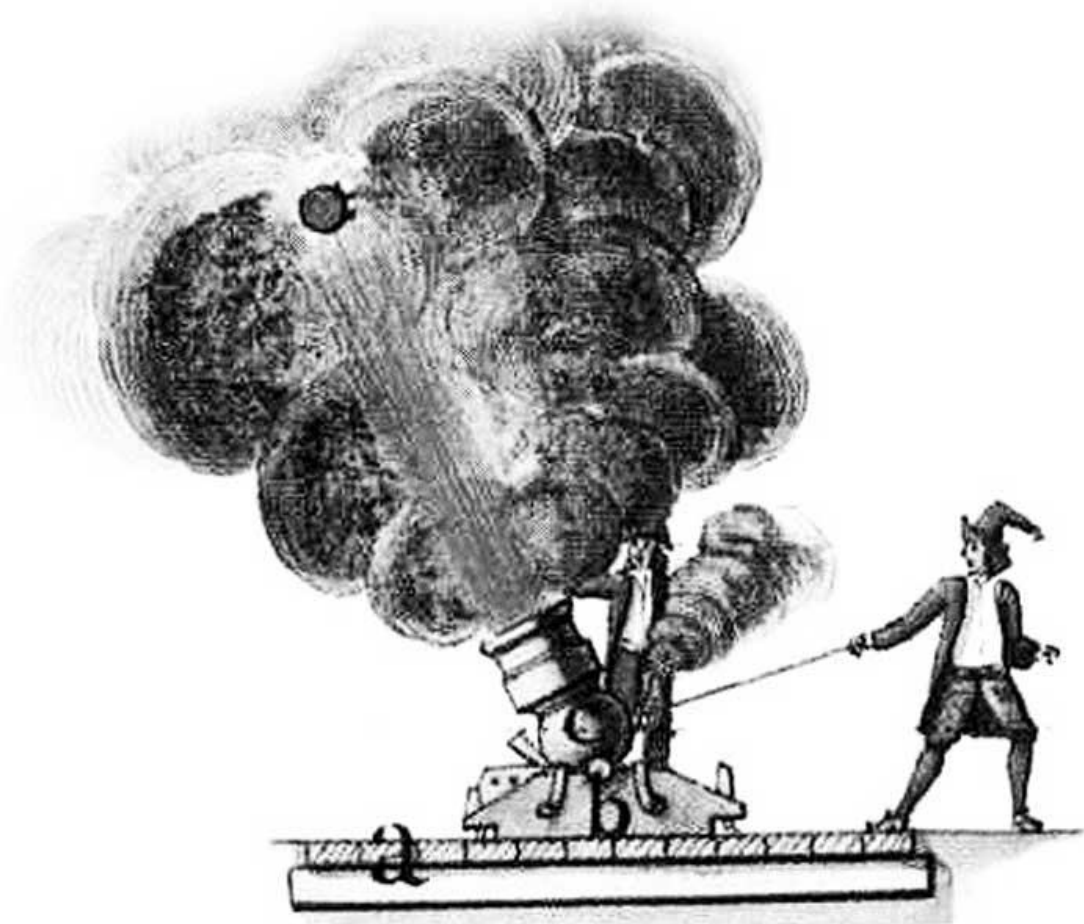
Odgłos tysięcy drewnianych i żelaznych młotów. Moje wyćwiczone w Bazoches uszy rozpoznały ów dźwięk, chociaż owinęli narzędzia szmatami, żeby stłumić hałas.

Pobiegłem na tyły i odszukałem don Antonia.

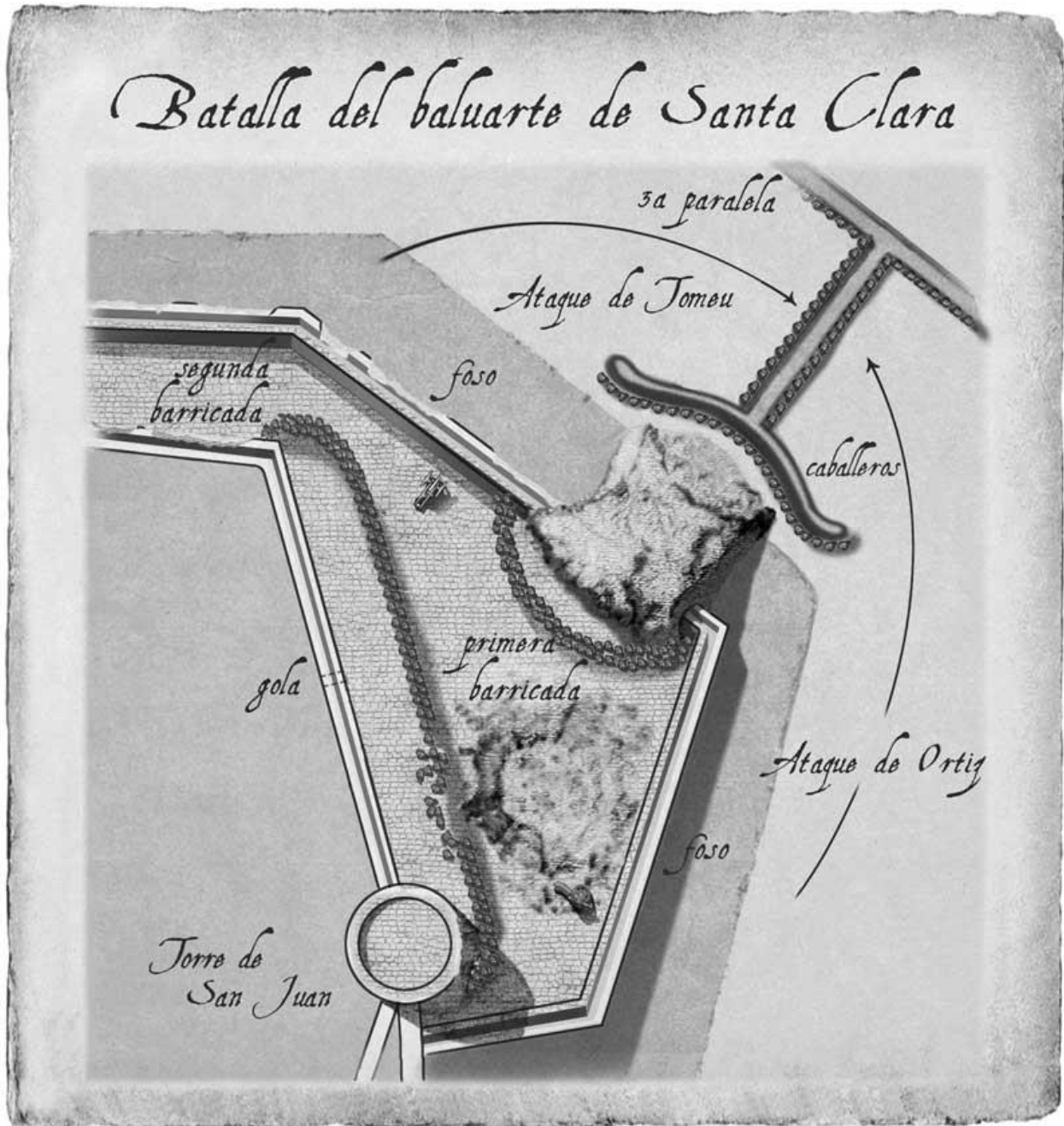
– Wybacz waszmość – wysapałem zdyszany – ale mój pośpiech jest w pełni usprawiedliwiony. Usłyszeliśmy cieśli na pierwszej linii. Budują schody na dnie transzei, nie może inaczej być.

Przyjął to ze spokojem. Pamiętam, że kiwnął głową, jakby otrzymał dobre wieści od starego przyjaciela. Popatrzył mi w oczy, oczekując potwierdzenia owej nowiny.

– Już idą. Rozpoczynają generalny szturm.



Abyście zyskali wyobrażenie o bitwie z dni 12, 13 i 14 sierpnia, dołączam garść ilustracji.



To, co tutaj widzicie, to bastion Świętej Klary i wielki wylom uczyniony przez armaty Jimmy'ego. Fosę, wypełnioną po brzegi gruzem po bombardowaniach, łatwo było przekroczyć. Wysunięte straże nieprzyjaciela stały

dokładnie naprzeciwko, na kawalierach.

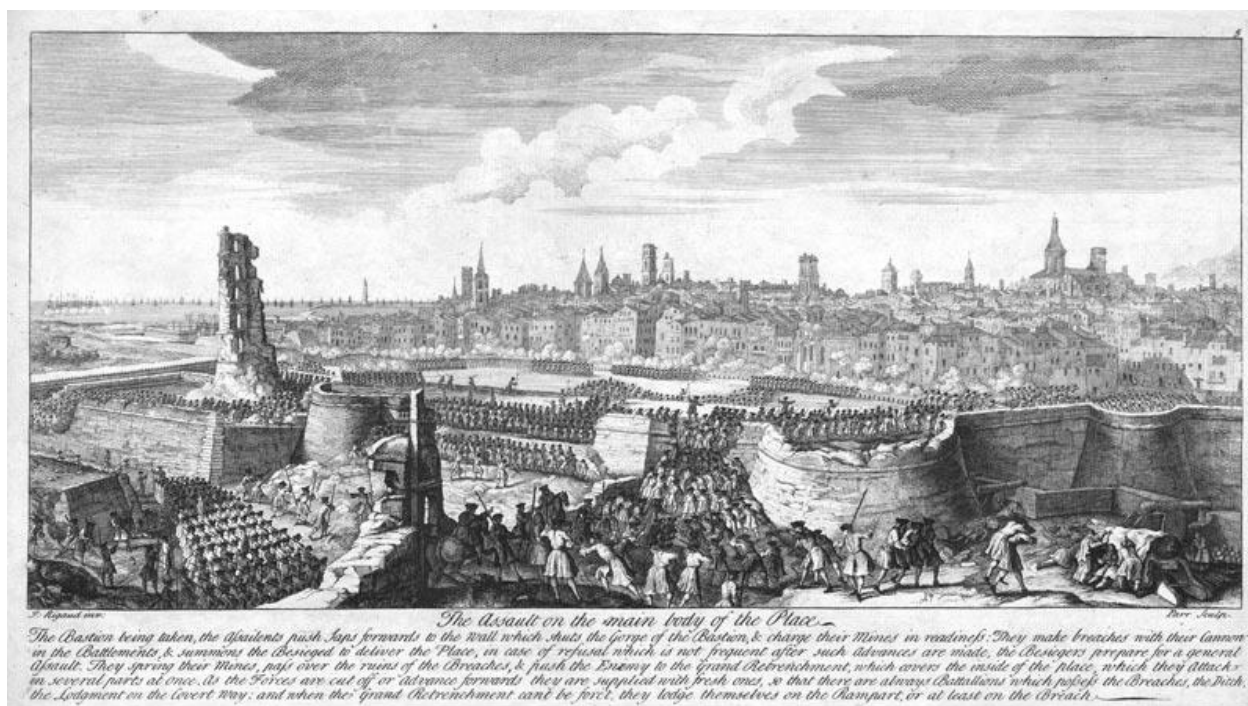
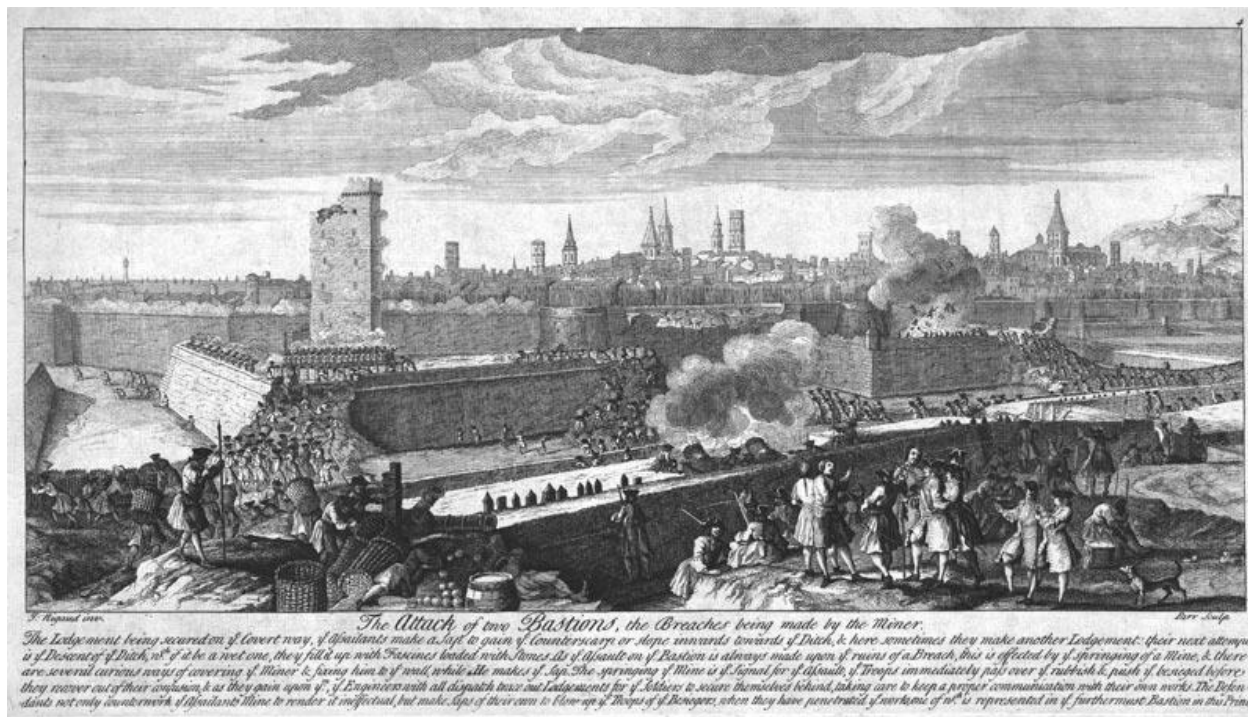
W tej sytuacji pozostało nam jedynie wzniesienie dodatkowych umocnień wewnątrz samych bastionów. Obrona na tak wysuniętej linii byłaby samobójstwem, dlatego w odległości kilku metrów od bresz zbudowaliśmy barykady na tyle solidne, na ile się tylko dało. Z kamieni scementowanych zaprawą, sięgające nam do piersi.

Jedną z niewielu zalet Świętej Klary była wieża Świętego Jana, wysoka i smukła, znajdująca się na tyłach bastionu, po prawej stronie. Na jej tarasie, prawie przez cały czas oblężenia stały dwie armatki, lekkie, ale bardzo celne. Górząc nad okolicą, miały doskonały kąt strzału. Wieża Świętego Jana bez chwili przerwy uprzykrzała życie siedzącym w transzei burbończykom, słusznie zatem ją znienawidzili i ostrzeliwali bez umiaru.

Żeby dać wam pojęcie o zaciętości walk, zamieszczę trzy ryciny przedstawiające wieżę Świętego Jana. Na pierwszej widać ją w stanie nienaruszonym; na drugiej – wygląda tak, jak tuż przed 12 sierpnia. (W rzeczywistości szkody były tak znaczne, że już na kilka dni przedtem musieliśmy ściągnąć stamtąd obie armatki, bo konstrukcja groziła zawaleniem). Ostatni obrazek ukazuje to, co z niej zostało, gdy nastąpił koniec.

(Autor ilustracji potraktował temat dość swobodnie. Wieża na przykład nie była kwadratowa, lecz okrągła, a mury w dużo gorszym stanie. Jednakże brak wierności w odtworzeniu szczegółów w niczym nie umniejsza pogładowej wartości samych rycin).





Świt 12 sierpnia zastał mnie w Świętej Klarze. Nie zmrzyłem oka, bo Jimmy mógł zaatakować w każdej chwili. Te cholerne skurwysyny wiedziały, że coś przeczuwamy, więc przez całą ową upalną noc wszczywały fałszywe alarmy. Ja miałem dać znak, kiedy nastąpi prawdziwy szturm.

No to pięknie! Poderwać na nogi całe miasto to zadanie wielce ryzykowne. Nasi ludzie byli na skraju wyczerpania. Brakowało tylko tego, żeby jakiś oficerek

podniósł w stan gotowości wszystkie załogi w Barcelonie i kazał im bez powodu biec na mury. Przypominam, że nasze wojsko nie składało się z żołnierzy, lecz z uzbrojonych cywilów. Każdy alarm wyrwał ich z domów, z łóżek, z ramion ukochanych kobiet. Taki był zresztą cel Jimmy'ego: doprowadzić obrońców do obłądu. Tak jak mówiłem, noc owa była jednym pasmem zmyłek i forteli: nagle, w ciemnościach, odzywały się trąbki i werble, jakby za chwilę miało ruszyć na nas całe wojsko. Ale nie działo się nic. Nic. Parę minut później posyłali ku nam bezsensowną salwę z karabinów. Zdawało się, że zaraz potem z okopów wyjdą oddziały grenadierów i piechoty z bagnetami, a tu ani widu, ani słyhu. Nikogo. Przez całą noc nasłuchiwałem jakiegokolwiek, najcichszego nawet dźwięku, powtarzając w myślach maksymę z Bazoches: „Dopóki żyjesz, musisz być czujny. Dopóki jesteś czujny, żyjesz”.

Okolo siódmej rano zapadła cisza, spokój tak absolutny, że aż podejrzany. Pobiegnęłam w stronę pierwszej barykady, przeskoczyłam ją i padłszy na ziemię, ostrożnie wystawiłam głowę przez wyłom. To, co zobaczyłam, zmroziło mnie, chociaż była połowa sierpnia.

Z kawaler wychodziły setki żołnierzy. Jeżeli francuskich grenadierów dobierano według postury, to ci byli chyba najwyżsi ze wszystkich. Na ich piersiach – cóż za niezwykły widok – lśniły mosiężne kirysy, a w dłoniach ściskali piki czterometrowej długości. Tuż za owym opancerzonym jeżem – kolejni grenadierzy, setki, setki grenadierów. Co najmniej dziesięć kompanii w pełnej liczbie szło na bastiony Świętej Klary i Portal Nou.

Fosę wypełniły roje mrówek w białych mundurach, wspinające się po rumowisku w doskonałym ordynku. Ponieważ stok zasłany był gruzem, pochód ów przywodził na myśl przemarsz słoni idących po żwirze.

„To koniec”, powiedziałem do siebie. Oto rusza na nas *crème de la crème* francuskiego wojska. I kto ma ich powstrzymać? Te dwa oddziały Coroneli w Świętej Klarze: płatnerze i sukiennicy. Razem niespełna dwustu ludzi.

Pobiegnęłam z powrotem tą samą drogą za barykadę. Poszedłam prosto do komendanta bastionu, pułkownika-lejtnanta Jordiego Bastidy.

– Szturm generalny, Bastida! – krzyknęłam. – Już idą!

W tej samej chwili usłyszeliśmy wybuch, na lewo od nas. Ziemia zadrżała nam pod stopami. Słup czarnego dymu w kształcie grzyba wznosił się nad Portal Nou. Burbończycy zdetonowali minę.

– Trzeba zawiadomić don Antonia – powiedziałem.

Bastida skwitował to krótkim:

– Więc na co waść czekasz? Zawiadam.

Jordi Bastida był jednym z naszych bohaterów. W 1709 odparł burboński szturm na Benasque, małą miejscowość w Pirenejach. Gdyby był teraz na moim miejscu, nie wątpię, że zamiast iść samemu, wyprawiłby posłańca. Nie przyszłoby

mu do głowy, że może opuścić stanowisko, zwłaszcza że wybuch wyrwał już ze snu całe miasto. Nie byłem Bastidą, więc wybiegłem pędem, gdy tylko usłyszałem to *Avisí'l vostè!*^[98]. Odchodząc stamtąd, wiedziałem, że już nie zobaczę go żywego.

Jednocześnie ze Świętą Klarą burbończycy zaatakowali sąsiedni bastion Portal Nou. Tam załoga była równie nieliczna, tym razem złożona z krawców i konwisarzy. Przy czym faktem jest, że Portal Nou ucierpiał mniej niż Święta Klara. Mógł liczyć na boczne wsparcie ogniowe, bresze nie były zbyt szerokie, a podziemna mina została źle założona. Odłupała jedynie przedni fragment pięciokąta. Chociaż gdyby rzeźnik z Antwerpii trzymał się prawidłowych obliczeń i przesunął ją o jakieś dwanaście metrów, cały bastion wyleciałby w powietrze. (No, chyba że ktoś grzebał w jego notatkach i dokonał sabotażu liczb).

Komendantem Portal Nou był pułkownik Gregorio de Saavedra y Portugal (sądząc z nazwiska, musiał być Portugalczykiem, przynajmniej z pochodzenia). Na kilka długich minut jego krawcy i konwisarze oślepli i ogłuchli, spowici chmurą czarnego dymu. Zewsząd leciały na nich grudy ziemi i odłamki kamieni. Sądziło się, że nastąpił koniec świata. Ale wspomniany wyżej błąd w obliczeniach sprawił, że większość z nich wyszła z tego bez szwanku. A Saavedra, jako doświadczony oficer, bez chwili wahania kazał im bronić wyłomu.

Nie wiem, który z burbońskich oficerów wpadł na genialny pomysł, żeby uzbroić ową falangę dryblasów tak, jakbyśmy się cofnęli do epoki pikinierów. (Po latach Jimmy zarzekał się, że to nie on, choć znając jego wrodzoną skłonność do kłamstw, podejrzewam raczej, że po prostu chciał zrzucić z siebie odpowiedzialność za katastrofę, jaka potem nastąpiła).

Obrońcy bastionów rzucili się do bresz, strzelając jak opętani. Osłaniały ich resztki murów i gęsta zasłona dymu po wybuchu miny. W zbitą masę atakujących wystarczyło strzelać na oślep. Pierwsi, co zrozumiałe, jęli upadać opancerzeni pikinierzy. Barczyści, zakuci w ciężkie blachy, toczyli się bezwładnie, ścinając z nóg dziesiątki idących za nimi towarzyszy.

W pierwszej części tej relacji opisałem wam, jak przerażający jest szturm grenadierów. Nie uznałem wówczas za konieczne dodać, że nie trzeba być grenadierem, żeby używać granatów, i że w Barcelonie mieliśmy ich tysiące. Na szturmujących burbończyków padał grad czarnych kul, czyniąc spustoszenie tym większe, im bardziej zwierali swe szeregi. Nasi walczyli do ostatniego granatu, lecz mimo owej straszliwej rzezi napastnicy nieprzerwanie parli naprzód.

W tym czasie nasz poczciwy Zuvi pędził na spotkanie z don Antoniem. A prawda jest taka, że nie musiałem biec daleko. Znalazłem go tuż za linią walki, w otoczeniu łączników i oficerów. Nie mogłem powiedzieć mu nic, o czym już by nie wiedział, co było dość upokarzające.

Jednym z towarzyszących don Antoniowi oficerów był Marià Bassons, profesor prawa, którego uczyniono kapitanem Coroneli. Malutki, o jajowatej

głowie i oczach uzbrojonych w binokle nawet na polu bitwy, należał Bassons do flegmatyków broniących się przed starością zupełnym oderwaniem od świata i rzeczywistości.

– Ach, oto i pułkownik-lejtnant Zuviría! – zawołał, przyglądając mi się przez swoje okulary. – Mów waszmość, jak sprawy w sądzie? Sprocesowałeś już tamtych Włochów?

Ja tu pędzę bez tchu, nad głowami latają nam pociski wszelkiego kalibru, a on pyta mnie o zaległy proces. Ktoś powinien mu być powiedzieć, że wszystkie trybunały od dawna leżą w gruzach. Nigdy się nie dowiem, czy był zdziecinniałym starszkiem, czy jednym z owych stoików, którzy uważają, że cywilizacja trwa, dopóki znajdzie się ktoś, kto tak twierdzi.

Jego uczniowie, studenci prawa z kompanii żaków, czekali na rozkazy, chwilowo bezpieczni od zabłąkanych kul. Któryś z nich podszedł do nas i tonem niecierpliwym, choć pełnym szacunku zapytał Bassonsa:

– Panie profesorze, atakujemy?

Tych z kompanii żaków łatwo było rozpoznać. Pochodzili z dobrych domów, bo tylko tacy wstępowali na uniwersytet. Wpisawszy się do rejestru, kupowali nie jeden, lecz dwa, a nawet trzy mundury. Zawsze mieli czysty na zmianę, bo ledwie któryś się przybrudził, służba prała następny. Dogadali się nawet z kompanią krawców w sprawie łątania i cerowania dziur. Muszę przyznać, że nie miałem do nich zaufania. Jako oddział nadawali się tylko do defilowania, wystrojeni jak spod igły w te swoje schludne kurteczki o szerokich, żółtych mankietach. Widok ów radował serca gapiących się z balkonów cywilów, którzy mają skłonność do mylenia wojska ładnego z wojskiem sprawnym. Moje zastrzeżenia brały się stąd, że wojna i nauka to dwa odrębne światy. „Rozpierzchną się przy pierwszym wystrzale”, myślałem.

Bassons ojcowskim gestem poklepał młodziutkiego żołnierza po ramieniu.

– *Aviat, fill meu, aviat* – powiedział, co znaczy: „Już niedługo, synu, już niedługo”. – I pamiętajcie: *Nihil metuere, nisi turpem famam*^[99]. Nie bójcie się niczego prócz niesławy!

Sędziwy profesor był jednym z licznych barcelończyków, którzy zaciągnęli się z potrzeby serca. Dla niego, dla wielu takich jak on, walka była po prostu jeszcze jednym obywatelskim obowiązkiem, czymś pomiędzy płaceniem podatków a udziałem w karnawale. Gdy ogłoszono *cridé*, studenci oznajmili władzom, że służyć będą tylko pod dowództwem profesora. Czerwoni aksamitnicy, zawsze tak wyrozumieli dla swoich, mianowali Bassonsa kapitanem (może obawiali się, że w przypadku odmowy żacy obrzucą ich kamieniami). Bassons zaś był dumny jak paw ze swojej kompanii dzieciaków. *Mon Dieu, quel bon esprit de corps!*^[100].

Kiedy chłopak odszedł, profesor nie mógł się powstrzymać od pobłażliwego westchnienia.

– Ach, młodość! Zawsze taka niecierpliwa!

Tak jakby noszony przeze mnie stopień dodawał mi lat.

Wiem, słowo „nawałnica” w opisach bitew wydaje się już mocno wyświechtane, ale zapewniam was, że w pełni oddaje naszą sytuację. Kule uderzające w bastiony wznosiły chmury popiołów i kamiennego pyłu. Na nas, stojących nieco niżej, pod osłoną murów, spadał deszcz startych niemal na proch odłamków, skłębionych w powietrzu niczym piana na grzbietach fal. Wołałem nie myśleć o tym, co się działo wyżej, w Świętej Klarze. „Przy odrobinie szczęścia – mówiłem sobie – może o mnie zapomną”. Cha, cha! I jeszcze raz cha, cha! Jeden z oficerów od Villarroela przybiegł do nas w strasliwym pośpiechu i krzyknął:

– Zuviría! Waszmość byłeś w Świętej Klarze, tak? Zabierz tam kapitana Bassonsa, niech żacy wesprą Bastidę. Wytrzymajcie, dopóki nie nadejdą posiłki!

Nie dał mi czasu na znalezienie jakiejś wymówki, bo dodał od razu:

– Zrozumiano? Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie za wszelką cenę!

Chciałem odpowiedzieć, że nie mogę posłać do Świętej Klary dzieciaków o policzkach gładkich i rumianych jak jabłuszka, bo w obronie niewiele nam pomogą, a burbończycy rozprawią się z nimi w mgnieniu oka. Ale obraziłbym Bassonsa i setkę jego chłopców w niebieskich kurteczkach, którzy już ku nam biegli, jakby nie mogli się doczekać śmierci.

Poprowadziłem ich do Świętej Klary, trudno. Przecisnęliśmy się przez wąski korytarz i pędem pokonaliśmy cholerne stopnie. Dobry Boże, cóż za widok się nam ukazał!

W porównaniu z dziedzińcem Świętej Klary nawet Głgota zdawałaby się angielskim ogrodem. Cały pięciokątny plac zasłany był trupami i rannymi. Wielu z tych ostatnich jeszcze walczyło o życie, choć sił starczało im już tylko na to, by niemym gestem błagać o ratunek. Patrząc na owo poruszenie w kłębowisku ludzkich ciał, poczułem mdłości. Przyszły mi na myśl wiadra pełne dżdżownic, wijących się w oczekiwaniu, aż rybak je nadzieje na haczyk. Tak to było.

Na wysuniętym szpicu bastionu burbończycy przedarli się przez pierwszą barykadę, którą wznieśliśmy, żeby zasłonić breszę. (Zerknijcie raz jeszcze na rycinę). Ostrzeliwali stamtąd naszą drugą zaporę, za którą schroniły się niedobitki sukienników i płatnerzy pułkownika-lejtnanta Bastidy. Z dwustu, których z nim zostawiłem, przy życiu zostało się nie więcej niż trzydziestu czy dwudziestu. Ładowali broń i strzelali, nie zważając na rannych towarzyszy pozostawionych po tamtej stronie. Nie tylko odpierali uderzenia nieprzyjaciela, ale i kontratakowali kilkakrotnie, żeby odbić straconą barykadę. Dwustu naprzeciw tysiąca, może nawet dwóch tysięcy burbońskich żołnierzy!

Kiedy żacy rozwijali szyk za drugą barykadą, dostrzegłem leżącego pod murem pułkownika-lejtnanta Bastidę. Adiutant z płaczem ocierał mu twarz kawałkiem płótna. Nic więcej nie mógł dla niego zrobić. Bastida, z otwartymi

ustami, patrzył w chmury, na wpół nieobecny. Przyklęknałem obok. W ciele miał sześć dziur.

Może i jestem nędznikiem, lecz wierzcie mi, poczułem się okropnie na myśl, że dałem stamtąd nogę. Z Bastidą miałem do czynienia podczas prac przy naprawie bastionu, był człowiekiem uczciwym i sumiennym. Teraz leżał tu przede mną, a w jego ciele tańczyło sześć ołowianych kul. Ująłem jego dłonie w swoje i wyszeptalem:

– Jordi, Jordi, Jordi...

Chciał coś powiedzieć, ale nie mogłem go zrozumieć. Bełkotał niewyraźnie, a huk wystrzałów zagłuszał wszystko. Cud, że jeszcze oddychał. Przekrzykując bitewny zgiełk, zawołałem do adiutanta:

– Dlaczego nie zabrali go do szpitala?! Dlaczego?!

– Nie chciał, panie pułkowniku! Taki wydał rozkaz! Niewielu nas zostało, każda para rąk się przyda do obsługi karabinów albo nas rozniosą.

– Żacy już tu są – odparłem. – Zabierzcie go!

Bastida zacisnął palce na moim lewym nadgarstku. Wspomnienie jego zdumionych oczu, nieprzytomnych i świadomych zarazem, zabiorę ze sobą na tamten świat. Przytknąłem ucho do jego warg. Jeżeli chciał mnie przekląć, w pełni na to zasłużyłem. Pierś rannego zapadła się w nagłym skurczu, lecz zamiast słów z jego ust wydobyła się kaskada czerwonej piany. Odsunąłem się, poczuwszy, że gorąca krew zbryzgała mi twarz. Wynieśli go. Zmarł nazajutrz o świcie, w szpitalu Świętego Krzyża, po długiej i zbędnej agonii.

Obie strony ostrzeliwały się nawzajem z barykad, oddzielone zalegającym bruk kłębowiskiem, z którego dobiegał nieustanny jęk. Na zdobytym przez burbończyków czole bastionu wciąż przybywało żołnierzy. Gdy zbierze się ich dostatecznie wielu, otworzą ogień do dzieciaków z uniwersyteckiej kompanii, Święta Klara będzie ich, a wraz z nią całe miasto.

Wszelako przewidywania owe nie były tak oczywiste dla ludzi nieobeznanych ze sztuką inżynieryjną. Żacy, skuleni za parapetem, ładowali broń, wstawali, strzelali i przyklękali znowu, ze stemplem w jednej ręce i woreczkiem prochu w drugiej. Zgodnie z ich logiką, wynik bitwy zależał tylko od ich starań. Dobry Bóg poniesie ich kule, tak jak prowadził ich do wiedzy, i wynagrodzi stałość, wysiłek oraz poświęcenie zasłużonym zwycięstwem. Nie potrafili zrozumieć, że zza tej niskiej, półkolistej barykady, zdobytej już przez wroga, Jimmy wysyła na nich coraz więcej i więcej wojska, całe bataliony żołnierzy, wspinające się na ściany okopów. Skumulowaną, niszczącą energię, która na rozkaz zmiecie wszelki opór.

Rozumie się, że będąc w samym jądrze wydarzeń, nie mogłem wiedzieć, co tak naprawdę się dzieje. Dopiero w ciągu następnych dni zdołałem stworzyć sobie ogólniejszy obraz.

Jimmy zaatakował jednocześnie bastiony Portal Nou i Świętej Klary. Jak już mówiłem, zamierzał zdobyć oba; potem miasto miało prosić o litość albo pójść pod nóż. Koniec oblężenia. Taki właśnie skutek zakładał. Stwierdziwszy, że opór jest bardziej zacięty, niż przewidywał, zasiadł na balkonie w Mas Guinardó, wypatrując posłańców, i czekał, aż sytuacja się wyjaśni.

Pierwsze raporty z pola bitwy mocno go zaniepokoiły. Nie były złe, były fatalne: nie do wiary, ale szturm na Portal Nou został odparty.

Napisałem, że Jimmy się zaniepokoił, nie, że upadł na duchu. Swoją taktykę wcześniej dokładnie przemyślał, miał plan zapasowy i przystąpił do jego wykonania.

Tak naprawdę wcale nie musiał zajmować dwóch bastionów. Żeby zdobyć miasto – zgodnie z *les règles* – wystarczyłby jeden. Ponieważ z Portal Nou nie poszło mu najlepiej, postanowił wszystkie siły rzucić na Świętą Klarę. Czyli tam, gdzie za drugą barykadą kulił się poczciwy Zuvi, na wpół żywy ze strachu.

Podczas gdy Jimmy wydawał rozkazy, wysyłając do walki z nami wszystkie rezerwowe bataliony, profesor Bassons przechadzał się wzdłuż kamiennego parapetu i wygłaszał pompatyczne przemowy do swoich studentów. Z rękami założonymi na plecy, nie zważając na niebezpieczeństwo, jakby wokół wybuchały nie bomby, lecz fajerwerki, wygłaszał łacińskie sentencje. Kazano mu powstrzymać burbończyków, a jego chłopcy wspaniale wypełniali swoją misję. Nie widział nic poza tym, ślepy na to, że za chwilę spadnie na nas chłodno wyrachowany cios zabójczej ręki Jimmy'ego. Podszedł do mnie i patrząc, jak na klęczkach chowam się za barykadą, przystanął i powiedział bez przygany, jakby chciał udzielić mi rady, nie reprimendy:

– Pułkowniku-lejtnancie, oficer powinien świecić przykładem.

– Profesorze! – krzyknąłem. – Kryj się!

W uczonej głowie Bassonsa kołatała się godna jego wojskowej wiedzy myśl, że oficerowie nie kłaniają się kulom. I prawdę mówiąc, staremu głupcowi nie brakło odwagi. Inżynierowie wszelako wyżej od honoru cenią bezpieczeństwo. Budowaliśmy fortece, by chronić ludzi, nie żeby ich narażać, a w walce za murami, inaczej niż w polu, ten, kto się nie kryje, nie jest odważny, tylko głupi. (To jedna z odwiecznych przyczyn wzajemnej pogardy inżynierów i żołnierzy).

Zuvi osobiście zaprojektował i nadzorował budowę barykad na dziedzińcu Świętej Klary. Wystarczająco wysokich, by osłonić obrońców przed kulami wroga, i dostatecznie niskich, by mogli swobodnie strzelać i przeskoczyć mur w razie kontrataku. Bassons nie był postawnym mężczyzną, wręcz przeciwnie, lecz jego głowa, przyozdobiona absurdalną fryzowaną peruką, wystawała sporo nad parapet, stanowiąc wymarzony cel dla każdego, wokół zaś trwała strzelanina, nieustanna i chaotyczna.

– Profesorze Bassons! – błagałem. – Kryj się, na miłość boską!

Popelnilem blad. Moje prosby tylko dodaly mu odwagi, by mogl zablysnac przed uczniami. Nie lekcewazmy scenicznego efektu: pulkownik-lejtnant na kolanach, kapitan Bassons nauczajacy maluczkich, demonstrujacy wyzszość intelektu i ducha obywatelskiego nad wojennym rzemioslem. Wokol nas swiszczaly kule, a on deklamowal:

– Pradziadowie nasi, a dawniej ich dziadowie od wiecej niz pieciu pokolen zamieszkiwali szczyty Pirenejow, zyjac w stadach niczym dzikie zwierzeta, bez ladu i Bozych przykazan.

– O czym wasc bredzisz, do cholery? – probowalem mu przerwac. – Nie czas na kazania!

Udawal, ze nie slyszy. Byl tak opetany nauka jak apostołowie Duchem Swietym.

– Az pewnego dnia – ciagnal niewzruszony, choc ostrzal nie milkl ani na chwile – ujrzeli u swych stop kraj bogaty i kwitnacy, zyzne rowniny poprzecinane dolinami rzek, gotowe sluzyc kazdemu, kto bedzie umial je uprawiac i uczynic siedziba ludzkiej cywilizacji. Nasi przodkowie przegnali stamtad Maurow, to cuchnace plemie. Cal pokolenia trudzily sie, by ustanowic nasze prawa, nasza religie i nasze obyczaje na tej nowej ziemi, ktora nazwano Katalonia.

Co on wygaduje? A zacy patrza w niego jak w obraz, opuściwszy lufy karabinow! Zerwalem sie na nogi i krzyknałem, szarpiac ich i popychajac:

– Utrzymac ogien! Cel, pal!

Nikt mnie nie sluchal, moj autorytet byl niczym wobec charyzmy Marii Bassonsa, ich umiowanego profesora. A ten glupiec dalej swoje i perorowal w najlepsze:

– Stworzyli nowy lad. Najpierw osiedlili sie w Katalonii, a potem uwolnili z jarzma Walencje i Majorke. Zaludnili owe ziemie nie jako swoje dominia, co zawsze czyni Kastylia, lecz ustanowili tam bratnie krolestwa, rowne nam i zawsze otaczane miłością. Wspolna wiara, wspolny jezyk, wspolne prawo, lecz wlasne parlamenty. A jak brzmialo to prawo, jednakie dla wszystkich, najwyzsze, dobrowolne i niezmiennie? Sluzyc bedziesz krolowi, ktory sluzi. – W podnieceniu jal wywijać w powietrzu zaciśniętą pięścią. – A teraz francuski pretendent do hiszpańskiego tronu chce zniszczyć i uciemiezyć tysiac lat katalońskiej wolności, bo tak chce jakis kastylijski testament! Pozwolimy mu na to? *Oi que no, nois?* (Prawda, ze nie, chlopocy?).

Pamiętam, ze wrzasnałem, przekrzykujac huk wystrzalow i machajac reka, jakbym walil w bęben:

– Profesorze Bassons! Na ziemie!

Nie wiem, czy ow uczony glupiec mnie uslyszal. Stal blisko, wiec pociagnalem go za poly kurtki, chcac zmusic, by sie ukryl. Za pozno. W tej samej chwili zobaczyłem, jak niebo rozcina biala bruzda, smuga dymu niby ogon komety.

Kawał blachy, wielkości i kształtu półmiska, nadleciał ku nam z przerażającą prędkością i utkwiał w głowie Bassonsa, przesywając na wylot czaszkę jak gomółkę sera.

Skąd się wziął ów dziwny pocisk? Nigdy się nie dowiemy. Najprawdopodobniej był to fragment burbońskiej kuli armatniej, która rozpadła się, uderzając w wieżę Świętego Jana wznoszącą się za nami po prawej. Odłamki rozprysnęły się na wszystkie strony, a największy trafił Bassonsa.

Profesor upadł na mnie, jego ciałem wstrząsnęły drgawki, po czym znieruchomiał, z palcami zgiętymi niczym szpony. Moja twarz była tak zbryzgana krwią, że musiałem wyglądać jak chory na odrę. Zanim zdążyłem się wygramolić spod Bassonsa, podbiegła do mnie grupka żaków.

– Profesorze! Profesorze!

Łapiąc z trudem powietrze, otarłem twarz, wciąż ogłuszony ową nagłą śmiercią. Dyszałem, a oni coraz ciaśniejszym kręgiem otaczali mnie i swego martwego nauczyciela. Setką piersi wstrząsnął zbiorowy szloch.

– To jest wojna – próbowałem ich pocieszyć. – Wracajcie na pozycje.

Żacy kochali Bassonsa, kochali go ową szczególną, ślepą miłością, jaką uczeń darzy mistrza. Oburzeni, zaczęli szemrać.

– Wracajcie na pozycje i brońcie barykady! I strzelajcie, do cholery, strzelajcie! – wrzasnąłem, poszturchując opornych. – Jeśli ogień osłabnie, ruszą do szturmu!

Posłuchajcie, nigdy nie byłem piewcą wojennego męstwa. Między innymi dlatego, że widywałem je rzadko, bardzo rzadko. Większość bohaterskich czynów to tupanie przypartych do ściany szcurów, nic więcej. W bitwie ludzie zabijają, żeby nie zginąć, ot i cała prawda. Potem przychodzi jakiś poeta, jakiś poetyczny historyk, i desperacką jatkę przemienia w dęty heroizm godny wieczystej chwały. Lecz to, co wydarzyło się owego dnia, przeczyło wszelkiej logice.

Żałoba obróciła się w nienawiść. Wzburzeni żacy powtarzali w kółko: „Skurwysyny! Skurwysyny!”. Żeby załadować karabin, potrzeba zimnej krwi, a ich krew wrzała. Jeden, rozsierzony bardziej niż inni, wreszcie stracił cierpliwość. Ręce trzęsły mu się ze złości, strużka prochu uparcie trafiała obok lufy, to z tej, to z tamtej strony. Wydał z siebie dziwny pisk, niemal kobiecy. Chwycił za karabin i z nastawionym bagnetem przeskoczył przez mur.

– Ej! – zdążyłem za nim krzyknąć. – A ty dokąd? Wracaj!

Nie słuchał. Z karabinem w ręku, oszalały z wściekłości, ruszył na zajętą przez burbończyków barykadę, wyjąc przy tym jak opętany.

– Na nich, na nich! – krzyknął wówczas jakiś głupek, zachęcony przykładem tamtego wariata. – Pomścimy don Marię Bassonsa!

I cała setka żaków wspięła się na mur w ślad za swoim towarzyszem!

Ja oczywiście biegałem wzdłuż barykady, próbując ich zatrzymać.

– Stać! Stać! Zabiją was, zabijają!

Powodowało mną nie tylko współczucie. Musiałbym powiedzieć don Antoniowi, naszemu dobremu pasterzowi żołnierzy, że powierzone mej opiece owce rozpiezchły się, zbłąkały i popełniły stadne samobójstwo. Kłamię, groziłem i szarpałem. Daremnie. Poszli za nimi wszyscy, co do jednego. Ja rzecz jasna nie. Przez kilka chwil stałem, wsparty plecami o mur, trzymając się rękami za głowę. Zostałem sam, tylko trup Bassonsa i ja. *Mon Dieu, quelle catastrophe!*^[101].

Odwróciłem się, by przez otwór w barykadzie kontemlować masakrę. I nawet dzisiaj nie mogę uwierzyć w to, co zobaczyłem.

Uskrzydleni własnym gniewem żacy przemknęli niczym deszcz meteorów dystans dzielący obie barykady. Burbończycy nie zdążyli nawet dobrze złożyć się do strzału. Trzech czy czterech studentów padło, trafionych przez zabłąkane kule. W połowie drogi ktoś wykrzyknął: „Kamieniem! Kamieniem!”. Na to stare żakowskie zawołanie wszyscy stanęli w miejscu i sto granatów poleciało w stronę wroga. (Jak sami widzicie, im bardziej chuligańska jest tradycja, tym więcej patriotycznych pożytków przynosi).

Za murem wyrósł stos ciał odrzuconych przez wybuchy. Szaleniec, który dał sygnał do ataku, nawet nie przystanął, żeby odpalić granat. Gnał naprzód, kłując powietrze bagnetem, ochrypli od krzyku. Reszta popędziła za nim, dopadli do pierwszej barykady, wdrapali się na parapet, a potem jęli strzelać z góry i dźgać ukrytych za nim burbończyków.

A były tam ich setki, czekających na rozkaz do szturmu. Spodziewali się wszystkiego, tylko nie tego, że rzuci się na nich garstka obrońców. Byli tak stłoczeni, że większość z nich nawet nie mogła ruszyć ręką, by złożyć się do strzału. Żacy, stojąc na szczycie barykady, kłuli bagnetami ich głowy, piersi i plecy. Ogarnął ich taki szal, że bezbronni burbończycy wpadli w panikę. Na łeb na szyję wskakiwali do fosy, uciekając w rozsypce, ścigani przez zgraję opętanców, wydających z siebie gardłowe ryki.

Gdy to nieprawdopodobne zwycięstwo stało się faktem, poszedłem po nich. Przemierzyłem przestrzeń dzielącą obie barykady, pochylony, deptając po zabitych i rannych; było ich tylu, że inaczej się nie dało. Powtarzam: jeszcze dzisiaj nie rozumiem, jakim cudem garstka żaków zmusiła do ucieczki okrągły tysiąc francuskich grenadierów.

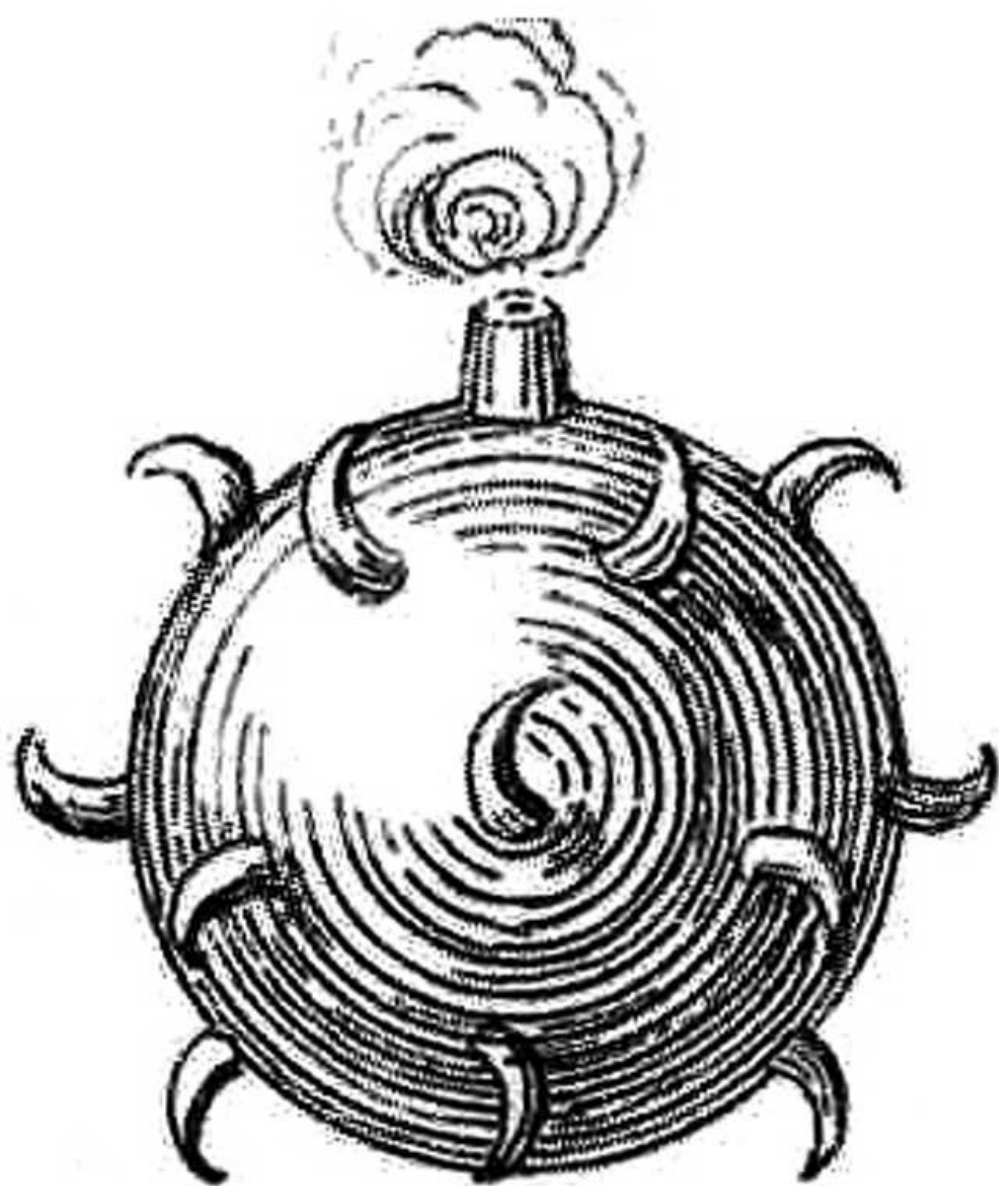
Bogu dzięki, zdołałem ich powstrzymać, by nie ruszyli dalej, za fosę, na podbój burbońskiego obozu. Pomogło mi owo absolutne wyczerpanie, owo fizyczne i moralne wycieńczenie, jakie zawsze pojawia się po szarzy na śmierć i życie. Usłyszawszy rozkazy, jakby odzyskali odrobinę rozsądku. Odbili pierwszą barykadę, a teraz musieli się na niej utrzymać. Zawrócili posłusznie, z niemą, potulną uległością. Być może dlatego, że ten, kto ozdrowiał z obłędu, sam – tak myślę – najbardziej się dziwi własnemu szaleństwu.

Do tamtego dnia przeżyłem wiele zdarzeń będących zaprzeczeniem wszystkiego, czego uczono mnie w Bazoches. Ale szarża kompanii żaków to było coś o wiele więcej, albowiem wykraczała poza granice rozumu. Vauban przenigdy by się nie zgodził na tak przeprowadzony atak. Za wiele ofiar i żadnych widoków na zwycięstwo. A jednak, choć było to zupełnie niepojęte, stałem oto na trupach francuskich grenadierów i wydawałem rozkazy dzieciakom, które ich pokonały.

Jednym z ocalałych był ów chłopak, który rozpoczął szarżę. Wyraz twarzy miał nieobecny, a przód munduru uwalany krwią od góry do dołu. Patrzył na swój bagniet – również zabarwiony czerwienią – jakby nic nie rozumiał, jakby to wszystko wokół było czymś obcym, nowym, dziełem innych. Chwyciłem go za ramiona, potrząsnąłem nim i zapytałem:

– *Noi, noi*^[102], nic ci nie jest? Co z tobą?

Spojrzał, jakby mnie nie poznawał. Z oczyma utkwionymi w innym świecie bezgłośnie otwierał i zamykał usta, a potem przez resztę dnia zwracał się do mnie „panie profesorze Bassons”.



Jimmy, rzecz jasna, sprowadzał ludzkie tragedie do liczb. A dla marszałków liczba, dopóki jest dopuszczalna, zawsze pozostanie tylko liczbą. Doszedł do wniosku, że straty poniesione wskutek jego pierwszej klęski są do przyjęcia i nazajutrz ponownie przystąpił do ataku. Wszystkie siły rzucił na sponiewierany bastion Świętej Klary.

Łatwo mu było, siedząc na balkonie Mas Guinardó, kontemlować postępy bitwy. Z perspektywy nieszczęsnych żuczków toczących po obu stronach bój o kontrolę nad bastionem wszystko przypominało raczej koszmar, który bez przerwy się powtarza. Nie minęło nawet dwanaście godzin od szarży żaków, a sytuacja wróciła do punktu wyjścia: burbończycy za pierwszą barykadą, zdobytą przez nich ponownie, my za drugą.

Cały dzień 13 sierpnia był jednym pasmem ataków i kontrataków na dziedziniec Świętej Klary, z jednej barykady na drugą i odwrotnie. Tkwieliśmy na naszej ostatniej reducie, o krok od przepaści. Jeden krok w tył, jeden jedyny, i bastion przejdzie w ręce Jimmy'ego. A gdy to się stanie, upadek miasta będzie przesądzony. Z natury chytry jak lis, Jimmy przypuścił kilka pozorowanych szturmów w różnych miejscach murów. Było oczywiste, że to podstęp, lecz don Antonio został zmuszony do rozproszenia naszych szczupłych sił, by rozciągnąć i wzmocnić linię obrony. Na to właśnie czekał Jimmy. W kluczowym punkcie – bastionie Świętej Klary – opór stawiała teraz ledwie garstka wyczerpanych, zac zadziały od dymu i prochu ludzi, od których zależał los całego miasta.

Dokładnie pośrodku dziedzińca stał budynek, służący za skład amunicji, który sam kazałem tam wznieść. Porządny bastion powinien mieć prochownię w podziemiach. Święta Klara zaś przedstawiała istny obraz nędzy i rozpacz: krzywe, byle jakie mury, w ogóle pozbawione kazamat. W bitewnej opresji nikt nie oszczędza prochu. Nietrudno przewidzieć, że pierwszy lepszy tłący się wiór może spowodować katastrofę. Skoro nawet zawodowi żołnierze niedbale obchodzą się z bronią, to czego oczekiwać od uzbrojonych cywilów? Ostrzegać ich przed niebezpieczeństwem, nawoływać, by ładując karabiny zachowali należyłą ostrożność, to tak jak dać dziecku do zabawy gliniany dzbanek i wymagać, żeby go nie stłukło. Dlatego, aby zapobiec możliwej hekatombie, kazałem wybudować prochownię, która chroniła amunicję przed przypadkowym zapłonem. (Jeżeli zadacie sobie trochę trudu i cofniecie się o kilka stron, znajdziecie ów budynek na planie bitwy).

No więc przez cały dzień obie strony toczyły boje o ów niepozorny domeczek pomiędzy obiema barykadami, sterczący pośrodku kamiennego dziedzińca niczym samotna rafa. Raz próbowała zawładnąć nim Coronela, raz burbończycy. W odróżnieniu od Jimmy'ego, don Antonio obecny był na pierwszej

linii, dokonując obchodu najbardziej zagrożonych miejsc. Wszędzie, gdzie się pojawił, duch bojowy rósł. Do dziś pamiętam, jak poklepywał żołnierzy po plecach i przemawiał po ojcowsku:

– Dzieci moje, każdy, nawet najmniejszy z was, jest wart tyle co generał. Mam szczęście. To zaszczyt być waszym dowódcą.

Nadeszła chwila, że powiedziałem sobie: „dosyć tego”. To dobrze, bardzo dobrze, że don Antonio daje przykład ofiarności i męstwa wzorem starożytnych generałów (Casanovy oczywiście ani widu, ani słyhu), ale rzecz w tym, żeby nie skończył jak profesor Bassons.

Nie mogłem zrozumieć tej strategii. Jimmy jedną nogą był w Świętej Klarze, więc system obrony bastionowej nie działał już na naszą korzyść. Mijały godziny, a don Antonio co jakiś czas luzował wyczerpaną, zdziętkowaną załogę przy drugiej barykadzie, lecz nie zarządził kontrataku. Musiało zatem dojść do walki wręcz, w której skazani byliśmy na porażkę. Przez transeję dochodzącą do Świętej Klary Jimmy mógł ściągać posiłki i ewakuować rannych. Odbywało się to powoli i nie bez trudności oraz wiązało ze sporymi stratami w ludziach. Miał jednak nad nami tak wielką przewagę liczebną, że prędzej czy później zgromadzi dość sił, żeby przypuścić szturm i zepchnąć nas z murów.

Wszyscy oficerowie wiedzieli, że stoimy na skraju przepaści i że czas działa przeciwko nam. Jeśli stracimy drugą barykadę, adiu Fruziu. Postawa owych oficerów mówi wszystko o nastrojach panujących w mieście: żaden z nich nie zażądał od don Antonia wysłania trębaczy, by paktować z wrogiem. Gdzie tam! Kapitanowie i pułkownicy otoczyli go zwartym kręgiem, błagając, by pozwolił im zaatakować i odbić z rąk burbończyków pierwszą barykadę. Zewsząd słyhać było katalońskie *si us plau, si us plau*, hiszpańskie *por favor, por favor* zbiegłych do Barcelony austriackich stronników, a czasem nawet niemieckie *bitte, bitte, Herr Anton!*

Dotąd mam w oczach widok nieszczęsnego don Antonia, opędzającego się od owych oficerów jak od roju brzęczących gzów. Wiedzieli, że nasza sytuacja jest beznadziejna. A jednak domagali się pozwolenia na frontalny atak na pozycje bronione przez przeważające siły nieprzyjaciela. Don Antonio dokonywał cudów, żeby utrzymać ich w ryzach.

I tak doczekaliśmy nocy. Lecz bitwa nie ustała. Dzwony w mieście były przez cały dzień i nadal nie milkły, chociaż słońce już zaszło. Strefa działań przypominała jakąś wielką iluminację z fajerwerkami rac, wystrzeliwanych przez nas, by oświetlić transeję, którymi nadciągali burbońscy żołnierze. Błyski wystrzałów zapalały się i gasły w ciemności niczym tysiące unoszących się w powietrzu świetlików. Około czwartej nad ranem wymknąłem się ze Świętej Klary, żeby ustalić z Costą, które armaty przetoczyć do bastionu, bo otwory strzelnicze już odgruzowano. Ta krótka rozmowa uratowała mi życie.

Pisałem wam o domeczku, który kazałem wybudować z przeznaczeniem na prochownię, a który teraz znalazł się w ogniu walki. Gdy rozpoczął się szturm generalny, wysłałem na miejsce starszego sierżanta i kazałem mu wszystko stamtąd wynieść. Nie wątpiłem, że burbończycy będą szybko zajmować teren i nie można było dopuścić, żeby proch i amunicja wpadły w ich ręce. Nie przewidziałem wszelako, że w bitewnym zamęcie sierżant ów poległ jako jeden z pierwszych. A więc, że nie zdąży skrzyknąć pomocników, otworzyć dwojga zamkniętych na kłódkę drzwi, oddzielonych od siebie zaporą ogniową w postaci rowu pełnego wody, i opróżnić magazynu.

Kiedy teraz o tym myślę, sam się dziwię, że katastrofa nastąpiła tak późno. Przez okrągły dzień obie strony, nieświadome niebezpieczeństwa, walczyły o ów niewielki budynek wypełniony pod sufit baryłkami prochu, granatami, kulami i garncami ze śrutem. I nic. Mystère pewnie pękał ze śmiechu.

Z relacji jednego z ocalałych dowiedziałem się, że wtedy właśnie, jeszcze ciemną nocą, o czwartej nad ranem, ktoś zakrzyknął: „Naprzód, ze świętą Eulalią! Naprzód!”. Barcelończycy przez cały poprzedni dzień stawiali opór, wciąż bez rozkazu do kontrataku. Czuli się tak zawiedzeni, że wszyscy ruszyli za owym szalonym, anonimowym głosem. Po raz nie wiadomo który dopadli prochowni, wyparli stamtąd burbończyków i zatrzymali się przed uderzeniem na drugą barykadę.

Za pierwszą linią szturmową zawsze krążyli ludzie dźwigający wielkie cylindryczne kosze, które służyły do przenoszenia amunicji, głównie granatów, i prowiantów dla żołnierzy. O tej porze, po całym dniu i prawie całej nocy walki, bruk bastionu zasłany był trupami i prochem, którego woń czuło się dosłownie wszędzie.

Roznosiciele koszy skryli się tuż za ścianą naszego maleńkiego arsenału. Od jakiejś przypadkowej iskry zatlił się rozsypany na ziemi proch. Płomień przemknął zygżakiem do dwóch stojących pod murem koszy z granatami. Zgadnijcie, co się stało.

Chyba tylko raz w życiu widziałem wybuch większy niż ten. Costę i mnie fala uderzeniowa obaliła i zdmuchnęła w jednej chwili. A przecież staliśmy w odległości ponad dwustu metrów od Świętej Klary. Była to czerwona eksplozja, otwarta niczym kwiat. Huk trwał długo, bardzo długo. Płomienie i rozmaite szczątki wznosiły się coraz wyżej, pod samo niebo, by opaść deszczem gruzu, który zasypał pół miasta.

Dźwignąłem się na klęczki. Spojrzałem na Costę. Jego głos docierał do mnie jak spod wody. Wstałem i, zataczając się jak pijany, ruszyłem do szyi bastionu.

Powiedzmy, że Mystère naśmiewa się ze wszystkich jednak: obie strony poniosły podobne straty. Razem z prochownią w powietrze wyleciało ponad siedemdziesięciu ludzi Coroneli. Burbończyków zginęło mniej, ale najedli się

więcej strachu, bo ktoś puścił pogłoskę, że wybuchła podłożona przez rebeliantów mina.

Miny budzą nieopanowane przerażenie. W każdej chwili jakiś ukryty morderca może zdetonować nam pod stopami tysiąc kilogramów prochu, dwa tysiące, tyle, ile zdoła znieść wyobraźnia. Powtarzam, to był zwykły wypadek, jakich wiele na wojnie, może nieco przesadny w swej okazałości, lecz zmusił burbończyków do ucieczki w popłochu. Cóż za ironia: obie strony z dziką zawziętością walczyły o dziedziniec Świętej Klary, a teraz jednomyślnie oddawały pole, jakby się umówiły.

Wejście do bastionu, tak zwana szyja, jest bardzo wąskie po to właśnie, by zapobiec masowej ucieczce. I tam też stanął kapitan Jaume Timor z szablą w dłoni, pilnując, żeby nie wymknął się nikt, kto mógł utrzymać karabin.

– Jeśli ustąpicie ze Świętej Klary, Barcelona zginie! – ryczał.

W Świętej Klarze walczyły całe rodziny, ramię w ramię. Jak powiedział wielki Herodot, „w czasie pokoju synowie grzebią swych ojców, w czasie wojny – ojcowie swych synów”^[103]. To, co się stało w Barcelonie, przerosło maksymę Herodota: niektórzy z nas grzebali nie tylko synów, ale i wnuków. W otworze szyi ukazał się mój sąsiad, Dídac Pallarès. Timor pozwolił mu wyjść z powodu wyższej konieczności. Trzech powodów, mówiąc ściślej – Pallarès wynosił z bastionu trzech swoich synów. Wszyscy byli poparzeni. Skóra schodziła szkarłatnoczarnymi płatami z ich twarzy; dobrze pamiętałem jednego z nich, bo Peret był mu winien parę soldów. Chłopak był ciężiej ranny od braci, w obu jego szczękach świeciły nagie kości.

Z nieba leciały jeszcze odłamki gruzu, a don Antonio już przy nas był i dodawał ducha tym, którzy ocaleli. Wraz z innymi oficerami próbował zaprowadzić jaki taki porządek. Cóż, tym razem nie dał rady.

Moje zmysły wciąż były zupełnie skołowane: zdawało mi się, że słyszę oczyma, a patrzę uszami. Wszędzie leżały kawałki mięsa, podobne do bezkształtnych ochłapów, jakie zwykle walają się na podłodze w rzeźni. Podniosłem wzrok. Ze szczytu bastionu z krzykiem spadali bojownicy Coroneli, niby żywe pochodnie bólu, skacząc za burtę płonącego okrętu. Patrzyłem na to wszystko i rzekłem sobie: „Panie, panowie, to więcej, niż pocziwy Zuvi potrafi znieść. W dupie mam miasto, ojczyznę i konstytucję”. Odwróciłem się na pięcie i umknąłem jak spłoszony królik.

„Nie pozwól, żeby myślał za ciebie strach – uczono mnie w Bazoches – bo w ogóle przestaniesz myśleć”. Jako wyuczona formułka brzmiało świetnie. Lecz w obliczu potęgi zdolnej zakołysać bastionem niczym papierową łódką nawet Bazoches nie zdołało stłumić owego egoistycznego instynktu życia, jaki tkwi w duszy każdej istoty. I nie biegłem samotnie. Wielu, bardzo wielu ludzi przekroczyło wówczas granice własnej wytrzymałości, i uciekali teraz na wszystkie

strony. Przeskoczyłem zasieki, wpadłem w jakąś uliczkę i nagle stanąłem jak wryty na widok nieprzeliczonego tłumu.

Kobiety, dziesiątki kobiet. Podkasały spódnice, żeby szybciej biec. Zmierały w kierunku przeciwnym niż ja, w stronę murów. Amelis była wśród nich. „Co się dzieje, Martí? Co się dzieje?”, zapytała w biegu. Ściągnął je tutaj huk owej gigantycznej eksplozji, a w panującym wokół chaosie, przez nikogo niezatrzymywane, dotarły aż do linii walki. My, którzy stamtąd uciekaliśmy, zwolniliśmy kroku, przejęci wstydem.

Myślę, że to nie szabla Timora, lecz te kobiety ocaliły wtedy Barcelonę. Nas, uciekinierów, potraktowały jak tchórzy, nędzników i rzezańców. Moja ukochana Amelis pierwsza krzyknęła:

– Dacie im wejść?

Pozwólcie, że na chwilę wspomnienie zastąpię refleksją. Jakiż to szczytny ideał przyświecał barcelończykom i kazał im stawiać opór przez okrągły rok? Wolności? Konstytucje? Nie, chodzi mi o ów klajster, w niebie czy piekle uwarzony, wszystko jedno, który nie pozwala mężczyźnie opuścić pola walki. Cywile ledwo wzięci w kamasze, czternastoletni chłopcy i sześćdziesięcioletni starcy, przyłgnęli do bastionów jak małże. A dlaczego? Już odpowiadam: z powodu miażdżącej, niewzruszonej potęgi tego, „co ludzie powiedzą”. Kiedy całe miasto patrzy, trzeba mieć dużo odwagi, żeby być tchórzem.

I nawet tacy wymuskani asekuranci jak Długonogi Zuvi zawrócili i stanęli do walki. Przetrzymaliśmy całą noc, mimo przytłaczającej przewagi wroga, przetrzymaliśmy następny ranek, a około południa poczciwy Zuvi nerwy miał stargane bardziej niż ostatni ciura z Coroneli.

Pośrodku bastionu Świętej Klary ział wielki krater, ogromna dziura w ziemi otoczona resztkami pięciokąta murów. Owładnięte szaleństwem, na które nie ma nazwy, obie strony zawzięcie walczyły o to, by wziąć ją w posiadanie. Ostrzał karabinowy trwał bez najmniejszej przerwy, niczym nieustanne gradobicie. A don Antonio nie robił nic, absolutnie nic, nie przystąpił do żadnych działań ofensywnych. Jimmy zaś, dufny w swoją siłę, wysyłał coraz więcej i więcej ludzi na pierwszą barykadę. Miał czas, dużo czasu. Myślał (podobnie jak ja w owej chwili), że don Antonio postradał rozum, kto wie, może nawet męstwo, i zaniecha oporu. Kiedy za pierwszą barykadą zbierze się dość burbońskich oddziałów, szturm nic nie powstrzyma. A my siedzimy z założonymi rękami na drugiej barykadzie i tylko ostrzeliwujemy się z Portal Nou oraz przyległych do niego murów. Robiliśmy dużo hałasu, niewiele wyrządzając szkody burbończykom, ci bowiem siedzieli za pierwszą barykadą, kryli się w okopach albo krążyli po tranzei wiodącej pod Świętą Klarę, oszańcowani z każdą godziną mocniej.

Namęczyliśmy się strasznie, żeby przetoczyć do bastionu trzy dodatkowe armaty. Tymczasem Majorkanie nie kiwnęli nawet palcem, żeby je narychtować.

Jak zwykle sprawiali wrażenie, że toczą jakąś własną, osobną bitwę. Głusi na dochodzący zewsząd huk, rozsiedli się wokół przywleczonych przez nas dział, popijając ohydłą gorzałkę z Balearów, którą nikogo nie częstowali.

– Ruszcie się, na miłość boską – próbowałem przywołać ich do porządku – i zaczynajcie strzelać. Trzeba zburzyć barykadę, za którą siedzą burbończycy. Na co czekacie?!

Dowódca pokręcił głową i za całą odpowiedź wymamrotał z tym swoim wyspiarskim akcentem:

– *Ses ordres*. Rozkazy.

Burbońską transzeję dzieliła od naszego bastionu spora odległość, o co zadbał poczciwy Zuvi, ulepszając plan Verbooma.

Później zrozumiałem, że don Antonio w ogóle nie zamierzał odbijać pierwszej barykady. Jimmy był tam za silny, skończyłoby się jedną wielką jatką, więc Villarroel skupił się na tym, żeby jak najdłużej go powstrzymywać. Zwlekał z kontratakami do granic możliwości, by uprzedzić szturm marszałka dosłownie o włos. Dopiero wtedy wydał rozkaz, który znali jedynie trzech oficerowie, wśród nich Costa.

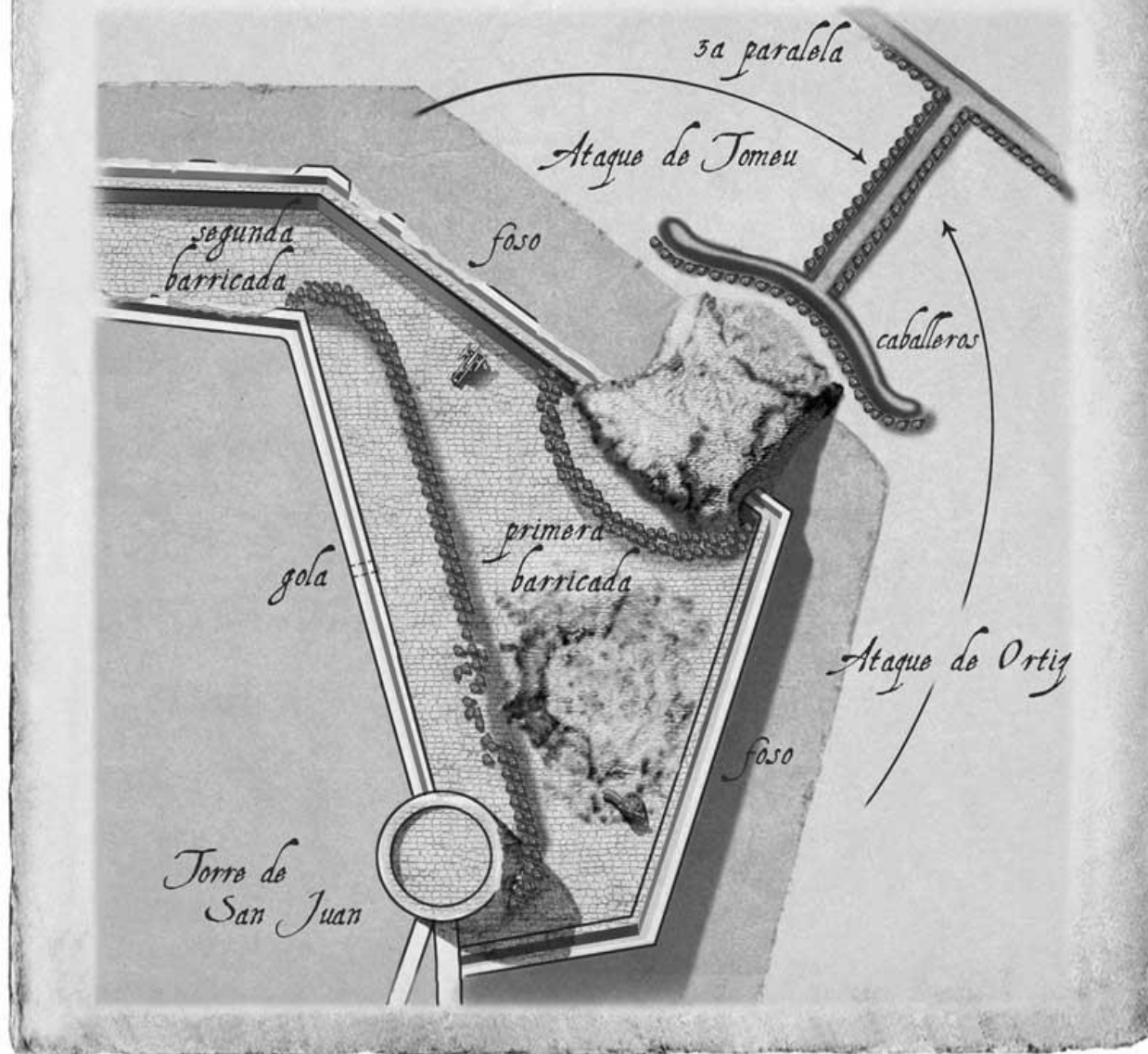
Odsunął lunetę od oka i zakrzyknął swoim głębokim kastylijskim głosem:

– Wykonać!

Wysoko nad nami wystrzeliła w górę raca i wybuchła na kształt czerwonego obłoczku. Ujrawszy to, Costa opuścił ramię. Stałem dość daleko, lecz dotąd zdaje mi się, że pamiętam ów gromki głos, a zaraz potem wszystkie armaty i moździerze wypaliły w transzeję, tworząc zaporę ogniową.

Ujrzeliśmy wybuchy nad burbońską linią i wyjście naszych chorągwi z twierdzy: z prawa, z lewa i naprzód, do ataku! Strzałki widoczne na zamieszczonej poniżej rycinie pokazują kierunek działań.

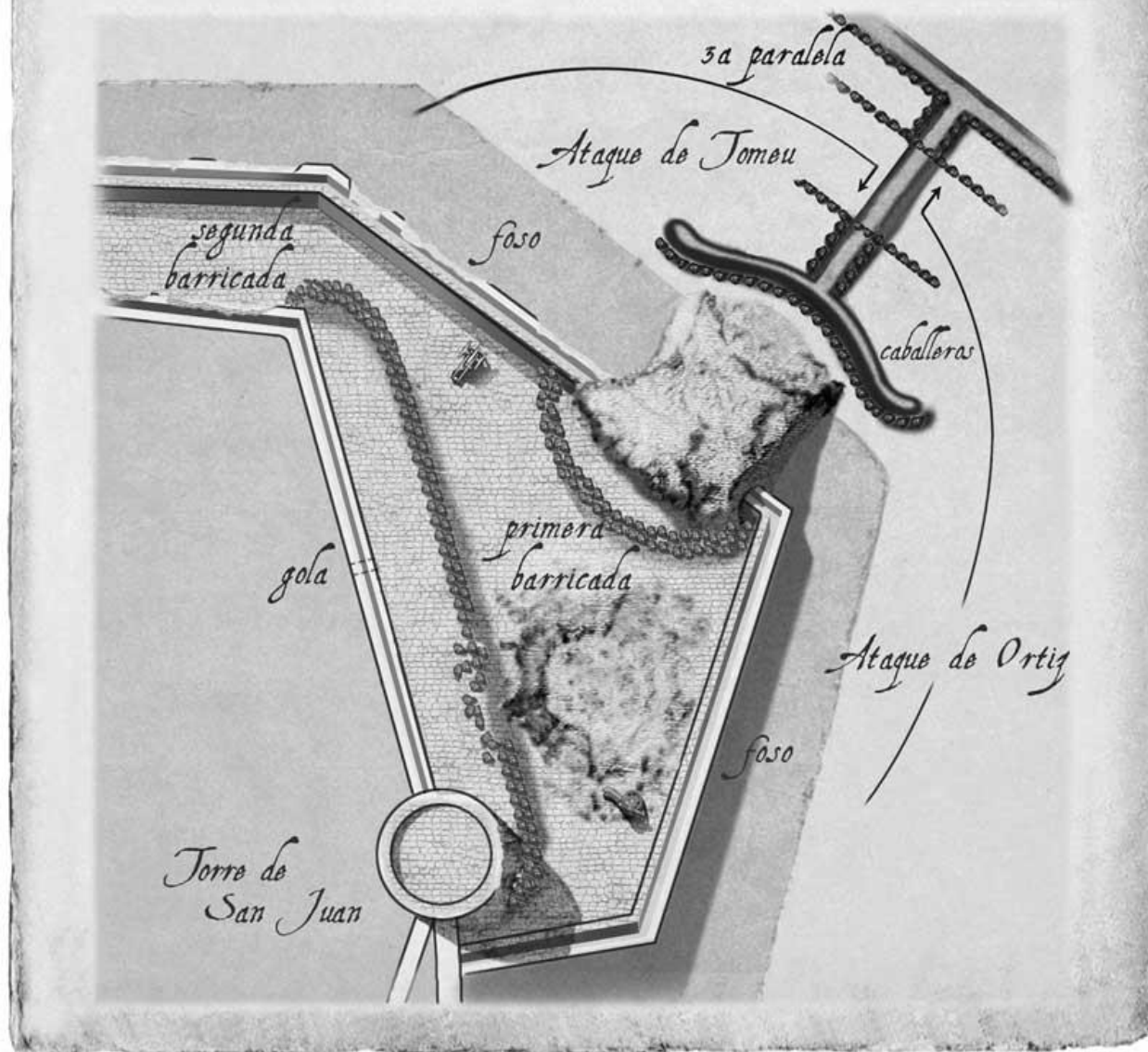
Batalla del baluarte de Santa Clara



Z każdej flanki atakowało dwustu doborowych ludzi pod rozkazami pułkownika-lejtnanta Tomeu i pułkownika Ortiza. Boże kochany, jak oni ruszyli!

Szarżowali w linii równoległej do trzeciej paraleli, przez co narażeni byli na ostrzał z burbońskiej transzei. Tych czterystu ludzi musiało biec bardzo szybko, by przemknąć się pod osłoną artyleryjskiej zapory Costy. Obie chorągwie spotkały się przy łączącej okopy odnodze, każda po swojej stronie. Wskoczyły do wykopu i osłoniły się burbońskimi faszynami. Tak:

Batalla del baluarte de Santa Clara



Burbończycy, odcięci od swoich przez Ortiza i spychani w stronę murów, ugrzęźli za pierwszą barykadą Świętej Klary, a dostęp do drugiej blokował im Tomeu.

Był to jeden z najszybszych, najbardziej precyzyjnych i najsprawniej przeprowadzonych manewrów zaczepno-obronnych, jakie widziałem w moim długim życiu. Gdyby Costa nie był tak świetnym artylerzystą, niechybnie wybiłby naszych ludzi co do nogi. Lecz on mierzył nadzwyczaj celnie, a my patrzyliśmy, jak czterystu ludzi biegnie do okopu, strzela w dół i wycina zaskoczonych

burbończyków w pień. (Do dziś nie mogę przegnać z pamięci tego podziemnego lamentu i krzyku).

Kiedy Jimmy zrozumiał, co się dzieje, było już za późno. Nie mógł przysłać posiłków okopami, bo przejście blokował Ortiz.

Burbończycy okrążeni w Świętej Klarze, z Tomeu za plecami, pojęli całą grozę swego położenia. W tym momencie Majorkanie zrobili użytek z trzech dostarczonych przeze mnie dział. Znaczna część pierwszej barykady jakby zapadła się pod ziemię, rzygając na dno transzei odłamkami cegieł i kamieni.

Narażeni na armatni ostrzał z przodu, dżgani z tyłu bagnietami, burbończycy ze Świętej Klary w popłochu rzucili się do ucieczki, próbując ominąć stojące im na drodze oddziały i dotrzeć do głównej linii okopów. Ludzie Ortiza i Tomeu strzelali do nich z bliska, a strzelcy wyborowi z wieży Świętego Jana z daleka, uradowani widokiem umykającego wroga. My, obrońcy drugiej barykady, na dany rozkaz ruszyliśmy na pierwszą i szybko ją odbiliśmy, nie napotykając już większego oporu.

Taka jest wojna. W czasie nie dłuższym niż pstryknięcie palcami bitwa już niemal przegrana zamieniła się w polowanie na białe króliki. Ponad czterystu Francuzów nie wróciło do szeregów. Jeńców nie było.

Poprzez dymy dostrzegłem jakiegoś walecznego oficera, na wpół wychylonego za parapet trzeciej paraleli, z niedowierzaniem spoglądającego przez lunetę na ów straszliwy pogrom. Obok mnie stał Ballester, wypatrując łatwego celu.

– Dawaj! – wyrwałem mu karabin, wycelowałem starannie i wystrzeliłem do owej lekkomyślnej postaci.

Kula przebiła szyję na wylot. Krew trysnęła czerwonym strumieniem. Oficer wznosił ręce niby przed pogańskim bożkiem i runął w otchłań transzei. Pamiętam koziółkującą w powietrzu lunetę, wyzwoloną z uścisku jego dłoni. Zaraz pojmiecie głębokie przesłanie, jakie niosła owa kula: wrogiem, który miał zginąć z mojej ręki, był Dupuy-Vauban.

Do dziś przejmuję mnie dreszcz, gdy pomyślę, że przez cały długi rok oblężenia oddałem tylko jeden strzał, jeden jedyny: do Vaubana.

Na widok odwrotu swoich żołnierzy Jimmy zsiniał na twarzy i spuścił głowę, z trudem hamując gniew. Wybuchnął dopiero później, obwiniając o klęskę wszystkich prócz siebie.

Wkroczył do Mas Guinardó na czele świty oficerów, rozsierdzony bardziej niż w najgorszych chwilach pod Almansą.

– Musimy wrócić i powetować straty, nieważne, jakim kosztem! – wrzeszczał, wymachując pięściami. – Chcecie, żeby w całej Europie trąbili, że francuska armia uległa zgrai wściekłych mieszczuchów?

Generałowie próbowali go uspokoić, lecz Jimmy dalej miotał przekleństwa.

– Cisza! Niech winni tej klęski sami zdadzą przede mną sprawę. Chcę to usłyszeć z ich własnych ust. Brygadierzy Sauveboeuf i Duverger do mnie! Natychmiast! Markiz de Polastron też!

Powiedziano mu, że to niemożliwe: Sauveboeuf i Duverger polegli w walce. Markiz de Polastron zaginął bez wieści. Cóż, wieści nadeszły szybciej, niż się spodziewano. Jakiś zapaleniak z Coroneli odciął głowę trupowi nieszczęśnika i wystrzelił ją z kolubryny w kierunku Guinardó. Słyszając huk, wszyscy padli na podłogę. Wszyscy oprócz Jimmy'ego, ten bowiem wybiegł na balkon, po którym turlała się osmalona, dymiąca czaszka markiza.

Dokładnie w owej chwili nadeszło jeszcze kilku oficerów, a wśród nich ten, którego Jimmy cenił szczególnie wysoko: pułkownik-lejtnant La Motte. Utykał, ranny w nogę. Twarz miał poczerniałą od prochu, mundur w strzępach.

– Ekscelencjo – przemówił – odzyskanie choćby piędzi Świętej Klary oznaczałoby rozbitcie naszych najlepszych oddziałów, olbrzymie straty w ludziach i ogrom poświęceń. Bez świeżych posiłków z Francji nie posuniemy się nawet o krok, a przyjdzie nam za to zapłacić straszliwą cenę. Już teraz ta *canaille*^[104] wylega na mury, podjudzana przez magistrat, generałów i ulicznych grajków, by naigrawać się z nas i lżyć przy wtórze skocznej muzyki.

To prawda. Na odzyskanym terenie zaroilo się od mężczyzn, kobiet i dzieci świętujących niedawne zwycięstwo. Przyznaję, niezbyt przystojnie. Wiecie, te gołe pośladki wypięte na wroga, które świecą na murach po odparciu szturm...

Jimmy obstawał przy swoim, dopóki nie przekazano mu raportu strat. Liczby potrafią ostudzić najgorętszą głowę. W samym tylko ataku na Świętą Klarę zginęło ponad tysiąc pięciuset ludzi, do czego dodać należało około pięć tysięcy poległych od chwili otwarcia transzei. Tego już nie mógł zlekceważyć. Jeszcze gorzej wyglądała lista oficerów. Znalazł się na niej sam Dupuy-Vauban, żywy, choć ranny, z szyją przestreloną przez moją kulę. Lecz jeszcze jedna rzecz w owym raporcie dała Jimmy'emu do myślenia.

W walkach o zdobycie lub utrzymanie twierdzy, inaczej niż podczas bitwy w polu, żołnierzy chronią mury. Z tysięcy oddanych strzałów w cel trafia jedynie część. Ogień artyleryjski prowadzono z umiarem, żeby przez przypadek nie zmasakrować swoich. Tak zatem większość poległych ginęła od ciosu bagnetem. A to więcej mówiło o determinacji „rebeliantów” niż jakiegokolwiek słowa. Do przewidzenia było, że kolejny szturm nie będzie mniej okrutny i łącznie przeistoczyć się może w straszliwą rzeź, która skończy się tym samym co za pierwszym razem: bresze zostaną załatane, a wstrętny motłoch – owa pogardzana *canaille* – znów wylegnie na mury, żeby szydzić i drwić.

Jimmy nigdy nie wybaczył don Antoniowi upokorzenia pod bastionem Świętej Klary. Pokonany, szukał winnych swojej klęski. Wezwał do siebie

Verbooma. Kielbaśnik z Antwerpii domyślał się powodu owego spotkania, więc uprzedził atak.

– Mówiłem, że transeję trzeba jeszcze dopracować – oznajmił – i przestrzegałem przed pochopnym szturmem.

Omylił się jednak, albowiem to nie przed Jimmym miał się tłumaczyć.

– To częsta wymówka kiepskich inżynierów.

Uwaga ta wyszła z ust Dupuy-Vaubana, który właśnie stanął w drzwiach. Wciąż osłabiony utratą krwi, z szyją owiniętą grubym bandażem. Była to jego piętnasta rana odniesiona na wojnie. A byłaby ostatnią, gdyby moja kula nie chybiła o centymetr w prawo.

Vauban usiadł ciężko, z jakimś rulonem w ręku. Rozwinąwszy go, powiedział:

– Wiedz waszmość, że czas mojej rekonwalescencji poświęcę na przestudiowanie tych planów.

Przywłaszczenie sobie planów innego inżyniera jest ciężką obelgą.

– To moja transeja! – zaprotestował Verboom.

– Waszmości? Jesteś tego pewien? – odparł Dupuy-Vauban. – Skoro tak, to musisz wziąć pełną odpowiedzialność za ów projekt. – Mimo rany na szyi mówił dźwięcznie i jasno, jakby dawał wykład w Bazoches. – Po rozpoczęciu prac natknęliśmy się na wodę. Kopaliśmy pół dnia, żeby przez drugie pół osuszać to, co podmokło. Każdego dnia artyleria nieprzyjaciela zabija od dwudziestu do trzydziestu biegłych w swoim rzemiośle saperów, których nie mamy kim zastąpić. Takie straty są nie do przyjęcia. A dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że paralele są za szerokie i o wiele za płytkie, przez co wystrzeliwane z miasta pociski wybuchają tuż nad naszymi głowami. To niedopuszczalny rozlew krwi.

Verboom chciał coś wtrącić. Dupuy-Vauban udawał, że nie słyszy.

– Mógłbym wyliczać w nieskończoność dywersje ukryte w tych planach – ciągnął. – A to jeszcze nie wszystko. Szczytem nedorzeczości są odnogi wiodące od trzeciej paraleli do kawaler Świętej Klary. Można odnieść wrażenie, że ktoś specjalnie zaprojektował to w taki sposób, by dało się je odciąć poprzez atak z flanki. Wyrysowałeś waść tę transeję tak, jakby dobry Bóg, stwarzając człowieka, dał mu szyję żyrafy, tak cienką i długą, że wystarczy machnąć kozikiem, aby pozbawić go głowy. – Rzucił plany na podłogę. – Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzisz, jesteś autorem tego dzieła, to jedno z dwojga: albo jesteś bezczelnym nieukiem, który nie zasługuje na miano inżyniera, lecz przez cudaczny kaprys losu piastuje urząd nieodpowiedni do swych mizernych zdolności, albo też, co już zakrawa na zbrodnię, jesteś, mój panie, zdrajcą i wrogiem Dwóch Koron, cichym sprzymierzeńcem arcyksięcia. Wybieraj.

Verboom spojrzał na Jimmy'ego, szukając u niego pomocy. W chwilach takich jak ta Jimmy tylko szerzej niż zwykle otwierał te swoje bezlitosne oczy, a na

jego wargach błąkał się złowieszczy uśmieszek. Z doświadczenia wiem, że na widok owego uśmiechu zbladłby sam Dżyngis-chan. Zamiast mówić, milczał, czekając, aż ofiara zacznie się plątać w tłumaczeniach.

– Może... – wyjąkał zsiniały, przyparty do muru Verboom – może projekt dostał się w niepowołane ręce.

– Ha! – klasnął w dłonie Jimmy. – To właśnie spodziewałem się usłyszeć. Wnykarz wpadł we własne wnyki!

Jeśli chciał, potrafił zmrozić słowami ostrymi jak sople lodu.

– Precz z moich oczu, chamie.

Prywatnie Jimmy i Dupuy-Vauban nie przestrzegali wojskowej hierarchii. Kiedy byli sam na sam, mówili sobie per ty.

– Oddasz go pod sąd?

– Nie – odparł Jimmy, kontemplując z balkonu dogasające pole bitwy. – Filip wyłożył na to obłężenie dwadzieścia milionów. Skazanie jego naczelnego inżyniera byłoby nazbyt kosztownym afrontem. Ale masz moje słowo, że ten człowiek nigdy nie przekroczy Pirenejów. Będzie musiał się zadowolić służbą dla pomyleńca osadzonego na madryckim tronie, a to go zniszczy.

Tymi słowami skazywał Verbooma na dożywocie i nawet on sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jak okrutny to był wyrok. Kiełbaśnik z Antwerpii zawsze pożywał uznania tych co na górze i uwielbienia tych co na dole, tymczasem resztę życia spędził na nikczemnej zebraniu o łaskę obłąkanego króla, szukając u niego obrony przed żołdactwem, które inżynierów wyzywało od „murarzy” i „świszczypałów”. Taką oto zapłatę otrzymał. (Na domiar złego potem zjawiłem się ja i go zabiłem. Pisałem już o tym? Bo nie pamiętam).

Dupuy oglądał plany Verbooma, w istocie zaś moje, nie przestając się uśmiechać i kręcić głową.

– Z czego się cieszysz? – burknął Jimmy. – Dostaliśmy lanie, a nie widzę, żebyś się tym przejął.

Nie odrywając oczu od płachty papieru, Dupuy-Vauban powiedział:

– To wychowanek mojego kuzyna. Czego się spodziewałeś?

Jimmy wykrzyknął ze złością:

– Spodziewałem się, że usuniesz wszystkie ukryte pułapki!

– Zrobiłbym to – odparł Dupuy-Vauban – gdybyś dał mi trochę czasu.

W jednym Verboom miał rację: nie potrafisz czekać. Martí o tym wiedział. Wiedział, że będziesz dążył do szybkiego zwycięstwa. Dlatego dzisiaj Vauban znowu wygrał z Coehoornem. Teraz mamy dwa wyjścia: albo wstrzymamy pracę nad transzeją i przyznamy się do klęski, albo będziemy kopać dalej, naprawiając błędy krwią. – Po raz drugi tego dnia zrzucił plany na podłogę. – To nie transzeja, to labirynt.

– Nie. To węzeł – odrzekł w zamyśleniu Jimmy.



Skoro węzeł, to postanowił go przeciąć. Cały Jimmy. Rzucił się do ataku, gnany iście coehoornowską furią i własnymi ambicjami. Tak, gotów wszystko naprawić. Vauban? Coehoorn? Ani jeden, ani drugi.

Kazał ustawić szeregiem sto armat, które miały zetrzeć w proch każdy oporny kamień. Jego plan, przeczący wszelkim zasadom sztuki oblężniczej, polegał na doszczętnym zniszczeniu wszystkiego, co zostało z murów i bastionów, żeby wojsko Dwóch Koron mogło pomaszerować na miasto jak do bitwy na otwartym polu. Potrwa to trochę dłużej, ale co miał do stracenia? Czas przestał się dla niego liczyć. Po Świętej Klarze o angielskim tronie nie mógł już marzyć. Powinien był teraz siedzieć w Londynie, walczyć o królewską koronę, a utknął tutaj, z przyszłością zrujnowaną przez to krnąbrne miasto.

W obliczu takiej artyleryjskiej lawiny inżynieria traciła sens. Po raz pierwszy zobaczyłem Costę, naszego flegmatycznego ogniomistrza i przeżuwacza pietruszki, w skrajnej desperacji. Kiedy padaliśmy na ziemię w huku eksplozji, szarpał mnie za rękaw i krzychał prosto w ucho, jakby chciał się przede mną usprawiedliwić:

– Przynależem powstrzymać ich, dopóki stosunek dział nie będzie większy niż pięć do trzech. A teraz na każdą naszą armatę przypada dziewięć! Na miłość boską, co więcej możemy zrobić?

Wyrwałem rękę i milczałem. Majorkanie dokonywali cudów. Strzelali z moździerzy, przetaczali je na inne pozycje, zanim wróg ich namierzył, tam i z powrotem. Co dnia niszczyli kilka burbońskich armat. Bomby wybuchały tuż pod stopami francuskich i hiszpańskich kanonierów, rozszarpały ich na kawałki i wyrzucały działa na wysokość wieży Babel.

Jakież wspaniały, majestatyczny widok przedstawia potężna armata wylatująca w chmury ponad ziemią! Widzieliśmy długie na trzy metry lufy, z żelaza lub brązu, wirujące w powietrzu razem z ciałami bombardierów. Widzieliśmy przodki dział przecinające niebo parabolami piękniejszymi niż koło Jakubowe. Ze swego balkonu Jimmy z zachwytem estety napawał się przez lunetę pięknem owego widowiska, nie bacząc na to, jakie znaki widnieją na fruujących lawetach: czerwone pasy^[105] czy francuskie słońce.

Na nic jednak się zdał kunszt naszych kanonierów. Burbończycy mieli niewyczerpane zasoby i dział, i ludzi. Dla nas za to każdy zabity Majorkanin stanowił niepowetowaną stratę. To byli naprawdę wyjątkowi ludzie. I nigdy nie mówili o swych poległych towarzyszach.

Swoją decyzją o zastosowaniu owego huraganowego ognia Jimmy zabrnął jeszcze dalej w bezsens. Oblężenie nie było już pojedynkiem racjonalnych umysłów, ale kontinuum dewastacji. Don Antonio kazał mi wycofać się z pierwszej

linii. Argumentów miał aż nadto: nowa strategia wroga udaremniała zastosowanie jakiegokolwiek techniki. Było tak, jakbyśmy nagle znaleźli się poza granicą rozumu i cywilizacji. „Aby osiągnąć doskonałość, trzeba wznieść się ponad ludzki wymiar”, powiedział kiedyś don Antonio. I rzeczywiście, postępowanie Jimmy’ego – wszechwładnego wodza – atawistyczne, niszczycielskie i szalone, przekraczało wszelkie skrajności. A oto rzecz warta odnotowania: gdy znalazłem się z dala od pierwszej linii ataku, omal się nie rozchorowałem, tak jakbym tęsknił za udręką walki.

W obliczu niemożności naprawy rozpadających się murów zająłem się pracą innego rodzaju. Od dawna wiedzieliśmy, że wróg usiłuje przekopać się pod miasto. Zawsze nienawidziłem podziemnych min. Vauban nie był ich zwolennikiem, a chcąc nie chcąc, przejmujemy upodobania i uprzedzenia naszych mistrzów. Dla markiza mina była fortelem niegodnym rycerza. Uważał, że przeciwnika należy pokonać w otwartej walce, twarzą w twarz, i nie uznawał ciosów poniżej pasa. A jego racjonalny umysł nie ufał *moyen si incertain*^[106], jak sam mawiał.

Rycie tuneli ma gorących zwolenników. Jeżeli nieprzyjaciel zdoła przekopać się pod mury i wypełnić korytarz prochem, może wysadzić umocnienia obronne bez ryzyka i w najmniej spodziewanym momencie, w jednej chwili kładąc kres uciążliwemu oblężeniu. A w dodatku zwycięstwo będzie gromkie, apokaliptyczne, ostateczne. Znałem maganonów śniących o tunelu, który pomieściłby dwadzieścia tysięcy kilo prochu. (To zaś dowodzi, że nawet najrozsądniejsza nauka nie chroni od przesady. Chcieli wysadzać mury czy całe miasta?).

Zrozumiały jest zapal zwolenników min. Miny kopie się, żeby oszczędzić czas i krew. W praktyce, zgodnie z moim doświadczeniem, nie bywa tak nigdy. Rycie podziemnego korytarza zawsze odbywa się kosztem sił i środków potrzebnych do budowy paraleli. Zamiast przyspieszyć szturm, tylko się go opóźnia. Z drugiej strony, oblężeni starają się zabezpieczyć. Vauban rzecze: droga do chwały nie wiedzie na skrót.

Cóż, był też inny powód, dla którego Długonogi Zuvi nienawidził tuneli. Ten mianowicie, że ze wszystkich wymyślonych przez ludzi sposobów mordowania się nawzajem najbardziej przerażającym i zgubnym jest walka pod ziemią.

Naszych minerów rozpoznawało się po zapachu. Tak wiele czasu spędzali w podkopach, że ciała ich wydzielały ciepły, gnilny odór, wyczuwalny dla każdego, nawet jeśli nie miał zmysłów wyostrzonych przez ćwiczenia w Bazoches. Ludzie mówili na nich *cucs* – robaki. Jak też zwał się ich brygadier? A niech to, zapomniałem.

Skutek był dość mizerny. Wiedzieliśmy, że nieprzyjaciel kopie wielki tunel gdzieś pomiędzy Portal Nou i Świętą Klarą. Znajac Jimmy’ego, gdyby udało mu się podłożyć minę, nocna eksplozja z 15 sierpnia byłaby przy tym jak skrzesana krzemieniem iskra. Poprosiłem dowódcę „robaków”, żeby przydzielił mnie na

dzienną zmianę. (Jak on się nazywał? Jakże zawodna bywa ludzka pamięć!). *Cucs* byli tak wyczerpani, że każda pomoc zdawała im się darem niebios.

Aby bronić się przed minami, obłożeni kopią własne chodniki. Celem jest wykrycie tuneli wroga oraz ich zniszczenie. To wojna w podziemnych labiryntach, w której walczy się ogniem, dymem i nożem. Dowódca mojej brygady otworzył kilka korytarzy, ale do tej pory nie natrafił na główną galerię burbończyków.

– Nie musicie kopać – powiedział do mnie. – Nasłuchujcie tylko przez ściany, a jak coś usłyszycie, dajcie nam znać. Reszta należy do nas.

Zawsze bardziej ufalem doświadczeniu niż wiedzy. Dlatego od razu poszedłem do Ballestera i jego ludzi.

– Idziemy. Wczołgajcie się tam za mną. Niech każdy weźmie ze sobą granat i dwa nabite pistolety. Nic więcej.

Wejście do naszego chodnika minowego znajdowało się wewnątrz zburzonego domu, tuż przy murach, ukryte przed oczami szpiegów. Dowódca *cucs* (za nic nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska) przygotował nasz ekwipunek. Były to drogie przyrządy i wiedziałem, że musimy na nie bardzo uważać. Ballester, laik w tej materii, wybuchnął śmiechem.

– Zejdiesz tam waść uzbrojony w osiem kijaszków i cztery dziurawe miski? – zapytał.

– To nie kijaszki ani miski – wyjaśniłem, nie patrząc na niego. – To sondy i czasze. Kosztowne.

W ciasnocie podziemnego chodnika najważniejsze było zachowanie ciszy. Zanim zeszlśmy po drabinie w głąb szybu, przywołałem wszystkich do siebie, żeby nauczyć ich kilku podstawowych słów w języku znaków.

Nic z tej nauki nie wyszło. Palce tak mi się trzęsły ze strachu, że musiałem zaniechać wysiłków. Poczulem wielki wstyd. Stojący kręgiem ludzie wpatrywali się we mnie, czekając na instrukcje, które pozwolą im wrócić z piekła, w którego czeluść mieliśmy zstąpić. Ja byłem ich bezpośrednim przełożonym, ode mnie zależało, czy przeżyją. Spojrzałem w ową czarną studnię, wejście do tuneli wiodących ku linii wroga. Wyobraziłem sobie to, co nas czekało tam na dole: labirynt ukrytej pod naszymi stopami transzei, pełen załamów i ślepych korytarzy; ujrzałem bezlitosnych burbończyków, o wiele sprawniejszych od nas i bardziej doświadczonych w podziemnej walce; a może i dwadzieścia tysięcy kilo prochu, który wybuchnie, gdy tylko dotrzemy do głównej komory. Przeszedł mnie dreszcz obłądu.

Po tym, co przeżyłem w Barcelonie w 1714, nigdy już nie wszedłem do podziemnego chodnika – ani minowego, ani przeciwminowego. Ten jeden raz wystarczył. A za tym pierwszym i ostatnim razem, stojąc przed żołnierzami Ballestera, rozplakałem się jak dziecko. I wiecie, co się stało?

Nie ma i nie było na świecie ludzi bardziej wyrozumiałych i tkliwych od miqueletów. Nie tylko wybaczyli mi moją słabość. Szczerość cenili sobie wyżej niż autorytet, a widząc mój strach, sądzili, że w nich zwątpiłem. Patrzyli na mnie jak chłopcy, którzy nabroili, a teraz się wstydzą.

– Ja z kapitanem Ballesterem pójdziemy przodem – powiedziałem, udając zucha. – Reszta za nami. Zrozumiano?

Zeszliśmy. Po wątej drabince o zaledwie kilku szczeblach (musieliśmy oszczędzać drewno) spuściliśmy się do podziemnej galerii.

Według podręczników korytarz główny powinien być dość szeroki, by mogło poruszać się w nim swobodnie dwóch minerów: jeden dźwiga instrumenty, a drugi, uzbrojony w pistolet, osłania go i przyświeca mu latarnią. Cha, cha! *J'emmerde les manuels!*^[107]. Tunel był tak ciasny, że ściany przygniatały nam barki. Ballester podążał za mną, z głową na wysokości moich stóp, a ja niosłem latarnię i całe oprzyrządowanie. Czołgaliśmy się tak przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści metrów. Znieruchomiałem. Poczulem, że się duszę gorzej niż na szubienicy.

Znajdowaliśmy się nie więcej niż kilka metrów pod powierzchnią, ale gorąco było jak w piecu. Huk armatnich wystrzałów dobiegał nas niczym głuche, matowe echo. Bu-rum, bu-rum, bu-rum. Ze stropu, niechlujnie ostemplowanego, osypywała się ziemia. Pomyślałem, że za chwilę na nas runie.

Pocziwy Zuvi nie urodził się na glistę. Duszności się nasilały, czulem, jak gardło ściskają mi jakieś niewidzialne kleszcze. Zmysły, tak długo ćwiczone w Bazoches, pod ziemią zawiodły mnie zupełnie: w ciemności wszyscy ludzie są równi, wszyscy są jak krety. Nasze smętne latarnie, zamiast oświetlać drogę, tylko wzmagają oślepiającą nas czerń. A zważywszy na to, że moje oczy, zawsze czujne, starczały zwykle za ośmioro innych, ów nagły brak światła czynił mnie tym większym kaleką.

Z trudem odwróciłem głowę: Ballester chichotał jak wariat. Palcem pokazywał dookoła siebie: wreszcie pojął, dlaczego rekwirowałem wszystkie meble z porzuconych domów. Cała ta ciemna kicha ostemplowana była ramami okien, a jako szalunek służyły stołowe nogi.

Ruszyłem dalej korytarzem, który zdawał się nie mieć końca. Natknęliśmy się na rozwidlenie. Postanowiłem skręcić w prawo.

Zatrzymałem się i wcisnąłem w ścianę jedną z czasz. Kiedy skulony przystawiałem ucho do wielkiego farfurowego talerza, gestem ręki nakazałem Ballesterowi ciszę. Jego ludzie stłoczyli się za nim, bardziej zaciekawieni niż czujni.

Aż trudno uwierzyć, ile odgłosów przenosi ziemia. Farfura zwielokrotniała je niby dźwiękowy mikroskop. Wetknąłem rurkę sondy w otwór pośrodku czaszy. Grunt był miękki, więc łatwo wbijała się coraz głębiej w ścianę. Kiedy drążek się

kończył, przykręcałem do niego następny i pchałem dalej. Potem jeszcze jeden i jeszcze, i jeszcze. Wreszcie, przez słuch i dotyk, zorientowałem się, że sonda trafia w pustkę, nie napotykając już żadnego oporu. Wówczas wsunąłem w otwór rurki cienki drut, żeby przeczyścić ją z ziemi, a następnie przytknąłem do niego oko jak do polemoskopu.

Dostrzegłem tylko, że koniec sondy dotarł do podkopu wroga. Migoczące światełka, szelesty, cienie. Raczej słyszałem je, niż widziałem. Ale były tam.

Ciemne sylwetki przesuwaly się przed moim małym okularom. Mogłem słyszeć ich kilofy, szuranie koszy pełnych ziemi. Wszystko docierało do mnie wyraźnie, nawet chrząknięcia i pokasływanie.

– Co waść tam, kurwa, wyczyniasz? – wysyczał Ballester.

Powodem jego zdumienia były moje dziwne ruchy. Raz po raz zerkałem jednym okiem w sondę i cofałem głowę niczym spłoszona kura. Uciszyłem go nerwowym gestem.

Za późno. Może usłyszeli Ballestera, może dostrzegli sterczący z ziemi koniuszek rurki, nie wiem.

Moją twarz dzieliło od twarzy Ballestera nie więcej niż pół metra. Pomiędzy nami ze ściany wysunęła się burbońska sonda, walcowata glista o diametrze nie większym od średnicy kółka utworzonego przez palec wskazujący i kciuk. A jednak powiało grozą. Odkryli nas.

Ta wąska metalowa rurka, z pozoru tak nieszkodliwa, oznaczała śmierć. Na drugim jej końcu czaili się tropiący nas mordercy. Doświadczeni w boju francuscy saperzy, być może wyszkoleni przez samego Vaubana. Zaprawdę, imponująco sprawni. Któryś z nich usłyszał albo też wyczuł naszą obecność, wbił sondę w ścianę i znalazł nas za pierwszą próbą. Przerazenie sparaliżowało wszystkie moje członki.

Ballester zrozumiał, co się dzieje. Zareagował we właściwy mu sposób: wetknął lufę pistoletu do wrażej rurki i nacisnął spust. Usłyszeliśmy krzyk. Kula zapewne wbiła się w oko obserwatora. (Teraz może pojmiecie, czemu ruszałem głową jak kura). Towarzysze zabitego żołnierza podnieśli larum. Wrzaski. Przekleństwa. Poniechałem subtelności.

– Do tyłu, do tyłu! – ryknąłem. – Uchodźmy stąd, zanim nas uwęźdzą!

Szczerze mówiąc, zarządziłem ucieczkę nie tylko z powodu wrodzonego tchórzostwa. Postąpiłem tak, jak nauczono mnie w Bazoches.

Kiedy brygada minerów wykrywa podkop nieprzyjaciela, robi w ścianie niewielki *trou*^[108]. Wpycha tam zbitą kulę igliwia nasączoną smołą, a potem ją podpala. Mogłoby się to wydawać zupełnie nieszkodliwe. To pozór. W ciasnym tunelu dym jest śmiercionośną bronią. Po upływie pół minuty zaczyna brakować powietrza, ludzie mdleją i umierają z uduszenia. Ci, którzy przetrwają, są dobijani, albowiem gdy gaz się rozwieje, do korytarza wdzierają się uzbrojeni w noże

saperzy.

Francuscy mineryzy mieli większe doświadczenie niż miqueleci. Z pewnością byliby szybsi od nas. A zgodnie z podręcznikiem pocziwego Zuviego, kiedy nie możesz wygrać gonitwy, biegnij w przeciwnym kierunku. Co sił w nogach!

Przepełziliśmy jak stonoga do wejścia i dopadliśmy drabiny akurat na czas. Ledwie znaleźliśmy się na powierzchni, z szybu jął walić czarny dym, niby z otwartych ust ćmiącego tytoń olbrzyma.

Nie wytrzymałem i zapytałem Ballestera:

– Skądś wiedział, że regulamin nakazuje strzelić z pistoletu w otwór sondy?

– Nie wiedziałem.

Zrozpaczony, usiadłem w kącie pozbawionego dachu domu i ukryłem twarz w dłoniach. Miqueleci, nie pojmując mego przygnębienia, próbowali mnie pocieszać. Zaśmiałem się gorzko.

– Niedługo zrozumiecie, że nie ma się z czego cieszyć – powiedziałem.

Dowódca *cucs* przyszedł, żeby nas zluzować i zabrać sprzęt. Ciekaw był, jak nam poszło.

– Jak to? – chwycił się rękami za głowę. – Zdradziliście im położenie jednego z naszych tuneli? I wykurzyli was dymem? Wiecie, ile trudu kosztowało nas wykopanie tego chodnika? A waść go zniszczyłeś w pół godziny! Mam wydać swoich ludzi na pastwę wroga? Teraz trzeba wszystko zasypać i kopać gdzie indziej! Kogo nam tu przysłali? Bandę głupców!

Następne dni pod ziemią stały się dla mnie niewypowiedzianą męczarnią. Najgorsze były pełne wyrzutu spojrzenia, jakie posyłał nam dowódca „robaków” (tam, do diaska, wciąż nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska), kiedy schodziliśmy do szybu.

W górze – mury, na które lada chwila ruszy szturm; na dole – ukryta pod ziemią komora, wypełniona tonami prochu, który może wybuchnąć, zanim go znajdziemy. Pewnego dnia, gdy już spuszczaaliśmy się po drabince, nagle kazałem wszystkim zawrócić: z otworu dobiegały czyjeś głosy, zniekształcone przez dudniące echo. Na pewno nie byli to *cucs*. Miqueleci skierowali lufy pistoletów w mroczną czeluść.

Nasłuchiwałem w milczeniu. Z głębokości dochodziły dziwnie brzmiące szepty, strzępy słów francuskich i katalońskich. U Francuzów służyło wielu botiflerów, więc wśród saperów z pewnością ich też nie brakło.

Broń gotowa do strzału, palce na kurkach, czujny wzrok. I wówczas na szczycie drabinki ukazała się jasna główka z mnóstwem sterczących warkoczyków, a zaraz potem rozległ się radosny głosik:

– Czołem, szefie! Co tu porabiasz?

Za Anfanem wspinał się Nan, a za nim kilku *cucs*. Zaniemówiłem. Dowódca

pospieszył z wyjaśnieniem:

– Ci dwaj kawalerowie oszczędzają nam mnóstwo roboty. Są mali i zwinni, wszędzie się wślizną. Prowadzą nasłuch w ciasnych tunelach. Znasz ich waszmość? O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

To zdarzenie stało się zapłonem mojej ostatniej kłótni z Amelis. Pobiegłem na plażę wielkimi susami, jak na Długonogiego Zuviego przystało. Znalazłem ją czekającą w ogonku do wojskowego kotła.

Jedynym darmowym pożywieniem dostarczanym przez władze była cienka zupka, gotowana z przybrzeżnych ryb. Aby zapobiec burdom i bijatyce, porządku pilnowała uzbrojona straż. Wydawano tylko po dwie chochle do każdej miski. Amelis w ogóle nie słuchała, co do niej mówię. Podkrążonymi z wycieńczenia oczyma wpatrywała się w plecy stojącej przed nią kobiety. Chwyciłem ją za ramię i wywlokłem z szeregu. Wyrwała mi się rozpaczliwie, z krzykiem i płaczem. Była lżejsza niż piórko.

Jej miejsce w kolejce natychmiast ktoś zajął. Amelis zachwiała się i padła na kolana, zalewając się łzami. Fałdy kolorowej spódnicy rozpostarły się na piasku jak kwiat.

– Anfán! – wrzasnąłem. – Jak mogłaś pozwolić, żeby się zaciągnął?

– *Oh, Déu meu. Oh, Déu meu* – powtarzała rozslochana.

– Wzięli go do wojska! Zabiją go!

Podniosła ku mnie twarz mokrą od łez i powiedziała:

– Wiesz, odkąd tu stoję? Od wczoraj, od południa!

– Wyrwaliśmy go wojnie, zabraliśmy z okopów! – odparłem. – Tylko po to, żeby umarł pod zwałami ziemi albo od strzału w oko. Francuscy saperzy to nie żarty!

Rzuciła we mnie pustym garnkiem.

– Tkwią tu przez całą noc i cały dzień. A ty wypychasz mnie z kolejki! Co będziemy jeść? Powiedz!

Dalsza dyskusja nie miała sensu, bo ustami Amelis przemawiał głód, nie była sobą. Nie miała nawet siły się kłócić. Zwiesiła głowę jak konające zwierzątko.

Połowę rosółu z kotła oddawano chorym i rannym. Resztę rozcieńczano, żeby starczyło dla wszystkich. Do gotowania używano wody z jedyne go niezasypanego przez burbończyków kanału, rozmyślnie zatrutej trupim jadem. Ale biedacy zajadali ową zupę, aż im się uszy trzęsły, zwłaszcza że smakowała o wiele lepiej niż chleb z łupin bobu.

My się kłóciliśmy, a tymczasem w kotle zaświeciło dno. Kobieta, która zajęła miejsce Amelis, dostała ledwie pół chochli. Stojący za nią zaczęli szemrać. Kilka uderzeń kolbą zażegnało ów anemiczny tumult i ludzie się rozeszli. Chlipanie Amelis przerodziło się w nieutulony płacz.

Nie było rady, musiałem się dogadać z Anfanem. Tu pragnę zwrócić uwagę

na coś, co być może mi umknęło, a mianowicie na upływ lat. Nana i Anfana poznałem podczas oblężenia Tortosy. Teraz ów rok 1708 zdawał mi się zamierzchłą epoką. Anfán urodził się mniej więcej na przełomie wieków. Pod Tortosą mógł mieć jakieś osiem lat, a teraz – około czternastu. Nie był już dzieckiem.

Po naszym spotkaniu u wejścia do podziemnego korytarza poprosiłem dowódcę *cucs*, żeby go zwolnił. Nie zdziwiła mnie jego odpowiedź. Spojrzał na mnie, bardziej zaskoczony niż zagniewany, i odparł:

– Brakuje nam żołnierzy. Dlaczego mam się pozbywać ludzi w wieku poborowym?

Katalończyk obowiązany był służyć ojczyźnie z bronią w ręku od czternastego roku życia. A prawdą jest też, że po tylu latach wspólnego bytowania z nami, otaczany troskliwą opieką i nieźle wykształcony, Anfán wyrósł na wspaniałego młodzieńca. Dotąd czynię sobie wyrzuty, że wcześniej tego nie zauważyłem. Jeżeli codziennie patrzycie na trawę, nie dostrzegacie, jak rośnie. Poza tym dla rodziców dziecko zawsze pozostaje dzieckiem.

Frontalny atak odniósłby skutek zgoła odwrotny do zamierzonego, dlatego spróbowałem podejść go inaczej. Przez dłuższą chwilę gawędziliśmy o pracy minerów. Anfán bez oporów opowiadał mi o tym, co robi. Po obu stronach głównego chodnika *cucs* otwierali mniejsze, boczne tunele. Dorosły, postawny mężczyzna by się tam nie zmieścił, ale Nan i Anfán owszem. Nie trzeba było poszerzać korytarzy, a to pozwalało zaoszczędzić pracę i czas. Po namierzeniu burbońskiego chodnika Nan i Anfán przebijali w ścianie tunelik szerokości pięści, skierowany ukosem w dół, wrzucali w niego dwa lub trzy granaty z zapalonym lontem i uciekali pędem na czworakach.

Uśmiechałem się, słuchając jego opowieści, ale czułem, jak jeżą mi się włosy na głowie. W wojnie minerskiej niewidocznego wroga rozpoznaje się po sposobie walki. Byłem pewien, że burbończycy odgadli już, z kim mają do czynienia, i przyszykowali stosowną ripostę, by na zawsze pozbyć się tych dwóch utrapionych myszy.

– A nie pomyślałeś o Nanie? – zapytałem z przyklepionym do twarzy uśmiechem. – Teraz, w tej chwili, dziesiątki francuskich żołdaków głowią się nad tym, jak was zabić.

W odpowiedzi chwycił się pod boki i spojrzał na mnie zaczepnie:

– Dziesiątki? Myślałem, że tysiące. – I dodał: – Syn Casanovy ma czternaście lat i zaciągnął się do jego regimentu jako doboosz.

Nie wytrzymałem.

– A Casanova osobiście dopilnował, żeby wyprawić go z miasta! – wykrzyknąłem. – Załatwił mu przeniesienie do garnizonu w Cardonie^[109].

Istotnie. Czerwoni aksamitnicy uwielbiali stroić się w homeryckie cnoty.

Wysyłając żołnierzy z miasta, dawali Jimmy'emu do zrozumienia, że barcelończycy mają dość odwagi i uporę, by przetrzymać każde oblężenie. (Wydedukujcie sobie sami, co o tym drenażu obrońców myślał don Antonio). Rzecz w tym, że w okolicach Cardony, jednej z niewielu twierdz w głębi kraju pozostających jeszcze w rękach Generalitat, było w miarę spokojnie. Burbończycy wiedzieli równie dobrze jak my, że gdy zdobędą Barcelonę, reszta kraju upadnie, i dlatego nie poświęcali zbyt wiele uwagi tłącym się na tyłach ogniskom oporu.

Chwyciłem Anfana za ramiona i powiedziałem:

– Kto tu jest szefem? Mów!

Boże, jak on wydorósł! Spoważniał i odrzekł:

– Jasne, że ty. Zgoda, już nie wrócę na dół. – Cmoknął dwa skrzyżowane palce. – Przysięgam.

Mówił to, wparłszy nogi w ziemię, patrząc mi prosto w oczy. Nie uwierzyłem w ani jedno słowo.

Nazajutrz oddziałek złożony z czterech „robaków” natrafił wreszcie na wielką minę, zwaną miną królewską – szeroki chodnik, w którym burbończycy umieścili gotowe do odpalenia sto baryłek prochu, zabezpieczone namoczonymi w wodzie byczymi skórami. *Cucs* zarżnęli paru Francuzów, zabrali baryłki, a na odchodnym zawalili strop nad tunelem. Mina odkryta, mina zniszczona.

Była to nasza ostatnia radość. Zagrzmiały dzwony we wszystkich kościołach, a władze zamówiły pięćset mszy dziękczynnych. Bohaterskimi *cucs* byli: Francisco Diago, walczący w naszych szeregach Aragończyk, Josep Mateu z Barcelony, ich dowódca... Jakżeż on się nazywał? To wstyd nie pamiętać imienia takiego świetnego żołnierza! I oczywiście Anfán. Pierwszy wśliznął się do ciasnego tunelu i znalazł zaminowany chodnik. Co wy byście zrobili na moim miejscu? Wyłajali go czy bili mu brawo? Nie zrobiłem ani tego, ani tego.

Tu, po raz setny, przerywa mi moja kochana, szpetna Waltraud. Dlaczego nie pozwalasz mi napawać się w spokoju jednym z naszych nielicznych zwycięstw?

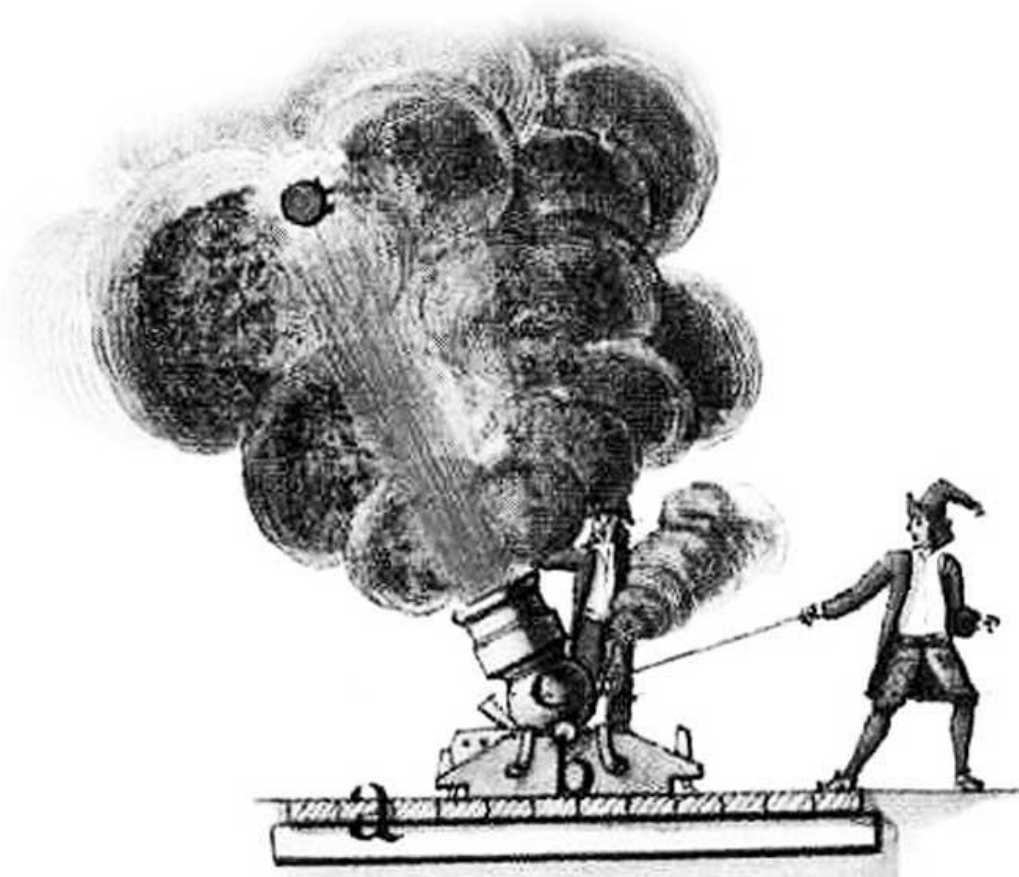
Że jak? Dziwisz się, że pamiętam imiona prostych żołnierzy, a zapomniałem, jak się nazywał ich dowódca? To podejrzane, mówisz, że moja wspaniała pamięć, wytrenowana w Bazoches, nie przechowała nazwiska bohatera, który ocalił miasto, opóźniając o kilka dni hekatombę? Insynuujesz, że ukrywam jego imię, bo żywię doń jakąś osobistą urazę?

Dobra już, dobra!

Masz rację. Obiecałem mówić prawdę, całą prawdę, więc powiem. Pamiętam jego imię.

Bohater ów zwał się Francesc Molina, a jego rodzice nie pochodzili z Katalonii. Porzuciwszy swą ojczyznę, osiedlili się w Barcelonie i pokochali to miasto, a ich syn, jak wielu innych przybyszów i synów przybyszów, walczył o nie nawet pod ziemią, wypluwając płuca i zdzierając do krwi paznokcie, dzień za

dniem, noc za nocą, dopóki nie znalazł góry morderczego prochu.
Pytasz, skąd przybyli Molinowie?
Widzę, że nie zamierzasz mi oszczędzić żadnego upokorzenia.
Trudno, powiem wszystko.
Molinowie byli Włochami.
Z Neapolu.



Ja, Martí Zuviría, inżynier (oszczędźmy sobie tytułomanii), składam niniejszym kapitulację i oświadczam, co następuje:

Narodowość jest dziełem przypadku i nie ma żadnego związku ze skłonnościami i cechami charakteru.

Znakomita większość poznanych przeze mnie Włochów to poczciwe stworzenia Boże, cnotliwe, zacne, szczerze i nikomu nie wolno oskarżać całej społeczności o przywary jednostek.

Przeto uroczyście i na piśmie odwołuję wszystkie niepoehlebne uwagi o neapolitańczykach, Włochach i cudzoziemcach w ogólności, Francuzach, Niemcach, Kastylijczykach, Maurach, Maorysach, Oglagach^[110], Holendrach, Chińczykach lub Persach, jakie znaleźć można na kartach tej książki. (Upraszam o wyrozumiałość, albowiem korekta skażonych owym błędem stron podniosłaby koszty druku tak znacznie, że moje nadszarpnięte finanse mogłyby tego nie wytrzymać).

Szczęśliwa? Zadowolona, że narzuciłaś swoją wolę stojącemu nad grobem, schorowanemu człowiekowi? Kto by pomyślał, że tak się to skończy: ja, pisarz, żebrzę o wybaczenie skryby!

Tak, tak, masz rację. Skończmy to wreszcie, piszmy. Do ostatniej łzy.

3 września 1714 roku wyszło na jaw wszystko, co nas dzieliło. A tym, co wywołało owego ducha niezgody, nie był wszechobecny głód ani zwycięstwo nieprzyjaciela, ani też niechęć skrajnie wyczerpanej ludności do dalszego oporu. Powodem niesnasek – cóż za paradoks – stał się wielkoduszny gest Jimmy’ego.

Owego dnia u bram miasta stanął trębacz z pismem od burbończyków. Jimmy w krótkich słowach wzywał nas do kapitulacji, dzięki której unikniemy szturm o niewyobrażalnych skutkach. Groził, ostrzegał, że dla nikogo nie będzie miał litości. Albo się poddamy, albo wyrznie nas w pień, do ostatniego płodu w brzuchu matki. Tutaj wszelako winieniem stonować nieco wymowę owych pogroźek i objaśnić z grubsza zasady gry rządzące oblężeniem.

Transzeja szturmowa ma za cel zmusić załogę twierdzy do układów. *Battre la chamade*^[111]. W obliczu faktów dokonanych, zburzonych murów, wałów piętrzących się wokół fosy, oblężeni paktują, uzgadniają warunki kapitulacji, licząc na to, że ocalą to, co im jeszcze zostało. Życie, honor. Majątek, jeżeli się da. W przeciwnym wypadku oblegający mają wszelkie prawo, by wtargnąć do miasta, łupić, podpalać, mordować i gwałcić. *Chamade* pozwala zapobiec owemu rozpasaniu. Zgodnie z wojenną kurtuazją (której za moich czasów skrupulatnie przestrzegali wszyscy oprócz tego bydlaka Popoli i jego generałów w służbie Filipa), gdy załoga „odtrąbi kapitulację”, mieszkańcy zachowują życie, a żołnierze

honor.

Gest Jimmy'ego był niezwykle, albowiem układy proponuje obłączony, nie obłązca. Jimmy rzecz jasna liczył na nasze rozpaczliwe położenie. A jednak, wysyłając do nas posła, dawał do zrozumienia, że furтка do rozmów jest otwarta. Pozwalał zachować godność i dawał nadzieję. Odwaga i wierność zawsze popłacają: po sierpniowej bitwie obawiał się, że jego wojsko zostanie zdziesiątkowane. Zwycięstwo mogłoby go kosztować połowę armii, a przecież ani Potwór, ani Filipek nie byłoby zadowolony z utraty najznamienitszych spośród swoich oficerów. Poza tym, gdyby doszło do szturm, nikt by nie powstrzymał rozjuszonych burbońskich żołdaków przed odwetem i gwałtem. Zrównaliby Barcelonę z ziemią. A Jimmy, wielki mecenas, nie chciał, by ci sami filozofowie, których żywił i którym tak hojnie patronował, oskarżyli go o barbarzyństwo.

Mimo aroganckiego tonu listu i zawartych w nim pogroźek don Antonio bezbłędnie odczytał jego sens. Wróg chce układów! Uszczęśliwiony, wezwał do siebie wyższych oficerów na naradę, by za zgodą wszystkich wystosować petycję do władz miasta. Byłem tam obecny jako jego osobisty adiutant.

Don Antonio rozpoczął mówiąc, że oto dostaliśmy szansę jedną na tysiąc. Nie skorzystać z niej byłoby szaleństwem. Możemy ocalić miasto, jego mieszkańców, a nawet, być może, coś więcej. Układy nie są sprawą żołnierzy, lecz polityków. Naszym zadaniem jest uświadomić władzom, iż nie powinny zaprzepaścić takiej okazji – ostatniej już – gdyż w przeciwnym razie czeka nas iście biblijny pogrom, przy którym zbledną wszystkie nowożytne bitwy.

Wreszcie ujrzałem uśmiech na jego twarzy. Nie poszły na marne wszystkie nasze udręki, wszystkie boje: nieprzyjaciół gotów był paktować. Jeśli wysłani przez nas parlamentariusze okażą się zręczni i wierni sprawie, być może uda się ocalić nasze konstytucje i swobody.

Cóż, narada nie poszła po jego myśli. Pamiętam długi, prostokątny stół i stłoczonych wokół niego oficerów. Mundury w strzępach, ale czyste, brzuchy zapadnięte. Rzecz w tym, że nikt nie poparł naczelnego wodza. Oczy wszystkich unikały spojrzenia don Antonia. Nie kwestionowali jego autorytetu, za bardzo go szanowali. Po prostu nikt nie zamierzał się poddać.

Rozczarowany Villarroel udał się do Casanovy z prośbą o przyspieszenie głosowania w ratuszu. Casanova przystał na to z wielkim zapalem. Lepiej niż inni znał delikatne mechanizmy barcelońskiej izokracji.

Głosowanie było niczym sunąca z dołu do góry lawina. Tylko trzech z trzydziestu przedstawicieli opowiedziało się za ugodą. Dwadzieścia sześć głosów przeciwko czterem. Fakt ów wiele mówił o samotności Casanovy. I jak w tych okolicznościach prowadzić politykę?

Świat stanął na głowie: jedynymi, którzy chcieli położyć kres wojnie, okazali się generałowie.

Wiadomość dotarła do nas nazajutrz. Don Antonio złożył dymisję. W obliczu nieuniknionej klęski wysłał do władz pismo, w którym oznajmiał, iż honor nie pozwala mu skazywać żołnierzy na pewną śmierć. W związku z tym, wyczerpawszy wszelkie wojskowe środki, prosi o zgodę na opuszczenie miasta drogą morską. Zrzeka się naczelnego dowództwa, żołdu i przywilejów.

Moim zdaniem była to ostatnia próba zaszachowania adwersarzy, jaką don Antonio podjął, świadom swojej pozycji. Albo układy, albo odchodzi. Na nieszczęście nastroje w mieście przekroczyły już granice oblężenia. Władze odpowiedziały, że świetnie, że skoro takie jest jego życzenie, oddadzą mu dwie szybkie galery, żeby mógł przedrzeć się przez blokadę. Owe małe, zwinne łodzie były niezwykle przydatne, kiedy musieliśmy wyekspediować z miasta jakąś ważną osobistość. Francuskie okręty miały zbyt wielki tonaż, by zapuszczać się na wody przybrzeżne. Galery wyruszały nocą i pod osłoną ciemności przepływały wzdłuż linii brzegowej. O świcie, zostawiwszy daleko za sobą Barcelonę i blokującą port nieprzyjacielską flotę, obierały kurs na Majorkę.

Wieści te tak mnie zdumiały, że z początku nie chciałem wierzyć. Don Antonio odchodzi! Oniemiałem do tego stopnia, że nawet nie spytałem, kto zajmie jego miejsce. Nie wyobrażałem sobie, by ktokolwiek mógł go zastąpić, i rzeczywiście – nie mianowano nikogo. Nie, źle mówię: mianowano. Najświętszą Panią.

Nazajutrz o świtanie, gdy spałem jeszcze skulony w załomie muru i okryty lichą derką, zbudził mnie łącznik.

– Don Antonio odpływa – szepnął mi do ucha. – Pragnie waści widzieć.

Dziedziniec zastawiony był kuframi i skrzyniami, gotowymi do załadunku. Po domu kręciło się pełno oficerów, bez przerwy ktoś wchodził lub wychodził. Nawet w takim momencie don Antonio odbierał meldunki o sytuacji na murach. Zdziwiło mnie, że przywdział galowy mundur ze wszystkimi dystynkcjami, choć już nie był generałem. Sądzę – i przy tym pozostanę – iż do ostatniej chwili miał nadzieję, że władze zmienią zdanie i przywrócą go na stanowisko. Ujrawszy mnie, powiedział:

– Jeszcze nie wiesz? To sam ci powiem: od dziś nie ja tu dowodzę. Przejdziecie pod rozkazy innego komendanta.

– Czyje? Najświętszej Panią?

Aż się zachnął. Widać było, że bardzo się stara jak najpoprawniej wymówić katalońskie słowo „synek”.

– Będiesz się cieszył, *fillet*. Teraz, kiedy jestem osobą prywatną, możesz nazywać mnie don Antoniem, tak jak lubisz.

Ze źle skrywaną ironią odparłem przekornie:

– Nie posiadam się z radości, panie generale.

Przypasał szpadę, nie zwracając uwagi na te złośliwości.

– Nie słyszysz, co mówię? Już nie dowodzę, a dla waszmości jestem don Antoniem. Tyle lat musiałeś gryźć się w język, kiedy przyszła ci chętka na impertynencje, a teraz wreszcie możesz mi mówić po imieniu. Od dziś, dla ciebie i dla innych, jestem zwykłym człowiekiem, jednym z was. Don Antoniem, jeżeli tak ci się podoba. Zrozumiano?

– Tak jest, panie generale. – I dodałem: – Od dziś mam się do waszmości zwracać jak do jednego z nas, panie generale.

Na mgnienie oka, krótkie, bardzo krótkie, zawładnęło nim wzruszenie. Huk armatnich wystrzałów przynaglał do pośpiechu, nie pozwalał poddać się melancholii. Albowiem przez moje usta przemawiali wszyscy, którzy go kochali. Kiedy dowodził wojskiem uzbrojonych mieszczan, ci traktowali go jak swego, jak barcelończyka. A teraz, gdy odchodził, najbardziej niesforny z owych barcelończyków oddawał mu honory i uznawał zwierzchnictwo, nie tyle wojskowe, ile moralne.

Ktoś taki jak Villarroel nie mógł rzecz jasna pozwolić sobie na sentymenty. Jął przechadzać się tam i z powrotem po izbie. Dał się ponieść własnym słowom i zapalał się coraz bardziej.

– Wyklócałem się, błagałem, póki starczyło mi tchu, ostrzegałem przed tym, co ma nastąpić! – wykrzykiwał. – Ta obrona to istne szaleństwo! Gdybym został, poprowadziłbym moich żołnierzy na szubienicę. Uciekając, porzucam ich, opuszczam. Co takiego uczyniłem, że spada na mnie ta potworna hańba?

Próbowałem go uspokajać. Wówczas zdradził mi, dlaczego po mnie posłał:

– Już raz, pod Illuecą, ocaliłem cię przed niewolą. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym tego zrobić znowu. Jutro będziemy na Majorce, potem w Italii, a stamtąd – prosto na cesarski dwór. W Wiedniu odbierzesz cały zaległy żołd; pamiętaj, że wpisałem cię do rejestrów królewskich, nie miejskich. Jako żołnierz nie podlegasz ratuszowi, więc nie ma mowy o dezercji. A ja, kiedy wstąpię do cesarskiego wojska, chcę mieć w swoim sztabie inżyniera.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał:

– Tak jak ja, masz żonę i dzieci. Na galerach jest dość miejsca. Idź po nich zaraz.

Przynaglił mnie niecierpliwym gestem ręki.

Nawet nie drgnąłem. Zażądał wyjaśnień. Pamiętam, że odrzekłem nie swoim głosem:

– Nie mogę, panie generale.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i na koniec spojrzął mi prosto w oczy.

– Nie rozumiem. Jesteś przeciwnieństwem tych dzielnych ludzi, którzy walczą teraz na murach. Czym jest dla ciebie owa daremna hekatomba? Odpowiedz mi!

Nie wiedziałem, co mam odrzec, więc milczałem.

– Zjadłeś z głodu własny język? – krzyczał dalej. – Zawsze brzydziłeś się bezsensowną rzezią. Nagle zmieniłeś zdanie? Dlaczego? Ty, którego w czasie Wielkiego Odwrotu wołami trzeba było ciągnąć na pole bitwy! Dlaczego to robisz? Dlaczego?!

Milczałem nadal, zawstydzony, lecz on nie ustępował:

– Jedno słowo, na Boga! Odpowiedz chociaż jednym słowem!

Jedno słowo. Po siedmiu latach Vauban znów mnie odpytywał, ustami Villarroela. Zamrugalem, przełykając ślinę. W panice przeszukiwałem zakamarki mojego umysłu. Nic.

Wbrew własnej chęci rozjątrzyłem rany jego udręczonej duszy. Albowiem don Antonio był bohaterem bez skazy, któremu honor kazał odejść. A tu nawet taki księżę tchórzy jak Martí Zuviría postanawia zostać. To musiało boleć.

Nacisnąłem na głowę trójgraniasty kapelusz i nie czekając na pozwolenie, ruszyłem ku drzwiom. Zatrzymał mnie:

– Zaczekaj. Byłeś waść przy mnie pod Toledo i Brihuegą. I tutaj, w oblężonym mieście. Słuszne jest zatem, byś nie opuszczał mnie w chwili poniżenia.

Zaprawdę, ciężka to była pokuta, chciał bowiem pożegnać się z żołnierzami na murach. Don Antonio de Villarroel, wojownik bez zmazy, musiał im powiedzieć, że zostawia ich w piekle, by samemu zamieszkać w pałacu. A przecież żadna siła nie powstrzymałaby go przed dopełnieniem tego obowiązku, choć wiedział, że naraża się na obelgi i przekleństwa, bo opuścił podwładnych w przeddzień sądu ostatecznego.

Wyszliśmy, ktoś podał mi wodze. Obaj dosiedliśmy koni.

– Jedźmy tam – powiedział don Antonio, sadowiąc się w siodle.

W tym „jedźmy tam” dostrzegłem wolę męczeństwa. Wciąż sędzę, że człowiek ów przez całe życie szukał bohaterskiej śmierci, jakiegoś widowiskowego końca. Zamiast tego los zgotował mu haniebny odwrót tylnymi drzwiami. Galopowaliśmy strzemię w strzemię. Kiedy zbliżyliśmy się do murów, chwyciłem go poufale pod łokieć, nie zważając na wojskowy protokół, i powiedziałem:

– Panie generale, to niepotrzebne.

Don Antonio, urażony, strząsnął z siebie moją dłoń.

– Odsuń się waszmość! Nigdy nie uciekałem przed wrogiem. Mam teraz uciec przed własnymi żołnierzami?

Spiął konia ostrogami, a ja ruszyłem w ślad za nim. Zżerał mnie niepokój; nie o siebie, ale o niego. Tylko niewielu z nas wiedziało, jak słuszne były jego racje, rozumiało, że nie wyjeżdża ze strachu przed tym, co miało nastąpić, lecz dlatego, że nie mógł zapobiec klęsce.

Stanęliśmy pod murami. Cud jakiś sprawił, że akurat wówczas nastąpiła

przerwa w strzelaninie. Spostrzegłszy obecność Villarroela, ludzie z bastionu Świętej Klary, z Portal Nou i łączącej je kurtyny obejrzeni się za siebie. Jęli gromadzić się tam, na górze, pod osłoną resztek fortyfikacji. Stanęli zwartym tłumem. Chciał do nich przemówić. Nie mógł. Coś w nim pękło.

Koń się pod nim zbiesił; don Antonio z trudem osadził go w miejscu. Pochylił głowę i dwoma palcami ścisnął nos u nasady, jakby chciał zatamować wzruszenie. Raz jeszcze spróbował rozpocząć przemowę, lecz nie był w stanie wypowiedzieć żadnego słowa.

Są chwile, niezwykle rzadkie, gdy czas zastyga jak kamień. Wysoko, na bastionach i murach widziałem setki podobnych szkieletoom mężczyzn, chudych jak lufy karabinów. Policzki zapadnięte, trikorny^[112] podziurawione kulami. Wyszarzałe mundury, przysypane popiołem i sadzą, rękawy tak poszarpane, że cudem trzymały się ramion. I ten zapach. Tak, za życia cuchnęli padliną. Wszyscy, do ostatniego ciury, już wiedzieli: komendant odchodzi. Co im miał powiedzieć na odchodnym? Setki oczu w napięciu wpatrywały się w don Antonia.

Po całych tygodniach spiekoty z nieba jęły spadać grube, pojedyncze krople. Cisza była taka, że słyszeliśmy, jak uderzały o gruzy. Kamienie, nasze kamienie, od roku nagrzewane ogniem bomb, dymiły w deszczu. Nikt nawet nie mrugnął.

Po raz trzeci don Antonio spróbował znaleźć jakieś słowa. Przez chwilę myślałem, że napięta skóra jego twarzy rozedrze się jak papier. W milczeniu zdjął trójgraniasty kapelusz i uniósłszy go nad głowę, pokłonił się zgromadzonym na murach żołnierzom. Koń niecierpliwie stukał kopytami. Villarroel wciąż trzymał rękę w górze, w samotnych kroplach deszczu. Nie rzekł nic, bo i po co? Ani on, ani ludzie z Coroneli nie mieli wyboru: don Antonio musiał odejść, oni musieli walczyć.

Powoli, wymachując kapeluszem nad głową, ruszył wzdłuż murów, by pożegnać się z dzielnymi mieszczanami, którzy oddali się onegdaj pod jego komendę. Postanowiłem raz wreszcie mu dorównać. Przyspieszyłem, bo zamierzałem jechać po jego prawej ręce, od strony murów. Głupiec ze mnie. Myślałem, że własnym ciałem osłonię don Antonia przed kulą wystrzeloną z tłumy za uciekającym z oblężonego miasta generałem. (Boże kochany, jak odległy wydał mi się wówczas ów rok 1710, pod Brihuegą, kiedy chowałem się jak szczur za koniem don Antonia, byle tylko nie oberwać w bitwie).

Jeszcze go nie dogoniłem, gdy dobiegł mnie głośny ryk. Podniosłem głowę.

Barcelończycy z Coroneli, Kastylijczycy, Aragończycy, Walencjanie, Niemcy... wszyscy wymachiwali w górze karabinami. Nie złorzeczyli mu. Wiwatowali. Skandowali jego imię: „Don Antonio, don Antonio, don Antonio!”, a wrzawa rosła i rosła. Deszcz się wzmagął, a wraz z nim okrzyki. Villarroel nie mógł tego znieść, spiął konia, by uciec i nie słyszeć owacji. Podjechałem bliżej i zastygłem z otwartymi ustami: płakał.

Don Antonio płakał! Prędzej bym uwierzył, że pieńek zatańczy. Zobaczył, że widzę jego łzy, i powiedział, jakby się przede mną usprawiedliwiał:

– Jedyńm moim pragnieniem było zostać z nimi, lecz mój honor na to nie pozwala. Nie mogę dowodzić armią straceńców, bo to już nie jest odwaga, to szaleństwo. I nie mogę splamić się barbarzyństwem, posyłając tylu niewinnych ludzi na pewną śmierć.

Oddaliliśmy się od murów; deszcz nie ustawał. Poklepując ze smutkiem końską szyję, don Antonio szepnął do siebie, jakby nie zauważał mojej obecności:

– Oby te galery nigdy nie przyplłynęły, mógłbym wtedy zginąć tutaj, razem z nimi, jako prosty żołnierz.

Don Antonio pożegnał się ze swymi żołnierzami ósmego września i aż do jedenastego – jakże dla nas smutnego – lało bez przerwy, we dnie i w nocy.

Boże kochany, cóż za odmiana po piekielnym sierpniowym skwarze. Z początku deszcz przynosił wytchnienie. Rzeźwił nas i chłodził, przywracał do życia. Proch zamókł, więc burbończycy musieli chwilowo przerwać bombardowanie. Cisza owa miała jednak posępny wydźwięk, albowiem okrąg chłostanych ulewą murów, mokrych, ciemnych, zbryzganych błotem przedstawiał sobą widok ponury i niegościny.

Potężne bresze budziły grozę. Było ich pięć, najmniejsza szerokości czterdziestu metrów, największa – sześćdziesięciu. W sumie przez wszystkie wylomy mogło przedostać się sześciuset osiemdziesięciu siedmiu atakujących żołnierzy (niech was nie dziwi owa dokładna liczba „687”, wszak rachować nauczono mnie w Bazoches), czyli mniej więcej dwa regimenty w szyku bojowym.

Załatanie bresz było niemożliwe. Przejścia zawaliliśmy setkami desek, najeżonych gwoździami długimi na piędź. Nasi ludzie rzucali je z daleka, na chybił trafił, żeby nie narażać się na kule. Tylko tyle mogliśmy zrobić.

Ociekając wodą, pod powałą czarnych chmur, kierowałem pracą owych żywych trupów. Poganiałem ich i cierpiałem, patrząc, jak ostatkiem sił próbują załatać ogromne dziury w umocnieniach. Za każdą breszą wykopaliśmy rów, osłonięty parapetem z faszyny, za nim następny rów i następny parapet, i jeszcze jeden, i następny. Dużo parapetów, lecz wszystkie mizerne. Na wybranych pozycjach umieściliśmy „organy”, wynalazek naszego miejscowego Archimedesza.

Były to drewniane pomosty, do których mocowano dziesięć, czasem piętnaście naładowanych karabinów, ustawionych w jednej linii. Ich kurki łączył cienki sznurek. Nawet taki starowina jak Peret mógł jednym ruchem palca wystrzelić ze wszystkich naraz. Nie była to skuteczna broń, lecz pod koniec oblężenia mieliśmy więcej strzelb niż żołnierzy. Odnieśliśmy ostatnie zwycięstwo.

Pod nieobecność don Antonia uznałem, że mogę walczyć na własną modłę. Nauczyłem się, że desperacka obrona wykorzystuje kamienie, ciało i krew.

Dlaczego zatem nie wykorzystać żywiołów?

Wybrałem najsilniejszych. Z ostatnich desek zbudowaliśmy długą rynnę, łącząc je na kształt dachówek. Dzięki ulewie nie musieliśmy już oszczędzać wody z miejskich cystern. Nasz akwedukt prowadził od największej aż do murów. Pewnej nocy otworzyliśmy gródź. Wartki potok zalał najbardziej wysunięty odcinek tranzei. Tysiące litrów wody runęło na kawaliery i popłynęło odnogami, porywając ze sobą ludzi, faszynę i rusztowania. Nocna powódź jest przerażająca. Burbończycy nie wiedzieli, co się dzieje, a poza tym jak tu strzelać do wodospadu?

Czoło okopu zmieniło się w jedną wielką kloakę. W niektórych miejscach woda sięgała żołnierzom do pasa. Cały następny dzień zmarnowali na wypompowanie zgniłej, cuchnącej cieczy. Cały dzień. O jeden dzień życia dłużej. Zwycięstwo. Chwilowe, ale zawsze zwycięstwo. Cóż, byliśmy tak wyczerpani, że nie mieliśmy siły się cieszyć.

Burbończycy taplali się w błocie, a ja tymczasem poszedłem do Costy. Był przygnębiony jak nigdy dotąd. On, Francesc Costa, człowiek, któremu do szczęścia starczała gałązka pietruszki.

– Ejże, Costa – bez większego przekonania próbowałem dodać mu otuchy. – Nie po to zaszliśmy tak daleko, żeby się teraz poddać. Gotuj działa i amunicję.

On jednak siedział w deszczu, bez kapelusza, przemoknięty, i obejmował rękami żebra, jakby trawiła go gorączka.

– Amunicja? Amunicja, mówisz? – wycharczał z sarkazmem. – Nie mam nawet pietruszki do żucia. Ta kurewska transeja nas dobiła.

Wzmianka o moim dziele mocno mnie ubodła.

– Armaty! – wrzasnąłem nagle i zapomniawszy, że jesteśmy na ty, dodałem: – Ustaw je waszmość za breszami i niech to szlag!

W chwilach rozpaczki plotka zastępuje nadzieję. Rojenia. Mówiono, że angielska flota już płynie i że Karlangas wysłał z odsieczą germański legion. Brednie. Zdesperowany tłum wyległ na plac Born, by modlić się o ratunek dla Barcelony. Głupoty! W głębi ducha my, którzy staliśmy przy breszach, nie wierzyliśmy w nic, walczyliśmy, po prostu walczyliśmy.

Dobrze chociaż, że niekończąca się ulewa zgasiła artyleryjski wulkan Jimmy'ego. Jak już mówiłem, proch zamókł, więc nie mogli nas bombardować. Wobec chwilowego braku amunicji strzelali do nas pogróżkami i drwiną. Zajmowali pozycje na obwałowaniu fosy, nie dalej niż o trzydzieści metrów od murów. Wyraźnie słyszeliśmy ich wrzaski.

Najśmielsi wychylali się za wieńczące transeję kawaliery i przesuwając jednym palcem po szyi, pokazywali, że wszystkim nam zetną głowy, albo wymachiwali pięściami, pokrzykując mściwie: *Ça va être votre fête!*^[113].

W nocy z 10 na 11 września nie spałem. Nie mogłem. Nie trzeba było

wybitnej intuicji, by przewidzieć, że szturm może nastąpić lada chwila. Wiedząc o tym, wycofaliśmy się z najbardziej wysuniętych pozycji. Byłoby samobójstwem trzymać żołnierzy tak blisko burbońskich kawaler. W miejscach najbardziej narażonych na ostrzał woleliśmy utworzyć wolną przestrzeń, żeby ci, na których spadnie pierwszy impet, mieli gdzie się cofnąć. Tak więc tamtej nocy pomiędzy linią obrony i wojskiem Jimmy'ego rozciągał się martwy obszar.

Widziałem wiele zbombardowanych miejsc, lecz w wojennym pejzażu Barcelony zdumiewały niezwykle kontury murów. Artyleria, nawet najcięższa, dziurawi dachy i burzy ściany. W sylwetce ruin dominują kąty ostre. Jednak kiedy kanonada jest silna i długotrwała, krawędzie stają się pofalowane, stępione, jakby przez tysiące lat ulegały powolnej erozji. Na labirynt gruzów wciąż spadała z nieba drobniutka mżawka. Noc była czarna, księżyc krył się w rozplakanych chmurach. Moje stopy ślizgały się wśród strzaskanych przodków armat, połamanych karabinów, zagrzebanych w ziemi wiklinowych koszy podobnych rozwartym ustom topielców. I wszędzie setki najeżonych gwoździami desek. Było to miejsce tak ciche, smutne i widmowe, że cała moja wiedza okazywała się bezradna.

Wówczas, z nagłą i bez jakiegokolwiek powodu, ogarnęło mnie przemożne pragnienie powrotu na plażę, do rodziny, do swoich.

Amelis spała jak zwykle bez ubrania. Zbudziłem ją.

– Gdzie Anfán?

Otumaniona snem, głodem i przemęczeniem, otworzyła oczy, te swoje wielkie czarne oczy. Do dziś pamiętam siebie tam, w nocnych ciemnościach, w tym nędznym namiocie nad brzegiem morza. Amelis naga, spocona, ja obok, na klęczkach. Pragnąłem jej, ale bardziej pragnąłem ją chronić. Ona za to płonęła jak w gorączce. Ocknęła się z dręczącego ją we śnie koszmaru. Kiedy poczuła mój dotyk, moje ramię obejmujące jej plecy, uśmiechnęła się, jak na widok kogoś długo oczekiwanego. Musnęła palcami mój policzek.

– Martí – szepnęła – jesteś.

Jej radość była przygaszona, chora.

– Na miłość boską, Amelis! Gdzie jest Anfán?

Gdyby Anfán zginął, wszystko byłoby na nic. Siedem lat żyliśmy pod jednym dachem, siedem lat. Nasza więź nie wynikała z chwilowych uniesień, była zbiorem codziennych błahostek. Nic nie ma znaczenia większego niż suma miliona rzeczy bez znaczenia.

Przerwała nam kanonada tak silna, że namiot zachybotał się, jakby chciał odlecieć. To mogła być tylko zapowiedź szturm. Nacisnąłem na głowę trikon i skoczyłem do wyjścia. Gdy wybiegałem przez płócienne drzwi, powiedziała coś, nie potrafię dokładnie powtórzyć co. Pamiętam, że wspomniała o Beceite, jakże dalekim Beceite, aragońskiej miejscinie, gdzie się poznaliśmy, otoczeni przez burbońskich gwałcicieli i bezlitosnych miqueletów. Bredziła, zapewne z głodu.

Jakby nagle postradała rozum. Głaszcząc się po policzku, błagała:

– To tylko rozgnieciona malina, Martí. Proszę, nie odchodź. To tylko malina.

Wyciągnęła rozpostarte ramiona. Spieszyłem się, wzywały mnie obowiązki. Nigdy dotąd o nic nie prosiła, a teraz piszczała jak kocię: *Si us plau, si us plau*^[114]. Zawróciłem.

Była tak chuda, że bałem się ją mocniej przytulić. Mógłbym bowiem – wcale nie przesadzam – połamać jej żebra. Twarz miała mokrą od potu. Do rozpaczki doprowadzała mnie myśl, że nie mogę zrobić nic, by choć trochę uśmierzyć jej ból. Zażądała, żebym podał jej pękniętą pozytywkę. Podniosła wieczko. Rzecz jasna z wnętrza nie wydobył się żaden dźwięk. Ona jednak powiedziała z uśmiechem:

– Słyszysz? To wynalazek mojego ojca, to on zamknął muzykę w skrzynce. Sam wybrał tę piosenkę. Prawda, że ładna?

Nie lubiłem okłamywać chorych, więc odrzekłem:

– Naprawimy ją, zobaczysz.

– Martí! – powtarzała w delirium – Martí, powiedz, że słyszysz!

Nie, nie słyszałem. To była tylko popsuta szkatułka, jeden z tysięcy sprzętów zniszczonych przez bomby wroga. W odpowiedzi westchnąłem. Zrozumiała, trawiony gorączką umysł bywa zadziwiająco jasny. Popatrzyła na mnie tymi swoimi przepastnymi oczyma i powiedziała:

– Chcesz wiedzieć, Martí? Nie słyszysz i dlatego jesteś, jaki jesteś. To twoja zaleta i zarazem ułomność. Gdybyś chciał usłyszeć, to byś usłyszał. Nie możesz, bo nie wierzysz. Nawet nie próbujesz. – I dodała: – Słyszałeś tę muzykę tysiąc razy. A teraz nie? Skrzynka to tylko skrzynka, prędzej czy później musiała pęknąć.

Zmusiłem ją, żeby spojrzała mi w oczy.

– Na Boga, Amelis, nie ruszaj się z tej plaży na krok. Cokolwiek się wydarzy, zostań tutaj! Jeśli poczujesz pod stopami coś innego niż piasek, zawracaj.

– Ja się nią zaopiekuję, szefie – usłyszałem za plecami głos Anfana.

Właśnie wchodzili z Nanem do namiotu.

– Gdzieście byli?! – ryknąłem.

Anfán jęknął, z miną zarazem szelmowską i hardą.

– Chociaż raz w życiu mnie posłuchaj! – krzyknąłem. – Dziś w nocy i jutro żadne z was nie ruszy się z tej plaży. Ani ty, ani Amelis, ani Nan. A ty tego dopilnujesz! Jasne?

Wrzeszczeć na Anfana to czysta strata czasu. Zmieniłem taktykę.

– Znałeś swoją matkę? – zapytałem.

– Przecież wiesz, że nie.

Wskazałem na Amelis, uśpioną, a raczej nieprzytomną, wycieńczoną, trawioną gorączką.

– A gdybyś tak mógł wybierać spośród wszystkich matek na świecie, wolałbyś inną?

Popatrzył na nią. Namiot oświetlała tylko jedna świeczka. Maleńki ognek drżał. I pozwólcie, że coś wam powiem: nawet wąty płomyk dopalającej się świeczki potrafi odczuwać wzruszenie.

Boże kochany, jakże piękny jest widok ukochanej istoty zmożonej słabością. Bez Amelis nigdy nie bylibyśmy razem, we czworo. Nasze życie potoczyłoby się inaczej, bez wątpienia dużo gorzej.

Anfán nabrał powietrza i po raz pierwszy usłyszałem, że mówi jak mężczyzna, nie jak dziecko:

– Zgoda, szefie. Będę jej bronił. Żeby się waliło, paliło, nikt z nas nie ruszy się z tej plaży. Masz moje słowo.

Martí Zuviría, zawsze wesół, zawsze rad! Zawsze? Nie, nie zawsze.



I tak, po trwającym ponad rok oblężeniu, nadszedł wreszcie ów 11 września 1714 roku. Zaczęło się od straszliwej kanonady, o wpół do piątej nad ranem. Zaraz potem pierwsza fala, w liczbie dziesięciu tysięcy ludzi, uderzyła na bresze. Las chorągwi, oficerowie z szablami w dłoni, sierżanci z halabardami wiodący za sobą oddziały. Nie sądzę, by na pierwszej linii stawilo im opór więcej niż pięciuset, może sześciuset wynędzniałych bojowników.

Nie potrafię, nie jestem w stanie złożyć składowej relacji z owych wydarzeń. Sam nie mogę tego zrozumieć: z najdłuższego dnia mojego życia pozostały jedynie ulotne obrazy, zbiór odosobnionych epizodów. Wyszedłem z naszego namiotu i ruszyłem do miasta. Dzwony były jak opętane. Wszędzie panował chaos. Nic dziwnego, skoro dowództwo powierzono Najświętszej Pani. Tymczasem burbończycy forsowali mury, które byle wyrostek mógł rozwalić kopniakiem. O pierwszym brzasku stanąłem na tarasie dworu Montserrat, dawnej siedziby jakiegoś zbiegłego botiflera, skąd widać było jak na dłoni perymetr atakowanych murów, od bastionu Portal Nou aż do Świętej Klary. To, co wówczas ujrzałem, śmiało nazwać można koszmarem inżyniera.

Cały obszar, którego tak wielkim kosztem broniliśmy przez trzynaście – trzynaście! – długich miesięcy, zajęty przez hordy zidiociałych niewolników. Rzeka białych mundurów wlewała się przez bresze: *en avant, en avant!*^[115]. Szturmujących było tylu, że mogli zlekceważyć strzelców, którzy otworzyli do nich ogień ze szczytu murów. Czy to właśnie było moim przeznaczeniem? Po to ćwiczyłem spostrzegawczość i wszystkie zmysły? Żeby pewnego dnia żywiej odczuwać upadek Barcelony i śmierć całego narodu? Żeby w ostatnich chwilach naszej wolności uszy moje uловиły więcej wrzasków, oczy moje wylały więcej łez, ręce moje tym rozpaczliwiej uchwyciły się masztu tonącego okrętu?

Oto jeden z owych widoków: resztki murów wznoszą się niby wieże, oddzielone od siebie wyrwami olbrzymich bresz. Przez lunetę widzę mizerną kurtynę, oflankowaną przez wyłomy, którymi wdzierają się tysiące wrogów. Tam na górze stoją tylko dwaj ludzie: staruszek i chłopiec. Staruszek ładuje karabiny, podaje chłopcu, a ten strzela w dół, w morze białych mundurów. Staruszek nie nadąża z ładowaniem. Chłopiec w bezsilnym gniewie nakłada na broń bagnety i ciska nimi jak oszczepem. A tu inny obraz z mojej lunety: drugi burboński eszelon zdobył już ową nędzną redutę, staruszek i chłopiec poddali się, ciężko ranni. Żołnierze zmuszają ich, by uklękli nad przepaścią. Potem, kolbami, strącają ich z murów.

Obrazy, wir obrazów. Dzieci strzelające z „organów” prosto w pierś wroga, ścinające kulami całe szeregi grenadierów. Żołnierze Coroneli rzucający granatami, dopóki wróg po ich trupach nie przejdzie; ostatni granat zachowują dla siebie, by

złożyć się w ofierze.

Obrazy, tak, lecz ponad wszystkim, jako spełnienie rozgrywającej się przed moimi oczami tragedii, postać, która na zawsze pozostanie w pamięci sprawiedliwych: don Antonio de Villarroel Peláez. Don Antonio! Na Boga... To on? Tutaj, w Barcelonie? Powinien być teraz daleko stąd, na morzu, a tymczasem wpada jak burza na naradę oficerów. Jego głęboki, tubalny głos.

Miał przecież udać się do Wiednia, gdzie czekało nań bezpieczne życie, zaszczyty i świetlana przyszłość na cesarskim dworze Karlangasa. A był tutaj. A oto jak się sprawy potoczyły: do ostatniej chwili żywił nadzieję, że władze odzyskają rozsądek, że ktoś przejmie po nim obowiązki naczelnego wodza. Nie stało się tak, więc będąc już w drodze na zbawczy brzeg, zrobił w tył zwrot i wrócił na mury. Skazywał się na zawsze, w zamian za nic, i o tym wiedział. „Obym mógł zginąć tutaj, razem z nimi, jako prosty żołnierz!” – brzmiały jego ostatnie słowa. Skąd się biorą tacy ludzie? Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy ich spotkasz, nie możesz ich nie pokochać.

Przez moment zostaliśmy w owej izbie sam na sam. Nie wiedziałem, co rzec ani jak się zachować. Dziś jeszcze wyrzucam sobie, że nie znalazłem słów, by powiedzieć mu, co dla mnie oznaczała jego postawa. Przypuszczam, iż nie ma to większego znaczenia. Przez cały dzień don Antonio nie napomknął nawet o swoim poświęceniu. Jedyne w tamtej krótkiej chwili, gdy nikt nas nie widział i nie słyszał, popatrzył w przestrzeń i wygładzając przód munduru, powiedział:

– Pieprzę te okręty.

Owego pamiętnego 11 września pewną rolę odegrał też najwyższy zwierzchnik naszych władz, Rafael Casanova, choć o wielkość Villarroela nawet się nie otarł. Gdybym miał litościwy charakter, rzekłbym, iż Casanova był postacią raczej tragiczną niż żalną, tkwiącą w pułapce pomiędzy własną racją, racją stanu, a wolą ludu. Niestety, nie jestem litościwy; jeżeli chcesz być kochany przez naród, musisz być gotów się zań poświęcić. Villarroel nie był wszak Katalończykiem, lecz w ostatniej godzinie potrafił zachować się lepiej niż wszyscy Casanovowie świata razem wzięci.

Don Antonio wydał rozkaz przeprowadzenia dwóch koncentrycznych ataków. Jednym dowodzić miał on sam, drugim – Casanova, pod sztandarem świętej Eulalii. Wedle tradycji świętą chorągiew wyprowadzano jedynie w chwili najwyższego zagrożenia. Czyż można było sobie wyobrazić większe? Symbol ów, o czym Villarroel dobrze wiedział, mógłby wlać nieco otuchy w serca podupadłych na duchu barcelończyków, dać im nowy *élan*^[116].

Kłopot w tym, że zgodnie z protokołem na czele żołnierzy spod znaku świętego oblicza musiał stać najwyższy przedstawiciel władz miasta. Czyli tchórzem podszyty Casanova. Ja rzecz jasna nie byłem obecny na radzie, lecz idę o zakład, że najprawdopodobniej jakiś furiat przyłożył mu pistolet do brzucha

i zmusił do włożenia pułkownikowskiego munduru. Wojsko nie powinno mieszać się do polityki, podobnie jak politycy nie powinni parać się wojennym rzemiosłem. Skoro jednak Casanova był już nominalnym dowódcą Coroneli, rad nie rad musiał przywdziać kurtkę ze złotymi galonami, wdrapać się na grzbiet swojej chabety i ruszyć do boju. Mnie zdał się aktorem, który z konieczności wciela się w obcą sobie postać. Zrezygnowany, a zarazem przejęty swoją rolą, wymachiwał szpadą nad trójgraniastym kapeluszem, udając animusz, do którego nie był zdolny.

Orszak wyruszył z sali Świętego Jerzego. Poznaliśmy to po wrzawie, jaka się nagle podniosła. Wszędzie, gdzie przechodził, dołączali doń ludzie – brudni, głodni, zdesperowani. Z okien i balkonów pozdrawiano mieniący się fioletem wizerunek świętej. Tę samą barwę nosili idący na przedzie żołnierze szóstego batalionu, złożonego z krawców, szynkarzy i kotlarzy.

Pamiętam też jakiegoś czerwonego aksamitnika w strojnych szatach, idącego tuż obok chorągwi. Pokrzykiwał na wychylające się z balkonów kobiety, żeby zamiast się modlić, wyszły z domów i rzuciły własne swoje życie na stos. Widziałem, były tak słabe, że nie mogły ustać na nogach. Uczepione prętów balustrady, odpowiadały:

– *Doneu-nos pa i hi anirem!* – Dajcie nam chleba, to pójdziemy.

Była chyba siódma rano, gdy zobaczyłem ów pochód ciągnący ku linii frontu, na poły wojsko, na poły uzbrojona tłuszcza. Chorągiew świętej Eulalii na powrót stała się tym, czym od początku dziejów są wszystkie sztandary: znakiem, pod którym gromadzą się ludzie zjednoczeni wspólną sprawą. Kiedy tłum stał się wystarczająco liczny, z falangą bagnietów na czele ruszył do odbicia straconych bastionów.

Powiem wam także, iż są takie chwile, w których nawet kamienne serce mięknie. Wielka chorągiew łopotała na wietrze ponad głowami rzeszy barcelończyków i było tak, jakby postać świętej Eulalii ożyła. Panna tak młoda, tak smutna. Szła na męczeńską śmierć, a jej oczy zdawały się patrzeć na ciebie, tylko na ciebie.

Obrazy, tak: pamiętam, że Costa obserwował ten pochód zza pustej armaty, wsparłszy łokcie na jej lufie, a z oczu płynęły mu łzy.

– Na Boga! – krzyknąłem. – Nie płacz waść, wesprzyj ich, podsyp prochu!

Pokręcił głową i rozłożywszy ręce, powiedział:

– Nie mam.

Pstrokaty oddział regularnych żołnierzy i rozwścieczonych cywilów ruszył zatem do ataku. Ich celem było wyparcie nieprzyjaciela z murów od Portal Nou do Świętej Klary. Łatwiej byłoby dojść do Gibraltaru, wyrwać skałę nad cieśniną i wystawić ją na pokaz w Santa María del Mar^[117].

Jimmy rozstawił na tym odcinku tysiące żołnierzy i setki saperów, na wypadek, gdyby jakiś szaleniec powążył się wydrzeć mu jego zdobycze. Gdyby

chodziło tylko o jednego szaleńca! Tragizm polegał na tym, że były ich setki. Ruszyli za chorągwią świętej Eulalii niczym stado baranów, bardziej zajęci pilnowaniem, by wizerunek patronki nie doznał uszczerbku, niż zabijaniem wrogów. To było straszne. Szli, dziesiątkowani przez lecące zewsząd kule, jedni padali, inni parli naprzód.

Dotarli do murów. Droga wałowa miała tu zaledwie kilka metrów szerokości. Wojska zderzyły się niby płynące naprzeciw siebie fale. Kolejny obraz z owego dnia: fioletowe mundury naszego szóstego batalionu przemieszane z białymi uniformami wrogów w walce na bagnety. Wbrew wszelkim przewidywaniom przeszli całkiem spory odcinek zajęty przez burbończyków. Tłum wokół fiołkowej dziewczeczki rzednął, a oni parli naprzód, wykrzykując przekleństwa i spychając nieprzyjaciela z murów.

Wówczas odkomenderowano mnie na główną linię szturmową i chwala Bogu, bo oszczędzono mi widoku owego zbiorowego samobójstwa. Wkrótce potem, kiedy walki jeszcze trwały, ewakuowano Casanovę. Podobno został ranny w nogę. Widzieliśmy, jak przenoszą go w lektyce do szpitala. Cóż, nie jestem chirurgiem, ale na moje oko wyglądało to co najwyżej na lekkie draśnięcie. Większy uszczerbek odniósł na duchu niż na zdrowiu, to pewne, albowiem mijając nas, wyprostował się i powiedział:

– Idźcie, panowie, dodajcie naszym otuchy, gdyż wielkie czyhają tam niebezpieczeństwa – i odwrócił głowę w inną stronę.

Dowiedzieliśmy się później, że gdy zakładano mu krępulec, medyk już wypisywał świadectwo zgonu, żeby Casanova mógł zwiać. Zostawmy to.

Obrazy, strumień obrazów. Barykady we wszystkich wylotach ulic, zagrządzające burbończykom dostęp do serca miasta. Ku własnemu zdziwieniu Jimmy odkrył, że wbrew wszelkiej logice poliorcetycznej zdobycie murów nie oznaczało końca szturmów, lecz zaledwie jego prolog. Zgodnie z ową logiką załoga twierdzy wysłałaby doń parlamentariusza. Lud Barcelony walczył dalej, zmieniając każdy dom w bastion. Tu mogłem się wykazać jako inżynier. Uliczki były wąskie, niewielką zaporę dało się wznieść w mgnieniu oka, a nim cywile zdążyli zbudować parapet, już stawali tam żołnierze i strzelali do idących w awangardzie burbońskich oddziałów.

Za jedną z owych małych barykad wpadłem na Ballestera. Przyprował ze sobą posiłki. Tak, Ballester: kolejny obrazek z owego 11 września. Dzień ów miał być ostatnim w jego życiu, a on był tego w pełni świadom. I wiecie co? Kiedy ładował broń i strzelał bez wytchnienia, wyglądał na człowieka szczęśliwego. Była to jakaś odświętna radość, radość kogoś, kto poprzysiągł pić do rana i na umór.

Niezliczone obłoczki prochu przesłaniały nam widok. Ballester jednak dostrzegł coś i odłożywszy stempel, szarpnął mnie za ramię.

– Tam! Dzieciak waszmości! I karzełek! Przed linią wroga! Patrz, patrz!

Podniosłem oczy i zobaczyłem tych dwóch gagatków biegnących przez wolne pole pomiędzy murami zajętych przez burbończyków a wylotem ulicy. W powietrzu świsnęły tysiące kul, ja zaś w myślach zakrzyknąłem: „A was gdzie znowu niesie?!”. Zaledwie kilka godzin temu Anfán przysięgał mi uroczyście i już złamał słowo. Biegli na oślep, rzecz u nich niezwykła. Zwykle truchtali jak hieny, wiedzeni niezawodnym węchem, jakby mieli busole w nozdrzach. I nagle padli. Patrzyłem na to przez rozbrliski wystrzałów i chmury dymu. Najpierw Nan. Anfán przystanął, obejrzał się, jakby chciał zawrócić, lecz sam upadł także, z okrzykiem raczej zdziwienia niż bólu. Ogień burbończyków wciąż się nasilał, leciał na nas istny grad ołowiu, więc ledwo mogłem wychylić głowę znad barykady. Nan i Anfán zniknęli mi z oczu. Pociągnąłem Ballestera za rękaw.

– Trafili ich? – zapytałem z płaczem. – Widziałeś? Na pewno?

Ballester spojrzał na mnie, a jego odpowiedzią było milczenie. Wówczas usłyszeliśmy jakieś jęki. Gasnący głos dobiegający przez huk wystrzałów: *pare, pare, pare...*^[118] W chwili agonii Anfán znowu stał się dzieckiem. Wpadł do jakiegoś dołu, poza moim polem widzenia. Rozpacz moją spotęgowały jeszcze słowa Ballestera, który westchnął z powagą i smutkiem:

– Woła waszmości.

Wówczas skończył się świat. Bo świat się kończy wtedy, kiedy twoje dziecko po raz pierwszy nazywa cię „tatą”, a powiedziawszy to, umiera. Bezimienna siła, która utrzymuje nas przy życiu, osłabła. Przez długą chwilę moje ciało było puste. Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak długo tak klęczałem, przejęty bólem. Pamiętam tylko pochyloną nade mną twarz Ballestera.

– Chodźmy. Trzeba iść.

Bitwa huczała wokół nas, lecz cała ta hekatomba zdawała mi się odległa i pozbawiona znaczenia. Owładnęła mną jakaś sprośna, niestosowna gnuśność. Raz po raz wybuchałem głośnym śmiechem. Ballester włókł mnie za sobą, a ja zeń kpiałem. Kpiałem ze wszystkiego.

Prowadził mnie na tyły. Dojrzałem Pereta. Nie chciałem słyszeć tego, co mówił mi wyraz jego twarzy. Znajdowałem się w stanie podobnym do owych chorych marzeń sennych, w których wszystko jest na odwrót. Pomyślałem, a może powiedziałem, nie wiem: „Ostrzegałem tę kobietę, żeby nie ruszała się z plaży”. Peret i reszta odparli niczym chór zjaw: „Jesteśmy na plaży, Martí”. Spojrzałem pod stopy, padłem na kolana i rzeczywiście – ugrzązłem w brudnym piasku. Opętało mnie nagle pytanie, które powinienem był zadać sobie dużo wcześniej.

O czym chciał mi powiedzieć Anfán? Co mogło być tak ważne, że poszedł mnie szukać, chociaż stanowczo mu tego zakazałem? Przedemną – leżące bezwładnie ciało Amelis.

– Zabłąkana kula – odezwał się czyjś starczy głos, być może Pereta.

Nawet nie próbowałem buntować się przeciwko jej śmierci; zbyt wiele już

trupów widzieliśmy. Zielonkawa skóra pod paznokciami mówiła wszystko. Ballester przygryzał własną pięść. Owego 11 września 1714 wycierpieliśmy tyle, że każdy nowy ból musiał cierpliwie czekać na swą kolej.

Przytuliłem policzek do jej twarzy. Zaczynała stygnąć. Tak, śmierć to bezwstydnym chłód. Nie, wystygłe ciało nie ożywa. Ona ożyła. Wyprężyła się nagle i usiadła.

Wszyscy odskoczyli do tyłu. Zobaczyłem oczy Amelis, otwarte, a w nich cały nasz wszechświat, wszystko. Prawą ręką uczepliła się mojej piersi. Próbowwała przemówić. Wiedziałem, że jest martwa, że wróciła tylko po to, żeby mi coś powiedzieć, zanim na wieczność pograży się w niebyt. Wróciła. Na tę jedną chwilę.

W moich sponiewieranych wspomnieniach pojawia się przerwa w bitwie. Wszystkie dźwięki zamarły w oczekiwaniu na słowa Amelis. Rzecz jasna, nic takiego nie miało miejsca. Sądziłem wówczas, że przeżyłem już wszystkie okropności. Lecz czekała mnie jeszcze jedna: cztery słowa, najstraszniejsze, jakie może usłyszeć ojciec:

– Martí – szepnęła – *tingues cura d'Anfan*^[119].

I to był koniec; mięśnie jej zwiotczały, a raczej zwiotczała jej dusza.

Jak znieść myśl, że nie mogę spełnić tej prośby, że już na to za późno, że przykuwała mnie do tego świata cierpieniem ponad moje siły? Amelis nie wiedziała, że Anfán nie żyje, że zginął, bo chciał ją ratować, bo szukał mnie, bym pospieszył jej na ratunek. Nawet Ballestera ogarnęło współczucie. Zacisnął ukryte pod bujną brodą szczęki i odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na mój ból.

Obrazy. Tym razem jestem w Fossar de les Moreres, przy wielkim dole, w którym grzebano poległych w obronie miasta. Wokół wciąż toczy się walka, lecz ja, obojętny na wszystko, niosę zawinięte w koc ciało Amelis. Obok mnie idzie Ballester. Jeden z grabarzy pyta nas, zgodnie z regulaminem:

– To nasz?

Władze zabraniały kalania świętej ziemi trupami burbończyków. Nawet się nie potrudziłem, by coś odpowiedzieć. Ballester zamierzył się na niego pięścią i grabarz czmychnął co sił w nogach.

Zszedłem do ogromnej wspólnej mogiły. Czerwoni aksamitnicy, bardzo zapobiegliwi, kazali wykopać dół głęboki na pięć pięt. Teraz jednak, pod sam koniec oblężenia, dno było tak płytkie, że prawie sięgało poziomu gruntu. W huku armat pochowałem moją Amelis. Kiedy na klęczkach układałem jej ciało, najdelikatniej, jak mogłem, Ballester czujnie obserwował bitwę.

Zabłąkana kula. Po życiu pełnym niebezpieczeństw, nieszczęścia i nędzy Amelis zginęła przez głupi przypadek. Zabłąkana kula! To ja byłem tą kulą. I musiałem to obwieścić światu.

Nie wstając z kolan, wyznałem przez szloch:

– To ja ich zabiłem. Amelis. Anfana. Karzełka. Wszystkich.

Ballester przymrużył oczy i zapytał:

– Co tam waszmość mamroczesz?

Zanosząc się od płaczu, z twarzą zalaną łzami, odparłem:

– To ja zaprojektowałem burbońską transzeję. Kiedy byłem w niewoli, po tamtej stronie. Myślałem, że robię nam przysługę, że zmniejszę zagrożenie dla miasta, ale sam siebie oszukałem.

Przysięgam, zapragnąłem wtedy, żeby wyciągnął nóż i poderżnął mi gardło, co powinien był uczynić już w Beceite. Ujrzałem z całą jasnością, że tych siedem minionych lat to tylko sen. On jednak, zamiast mnie zabić, wykrzyknął z gniewnym niedowierzaniem:

– O czym waść gadasz? Kogo obchodzą twoje rachunki, linijki i cyrkle? Wyjmij wreszcie łeb z kałamarza i walcz!

– Dałem z siebie wszystko. I nie zrobiłem tego ani dla miasta, ani dla swoich, ale dla inżynierii. Taki projekt to marzenie maganona. Naprzeciw niepokorne miasto, a w zasięgu ręki wszystko, co potrzebne do zbudowania transzei doskonałej. Kiedy obmyślałem pułapki i fortele, powodowała mnie wyłącznie ambicja, by przewyższyć moich mistrzów, być lepszym niż kuzyn wielkiego Vaubana. Uległem pokusie. A potem sam przed sobą uciekłem. Tę plamę zmyć mogłem tylko w jeden sposób: wrócić do skazanej na klęskę twierdzy i oddać życie, dobrowolnie stać się ofiarą własnego dzieła.

Chciał mnie wyciągnąć z dołu, ale odepchnąłem jego rękę.

– A wiesz, co jest najgorsze? – Popatrzyłem mu w oczy, szukając w nich wyroku. Albo raczej mając nadzieję, że go wykona. Dlatego dokończyłem: – Gdybym naprawdę kochał moich bliskich bardziej niż inżynierię, gdybym miłość kochał bardziej niż próżność, nie zaprojektowałbym żadnej transzei, ani dobrej, ani złej. Uczciwy człowiek nie służy diabłu nigdy, ani dobrze, ani źle.

– Ale waszmość temu diabłu zaszkodziłeś – odparł na moją obronę. – Psując transzeję, podarowałeś miastu kilka dni życia.

– Po co? Rozejrzyj się waść wkoło siebie. Jeśli przeżyję, zawsze będę musiał dźwigać tamto brzemie, pamiętać, że to ja byłem sprawcą zagłady.

Ballester pokręcił głową, lecz ja upierałem się przy swoim.

– Co jest prawdą? Nasze czyny czy uczucia, które nimi kierują? A ja wiem, że mną kierowała próżność, nie miłość, nie patriotyzm. I wydałem moich najbliższych na śmierć.

Szłochałem tak, że omal nie wypłakałem oczu. Ballester przyklęknął na jedno kolano, mocno uchwycił w dłonie moją twarz i wbił we mnie straszny wzrok. Świat cały walił się w gruzy. Ballester – teraz to wiem – świadom był, że to nasza ostatnia rozmowa.

– Wiesz, w czym rzecz? Jaki z tobą kłopot? – powiedział. – Walczysz tylko za żywych. Francuzi, Hiszpanie i czerwoni aksamitnicy zabili mi ojca, zabili matkę, zabili moich braci. Mam tylu zmarłych, że zrozumiałem, iż nie zdołam pomścić wszystkich. Nie walcz za żywych, nie walcz za zmarłych. Ci, co przyjdą po nas, może będą przeklinać nasze czyny. Dlatego że popełniamy błędy, dlatego że ponieśliśmy klęskę. Ale niech się wstydzą za to, co zrobiliśmy, a nie za to, czego żeśmy nie zrobili.

Pochlipywałem jeszcze, bezsilny, na klęczkach. Wstał. Skulony na ziemi, czułem się przy nim jak dziecko. On zaś rzekł, patrząc na mnie z góry:

– Naprawdę sądzisz, że świat kręci się wokół tej twojej pieprzonej transzei? Wiesz, co ci powiem? Oby to było największe dzieło twego życia. Bo jeśli nie, to jakąż nam chlubę przynosi bijatyka ze zgrają straszycy w białych szatkach?

Ballester zdobył się na akt najwyższej miłości mężczyzny wobec mężczyzny: podźwignął mnie i postawił na nogi.

– Chodźmy, prędko! – krzyknął niecierpliwie.

I wróciliśmy do bitwy. Poszedłem za nim, bo jak sędzę nie miałem wówczas najmniejszej chęci, by przeżyć Amelis i Anfana. I moją transzeję.

Wycofując się, część oddziałów Coroneli zajęła pozycje przy absurdalnych, niedokończonych zasiekach nad wykopaną za murami fosą, która miała powstrzymać szturm. Dziesiątki bojowników przycupnęły w błocie na dnie i strzelały tuż nad ziemią. Fala burbończyków już na nich szła, za chwilę nasi mogli utknąć w podziemnej pułapce. Wskoczyliśmy z Ballesterem do głębokiego na ponad półtora metra rowu i zaczęliśmy ich stamtąd wyganiać.

– Wyłazić! Już! Do tyłu! Do tyłu!

Wypychaliśmy ich w górę, biegnąc po chrzęszczącym pod nogami kruszywie. Machałem ręką w stronę ulic za naszymi plecami i krzyczałem:

– Do kamienic! Strzelajcie z okien!

Ruszyliśmy dalej fosą, wypędzając z niej ludzi. Zanim się obejrzelśmy, burbończycy zaatakowali. Dziesiątki, setki żołnierzy w białych mundurach zeskakiwały na dno okopu, co najmniej jeden regiment. Barcelończycy i Francuzi wyrzynali się nawzajem, kłuli bagnietami, w rowie i nad rowem. Chciałem stamtąd wyjść, ale kiedy dopchałem się do ściany, ktoś chwycił mnie za szyję i upadłem na ziemię. Pamiętam, że zapadając się w błoto, zdążyłem pomyśleć jeszcze: „Dlaczego nie dźgnęli mnie w plecy?”. Otóż okazało się, że sprawcą mojego upadku był nie kto inny, tylko mój dobry znajomy, kapitan Antoine Bardonche.

Wraz z kilkoma uzbrojonymi w bagnety Francuzami oczyszczał fosę z niedobitków. Jemu także dzień ów dał się mocno we znaki. Raz wreszcie uwał sobie bielutki mundur i usmolił twarz. Napierśnik miał zbryzgany krwią.

Przytknął mi do nosa koniuszek szpady i powiedział:

– *Mon ami, mon ennemi. Rendez-vous*^[120].

– *Ah, non!* – odparłem urażonym tonem, jak ktoś, od kogo żądają spłaty cudzych długów. – *Ça jamais!*^[121].

Tak, dobrze przeczytaliście, Zuvi Długonogi, ów nędzny szcur, odmawia tego, do czego nawoływał, odkąd zaczęło się oblężenie. Nie miałem przy sobie nawet szpady Pereta, uciekłem się więc do szlachetnego podstępu: sypnąłem Bardonenche’owi w oczy garść ziemi, żeby na chwilę go oślepić, i wziąłem nogi za pas. Jego ludzie wdali się w pojedynek na bagnety z miqueletami Ballestera, a kapitan otarł twarz i pobiegł za mną. Wpadłem w jakąś dziurę w dnie fosy, potknąłem się o czyjś trup, wyrwałem mu karabin i dysząc ciężko ścisnąłem w garści bagnet niczym dzidę. Bardonenche zatrzymał się i westchnął.

– Nie rób tego – powiedział.

Nieszczęsny Bardonenche, nieszczęsny ja, nieszczęśni my wszyscy. Jego mina wyrażała litość i skruchę. Ja rzecz jasna czułem się jak szcur osaczany przez tygrysa. Wyobraźcie sobie zero wielkie jak tarcza księżycy. Takie były moje szanse na pokonanie Antoine’a Bardonenche’a, pierwszego szermierza Europy.

Nadal uważam, że Martí Zuviría powinien był zginąć owego 11 września w błotnistym dole. Lecz nagle z krawędzi fosy zeskoczył Ballester, runął na Bardonenche’a i obaj potoczyli się po grząskim dnie. Nie byłem aż tak głupi, żeby nie skorzystać z okazji, przysiadłem, odbiłem się swoimi długimi nogami od ziemi i jednym susem prysnąłem z pułapki.

Białe mundury były wszędzie, za linię zasieków przedarły się już setki Francuzów. Gwardziści Bardonenche’a osłaniali swego kapitana, miqueleci – swego. Ludzie Ballestera strzelali i dźgali jak opętani, lecz napór burbończyków wciąż przybierał na sile. Wokół panował straszliwy zgiełk. Czterdzieści tysięcy karabinów strzelało w całym mieście, bez przerwy, bez żadnego ładu, w rytm ogłuszających werbli. Musieliśmy natychmiast się stamtąd wycofać.

Po raz drugi odkąd się poznaliśmy, zawołałem Ballestera po imieniu:

– *Esteve!* – ryknąłem na czworakach znad zasieku. – *Wyłaż! Wyłaż stamtąd, na miłość boską! Waść nie znasz tego człowieka! Surti!*^[122].

Ballester przeczuwał, że francuski kapitan będzie bardziej odeń biegły w sztuce fechtunku. Wszelako podczas walki wręcz, w ciasnocie fosy, przewaga Bardonenche’a malała. Ściany wykopu ograniczały mu swobodę ruchu, więc nie mógł użyć swoich technicznych sztuczek. Okładali się pięściami, gryźli i drapali jak zwierzęta.

Tak czy inaczej, nawet Ballester nie mógł w nieskończoność odpierać sztychów owego mistrza szpady. Bardonenche zdołał się wreszcie uwolnić, odskoczył i błyskawicznym ruchem przebił mu wątrobę na wylot. Klinga zagłębiła się po rękojęść. Ballester, z ostrzem sterczącym z pleców, odwrócił się, spojrzął w górę, zobaczył mnie i powiedział coś, co będę pamiętał aż po grób:

– *Idź! Twoje życie jest ważniejsze niż nasze!*

Były to jego ostatnie słowa. Potem usłyszałem gardłowe wycie, głośniejsze od huku wystrzałów. W przedśmiertnym skurczu palce Ballestera zakrzywiły się niby szpony. Wbił wzrok w oczy Bardonenche'a, który odruchowo cofnął głowę, tylko głowę, co było błędem. Najrozsądniej byłoby puścić szpadę i odepchnąć Ballestera kopniakiem. Przypuszczam, że w świecie Bardonenche'a kawalerowi nie wypadało rozstawać się z bronią. Honor go zabił.

Bardonenche krzyknął, zadarłszy hardo podbródek, a Ballester resztkami sił zatopił zęby w jego gardle. Upadli na ziemię rozmokłą po deszczu. Potoczyli się zwarci w uścisku. Ręce Ballestera szarpnęły za zwisający z szyi przeciwnika rzemyk. Była to sakiewka Busquetsa, sędziwego miqueleta z Mataró. Ballester, zakrwawionymi palcami, wepchnął ją Bardonenche'owi w usta. Ciałem kapitana wstrząsały drgawki.

Reszta miqueletów poległa. Garstka Francuzów pospieszyła na ratunek swemu dowódcy, dżgając bagnietami Ballestera. W bitewnym zapale kilka sztychów dobiło splecionego z nim w uścisku Bardonenche'a. Po wszystkim oba ciała wyglądały jak jedna bezkształtna postać, spowita całunem błota. Dwaj ludzie o losach tak odmiennych, tak doskonale sobie obcy, zrównani przez śmierć, jakby ich przeznaczeniem było skończyć we wspólnych objęciach.

Odwrociłem się i pobiegłem tak szybko, jak nigdy dotąd. Biegnij, Zuvi, biegnij! Przystanąłem dopiero, kiedy zabrakło mi tchu. Wyczerpany, osunąłem się na uliczny bruk, gdzieś za rogiem. Nie mogłem uwierzyć w to, że wszyscy nie żyją. Amelis, Anfán, Nan. Ballester. A bitwa wciąż trwała. Widziałem jeszcze wiele. Śmiałkowie, których nigdy bym nie podejrzewał o brak odwagi, uciekali i kryli się po domach. Tchorze, którzy ani razu nie pojawili się na murach, z siekierami rzucali się na wroga. Potrzebowałbym całej stronicy, żeby wyliczyć szlachciców, którzy w czerwcu 1713 głosowali przeciw wojnie, a 11 września 1714 zginęli w obronie miasta.

Możemy stawiać sobie wiele pytań i wszystkie byłyby uprawnione. Po co tyle ofiar na marne? Czy potrzebne były światu te tragedie, te dodatki nadzwyczajne w gazetach, ci ludzie, których życie było krótkie i płomienne niczym lot meteoru? Dziś wiemy, co się stało potem. Kajdany dla oficerów, pognanych niczym bydło do Kastylii, z don Antoniem na czele. Chorągiew świętej Eulalii zdobyta i przewieziona do madryckiego sanktuarium Naszej Pani z Atocha^[123]. Dziesiątki lat wojskowej okupacji całego kraju. Barcelona w rękach tego płatnego mordercy z Antwerpii, Verbooma.

Myślę właśnie o jednym z przywódców miqueletów, Josepie Moraguesie. Włóczyli go końmi po wszystkich ulicach Barcelony. Potem ścięli go, a ciało poćwiartowali. Jego głowę burbończycy włożyli do żelaznej klatki i wyzbywszy się wszelkiego wstydu, zawiesili na miejskiej bramie. Pozostała tam, pohańbiona ku przestrodze rebeliantów, przez dwanaście długich lat – dwanaście! – mimo próśb

osieroconej wdowy.

Czy znacie większą podłość, większą krzywdę? Tak, być może to, co uczyniono Manuelowi Desvallsowi. Nie poddano go cielesnym torturom, dla niego udręką było to, że nie zginął. Desvalls prowadził działania wojenne za murami. Kiedy udawał się na wygnanie do Wiednia, nie mógł wiedzieć, że spędzi tam resztę życia. Rzecz w tym, że dożył setki. Możecie to sobie wyobrazić? Więcej lat spędził z dala od ojczystej ziemi niż na niej, odmówiono mu powrotu do domu po wsze czasy. Sto lat. Cały wiek. Ja podążam tą samą drogą.

A może powinienem wspomnieć o kobietach, naszych kobietach, wszystkich tych kobietach, które trwały przy nas, rozgoryczone, że nie pozwalamy im walczyć na murach? A może o Castellví, Francescu Castellví, kapitanie barcelońskich welurników i niepoprawnym marzycielu? Na wygnaniu poszedł drogą literatury, a raczej zabrnął w zaułek bez wyjścia. Uparł się, że poświęci życie spisaniu wielkiej kroniki naszej wojny. Przez dziesięciolecia korespondował z uczestnikami walk po jednej i po drugiej stronie, pochodzącymi z rozmaitych krajów Europy. Napisał księgę, liczącą pięć tysięcy stron a może więcej, dużo więcej, bezstronne świadectwo wszystkich bohaterskich czynów. I wiecie co? Dopóki żył, nie znalazł się nikt, kto chciałby wydrukować choć jedną linijkę.

Lecz przede wszystkim myślę o don Antoniu. Don Antoniu de Villarroel y Peláez, który wyrzekł się honoru i chwały, rodziny i życia, by wbrew wszelkiemu rozsądkowi dochować wiary bezimiennym ludziom. On, syn surowej kastylijskiej ziemi, dziedzic wszystkiego, co w niej najlepsze, poświęcił samego siebie w obronie Barcelony. A jaką otrzymał zapłatę? Nieustanną udrękę, wieczne zapomnienie.

Mającą niby w delirium, rozmyślałem o innej osobistej tragedii: Anfán zmarł, ale przecież miałem jeszcze jednego syna, którego nigdy nie poznam, i nie znajdzie się nikt, kto mógłby mu powiedzieć, że jego ojciec walczył i zginął w obronie wolności ludzi, o których on nigdy niczego się nie dowie. Nie, rzekłem sobie, to nie tylko moja zgryzota: kiedy już nas pokonają, kiedy polegniemy, wszystkie nasze dzieci będą wychowywać zwycięzcy.

Świat, pytanie bez odpowiedzi. Maleńki okrąg zamieszkanym przez głupców, którzy jej szukają. Wszystko na nic.

A jednak wątpliwości trwają. Albowiem wszyscy ci ludzie, mężczyźni i kobiety, nie musieli wychodzić na mury. Mogli zostać w swoich domach, otworzyć drzwi tyranowi. Poddać się, paść na kolana, błagać o życie. Ale nie zrobili tego. Bili się. Wiedząc, jak nikłe są ich siły, wytrzymali trzynaście straszliwych miesięcy. Umrzeć, żeby w spadku przekazać jedno słowo, umrzeć, żeby potomni mogli powiedzieć po latach: „Mój ojciec bronił naszych bastionów”. Tak właśnie myślał Ballester, wszyscy Ballesterowie.

Po śmierci Ballestera błąkałem się bez celu, ani żywy, ani umarły. Nie wiem,

jak długo ani gdzie. Odgłos wystrzałów zdawał się nieszkodliwym brzęczeniem, czymś niegodnym uwagi. Spostrzegłem, że ktoś do mnie macha.

– Don Antonio wzywa wszystkich do siebie – powiedział.

Obrazy, luki, błoto pamięci. Ale słowa „don Antonio” wskrzeszały martwych.

Nagle jestem oto na placu Born, w samym środku miasta. Obojętny na strzelaninę, don Antonio zbiera oddział na ulicznym bruku. A cóż to za oddział... Resztki. Niedobitki Coroneli, ranni wywleczeni ze szpitala, dzieciaki, kilka kobiet. Paru księży.

Don Antonio szykował się do drugiego kontrataku, żeby odbić mury z rąk wroga. Nedorzeczne, bo burbończycy dotarli już na przeciwległy koniec placu. Tysiące białych mundurów, pierwszy szereg żołnierzy w przykłęku. Po naszej stronie, poza don Antoniem, nie było więcej niż kilkudziesięciu kawalerzystów. Resztę stanowiła piechota, którą dwóch oficerów próbowało ustawić w szyku.

Don Antonio, z konia, na przedzie, wygłosił krótką mowę. Huk był taki, że nic nie mogliśmy dosłyszeć. Nieważne zresztą, co powiedział. Raz po raz przelatywała tuż obok niego jakaś kula, jedna odbiła się od ostrza szabli. Spośród niezliczonych wystrzałów z 11 września 1714 zapamiętałem tylko brzęk owej kuli, gdy metal zadźwięczał o metal. W odpowiedzi don Antonio wznosił szablę jeszcze wyżej. Spojrzałem na niego. I wiecie co? Promieniał.

Pojęcie „szczęścia” zupełnie doń nie pasowało. Don Antonio nigdy nie był szczęśliwy, tak jak gąbka nie ogląda słońca, dopóki ktoś nie wyrwie jej z morskiego dna. To było co innego. Zamierzał przekroczyć wyznaczoną sobie granicę i w końcu znalazł sposobność, by uczynić to, nie tracąc honoru. Owego dnia nareszcie to nie on żądał niemożliwego od swoich ludzi, lecz stało się na odwrót. I uszczęśliwiony poprowadził ich do szaleńczej szarży.

A Słowo? O ironio, zacząłem tę książkę z mocnym postanowieniem, by objawić je światu, a po tylu zapisanych stronicach słowo, to jedyne słowo, nie ma właściwie żadnego znaczenia. Albowiem w tym ostatnim zrywie odeszliśmy już daleko od słów.

Słowo było tym właśnie. Tymi dziećmi, tymi kobietami, tymi mężczyznami pochodzącymi ze stu różnych miejsc. Zbitymi w gromadę za wierzchowcem don Antonia. Formującymi bezładne szeregi, by ruszyć do konnej szarży bez koni. Niespełna tysiąc naprzeciw pięćdziesięciu tysięcy. A jednak być może istnieje gdzieś w słownikach wizerunek Słowa, jego blade, bardzo blade odbicie, jego daleki odpowiednik.

Rzuciliśmy się do ataku, wrzeszcząc jak horda dzikusów u bram Rzymu. Burbończycy na drugim końcu placu czekali w zwartym szyku. Niezliczone, równe szeregi, tysiące karabinów mierzących nam między oczy. Salwa za salwą, w równiutkich odstępach jedna od drugiej. Oficerowie ochrypli od krzyku. *Feu,*

feu, feu!^[124]. Ludzie padali po mojej lewej, po mojej prawej. Szlochy, jęki, żale. Don Antonio jechał na czele, jak ongi starożytni wodzowie, istne szaleństwo, galopując ze wzniesioną szablą. Dosięgli go rzecz jasna.

Wierzchowiec przewrócił się na prawy bok. Upadając, przygniótł swoim cielskiem don Antonia, któremu kolano uwięzło pomiędzy siodłem a kamiennym brukiem placu Born. Kości trzasnęły jak rozłupany orzech.

Koń wierzgał niczym przypiekany ogniem. Wyginał szyję i srał bez chwili przerwy. Nie wiem dlaczego, ale wryło mi się w pamięć to jego rżenie i zwały łajna. Przyskoczyłem do generała jako pierwszy. Przyklękawszy, chwyciłem go pod pachy i zacząłem wyciągać spod nieszczęsnego zwierzęcia. Z początku nie spostrzegłem jego spojrzenia.

Było tak, jakby Villarroel nie rozumiał, że go ratuję. Choć uwięziony do połowy pod ciężarem konia, złapał mnie swoim wielkim łapskiem za kurtkę, szarpnął gwałtownie, przysuwając moją twarz do swojej, i powiedział coś, co przypominało Słowo bardziej niż wszystkie inne, które dane mi było usłyszeć. Nie wypowiedział go cesarz w godzinie chwały, lecz pokonany generał w chwili upadku; nie usłyszałem Słowa od dowódcy, lecz od człowieka, który przybył z kraju wroga, człowieka, który porzucił wszystko, by wstąpić w szeregi słabych i opuszczonych, dołączyć do garstki wyklętych i oddać za nich swoje życie.

Don Antonio zbliżył wargi do mego ucha i powiedział:

– Poddaj się.

Czułem, że dusza ze mnie ulatuje, a w głowie miałem taką pustkę, że, szczerze mówiąc, pamiętam tylko zamęt. Tylekroć powracałem wspomnieniem do owej chwili. Rozhuśtane wahadło śmierci, don Antonio na bruku placu Born, jego wierzchowiec srający nawet po zgonie, tysiące kul świszczących nam wkoło uszu. Dlatego być może, tylko być może, pamięć przeinacza to, co wypowiedziały wargi don Antonia.

Albowiem czasem, gdy przechadzam się po jesiennych polach, widzę w nagłym błysku przesłodzonych wspomnień dłoń Villarroela na mojej piersi i słyszę jego niewiarygodnie łagodny głos, mówiący: „Poddaj się, *fillet*”. Kiedy indziej znów, gdy mikstura ze sznapssem zwali mnie z nóg, staje mi przed oczami Villarroel w swoim najbardziej marsowym wcieleniu: „Poddać się, Zuviria. Najpierwsze i najważniejsze: poddać się”. Bywa wreszcie, że otumaniony cuchnącym trunkiem, wyjałowiony z wszelkich myśli, w rysach człowieka leżącego na bruku placu Born rozpoznaję twarz Vaubana i już nie Villarroel, lecz markiz we własnej osobie szarpie mnie za kurtkę i mówi: „Poprawna odpowiedź, aspirancie”.

Tak, nie jestem już pewien, kto powiedział, co powiedział i jak powiedział. Minęły dziesiątki lat, tyle razy Ziemia obróciła się wokół Słońca. W gruncie rzeczy co za różnica? Vauban powiedział „dowiedz się”; Villarroel powiedział „poddaj

się”. I tam, na tym zasłanym gruzami miejskim placu, Słowo rozpadło się w paradoks: „Nie dowiesz się, dopóki się nie poddasz, nie poddasz się, dopóki się nie dowiesz”.

Kilku innych oficerów podbiegło, żeby okryć rannego generała. W końcu Villarroel wstał. Z nogawki sterczały mu złamane kości, lecz on odepchnął wszystkich, którzy chcieli go ratować.

– Do szarży! Naprzód! Naprzód! – ryknął tym swoim głębokim kastylijskim głosem. – Przy mnie nikt się nie cofa! Nikt, kurwa wasza mać!

Biedny don Antonio. Jakże zadrwił sobie z niego los. Nawet owego 11 września generał nie znalazł chwalebnej śmierci, której tak pragnął. Ciężko rannego, zrzuconego z konia, adiutanci powlekli do szpitala. Wciąż widzę, jak się z nimi szarpie, wrywa się, jakby walczył z wrogiem. My zaś ruszyliśmy do ataku.

Nie do wiary, jak pogodne bywają nasze myśli w najtragiczniejszych chwilach. Może dlatego, że kiedy stoisz na ostatnim szczycie, zapominasz o urwistych zboczach, po których nie będziesz już musiał schodzić. Ładując broń, rzekłem sobie tylko: „Cóż, przynajmniej piąty Punkt jest już mój”.

Tysiące białych karaluchów jednocześnie podniosły karabiny, mierząc prosto w nas. Biegliśmy ku nim bezładną gromadą. Niespełna pięciuset niedobitków, starców, wdów, jeźdźców na koniach, koni bez jeźdźców, moich sąsiadów w podartych mundurach. Zobaczyłem, że burbończycy wytoczyli baterię złożoną z pięciu dział i ustawili ją na stercie gruzu. Mogli stamtąd strzelać ponad głowami własnych żołnierzy. „Nabili je garncami ze śrutem”, pomyślałem w biegu. I jeszcze: „Armaty wystrzelą o sekundę przed karabinami białych karaluchów”. Ujrzałem krągły wylot armatniej lufy patrzący mi prosto w oczy. Ujrzałem białożółty błysk.

Podmuch odrzucił mnie do tyłu, dziesięć, dwadzieścia metrów. Wiedziałem, że coś się stało z moją twarzą. W pierwszej chwili, co dziwne, skojarzyłem to raczej z nagością niż ze śmiercią. Byłem już na tamtym świecie. I odkryłem, że Amelis miała słuszość: kto chce usłyszeć muzykę, ten ją słyszy. Zmasakrowany, potwornie oszpecony, usłyszałem jej muzykę poprzez huk i jęki. „Podдай się, Zuviría, podдай”.

Powinienem był to zrozumieć dużo wcześniej, kiedy wieszali mnie burbończycy, a nawet jeszcze dawniej, przy łożu konającego Vaubana. „Odpowiedz: czym jest obrona doskonała?”. Tak, o to właśnie chodziło, tylko o to. Jesteśmy słowami na wietrze, niegodnym uwagi prochem, którego nie zniszczy czas. Gwiazdami, które wybuchają, roztrwonioną legendą. Prawdą, za którą jedynym zadośćuczynieniem jest sama jej świadomość. Fetorem ciepłego gówna rozlewającego się po gaciach w bojowym szyku. Ślepymi lunetami, bezużytecznymi peryskopami, lamentem. Miłosnymi sidłami, figurą dziecka na dziobie okrętu, roześmianą jak delfin. Drugim brzegiem rzeki. Przyznać, że nasze

oczy zawsze będą oglądały świat przez wizjer w drzwiach celi, wiedzieć, że kłosa spadają bez skargi. Mój duch złamany, moje rachuby zawiedzione. Poddać się, Zuviría, poddać.

I tam, gdzie ostateczny kres, za Eufratem, za Rubikonem, odkryć bez łkań – opoki i pociechy nielicznych i biednych, słabych i nieszczęśliwych – że im mroczniejszy jest nasz zmierzch, tym radośniejszy będzie świt tych, którzy nadejdą po nas.



CHRONOLOGIA WOJNY O SUKCESJĘ HISZPAŃSKĄ

HISZPANIA

EUROPA

1700

Umiera bezpotomnie Karol II „Zaklęty”, król Hiszpanii.

1701

Filip V ogłasza się królem Hiszpanii.

Zawarcie Wielkiego Przymierza przez Austrię, Anglię, Holandię i Danię.

1702

Wielkie Przymierze wypowiada wojnę Hiszpanii i Francji.

1703

Portugalia i Sabaudia przyłączają się do Wielkiego Przymierza.

1704

Austriacki pretendent do tronu Hiszpanii, Karol III, przybywa do Portugalii.

Francja traci czterdzieści tysięcy ludzi w bitwie pod Blenheim.

Kampania portugalska. Wojska angielsko-portugalskie atakują Hiszpanię z Portugalii, zostają jednak odparte przez siły francusko-hiszpańskie pod wodzą księcia Berwicka.

1704

Admirał Rooke zajmuje Gibraltar w imieniu Karola III Austriackiego, ale wciąga na maszt angielską flagę.

1705

Pakt genueński, na mocy którego grupa katalońskich stronników Karola III zawiązuje sojusz z Anglią przeciw wojskom Filipa V.

Karol III wkracza do Barcelony, którą ustanawia tymczasową stolicą swego królestwa.

1706

Filip V oblega Barcelonę, ale przybycie angielsko-holenderskiej floty zmusza go do wycofania wojsk.

Klęska Francuzów pod Ramillies.

Sprzymierzeni zajmują Madryt, jednak niepopularność Karola III wśród mieszkańców zmusza ich do opuszczenia miasta.

1707

Burbońskie wojska Dwóch Koron pokonują Sprzymierzonych pod Almansą.

Burbonowie zajmują Lleidę.

1708

Burbonowie oblegają i zdobywają Tortosę.

1710

Bitwy pod Almenar i Saragossą. Sprzymierzeni wkraczają do Madrytu po raz drugi, ale są zmuszeni go opuścić z powodu burbońskiej kontrofensywy.

Bitwy pod Brihuegą i Villaviciosą.

Girona zostaje zdobyta przez oddziały francuskie.

1711

Umiera cesarz Józef I Habsburg. Jego brat Karol zostaje obrany następcą tronu i wyjeżdża z Barcelony do Wiednia.

1713

Podpisanie traktatu ewakuacyjnego. Wojska Sprzymierzonych zobowiązują się do wycofania wszystkich oddziałów z terytorium Półwyspu.

W czerwcu wszystkie stany katalońskiego parlamentu wzywają do zbrojnego powstania.

Lipiec. Początek oblężenia Barcelony.

Pokój w Utrechcie. Mocarstwa europejskie ogłaszają pokój powszechny. Filip V zrzeka się praw do tronu francuskiego, a Karol III do korony hiszpańskiej. Anglia nie dotrzymuje zobowiązań paktu genueńskiego, zgodnie z którym – w razie klęski militarnej – miała być gwarantem konstytucji katalońskich.

1714

11 września. Szturm na Barcelonę i jej upadek.

Zniesienie konstytucji i swobód katalońskich.

1719

Wojna pomiędzy Francją i Hiszpanią. Francuskie wojska marszałka Berwicka, wraz z wcielonymi w ich szeregi pięcioma tysiącami Katalończyków, atakują i zajmują liczne twierdze na ziemiach hiszpańskiej Nawarry.

Powstańcy katalońscy kontynuują walkę z siłami Burbonów.

1725

Traktat pokojowy pomiędzy imperium hiszpańskim i Austrią.

SPIS POSTACI

ALEMANY, FRANCESC – szlachcic kataloński, który w 1713 roku sprzeciwił się obronie Barcelony. Stanął jednakże do walki, podporządkowując się wynikowi głosowania. Znalazł śmierć na polu bitwy.

AMELIS – postać fikcyjna.

ANFÁN – postać fikcyjna.

BALLESTER, ESTEVE – oficer miqueletów. Wedle kronik został pojmany przez Burbonów podczas potyczki w miejscowości Beceite, a później odbity przez swoich żołnierzy w heroicznym kontrataku. Mimo że w kontekście historycznym Ballester jest postacią drugorzędną, Zuviría poświęca mu w *Victusie* sporo miejsca, być może dlatego, że uznał go za typowego przedstawiciela chłopskiej partyzantki.

DE BARDONENCHE, ANTOINE – francuski kapitan, syn szlacheckiego rodu. Brał udział w oblężeniu Barcelony po stronie francuskiej. Wedle *Kronik Castellviego* stał się bohaterem kuriozalnego i błędnego epizodu, pominiętego przez Zuviríę. Otóż w trakcie pierwszej fazy oblężenia Bardonenche z własnej woli wszedł do miasta jako „zwiedzający”, zwabiony pięknem barcelońskiej architektury. Mimo że początkowo wywołał osłupienie, dogodzano jego chęci, a tym, któremu zlecono oprowadzić „gościa”, był sam Zuviría. Potem odstawiono go, całego i zdrowego, do obozu Burbonów, gdzie otrzymał naganę od księcia Popoli, jednak obyło się bez poważniejszych konsekwencji. Bardzo prawdopodobne jest, że Waltraud Spöring postanowiła wykreślić poświęcone temu strony – jak tyle innych – zanim oddała książkę do druku.

BASSONS, MARIÀ – barcelończyk, profesor prawa. Wstąpił w szeregi milicji miejskiej i brał udział w obronie, dowodząc własnymi studentami. Zginął w walce podczas bitwy o Świętą Klarę w sierpniu 1714 roku.

BASTIDA, JORDI – żołnierz kataloński, obrońca Benasque z 1709 roku. Podczas oblężenia przebywał w Barcelonie i poległ w sierpniu bohaterską śmiercią w bitwie o bastion Świętej Klary.

BATTLE, BALDIRI – szlachcic kataloński. Głosował przeciw broniению Barcelony przed oddziałami Burbonów. Zaakceptował wynik głosowania, niezgodny z jego przekonaniem. Zginął w obronie miasta.

BERENGUER, ANTONI – kataloński poseł wojskowy. Stał (wspólnie z generałem Rafaellem Nebotem) na czele nieudanej ekspedycji, mającej na celu wywołanie w kraju powstania i atak na tyły burbońskich kordonów. Z powodu swej nieudolności został po powrocie aresztowany i osądzony, lecz sprawa zakończyła się bardzo łagodnym wyrokiem.

BERWICK, JAMES FITZ-JAMES (JIMMY), KSIĄŻĘ – marszałek Francji, nieślubny syn króla Anglii, Jakuba. Wychował się we Francji, gdzie mimo pochodzenia z nieprawego łoża awansował w hierarchii społecznej dzięki swoim

licznym przymiotom. Zwycięzca w bitwie pod Almansą, w 1714 roku zdobył szturmem Barcelonę, przejąwszy dowództwo od księcia Popoli. Dwadzieścia lat później, w roku 1734, zginął w niejasnych okolicznościach podczas oblężenia Philippsburga w Niemczech.

BUSQUETS, JAUME – przywódca miqueletów. Jedyne wzmianki historyczne o tej postaci pochodzą od Castellviego, według którego Busquets na próżno usiłował zdobyć pozostające w rękach Burbonów Mataró.

CASANOVA, RAFAEL – adwokat kataloński. W 1713 roku objął cywilne zwierzchnictwo w oblężonej Barcelonie. 11 września 1714 został ranny. Przeżył burbońskie represje i na nowo podjął praktykę prawniczą.

DE CASTELLVÍ, FRANCESC – Katalończyk wywodzący się z drobnej szlachty, który walczył w Barcelonie w stopniu kapitana. Po 1714 roku zmuszony był schronić się w Wiedniu, gdzie oddał się pod opiekę cesarza Karola. Żył w biedzie, poświęciwszy się bez reszty spisaniu wielkiej kroniki wojny o sukcesję i oblężenia Barcelony – monumentalnych *Narraciones históricas*. Zmarł, nie doczekawszy publikacji swego dzieła, którego oryginał odnaleziono dopiero w XIX wieku.

CIGALET – sprawował funkcję kata w Barcelonie. Podczas oblężenia przyłapano go na rabowaniu zbombardowanych domów i natychmiast skazano na śmierć. Ciekawą okolicznością jest fakt, iż egzekucji dokonał jego pomocnik i przyszły zięć, który następnie zajął jego stanowisko.

VAN COEHOORN, MENNO – holenderski inżynier wojskowy, który stworzył teorię poliorcetyki, całkowicie sprzeczną z modelem opracowanym przez Vaubana. Był współczesnym markiza, starli się nawet bezpośrednio podczas oblężenia Namur, kiedy to osobiście złożył akt kapitulacji na ręce oblegającego miasto Vaubana.

COSTA, FRANCESC – kataloński oficer artylerii, którego kunszt wojenny wysławiali nawet jego wrogowie. Costa miał pod rozkazami liczną grupę Majorkanów, uznawanych za najlepszych kanonierów swoich czasów. Po upadku Barcelony marszałek Berwick zaproponował mu wstąpienie do armii francuskiej, oferując żołd więcej niż szczodry. Costa zbiegł.

DALMAU, SEBASTIÀ – członek zamożnej barcelońskiej rodziny, która oddała się w służbę Generalitat, kiedy wojska Sprzymierzonych opuściły Półwysep. Rodzina Dalmau wydała cały swój majątek na obronę miasta, opłacając z własnej kieszeni utrzymanie całego regimentu. Sebastià brał udział w walce, cierpiał prześladowania i dokonał żywota w Austrii, służąc cesarzowi Karolowi w stopniu pułkownika-lejtnanta.

DESVALLS, MANUEL – gubernator Cardony. Po 11 września schronił się w Wiedniu, podobnie jak wielu znamienitych stronników Austrii. Dożył stu lat. Jego brat Antoni dowodził powstaniem na katalońskiej prowincji.

DIAGO, FRANCISCO – miner, Aragończyk z pochodzenia, żołnierz brygady, która odnalazła największy burboński podkop ciągnący się pod murami Barcelony.

DRAĞAL – postać fikcyjna.

DUCROIX, ARMAND – postać fikcyjna.

DUCROIX, ZENON – postać fikcyjna.

DUPUY-VAUBAN – kuzyn Sébastiena Vaubana, który podobnie jak on poświęcił się inżynierii wojskowej. Dupuy uczestniczył w ostatnim akcie oblężenia Barcelony i został ciężko ranny w bitwie o bastion Świętej Klary. W ciągu całej swej żołnierskiej kariery odniósł w walce szesnaście ran.

DUVERGER – wysoki francuski oficer poległy podczas oblężenia Barcelony.

FERRER, EMMANUEL – Katalończyk pochodzący z niższej szlachty, który wyróżnił się jako rajca we władzach Barcelony. Podczas debat z 1713 roku był rzecznikiem oporu wobec wojsk burbońskich.

FILIP V – książę d’Anjou, wnuk Ludwika XIV, króla Francji, burboński pretendent do tronu hiszpańskiego po śmierci Karola II. Po rejteradzie armii Sprzymierzonych uznał opór Katalończyków za podżeganie do buntu i postanowił tępić „rebeliantów” ze szczególną zawziętością. Od najmłodszych lat przejawiał symptomy poważnego zachwiania równowagi umysłowej. Pod koniec życia Filipa objawy obłądzenia zaostrzyły się do tego stopnia, że zapuścił sobie paznokcie ponad trzydziestocentymetrowej długości, odziewał się w łachmany i sypiał w otwartej trumnie.

FILIPEK – patrz Filip V.

DE FIVALLER, CARLES – sędziwy poseł, w którym ucieleśniały się parlamentarne tradycje Katalonii. Podczas debat z 1713 roku – wbrew wszelkim przewidywaniom – okazał się gorącym zwolennikiem obrony miasta, co przechyliło szalę głosów.

GALWAY, HENRY MASSUE DE RUVIGNY, KSIĄŻĘ – angielski żołnierz i szlachcic pochodzenia francuskiego, który w 1704 roku został wysłany do Portugalii jako dowódca wojsk Sprzymierzonych. W 1707 pokonany przez Berwicka w decydującej bitwie pod Almansą.

JIMMY – patrz Berwick.

JÓZEF I – cesarz austriacki, brat Karola III, pretendenta do hiszpańskiej korony. Po jego śmierci w 1711 roku Karol wyjechał z Hiszpanii, by obwołać się nowym cesarzem, co spowodowało zmianę sojuszków, wskutek czego Katalonia została opuszczona przez część wojsk Sprzymierzonych.

KARLANGAS – patrz Karol III.

KAROL III – austriacki pretendent do tronu Hiszpanii. Od 1705 do 1709 roku, gdy walczył o hiszpańską koronę, za siedzibę swego dworu obrał Barcelonę.

W roku 1711, po śmierci brata, wyruszył do Wiednia, żeby koronować się na władcę Świętego Cesarstwa Rzymskiego jako Karol VI, pozostawiwszy Katalonię na łasce losu.

KTOS – chociaż Zuviría nazywa go „kuzynem księcia Orleanu”, dziejopisarze nie są zgodni co do tego, którą postać historyczną przedstawia. Niektórzy badacze Zuviríowego dzieła wysunęli nawet tezę, iż ktoś taki nigdy nie istniał, lecz stanowił syntezę wielu osób. Zuviría spersonifikował w nim całą swą pogardę dla arystokratycznych dowódców, którzy toczyli wojny bez znajomości techniki i wyłącznie dla osobistych korzyści.

LA MOTTE – francuski pułkownik-lejtnant, ranny w bitwie o Świętą Klarę. La Motte był tym oficerem, który ostatecznie przekonał Berwicka, żeby odstąpił od szturm, mimo że było to upokorzeniem dla armii Dwóch Koron.

LUDWIK XIV – król Francji nazywany Królem Słońce. Jako władca Francji zainicjował politykę imperialną, która doprowadziła do wojny o sukcesję hiszpańską. Pomimo przepychu Wersalu i dworskich splendorów kraj pod koniec jego panowania popadł w ruinę. Upadek Barcelony w roku 1714 świętowano w Paryżu odśpiewaniem *Te Deum*.

MARLBOROUGH – angielski żołnierz i arystokrata, który w czasie wojny o sukcesję pobił wojska francuskie kolejno pod Blenheim, Schellenberg i Malplaquet. Niezależnie od tego był oskarżony o malwersacje funduszy publicznych i niepotrzebne przedłużanie wojny dla osobistych korzyści, a w 1711 roku został pozbawiony naczelnego dowództwa. Marlborough był krewnym Berwicka, z którym prowadził prywatną korespondencję, chociaż walczyli po przeciwnych stronach barykady.

MASSUE DE RUVIGNY, HENRY – patrz Galway.

MATEU, JOSEP – barceloński miner, żołnierz brygady, która znalazła burboński chodnik minowy ciągnący się pod murami miasta i przygotowany do detonacji.

MIÉRDEZ – cudzoziemski oficer, nieznan z imienia, uczestniczący wraz z katalońskim wojskiem w tragicznej ekspedycji posła Berenguera. Castellví informuje tylko, że był to oficer relegowany przez dawnych przełożonych i że po swej niesławnej ucieczce poseł pozostawił oddziały pod jego rozkazami.

DAS MINAS – portugalski generał, który dowodził wojskiem swego kraju w bitwie pod Almansą. Das Minas miał wówczas ponad sześćdziesiąt lat. Chociaż postawa batalionów portugalskich w owym starciu była później surowo krytykowana przez angielskich sojuszników, brak jest dowodów dających podstawę do tych oskarżeń.

MOLINA, FRANCESC – barcelończyk włoskiego pochodzenia, który stał na czele brygad minerskich. Podczas oblężenia kierował pracami nad zakładaniem przeciwwin, znalazł największy burboński chodnik minowy i zniszczył go tuż

przed detonacją.

MORAGUES, JOSEP – przywódca kataloński, który walczył z burbończykami za murami oblężonej Barcelony. Po zakończeniu wojny został pojmany i stracony. Jego głowa przez ponad dziesięć lat była wystawiona przy jednej z miejskich bram, ku przestrodze przyszłych rebeliantów. Postać Moraguesa odkryli ponownie romantycy w XIX wieku, czyniąc z niego symbol wolnościowych dążeń Katalonii.

NAN – postać fikcyjna.

ORLEAŃCZYK, KSIAŻĘ FILIP ORLEAŃSKI – francuski arystokrata i żołnierz, który uczestniczył w wielu epizodach wojny sukcesyjnej, zarówno we Włoszech, jak w Hiszpanii. W 1708 roku kierował oblężeniem Tortosy, strategicznej miejscowości na południu Księstwa Katalonii. Po śmierci Ludwika XIV został regentem, a jego hulanki i orgie budziły zgorszenie w całej Europie.

ORTIZ – pułkownik, stronnik Austriaków, który odegrał znaczącą rolę w bitwie o Świętą Klarę, w trakcie okrążenia wysuniętej transzei wojsk burbońskich.

PALLARÈS, DÍDAC – mieszczanin z Barcelony, żołnierz milicji miejskiej, zwanej Pułkową (jej historyczna nazwa katalońska to Coronela). Podczas oblężenia zginęło lub odniosło ciężkie rany co najmniej trzech jego synów, walczących w tych samych oddziałach.

PERET – postać fikcyjna.

POLASTRON – francuski oficer wysokiej rangi, poległy w walce podczas oblężenia Barcelony.

POPOLI, RESTAINO CANTELMO STUART, KSIAŻĘ – szlachcic włoski w służbie Filipa V. Popoli żywił osobistą nienawiść do barcelończyków, ponieważ, jak twierdził, sponiewierali jego małżonkę podczas zamieszek z 1705 roku. W 1713 Filip V oddał pod jego komendę oddziały francusko-hiszpańskie, które miały rozpocząć okupację Katalonii. Wobec niespodziewanego oporu Barcelony Popoli przystąpił do oblężenia. Jednak kiedy okazało się, że przez dziewięć miesięcy nie potrafił zdobyć miasta, został odwołany, a jego stanowisko powierzono Berwickowi.

POTWÓR – patrz Ludwik XIV.

POU, JOSEP – lekarz z Vic, który za plecami rządu katalońskiego zaproponował wojskom burbońskim poddanie miasta.

PROSIAK – postać fikcyjna.

ROGER, LLUÍS – szlachcic kataloński, który głosował przeciw zbrojnemu oporowi Barcelony wobec Filipa V. Pogodził się z przeciwnym wynikiem głosowania i wziął udział w obronie miasta. Poległ na polu bitwy.

DE SAAVEDRA Y PORTUGAL, GREGORIO – żołnierz, stronnik austriacki, który podczas oblężenia pojawia się w chwilach krytycznych, jak bitwa

o Świętą Klarę. W ostatnich dniach walki Zuviría zajęty był budową chodników przeciwmurów. Być może dlatego nie wspomina, że do udzielenia responsu na burbońskie ultimatum wyznaczono Saavedrę. Kiedy markiz de Tserclaes zbliżył się do murów, by poznać odpowiedź miasta, Saavedra skierował doń te słowa: „Wspólne zgromadzenie postanowiło, co następuje: nie słuchać żadnych propozycji wroga. Czy wasza ekscelencja ma coś do powiedzenia?”. „Nie”. „Proszę zatem odstąpić, bo wznawiamy ogień”.

SALA, BENET – biskup Barcelony, który bez powodzenia prowadził zakulisowe mediacje, by w debatach z 1713 roku zapewnić przewagę zwolennikom kapitulacji. Pomimo tych wysiłków spotkały go po wojnie represje ze strony Burbonów.

DE SANT JOAN, NICOLAU – polityk kataloński, który podczas debat w 1713 roku przewodził stronnikom poddania miasta siłom burbońskim.

SANTA CRUZ (OJCIEC I SYN) – żołnierze, którzy dowodzili Korpusem Inżynierów w oblężonej Barcelonie. Zdezerterowali i zaoferowali swoje usługi dowództwu wojsk burbońskich. Propozycji nie przyjęto, a Santa Cruzów odstawiono do Alicante, co pozwala przypuszczać, że zajmowane przez nich stanowiska były jedynie tytularne.

SAUVEBOEUF – francuski żołnierz poległy w szturmie na Barcelonę.

STANHOPE, JAMES – angielski arystokrata i żołnierz, który w 1710 roku został wysłany do Hiszpanii jako dowódca sił ekspedycyjnych, mających położyć kres wojnie. Jego działania były ostro krytykowane, zarówno na poziomie wojskowym, jak politycznym. W tym samym roku dostał się do niewoli wraz z większą częścią swoich oddziałów. Stanhope poślubił córkę gubernatora Madrasu i rozpoczął karierę polityczną, niezbyt zresztą szczęśliwą, albowiem gdy piastował funkcję ministra finansów, rozpętał się kryzys, który pogrążył angielską gospodarkę, nazwany później „Bańką Mórz Południowych”.

VON STARHEMBERG, GUIDO RUDIGER – feldmarszałek austriacki wysłany do Hiszpanii przez Leopolda I, by wspomóc cesarskiego syna Karola, pretendenta do tronu Hiszpanii. Starhemberg był żołnierzem więcej niż sprawnym, a mimo to nie udało mu się odnieść żadnego decydującego zwycięstwa dla armii austriackiej. W 1713 roku był wicekrólem przy Carlosie III w Katalonii. Po traktacie ewakuacyjnym, który zobowiązywał Sprzymierzonych do wycofania wszystkich wojsk pozostających na ziemi hiszpańskiej, chciał poddać Barcelonę siłom burbońskim, lecz wobec stanowczego sprzeciwu ludu postanowił odpłynąć wraz ze swym wojskiem, pozostawiając barcelończyków ich losowi.

SZAST-PRAST – patrz Stanhope, James.

TIMOR, JAUME – dowódca kataloński, który w krytycznym momencie bitwy o Świętą Klarę, w sierpniu 1714 roku, walnie przyczynił się do tego, że obrońcy nie opuścili bastionu mimo rozpaczliwej sytuacji.

TOMEU – pułkownik, który wraz z pułkownikiem Ortizem przeprowadził okrążenie czoła transzei burbońskiej, co przypieczętowało klęskę strony francusko-hiszpańskiej w bitwie o bastion Świętej Klary.

VALÈNCIA, ANTONI – szlachcic kataloński. W 1713 roku głosował przeciw zamknięciu bram Barcelony i odparciu szturmowi Bourbonów. Zginął, broniąc miasta.

VAUBAN, CHARLOTTE – starsza córka Sébastiena Vaubana.

VAUBAN, JEANNE – młodsza córka Sébastiena Vaubana. Poślubiła francuskiego szlachcica, który wkrótce potem miał oszaleć, poszukując kamienia filozoficznego, po kilku wszakże latach niespodziewanie odzyskał rozum.

VAUBAN, SÉBASTIEN LE PRESTE – inżynier wojskowy i marszałek Francji, który unowocześnił sztukę budowania twierdz, a zwłaszcza poliorcetykę, doskonaląc metody oblężenia i ataku.

VENDÔME – marszałek Francji, którego Ludwik XIV wysłał do Hiszpanii z wojskowym wsparciem dla swego wnuka Filipa. W 1710 roku uczestniczył w zakończonych niepewnym zwycięstwem bitwach pod Brihuegą i Villaviciosa. Zmarł w 1712 roku w Vinaroz, wskutek niestrawności po zjedzeniu krewetek.

VAN VERBOOM, JORIS PROSPERUS – inżynier wojskowy pochodzenia holenderskiego w służbie hiszpańskich Burbonów. W 1710 roku ranny w bitwie i pojmany przez stronników Austrii. Więziony dwa lata w Barcelonie, gdzie zapoznał się z miejskim systemem obronnym. W 1714 roku powierzono mu wykonanie projektu transzei szturmowej, która umożliwiła zdobycie miasta. Później został budowniczym cytadeli, wzniesionej w celach represyjnych na terenie dzielnicy Ribera.

DE VILLARROEL, ANTONIO – hiszpański wojskowy, który po wybuchu wojny służył po stronie Burbonów. W 1708 roku odznaczył się podczas szturmów na strategiczne miasto Tortosa. Jednak w 1710 roku zmienił barwy i zaciągnął się, w stopniu generała, do oddziałów sprzyjających Austriakom. Kawaleria Villarroela rozstrzygnęła losy bitwy pod Villaviciosa, ratując wojsko Sprzymierzonych przed zupełną klęską. W 1713 roku rząd kataloński mianował go komendantem Barcelony. Na kilka dni przed szturmem z 1714 roku złożył dymisję, uznawszy, że stawianie oporu za wszelką cenę skończy się krwawą rzezią. Pomimo to, zamiast wsiąść na okręt i odpłynąć, postanowił ostatecznie pozostać w mieście. Podczas walk 11 września został ciężko ranny, a tuż potem aresztowany i uwięziony za niewypełnienie warunków kapitulacji. Przetrzymany w skrajnie ciężkich warunkach, wyszedł na wolność na krótko przed śmiercią.

WALTRAUD – postać fikcyjna.

DE ZUÑIGA, DIEGO – postać fikcyjna.

ZUVIRÍA, MARTÍ – adiutant generalny Villarroela. W swoich *Narraciones históricas* Castellví wspomina o nim jako tłumaczu z francuskiego i ordynansie

generała Villarroela, a także tym, który w czasie oblężenia Barcelony wypełniał misje za murami miasta. Wiadomo, że zdołał uciec do Wiednia, gdzie jego nazwisko pojawia się na liście wygnanych z ojczyzny stronników Austrii.

PRZYPISY

[1] Gówno (katal.). (Ten i wszystkie pozostałe przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Dom, mieszkanie (franc.).

[3] Nadzwyczajne, nadzwyczajne, nadzwyczajne... (franc.).

[4] Miasto w Belgii, w walońskiej prowincji Hainaut. Pierwsze francuskie miasto w hiszpańskich Niderlandach, zdobyte przez wojska Ludwika XIV w jednodniowym szturmie (1667). Wkrótce potem markiz de Vauban wzniósł tam nowe fortyfikacje, wyposażone w osiem bastionów.

[5] Tajemnica, misterium (franc.).

[6] Od łac. *castrum* (zamek).

[7] A zatem? (franc.)

[8] Znane jako sentencja Solona: ἄρχε πρῶτον μαθῶν ἄρχεσθαι (Sprawuj władzę dopiero wtedy, gdy nauczyłeś się przedtem słuchać).

[9] Proszę dalej, śmiało (franc.).

[10] Mój kreciku! (franc.).

[11] Chodzi oczywiście o Mehmeda II Zdobywcę.

[12] Wyłom w murze obronnym.

[13] W nazewnictwie wojskowym pole widzenia od danego punktu do najodleglejszego punktu na horyzoncie.

[14] Odcinek muru między bastionami.

[15] Paralela to rów oblężniczy, kopany równolegle do obleganego obiektu.

[16] Nigdy! (franc.).

[17] Sztuka oblężnicza. Termin utworzony od przydomka syna Antygonosa Jednookiego Macedońskiego, Demetriusza I Poliorketes (337 p.n.e. – 283 p.n.e.), wynalazcy machin oblężniczych i jednego z najwybitniejszych wodzów starożytności.

[18] A to? (franc.).

[19] Chyba jesteś idiotą! (franc.)

[20] Ja ją kocham (franc.).

[21] Uwaga! (franc.).

[22] Granat! (franc.).

[23] Zapalić! (franc., dosł. Do ognia!).

[24] Rzucić! (franc.).

[25] Waszmość nieprzyjacielu! Porozmawiajmy (franc.).

[26] Namur zdobyte (łac.).

[27] Od łacińskiego *angulus* – kąt, róg.

[28] Heron z Aleksandrii (prawdopodobnie I w. p.n.e.), grecki matematyk, mechanik i wynalazca; w XIX w. w Konstantynopolu odnaleziono

dwunastowieczne dzieło *Metryka Herona*, prezentujące nauki tego starożytnego myśliciela, stąd zapewne pomyłka Martiego.

[29] Dołączcie do armii króla! (franc.).

[30] W znaczeniu: Dalej! Naprzód! (franc.).

[31] Nicpoń (katal.).

[32] *Gallia est omnis divisa in partes tres* – słynne zdanie, rozpoczynające *Commentarii de bello Gallico* Juliusza Cezara.

[33] Wywodzący się ze średniowiecza instytucjonalny system władzy w Katalonii.

[34] Konstytucjami nazywa się zbiór praw, obwieszczanych przez księcia Barcelony i zatwierdzanych przez kortezy katalońskie pomiędzy wiekiem XII a XVIII. Normy te były nadrzędne wobec wszystkich innych praw.

[35] Zachowanie katalońskich swobód nie leży w interesie Anglii.

[36] Zgoda? (franc.).

[37] Jak się należy, wedle reguł (franc.).

[38] Z katalońskiego *miquelete* – strzelec górski. Nazwa formacji pochodzi od imienia katalońskiego zbójnika Miquelota de Prats, towarzysza broni księcia Valentinois (Antoniego I Grimaldi).

[39] Miqueleci dokonywali cudów (franc.).

[40] Hiszpańska forma katalońskiego *botifler*. Tak nazywano w Katalonii stronników Burbonów i Filipa V. Nie ma pewności co do etymologii tego słowa. Być może pochodzi od francuskiego *beauté fleur* – piękny kwiat – czyli lilii burbońskiej lub od nazwiska marszałka Boufflersa; niektórzy lingwiści twierdzą jednak, iż powstało od czasownika *botir* – wypychać, nadymać, a oznacza osobę pyszałkową, zadufaną, nadętą. Tak też interpretuje je autor.

[41] W armii królewskiej (franc.).

[42] Radź sobie sam! (franc.).

[43] Autor używa tego określenia, choć w okresie, w którym dzieje się akcja powieści, posługiwano się jeszcze przyrządem o nazwie polemoskop, wynalezionym w 1637 roku przez Jana Heweliusza.

[44] *Botiflero* z Beceite (katal.).

[45] Ślicznotka (katal.).

[46] Zgodnie z tradycją więcej: Szymon Słupnik Starszy, żyjący w V wieku, co najmniej czterdzieści; Szymon Słupnik Młodszy, z VI stulecia, ponad siedemdziesiąt.

[47] Na miłość boską! (katal.).

[48] Pozytywka (franc.).

[49] Santa María del Pi – kościół w Barcelonie; wedle tradycji na pniu rosnącej w tym miejscu sosny ukazał się niegdyś wizerunek Matki Bożej.

[50] Dzielnica Barcelony.

[51] Aluzja do trwającego osiem miesięcy oblężenia Sagunto przez Hannibala w 219 r. p.n.e., które zakończyło się klęską obrońców.

[52] Guardia de la Quietud – formacja zbrojna powołana w celu utrzymania porządku w mieście.

[53] Tu: Paniusiu; moja pani (katal.).

[54] *Marlborough idzie na wojnę* – popularna francuska piosenka wojskowa z 1709 roku.

[55] Kataloński odpowiednik hiszpańskiego *cojones*. Tutaj: Kurwa mać!

[56] Chłopcy (katal.).

[57] Gówno (katal.), po hiszpańsku *mierda* – podobieństwo tych słów przywołało wspomnienie dzieciństwa spędzonego przez Villarroela w Barcelonie.

[58] Chodzi o Kompanię Mórz Południowych (założoną w 1711 roku przez lorda skarbnika Roberta Harleya) i historię pierwszej banki spekulacyjnej. Autor wyolbrzymia tu rolę Stanhope'a, jak również parafrazuje cytowane poniżej słowa Izaaka Newtona, które w rzeczywistości brzmiały: „Mogę przewidzieć ruch ciał niebieskich, ale nie szaleństwo człowieka”.

[59] Pedro de Luna – antypapież Benedykt XIII.

[60] Zastrany Nan! (katal.).

[61] Moje uszanowanie, panie generale! (franc.).

[62] Wedle rozkazu, panie generale! (franc.).

[63] Anglicy zwiali! Portugalczycy podpisali! Holendrzy podpiszą, a nas na koniec powieszą! (katal.).

[64] Tu Karol, tam Filip, obaj mnie złupili, bez koszuli zostawili! (katal.).

[65] Hiszpanie na tchórza mówią *gallina*, co znaczy kura.

[66] Katalońskie pospolite ruszenie, wezwanie do broni, skierowane do wszystkich stanów.

[67] Jako że Stany Generalne, dnia 6 niniejszego miesiąca, zaleciły tej izbie, by postanowiła bronić Wolności, Przywilejów i Praw Katalończyków, które przodkowie nasi krwią własną przelaną chwalebnie zdobyli, przeto w dniu 9 tegoż miesiąca nakazujemy ogłosić *crیده* ku ojczyznie obronie.

[68] Tu: Fora ze dwora (katal.).

[69] *Impedit* – kaleka, ułomny, niezdatny (katal.).

[70] Josep Romaguera (1642–1723), urodzony w Barcelonie hiszpański poeta, pisarz i kaznodzieja.

[71] Ludwik (katal.).

[72] Filipek (katal.).

[73] Fryderyk Wilhelm II Pruski.

[74] Attyla, wódz Hunów, miał powiedzieć: „Kędy przelecą kopyta mego bojowego rumaka, trawa więcej nie porośnie”.

[75] Tutaj: I wytrzymaj gile, ty...! (katal.).

[76] W oryg. *comanchero*. Nazywano tak kupców handlujących z Indianami na terenie Nowego Meksyku i Teksasu.

[77] Dziwna wojna (franc.).

[78] Izokracja jest formą rządów, w której wszyscy obywatele mają równą władzę polityczną.

[79] Tu: Jeszcze czego! albo: Dajcie spokój! (katal.).

[80] Nie strzelajcie, poddajemy się! (franc.).

[81] Katalońska miara produktów sypkich, równa objętości około 70 litrów.

[82] Może tu chodzić zarówno o kościół Santa María del Pi, jak i o średniowieczną dzielnicę Barcelony.

[83] Smutki precz! lub: Smutki, fora ze dwora! (katal.).

[84] Panie de Vauban!... To ja! Pański ukochany uczeń z Bazoches!... Czyli kto?... Marten? To ty? (franc.).

[85] Panie marszałku, jakie jest to Słowo? Powiedz mi! Proszę, Słowo!

[86] Roger de Llúria (Ruggiero di Lauria) (1250–1305), Kalabryczyk w służbie króla Aragonii, Piotra III Wielkiego. Autor przypomina tu jego wyprawę do Tunisu (1282–1286).

[87] Wysepka w archipelagu Balearów. W XIII i XIV wieku wzniesiono tam warowny zamek dla obrony okolicznych akwenów przed berberyjskimi piratami. Autor odnosi się zapewne do złej sławy, jaką miejsce to zyskało później, w czasach wojen napoleońskich, gdy na wyspie powstał obóz dla jeńców, z których większość zmarła z głodu i chorób.

[88] Lewe skrzydło na kotę G, a jeśli czas pozwoli, przekopać się przez H do reduty I, ustawić baterię dziesięciu dział K na młyny L i most do nowej bramy M, a jak się da, to także na Świętą Klarę i stare wały broniące szyi bastionu. Do tego manewru potrzeba będzie 1000 zbrojnych ludzi, a potem... (franc.). Wspomniana w tym fragmencie „nowa brama” to Portal Nou, bastion wielokrotnie wymieniany w dalszej części książki.

[89] Śmieci (franc.).

[90] Zakrzywiony lancet zaprojektowany został przez Charles’a-François Tassy’ego, nadwornego chirurga Ludwika XIV, w celu usunięcia bolesnej fistuły królewskiego odbytu.

[91] Mój Boże, a więc to prawda! Cóż to za piękne miasto! (franc.).

[92] Kapitan (katal.).

[93] *Conseller en Cap* stał na czele ustanowionej w średniowieczu barcelońskiej Rady Stu, której skład ustalano przez losowanie. Rada Stu pełniła funkcję doradczą i kontrolną wobec rajców oraz urzędników magistratu. *Conseller en Cap* był również nominalnym dowódcą Coroneli. Po zdobyciu Barcelony przez Berwicka w 1714 roku i rozwiązaniu Generalitat urząd ten przestał istnieć. Ostatnim w historii *Conseller en Cap* był Rafael Casanova.

- [94] Transzeja... Idź!... (ang.).
- [95] Wierność (ang.).
- [96] Transzeja... Idź... Król... Królestwo... (ang.).
- [97] Na ziemię! (katal.).
- [98] Zawiadam! (katal.).
- [99] Cytat z dzieła Waleriusza Maksymusa (I wiek n.e.) *Factorum et dictorum memorabilium libri novem*.
- [100] Boże mój, jakież duch w tej drużynie! (franc.).
- [101] Mój Boże, cóż za katastrofa! (franc.).
- [102] Chłopcze, chłopcze (katal.).
- [103] Przekład Seweryn Hammer.
- [104] Motłoch, tłuszcz (franc.).
- [105] Barwy Katalonii.
- [106] Tak niepewnym sposobom (franc.).
- [107] Pieprzyć podręczniki! (franc.).
- [108] Otwór (franc.).
- [109] To miasto, leżące niedaleko Barcelony, w 1714 roku poddało się jako ostatnie.
- [110] Oglaga lub Oglala – Indianie północnoamerykańscy, jedno z siedmiu plemion ludu Lakotów.
- [111] Ogłosić kapitulację (franc.).
- [112] Trikorn – trójgraniasty kapelusz.
- [113] Pohulamy z wami! (franc.).
- [114] Proszę, proszę (katal.).
- [115] Naprzód, naprzód! (franc.).
- [116] Impuls, impet (franc.).
- [117] Gotycki kościół w dzielnicy Ribera w Barcelonie. Ufundowany i wzniesiony wysiłkiem okolicznych mieszkańców, którzy na własnych plecach nosili kamienie na budowę; rozpoczęto ją w 1329, a ukończono w 1383 roku. Przetrwał trzęsienie ziemi i wiele wojen. Dopiero w roku 1936 ogień podłożony przez anarchistów zniszczył barokowy ołtarz, a także wszystkie rzeźby i obrazy. O owym słynnym kościele pisał Carlos Ruiz Zafón w *Grze anioła*, a Ildefonso Falcones poświęcił mu powieść *Katedra w Barcelonie*.
- [118] Tato, tato, tato... (katal.).
- [119] Martí, pilnuj Anfana (katal.).
- [120] Mój przyjacielu, mój wrogu. Poddaj się (franc.).
- [121] Ach, nie! (...) Nigdy! (franc.).
- [122] Wyjdz! (katal.).
- [123] Madrycka bazylika, której początki sięgają czasów romańskich. Najświętsza Maryja Panna z Atocha jest patronką królów Hiszpanii.

[124] Ognia, ognia, ognia! (franc.).

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści Alberta Sáncheza Piñola:

CHŁODNY DOTYK

2006

PANDORA W KONGU

2009

Cordon de verrouillage à Barcelone

